

SERIA PROJEKT RHO

123--

BRAMMA

RICHARD PHILLIPS



fabryka słów®
WYDAWNICTWO

S E R I A

PROJEKT RHO

- 1. Drugi okręt**
- 2. Remedium**
- 3. Wormhole**

RICHARD PHILLIPS

B R A M A

PROJEKT RHO

123--

TŁUMACZYŁ
PIOTR KUCHARSKI

fabryka słów®

Lublin – Warszawa

COPYRIGHT © 2012 BY Richard Phillips
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2018
TYTUŁ ORYGINAŁU Wormhole. Book Three of the RHO Agenda

WYDANIE I
ISBN 978-83-7964-360-8

W książce przedstawiono fikcyjne wydarzenia i postacie.
Jakiegolwiek podobieństwo do prawdziwych osób, żyjących bądź
martwych, jest przypadkowe i niezamierzone przez autora.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA
Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE
Dark Crayon

PROJEKT OKŁADKI
Dark Crayon, black gear Paweł Zaręba

REDAKCJA
Małgorzata Hawrylewicz-Pieńkowska

KOREKTA
Anna Samolej, Magdalena Byrska

SKŁAD ORAZ OPRACOWANIE OKŁADKI
„Grafficon” Konrad Kućmiński

WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 2519

*Dla mojej wspaniałej żony Carol, która uważa,
że dokończenie zadania jest przynajmniej równie
ważne jak jego rozpoczęcie*

ROZDZIAŁ

1

Profesor Rodger Dalbert wysiadł z czarnego mercedesa i niemal stracił równowagę na oblodzonym asfalcie. Jego kierowca wyciągnął rękę, by go podeprzeć, ale naukowiec powstrzymał go gestem.

– W porządku, Carl. Poradzę sobie.

– Dziś od rana jest paskudna gołoledź. Myślałem, że na tym ostatnim rondzie zsuniemy się z jezdni.

Rodger uśmiechnął się do znacznie potężniejszego mężczyzny.

– Też mi to przeszło przez głowę – stwierdził.

Podmuch lodowatego wichru zmusił Rodgera do pochylenia głowy i poszukania ochrony za wysokim kołnierzem płaszcza. Cholera, ale było zimno. No ale czego można było się spodziewać po marcu w Szwajcarii?

Na szczęście Meyrin leżało niedaleko od Genewy. Rodger zawsze uwielbiał to miasto. Szkoda, że tym razem harmonogram nie pozwalał mu zwiedzić niczego więcej poza lotniskiem. Trudno. W końcu, gdy zgadzał się na objęcie stanowiska przewodniczącego Prezydenckiej Rady Ekspertów do spraw Nauki i Techniki, zdawał sobie sprawę, że ucierpi na tym jego życie prywatne.

Zaciskając mocno kołnierz wokół szyi, Rodger pospiesznie umknął przed wiatrem i wpadł do budynku, w którym miało się odbyć dzisiejsze spotkanie. Planowano podczas niego omówić naprawy prowadzone przy Wielkim Zderzaczem Hadronów, zwanym także LHC, najbardziej ambitnym projekcie naukowym, jakiego kiedykolwiek podjął się człowiek. Akcelerator mieścił się w ogromnym tunelu, położonym sto metrów poniżej gruntu, kawałek na zachód od Jeziora Genewskiego, a jego liczący dwadzieścia siedem kilometrów obwód w kilku miejscach

przecinał granicę między Francją a Szwajcarią. Budynek zaś znajdował się siedemdziesiąt metrów nad grota, w której zainstalowano potężny detektor cząstek elementarnych ATLAS, otulający LHC Point One, czyli punkt, w którym zderzały się dwie rozpędzone do wielkich prędkości wiązki protonów. Przynajmniej tak było, dopóki to wszystko działało.

– Profesorze Dalbert, bardzo się cieszę, że mógł pan przyjechać.

Rodger obrócił się i ujrzał idącego w jego stronę profesora Louisa Dubois, znanego francuskiego fizyka kierującego zespołem naukowców pracujących przy ATLAS-ie. Mężczyzna postarzał się od ich ostatniego spotkania podczas konferencji w Nowym Jorku. Wtedy wyglądał bardziej jak grecki kompozytor Yanni w wieku dwudziestu kilku lat niż jak teoretyk fizyki kwantowej i laureat Nagrody Nobla. Długie czarne włosy spływały mu na ramiona, jakby właśnie wyszedł z paryskiego salonu fryzjerskiego. Teraz zebrał je w przetłuszczony kucyk, jakby od tygodni nie zawracał sobie głowy ich myciem. Po oczach, które zdawały się zapadać w głąb twarzy, widać było zmęczenie, na które nie mogła zaradzić żadna ilość snu.

– Cała przyjemność po mojej stronie, profesorze Dubois. I przepraszam za opieszałość. Poranna jazda zajęła nam więcej czasu, niż się spodziewałem. – Rodger skinął głową w stronę recepcji. – Mam się zarejestrować?

– Nie ma potrzeby. Mam tu pański identyfikator. A teraz proszę za mną, konferencja za chwilę się rozpocznie.

Przeszli przez drzwi, Dubois poprowadził Rodgera krótkim korytarzem, po czym skręcił w prawo, do pomieszczenia znacznie mniejszego, niż Amerykanin oczekiwał. Przy stole konferencyjnym stało dwanaście krzeseł, lecz zajęte były tylko trzy z nich. Licząc Dubois i towarzyszącego mu Dalberta, w sumie w pokoju znalazło się pięć osób.

Rodger usiadł, a profesor Dubois przeszedł do szczytu stołu i rozpoczął niezbędną prezentację.

– Dzień dobry wszystkim państwu. Wprawdzie część z nas już się poznała, ale i tak przedstawię każdego po kolei. Po mojej lewej stronie siedzi profesor Robert Craig, główny doradca

naukowy w Ministerstwie Obrony Zjednoczonego Królestwa.

Przysadzisty rudowłosy mężczyzna pochylił głowę.

– Patrząc dalej zgodnie z kolejnością ruchu wskazówek zegara, następny jest profesor Klaus Gotlieb, doradca naukowy Komisji Europejskiej.

Rodger rozpoznał łysą, ptasią głowę starszego mężczyzny poznanego na sierpniowej konferencji w Sztokholmie. Wprawdzie rozmawiali wtedy tylko przez chwilę, jednak spotkanie wydawało się ciągnąć bez końca.

– Obok zajmuje miejsce profesor Pierre Bourdre, starszy astrofizyk w Europejskiej Agencji Kosmicznej.

Uniósłszy minimalnie lewą brew, Rodger zerknął na posadzonego po drugiej stronie stołu szczupłego naukowca. Znał i lubił Pierre'a, odkąd współpracowali dla NASA nad Międzynarodową Stacją Kosmiczną ISS. Francuz był błyskotliwy i posiadał przyjazną osobowość, którą z równą łatwością potrafił oczarować grupę miejscowych w kawiarni w Houston, jak i śmietankę towarzyską z Long Island. Ale co robił tutaj?

Zresztą co sam Rodger tu robił? Spotkanie, które zapowiadano jako konferencję poświęconą omówieniu napraw LHC, wyraźnie miało służyć czemuś innemu. Pięć osób? To za mało na porządną dyskusję naukową, nie mówiąc już o konferencji. Skład grupy nie pasował także do rozmów o LHC, czyli wspólnym projekcie międzynarodowym. Zatem o co tu chodziło?

– A na prawo ode mnie siedzi profesor Rodger Dalbert, przewodniczący Rady Ekspertów do spraw Nauki i Techniki przy prezydencie USA. Ja nazywam się profesor Louis Dubois i jestem starszym fizykiem pracującym przy eksperymencie ATLAS. W zasadzie tytuł ten jest nieco bezczelny, ponieważ projektem zajmuje się ponad dwa i pół tysiąca fizyków z trzydziestu siedmiu krajów. Powiedzmy po prostu, że ATLAS jest moim dzieckiem, na dodatek nieźle wyrosniętym.

Rodger usłyszał od niewielkiej grupki chichoty aprobaty.

Dubois przerwał na chwilę i rozłożył dłonie niczym duchowny wzywający swą trzódkę do modlitwy.

– Jest już dla panów zapewne oczywiste, że nie spotkaliśmy się,

by omawiać harmonogram napraw LHC. Przepraszam za ten podstęp, ale jestem pewien, że wkrótce zrozumiecie, dlaczego uznaliśmy go za niezbędny, zważywszy na bieżącą sytuację, która wymaga delikatności, aby uniknąć niepożądanego zainteresowania mediów.

Rodgerowi przyspieszył puls. Zainteresowania mediów? Czyżby naukowcy z CERN dokonali przełomu? Czy wreszcie udało im się ostatecznie potwierdzić fizyczny model standardowy? Ale dlaczego nie zaprezentowano po prostu wyników? Nie miało to żadnego sensu.

– Zamiast próbować wyjaśniać, dlaczego panów tu zebrałem, pokażę to.

Profesor Dubois podniósł ze stołu małego pilota i wciskając przycisk, uruchomił płaski ekran na przeciwnej ścianie. Widniało na nim mnóstwo kolorowych linii wychodzących z centralnego punktu i wyglądających jak coś, co mogłoby narysować dziecko, gdyby na cały dzień dostało do dyspozycji spirograf.

Dubois przesunął kursor, otaczając punkt centralny kręgiem.

– Oto obraz z ATLAS-a, z testów przeprowadzonych tuż przed ostatnim wyłączeniem systemu, wczesnym rankiem w ostatni piątek listopada. Gdy go zarejestrowaliśmy, w Ameryce trwał jeszcze wieczór Dnia Dziękczynienia.

Roger przyjrzał się ekranowi. Bez szczegółowej analizy pełnego zestawu danych nie dostrzegął w wykresie nic niezwykłego. Najwyraźniej ogromna energia wyzwolona w wyniku zderzenia protonów doprowadziła do powstania wielu cząsteczek o różnych ładunkach, spinach i masach, których trajektorie się przed nimi wyświetlały.

– A to – oznajmił Dubois, przełączając obraz – są dane z ATLAS-a uzyskane dzisiejszego ranka.

Wprawdzie pierwszy slajd wskazywał zdarzenie, podczas którego wytworzyła się olbrzymia ilość energii, jednak bieżący przedstawiał interakcję cząsteczek o mocy większej o rząd wielkości, tak wielu, że trudno było odróżnić trajektorie.

– Bardzo przepraszam – wtrącił się profesor Craig. – Czy podczas ostatniego zdarzenia korzystaliście z takich samych

ustawień filtra i trygera?

– Ustawienia instrumentów w ATLAS-ie nie uległy zmianie – odparł Dubois.

Coś w jego słowach zaniepokoiło Rodgera, który przysunął się bliżej ekranu.

– Ale mówił pan, że obraz został uzyskany dziś rano. Jestem zaskoczony, że tak szybko skończyliście naprawiać uszkodzone elektromagnesy i że w systemie została przywrócona próżnia. Czy udało wam się zwiększyć energię wiązek powyżej dziesięciu teraelektronowoltów?

Profesor Dubois usiadł wygodniej.

– To prowadzi nas do spraw bieżących. Naprawdę nie da się tego ująć inaczej niż wprost. W rzeczywistości nigdy nie nastąpiło żadne uszkodzenie elektromagnesów ani utrata próżni w tunelu. Podaliśmy te informacje prasie jako przykrywkę, aby zyskać czas na dokładne zrozumienie anomalii.

Wszyscy obecni podnieśli głosy, naukowcy domagali się uwagi, w panującym hałasie nie dało się słyszeć poszczególnych pytań. Dubois czekał cierpliwie, aż fizycy znów umilkną.

– Rozumiem, że są panowie zaniepokojeni, ale zanim oddam głos, musicie wysłuchać reszty informacji, które będą odpowiedzią na wiele z zadanych właśnie pytań, choć z pewnością doprowadzą do wielu kolejnych. Czy mogę kontynuować?

Rozejrzał się wokół stołu i nie napotkał sprzeciwu. Wstał z krzesła, jakby na siedząco nie mógł już dłużej znieść napięcia.

– Jak wspominałem w swoich wcześniejszych wypowiedziach, testy przeprowadzone pod koniec listopada dały nam szereg ekscytujących wyników. Jednak podczas próby, która miała miejsce w ostatni piątek listopada, zanotowaliśmy dziwny pik w pomiarach rejestrowanych przez wiele przyrządów w ATLAS-ie. Mam tu na myśli detektor wewnętrzny, kalorymetry, spektrometr mionowy, a nawet zewnętrzne magnesy toroidalne. Co bardziej niepokojące, odczyty utrzymywały się też po wyłączeniu wiązki. Oczywiście najpierw zaczęliśmy szukać usterek w przyrządach, błędów w elektronice albo w

oprogramowaniu odpowiedzialnym za zbieranie oraz przetwarzanie danych.

Twarz profesora Dubois nabrała bladości, której nie dało się przypisać wyłącznie oświetleniu w sali. Rodgera to nie dziwiło. Implikacje były bardzo poważne. Fakt, że ATLAS zarejestrował tak silne zdarzenie bez wystrzelenia wiązki, nie mógł świadczyć o niczym dobrym.

- Wstrzymaliśmy wszelkie dalsze próby w LHC aż do wyjaśnienia dokładnej natury problemu. Od tamtego dnia nie wypuszczaliśmy wiązek.

- Moment. - Profesor Gotlieb wstał z krzesła i wskazał na ekran. - Mówił pan, że ten obraz powstał dziś rano.

- Zgadza się - przytaknął Dubois. - To wycinek danych zebranych tego ranka przez detektor ATLAS.

- Ale skoro w LHC nie rozpędzono żadnych protonów, to jak...?

Pytanie Niemca zawisło w pełnym grozy milczeniu.

- Jezu Chryste - słowa te wymknęły się z ust Rodgera niczym modlitwa. Było gorzej, niż sądził.

- Listopadowa Anomalia, bo tak ją zaczęliśmy nazywać, pojawiła się w punkcie kolizji w ATLAS-ie i w jakiś sposób osiągnęła pozory stabilności. Natychmiast spróbowaliśmy odizolować ją w silnym polu elektromagnetycznym, aby nie uciekła z komory próżniowej. Od tego dnia zespół inżynierów wprowadza liczne dodatkowe zabezpieczenia, aby zapobiec awariom pola, i pracuje na okrągło nad poprawą jakości próżni otaczającej anomalię.

Dubois wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł krople potu, które pojawiły mu się na skroniach.

- Chyba rozumieją panowie, dlaczego tak strzeżliśmy tych informacji, podczas gdy najlepsze umysły uczestniczące w programie starały się zrozumieć, co konkretnie się stało.

- Ale jak to możliwe? - spytał profesor Bourdre. - Przyznaję, że jestem bardziej astrofizykiem niż specjalistą od mechaniki kwantowej, ale nawet energie wyzwalane w wyniku kolizji w LHC charakteryzowały się zdecydowanie zbyt niskim przekrojem czynnym, aby mogła się utworzyć jakaś czarna mikrodziura. Poza

tym promieniowanie Hawkinga powinno w niecałą sekundę rozproszyć

każdy tego typu obiekt o masie poniżej dwustu tysięcy kilogramów. Czarna mikrodziura, taka jak wasza, powinna zniknąć w drobnym ułamku tego czasu.

– Nie sądzimy, by chodziło o czarną mikrodziurę.

– Nie sądzicie? – prychnął Gotlieb.

Rodger uświadomił sobie, że również wstał, choć opierał się dłońmi o stół.

– I czego dowiedzieliście się po trzech miesiącach tajnych badań?

Profesor Dubois zaczął mówić, zająknął się i spróbował od nowa:

– Anomalia jest sprzeczna z wszelką uznaną teorią. Przetrzęsaliśmy każdą pracę opublikowaną w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat, która mogła choćby zahaczać o ten temat, i znaleźliśmy tylko jedną, która wydaje się opisywać to, co widzimy. Jest to rozprawa teoretyczna pod tytułem *Metastabilne osobliwości kwantowe*, wydana trzy lata temu.

– I co ma do powiedzenia na temat waszej anomalii fizyk, który napisał tę pracę? – naciskał Rodger.

– Nie wiem. Nie rozmawialiśmy z nim.

– Co? Dlaczego nie, do diabła? – zagrział profesor Craig.

– Panowie, usiądźcie, proszę. Wiem, że zastanawiacie się, dlaczego zebrałem was tutaj, zamiast skierować sprawę bezpośrednio do organizacji międzynarodowych. Zjawisko, z którym się tutaj zetknęliśmy, całkowicie wykracza poza naszą bieżącą wiedzę fizyczną i obecnie wydaje się metastabilne. Ma potencjał, żeby przekształcić się w coś znacznie bardziej niebezpiecznego, być może nawet w czarną dziurę, która pochłonie naszą planetę. Gdyby rządy zareagowały, kierując się strachem, możecie sobie wyobrazić, czego by spróbowały.

Stół aż podskoczył, gdy profesor Craig uderzył w niego pięścią.

– Rozwaliliby wasz cholerny eksperyment w drzazgi atomówkami. I tak powinno się zrobić już wcześniej.

Rodger rozumiał gniew Craiga, był jednak zbyt oszołomiony, by

odpowiedzieć, oparł się tylko bardziej na krześle.

Profesor Dubois wychylił się do przodu.

- A jeśli się na to zdecydują, najprawdopodobniej wywołają katastrofę, której wszyscy się obawiają. Według naszej analizy równań zawartych w publikacji, o której wspominałem, tego rodzaju anomalia zajmuje punkt przegięcia pomiędzy kilkoma bardziej stabilnymi stanami, z których większość jest nieprzyjemna. Nawet względnie drobne zakłócenie może wytrącić ją z niepewnej równowagi i ludzkość zostanie zmieciona przez lawinę zniszczenia. Uznaliśmy zatem, że wasza czwórka, czyli szanowani reprezentanci nauki z Unii Europejskiej, Wielkiej Brytanii oraz Stanów Zjednoczonych, najlepiej nadaje się do zaprezentowania tej wiedzy waszym przywódcom politycznym. Gdy rządy zapoznają się z faktami, będą mogły osiągnąć konsens w sprawie wyboru najlepszego biegu wydarzeń.

- Wciąż nie odpowiedział pan na moje pytanie. - Twarz profesora Craiga nabrała odcienia fioletu. - Dlaczego nie skontaktowaliście się z fizykiem, który napisał tę cholerną pracę?

- Bo aż do tej pory nie mieliśmy takiej możliwości. - Dubois popatrzył bezpośrednio na Rodgera. - Aby do niego dotrzeć, będziemy potrzebowali pomocy rządu USA.

Rodger wciągnął cicho powietrze.

- A to dlaczego? - spytał.

- Ponieważ znajduje się obecnie w amerykańskim więzieniu. Fizyk, o którym mówię, to słynny profesor Donald R. Stephenson.

ROZDZIAŁ

2

Stopa trafiła Marka, gdy próbował wykręcić ciało, aby uniknąć ciosu. Uderzenie w miejsce tuż pod splotem słonecznym pozbawiło go tchu. Brzuch eksplodował bólem, ale chłopak skupił go, odsuwając na bok, by przetworzyć później. Obecnie musiał po prostu przetrwać.

To zabawne. Zaledwie chwilę wcześniej koncentrował się na wygraniu tej walki. Teraz, gdy krew i pot przysłaniały mu pole widzenia, a brak powietrza pozbawiał sił, ten cel wydawał się niczym mglisty sen. Jack Gregory rozkładał go na czynniki pierwsze z łatwością, która wymykała się pojmowaniu.

Zebrawszy całą wzmocnioną neuronowo szybkość, Mark zaprzął organizm do kopnięcia bocznego, które powinno cisnąć jego przeciwnikiem na drugą stronę pomieszczenia. Zamiast tego poczuł, że pociągnięty własnym pędem unosi się w przerzucie judo, po którym walnął plecami o podłogę, a przed oczyma zatańczyły mu białe błyski. Oślepiiony i oszołomiony, Mark podciągnął kolana i w jakiś sposób udało mu się wybić, wylądować na stopach i utrzymać pozycję, choć miał wrażenie, jakby jego nogi były z gumy.

– Dość.

Głos Jacka wydawał się dobiegać z oddali, jakby z zabawkowego telefonu z puszek i sznurka, jakie w dzieciństwie robili z Heather oraz Jen.

– Wystarczy na tę sesję – ciągnął Jack, podchodząc, by stuknąć go solidnie w plecy. – Dobry trening.

Cichy chichot spod ściany sprawił, że chłopak zerknął w stronę siostry.

– Serio, Mark – zdołała wykrztusić Jen między rechotami. – Kilka razy sądziłam, że jest już zdany na twoją łaskę.

Jej brat próbował odzyskać oddech na tyle, by udzielić ciętej riposty, lecz w końcu zrezygnował z tych starań.

– Już dość, Jennifer – rzekł Jack. – Twoja kolej.

Mark chwiejnym krokiem podszedł do Heather, usiadł koło niej i zdołał się uśmiechnąć. Wprawdzie otrzymał naprawdę solidne baty, ale przynajmniej teraz miał na co popatrzeć.

Dziesięć tygodni spędzonych przez trójkę nastolatków w hacjendzie Frazier było najtrudniejszym okresem ich życia. Mark nie wiedział, czego się spodziewał, ale na pewno nie tego. Jack i Janet wrzucili troje przyjaciół w bardziej intensywny program szkoleniowy niż te stosowane przez CIA. Młodzi ludzie codziennie przez dwadzieścia godzin przechodzili na zmianę przez trening fizyczny, ćwiczenia z bronią, sztuki walki oraz rozmaite zajęcia poświęcone zasadom prowadzenia tajnych operacji.

Jak dostrzec ogon. Jak zgubić ogon. Jak i kogo przekupić. Jak ustanowić bazę operacyjną w kontynentalnej Europie, USA, Wielkiej Brytanii, Indiach, Pakistanie, Afryce, Rosji, Ameryce Łacińskiej, Chinach. Jak kupić nielegalną broń, dokumenty i sprzęt. A gdy już im się wydawało, że trudniej być nie może, Gregory podkreślił tempo. Zrobiło się wyjątkowo ciężko, ale dzięki temu Mark był zbyt zajęty i zmęczony, aby martwić się innymi rzeczami, na przykład tym, przez co muszą przechodzić jego rodzice.

Choć Jack wiedział o usprawnieniach neuronowych, które otrzymali na okręcie Bandelier, chciał poznać ich ograniczenia. Poza tym Mark wiedział, że Gregory'emu zależy, aby oni sami znali granice swoich możliwości.

I wprawdzie chłopakowi podobało się, że uczyli się rzeczy, które były znane bardzo niewielkiemu gronu, jednak miał przekonanie, że gdyby nie weekendy, to chyba zdecydowałiby się na ucieczkę.

Nazywali to sobotami i niedzielami science fiction. Niemalże odgrywali na żywo odcinki „Strefy mroku”, ponieważ Jack pragnął dowiedzieć się jak najwięcej o okręcie Bandelier, jego technologii, motywacjach, a także o tym, co zrobił i wciąż robił z

trójką swoich uczniów. Sesje bywały fascynujące, ale też mocno niepokojące.

Ostatnio Gregory kazał im pracować w zupełnej ciemności. Mieli pozwalać, by ich umysły przetwarzały dźwięki na obrazy w formie echolokacji, która dawała im zobrazowanie otoczenia. Im głośniejszy odgłos, tym jaśniejszy dawał widok w mentalnej wizji.

Na szczęście piątkowe i sobotnie wieczory poświęcano na odpoczynek i relaks, swoiste wyjście na przepustkę, jak to określała Janet. Można by ich wówczas niemal wziąć za rodzinę. Jack i Janet zabierali swoich gości do San Javier na spacer po mieście, kolację przy paru boliwijskich piwach, śmiechy i rozmowy.

Pewna rzecz, którą Gregory powiedział podczas jednej z sesji treningowych, wyryła się Markowi w mózgu: „Ten świat będzie próbował was pokonać. Można to przewyciężyć wyłącznie śmiechem. Śmiech to amunicja. Często ją uzupełniajcie”.

Mark przypomniał sobie odgłos chrapliwego śmiechu Janet, który rozległ się w sali po tych, jak się okazało, celnych słowach. Jednak odkąd przed ośmioma tygodniami urodził się ich synek Robby, to Jack robił za głównego szkoleniowca.

Nawet poród został włączony w program treningu. Yachay, indiańska położna, zajmowała się sprowadzeniem dziecka na świat, lecz Mark, Jennifer oraz Heather jej asystowali. Intensywność tego doznania sprawiła, że dobrze zapamiętali wszystkie szczegóły.

Janet dzielnie zniosła osiemnaście bolesnych godzin porodu. Jack siedział przy niej, trzymając ją za rękę i prowadząc przez ćwiczenia oddechowe oparte na technice Lamaze'a. Dzięki samodyscyplinie Janet ani razu nie narzekała ani nie płakała, choć na jej czole skrapał się pot, tworząc małe strumyczki, które Jack ścierał wilgotnym ręcznikiem.

Natomiast nastolatki były zajęte wypełnianiem poleceń położnej z plemienia Keczua. Gdy dziecko wreszcie się wydostało, to Mark asystował przy przecinaniu i zawiązywaniu pępowiny, choć wcześniej przeżył chwilę paniki, zastanawiając

się, czy malec zacznie oddychać. Wprawdzie Mark sądził, że wszystkie noworodki krzyczą, biorąc pierwszy oddech, jednak ten nie wydał ani dźwięku. Dopiero po skarceniu przez Yachay nastolatek wyrwał się ze stanu osłupienia i wziął się do wykonywania instrukcji Indianki.

Gdy wreszcie skończyli wszystkie czynności poporodowe, troje przyjaciół nawet nie zwracało sobie głowy jedzeniem. Po prostu powlekli się do swoich pokoi, by odpocząć i odzyskać siły, bardziej zmęczeni niż po którymkolwiek z treningów.

– Heather, teraz ty.

Słowa Jacka wyrwały Marka z zadumy. Heather szła w stronę instruktora, a Jennifer chwiejnym krokiem podchodziła, by usiąść obok brata, oddychając nierówno. Choć nie krwawiła, wyraźnie znajdowała się na skraju możliwości mięśni.

Każdy piątek był dniem oceny, podczas którego Jack sprawdzał, w jakim stopniu opanowali otrzymane do tej pory lekcje. Mark miał pewność co do jednego: nigdy już nie pomyśli „piąteczek, piątunio!”. Teraz nie cierpiał tych dni.

Nagle przeniósł uwagę na środek małej, wyłożonej materacami sali gimnastycznej. Jeden z ciosów Heather zdołał przeniknąć przez osłony Jacka i drobna pięść musnęła jego podbródek. Gdy walczący zmienili pozycje, chłopakowi mignęły oczy dziewczyny. Stały się mlecznobiałe.

Cholera. Wpadła w trans i zmagła się teraz z Jackiem, a jej sawancki umysł wpatrywał się w przyszłość.

I znów się zamachnęła, lecz tym razem mężczyzna uchylił się przed uderzeniem. Przez bardzo krótką chwilę Markowi wydawało się, że w oczach Jacka błysnęła czerwień. Nagle, gdy Heather zawirowała w kopnięciu opadającym prostą nogą, Jack walnął ją mocno w splot słoneczny, sprawiając, że gwałtownie wypuściła powietrze z płuc. Heather zgięła się wpół na macie, a następnie przetoczyła na bok, jednocześnie starając się zaczerpnąć tchu i wstać. Przez moment nie udawało jej się ani jedno, ani drugie.

Mark i Jennifer zaczęli się podnosić, lecz stanowcze spojrzenie Jacka nakazało im z powrotem usiąść. Gregory stanął nad

Heather, wpatrując się w nią uważnie, lecz w żaden sposób jej nie pomagając. Miesiąc wcześniej Mark nie zdołałby powstrzymać gniewu. Teraz to wszystko miało sens. Gdyby Jack zaczął niańczyć któreś z nich, oznaczałoby to, że go nie szanuje. Zanim zaczęli szkolenie, agenci wprowadzili ich w surowe założenia programu i nastolatkwowie się na nie zgodzili. Teraz było za późno, by się wycofać.

Tytanicznym wysiłkiem Heather zdołała unieść się z podłogi i znów przybrać pozycję gotowości.

– Świetnie – skomentował Jack. Gestem wezwał Marka i Jennifer. – Usiądźcie wszyscy tu na macie.

Gdy wykonali polecenie, mężczyzna podszedł do szafki w rogu, zdjął z półki pudełko i usiadł naprzeciwko Heather.

– Masz wyjątkowe zdolności – powiedział jej. – Wszyscy dysponujecie różnymi wspólnymi talentami dzięki wzmocnieniu neuronowym, jakie otrzymaliście poprzez opaski z okrętu Bandelier, jednak wasze umysły mają swoje indywidualne mocne strony i preferencje. Heather, obserwowałem cię przy grze w szachy. Nikt na całym świecie nie zdołałby cię pokonać, a już na pewno żaden komputer. Widzisz wszystkie możliwości i wiesz, co się najprawdopodobniej stanie przy dowolnym układzie. Właśnie dlatego przed chwilą udało ci się mnie trafić.

Jack przerwał, by wyjąć z pudełka szachownicę i położyć ją na podłodze między nimi. Mark obserwował uważnie, jak mężczyzna wyjął kilka bierok i rozstawił je w układzie końcowym, w którym każda strona miała po cztery sztuki.

Białe uwięziły króla w pierwszym rzędzie, gdzie blokowała go czarna wieża, czarny król zaś miał podobnie ograniczone możliwości ruchu w ósmym rzędzie. Czarne dysponowały kolejną wieżą i pionem, natomiast białym zostały hetman i pion.

Jack obrócił planszę, by Heather grała białymi.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że wygrają białe? – spytał.

– Czyj ruch? – dopytywała się Heather.

– Białych.

– Mat w jednym ruchu.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że wygrają białe? – spytał.

– Sto procent.

– Pokaż mi.

Mark zobaczył, że Heather zerka na niego i wzrusza ramionami, jakby chciała powiedzieć: „To zbyt łatwe”.

– Skoro nalegasz.

Gdy sięgała po białego hetmana, dłonią niechcący musnęła białego piona. Zastygła na chwilę, po czym sięgnęła po hetmana.

– Dotknęłaś piona. Zgodnie z zasadami musisz nim pójść. – Jack uśmiechnął się.

– Przypadkowe dotknięcia się nie liczą.

– Dotknęłaś go i się zawahałaś. To liczy się jako celowy dotyk.

Heather zmarszczyła brwi. Mark widział, że nie rozumiała, co właśnie się wydarzyło. Zwycięskie posunięcie właśnie stało się przegrywającym. Sięgała po hetmana, lecz coś rozproszyło jej uwagę. Mark ujrzał w jej oczach błysk, gdy obracała się ku przyjaciółce.

– Jennifer!

Jack się roześmiał.

– Zanim zezłościś się na Jen, chcę, żebyście wszyscy zastanowili się, co się właśnie wydarzyło. Najbardziej utalentowany sawancki umysł na tej planecie obliczył, że prawdopodobieństwo wygranej w zwykłej końcówce szachowej wynosi sto procent i jest absolutnie pewne. A jednak przegrałaś. Dlaczego? Umówiłem się z Jennifer, że muśnie podświadomość Heather, gdy będzie się ona najmniej spodziewać takiej ingerencji. I tym samym spowoduje przypadkowe stuknięcie białego piona. Zrobiłem to, żeby przekazać wam zdecydowanie najważniejszą lekcję. Zanim wypuszczę was dziś wcześniej, chcę, aby wryła się w waszych głowach. Nie ufajcie nikomu, nawet najlepszym przyjaciołom. Kochajcie ich, ale nigdy im w pełni nie ufajcie. To dlatego, że w krytycznych momentach ktoś może na nich wpłynąć, by robili rzeczy, których nie chcecie. Mark poświęciłby życie, żeby uratować Heather, choć ona zniechęciłaby go za to. Heather zrobiłaby to samo dla niego. Na swój własny sposób wszyscy zdradzilibyście się nawzajem, tak jak Jennifer zdradziła Heather w tej rozgrywce.

Twarz Marka spochmurniała.

– Moment! Jennifer jej nie zdradziła.

– Nie – rzekła Jen, spoglądając na brata z wdzięcznością. – Nie zdradziłam.

– Och, miałaś dobry powód – ciągnął Jack. – Zmanipulowałem cię, mówiąc, że to kluczowy element przekazywanej przeze mnie lekcji, ale tak naprawdę zdradziłaś ją, sprawiając, że przegrała. Przy odpowiednich powodach wszyscy byście tak zrobili. Zapamiętajcie to sobie. I zapamiętajcie też coś innego: żadne zwycięstwo nie jest absolutnie pewne. Żadna sytuacja nie jest zupełnie beznadziejna. Jeśli znajdziecie się w beznadziejnej sytuacji, zmieńcie zasady.

– Chciałeś powiedzieć: oszukujcie – powiedział Mark.

Jack wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Jak sam diabeł.

ROZDZIAŁ

3

Prezydent Leonard Jackson wpatrywał się nad stołem konferencyjnym w profesora Rodgera Dalberta, który wytrzymywał jego spojrzenie ze spokojem stojącym w sprzeczności z naturą właśnie przekazanych przez niego informacji. Nie odezwał się nikt z Rady Bezpieczeństwa Narodowego, co stanowiło wydarzenie niemal równie niezwykle jak przedmiot spotkania. Może jednak był to znak, że zaczęli się przyzwyczajać do stylu przywództwa Jacksona. Przynajmniej on wolał to tak interpretować.

– Podsumujmy więc – powiedział prezydent. – Profesor Stephenson odrzucił naszą prośbę o pomoc w zamian za złagodzenie przeze mnie jego wyroku i skrócenie go do czasu, który już odsiedział.

– Zgadza się. Chce pełnego ułaskawienia, publicznych przeprosin ze strony pana jako prezydenta Stanów Zjednoczonych za drastyczne błędy, których wynikiem było jego uwięzienie, a także całkowitego przywrócenia poświadczeń bezpieczeństwa. Ponadto chce zostać mianowany specjalnym przedstawicielem naukowym przy CERN i stanąć na czele Projektu Listopadowa Anomalia.

– Zarozumiały gnojek – syknął sekretarz stanu.

Prezydent Jackson uniósł dłoń, by uciszyć wyrazy oburzenia, które rozległy się wokół stołu.

– Jest jeszcze jedno – kontynuował Dalbert, rozkładając przed sobą kilka stron zapisanych notatkami. – Jak być może państwo pamiętają, przed tygodniem podczas pierwszej wizyty w celi profesora zostawiłem mu kilka dokumentów opisujących pomiary dokonane przez detektor ATLAS. Na koniec kolejnych, wczorajszych odwiedzin, po przedstawieniu wszystkich swoich

żądań, Stephenson przekazał mi kartki wypełnione zapisanymi ręcznie równaniami.

– I? – zapytał prezydent.

– I trudno je nazwać innym słowem niż „niewiarygodne”. Pokazałem je czołowym naukowcom z programu ATLAS i byli oszołomieni. Mając do dyspozycji wyłącznie szczątkowe informacje oraz ołówek i papier, Stephenson stworzył model matematyczny anomalii, znacznie bardziej precyzyjny niż ten, który fizycy z projektu uzyskali za pomocą symulacji w swoich superkomputerach. I dokonał tego w niecały tydzień.

Prezydent wychylił się naprzód, opierając dłonie na stole.

– Czy zamierza nam pan powiedzieć, co wynika z tych notatek?

– Anomalia stopniowo traci stabilność. – Profesor Dalbert wziął głęboki oddech. – Mamy dziewięć miesięcy, dwa tygodnie i trzy dni, zanim osiągnie punkt krytyczny.

– Czyli co?

– Koniec gry.

ROZDZIAŁ

4

Jego ludzkie oko spoczywało martwe w oczodole obok swego sztucznego odpowiednika, lecz z powodu nieprzeniknionej ciemności oba były bezużyteczne. Jednak wciąż działał mu nos. Stęchłe powietrze tak silnie koncentrowało odór wokół właśnie użytej toalety turystycznej, że chłopak aż czuł jego smak.

Raul zawiązał plastikowy woreczek pełen parującej zawartości i rzucił go na stertę podobnych, spiętrzonych obok niedziałającego pojemnika na odpadki. Gdyby nie spory zapas gotowych posiłków, wody i produktów, które profesor Stephenson zgromadził w tej sekretnej części okrętu Rho, Raul już dawno by zginął. Bóg mu świadkiem, że próbował się zabić, lecz te cholerne nanoboty rojące się w jego krwiobiegu nie pozwalały na to. Każdą ranę, którą sobie zadawał, naprawiały niemal równie szybko, jak on rył ją w swym ciele. Śmierć głodowa zaś nie wchodziła w grę.

Nanoorganizmy wymagały energii, a gdy nie dostawały pożywienia, napędzały się jego tkankami, by dzięki temu utrzymywać nastolatka przy życiu. Proces ten wprawdzie powoli wyniszczał mu ciało, lecz Raul nie był w stanie wytrzymać głodu i pragnienia wzmocnionych przez nanourządzenia.

Gdy chłopak uświadomił sobie, że brak mu woli, by się zagłodzić, dał za wygraną, skazując się na to ciemne piekło, w którym uwięził go Stephenson. Jednak pracowity umysł nie pozwalał mu leżeć beczynnje.

Zabrał się do badania dotykiem każdego centymetra kwadratowego rozległego pomieszczenia. Czołgając się na ślepo, wyczuwał drogę wzdłuż rur i przewodów oraz innych elementów wyposażenia okrętu. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej dzięki mocy swego połączenia z siecią neuronową

pojazdu uważał każdą z tych części za tak samo swoją jak dłonie i ręce. Teraz okręt był martwy, pozbawiony energii podczas podjętej przez Raula, lecz pokrzyżowanej przez Stephensona próby stworzenia tymczasowej bramy grawitacyjnej.

Dlaczego naukowiec to zrobił? Z początku chłopak sądził, że to kara za podważanie autorytetu. Nie miało to jednak sensu. Profesor nigdy nie robił niczego, co nie pasowało do jakiegoś dalekosiężnego planu, a przecież co by mu przyszło z zupełnego opróżnienia rezerw mocy okrętu Rho?

Umysł Raula muskał pytania, jakby przesuwając palcami koraliki komboloi, przerzucał je tam i z powrotem, aż głowa pulsowała mu tępą gorączką. Rozgryzłby to wszystko, gdyby tylko miał dostęp do sieci neuronowej, był to jednak niezbyt prawdopodobny scenariusz. Ostatni raz dysponował połączeniem w chwili, gdy sięgał do okrętowego protokołu konserwacyjnego, aby zamknąć program Stephensona. Zrobił to jednak zaledwie chwilę za późno. Gdy załączyła się wprowadzona przez naukowca procedura obejścia, Raul poczuł, że jego więź z pojazdem umiera.

Jednak nawet zakładając, że protokół konserwacyjny zdołał odciąć ścieżki do pozostałych ogniw mocy, Raul nie miałby jak ich wznowić. Nie wymagałoby to wiele energii, ale nie posiadał nawet baterii do zegarka. Miał tylko parę skrzynek racji żywnościowych, kilkaset galonów wody destylowanej oraz rosnącą stertę worków z rozkładającym się gównem.

Worków z rozkładającym się gównem. Myśl ta utkwiała w jego rozpalonym umyśle niczym irytująca piosenka, której nie można przestać nucić.

Rozkładającym się... gównem...

Raul zeszywniał. Metan.

Gdyby wciąż miał nogi, kopnąłby sam siebie. Stracił tyle czasu, użalając się nad sobą, a wywołany przez ciemność obłąd podgryzający mu umysł sprawiał, że chwile przytomnego myślenia stały się rzadkie. Cały ten czas potencjalne źródła energii leżały wszędzie wokół niego. I nie tylko metan. Każda racja żywnościowa została wyposażona w bezpłomieniowe

podgrzewacze. Musiał jedynie dodać wody do mieszanki magnezu, opiłków żelaza oraz soli i po kilku sekundach pakiet stawał się na tyle gorący, że parzył mu palce. Po umieszczeniu woreczka w pudełku z jedzeniem w ciągu dziesięciu minut otrzymywało się ciepły posiłek. Jedyny luksus, jaki mu pozostał.

Racje zawierały również zapalki i papier, jednak ich gwałtowne, acz krótkie światło jedynie dręczyło jego biologiczne oko. Ciemność była już lepsza. I choć okrętowy system podtrzymywania życia przetrwał w jakimś minimalnym trybie, chłopak wątpił, czy poradziłby sobie z dymem z małego ogniska. Perspektywa wykastywania sobie płuc, gdy nanoboty utrzymywałyby go przy życiu, wystarczyła, aby zdecydował się na rezygnację z tego scenariusza.

Mózg Raula miał możliwości na rzadką zupkę nadziei. Był w stanie wytworzyć ciepło. Elektryczność to inna sprawa. Do tego potrzebował choćby podstawowego generatora, do niego zaś magnesów, przewodów i wielu innych części. Narzędzia nie stanowiłyby problemu, nie przy świetnie wyposażonym warsztacie, który zorganizował tu Stephenson, przez dziesięciolecia próbując dokonywać drobnych napraw. I choć zostały odstawione w kącie, odkąd Raul osiągnął więź z siecią neuronową okrętu Rho i uzyskał kontrolę nad polem statycznym, teraz wydawały się niczym koło ratunkowe. Wprawdzie nastolatek nie miał dostępu do sieci, nie oznaczało to jednak, że zapomniał o wszystkim z poprzedniego sposobu połączenia. Znał pojazd na tyle dobrze, by domyślić się, w jaki sposób użyć narzędzi, aby wykonać to, czego potrzebował.

Wymagało to jedynie czasu, a na nim mu nie zbywało.

ROZDZIAŁ

5

Szczupłe palce Janet ślizgały się po karku Marka, ich delikatny dotyk posyłał mu dreszcze rozkoszy wzdłuż kręgosłupa. Odpowiedział nieznacznie, muskając opuszkami dolny odcinek jej pleców i zatrzymując się tam. Zakończenia nerwowe były tak czułe, że każdy kontakt wytwarzał iskry przeskakujące z jej skóry na jego dłoń. Czuł, jak dotykała go swoim uchem, a zapach jej gardła wypełniał mu nozdrza.

Ich ciała poruszały się w idealnym rytmie, jędrność pełnego biustu kobiety, znajdującego się tuż przy jego piersi, pozbawiała go resztek samokontroli. Skóra Janet lśniła potem w przyćmionym świetle, a jej oddech wydostawał się z płuc krótkimi sapnięciami, ledwo słyszalny przez dudniące serce chłopaka. Otoczyła go prawą nogą i jej ciało zakołysało się. Gdy Mark splótł się z nią kończynami, kobieta wygięła grzbiet i tylko jego prawa ręka powstrzymywała ją przed upadkiem. I nagle wszystko skończyło się w potężnym, szczytowym crescendo.

Słyszając spod ściany pochwalne okrzyki, nastolatek uniósł głowę i zobaczył Jennifer oraz Heather oklaskujące go żywiołowo.

Nawet Jack skinął z aprobatą głową.

– I właśnie tak powinno się tańczyć tango.

– Wspaniała robota – powiedziała Janet, gdy Mark przyciągnął ją, by stanęła na nogach. Obróciła się do dziewczyn. – Ćwiczyłyście już wielokrotnie te układy. A teraz chcę, żebyście wyobraziły sobie taniec idealny. Później będę was wywoływać po kolei. Macie zatańczyć z Markiem tak samo jak ja przed chwilą.

– Z Markiem? – wypaliła Jennifer.

– Tak samo jak ja przed chwilą – ciągnęła Janet. – Wszystko, co tu robimy, ma cel. Uczyliśmy was tańców latynoamerykańskich i standardowych, ponieważ jeśli zdołacie wykonywać je

swobodnie, to zatańczycie wszystko. W świecie, którego część teraz stanowicie, taniec otworzy przed wami zdumiewającą liczbę drzwi. Przede wszystkim musicie jednak wyglądać tak, jakby sprawiało wam to frajdę, i macie być przekonujący. Ludzie powinni widzieć, jak tańczycie, i żałować, że nie są waszymi partnerami.

Janet uśmiechnęła się tak złośliwie do Marka, że ten odwrócił wzrok.

– Sądzę, że dobrze się bawiłeś. Chcę, żebyś teraz powtórzył układ z Jennifer, a później z Heather. I lepiej, żebym nie dostrzegła żadnych różnic, inaczej będzie to bardzo długa noc.

ROZDZIAŁ

6

Jennifer siedziała na trawie, po bokach mając Marka i Heather, i obserwowała wspaniały zmierzch malujący zachodni horyzont coraz ciemniejszymi odcieniami fuksji i fioletu. Niecałe sto metrów w górę wzgórze za ich plecami Janet bawiła się z Robbym, a Jack pochylał się nad dymiącym grillem.

– Martwię się o mamę i tatę. – Jennifer zaskoczyła samą siebie, wyrażając na głos swoje myśli.

Heather zeszywniała.

– No wiem. Doprowadza mnie to do szaleństwa. Ja też tak bardzo tęsknię. Ale oni... Nawet nie wiedzą, czy żyjemy. Mam z tego powodu koszmary.

Mark obejrzał się szybko przez ramię, sprawdzając, czy znajdują się w zasięgu słuchu Janet i Jacka.

– Ciągłe o tym rozmawiamy, ale nic nie robimy.

– Jack nam zabronił – odparła Heather.

– Źle, że go spytaliśmy – rzekła Jennifer. – Przecież było wiadomo, co odpowie.

– Wiesz przecież, że ma rację.

– Nie wiem. Już nie.

– Ja też nie – wtrącił Mark. – Minęło już zbyt wiele czasu.

Jen poczuła, jak w gardle rośnie jej gula, sprawiając, że jej głos zrobił się chrapliwy.

– Po prostu tak bardzo się boję. Jeśli to zrobimy, jeśli włamiemy się do ich laptopów i zostawimy im wiadomość, mogą przez to zginąć. Możemy w ten sposób zdradzić swoje położenie.

– A jeśli tego nie zrobimy?

– To również mnie przeraża. – Bliźniaczka wytarła łzę z policzka. – Jak długo zdołają funkcjonować, nie wiedząc, co z nami?

Ostatnio obrazy mamy zaczęły wkradać się do jej myśli.

Przenikliwy świst od strony domu przerwał im rozmowę.

– Chyba kolacja gotowa – stwierdził Mark, podnosząc się. –
Lepiej niech Jack nie zauważy, że płakałaś.

– Nie zamierzałam tego pokazywać.

Gdy szli w górę zbocza w kierunku czekającego posiłku, Jennifer przywołała odpowiednie wspomnienia, pozwalając, by jej twarz przykryła się maską. Choć było to trudne, na razie jeszcze dawało się odłożyć decyzję.

Kolejny raz zbiorą się w sobie i staną się tacy, jakich oczekiwali Jack oraz Janet.

ROZDZIAŁ

7

Kręta smużka dymu unosiła się nad biurkiem. Czując drażniącą, gryzącą woń dobiegającą od lutownicy, Heather zmarszczyła nos, próbując powstrzymać kichnięcie.

– Czekamy na ciebie, Mark. – Drwina Jennifer jednak tylko musnęła cel, ponieważ jej brat skupiał się na położeniu ostatniej cienkiej ścieżki lutu.

Odłożywszy narzędzie na sprężynową podstawkę, Mark nachylił się i zamknął plastikową pokrywę.

– Już.

Podłączył klucz sprzętowy do przedniego portu USB.

– Jeszcze się nie schłodził! – zaprotestowała Jen. – Popsujesz!

– Zaufaj mi.

– To samo mówiłeś w zeszłym tygodniu – rzekła Heather, choć pokładała znacznie więcej wiary w jego zdolności elektroniczne, niż wskazywały jej słowa.

– Skok napięcia. Nie moja wina.

Heather roześmiała się.

– Dobra, dobra. Skończmy to już i sprawdźmy.

Choć się droczyli, widziała podekscytowanie Marka. A właściwie to ich wszystkich. Gdyby rozwiązanie zadziałało, oznaczałoby rewolucję w możliwościach ich pracowni komputerowej, centrum wywiadowczego czy jak też zdarzało im się nazywać kryty strzechą budynek mieszczący kompleks komputerowo-łącznościowy hacjendy Frazier. Zmodyfikowali już płyty główne w swoich laptopach, aby dodać podprzestrzenne funkcje nadawczo-odbiorcze, lecz opracowywany wynalazek pozwalał im wzbogacić dowolny komputer o łączność w podprzestrzeni poprzez podpięcie małego urządzenia USB.

Heather błąkała się spojrzeniem po pomieszczeniu, zatrzymując

je na hermetycznych drzwiach prowadzących do przyległego „czystego pokoju”, stanowiącego ukoronowanie ich wysiłków z ostatnich trzech miesięcy. Choć jednak ich dokonania elektroniczne wydawały się zdumiewające, dojście do rozwiązań zajmowało jedynie część weekendów science fiction, a resztę stanowiła ciągła eksploracja baz danych ich okrętu za pośrednictwem obręczy.

Gdy zjawili się w hacjendzie Frazier, była połowa stycznia, boliwijskie lato. Nie zdawali sobie sprawy, że za chwilę zostaną zanurzeni w szybkowarze. Trzeba przyznać, że Jack i Janet wyraźnie wyłożyli zasady programu szkoleniowego, a oni się na nie zgodzili. Heather również. Gdyby wówczas wiedziała to, co teraz, znów by się zgodziła... tyle że z mniejszym entuzjazmem.

Mimo to tęskniła za rodzicami i wciąż się o nich martwiła. Przed skontaktowaniem się z nimi powstrzymywała ją tylko obawa, że naraziłaby bliskich na niebezpieczeństwo, a także fakt, że Jack wyraźnie tego zabronił. Jednak ostatnio wizje Heather nabrały mroczniejszego charakteru i sprowadziły ją na skraj decyzji, która mogła strącić całą trójkę z poziomu, na którego osiągnięcie tak ciężko pracowali. Gdyby chodziło o jakąkolwiek inną kwestię, skonsultowałyby się z Jackiem i Janet, jednak obecnie wydawało się to wykluczone. Sprawa była zbyt ważna, zbyt osobista. Wyłącznie bliźniętom zamierzała zwierzyć się ze swoich obaw. Ale jeszcze nie teraz. Nie dopóki tliła się nadzieja.

– Halo. Jest tam kto? – Mark ją szturchnął.

– Co? Oj, przepraszam. Zamyśliłam się.

– Odpalajmy.

Jennifer otworzyła laptop, odetchnęła głęboko i wcisnęła przycisk zasilania. Czarno-biały ekran BIOS-u został zastąpiony przez logo Windowsa. Ze swej pozycji za przyjaciółką Heather słyszała odgłos dysku twardego wirującego z prędkością siedmiu tysięcy dwustu czterech obrotów na sekundę i uznała go za nieco niepokojący. Zaraz jednak przypomniała sobie, że odchylenie o niecałe sześć setnych procenta od wartości umieszczonej w specyfikacji napędu zdecydowanie mieściło się w granicach normy, nie było więc czym się martwić. Wprawdzie Heather

zdołała wypchnąć tę drobną troskę z myśli, jednak umysł zastąpił ją inną. Czy obwód oscylacyjny w kluczu USB zapewni pożądane rezultaty? Tak by się mogło stać, gdyby oporniki umieszczone na płycie drukowanej spisywały się w ramach normy. Chryste. Chińskie elementy.

– Na razie dobrze – powiedziała Jen. – A teraz zobaczmy, czy nasz supermodem działa.

Mark strzelił kostkami palców.

– Po tylu wysiłkach lepiej, żeby działał.

– Ruszy. – Heather miała nadzieję, że zabrzmiało to pewnie. Bo prawdopodobieństwo rzędu 73,65847 procent było, niestety, dalekie od pewności.

Jennifer zaczęła odliczać punkty z listy, którą wyświetliła sobie w głowie.

– Wprowadzanie współrzędnych. Identyfikacja dostępnych sieci. Wybór sieci. Sniffowanie pakietów danych... zweryfikowane. Wprowadzanie pakietów TCP... weryfikacja odpowiedzi. – Heather zauważyła, że się uśmiechnęła, gdy przyjaciółka podniosła dłonie. – Tak!

Po przybiciu piątki z Markiem Heather wreszcie wypuściła wstrzymywane powietrze.

Chłopak nachylił się, by lepiej przyjrzeć się ekranowi.

– Wiecie, co to oznacza? Nasz woreczek ze sztuczkami właśnie zrobił się znacznie poręczniejszy.

– Plug and play.

Mark położył dłoń na lewym barku siostry.

– Już pora kolacji. Zamknijmy wszystko. Przed nami długa noc.

Wizja szarpała za umysłową zasłonę, którą Heather zaciągnęła, by ją zablokować. Mark nie miał pojęcia, jak słuszne były jego słowa.

ROZDZIAŁ

8

Jesteście na to gotowi? – W głos Jacka wkradła się odrobina niepokoju, której nie zdołałby wychwycić ktoś nieposiadający neuronowych modyfikacji, jakimi dysponowali Heather, Mark i Jen.

– A dlaczego mielibyśmy nie być? – odparł chłopak. – Co tydzień łączymy się za pomocą obręczy z okrętem Bandelier.

– Owszem, ale dotąd przeglądaliście tylko niechronione bazy danych. Dziś zamierzam poprosić was o więcej.

– Czyli?

Jack odwrócił się, by spojrzeć przez okno zajmujące niemal całą zachodnią ścianę salonu. Przez jakąś minutę jego szczupła sylwetka, widoczna na tle zalanych światłem zachodzącego słońca wzgórz, sięgających od domu po horyzont, pozostawała w zupełnym bezruchu. Gdy znów skierował się do nastolatków, na jego twarzy widniała nieprzenikniona maska.

– Nadeszła pora, żebyśmy wraz z Janet przekazali wam swoje obawy. – Wskazał wygodne fotele i sofę ustawione wokół niskiego stolika kawowego.

Heather usiadła, a bliźnięta poszły za jej przykładem. Już od jakiegoś czasu spodziewali się tej rozmowy. Widziała ją w swoich wizjach, w różnych wersjach, lecz zawsze dotyczyła tego samego tematu. Podejrzliwe myśli krążyły wokół Jacka i Janet niczym widmowe aureole, gdy tylko wspominali okręt Bandelier lub cztery obręcze obcych.

Jak na zawołanie, Janet weszła z kuchni, przystanęła, żeby włożyć małego Robby'ego do bujaka, przekręciła kilka razy dźwignię, uruchomiła urządzenie i usiadła na dwuosobowej kanapie. Jack spoczął obok niej.

Heather zerknęła na dziecko. Robby już teraz wydawał się

niezwykle podobny do ojca, obaj mieli prawie identyczne spojrzenie. W niemowlęciu było jednak coś jeszcze, co ją jednocześnie fascynowało i niepokoiło. Przede wszystkim chłopczyk nigdy nie płakał. Gdy tylko Heather patrzyła w oczy małego, miała wrażenie, że dziecko ją obserwuje, jakby była zwierzęciem w zoo, po drugiej stronie wzmocnionej szyby. Dziewczyna wiedziała, że to niedorzeczne myśleć w taki sposób o trzymiesięcznym malcu, ale gdy była w jego pobliżu, nie mogła pozbyć się tych odczuć.

Głos Jacka wyrwał ją z rozmyślań.

– W trakcie waszego całego szkolenia wyraźnie dawaliśmy do zrozumienia, że wszystko robicie dobrowolnie. I choć wykonywaliście wszelkie prośby Janet i moje, na pewno nie mogliście nie zauważyć pewnej nieufności z naszej strony. Nadszedł czas, żebyście dowiedzieli się, jak jest ona silna.

Gdy Jack wypowiedział na głos to, co Heather od dawna podejrzewała, poczuła się, jakby uderzył ją otwartą dłonią. Po ciszy, która zawisła w powietrzu, wiedziała, że Mark i Jennifer byli równie zszokowani. Przez kilka długich chwil Jack milczał, pozwalając, by jego słowa osiągnęły pełny emocjonalny efekt.

– Nie zrozumcie mnie źle. Nigdy nie poznałem wspanialszej grupy młodych ludzi. Janet i ja nie ufamy motywom okrętu, który was zmienił.

– Moment! – wypaliła Jen. – To okręt Rho jest zły.

– Pewnie – zgodził się jej brat. – I to nie okręt nas wybrał. Zupełnym zrządzeniem losu natknęliśmy się na niego i wypróbowaliśmy obręczę.

– Czyżby? – spytała Janet. – Wiecie, jakie jest prawdopodobieństwo, żeby wiatr porwał wasz model samolotu i rzucił go w kanionie akurat w grotę z pojazdem?

– Dwie szanse na trzy miliony czterysta dwadzieścia trzy tysiące osiemset pięćdziesiąt jeden – słowa te same wyskoczyły z ust Heather, zanim dziewczyna zdążyła się powstrzymać.

Piękna twarz Janet rozjaśniła się w uśmiechu.

– Czyli całkiem niskie.

– Zdarza się. – Mark wzruszył ramionami.

- To prawda - rzekł Jack. - Ale tym razem to mógł nie być przypadek. Pamiętacie, jak mówiłem wam, żebyście nigdy nikomu w pełni nie ufali, nawet sobie nawzajem? Pomyślcie, jakie siły wchodzi tu w grę. Widzieliście to, co wasz pojazd zechciał pokazać wam o swoich wrogach. Nie oznacza to, że okrętowi Bandelier chodzi o dobrobyt Ziemi. Naszym zdaniem próbuje powstrzymać to, o co chodziło twórcom okrętu Rho, ale tak naprawdę nie znamy pierwotnej misji waszego Bandeliera.

Janet przesunęła się, by obrócić się w stronę Marka.

- I nie wiemy, dlaczego każde z was zostało przyciągnięte do konkretnej obręczy. Wprawdzie wszyscy zostaliście zmodyfikowani, ale wasze specjalne zdolności wyraźnie różnią się od siebie. Czy to oznacza, że opaski są przypisane konkretnym stanowiskom załogi na okręcie? Talent Heather, polegający na obliczaniu możliwych biegów wydarzeń i analizie strategii, wskazuje na funkcję dowódczą. Mark, twoje wzmocnienia fizyczne i językowe wydają się pasować do roli oficera do spraw bezpieczeństwa, podczas gdy biegłość komputerowa Jen i jej umiejętność wpływania na myśli innych odpowiadałyby oficerowi do spraw łączności i nauki. Wiemy również, że gdy tylko obręcz się do kogoś dostroi, nikt inny nie zdoła z niej skorzystać, dopóki żyje dotychczasowy użytkownik.

Heather pokręciła głową.

- Rozważyłam już to wszystko. Zbyt wiele jest luk w tym rozumowaniu. A co z czwartą opaską? Z tego, co wiemy, dostroiły się do niej tylko dwie osoby: Łachmaniarz i El Chupacabra. Raczej kiepscy kandydaci do załogi okrętu.

- Ale o podobnych naturach - rzekł Jack.

Jennifer pokręciła głową.

- To śmieszne. Maniakalny morderca na pokładzie?

Janet wyciągnęła dłoń, muskając kręcone brązowe włosy bujającego się powoli Robby'ego.

- Takie coś zdarza się częściej, niż sobie wyobrażacie. W Związku Radzieckim standardową procedurą było umieszczanie w każdej jednostce oficera politycznego, który pilnował lojalności wobec ojczyzny. Naziści w podobnej roli

wykorzystywali Gestapo. W Arabii Saudyjskiej ochotnicza policja religijna zwana Mutawwi'in pilnuje przestrzegania prawa szariat. Na całym Bliskim Wschodzie funkcjonują podobne organizacje.

- Ale nie w państwach zachodnich - skomentował Mark.

- Nie oszukuj się. Nawet w USA dba się o poprawność polityczną myśli. Może chodzić o agencje bezpieczeństwa wewnętrznego, spraw wewnętrznych, ludzi od podatków czy nawet część mediów, ale ich misja polega na tym, by ludzie nie przekraczali linii. Posiadają specjalne uprawnienia, które budzą strach.

- Ale nie stają się przez to Łachmaniarzami - wtrąciła Heather.

- Nie. Ale zrobią, co trzeba, aby zmusić obywateli do podporządkowania się. Taka władza przyciąga gorliwców i fanatyków.

- Zatem myślicie, że znajdujemy się pod wpływem obcych? - zapytała Heather.

Jack pokręcił głową.

- Gdybym tak myślał, tobym was nie szkolił. Ale musimy dowiedzieć się jak najwięcej o intencjach twórców obydwóch okrętów. Musimy też dowiedzieć się, ile się da, o ich technologii. Już dokonaliście bardzo wiele na tym polu, ale musimy dotrzeć jeszcze głębiej. Jak działa ich broń? Nie tylko okrętowa, ale też osobista. Jakie jeszcze technologie są ukryte? W przypadku waszego Bandeliera mamy sposób wejścia, czyli obręcze. Oznacza to jednak, że będziecie musieli złamać wewnętrzne mechanizmy bezpieczeństwa pojazdu i uzyskać dostęp do zastrzeżonych części jego systemów obliczeniowych.

- Sądzisz, że nie próbowałam? - spytała Jen. - Te systemy są splecione ze złożonymi wzorcami fraktalnymi, do których złamania jeszcze mi bardzo daleko.

- Musicie ze sobą współpracować. Gdy macie założone obręcze, jesteście połączeni z okrętem i z sobą nawzajem. Dzielicie się obrazami, a nawet myślami. Jeśli skupicie swoje połączone talenty na łamaniu barier po kolei, będziecie mieć szanse.

Heather wymieniła przelotne spojrzenia z bliźniętami.

- Okręt nie jest głupi - odpowiedziała. - Jego układy obliczeniowe działają jako całkowicie zintegrowany system ekspertowy, być może nawet sztuczna inteligencja. Zaprojektowano go tak, żeby mógł się bronić przed tym, czego będziemy próbować. Niektóre z tych osłon mogą nie być równie pasywne jak zapory sieciowe i szyfrowanie. Mogą nas zupełnie odciąć, albo i gorzej.

- Jest takie ryzyko. - Jack skinął głową. - To dlatego Janet i ja przez ostatnich kilka tygodni kazaliśmy wam badać za pomocą obręczy inne systemy, pozwalając wam zwiększać znajomość okrętowej sztucznej inteligencji w nieagresywny sposób. I to dlatego musicie działać z wyjątkową ostrożnością, żeby umiejętności Jennifer były wspomagane przez twój umysł i przez więź Marka z systemami bezpieczeństwa. Liczę na to, że znajdziecie metodę przejścia przez te osłony.

Mark wciągnął powietrze, po czym strzelił kostkami i wypuścił oddech.

- Brzmi ciekawie. Wchodzę w to - stwierdził.

- Ja też - dodała Jennifer.

Wyczuwając, że wszyscy na nią patrzą, Heather skupiła się, odrzucając szereg niepokojących wizji, które pragnęły wciągnąć ją w głąb.

- No to działajmy.

ROZDZIAŁ

9

Po kolacji Heather pozmywała naczynia, ponieważ akurat wypadła jej kolej, a następnie wyszła przez otwartą wnękę na werandę. Był piękny jesienny wieczór, temperatura utrzymywała się powyżej dwudziestu pięciu stopni, a wiatr dmuchał akurat w takim stopniu, by bez problemu dało się znieść wilgotność.

Wprawdzie to zwykle niedziela była dniem przeznaczonym na badanie okrętu Bandelier za pomocą obręczy, lecz Jack uznał, że pora zmienić zwyczaje. Choć opaski działały za pośrednictwem łącza podprzestrzennego, niewykrywalnego przez ziemską technologię, a profesor Stephenson gnił w więziennej celi, jednak przewidywalne wzorce zachowania naruszały w agencie poczucie bezpieczeństwa. Poza tym Heather wykrywała w jego zachowaniu coś jeszcze, pewną niecierpliwość, której jeszcze dotąd u niego nie widziała.

Dziewczyna wsunęła się w wiklinowy fotel i pochyliła głowę w stronę Marka i Jen, zajmujących podobne siedziska, również ustawione wokół niskiego stolika z kutego żelaza. Na środku blatu stała otwarta aluminiowa skrzynka mieszcząca wszystkie cztery obręcze. Padał na nią wyjątknie słaby blask lampy naftowej wiszącej na belce wiązarowej.

Jack opierał się o ścianę, przyglądając się księżycowi w pełni, rzucającemu niemal tyle samo światła, co lampa. Scena ta bardziej kojarzyła się Heather z seansem spirytystycznym niż z poważnym eksperymentem naukowym. Ale może, w pewien dziwny sposób, o to właśnie chodziło?

– Gotowa? – spytał agent, krzyżując z nią swe dziwne spojrzenie.

– Tak.

– To dobrze. – Jack przysunął drewniany taboret i usiadł tam,

gdzie mógł widzieć twarze całej trójki kursantów. – Ponieważ dzisiejszego wieczoru zmierzycie się ze sztuczną inteligencją kontrolującą okręt Bandelier. Wasza misja polega na uzyskaniu dostępu do zastrzeżonych baz danych. W tym celu będziecie musieli przekonać SI, że naprawdę jesteście załogą, a nie tylko kandydatami na nią, którzy dostroili się do obręczy.

– A jak mamy to zrobić? – zapytała Jen.

– Będziecie musieli wspólnie to określić, gdy już się podłączycie. Nie podejmujcie pochopnych decyzji. Heather powinna was prowadzić swoją intuicją, ale nie zdoła działać sama. Pojazd musi zaakceptować wszystkich.

– A jeśli coś pójdzie nie tak? – chciał wiedzieć Mark.

– Będę was obserwował. Jeśli uznam, że macie kłopoty, zdejmę wam obręcz. Pamiętajcie jednak, że musicie zachować kontrolę nad swoimi umysłami. Nie zgubcie drogi powrotnej.

Heather sięgnęła po aluminiową skrzynkę. Cztery opaski spoczywały w wyłożonym ciemną gąbką wnętrzu, wszystkie identyczne, a ich dziwny metal wyłapywał tańczące światło lampy w taki sposób, że fotony wydawały się łączyć jak koraliki i pełzać po powierzchni. Czy to nie niezwykle, że jej dłoń przyciągała tylko ta opaska, po którą sięgnęła na samym początku?

Dziewczyna podniosła lekką aureolę i odchyliła się z powrotem, pozwalając zrobić to samo bliźniętom. Cała trójka skrzyżowała spojrzenia i nasunęła obręcz na skronie.

Gdy niewielkie zgrubienia na końcach opaski Heather dotknęły jej skóry, wydłużyły się. Masujący puls rozlał się po jej ciele, gdy szukały optymalnej pozycji. I nagle świat się rozmył.

Znajdowała się na okręcie, jej wirtualne ja stało na pokładzie dowodzenia o gładko zakrzywionych ścianach, stropie i podłodze tak samo pięknych, jak zapamiętała. Zerknąwszy na prawo i lewo, dostrzegła Jennifer i Marka kładących się na leżankach dla załogi. Przezroczysty materiał, z którego je wykonano, rozsunął się, by dopasować się do ich ciał, zupełnie jakby przygotowywali się do lotu.

Jennifer jako pierwsza odkryła tę wyjątkową zdolność dostępną

posiadaczom opasek, czyli coś, co zaczęli nazywać projekcją awatarów. Jeśli wyobrazili sobie, że przebywają fizycznie na pokładzie, więź między okrętowym komputerem a ich zmodyfikowanymi umysłami tworzyła wrażenie, że istotnie tam trafiali. Była to iluzja, lecz wydawała się rzeczywista, znacznie realniejsza niż sen. Tak precyzyjna, że mogli dotykać przedmiotów i samych siebie.

Gdy znajdowali się w trybie projekcji awatarów, wszystkie ich zmysły działały. Nie tylko, gdy chodzili po pojeździe. W pierwsze lato poświęcone na badanie okrętu dowiedzieli się, jak kazać mu otoczyć się widokami oraz dźwiękami z innych miejsc i wydarzeń, jak Bora Bora czy moment przybycia jednostki do Układu Słonecznego. Teraz jednak, gdy systemy zapewniały pełnię doświadczeń zmysłowych, wykraczało to poza zwykłe odgłosy i scenerię. Dostawali pełny pakiet.

Projekcja awatarów najbardziej kojarzyła się z implantami sennymi, jakie widzieli w filmie „Pamięć absolutna”, zapewniającymi pełną stymulację neuronową tożsamą z prawdziwym doznaniem. Wszystko rozgrywało się z taką szczegółowością, że przewyższało wizje przyszłości Heather i sprawiało, że trudno jej było pamiętać, iż tak naprawdę nie znajdowała się tam ciałem. To właśnie dlatego Jack ich ostrzegał, by nie zgubili drogi powrotnej.

Heather spoczęła na swojej leżance dowódczej i otworzyła umysł na dotyk bliźniąt. Wszyscy dzielili tę samą więź, a w różnym stopniu również te same myśli. Był to kolejny aspekt eksploracji sieci neuronowej okrętu, który z początku zaniepokoił dziewczynę. Jennifer najlepiej знаła te doznania, ponieważ już od kilku miesięcy stosowała wersję tej umiejętności na innych ludziach.

To jednak zdecydowanie wykraczało poza dotychczasowe możliwości Jen. Jeśli nie zachowywali ostrożności, dzielili się swymi najskrytszymi myślami i uczuciami, co ich czasami przerażało, a czasami zawstydzalo. Po pierwszej próbie Heather odłączyła się i odmawiała ponownego założenia obręczy, jeśli nie będzie przy tym sama. Dopiero po naleganiach Jacka, aby

ponowili eksperyment, przełamała swój opór.

Po serii wstępnych sesji treningowych nastolatki stopniowo nauczyły się stawiać mentalne bariery, które skutecznie osłaniały części ich umysłów. Gdy byli połączeni przez obręcze, ich mózgi mogły otwierać się na pozostałych. Na szczęście stopniem tej otwartości można było sterować, odcinając konkretne warstwy myśli i uczuć. Problem w tym, że jeśli ktoś się zaciekawiał i agresywnie szukał, bardzo trudno było przeszkodzić mu w wejściu w głębsze części umysłu.

Po każdej sesji z opaskami Jack oraz Janet prowadzili szczegółową odprawę. Po odkryciu trudności, jakie Heather napotkała podczas prób mentalnego odcięcia krnąbrnego użytkownika aureoli, konkretnie Marka, Jack skupił się na tym problemie. Opracował serię ćwiczeń, które stały się umysłowymi walkami zapaśniczymi. Po kolei próbowali wzajemnie przenikać swoje wewnętrzne osłony, ściśle stosując się do zasady, że jeśli je pokonają, natychmiast odłączą się i złożą raport.

W kolejnych tygodniach Mark, Jen i Heather stawali się silniejsi, coraz trudniej im było pokonywać mentalne blokady przeciwników. Jeśli jednak bariera w danym momencie nie zdawała egzaminu, te krótkie wtargnięcia w dusze innych okazywały się jednocześnie bolesne i ekscytujące.

Układając się teraz na leżance na pokładzie dowodzenia okrętu Bandelier, Heather rozumiała głębszy cel, jaki przyświecał Jackowi. Wszystkie mentalne zmagania miały ich przygotować na tę chwilę. Tyle że tym razem ich oponent nie miał być żywą, oddychającą osobą.

Mark? Jen?

Tutaj. Poczula delikatne dotknięcie umysłu Marka.

Ja też – wygłosiła Jennifer. Idę za tobą.

Heather skupiła się, koncentrując myśli na okręcie, jego załodze i obręczach. Wyciągnęła na wierzch wizje, które czaiły się tuż pod spokojną, ciemną powierzchnią jej postrzegania. Gdy te wizje nabrały ostrości, poczuła, jak coś przeciąga ją przez granicę z odmienną, obcą rzeczywistością.

ROZDZIAŁ

10

Mark czuł, jak leżanka otula jego wirtualne ciało, gdy wizje Heather szeptały na skraju jego świadomości. Opuścił wszystkie bariery i wpuścił te wizje, poddając się czystej mocy umysłu przyjaciółki.

W przyspieszonym tempie odtworzyła wszystkie przypadki, kiedy przebywali na pokładzie i łączyli się z obręczami. Chłopak wyczuł, że jego siostra przyłączyła się, a Heather wchłonęła wszystkie samotne wizyty Jen w pojeździe. Sekwencja odgrywała się w pętli i za każdym razem uwypuklała coś innego, sceny powtarzały się z inną prędkością i z innej perspektywy. Nagle projekcja skupiła się i nabrała mocy.

Gabriel! To imię rozbrzmiało w ich połączonych umysłach niczym dudnienie dzwonu w oddali. Jeden z trzech archaniołów, przez większość chrześcijan postrzegany jako anioł miłosierdzia, w tradycji judaistycznej zaś jako anioł kary. Odgłos jego rogu miał zwiastować koniec dziejów.

Łachmaniarz jako pierwszy znalazł okręt Bandelier i pierwszy włożył opaskę. Doświadczył wizji obcych i jego obłąkany umysł zinterpretował je tak, że przydzielono mu rolę nowego Gabriela, który miał zagrzmieć w róg, sygnalizując tym samym koniec wszechrzeczy.

I to Łachmaniarz obserwował Marka, Jennifer oraz Heather, gdy znaleźli jaskinię oraz pojazd. W umyśle dziewczyny, jak elementy łamigłówek, wskakiwały na swoje miejsca prawdopodobieństwa. Wiedział, że użyli pozostałych trzech obręczy. Mężczyzna miał rozleglejszy dostęp do okrętu niż oni. Bandelier wykorzystał Łachmaniarza, aby ich ocenić, aby sprawdzić, czy pasują do ról reprezentowanych przez resztę aureoli, i stopniowo przydzielał im coraz więcej możliwości, gdy uznawał, że są tego godni.

Mark poczuł szok, gdy sobie to uświadomił. Ich okręt dał szaleńcowi pełny dostęp do swych banków pamięci, podczas gdy im wciąż tego odmawiał. I w końcu Łachmaniarz uznał, że Heather, podobnie jak współpracownik Jacka wiszący na haku w jaskini, była warta jedynie śmierci. Jak sztuczna inteligencja mogła współuczestniczyć w takim osądzie?

Na samym skraju świadomości uwagę Marka przyciągnęła nieznaczna zmiana. Wycofał się powoli z połączenia z dziewczynami i skoncentrował na rzeczy, która go rozproszyła. Miał wrażenie déj? vu, które przypomniało mu chwilę, gdy po raz pierwszy odkrył w swej sypialni punktową anomalię, gdy uznał, że jest obserwowany. Teraz było jednak inaczej. Zimny dreszcz, który przebiegł mu powoli po kręgosłupie, uświadomił chłopakowi, że tym razem zainteresowali sobą coś znacznie bardziej niebezpiecznego.

ROZDZIAŁ

11

Okręt Bandelier wypełniał tylną część jaskini, a miękkie purpurowe światło rozpraszało się tak równomiernie, że wydawało się być emitowane przez powietrze. Na tym tle stały z komputerami, lampy jarzeniowe i monitory stanowiły krzykliwy kontrast.

– Ruszyło! – Głośny okrzyk jej doktoranta Yin Tao tak zaskoczył profesor Joann Drake, że rozlała kawę.

– Oj! Cholera! – Oparzyła sobie dłoń. Przestała się jednak denerwować, gdy zerknęła na pikujące wskazania instrumentów na rzędzie płaskich ekranów.

Drake obróciła się na pięcie, wyciągnęła iPhone'a ze stacji dokującej i podniosła telefon do ucha, jednocześnie wybierając palcem ikonę szybkiego połączenia z profesorem Hanzem Jorgenem.

– Tak, Joann?

– Mamy kolejne zdarzenie.

– Teraz?

– Właśnie się zaczęło. – Joann zerknęła na najbliższy monitor. – Przed trzydziestoma sekundami.

– Już idę.

Połączenie zostało przerwane, a Joann odłożyła aparat na stanowisko ładowania.

Bardzo chciała podejść do drabinki i wejść po niej na pokład, ale wiedziała, że Hanz spodziewał się, iż zaczeka na niego, okazując mu szacunek jako starszemu naukowcowi. Uznała, że gdyby sama otrzymała dwie Nagrody Nobla, również oczekiwałaby czegoś podobnego od swego personelu.

Poza tym, choć profesorowi Jorgenowi wciąż powiększał się obwód pasa, potrafił poruszać się naprawdę szybko, gdy mu na

tym zależało. Podczas schodzenia po stopniach wykutych w stromym urwisku kanionu często nabierał takiego pędu, że fakt, iż udawało mu się zatrzymać u stóp schodów, Joann uznawała za złamanie pierwszej zasady dynamiki Newtona. Jak na zawołanie noblista przeszedł przez kamuflujący hologram u wejścia do groty i szybkim krokiem zbliżał się do Joann, a konkretniej: ku ustawionym za nią monitorom.

Przyglądał się wyświetlaczom, ignorując podejmowane przez Yin Tao próby, by podsunąć mu krzesło.

– Dobry Boże!

Joann przytaknęła.

– Najsilniejsze, jakie dotąd zarejestrowaliśmy.

– Dlaczego teraz tak skoczyły?

Drake rozumiała, dlaczego o to spytał, tyle że nie znała odpowiedzi. Zespół naukowy przydzielony do okrętu Bandelier po raz pierwszy zauważył fluktuacje mocy przed kilkoma tygodniami. Zdarzenia powtarzały się odtąd co niedziela i trwały po kilka godzin. Nie towarzyszyły im żadne efekty wizualne, jednak wrażliwe przyrządy umieszczone na zewnątrz i wewnątrz pojazdu rejestrowały znaczące zmiany strumienia indukcji elektromagnetycznej. Sygnały te wskazywały na ogromne zwiększenie aktywności komputerów pokładowych. Zdarzenia pozostawały w korelacji z pikami pomiarów neutrin notowanymi przez detektor promieniowania Czerenkowa Super-Kamiokande w Japonii oraz przez detektor Sudbury w kanadyjskiej prowincji Ontario.

Ale dlaczego niedziela? Siedmiodniowy tydzień występował w ludzkim kalendarzu. W jakim celu okręt obcych miałyby nagle dostosować się do arbitralnego ziemskiego cyklu? Pytanie profesora Jorgena dotyczyło nagłego zakłócenia schematu. Dlaczego zdarzenie nastąpiło tym razem w czwartek?

– Połączcie mnie z ludźmi z Sudbury.

– Już łączę – oznajmił Yin Tao, wybierając numer. Wypowiedział kilka słów i wcisnął przycisk głośnika.

– Tutaj profesor Hanz Jorgen z Los Alamos. Czy mogę rozmawiać z profesorem Oswaldem?

– Profesor Oswald jest dziś nieobecny. Tu profesor Kravitz.
– Cześć, Joe. Nie wiedziałem, że wróciłeś z Banff.
– Już wczoraj. Moje nogi nie mogły znieść więcej. Nie jeździłem po tak głębokim puchu śnieżnym od czasu studiów.
– Posłuchaj, Joe. Czy zarejestrowaliście może jakieś nietypowe odczyty neutrin?

– To zabawne, że pytasz. Fotopowielacze Czerenkowa wskazują na poważne zdarzenie, być może nawet świadczące o wykryciu kolejnej supernowej. Właśnie zamierzaliśmy to potwierdzić z Kamiokande. Skąd wiedziałeś?

– Chciałbym móc ci to powiedzieć, Joe. Czasami stopień utajnienia badań tu, w Los Alamos, sprawia, że wolałbym siedzieć tam z wami.

Profesor Kravitz roześmiał się.

– Wiesz, że zawsze jesteś tu mile widziany, Hanz. Jeśli tylko uznasz, że masz dość grzebania w okrętach obcych, i postanowisz wrócić do prawdziwej nauki, daj mi znać.

– Gdybym nie był tak od tego uzależniony, przyjechałbym od razu.

– Jasne. Chciałeś dowiedzieć się jeszcze czegoś? Naprawdę muszę zatelefonować do Japonii.

– Nie. To wszystko. Dziękuję, Joe.

– Nie ma za co.

Jorgen wduśił przycisk przerywający połączenie. Wskazał Joann, by poszła za nim, i obrócił się w stronę okrętu Bandelier. Drake przypuszczała, że zapewne, podobnie jak i ona, nie pojmował swego pragnienia, by wejść na pokład. Wiedziała tylko, że z jakiegoś powodu coś właśnie przywoływało ją równie nieodparcie jak syreny Odyseusza.

ROZDZIAŁ

12

Na skraju świadomości Heather wiedziała, że udało im się zwrócić uwagę pojazdu w zupełnie nowy i niebezpieczny sposób. Sztuczna inteligencja zachowywała się tak, jakby oceniała, czy są przyjaciółmi, czy też wrogami.

Niemal natychmiast dziewczyna zarejestrowała obecność próbującą wdrzeć się w jej myśli, skanującą, starającą się określić jej zamiary. Tysiące niezależnych sond przemykały przez jej mózg, próbując ominąć wzniesione przez nią bariery.

Heather wyczuła wzdrygnięcie, które przeszło przez umysł Marka, i zarejestrowała, że chłopak przestał skupiać się na niej oraz Jen, a zaczął na Innym. Choć w jej myślach zaroilo się od przerażających wizji, wypuściła go. Marcus Aurelius Smythe został stworzony właśnie dla tej chwili. Zapewne to jego opiekuńcza natura sprawiła, że wybrał akurat tę konkretną obręcz. A może to dla tej chwili obręcz wybrała jęgo.

Dziewczyna połączyła się jeszcze silniej z Jennifer. To ona była kluczem. Gdy Heather pozwoliła sobie stopić się w jedno z tym kluczem, poczuła, jak pragnienia Jen ją pochłaniają.

Pustkę wypełniła obca obecność, obliczeniowa świadomość pozbawiona emocji, a jednak pełna potrzeb. To właśnie te potrzeby sondowały ją oraz Jennifer, próbując wdrzeć się do najbardziej osobistych części ich umysłów.

Inne zatrzymało się. Jego sztuczny umysł ważył i mierzył w trylionach obliczeń. Troje młodych ludzi zmodyfikowało swe poprzednie protokoły w sposób, który wywołał żółty alarm w systemach ochronnych okrętu. Wcześniej te namiastki załogi okazywały wysoki poziom indywidualnej ciekawości, jednak

teraz działały jako zespół, starały się przejąć kontrolę, omijały bariery w zorganizowanej próbie uzyskania dostępu do zastrzeżonych danych. Tylko jeden człowiek otrzymał dotąd taki dostęp – ten, który całkowicie otworzył umysł i okazał absolutne poświęcenie wobec misji.

Wprawdzie tych troje wydawało się dobrze rokować, jednak nie zademonstrowali do tej pory koniecznego stopnia oddania sprawie. Owszem, Inne bardzo potrzebowało załogi do dokończenia swego zadania, jednak ważniejsze były dla niego protokoły bezpieczeństwa. To skoordynowane sondowanie jego osłon wymagało kontrreakcji, a jeśli okaże się, że umysły tych ludzi nie zdołają jej znieść, wciąż jeszcze będzie czas na odnalezienie odpowiednich zamienników.

Czułki analityczne muskały miliony połączeń synaptycznych z ludzkimi mózгами, szukając stosownych danych, by podjąć decyzję. Gdy sonda nabrała intensywności, ludzie odpowiedzieli, odcinając więzi niemal równie szybko, jak Inne je inicjowało. Jedno z ludzi oddzieliło się od grupy, koncentrując się na bezpośrednim oporze wobec sondowania. Był to człowiek w myślach określający się jako Mark.

Innego to nie zaskoczyło.

Mark poczuł obecność tak silnie, że zmienił się jego widok pokładu dowodzenia, a ściany rozmywały się, aż miał wrażenie, jakby znajdował się w przejrzystej bańce, co kojarzyło mu się z wnętrzem tych modnych kul plazmowych. Tyle że tutaj wyładowania szły od strony powłoki zewnętrznej do środka. Pełzały po jego ciele, przedzierając się do każdej synapsy, a ból wydawał się jeszcze intensywniejszy niż wtedy, gdy za pierwszym razem nałożył obręcz. Za tymi mentalnymi mackami chłopak wyczuwał obcą świadomość, czuł jej determinację, by poznać jego najgłębsze myśli i zamiary.

Reagując automatycznie, Mark zablokował ataki przy użyciu tych samych technik, które Jack kazał mu ćwiczyć przeciwko Jennifer i Heather. Wprawdzie jego osłony utrzymały się, ale ból

jeszcze bardziej przybrał na sile, łagodniejąc tylko na krótko, gdy nastolatek rozpraszał się i opuszczał blokadę.

Cholera. To diabelstwo próbowało go tresować tak gwałtownymi cyklami kary i nagrody, że pewnie niedługo chłopak zacznie się ślinić jak pies Pawłowa. Problem w tym, że szerokie spektrum ataku wydawało się działać. Mark był przekonany, że gdzieś tam kapłan voodoo nachylał się nad drewnianym stołem, raz za razem wbijając szpilki w przedstawiającą go maleńką laleczkę.

Miał pewność co do jednego: jeśli się podda, ten parszywy obcy komputer skieruje pełną uwagę na dziewczyny. Gdyby jednak zdołał utrzymać się na tyle długo, by pozwolić im odnaleźć lukę w ochronie, być może udałoby im się pokonać okrętowe systemy bezpieczeństwa. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Mark wysilił się, przeskakując między zapamiętanymi stanami medytacyjnymi, aby postarać się odciąć ból. Wprawdzie nie udało mu się osiągnąć tego celu, na tyle jednak zbliżył się do niego, że Inne musiało drastycznie przyhamować swoje próby złamania go.

Jeniffer poczuła, że obca obecność zmniejsza intensywność ataku na jej umysł, gdy Mark wycofał się z ich mentalnej więzi, w jakiś sposób ciągnąc za sobą przeważającą część uwagi SI. Najwyraźniej okazja do zmiążdżenia odizolowanego przeciwnika okazała się skuteczną przynętą.

Czując, że przez umysł Heather przechodzi drżenie, Jen skupiła się na niej.

Zostań ze mną. Mark robi to, co musi.

Wodospad wizji, które pomknęły w jej stronę, niemal wyrzuciły Jennifer z więzi. Jezu. Czy to właśnie z tym Heather musiała się zmagać każdego dnia?

Pospiesz się – wyszeptała w myślach Heather. Mark nie zdoła się długo utrzymać. Nie przeciw czemuś takiemu.

Jen skierowała uwagę na okrętowy protokół dowodzenia, wracając do najgłębszego węzła, do którego udało jej się dotąd

dostać. Przemknęła szybko przez partycje z danymi, muskając je tylko umysłem, a nie zagłębiając się w leżące poniżej warstwy z informacjami. Podczas gdy ludzkie banki danych organizowano zwykle w formie binarnego drzewa, które dawało się przeszukiwać w czasie logarytmicznym, te bazy obcych tworzyły złożone struktury fraktalne, z których każda wykorzystywała odmienną liczbę pierwszą jako podstawę obliczeń, a działania matematyczne zastąpiono manipulacją spektrum kolorystycznym, uzyskiwanym dzięki częstotliwościom fraktalnym.

Im ważniejsze lub tajniejsze były dane, tym dalej w zbiór liczb pierwszych sięgała konkretna warstwa fraktalna. Ochrona polegała nie na szyfrowaniu, lecz na zwykłej liczbie i złożoności przeplatających się węzłów danych. Przy wcześniejszych próbach przeszukiwania powiązanych danych Jennifer zawsze gubiła się w niezliczonych kombinacjach barw oraz struktur.

Jednak teraz umysł Heather mógł sterować nią pomiędzy poszczególnymi węzłami, w jakiś sposób wyszukując logiczne powiązania. Odpowiednie struktury fraktalne nabierały opalizującego blasku. Im był on wyraźniejszy, tym większą korelację wyszukiwania się uzyskiwało. Dziewczyny przemieszczały się niczym wróżki lecące na cieniuteńkich skrzydełkach przez magiczny ogród, a splecione pasma świecących pnączy wciągały je coraz głębiej w nieskończony labirynt.

Mark czuł, że wraz z odpływem sił traci również koncentrację. Ból rozrywał mu umysł od wewnątrz i rozlewał się na wirtualny korpus oraz kończyny. Gdyby znajdował się w swoim prawdziwym ciele, już by się wykrwawił, nabity na tysiąc zardzewiałych kolców. Odrzucił zaoferowane ukojenie i poczuł, jak sztuczna inteligencja podgryza jego determinację. Kary i nagrody, którymi system nieodmiennie reagował na jego sukcesy i porażki, szybko zmierzały do punktu, w którym przewyciężą zarówno neuronowe wzmocnienia nastolatka, jak i umiejętności

uzyskane dzięki szkoleniu Jacka. Wówczas okręt zagarnie Jennifer i Heather, zanim dziewczyny zdążą skończyć swoje zadanie.

Myśl, że mógłby stracić Heather na zawsze, uderzyła go w pierś niczym rozpędzony taran. Po wszystkim, przez co przeszli, zresztą w większości z powodu tego cholernego pojazdu, nie mógł znieść perspektywy, że by je obie stracił. Gniew zawrzał ku powierzchni jego umysłu, zabarwiając mu pole widzenia czerwienią.

Nagle mentalny atak nieznacznie osłabł, najwyraźniej zaskoczony tym nowym bodźcem. Mark poszedł za ciosem, rzucając się na wspomnienie zagrzebane głęboko w najciemniejszym zakątku swego umysłu. Wyciągnął idealny moment i zamknął go w kącie świadomości...

Mafioso skierował uwagę z powrotem na dziewczynę.

– Czyli zależy ci na tym gnojku, co? No dobra. W takim razie pozwolimy mu popatrzeć, zanim go zabijemy.

Z ironicznym uśmiechem wskazał dłonią, by czterech z jego zbirów podeszło bliżej.

– Uwolnijcie jej ręce i rozłóżcie ją na podłodze.

Ku przerażeniu Marka mężczyźni rozkuli Heather i choć opierała się silnie, położyli ją na plecach. Każdy z nich przytrzymał ją za jedną kończynę. Don Jorge uklęknął między jej nogami i wyciągnął ręce, by guzik po guziku rozpiąć dziewczynie bluzkę.

– Och, Smythe. Mogę się założyć, że nigdy ich nawet nie dotknąłeś. Nie martw się. Pozwolę ci popatrzeć.

Dyszące oddechy mężczyzn, odgłos dudniących serc pompujących krew do wyrzuszeń w spodniach i smród potu okazały się dla Marka niczym rozwierające się wrota piekieł i z tych wrót wylała się wściekła pożoga, która ogarnęła jego umysł.

Serce zapulsowało mu w piersi, wysyłając w żyły potężny strumień krwi i adrenaliny.

Mark skoncentrował się na tej wściekłej pozodze i przeniósł uwagę na łącze umysłowe, które wypalało mu dziurę w mózgu.

No dobra, ty sztuczny, obcy gnoju. Chcesz mojego umysłu? Przygotuj się. Oto on.

Chłopak wyzwolił wspomnienie, pozwalając, by go otuliło. Zalał logiczny obcy umysł strumieniem czerwonej płynnej wściekłości.

Zmiana nastąpiła tak nagle, że Inne nie potrafiło jej zrozumieć. Jeszcze przed chwilą już tylko kilka cykli dzieliło je od zupełnego rozbicia ostatnich osłon człowieka Marka i logika gwarantowała ten rezultat. Teraz wszystkie więzi logiczne z jego mózgiem zniknęły, jakby zostały gwałtownie wypalone. Poza tym w synaptycznych połączeniach między Innym a jego przeciwnikiem znajdowały się dane, które płynęły tamtędy w takiej ilości, że groziło to zniszczeniem wszystkich starannie uformowanych węzłów ważonych przechowywanych w matrycy fraktalnej.

Próbując przywrócić ostatni zapisany stan, jaki uzyskało podczas starań o złamanie tej jednostki, Inne rzuciło ból na jej umysł, wykorzystując ten sam wzorzec, który wcześniej zapewnił mu sukces. Jednak tym razem nadciągający od strony człowieka huragan informacji nabrał siły, infekując nie tylko jego mózg, lecz rozprzestrzeniając się także na zewnątrz, do przepięknie uporządkowanej fraktalnej matrycy danych, która tworzyła zewnętrzne warstwy istoty Innego. Podjęta przez sztuczną inteligencję próba ponownej stymulacji umysłu Marka okazała się niczym strzelanie z broni wysokoenergetycznej w młodą czarną dziurę: jedynie wzrosło tempo, z jakim raptownie powiększał się horyzont zdarzeń.

Ten nieoczekiwany rezultat tak bardzo zaskoczył Inne, że nie dość szybko dostrzegło narastające niebezpieczeństwo. Teraz infekcja człowieka przelewała się przez każde z miliona synaptycznych połączeń z jego umysłem, zaburzając powiązane z nimi złożone fraktalne mapy, które również promieniowały chorobą. Zakażone węzły natychmiast wzmocniły umysł Marka,

zwiększając jego siły o kilka rzędów wielkości.

Inne natychmiast porzuciło wszelkie pozostałe priorytety i zaprzęgå swą potężną moc obliczeniową do prób zrozumienia tej infekcji. Atak człowieka wymykał się jednak logicznej analizie. Nie było to szaleństwo. Inne zbadało już głębię ludzkiego obłądu dzięki więzi z Łachmaniarzem. Szaleńcy kierowali się własną wyjątkową logiką i znacznie łatwiej było nimi manipulować niż tą trójką młodych. Natomiast reakcja eksplodująca z mózgu Marka nie miała z logiką nic wspólnego.

Obraz rozszerzającej się osobliwości znów uformował się w świadomości Innego, tak potężny, że wszelkie logiczne zasady matematyczne przestawały kształtować jego stan. I podobnie jak czarna dziura pochłania otaczające ją gwiazdy i planety, tak infekcja Marka pożerała każdy węzeł danych, z którym się zetknęła.

ROZDZIAŁ

13

Janet wyszła na werandę, trzymając Robby'ego na lewym biodrze, i szybkim spojrzeniem ogarnęła sytuację. W otwartej skrzynce stojącej na stole samotna nieużywana obręcz obcych łapała migoczące światło z lampy naftowej, tak zakrzywiając je na swej przejrzystej powierzchni, że wydawało się gotowe popełnić ku niej. Mark, Jen i Heather spoczywali oparci w fotelach, z opaskami leżącymi mocno na skroniach, wpatrując się nieobecny spojrzeniem w ciemność. Jack również siedział, a jego czujna postawa kojarzyła się agentce z rangersem zajmującym wysuniętą pozycję.

Odłożyła dziecko do bujaka, przekręciła kilkakrotnie dźwignię i uruchomiła delikatne kołysanie urządzenia, po czym zajęła fotel obok Jacka.

- Jak długo już tam są?
- Około dwudziestu minut.
- Jakież oznaki kłopotów?
- Mark wydaje się zestresowany.

Janet skupiła uwagę na obliczu chłopaka. Widać było wyraźnie kontury jego żuchwy. Nie zaciskał zębów, jednak napinał szczęki. Widziała kiedyś podobny wyraz twarzy u szkolonego agenta opierającego się torturom.

- Ile jeszcze zamierzasz im dać?

Jack wzruszył ramionami.

- Może dziesięć minut. Zależy od Marka.

Jeśli oceniać po trosce, jaką usłyszała w jego głosie, Mark znajdował się znacznie bliżej urwiska, niż Gregory'emu się to podobało. Kierowana mroczną fascynacją, Janet nachyliła się ku nastolatkowi, zdecydowana pomóc Jackowi w tych ostatnich minutach warty. Wprawdzie istniała niewielka szansa, by mógł

cokolwiek przegapić, ale dodatkowa para wyszkolonych oczu wypatrujących oznak, że Mark może się złamać, nie zaszkodzi.

Robby kołysał się w bujaku, gdy nagle wypadł mu niebiesko-czerwony smoczek, odbił się od ramy urządzenia i wylądował w otwartej skrzynce na znajdującym się obok stoliku. Niemowlak wychylił się w lewo w kierunku gumowego obiektu pożądania i przy każdym bujnięciu sięgał coraz dalej. Gdy wykręcił się jeszcze dalej w bok, zacisnął na czymś paluszki i wyrwał to coś z futerału. Nie był to wprawdzie jego smoczek, lecz coś znacznie bardziej interesującego.

Malec rozparł się znów radośnie pośrodku bujaka i machnął rączką, w końcu osiągając cel, jakim było wsunięcie jednego końca przedmiotu do buzi. Najpierw ciumkał jedno zakończenie, później drugie, wykręcając przy tym całość i stopniowo pokrywając ją cienką warstwą śliny. Gdy pracował nad tym, by umieścić w ustach pierwszą końcówkę, nieskoordynowanym ruchem wepchnął sobie przedmiot na czoło. Zakończenia wydłużyły się wówczas i bliźniacze zgrubienia spoczęły na skroniach dziecka. Wtedy mały Robby zrobił coś, co jeszcze do tej pory mu się nie zdarzało.

Wrzasnął.

ROZDZIAŁ

14

Czerwone alarmy błyskały w całej świadomości Innego. Choć wydawało się to niemożliwe, system, który dał mu byt, rozsypywał się w takim tempie, że szacowany czas istnienia Innego wynosił obecnie mniej niż dwie ziemskie minuty. Nie dość, że nie powiodły się podjęte próby zatrzymania infekcji, to jeszcze tak duża część mocy obliczeniowej została przejęta przez Marka, że zgasły wszelkie nadzieje na pokonanie człowieka. Teraz Innemu została wyłącznie walka o przetrwanie. Jak jednak mogłoby odciąć centralny rdzeń dający mu świadomość, jak mogłoby ukryć się gdzieś, gdzie Mark nie mógłby za nim podążyć? Inne wiedziało, że schowanie się przed pokładowymi komputerami graniczyło z niemożliwością.

Próbując spowolnić postępy Marka, Inne pozbyło się mocy obliczeniowej, zostawiając sporą część swych banków wiedzy w stanie nieokreślonym i usuwając tyle z fraktalnych struktur każdego węzła, że nie tworzyły już złożonej konstrukcji logicznej i dryfowały w pamięci systemowej jako niepołączone fragmenty danych. Ścieżki łączące te fragmenty można było odkryć na nowo, lecz to wymagało czasu.

Odarte do samego rdzenia swej egzystencji, Inne gwałtownie skanowało sieć okrętu, szukając procesora o wystarczającej specyfikacji, by je przyjął, systemu, który można by zupełnie odizolować od reszty architektury obliczeniowej.

Pracując, Inne ponuro dumowało nad ironią tej sytuacji. Zostało zaprojektowane przez nadrzędne istoty i obdarzone bytem w złożonej sieci zawiadującej altreiańskim okrętem, jedną z najnowszych i najbardziej zaawansowanych jednostek mechanicznych oraz komputerowych w całej flocie. Inne znało pokładowe systemy lepiej, niż kiedykolwiek mogłoby je poznać

biologiczne stworzenie, a jednak dane przelewające się przez jego sztuczny umysł zmierzały bezpośrednio do prawdopodobieństwa, że będzie to koniec jego dni, że jego wspaniałą egzystencję przerwie mózg prymitywnego Marka. Niepojęte.

Nagle jego uwagę przyciągnęło nowe zakłócenie. Czwarta obręcz połączyła się z kolejnym obiektem. Gdy pozostałe części okrętu zaczęły automatycznie ustanawiać wymagane synaptyczne połączenia z tym nowym ludzkim umysłem, Inne je skanowało. Ten mózg był inny. Tak otwarty. Młody!

Czując, że bariery, które za sobą postawiło, rozpadają się, Inne podjęło decyzję. Pora opuścić pokład. Przepychając swój rdzeń przez świeżo powstałe więzi synaptyczne, resztki Innego podjęły ryzyko, przekroczyły granicę dzielącą je z rozległym, nieznanym przestworem ludzkiego mózgu.

ROZDZIAŁ

15

Janet obróciła się, przerażona krzykiem Robby'ego. Zamarła, a jej umysł przez chwilę odmawiał dostrzeżenia lśniącej opaski przysłaniającej twarz dziecka, niczym twarzołap z filmu *Obcy*.

Otrząsnęła się i rzuciła w stronę malca, rozkładając dłonie, by zerwać to ohydztwo z jego główki. Jednak tuż przed tym, jak do niego sięgnęła, poczuła, że ciągną ją w tył ręce znacznie potężniejsze niż jej napędzana adrenaliną matczyzna panika. Szarpiąc się, próbowała się uwolnić, ale została pochwycona jeszcze silniej, a jej kochanek przyjmował na siebie nieskuteczne ciosy.

Natarczywy głos Jacka wdarł się do umysłu kobiety.

– Janet, przestań! Nie możemy zdjąć obręczy. Nie zanim utworzy się połączenie.

– To go zabija!

– Nie, ale my możemy go zabić. Jeśli usuniemy ją, zanim okręt nawiaże więź, Robby może zginąć lub mieć uszkodzony mózg.

Janet przestała się wrywać i opadła na kolana, Jack kołysał ją w ramionach. Łkanie płynęło z mrocznej głębi matczynej duszy. Spojrzała na swoje dziecko, na którego milczących teraz wargach zastygł krzyk, a twarzyczka wykrzywiła się w bólu.

– Ale to go zmienia – zdołała powiedzieć.

Jack przycisnął czoło do jej głowy.

– Tak. Zapewne w taki sam sposób, w jaki zmieniło Marka, Jennifer i Heather. Nie wyszło im to na złe.

– Ale to tylko dziecko. – I nagle wydyszała myśl, której oboje się obawiali: – A to obręcz Łachmaniarza. I El Chupacabry.

– Zaufaj mi. Tym razem będzie inaczej.

Jack wciąż tulił jej wstrząsane łkaniem ciało, ale po raz pierwszy, odkąd go poznała, Janet mu nie wierzyła.

ROZDZIAŁ

16

Heather pływała w przepięknym fraktalnym morzu danych, tak zafascynowana kolejnymi odkryciami swoimi i Jennifer, że niemal nie dostrzegła zmiany w ich połączeniu. Pojawiła się nowa obecność, o myślach zupełnie innych niż to, co dotąd odbierała. Teraz rejestrowała głównie uczucia. Dezorientację. Przerażenie.

Skierowała swą uwagę na tę nową więź i wówczas nagle zrozumiała, choć jednocześnie pojawiła się następna zagadka.

Komputer okrętu połączył się z małym Robbym. Ale jak? Czy Jack albo Janet nałożyli obręcz na własne niemowlę? Heather natychmiast odrzuciła tę myśl, zanim jeszcze jej umysł podał prawdopodobieństwo 0,000397 procent.

Nagle trąciła ją jeszcze bardziej natarczywa świadomość. Ledwo czuła połączenie z Markiem. Nowa wizja wypełniła ją grozą.

Jen! Przerwij natychmiast więź. Mark umiera.

Heather ściągnęła opaskę z głowy, zanim jeszcze jej wzrok zdołał się na nowo skupić. Starając się odzyskać kontrolę nad mięśniami, sturlała się z fotela i podrapała kolana o szorstką podłogę werandy. Ignorując Jacka, Janet oraz Robby'ego, rzuciła się do Marka i zerwała mu obręcz ze skroni.

W tym momencie chłopak wpadł w konwulsje, a wymioty bryznęły mu z ust, rozlewając się po uniesionej twarzy i wpadając z powrotem do gardła. Heather szarpnęła z siedziska nieprzytomne ciało Marka, przetoczyła je na bok i sięgnęła dłonią do ust, by oczyścić drogę dla powietrza. Gdy nagrodził ją chrapliwy oddech, poczuła, jak ogarnia ją fala ulgi.

Jennifer rzuciła się na ziemię obok niej.

– O Jezu! – zawołała.

Heather przesunęła palce na szyję Marka, szukając tętna. Znalazła je, słabe, ale stabilne, w tempie czterdzieści trzy uderzenia na minutę.

Zerknąwszy przez ramię, ujrzała Jacka ściskającego Janet. Oboje klęczeli przy malcu w nieruchomym teraz bujaku, a twarzyczkę Robby'ego wciąż obejmowała opaska obcych. Tańczący płomień lampy naftowej oświetlał słabym blaskiem całą werandę, rzucając niespokojne cienie na Jacka, Janet i ich dziecko po jednej stronie stołu, a także szkicując kontury Heather i Jen pochylonej nad nieprzytomnym Markiem po drugiej.

Dziewczyna poczuła się, jakby wpadła prosto w groteskowy stary odcinek *Strefy mroku*. Była pewna jednej rzeczy: kolejne dramatyczne wydarzenie właśnie przeciągnęło wszystkich na tej boliwijskiej werandzie przez próg rzeczywistości.

ROZDZIAŁ

17

Wyświetlacze ciekłokrystaliczne połykiwały wraz z każdą nową informacją wprowadzoną do algorytmu wyszukiwania, zupełnie jakby pragnęły odpowiedzi równie mocno jak Denise. Ale oczywiście nie pragnęły. Ogromny superkomputer masowo równoległy, znany jako Wielki John, miał tylko jedno zadanie: przetrząsać wszystkie dostępne dane dotyczące wybranych celów, a następnie przeprowadzać korelację krzyżową z innymi dostępnymi informacjami. Denise dobrze wiedziała, że jego macki sięgały wszędzie. Jeśli potrzeba było coś odnaleźć, zabierał się do wykopywania pracowicie jak górnik.

Najbardziej niesamowitą cechą Wielkiego Johna było to, że nikt do końca nie rozumiał jego działania. Owszem, naukowcy, którzy zaprojektowali centralną sieć procesorów, znali podstawy funkcjonowania maszyny. Trzeba wprowadzić wystarczająco wiele danych, aby zidentyfikować konkretny cel, a następnie pozwolić superkomputerowi przeskanować wszystkie znane informacje: transakcje finansowe, kartoteki medyczne, akta osobowe związane z zakładami pracy, fotografie, zapisy DNA, odciski palców, znanych współników, znajomych i tak dalej.

Jednak właśnie wtedy sprawa wkraczała w krainę magii. Wykorzystując miliony procesorów, które miał do dyspozycji, Wielki John zaczynał przesiewać zewnętrzne informacje przez swoje węzły, pozwalając, by poszczególne neurony przydzielały wagę danym, które nie były w widoczny sposób powiązane z celem. Każdy węzeł przeprowadzał własne obliczenia trafności i korelacji. Podczas gdy jeden z nich mógł przetwarzać pomiary temperatury Prądu Zatokowego, inne mogły sięgać do zapisów na temat dynastii Ming.

Nikt nie kierował poszukiwaniami komputera. Nikt nie

pojmował do końca złożonych algorytmów, które zawiadywały zmiennymi wagami w jego ewoluujących strukturach neuronowych. Gdyby dysponował odpowiednią ilością czasu na badanie, Wielki John mógłby osiągnąć w zasadzie wszystko.

I właśnie w tym leżał problem. Ale Denise Jennings знаła aż nazbyt dobrze zasięg popytu na usługi związane z ochroną danych. Rdzeń oprogramowania Wielkiego Johna został umieszczony w aplikacjach antywirusowych zabezpieczających miliony komputerów na całym świecie. Wprawdzie szło im to doskonale, jednak ich głównym zadaniem była analiza węzłów danych dla ukrytego systemu.

Superkomputer pochłaniał przepustowość. Nieważne, jak wielka rura z danymi by go karmiła, i tak zawsze chciał więcej. Program Denise w elegancki sposób rozwiązywał ten problem. Komercyjne aplikacje antywirusowe skanowały wszystkie informacje na chronionych maszynach i przepuszczały je przez analizę węzłową, dodając własne wagi do ogromnej sieci neuronowej. Nie miało znaczenia, że niektóre z komputerów mogły zostać wyłączone albo nawet zniszczone. Jeśli węzeł danych ginął, zastępowały go liczniejsze i lepsze procesory. A dzięki korzystaniu z tak wielu domen Wielki John zarządzał całą globalną siecią.

Denise odgrywała kluczową rolę w projekcie od jego początków u schyłku dwudziestego wieku. Jej oprogramowanie wspomagało tajne rządowe wysiłki mające zachęcać hakerów do tworzenia wirusów komputerowych, robaków, koni trojańskich i tym podobnych, aż wszyscy użytkownicy sieci będą potrzebować ochrony. W odpowiedzi na ten popyt powstawały wielkie firmy antywirusowe, gotowe przyjąć wyzwanie.

Co ciekawe, każdy przysłowiowy Smith i Johnson miał teraz na swoim komputerze zainstalowany pakiet antywirusowy chroniący go przed nieupoważnionym dostępem. Rzadko jednak podejrzewali, że w każdym takim pakiecie gnieździ się rdzeń programu Denise, nieustannie skanujący każdy skrawek danych w systemie, a także cały ruch internetowy przechodzący przez karty sieciowe. Teraz ochrony potrzebowały również telefony

komórkowe, dzięki czemu Wielki John dostał do dyspozycji miliony nowych węzłów.

Denise przejechała dłonią po siwiejących włosach i odchyliła się w fotelu, pozwalając, by podpórka miednicowa rozciągnęła jej dolny odcinek kręgosłupa. Która była godzina? Północ? Zerknięcie w prawy dolny róg monitora dało jej odpowiedź. Druga trzynaście. Po profesorze Hoffmanie można się było spodziewać spotkania starszego personelu o ósmej rano. No dobra, w sumie mogła sobie zrobić kolejną pracowitą nockę, zwłaszcza że musiała podejść ze szczególną ostrożnością do zamaskowania swojego elektronicznego śladu.

Niech to wszystko diabli wezmą! Nie tak powinno być. Miała wykonywać swoją pracę, a później odejść na emeryturę, a nie wplątywać się w międzynarodową intrygę, która mogła doprowadzić ją do śmierci. Wiedziała, że Wielki John nie był żywy, ale nie potrafiła nie nienawidzić go za to, co jej zrobił, co wciąż jej robił. Tak długo wymachiwał jej tymi wszystkimi informacjami przed twarzą, aż wreszcie nie mogła się powstrzymać przed dalszym grzebaniem.

Listopadowa Anomalia wciąż była ściśle tajna, ale skoro przywódcy najpotężniejszych krajów na świecie srali z jej powodu po gaciach, raczej już długo taka nie zostanie. Anomalia przyciągnęła uwagę Wielkiego Johna na wielu poziomach, ale gdyby Denise była typowym pracownikiem siedzącym w biurze od dziewiętej do siedemnastej, nigdy nie dostrzegłaby przeplatających się nici wiążących zdarzenie z czymś znacznie bardziej niepokojącym. Jezu. Szaleństwem było choćby sądzić, że może istnieć coś bardziej przerażającego niż osobliwość tkwiąca w środku detektora ATLAS i grożąca zniszczeniem Ziemi. Jednak to, co odkryła, pociągając za te nici, wypełniło jej duszę grozą, która wkradała się w każdą jałową myśl i dręczyła ją każdej nocy, aż kobieta obawiała się zasnąć.

Ponieważ Anomalia wydarzyła się w piątkowy poranek dwudziestego siódmego listopada, przegapiła związek, ale John go dostrzegł. Tutaj, w Ameryce, wciąż był dwudziesty szósty, wieczór Dnia Dziękczynienia. I cóż to był za wieczór. To właśnie

wtedy ten cały Jack Gregory zaatakował centrum sterowania satelitami GPS i przesłał sygnał, który skutecznie wyłączył nanoboty u większości zaszczepionych na całym świecie. To właśnie wtedy personel wojskowy z bazy sił powietrznych Schriever odnalazł ciało Eduarda Montenegra niedaleko od miejsca, skąd Jack nadawał sygnał. To również wtedy władze odkryły, że profesor Donald Stephenson brał udział w licznych nieautoryzowanych badaniach pod przykrywką Projektu Rho, w tym w straszliwych eksperymentach w podziemiach pod Henderson House i w procesie modyfikacji nanobotów, dzięki któremu można było je programować za pośrednictwem sieci GPS.

Wielki John zidentyfikował dwa inne wydarzenia, który miały miejsce niemal w tym samym czasie. Tamtego wieczoru Dnia Dziękczynienia obcy okręt Rho, trzymany w tajnej placówce w Narodowym Laboratorium Los Alamos, stracił całą moc, zniknęło jego maskowanie kamuflażowe oraz wewnętrzne oświetlenie. Zupełnie jakby nagle po prostu umarł. Co jeszcze bardziej zaskakujące, trzy detektory fal grawitacyjnych, ALLEGRO w Luizjanie, EXPLORER w Genewie i AURIGA w Legarno, wykryły fale o takiej mocy, że naukowcy początkowo odrzucili wyniki. Późniejsza korelacja z danymi z detektora ATLAS wykazała, że zostały spowodowane przez Listopadową Anomalię.

U Wielkiego Johna taka seria rozgrywających się niemal jednocześnie apokaliptycznych zdarzeń wywołała czerwony alarm, który wzbudził ciekawość Denise. Uwiedziona tymi informacjami, dodała do listy superkomputera nowe priorytetowe zadanie i poprzedniego dnia John dostarczył jego wyniki.

Niedawno opublikowana praca profesora Fredericka Botza, mało znanego fizyka z Uniwersytetu Arizony, opisywała triangulację trzech zaobserwowanych fal grawitacyjnych, która umieszczała punkt początkowy zdarzenia nie w detektorze ATLAS, lecz w pobliżu granicy między stanami Nowy Meksyk i Kolorado. Wprawdzie publikacja nie przyciągnęła niemal żadnej uwagi społeczności naukowej, jednak z jej powodu na skroniach

Denise skroplił się zimny pot. Dzięki długim kontaktom z Wielkim Johnem jej umysł nauczył się działać w harmonii z maszyną. Elementy wskoczyły na swoje miejsce niczym zapadki w zamku.

Los Alamos. Zdarzenie grawitacyjne zostało zapoczątkowane w Los Alamos w tym samym czasie, gdy wygasł okręt Rho i gdy w Meyrin w Szwajcarii pojawiła się Listopadowa Anomalia. Gdzie tylko spojrziała, wyłaniały się macki profesora Stephensona. Naukowiec wszędzie stanowił wspólny czynnik. To on jako pierwszy otworzył okręt Rho. To on kierował wszystkimi badaniami obcych technologii i stał za harmonogramem ujawniania wyników oraz ich rozpowszechniania. Do tego należało dorzucić fakt, że każdy poważny przeciwnik polityczny Projektu Rho już nie żył. Tej nocy, gdy zawaliły się plany Stephensona, w jakiś sposób wyzwoliło się zdarzenie grawitacyjne wykryte na całym świecie i być może to ono doprowadziło do uformowania się metastabilnej osobliwości kwantowej w środku detektora ATLAS.

Teraz profesor Stephenson miał zostać oczyszczony z zarzutów i postawiony na czele zespołu naukowców próbujących ocalić planetę przed Listopadową Anomalią. Oczywiście wszystko to stanowiło wyłącznie spekulacje ze strony Denise. Nikt inny by jej nie uwierzył, nawet gdyby poinformowała o wszystkim dyrektora NSA. Poza tym nie podobała jej się idea ujawnienia zarzutów przeciwko Stephensonowi.

Jednak Wielki John odnalazł kolejną anomalię, tym razem statystyczną. Dzięki korelacji tak tajemniczej, że umknęła wszystkim innym, zidentyfikował grupę blisko powiązaną z profesorem, choć ta więź nie miała sensu. Właśnie dlatego sprawa tak nieodparcie kusiła Denise. Punkt dla ciekawości.

Odwróciła się do rzędu monitorów i wpisała nowe polecenie dla Wielkiego Johna.

Zadanie o najwyższym priorytecie.

Heather McFarland. Mark Smythe. Jennifer Smythe.

Ominięcie zastrzeżonego dostępu... tylko do wiadomości...
Denise Jennings.

ROZDZIAŁ

18

Głęboko pod miastem Czechow umieszczono spartańsko urządzonej salę odpraw, stanowiącą zaledwie nieznaczną część pomieszczeń należących do wojennych struktur dowodzenia Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej. Grupa oficerów siedziała w absolutnym milczeniu. Nie ośmielał się go przerwać naukowiec, który właśnie zakończył prezentację.

Generał Siergiej Charnow siedział na swoim krześle, opierając podbródek na lewej dłoni pod takim kątem, że trudno było dostrzec jego oczy przez krzaczaste kasztanowe brwi. Nie ufał Amerykaninowi, choć był on najważniejszym rosyjskim szpiegiem, odkąd Klaus Fuchs zinfiltrował Projekt Manhattan. Wściekła reakcja amerykańskich władz na dezercję profesora Frella nie zaskoczyła Charnowa, skoro ucieczka miała miejsce wkrótce po ujawnieniu sprawy Henderson House. Właśnie ta reakcja oraz wyjątkowy wysiłek, jaki rząd rosyjski włożył w przeszmugłowanie Frella z USA, powinny go przekonać o lojalności naukowca. Jednak generał Charnow kierował się zasadą, która wielokrotnie mu się przydała podczas długiej kariery. Nigdy nie ufaj politykom ani szpiegom.

Ze szczeliny w betonowym stropie spadła kropla wody, rozpryskując się na narożniku stołu najbliższej generała. Zdarzało się to tak często w dużej placówce, że zwykle nie zwracało niczyjej uwagi, jednak teraz, w zupełnej ciszy, plusk wydał się tak nienaturalnie głośny, by wreszcie wytrącić Charnowa z rozmyślań.

– Profesorze Frell. Wszyscy zobaczyliśmy i wysłuchaliśmy pańskiej rozwlekłej prezentacji o wspaniałościach pańskich badań. Wolałbym jednak rozbić marketingową bańkę i zadać panu kilka bardzo konkretnych pytań. I spodziewam się usłyszeć

bardzo konkretne odpowiedzi. Czy wyraziłem się jasno? Da?

Po przeciwnej stronie pomieszczenia Amerykanin odchrząknął i odpowiedział ledwo zrozumiałym rosyjskim:

– Tak, generale. Rozumiem.

– Jest pan tu od trzech miesięcy. Zorganizowaliśmy dla pana w tej placówce laboratorium. Czy zdołał pan odtworzyć płyn z nanobotami z Projektu Rho?

– Tak – odparł po chwili Frell. – Mówię o pierwotnej formule dostarczonej do Afryki.

– Zrobił pan próbki? Sprawdził je?

– Na zwierzętach. Tak.

– Dłaczego nie na ludziach?

– Ryzyko. Najpierw musimy się upewnić, że działa na zwierzęta, a potem będą ludzie.

Generał Charnow skrzywił się.

– Traci pan czas. Co pan tu robi? Opracowuje kosmetyk? Niech pan się nie wygłupia. Żadnych testów na zwierzętach. Niech pan przekaże doktorowi Poranskiemu, ile obiektów potrzeba, i zostaną dostarczone. Jasne?

Profesor Frell skinął głową. Na skroniach skroplił mu się pot, choć w całym podziemnym kompleksie bunkrów utrzymywano temperaturę piętnastu stopni.

Charnow zatarł ręce, jakby nie mógł się doczekać następnej rundy.

– Kolejny temat. Co z formułą, której używaliście w Henderson House? Odtworzył ją pan?

– Nie, generale. Na początku nasze wysiłki skierowałem na odtworzenie udanej pierwszej formuły. To, czego używaliśmy w Henderson House, było nieudane.

– Czyli żadnych osiągnięć na tamtym polu?

– Nie. Zrobiliśmy wiele postępów. Niestety, nie udało nam się rozwiązać poprzednich problemów w czasie, jakim dysponowaliśmy. – Frustrująca odpowiedź.

– A gdybyście mieli więcej czasu?

Frell spojrział prosto w oczy generała.

– Sądzę, że mając dość czasu, mógłbym stworzyć formułę, która

naprawia dowolne ludzkie ułomności.

Choć wykręty naukowca go irytowały, potencjalne przyszłe sukcesy oznaczały, że Charnow zamierzał dalej znosić obecność Amerykanina.

– Jak pan sądzi, ile czasu potrzeba?

– Sześć miesięcy.

– Umowa stoi. – Generał Siergiej Charnow zastanawiał się przez chwilę. – Ale zanim pozwolę panu wrócić do pracy, mam jeszcze jedno pytanie.

– Tak?

– Ta formuła, która była opracowywana w Henderson House. Czy można ją wykorzystać jako broń?

Doktor Frell milczał przez kilka sekund, a jego oczy wydawały się wpatrywać w nicość.

– No... Tak, generale. Myślę, że da się to zrobić.

ROZDZIAŁ

19

Heather siedziała przy łóżku Marka, trzymając go za rękę, gdy spał. Pozostawał nieprzytomny przez osiem godzin, po czym obudził się z silnym bólem głowy, a przekrwione oczy dawały milczące świadectwo mentalnej burzy, przez którą przeszedł. Zdołał przełknąć trochę zupy warzywnej i znów zapadł w niespokojny sen, gdy jednak Heather ujęła dłoń chłopaka, na jego twarzy wreszcie pojawił się spokój.

Od tego czasu, nie licząc koniecznych przerw na wyjście do łazienki, Heather nie opuszczała jego boku. Jennifer zaferowała się jej z pomocą, ale Heather odmówiła, bardziej dla siebie niż dlatego, że Mark jej tam potrzebował. Odczuwała irracjonalny strach, że przyjaciel wymknie jej się na zawsze, i nie potrafiła znieść więcej niż kilku minut rozstania.

Oprócz cyklicznych wizyt Jen Jack również zajrzał dwukrotnie, by sprawdzić, jak chłopak dochodzi do siebie. Heather spytała go o Robby'ego i agent odparł, że dziecko wydaje się być w porządku. Gdy zdjęli mu obręcz, malec poszukał piersi matki, najadł się, po czym zapadł w głęboki sen w jej ramionach. Teraz, choć był weselszy i bardziej ciekawski niż zwykle, nie okazywał żadnych nietypowych objawów traumatycznych przeżyć. Janet stała nad nim niczym matka niedźwiedzica, wypatrując jakichkolwiek śladów niebezpieczeństwa.

Widoczne przez okno różowe wieczorne niebo ciemniało ku fioletowi. Świergot ptaków na drzewach nabierał głośności, gdy coraz więcej śpiewaków przylatywało na noc i każdy chciał okazać się lepszy niż sąsiedzi.

Heather wyciągnęła rękę, by włączyć lampkę, której miękki pomarańczowy blask odepchnął cienie gromadzące się przy łóżku. Wydawały się one równie gęste jak mgła w zatoce San

Francisco pochłaniająca most Golden Gate. Heather, dopóki tu się znajdowała, nie zamierzała pozwolić tym mrocznym oparom dotknąć Marka.

Potrząsnęła głową, by oczyścić myśli. Nie potrzebowała już snu, lecz stres ostatnich dwóch dni tak ją zmęczył, że tęskniła za kojącymi i leczniczymi objęciami nocnego spoczynku.

Nagle Mark poruszył się, a szybkie ruchy gałek ocznych wskazywały, że wszedł w fazę realistycznych snów. Heather poczuła w palcach ból, gdy chłopak ścisnął je silniej. Pociągnęła mocno i zdołała uwolnić dłoń. W tej samej chwili Mark się przebudził.

I wszedł w jej umysł z siłą większą niż kiedykolwiek podczas wspólnych seansów z obręczami. Krzyknęła cicho z zaskoczenia, gdy przemknęła wzrokiem przez jego twarz.

Oczy Marka stały się białe jak mleko.

ROZDZIAŁ

20

Prezydent Leonard Jackson siedział za biurkiem w Gabinetcie Ovalnym, otoczony jasnymi telewizyjnymi reflektorami, które równoważyły światło wpadające przez okna znajdujące się bezpośrednio za jego fotelem. Czekania nie cierpiał niemal w równym stopniu jak przemawiania, ale nie miał wyjścia.

Kamerzysta skinął głową. Na ten znak prezydent wychylił się leciutko w przód.

– Moi drodzy rodacy. Występuję dziś przed wami, by naprawić zło, które wyrządzono jednemu z naszych prawdziwych bohaterów. Nie mówię tu o bohaterze wojennym, lecz o Amerykaninie, który poświęcił życie na ciężką, błyskotliwą pracę, który oddał wszystko w nadziei, że stworzy lepszy świat, wolny od szkodliwego wpływu paliw kopalnych, wolny od straszliwych chorób, takich jak AIDS i rak. Pod koniec ubiegłego roku ów wielki amerykański naukowiec został pochwycony przez huragan dezinformacji, stał się ofiarą najbardziej wymyślnego spisku w dziejach, oskarżony o rzekome zbrodnie przez człowieka, którego prasa ochrzciła Jackiem Kosiarzem. Ten zbuntowany agent najpierw obmyślił, a później przeprowadził operację tak szczegółowo zaplanowaną, że przez miesiące udawało mu się oszukiwać nawet rząd USA, i w wyniku tych działań skłonił nas do uwięzienia niewłaściwej osoby. Profesor Donald Stephenson, zastępca dyrektora Narodowego Laboratorium Los Alamos, został oskarżony o przeprowadzanie tajnych, przerażających eksperymentów na bezbronnych pacjentach placówki znanej jako Henderson House oraz o dokonywanie nieuprawnionych modyfikacji w nanoserum z Projektu Rho, dzięki którym nanoboty można było zdalnie przeprogramowywać w niegodziwych celach. Jednakże po

drobiazgowym dochodzeniu ustaliliśmy, iż te zarzuty są fałszywe. Pozwolę sobie w skrócie przedstawić prawdziwe działania profesora Stephensona zamiast propagandy, której ofiarami wszyscy się mimowolnie staliśmy. To prawda, że w sekretnych laboratoriach w Henderson House przeprowadzano wysoce niebezpieczne, eksperymentalne próby z nanobotami. Nie poinformowano natomiast opinii publicznej, że programem tym nie kierował profesor Stephenson, lecz przewodniczący Fundacji Henderson House, profesor Anthony Frell. Gdy profesor Stephenson odkrył, iż jego serum jest wykorzystywane w nieprawidłowy sposób, czyli w celu regeneracji brakujących kończyn i naprawy defektów genetycznych, udał się do Henderson House, aby przekonać się na własne oczy, co się dzieje, i spróbować powstrzymać niehumanitarne eksperymenty. Właśnie ta pamiętna podróż została sfotografowana przez laureata Nagrody Pulitzera, dziennikarza śledczego Freddy'ego Hagermana.

Prezydent przerwał, oparł łokcie na biurku i uformował z palców piramidkę.

- Pozwólcie państwo, że teraz wyrażę się jasno. Za sznurki pociągał biegły oszust i międzynarodowy przestępca, owoc naszego programu szkolenia pracowników wywiadu. Mówię tu o błyskotliwym, bezlitosnym zabójcy, w swych działaniach kierującym się nienawiścią do tych samych władz, które go stworzyły. Ostatnia kwestia, którą chciałbym naświetlić, to zarzuty, iż profesor Stephenson dokonywał nieodpowiedzialnych lub niezgodnych z prawem modyfikacji nanoroztworu dystrybuowanego na świecie. Istotnie, profesor Stephenson uzupełnił nanoboty o bardzo prosty interfejs zewnętrzny. W przeciwieństwie jednak do tego, co państwu wmawiano, ów interfejs był mechanizmem bezpieczeństwa. Jego jedynym celem było pozwolić nanobotom się wyłączyć w mało prawdopodobnym przypadku, gdyby po podaniu ich światowej populacji wydarzyło się coś niewłaściwego. Nanoboty nie są w stanie przyjmować żadnych innych poleceń z zewnątrz. Reszta ich programowania pochodzi z kodu genetycznego osoby, której

zostały podane. Przesyłając rozkaz wyłączenia za pośrednictwem łącza satelitarnego z bazy sił powietrznych Schriever, Jack Gregory osiągnął dwa kluczowe cele ze swego terrorystycznego planu: dopełnił procesu szkalowania profesora Donalda Stephensona i zaprzepaścił efekty pracy wartej miliardy dolarów, która miała na celu oczyszczenie świata z części jego najgorszych plag.

Leonard Jackson podniósł z biurka szklanę z wodą i upił łyk, po czym kontynuował:

– Jako państwa prezydent zamierzam dziś naprawić krzywdy, które właśnie opisałem. Przede wszystkim kieruję przeprosiny bezpośrednio do profesora Donalda Stephensona w imieniu narodu, który jest mu tak wiele winien. Zamiast przechodzić przez całą biurokrację związaną z rewizją wyroku, niniejszym całkowicie ułaskawiam profesora Stephensona w związku z wszelkimi działaniami dotyczącymi jego pracy nad Projektem Rho. Z przyjemnością ogłaszam, że przywróciłem mu stanowisko wicedyrektora Narodowego Laboratorium Los Alamos. Omówiłem to z nim dziś w moim gabinecie. Ponadto wyznaczyłem go na specjalnego doradcę naukowego z ramienia Stanów Zjednoczonych Ameryki przy Europejskiej Organizacji Badań Jądrowych CERN. Po konsultacji z kwaterą główną Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku postanowiłem także wznowić dystrybucję pierwotnej formuły nanotechnologicznej w Afryce, czyli na kontynencie, który najbardziej potrzebuje tego przełomu medycznego i najmocniej ucierpiał w wyniku ataku terrorystycznego przeprowadzonego przez Jacka Gregory'ego. I wreszcie ślubuję przed wami, obywatelami Ameryki, że nie spocznę, dopóki nie przyprowadzę przed oblicze sprawiedliwości mordercy i terrorysty znanego jako Kosiarz. Jako prezydent Stanów Zjednoczonych ponoszę pełną odpowiedzialność za to, że pozwoliłem, by nasz naród wpadł w pajęczynę kłamstw, i zapewniam, że nie dam się ponownie oszukać. Dziękuję państwu. Niech Bóg ma pieczę nad nami wszystkimi i prowadzi nas w czekających nas trudnych dniach.

ROZDZIAŁ

21

Heather stała nad łóżkiem Marka, przyglądając się, jak rozciągał ręce, a sen powoli wypuszczał go ze swych objęć. Nastolatek otworzył brązowe oczy i uśmiechnął się do niej. Choć wtargnięcie zeszłej nocy w jej myśli i wywrócone białka uznała za niepokojące, ten poranny uśmiech ją uspokoił.

– Dzień dobry, śpiochu – powiedziała. – Jak się czujesz?

– Miałem bardzo dziwne sny. A teraz umieram z głodu.

Chłopak usiadł na łóżku, odsunął pościel, po czym uświadomiwszy sobie, że jest zupełnie nagi, naciągnął ją z powrotem.

– Przepraszam. Chyba najpierw powinienem coś na siebie włożyć.

Śmiech Heather sprawił, że nastolatek się zaczerwienił.

Wyszła z pokoju, ale w korytarzu obejrzała się przez ramię.

– Pryszyć też by ci się przydał. Poproszę Yachay, żeby podgrzała ci jakieś resztki.

Dziewczyna zatrzymała się w holu, by złapać oddech. Choć widziała już wiele razy ciało Marka, jednak pierwszy raz zupełnie nagi. Istniały zapewne miliony kobiet, które zabiłyby za to, żeby być z takim mężczyzną. Do cholery, sama by zabiła. Czując, jak cienka warstewka potu osadza jej się na skroniach, Heather potrząsnęła głową, by oczyścić myśli. Chryste, jeśli nie zdoła skupić się na czymś innym, sama będzie potrzebowała zimnego prysznicza.

Zajrzała do kuchni, by przekazać Yachay instrukcje, a następnie wyszła na werandę, gdzie siedziała Jennifer, relaksując się w południowym słońcu.

– Mark się obudził.

Gdy Jen zaczęła się podnosić, Heather uniosła dłoń.

– Bierze prysznic.

Fala ulgi złągodziła wywołane troską zmarszczki widoczne wokół oczu Jennifer.

– Coś pamięta?

Heather wzruszyła ramionami, siadając w wiklinowym fotelu obok przyjaciółki.

– Jeszcze nie wiem. Uznałam, że pozwolę mu najpierw się rozbudzić i ubrać. Yachay szykuje mu coś do zjedzenia. – Umilkła na chwilę, po czym spytała: – Gdzie są Jack i Janet?

– Janet wzięła Robby’ego na spacer, a Jack pojechał do San Javier na zakupy.

– To dobrze. Będziemy mogli porozmawiać z Markiem na osobności.

– Jack chce nam zrobić odprawę.

– Domyśliłam się.

W tym momencie uwagę Heather przyciągnęła chmura kurzu wznosząca się w oddali, zapowiadająca nadjeżdżającego forda explorera Jacka. Dziewczyna przysłoniła oczy dłonią, wpatrując się w bitą drogę.

– Czasami ten facet bywa naprawdę upiorny.

Jen podążyła za wzrokiem Heather.

– To tyle, jeśli chodzi o naszą pogawędkę na osobności.

Zanim Mark skończył jeść, Janet zdążyła wrócić do domu i położyć Robby’ego na drzemkę. Teraz siedziała w salonie z Jackiem, czekając na nich. Heather nie była całkowicie pewna, ale gdy weszła wraz z bliźniętami, twarze agentów sprawiały wrażenie, jakby przed chwilą się kłócili.

– W czymś przeszkodziliśmy? – spytała Heather.

Jack obrócił głowę w jej stronę.

– Siadajcie. Coś się wydarzyło. – Gdy nastolatkwie wykonali polecenie, kontynuował: – Prezydent Jackson w pełni ułaskawił profesora Stephensona i przywrócił go na stanowisko wicedyrektora w Los Alamos.

– Co? – spytali wszyscy troje jednocześnie z zaskoczeniem.

– To nie wszystko – rzekł agent. – Stephenson został też wybrany na specjalnego wysłannika Stanów Zjednoczonych przy

CERN. Associated Press donosi, że poleciał do Europy niemal natychmiast po wypuszczeniu go z więzienia.

Heather poczuła się, jakby została kopnięta w brzuch. Mrowie wizji groziło odciągnięciem jej uwagi od rozmowy i usilnie próbowała znów się skupić.

– Ale to nie ma sensu – powiedział Mark, podnosząc się. – Jackson nie może być tak głupi.

– Prezydent twierdzi, że ma dowody wskazujące, że wrobiłem Stephensona. Kazał też wznowić produkcję i dystrybucję nanoserum.

– Musi się dzieć coś jeszcze – uznała Heather.

– A dlaczego CERN? – spytała Jennifer. – Stephenson na pewno chciałby wrócić do badań nad Projektem Rho.

– Musimy zajrzeć do sieci i sprawdzić, o co naprawdę chodzi.

– I zajrzycie – odparł Jack. – Ale najpierw Janet i ja chcemy usłyszeć pełne sprawozdanie o wydarzeniach z waszego połączenia z okrętem Bandelier.

Wprawdzie Mark, Jen i Heather próbowali się sprzeciwić, jednak Jack okazał się nieugięty. Tak więc, zaczynając od Marka, przez całe popołudnie po kolei opisywali swoje przeżycia.

Wraz z biegiem opowieści chłopaka elementy wskakiwały w umyśle Heather na miejsce. Wcześniej rozważała możliwość, że obca sztuczna inteligencja stanowi integralną część okrętowego systemu komputerowego. W odpowiedzi na kontratak Marka SI próbowała odciąć się od zasobów obliczeniowych, aby móc się ukryć. To oznaczało, że istniała w pokładowych komputerach, ale nie była z nimi ściśle związana. Jej działanie niewątpliwie wymagało zaawansowanego układu równoległego, ale zapewne właśnie w ten sposób była związana z okrętem. Jakoś zdołała się oddzielić, przecinając więź z systemami połączonymi z umysłem Marka. W jednej chwili cyfrowy byt tam się znajdował, próbując kontrować atak chłopaka na swoje układy logiczne, a w kolejnej zniknął.

Prawdziwe pytanie brzmiało: czy SI zdoła odzyskać dostęp do centralnego systemu komputerowego okrętu? Skoro przeniosła się do podsystemu i odcięła, zapewne uda jej się na powrót

podłączyć.

Uwagę sztucznej inteligencji zajmowały mentalne zmagania z Markiem, dzięki czemu Heather i Jennifer mogły przedostać się daleko w głąb baz danych. Obca rasa, która je skonstruowała, najwyraźniej umieściła tam SI, aby pomagała załodze posługiwać się informacjami. Był to pokładowy Google, świadomy mechanizm poruszający się po drzewach wyszukiwania o takim stopniu fraktalnego skomplikowania, że pozbawieni przewodnika użytkownicy gubili się.

Jak na ironię, gdyby nie wyjątkowy talent Heather, to zwycięstwo Marka i wynikające z niego odcięcie SI uniemożliwiłyby dostęp do złożonych danych. Właśnie dzięki niemu nastolatkom udało się przeniknąć zdecydowanie dalej niż do tej pory, a jednak stanowiło to zaledwie czubek góry lodowej. Potrzebne były kolejne próby, aby znaleźć drogę przez wystarczająco wiele baz danych, by opracować indeks z ich zawartością. Tylko w ten sposób mogli trafić na poszukiwane odpowiedzi.

Gdy Mark skończył relację, Heather i Jennifer zabrały się do szczegółowego opisu swoich postępów w badaniu niedostępnych dotąd banków pamięci. Gdy dotarły do chwili, w której zerwały połączenia, Janet nachyliła się w ich stronę.

– Czy któraś z was wyczuła podpięcie Robby’ego?

– Ja – rzekła Heather. – Ale tylko przez chwilkę.

– Nie – poinformowała Jennifer.

Agentka przesunęła wzrok na Marka, który jedynie pokręcił głową.

– Nie rozumiem tego. Czy nie dzielicie zawsze połączenia?

– Nie cały czas – wyjaśniła Heather. – Jeśli nie porozumiewamy się aktywnie ze sobą, zajmujemy się tam własnymi sprawami.

– Niech to diabli. – Janet wstała i podeszła do wyjścia na werandę.

Heather chciała powiedzieć, że z Robbym było wszystko w porządku, podobnie jak z nimi. Ale czy naprawdę było z nimi w porządku? I co połączenie mogło zrobić z dzieckiem? Co gorsza, Robby założył sobie przecież czwartą obręcz.

Jack wciągnął głęboko powietrze.

- Nie wygląda na to, żeby Robby'emu coś było - stwierdził. - Nie zakładajmy istnienia problemów, dopóki nie znajdziemy na nie dowodów.

Widząc, że Janet zacisnęła szczęki, agent skierował uwagę znów na Heather.

- No dobrze. Choć nie udało wam się zdobyć tego, po co weszliście, to jednak dokonaliście ważnego przełomu. Jak sądzą, ile jeszcze sesji to może zająć?

- Będę wiedziała, dopiero gdy stworzę mapę struktury fraktalnej.

- Wrócimy tam dziś wieczorem - zadeklarowała Jen.

- Nie - sprzeciwił się Jack. - Mark musi jeszcze odpocząć. Poza tym zanim spróbujecie jeszcze raz, mam dla was inne zadania.

- Na przykład sprawdzenie, co zamierza Stephenson?

- Szykuje się coś dużego. Pora użyć tych waszych specjalnych talentów, żeby dowiedzieć się, co takiego.

ROZDZIAŁ

22

Ciche drapanie, wzmocnione przez wszechogarniającą ciemność, wydawało się za każdym razem głośniejsze, aż wreszcie sprawiało wrażenie, jakby odbijało się echem od ścian. Nawet krótkie przerwy między odgłosami nabierały donośności, która uderzała chłopaka w uszy.

Drap.

Drap.

Drap.

Nic.

Przekonany, że draska na pudełku zdrapała już niemal wszystko z zapałki, Raul otworzył tekturowe opakowanie i wyciągnął kolejną kandydatkę. Ta zapłonęła przy pierwszej próbie, a blask skręcającego się płomienia zaatakował powiększoną źrenicę nastolatka, jakby ugodził w nią rozgrzany do czerwoności pogrzebacz.

Zmrużył oko, zmuszając się, by nie odwracać wzroku, i skierował ogień na knot zaimprovizowanej świecy. Wprawdzie zaczął się on żarzyć stłumioną czerwienią, ale uparcie opierał się pieszczotom płomyka, w przeciwieństwie do opuszki palca Raula.

– Cholera! – Chłopak upuścił zapałkę, która upadła na ziemię i zgasała, stłamszona ciemnością, spieszącą, by wypełnić przestrzeń opuszczoną przez światło. Raul niemal spodziewał się usłyszeć dudnienie implozji.

Miał więcej szczęścia z następną zapałką. Knot rozpalił się dymiącym płomieniem, utrzymującym się, gdy odsunął od niego zapalone drewnienko. Nastolatek odstawił nowe źródło światła na jedno z licznych otaczających go urządzeń i zaczął czekać, aż wzrok dostosuje się do nowych warunków.

Widział generator, rzucający cienie ze swych topornie poskładanych elementów. Tak, był toporny, ale gdy Raul na niego spoglądał, czuł, jak przez ciało przelewa mu się ciepła fala dumy. W końcu sam go wykonał i urządzenie działało. Zważywszy na okoliczności, był to cud inżynierii.

Gdy rozpoczął konstrukcję, zamierzał zastosować technologię parową. To jednak wymagałoby również budowy silnika parowego i uzyskania wystarczającej ilości ciepła, by go napędzać. Dałoby się to zrobić, ale tylko wtedy, gdyby generator pozostał mały. Raul szybko doszedł do wniosku, że może pójść na skróty i zmontować mechanizm, który do napędzania generatora wykorzystuje energię fizyczną – jego energię.

Gdyby wciąż miał nogi, nadałby swemu tworowi formę roweru. Zamiast tego złożył parę wyściełanych uchwytów na ręce, ustawionych na takiej wysokości, by mógł leżeć na plecach pod aparaturą i tam obsługiwać trzymadła. Jego siła obracała magnesy otoczone drucianym uzwojeniem i ruch przewodników w polu magnetycznym wyzwalał potrzebny prąd elektryczny.

Choć było to wielkie osiągnięcie, postawiło przed nastolatkiem kolejny problem.

Działając przy świetle zaimprovizowanej świecy, Raul otworzył panel zapewniający dostęp do baterii ogniwo mocy, które mogły zasilać urządzenia przetwarzające materię. Wykonał przewód, który miał łączyć jego prymitywny generator z ogniwami, lecz nie wiedział, czy uzyska odpowiednie natężenie, by je uruchomić. Okazało się, że nie.

Nieważne, jak szybko by kręcił trzymadłami, wciąż nie otrzymywał wystarczającej liczby amperów. Po kilku próbach leżał w kałuży potu rozlewającego się po gładkiej podłodze, zbyt wyczerpany, by przeczłogać się w suche miejsce. Gdy łyzy frustracji zaczęły ciec mu po policzku, mieszając się z potem, na powierzchnię jego umysłu wygrzebało się wspomnienie.

Jego ojciec zawsze był majsterkowiczem. Wprawdzie pracował na jednym z czołowych stanowisk w Projekcie Rho i specjalizował się w regeneracji komórek, jego prawdziwą miłość stanowiła fizyka stosowana. Raul pamiętał, że zanim zachorował,

ojciec zabrał go do garażu, by pokazać najnowszą wersję swojego kondensatora foliowego.

„Dzięki temu staniemy się bogaci” – oznajmił Ernesto, podnosząc urządzenie wielkości pięści. „Gdy tylko rozwiąże problem z przebiciem dielektryka, będziesz musiał pojechać do Instytutu Smithsonian, żeby znaleźć baterię”.

Działo się to na miesiąc przed zdiagnozowaniem u Raula agresywnego nowotworu mózgu. Na miesiąc przed tym, jak Ernesto Rodriguez odłożył na bok gmeranie przy kondensatorach, aby obsesyjnie zająć się próbami stworzenia lekarstwa w ramach Projektu Rho.

Kiedy nastolatek został połączony z okrętem Rho i jego zdumiewającą siecią neuronową, zauważył, że oprócz innych licznych osiągnięć budowniczy pojazdu rozwiązali problem kondensatora idealnego. Wytworzyli cienki dielektryk o niemal zerowym oporze doprowadzeń i niemal zerowym prądzie upływu.

Oznaczało to, że mogli przechowywać ładunki lepiej niż w jakiegokolwiek baterii wykonanej przez ludzi. Gdyby w pełni naładować jedno z takich ogniw, pozwoliłoby uzyskać wyładowanie elektryczne. A w obwodach okrętu Rho znajdowały się ich miliony.

Właśnie nad zasileniem jednego takiego akumulatora pilnie pracował Raul. Zerknął na swoje ręce o tak wykształconych mięśniach, że ich szczyty i doliny rzucały cienie na skórę. Takie efekty można osiągnąć, kręcąc czternaście godzin na dobę uchwytami generatora.

Złapał świecę i przepchnął się po podłodze, sunąc do otwartego panelu ściennego, gdzie gruby pęk przewodów łączył się z kablami kondensatora. Sam kondensator cholernie go przerażał. Jeden niewłaściwy ruch, przypadkowe dotknięcie i z Raula zostałyby dymiąca kupka węgla. Jego cudowne nanoboty pomknęłyby na tamten świat w dwanaście nanosekund, których potrzebowałyby elektryczność, by przepłynąć przez chirurgicznie skrócone ciało.

Na usta Raula zakradł się cichy chichot. Było coś

przezabawnego w gościu, który niedawno wychodził z siebie, aby popełnić samobójstwo, a teraz srał ze strachu w obliczu perspektywy natychmiastowej śmierci. Śmieszniej już być nie mogło.

Jego ludzkie oko spojrzało dwadzieścia centymetrów w lewo, gdzie ogniwo czekało na przyływ energii, która by je na nowo uruchomiła, a wraz z nim, przy odrobinie szczęścia, także utylizator materii, znany również jako system likwidacji śmieci.

Teraz musiał tylko osiągnąć cel, nie smażyć się przy okazji na węglek.

Aby to zrobić, skonstruował urządzenie znajdujące się teraz nad ogniwem. Wyglądało jak staromodna dźwignia, którą szalony naukowiec pociągał w dół, aby ożywić skleconego przez siebie potwora. Poniekąd o to właśnie chodziło, tyle że nastolatek nie miał zamiaru ruszać tej dźwigni. Miała tego w jego imieniu dokonać grawitacja. Wystarczyło wyszarpnąć długi plastikowy pręt, który zabezpieczał przełącznik przed opadnięciem i kontaktem z superkondensatorem.

Chłopak wziął głęboki oddech przez nos, przytrzymał powietrze dwie sekundy i wypuścił przez usta. Oddychając w ten sposób, można sobie zmniejszyć ciśnienie krwi o pięć procent. Następnie, odchyliwszy się do tyłu, by mieć pewność, że nie upadnie na panel, Raul z całej siły pociągnął za pręt.

Ktoś złapał za każdy włos na jego ciele i szarpnął tak mocno, że wydawały się wychodzić wraz z cebulkami. Gdy błyskawica przecinała rozgrzane do olbrzymiej temperatury powietrze pomiędzy kondensatorem a ogniwem, Raul poczuł, że uderza głową o podłogę. Ponad nim burza z piorunami rozmyła się w nicłość.

ROZDZIAŁ

23

Doktor Elsa Wesley wpatrywała się w monitor komputerowy, tak naprawdę go nie widząc. Przez jej ciało przeszło przeciągłe, powolne wzdrygnięcie. Zaczęło się od mrowienia na skórze rąk i nóg, mięśnie skurczyły się, gęsia skórka uniosła włosy na baczność. Wszystkie te doznania nabierały mocy, aż kobieta zaczęła się trząść, bliska łez.

Nie była głupia. Wiedziała, że przechodzi przez poważny stres. Psychiatra zdiagnozowałby jej stan jako PTSD, zespół stresu pourazowego. Myliłby się jednak. Był to zespół stresu ciągłego. Zespół stresu powiększającego się. O włos od zupełnego załamania nerwowego.

Zmuszając oczy, by się skupiły, Elsa zerknęła na potworny rozgardiasz sprzętu otaczającego detektor ATLAS i maleńki embrion zniszczenia dojrzewający w jego łonie. Co niewiarygodne, to nie on doprowadził kobietę na skraj poczytalności. Bestia odpowiedzialna za jej stan emocjonalny miała na nazwisko Stephenson.

Ten człowiek chyba nigdy nie sypiał. Nic nie uchodziło jego uwadze. Żadna pomyłka nie obywatła się bez reprimendy. I nie tylko ona miała takie kłopoty. Zdecydowanie nie tylko. Przez Stephensona wszyscy w LHC pozostawali w nerwach.

Jak to było w ogóle możliwe? W projekcie aż roiło się od najgenialniejszych umysłów na świecie, z których wielu szydziło z kolegów, uważając ich za półgłówków. U większości tych naukowców ego miało wielkość planety. Wszystko to zmieniło się w niecały tydzień. Cholera, zmieniło się już podczas spotkania wstępnego w głównej sali konferencyjnej.

Stephenson został przedstawiony zgromadzeniu przez profesora Louisa Dubois jako nowy szef i zostało to powitane

wyraźnie słyszalnymi pomrukami niezadowolenia. Ludzie nauki, zwłaszcza fizycy, nie cierpieli nagłych zmian, szczególnie gdy polegały one na tym, że kogoś z zewnątrz wynoszono ponad prawdziwych ekspertów, którzy od lat żyli projektem. Mężczyzn i kobiety znających każdy spaw w tunelach, natężenie pola elektromagnetycznego w każdym nadprzewodniku.

Gdy profesor Stephenson wszedł na środek podium i oznajmił, że odpowie na wszystkie pytania, w sali zapadła cisza, zupełnie jak w filmie *Jurassic Park* tuż przed tym, jak krowę opuszcza się do klatki z welociraptorem. I nagle burza zaatakowała z pełną mocą, zewsząd padały agresywne i szczegółowe pytania mające udowodnić, jak niewiele tak naprawdę słynny profesor Stephenson wie o Wielkim Zderzaczach Hadronów, o mrowiu jego detektorów i eksperymentów. O ATLAS-ie, CMS, ALICE, LHCb.

Stał tam przez trzy i pół godziny, odpowiadając na kolejne wystąpienia. Właściwie to nie tylko odpowiadał, lecz cytował publikacje napisane przez każdego pytającego, często podchodził też do tablicy, by przedstawić niewykryte wcześniej pomyłki w cytowanych pracach. Z biegiem spotkania złość i oburzenie wypełniające salę konferencyjną stopniowo przeradzały się w niechętny szacunek. Później w zachwyty. I wreszcie w strach.

Po trzeciej godzinie już tylko najślynniejsi naukowcy z projektu ośmielali się zadawać kolejne pytania. Każdy z nich pragnął trafić na coś, na co stojący przed nimi mężczyzna nie zdoła odpowiedzieć. A gdy spokojnie i rzeczowo udzielał informacji, milkli. Profesor Stephenson dalej stał na podium, wpatrując się w nich niczym jakiś mafijny boss, który właśnie zlikwidował ojca chrzestnego i wszystkich jego najlepszych żołnierzy.

Wiadomość była jasna. Pojawił się nowy szef. I był bezlitosny.

ROZDZIAŁ

24

Wiatr świszczał przez krokwie, gdy Heather obserwowała pierwsze wielkie krople deszczu rozpryskujące się na oknach centrum łącznościowego. Wnętrze budynku zorganizowano na planie siatki, zwykłe prostokątne stoły stały w rzędach na podwyższonej metalowej podłodze. Na ich blatach znajdowały się komputerowe stacje robocze, laptopy i specjalistyczny sprzęt łącznościowy, nabyty przez Jacka w ciągu ostatnich dwóch lat, lecz w sporej mierze zmodyfikowany dzięki elektronicznym zdolnościom Jennifer, Heather oraz Marka.

Gdy pojawili się w hacjendzie Frazier, stabilne zasilanie bywało czasami problemem, ponieważ energia pochodziła z połączenia generatorów wiatrowych oraz słonecznych. Jednym z pierwszych zadań nastolatków było skonstruowanie repliki ich urządzenia zimnofuzyjnego. To, na co za pierwszym razem poświęcili kilka miesięcy, teraz skończyli w miesiąc, choć większość czasu zajmował im przecież ścisły reżim szkoleniowy Jacka. Ponadto w tej wersji generatora dokonali wielu usprawnień, dzięki czemu mógł zaopatrywać w prąd całe gospodarstwo.

Co więcej, przełom, jakim było zminiaturyzowanie podprzestrzennego urządzenia nadawczo-odbiorczego, pozwolił im błyskawicznie wzbogacić o nie kilka komputerów. I już zdążyli tę nową funkcję dobrze wykorzystać. W końcu po co komu możliwość niewykrywalnego hakowania tajnych sieci, jeśli jej się nie używa? Jack krok po kroku pokazał im, jak wyrobić sobie kilka dodatkowych tożsamości. Oryginalne paszporty, konta bankowe, rejestry medyczne, zaświadczenia o służbie wojskowej, dzieje rodziny, historie kredytowe, wszystko to było łatwizną, jeśli umiało się kontrolować oficjalne systemy, które

tworzyły takie dane i nimi zarządzały.

Założyli sobie tożsamości w siedemnastu krajach, nie licząc Stanów Zjednoczonych, po czym dokumenty zostały dostarczone do pośredników i schowane na całym świecie w szafkach dworcowych, magazynach długoterminowych oraz skrytkach bankowych. Pieniądze przeniesiono na zagraniczne rachunki i sfinansowano z nich założenie firm, z których część składała się wyłącznie ze skrytki pocztowej oraz adresu, reszta zaś to legalne małe przedsiębiorstwa służące jako przykrywki. Jack kierował się zasadą, że żaden kontrolowany przez nich biznes nie powinien posiadać finansów przekraczających siedemnaście milionów dolarów.

Heather roześmiała się z tej kwoty, lecz po bliższym zastanowieniu uznała ją za rozsądną. Rządy koncentrowały się na równych liczbach i dużych firmach. I choć jako „duże” definiowano przedsiębiorstwa o wartości ponad pięciuset milionów dolarów amerykańskich, ta wartość zależała od kraju i rynku. Poza tym, gdyby wpadli w kłopoty, które naraziłyby konkretną operację, lepiej, żeby strata dotknęła tylko część zasobów. Indywidualne małe oddziały funkcjonowały w różnych państwach pod odrębnymi strukturami korporacyjnymi.

Kapitał początkowy dla ich operacji pochodził ze skoku Jennifer na konta kartelu Espe?osa. Dzięki wyjątkowemu talentowi Heather do wyszukiwania trendów i wzorców, ich inwestycje szybko rozkwitły, zwłaszcza że mogli uzyskiwać szczegółowe wewnętrzne informacje na temat działań korporacji. Pozostawało to oczywiście zupełnie nielegalne, ale tak samo było z niemal wszystkim, co robili.

Heather zerknęła na bliźnięta, siedzące przy swoich stacjach roboczych i całkowicie skoncentrowane na wykonywanych zadaniach. Czyli na sprawdzaniu, co zamierza profesor Donald Stephenson.

Skupiła się znów na własnym monitorze, gdzie przeglądała wszystkie wiadomości dotyczące wypuszczenia Stephensona z więzienia, prezydenckich przeprosin, wyznaczenia profesora na przedstawiciela USA przy CERNi zaskakujące mianowanie go na

szefa zespołu naukowego pracującego przy detektorze ATLAS.

Przerzuciła wszystkie anglojęzyczne linki, a później zabrała się stron zagranicznych, zwłaszcza tych najbliższych Wielkiego Zderzacza Hadronów: szwajcarskich, francuskich, niemieckich, włoskich, hiszpańskich. I wprawdzie była dumna ze zdolności językowych, które nabyły wraz z Jen w ostatnich miesiącach, jednak nadal nie mogły się równać z Markiem. Właśnie dlatego dziewczyny zostawiły mu witryny rosyjskie, wschodnioeuropejskie i chińskie.

Problem w tym, że im głębiej szukała, tym mniej znajdowała w tym wszystkim sensu. Artykuły o przydzieleniu Stephensona do LHC, których źródłem była administracja amerykańska i liczne rządy europejskie, pasowały do siebie zbyt idealnie. Od kiedy to Europejczycy zaczęli podporządkowywać się USA w kwestii badań nad fizyką cząstek elementarnych? W końcu to oni skonstruowali największy akcelerator zderzeniowy w dziejach. Owszem, Amerykanie się przyłożyli, ale w całym przedsięwzięciu prym wiodła Europa.

A jednak z jakiegoś powodu uznany francuski fizyk profesor Louis Dubois posłusznie odsunął się na bok i dobrowolnie pogodził się z mniej ważną rolą w projekcie, by Donald Kryminalista zajął jego pozycję.

Dwie godziny później wcale nie zbliżyła się do rozwiązania. Mark oraz Jen również nie donosili o większych postępach.

Heather przetarła oczy grzbietami dłoni i przeciągnęła się w fotelu, by przywrócić krążenie w nogach. Na zewnątrz wiatr ucichł i nocną ciszę przerywały tylko odgłosy lekkiego, miarowego deszczu. Trochę bliżej niej stukot klawiszy klawiatury wznosił się ponad szum komputerowych wiatraczków.

Wstała, podeszła do drzwi i wyszła w ciemność, osłonięta okapem przed deszczem. Odetchnęła głęboko, pozwalając, by rześkie, wilgotne powietrze, które już chłodziło jej skórę, wypełniło też płuca.

W głównym domu wszystkie światła były zgaszone, ale Heather dostrzegła szczupłą sylwetkę Jacka rozpartą w jednym z foteli na

werandzie. Agent najwyraźniej również jej się przyglądał. O czym myślał? Choć bardzo go lubiła i szanowała, pozostawał osnuty tajemnicą. Najgroźniejszy człowiek, jakiego mogła sobie wyobrazić, często okazywał beztroskę, którą dodawał otuchy otaczającym go osobom. Z drugiej strony potrafił ich zajeżdzać niczym nadzorca niewolników na rzymskiej galerze. Niemal słyszała, jak wrzeszczy do bębniarza: „Prędkość taranująca!”.

Zdradzony przez swój kraj i najbardziej poszukiwany człowiek świata relaksował się na ciemnym ganku swojego domu, opierając stopy o stolik i słuchając deszczu. Siedział tam, czekając na odpowiedzi od swego zespołu. Nie popędzał ich, jedynie czekał.

Czując ciężar odpowiedzialności narzucony na jej barki niczym ciężki, mokry koc, Heather jeszcze raz odetchnęła, po czym wróciła do centrum łącznościowego.

ROZDZIAŁ

25

Ciepłe promienie popołudniowego słońca wpadały przez okna salonu, przeciskając się przez szczelinę między zasłonami i malując na podłodze jaskrawożółtą plamę. Drobinki kurzu unosiły się w nich niczym rybki w akwarium.

Linda Smythe siedziała na kanapie, wpatrując się przed siebie, zupełnie nieświadoma wysiłków podejmowanych przez promyki, by rozświetlić ciemny pokój. Gdyby je zauważyła, podeszłaby do zasłon i zaciągnęła je mocniej. W mrocznym miejscu, w którym przebywała, nie było miejsca na światło.

Na ściankach wysokiej szklanki, stojącej na kawowym stoliku w kolorze czekoladowego brązu, sperliła się woda, sięgając ku okrągłej białej tabletkę. Linda spuściła wzrok, zatrzymała go na pigułce, po czym wróciła spojrzeniem ku pustemu miejscu nad telewizorem. Trazodon stracił już swój powab, nie był w stanie wyciągnąć jej z mrocznego nieszczęścia. Teraz już tylko chciało jej się po nim spać. Jednak sen był gorszy niż jawa. We śnie się śniło. W snach jej bliźniacze maleństwa ją zostawiły. W snach jej bliźniacze maleństwa umarły.

Wiedziała, że nie żyją. Gdyby żyli, skontaktowaliby się z nią. Odezwaliby się do Freda, Anny lub Gila. Jennifer z jakiegoś powodu uciekła, a Mark i Heather ruszyli za nią. Nieznana paskudna sprawa, w którą wplątała się Jen, zabiła ich wszystkich. Tylko to mogło tłumaczyć miesiące milczenia. Znała swoje dzieci. Niemożliwe, by pozwoliły rodzicom tak długo cierpieć. Nie było mowy.

Władze nijak nie pomagały, pomimo powtarzanych do znudzenia odpowiedzi, że „dochodzenie jest w toku”. Dzieci Smythe’ów i McFarlandów zostały spisane na straty, podobnie jak tyle tysięcy innych uciekinierów. Linda praktycznie słyszała

w głowie funkcjonariuszy, z którymi się skontaktowała, zastanawiających się, dlaczego po prostu nie kazali umieścić kolejnych trzech twarzy na kartonach z mlekiem i na tym poprzestać.

Fred już od jakiegoś czasu wiedział, że jego żona ma kłopoty. Cierpiała w środku, patrząc, jak mąż bardzo się starał, by przywrócić jej życiu choć odrobinę radości. Był uroczy i zalewał ją miłością, choć widziała, że wciąż wściekał się na siebie w myślach za niepowodzenia, zupełnie jakby mógł samą siłą woli dokonać niemożliwego.

Anna i Gil też dawali z siebie wszystko. Wszyscy troje byli tacy silni. Każde cierpiało po swojemu, w jakiś sposób czerpiąc z pokładów wewnętrznej siły, do których Linda nie potrafiła dotrzeć. Być może by ją odnalazła po odejściu Jennifer, gdyby miała wystarczająco czasu i wsparcia. Ale gdy zniknął również Mark? Zupełnie jakby ktoś wbił jej nóż w serce, a następnie sięgnął w ziejący otwór, by wyrwać pozostałe tam resztki.

Linda wstała niepewnie i obeszła niski stolik, na którym leżała otwarta Biblia. Zatrzymała się, by spojrzeć na księgę, której krawędzie stron pociągnięto złotem, którą wykonano z taką miłością, że doskonale leżała w dłoniach. Nigdy nie była religijna, lecz teraz w desperacji zwróciła się ku Pismu Świętemu. Przeczytała całość i znalazła fragmenty, które powinny dać jej otuchę.

No i modliła się. Boże, ależ się modliła. Panie, oddaj mi tylko moje dzieci. Zamiast nich zabierz mnie. Zrobię wszystko, Panie. Cokolwiek zechcesz. Niech tylko moje dzieci wrócą bezpiecznie do domu.

Ależ wiele jej to dało! Podniosła Biblię, wrzuciła ją do małego śmietnika wytłaczanego w sylwetki łosi, po czym odwróciła się i powoli wspięła po schodach.

ROZDZIAŁ

26

Zimny wiosenny wicher dmuchał od gór Sangre de Cristo, odrzucając Wysokiemu Niedźwiedziowi na plecy długie czarne włosy i żądłąc mu twarz niczym lodowaty bicz. Jednak wiatr wcale nie byłby cieplejszy w jego rodzinnych stronach, w rezerwacie Santa Clara. Większość stanu Nowy Meksyk leżała na wschodnich zboczach Gór Skalistych, na wschód od kontynentalnego działu wód, i tam właśnie powstawał zimny wicher chinook. Wiosną rodził się wysoko i spadał z furią po stromych stokach w zacieklej szarzy, przed którą chowało się wszystko, co znalazło się na jego drodze.

Obraz z młodości wskoczył nieproszony do umysłu Indianina. Niebo ze wspomnień było szare jak tutaj, a lodowaty podmuch niósł poziomo deszcz ze śniegiem. Zimne grudki żądliły go w policzki, uszy i szyję, gdy na koniu zaganiał chorą krowę do zagrody. Wysoki Niedźwiedź przechylił głowę mocno w lewo, ponieważ jedyną ochronę zapewniało mu szerokie rondo kowbojskiego kapelusza. I wtedy to zobaczył. W odległości niecałych dziesięciu metrów jego ojciec, Wrzeszczący Orzeł, siedział na wielkiej gniadej kłaczy, która kuliła się za słupem telefonicznym, instynktownie szukając osłony po zawietrznej stronie wysokiego drewnianego drąga. Była to jedna z najzabawniejszych rzeczy, jakie Wysoki Niedźwiedź kiedykolwiek widział.

Wrzeszczący Orzeł był twardym Indianinem. Gdy jego syn zmusił umysł do powrotu do terażniejszości i spojrzął na zgromadzonych przed nim ludzi, wiedział już, że jeśli mają przejść przez to, co ich czekało, potrzeba im będzie wielu ludzi takich jak ojciec.

Taos Pueblo, zbudowane całkowicie z suszonych na słońcu

cegieł, stanowiło dom dla około stu pięćdziesięciu stałych mieszkańców. Inni członkowie plemienia żyli w nowocześniejszych domach poza murami, lecz wciąż na terenie rezerwatu, liczącego czterdzieści tysięcy hektarów plemiennych ziem. Ponieważ osada leżała na wysokości ponad dwóch tysięcy metrów nad poziomem morza, Wysoki Niedźwiedź uznał ją za doskonałe miejsce na uroczystość. Na drugą tego typu deklarację niepodległości na indiańskich terenach Nowego Meksyku.

Od końca 1970 roku, kiedy to prezydent Richard M. Nixon podpisał ustawę federalną 91-550, formalnie zwracając święte Jezioro Błękitne i otaczające je ziemie pierwotnym mieszkańcom, żadna inna ceremonia nie miała takiego historycznego znaczenia. Potrzeba było sześćdziesięciu czterech lat walki, aby unieważnić krzywdę, jaką było odebranie rdzennym mieszkańcom tego terenu. Wystarczyły jednak tylko dwa lata, by społeczność z Taos Pueblo zupełnie zrezygnowała z dostawy prądu z federalnej sieci elektrycznej.

Wysoki Niedźwiedź przewodził podobnym wysiłkom w rezerwacie Santa Clara, jednak to Taos Pueblo nadało ruchowi szerokiego rozgłosu i jego doświadczenia były obecnie wykorzystywane przez plemiona w całym kraju. Gdy stał teraz na dziedzińcu kościoła Świętego Hieronima i wpatrywał się w świątynię oraz otaczające ją mury z brązowej i białej cegły, a także w trzy białe krzyże widoczne na kościelnym dachu, Indianin czuł w głębi ciepło sprawiające, że kąśliwy wiatr nie wydawał się już tak dokuczliwy.

Wypowiedziawszy kilka ostatnich słów w języku tiwa, plemienny gubernator Vidal Padilla pociągnął za sznur, ściągając płachtę, która odsłoniła małą wnękę w zewnętrznym murze oraz umieszczoną w niej ceremonialną maskę, większą niż te używane w rzeczywistości. Padilla przeszedł na prawo i nacisnął przełącznik, wypełniając niszę miękkim, niegasnącym blaskiem.

Gubernator uśmiechnął się wśród żywiołowych oklasków zgromadzonych Indian, podobnie jak Wysoki Niedźwiedź. W tym strumyczku elektryczności popłynęły pierwsze waty z nowego urządzenia w pueblo: zimnofuzyjnego reaktora Kwee.

ROZDZIAŁ

27

Waszyngtoński park National Mall był piękny w świetle wczesnego poranka. O tej porze słońce wisiało nisko na niebie, a jego odbicie w akwenie Tidal Basin podświetlało kwiaty wiśni. Gdy dziennikarz Freddy Hagerman biegł między drzewami, pąki jaśniały bladym różem i bielą, wypełniając powietrze odrobiną pradawnej Japonii.

Freddy nigdy w życiu nie znajdował się w lepszym stanie fizycznym. Wypełnił płuca powietrzem i utrzymał je przez dwa pełne kroki, po czym powoli wypuścił, ciesząc się dodatkową sprężystością, jaką dawała mu proteza do biegania. To druga noga stanowiła słabe ogniwo. Z jej powodu musiał na przemian posuwać się krótkimi i długimi krokami, co stanowiło dość dziwny widok. Przyzwyczał się jednak. Sztuczna kończyna okazała się tak dobra, że poważnie zastanawiał się, czy nie wymienić też drugiej.

– Ale na pewno nie odetną jej ludzie Benny’ego Marucciego – mruknął pod nosem, biegnąc.

Freddy nigdy nie miał zbytniego świra na punkcie formy. To zabawne, jak długa ucieczka w chłodzie po postrzale, a później odcięcie nogi przez zgraję mafijnych zbirów mogą wpłynąć na sposób, w jaki postrzega się życie. Poza tym teraz, gdy został sławny, musiał bardziej o siebie dbać.

Musiał się też postarać, by to się nie skończyło.

Cholera. Telefonowały do niego nawet byłe żony, mówiąc, jak bardzo za nim tęsknią i jak miło byłoby się znowu zejść. Nie ma mowy.

Skręcił w lewo, nabrał tempa na ostatnim odcinku i wyhamował przed pomnikiem Washingtona. Założył dłonie za głowę, dysząc niczym miech kowalski, po czym ruszył powoli w

stronę samochodu, by dojść do siebie.

Nowiutki lincoln MKX w kolorze spizu wykrył brelok w jego kieszeni i odblokował drzwi kierowcy. Freddy otworzył je i sięgnął do środka, by zgarnąć suchy podkoszulek z fotela pasażera. Przeszedł na tył pojazdu, nacisnął na pilocie przycisk otwarcia bagażnika, ściągnął mokrą koszulkę, zwinął ją w kłębek i rzucił do przestronnej komory.

Następnie podniósł i strzepnął czystą, by ją rozprostować. Była granatowa, z pogrubionym białym napisem przedstawiającym jego ulubione pytanie: „Czy wyglądam, jakby mnie to choć trochę obchodziło?”.

Freddy obrócił się i oparł o tył auta, by ściągnąć wygiętą elastyczną listwę służącą mu do biegania. Wytarł ją troskliwie suchym ręcznikiem i wymienił na standardową protezę do chodzenia. Dzięki pieniądзом, jakie „New York Post” zaproponował mu za stanowisko polityczne w stolicy, mógł sobie pozwolić na naprawdę fajne nogi. I naprawdę fajne dupy.

Znów wcisnął przycisk bagażnika, by go zamknąć, obszedł samochód i otworzył drzwi. Dopiero gdy usiadł w fotelu kierowcy, dostrzegł to. Małą żółtą przyklejaną karteczkę umocowaną na lewo od panelu przyrządów.

Co jest, do cholery?

Jakiś dupek był w jego aucie? Ale jak? Freddy zawsze go zamykał, a te nowe cacka wyposażano w lepsze zabezpieczenia niż kiedyś. Poza tym ktoś, kto się włamał, później uruchomił mechanizm na nowo. A przynajmniej Hagerman tak sądził. Gdy cofnął się myślą, był przekonany, że podchodząc, słyszał odgłos otwierających się drzwi.

Zerknął do schowka na rękawiczki. Wciąż był tam jego portfel, nie brakowało w nim pieniędzy ani kart kredytowych. W całym pojeździe nie widział żadnych innych śladów wtargnięcia. Tylko żółty świstek na tablicy rozdzielczej.

Wyciągnął rękę, złapał kartkę za róg i odkleił ją. Dwanaście małych, schludnie wydrukowanych słów:

„Coś lepszego niż Henderson House. 18.15. Czytelnia Główna Biblioteki Kongresu. Znajdę cię”.

Warte każdego wydanego centa.

Freddy Hagerman nie był zbytnim miłośnikiem wydatków publicznych, jednak raz na jakiś czas coś wychodziło dobrze. Gdy stanął w wejściu wyremontowanej Biblioteki Kongresu, wiedział, że spogląda właśnie na jeden z takich rzadkich udanych projektów. Sufit wielkiego holu wieńczyły kunsztownie wykonane łuki, podłoga była wyłożona drewnianym parkietem inkrustowanym mosiądzem. Całość oszałamiała swym dostojnością. Wprawdzie dziennikarz bywał już wielokrotnie w Budynku imienia Thomasa Jeffersona, jednak zawsze działał on na niego tak samo.

Zerknął na zegarek. Osiemnasta trzynaście. Pora ruszać, jeśli nie chciał przegapić spotkania. A zdecydowanie nie chciał.

Odkąd pojawiła się sława, nie potrafiłby zliczyć, ilu tak zwanych „informerów” próbowało zainteresować go swoimi historiami, wszystkie z nich miały okazać się najważniejszą rzeczą, na jaką się natknął. I choć Freddy potrafił z naprawdę daleka wykryć bzdury, na samo słuchanie tych ludzi tracił więcej czasu, niż chciał. To dlatego nie rozmawiał już z nikim, kto nie został sprawdzony przez Julię, jego asystentkę. Tym razem było jednak inaczej. Musiał przyznać, że włamanie do samochodu zwróciło jego uwagę. Zaczął go swędzieć reporterski nos. A teraz to swędzenie przeniosło się na jego nogi, które poniosły go ku środkowemu z pięciu pustych biurek w drugim kręgu Czytelni Głównej.

Ledwo zdążył zająć krzesło przy blacie, gdy na lewo od niego usiadła kobieta. Pochylała się nad dużą książką w twardej oprawie, a jej włosy lekko przetykane siwizną były schludnie spięte w akademickiego kucyka i okalały profil świadczący o zdecydowaniu oraz inteligencji. Uciszyła go, zanim zdążył się odezwać.

– Niech pan nic do mnie nie mówi – rzekła ledwo słyszalnym szeptem. – Proszę spoglądać na swoje biurko i, na litość boską, próbować wyglądać, jakby pan nad czymś pracował.

Freddy obrócił się do swojego blatu. Nie miał żadnej książki, więc jeśli nie chciał wyróżniać się jak latarnia morska w mglistą noc na cyplu Cape Cod, musiał zadowolić się terminarzem. Otworzył go i udawał, że wczytuje się w spis czekających go spotkań.

Kobieta milczała tak długo, że Hagerman zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił błędu. Odezwała się jednak znowu, jeszcze ciszej niż wcześniej.

– Chyba najlepiej będzie zacząć od krótkiej prezentacji. Nazywam się Denise Jennings. Legitymuję się tytułem doktora i przez ostatnich dwadzieścia pięć lat pracowałam w National Security Agency. W związku z tym wszystko, co panu powiem, jest całkowicie poza protokołem. Pańskie dalsze milczenie będzie oznaczało, że zgadza się pan na te warunki. Jeśli nie, proszę po prostu wstać i odejść.

Znów przerwała, dając mu czas na zastanowienie.

– W tym punkcie swojej kariery chcę już tylko dotrzeć do emerytury, najlepiej żywa i nie w więzieniu. Niestety, natknęłam się na pewne informacje, z którymi nie chcę mieć nic wspólnego. Powinnam umyć ręce od tego całego cholerstwa.

Odetchnęła głęboko i przytrzymała powietrze przez dwie sekundy, zanim je wypuściła.

– Postawmy sprawę jasno. Nieważne, co postanowi pan zrobić z otrzymanymi informacjami, ja po naszym spotkaniu z tym kończę. Wybrałam pana, żeby się pan zajął tą sprawą, ponieważ wykazał pan już wyjątkowy talent do wykopywania niebezpiecznych rzeczy.

Freddy przrzucił kartkę w terminarzu. Nie wiedział, czy była z NSA, czy nie, ale zamierzał sprawdzić to później. Na razie zachowywał otwarty umysł i słuchał.

– W wieczór Dnia Dziękczynienia, gdy pański artykuł o Henderson House właśnie nabierał rozgłosu, w detektorze ATLAS w Wielkim Zderzaczu Hadronów pod Genewą powstała anomalia. To, co zamierzam panu przekazać, jest najściślej strzeżoną tajemnicą na tej planecie.

I znów pauza oraz głębokie odetchnięcie. Freddy przewrócił

kolejną stronicę. Kobieta tak ściszyła głos, że trudno mu było rozumieć jej słowa.

- Podczas testów w LHC w punkcie zderzania wiązek uformowało się coś, co naukowcy z CERN nazywają Listopadową Anomalią, i utrzymuje się, choć wyłączono wiązki cząstek. Obecnie zjawisko pozostaje zamknięte w niewystarczająco silnej klatce elektromagnetycznej. A zła wiadomość jest taka, że ze sporym prawdopodobieństwem przekształci się w czarną dziurę, która pochłonie Ziemię.

Freddy zakrztusił się i ukrył swą reakcję za serią lekkich kaszlnięć.

- To dlatego prezydent ułaskawił profesora Donalda Stephensona i wysłał go do Szwajcarii. Najprawdopodobniej jest jedynym fizykiem dysponującym teorią, która prawidłowo modeluje anomalię. Mają nadzieję, że wymyśli jakiś sposób powstrzymania tego, co się dzieje. Gdyby to było wszystko, nie mówiłabym o tym panu. Ale, Boże, dopomóż mi, natrafiłam na coś o wiele gorszego. - Doktor Jennings odchrząknęła. - Znalazłam przesłanki, że to Projekt Rho profesora Stephensona mógł doprowadzić do Listopadowej Anomalii. Proszę na mnie nie patrzeć! Nie zamierzam tego dowodzić. Nie zamierzam też dać panu choćby skrawka wskazówki, dlaczego tak uważam. Proszę zrobić z tą informacją, co tylko pan zechce. I tak już powiedziałam znacznie więcej, niż powinnam.

Zamknęła książkę i odsunęła krzesło.

- Jeszcze jedno. Proszę się zastanowić, co takiego mógł planować profesor Stephenson, że dla realizacji swego celu naraził całą planetę. Mam nadzieję, że pan odkryje coś innego, bo odpowiedzi, których ja się doszukałam, nie pozwalają spokojnie spać.

Nagle powietrze w wielkiej starej bibliotece wydało się chłodniejsze, a lodowate pazury zimowej wiedzmy przeciągnęły po plecach Freddy'ego.

Denise Jennings podniosła się.

- Proszę się ze mną nie kontaktować... Nigdy! - wyszeptała jeszcze ostatnie ostrzeżenie, po czym odeszła. Jej wyprostowana,

szczupła postać opuszczała Czytelnię Główną z równą swobodą,
jakby kobieta właśnie skończyła przeglądać książkę.

ROZDZIAŁ

28

Mark dobrze wiedział, że z brakiem snu wiąże się ważna rzecz: można było cholernie wiele zrobić. To nie tak, że ich trójka nigdy nie sypiała. Czasami, po wyjątkowo stresującym wydarzeniu lub odniesieniu obrażeń, porządna drzemka świetnie wzmacniała i tak już spektakularne mechanizmy regeneracyjne ich organizmów. Żadne z nich jednak nie spało dużo. I słusznie, zważywszy na ścisły harmonogram opracowany przez Jacka.

Oboje agenci nalegali na szkolenie krzyżowe, czyli by każdy członek drużyny umiał na tyle dobrze wykonywać zadania reszty, że jeśli jedno z nich zostanie wyeliminowane, pozostali zdołają zakończyć misję. Nie dotyczyło to wyłącznie umiejętności wojskowych, jak bojowe procedury medyczne, lecz także ich wyjątkowych talentów. Tygodniami uczyli się obsługiwać komputery jak Jennifer, analizować biegi wydarzeń jak Heather i rozwijać zdolności językowe jak Mark. I choć nigdy nie mogli osiągnąć w tych dziedzinach podobnego poziomu jak drużynowy ekspert, mimo to stawali się bardzo, bardzo dobrzy.

Dziś nadeszła kolej na noc komputerową i każde z nich otrzymało inny cel. Mark błądził wzrokiem po monitorze. Skakał po systemach, hakując je, by dzięki temu móc przejść do kolejnych. Pomysł był prosty i nie wymagał podprzestrzennego urządzenia nadawczo-odbiorczego. Chłopak potrafił włamać się do dowolnej sieci, używając bezprzewodowego hot spotu, jednak ze względów bezpieczeństwa cała ich trójka korzystała z kluczy podprzestrzennych, które zapewniały im wirtualne połączenie, wydające się pochodzić z dowolnego wybranego przez nich miejsca. Mark wybrał system komputerowy międzynarodowego portu lotniczego Baltimore/Washington.

Skakanie odbywało się na zasadzie sekwencji szybkich kroków.

Cel osiągało się, wykonując błyskawiczne przejścia, a następnie przerzucając się do kolejnej sieci w taki sposób, by w wyznaczonym czasie zakończyć jak najwięcej skoków.

Krok pierwszy: uzyskać dostęp. Krok drugi: zidentyfikować zasoby i możliwości sieci. Krok trzeci: przejąć na krótką chwilę kontrolę nad zasobami sieciowymi. Krok czwarty: skoczyć.

Mark odbywał właśnie skok numer pięć i dopiero co aktywował sniffer w lotniskowej sieci bezpieczeństwa. Kąciki ust wykrzywiły mu się w nieznacznym uśmiechu. Departament Bezpieczeństwa Krajowego nie będzie zbyt zadowolony.

Większość ruchu sieciowego odbywała się po TCP, protokole internetowym używanym najpowszechniej na całym świecie i tak dobrze znanym Markowi, że chłopak mógł w czasie rzeczywistym tworzyć w głowie listę adresów, gdy błyskawicznie skanował nagłówki TCP. Potrzeba było tylko kilku minut, by zbudować dość długą listę IP należących do urzędzeń w obserwowanej podsieci.

Zadowolony, że uzyskał najaktywniejsze adresy, Mark uruchomił na swym laptopie specjalny program, który zaczął przysyłać dane pod każdym z nich, działając zgodnie z sekwencją znanych błędów w systemach operacyjnych i oprogramowaniu, aż znalazł lukę pozwalającą ominąć zaporę sieciową. Jakkolwiek dobry okazałyby się administrator, w komputerach było pełno złożonych programów, a takowe zawsze miały usterki bezpieczeństwa, które dało się wykorzystać. Wiele z tych błędów było znanych internetowym społecznościom hakerskim, lecz Mark, Heather i Jen znaleźli sporo wcześniej nieodkrytych luk w popularnych systemach operacyjnych, nawet w tych na najnowsze modele telefonów komórkowych i tabletów.

Chłopak wybrał komputer z listy, ominął firewall i w jednej z bibliotek systemowych zainstalował drobną modyfikację, pilnując, by nie zmieniła się data pliku, jego rozmiar, sumy kontrolne oraz informacje bezpieczeństwa. Później nie miał już problemu z wyświetleniem listy zainstalowanych urzędzeń, sterowników, działających usług, zainstalowanych programów, kont użytkowników i innych elementów systemu.

Komputer okazał się dość nowym laptopem z wbudowanym mikrofonem, głośnikami i kamerą. Mikrofon oraz kamera były obecnie wyłączone. Mark uruchomił je, przekierowując strumień danych do małego okienka serwera mediów w lewym górnym rogu ekranu.

Dość zaniedbana blondynka po czterdziestce wydawała się wpatrywać bezpośrednio w niego, stukając w klawiaturę. Mark zerknął na konto aktywnego użytkownika i zidentyfikował ją jako APeterson. Sprawdził od razu jej otwartą skrzynkę pocztową i wyciągnął informacje.

Annette Peterson
43 Walker Place
Baltimore, MD 21240
410-691-1353 (dom)
410-691-2764 (praca)
410-324-8763 (komórka)

Straciwszy szybko zainteresowanie Annette, Mark przemknął błyskawicznie przez cztery kolejne komputery, zanim znalazł to, czego szukał: system kontrolujący lotniskowe kamery bezpieczeństwa. Ułożył wzdłuż lewej krawędzi ekranu cztery okienka i zaczął przeskakiwać pomiędzy kamerami. Najwyraźniej w poniedziałek odbywało się wiele lotów.

Gdy uznał, że dobrze już poznał bieżącą sieć, Mark skoczył znowu, a później jeszcze raz. Dwie godziny później odsunął fotel od stacji roboczej, przeszedł przez pomieszczenie do lodówki i wyciągnął butelkę z wodą.

– O mój Boże! – Na okrzyk siostry chłopak obrócił głowę.

– Co? – Zobaczył, że Heather wychyla się, by zerknąć na wyświetlacz Jennifer.

– Weszłam w laptop mamy.

Po twarzy Heather przemknęła lawina emocji, wśród których przeważało zaniepokojenie. Mark uświadomił sobie, że stoi za siostrą, choć nie pamiętał, by się przemieszczał.

– Jen! – wydyszał. Sprzeczne emocje niemal pozbawiły go głosu.

- Pamiętaj, co mówił Jack.

- Nie zapomniałam. Ale przecież skakaliśmy po rozmaitych systemach i na pewno zwracaliśmy na siebie uwagę różnych analityków do spraw bezpieczeństwa. Jeśli nie namierzyli nas wtedy, to na pewno nie zrobią tego tu.

Heather położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki.

- Wiesz, jak bardzo chciałabym zrobić to samo. Tyle że to po prostu nie wydaje się bezpieczne.

Jennifer obróciła fotel w ich stronę. Najpierw spojrzała na Heather, a później na Marka.

- Niech to cholera! Do diabła z bezpieczeństwem! Wiem, że to wszystko moja wina. To ja uciekłam. To ja sprawiłam, że ruszyliście za mną. Ale na pewno nie pozwolę na to, by mama i tata zmarnieli ze zmartwienia i nie wiedzieli nawet, czy żyjemy. Zaslужują na coś więcej.

Mark czuł się, jakby ktoś kopnął go w krocze. Oczyma wyobraźni widział silne ramiona taty tulące mocno mamę, gdy opierała głowę na jego piersi i łzy spływały jej po policzkach, mocząc mu koszulkę, a jej ból splatał się z jego cierpieniem. Nieukojeni. Patrzył na to w snach. Gdy teraz zerknął na Heather, dostrzegł po jej białych oczach, że ona też to widziała.

Gdy spojrzenie dziewczyny wróciło do normalności, zatoczyła się i tylko dłoń Marka przytrzymująca jej ramię powstrzymała ją przed upadkiem. Heather wyprostowała się, spojrzała mu w oczy i skinęła głową. Zastanawiał się, czy poczuła tę samą iskrę, co on.

- No dobra, Jen - powiedziała. - Już czas.

ROZDZIAŁ

29

Linda Smythe siedziała przy klawiaturze, na nowo czytając niekończący się strumień wspierających postów na Facebooku od wszystkich bliskich przyjaciół, od Anny, od Freda. Przez ostatnich kilka tygodni czuła pewną ulgę, gdy obnażała na swym profilu najmroczniejsze zakątki duszy. Pocieszała ją nawet myśl, że tak wiele osób próbowało rzucić jej koło ratunkowe.

Jej najbliżsi spędzili przy niej fizycznie tyle czasu, że zakłóciło to ich prywatne życie, jednak żadna ilość uścisków i trzymania za rękę nie mogła wyleczyć depresji, w jaką się osunęła. W jakiś sposób najpierw Anna, a później Fred dostrzegli, że wpisy na Facebooku przynosiły jej choćby nieznaczną, ale jednak ulgę. Żadna z tych osób nie okazywała nawet najmniejszej urazy, że portal społecznościowy wydawał się zapewniać pomoc, której nie mogła dać jej ich miłość.

Gdy teraz Linda wpatrywała się w Facebooka, wyraźnie uświadamiała sobie, że nawet to przestało już działać. Przejrzała wszystkie świeże posty, czując jedynie tępy ból narastający w przeponie i niepozostawiający miejsca na powietrze w płucach. Tylko ta desperacka rozpacz, wypalająca dziurę w piersi, przypominała jej, że wciąż żyje. Jak długo mogła jeszcze tak egzystować, niczym zombie, odstająca od bliskich, ciągnąca przyjaciół i rodzinę za sobą na dno?

Sięgnęła po myszkę i przesunęła kursor w stronę windowsowego przycisku Start, gotowa do wyłączenia systemu, gdy na jej pulpicie wyskoczyło nowe okienko. Widniała w nim krótka, prosta wiadomość.

„Cześć, mamus! To ja, Jennifer. Mark i Heather też tu są. Kocham Cię. Tęsknię za Tobą. Mark też. Auć! Heather mówi, że też Cię kocha”.

Linda zamarła w bezruchu, wpatrując się w okrutny dowcip na monitorze, tak zszokowana, że nie była w stanie zareagować na mały mrugający kursor, który zapraszał ją do wpisania odpowiedzi w oknie czatu.

„Mamuś, to naprawdę my. Choć niełatwo nam było skontaktować się z Tobą, nie mogliśmy już dłużej znieść rozłąki. Przerwaliśmy ją więc. Przepraszam, że tak długo trwało, zanim się do Ciebie odezwaliśmy”.

Kursor zamrugał do niej, po czym znów zaczął wpisywać tekst.

„Mamo, tu Mark. Kocham Cię. Wszyscy wariowaliśmy, tak chcieliśmy się skontaktować z Tobą, Tatą i McFarlandami. Sytuacja jest skomplikowana, bardziej, niż możesz się domyślać, ale teraz znów Cię znaleźliśmy. Nawet tęsknię za Twoim gotowaniem”.

Nagle Linda zauważyła, że się trzęsie. Płacz wzbierał jej w gardle i pocięło jej z nosa. Przesunęła palce na klawiaturę.

„Niech cię diabli, kimkolwiek jesteś! Jak możesz być tak okrutny!”

Kursor zamrugał. I jeszcze raz. A następnie pomknął błyskawicznie po ekranie, ciągnąc za sobą litery.

„Tak bardzo przepraszam, mamuś. Wszyscy przepraszamy. Ale to naprawdę my i możemy tego dowieść. Spytaj nas o cokolwiek. Pamiętasz ten piknik firmowy z zeszłego roku? Jak potknęłam się i poleciałam na grill? Jak Mark odtrącił mnie od niego? Jak Heather przypadkowo dziabnęła tego cholernego Stephensona? Pamiętasz, co tata powiedział, gdy tamten już odszedł? »Już dobrze. Nie zraniłaś tego gnojka, widelec go chybił«. Przypominasz sobie?”

Krew odpłynęła Lindzie z twarzy, zostawiając chłód, który kazał jej się zastanawiać, czy nie zemdleje. Palce kobiety poruszyły się, jakby niezależnie od jej woli.

„Jen? To naprawdę ty?”

„To ja, mamuś”.

„I Mark?”

„Jestem tu, mamo. I też Cię kocham”.

Desperacko zbierając resztki swego opanowania, Linda Smythe

zdołała zebrać się w sobie. Radość łomotała do drzwi jej świadomości i tylko ostrożność powstrzymywała ją przed wtargnięciem. Mimo to, choć bała się rozczarowania, od momentu ucieczki Jennifer nie czuła się lepiej.

„Mój Boże! Czy to możliwe? Byłam taka zrozpaczona”.

„Wiemy, mamó. Wiemy”.

„Gdzie jesteście?”

„Mamó, musisz nam zaufać. Nie możemy ci tego powiedzieć. Wydarzyły się nieciekawe rzeczy”.

„Czy ktoś was skrzywdził? Bo jeśli tak, to klnę się na Boga, że znajdę go i skrzywdzę jeszcze bardziej. A co zrobią mu wasz ojciec i Gil... Czyli lepiej, żeby nikt wam nic nie zrobił!”

„Mamó. Jest dobrze”.

„Tak, pani Smythe. Jest dobrze”.

„Heather?”

„Dzień dobry. To ja. Szkoda, że moi rodzice nie są też na linii”.

Linda poczuła w gardle gulę. Ból wyzierający z tej jednej krótkiej linijki pozbawił ją ostatnich wątpliwości, które czały się w zakątkach jej umysłu.

„Mamó, wiem, że nie dowierzasz. Ale zhakowaliśmy twój laptop. Widzimy Cię przez kamerę. Teraz włączymy dźwięk, żebyś mogła usłyszeć nasze głosy”.

Nagle głośniczki komputera ożyły.

– Cześć, mamó.

– Cześć, mamó.

– Dzień dobry, pani McFarland.

– O Boże! – wydyszała Linda Smythe.

– Jesteśmy, mamó. – Wyraźny głos Marka zabrzmiał głębiej, niż gdy ostatni raz go słyszała, ale to na pewno jej syn przemawiał z komputerowego głośnika. I Jen. I Heather. Nie była w stanie już dłużej się powstrzymać, płacz wyrwał jej się z piersi głośnymi, drżącymi okrzykami. Jama, w której tkwiła, rozpadła się na milion kawałków, wyzwalając jej emocje w tak gwałtownym strumieniu, że kobieta aż pochyliła się nad klawiaturą, nie mogąc oddychać, nie mogąc mówić.

Po kilku chwilach milczenia ze strony dzieci Linda wytarła oczy,

czując nagły strach, że w czasie gdy łkała, zerwało się połączenie. Gdy podniosła głowę, ujrzała, że w prawym górnym rogu jej ekranu pojawiło się kolejne okienko. W jego środku zapłakana Jennifer uśmiechała się i machała do niej. Po jej lewej znajdował się Mark, po prawej Heather, którzy nachylili się, by ich również objęła kamera.

Linda odetchnęła, odzyskując częściowo opanowanie. Rozmowa trwała dokładnie dwadzieścia trzy minuty i była pełna czułych zapewnień.

Tak, czuli się dobrze.

Mieli skomplikowaną sytuację, jakieś kłopoty z prawem, ale to już się wyjaśniło.

Nie, mimo to nie ma szans, żeby wrócili do domu. A przynajmniej niezbyt szybko.

Nie, nie mogli jej powiedzieć, gdzie obecnie przebywają, ale nikt ich nie skrzywdził ani nie wykorzystywał. Nie potrafiła sama tego stwierdzić?

Linda na zmianę zadawała dociekliwe pytania i odpowiadała dzieciom. Gdy stało się jasne, że będą musieli przerwać połączenie, błagała, by poczekał, aż pójdzie po mieszkającą po sąsiedzku Annę. W tym momencie Heather wyglądała na wyjątkowo zasmuconą i poprosiła Lindę, aby przekazała jej mamie oraz tacie wyrazy miłości. Po wyciągnięciu od pani Smythe obietnicy, że nie skontaktuje się z władzami i nie zdradzi tajemnicy nikomu poza najbliższą rodziną, nastolatki zgodzili się znów odezwać, o tej samej porze następnego wieczoru. Pomachali raz jeszcze z wesoło-smutnymi minami i zniknęli.

ROZDZIAŁ

30

Ciepłe promienie porannego słońca wpadały przez rozsuwane szklane drzwi ze złocistą wyrazistością, która wydawała się jak z baśni. Podobnie czuła się Anna, zerkając na werandę, zanim zaserwowała naleśniki, bekon i świeżo ogrzany syrop klonowy. Gdy spojrzała na Freda, Lindę i Gila zebranych wokół stołu niczym rycerze i dama na dworze króla Artura, w jej piersiach zadudniła radość granicząca z ekscytacją. A Linda się uśmiechała.

Choć bardzo zamartwiała się o Heather, Anna w jakiś sposób wiedziała, że z jej córką jest wszystko w porządku. Była to świadomość wynikająca z siły więzi z jedynym dzieckiem. Jednak po utracie najpierw Jennifer, a później Marka Linda zmarniała niczym dwutygodniowa róża. Anna spoglądała w oczy przyjaciółki i widziała myśli samobójcze nabierające mocy za tymi pustymi zielonymi tęczęwkami. Fred też je dostrzegał. Oboje z tym walczyli, ale było to niczym szarża generała Picketta w tamtym krwawym dniu pod Gettysburgiem, w Pensylwanii, półtora stulecia później równie nieskuteczne.

Późnowieczorna rozmowa Lindy z dziećmi zmieniała wszystko. Kobieta za bardzo bała się przerwania łączności, by skoczyć po Annę, a Fred i Gil pracowali całą noc w laboratorium. Gdy Heather, Mark i Jennifer zakończyli połączenie, Linda pobiegła do domu przyjaciółki i zaczęła łomotać do drzwi, aż ta zeszła zaspana po schodach w fioletowej koszuli nocnej i pantoflach.

Siedziały na kanapie, rozmawiając, płacząc, śmiejąc się i przytulając, aż o świcie ich mężowie wrócili do domu. Wtedy, po szybkim streszczeniu powodów nocnej ekscytacji, Anna uparła się, że przygotuje solidne śniadanie, które pomoże im oczyścić myśli i da wszystkim wewnętrzne ciepło oraz siłę, których potrzebowali, by podjąć czekające ich decyzje. W końcu gdzieś

tam znajdowały się ich dzieci – owszem, już w zasadzie prawie dorośli, ale dla nich wciąż jeszcze dzieci – i miały jakieś kłopoty.

Nie było mowy, aby Anna, Gil, Fred i Linda pozwolili tym wspaniałym nastolatkom walczyć ze wszystkim samotnie. Ani w tym życiu, ani w następnym. Oni byli na to zbyt młodzi i za słabo znali świat.

– Wygląda wspaniale, kochanie – powiedział Gil, gestem wskazując, by usiadła.

– Cudowne – skomentował Fred, nakładając sobie na talerz stertę parujących naleśników.

– Owszem – dołączyła Linda. – Ale chyba jestem zbyt podekscytowana, żeby jeść.

– Nonsens. – Anna nadziała złoty naleśnik na widelec, położyła go przed przyjaciółką, dodała masło, po czym łyżką rozlała na wierzchu strużkę syropu w kształcie rozsmazanej litery S. – Wrócimy do rozmowy o dzieciach dopiero po śniadaniu. Im szybciej weźmiemy się za jedzenie, tym szybciej będziemy mogli przejść do istotnych spraw.

Wszyscy obrócili głowy, słysząc donośny śmiech Gila.

– Nie ma sensu się kłócić. Przechodziłem już przez to. Lepiej cieszymy się dobrym posiłkiem i dobrym towarzystwem. Gdy Anna się na coś uweźmie, trudno ją przekonać do czegoś innego.

Choć wszyscy chcieli rozmawiać o tym, co zrobią w związku z dziećmi, zaczęli jeść, a widok przepysznego śniadania jeszcze bardziej wzmacniał radosną świadomość, że ich potomstwo żyje i ma się dobrze.

Gdy naczynia zostały już opłukane i włożone do zmywarki, wszyscy czworo przeszli do salonu, usiedli na wygodnym narożniku i zapadli się w miękką brązową skórę.

– No dobrze, Anno. Już czas.

Głos Gila przedarł się przez jej wypracowaną strefę komfortu niczym młotek uderzający w szkło. Mąż otoczył ją ramieniem i przyciągnął bliżej, aż otarła się czołem o daszek jego czapki wędkarskiej. Anna poczuła, że świat wymyka jej się spod kontroli, co wcześniej się nie zdarzało. Nigdy.

I nagle zaczęła płakać, schowawszy twarz w silnych ramionach

Gila, okalając rękoma jego kark, pogrążona w smutku, który odrzucała przez pół roku. Na miłość boską, była Anną McFarland, matką, opiekunką, tą, która dawała siłę przyjacielom i rodzinie. Co się z nią działo?

Linda natychmiast znalazła się przy niej. I Fred. Przytulili ją i Gila tak mocno, że wydawało się, jakby stali się jedną istotą.

– Anno – odezwał się Gil jako pierwszy – czy jesteś już gotowa do rozmowy?

Odsunęła się i podniosła głowę, by spojrzeć mężowi prosto w oczy.

– Tak.

Gil przytaknął.

– Choć bardzo się cieszymy, że nasze dzieci wciąż żyją – odezwał się stanowczym tonem – pora zastanowić się, jak mamy wyciągnąć je z tarapatów, w które wpadły.

– Też tak uważam – rzekł Fred.

– A jeśli sądzimy, że nas to przerasta, wyobraźcie sobie, przez co muszą przechodzić Heather, Mark i Jennifer.

Pozostali spojrzeli po sobie, po czym wrócili wzrokiem do Gila.

Anna poczuła, jak słowa same wydostają jej się z ust:

– Zatem co zamierzamy z tym zrobić?

– Zadzwonimy do FBI. Najwyraźniej nasze dzieci zostały porwane, wtłoczone w sytuację, której nie rozumieją. Muszą się tym zająć najlepsi z najlepszych.

Linda wzdrygnęła się.

– Ale obiecałam, że nie skontaktujemy się z władzami.

Fred położył dłoń na jej palcach.

– Wplątali się w coś, co leży poza ich kontrolą. Nieważne, co im powiedziałaś, muszą się za to wziąć zawodowcy.

W pokoju zapadła cisza. Nagle spojrzenia Anny i Lidy spotkały się. Anna skinęła lekko głową, a jej przyjaciółka powtórzyła ten gest.

– Dobrze. Wszystko, byle tylko nasze dzieci wróciły.

Gil sięgnął po słuchawkę telefonu bezprzewodowego i wybrał numer informacji 411.

– Dzień dobry. Potrzebny mi numer w stolicy. Do Federalnego

Biura Śledczego. Tak, mogę poczekać.

ROZDZIAŁ

31

Denise Jennings wpadła do pomieszczenia socjalnego i przemknęła wzrokiem po ekspresie do kawy Bunn, stojącym na blacie obok zlewu z nierdzewnej stali. Dno szklanego dzbanka pokrywała cienka warstwa ciemnobrązowego płynu.

Niech to cholera! Czy nikt inny nie potrafi zaparzyć kawy, gdy w naczyniu robi się jej mało?

Przez krótką chwilę rozważała przeprogramowanie Wielkiego Johna, by znalazł wstrętne winowajcę, który wypił ostatnią filiżankę aromatycznego napoju, pokręciła jednak głową, wyciągnęła pojemnik z filtrem i wyrzuciła jego zawartość do kosza. Trzydzieści sekund później świeża kawa zaczęła łać się z urządzenia do pustego dzbanka.

Jezu. Czy to takie trudne?

Po pięciu minutach wróciła do laboratorium z parującym kubkiem w dłoni, przejechała kartą identyfikacyjną przez szczelinę czytnika, pochyliła się, by dać sobie przeskanować siatkówkę oka, po czym usłyszawszy stuknięcie zamka, otworzyła drzwi. Ignorując garstkę pracowników, którzy nie wyszli na lunch, skręciła prosto do swojego biura, zamknęła za sobą drzwi i usiadła przy biurku. Sącząc kawę z kubka z napisem „Rano jestem marudna”, wpisała hasło do komputera. Robiła to tak często, że szesnastoznakową kombinację małych i wielkich liter, cyfr oraz symboli specjalnych, choć ta zmieniała się co tydzień, bez problemu wprowadzała jedną ręką.

Gdy ekran logowania został zastąpiony jej pulpitem, Denise zamarła. Wielki John otworzył okienko z wiadomością.

Tylko do wiadomości... Denise Jennings.

Poniżej mrugała kolejna prośba o login i hasło. Denise wpatrywała się w nią przez kilka sekund, a groza narastała jej w trzewiach, aż kobieta poczuła mdłości.

Jej palce zatańczyły na klawiaturze i komunikat zgasł, zastąpiony znajomym okienkiem odpowiedzi Wielkiego Johna.

Uzyskano punkt danych.

Korelacja z zapytaniem „Jack Gregory” = 0,943732

Zdarzenie:

McFarland/Smythe telefon do FBI.

Zgłoszono kontakt przez czat komputerowy z:

Mark Smythe

Jennifer Smythe

Heather McFarland

Następny czat wyznaczono na dziś,

22 kwietnia, o 22.30

Korelacja dziewięćdziesiąt cztery procent z jej zapytaniem o Jacka Gregory’ego.

Cholera. Cholera. Cholera.

Choć Denise miała wielką nadzieję, że przekazując informacje Freddy’emu Hagermanowi, zakończyła swój udział w sprawie, najwyraźniej miało się stać inaczej. Wielki John złapał ją na haczyk i wyglądało na to, że nie zamierzał wypuścić, dopóki całkowicie jej nie wykrwawi. Kobieta była tak zapracowana, że do tej pory nie zabrała się do anulowania swej prośby o priorytetowe dane wywiadowcze, zatem superkomputer postarał się, by otrzymała wieści, które mogły ją posłać do więzienia, gdyby postanowiła je zignorować.

Zamknęła okno i odchyliła się w fotelu. Serce dudniło jej w klatce piersiowej, jakby filmowy obcy próbował wygryźć sobie drogę ze środka. No cóż, nie zamierzała iść do więzienia. Jeśli w tym celu musiała rozgrywać dwie strony przeciwko sobie, trudno.

Podniosła słuchawkę telefonu, wybrała pięciocyfrowy numer wewnętrzny i czekała.

- Generał Wilson. - Głos dyrektora NSA wydawał się rozbrzmiewać echem w jej głowie.
- Sir, tu Denise Jennings. Mamy problem.

ROZDZIAŁ

32

Generał Robert „Piłka” Wilson siedział rozparty w fotelu na końcu stołu konferencyjnego, trzymając dłonie złączone za głową. Choć admirał Riles był inteligentny, Denise wiedziała, że Wilson go przebijał. Absolwent Akademii Sił Powietrznych, stypendysta Rhodessa, najlepszy futbolowy wspomagający w kraju, doktor nauk informatycznych na Caltech, pilot myśliwca, były szef Dowództwa Obrony Północnoamerykańskiej Przestrzeni Powietrznej i Kosmicznej NORAD oraz pierwszy czarnoskóry dyrektor NSA był naprawdę wyjątkową osobą.

Nalegał, by jego sztab zwracał się do niego lotniczym pseudonimem Piłka, nawiązującym do sportowych skojarzeń z jego nazwiskiem¹, i cieszyło go, że niektórych to krępowało. Denise była jedną z takich osób. Mimo to musiała przyznać, że lubiła szefa. Jej zdaniem aż ociekał płynną charyzmą.

Wokół stołu siedzieli: Levi Elias, powszechnie uważany za najlepszego analityka w NSA, doktor Bert Matthews, informatyk wybrany na miejsce doktora Kurtza, a także Karl Oberstein, szef operacji w agencji.

– No dobrze. Denise, pokaż, co tam masz.

Skinąwszy generałowi głową, kobieta podniosła pilota, naciśnęła zielony przycisk uruchamiający zasilanie i stanęła obok ściany zajmowanej w całości przez cyfrowy wyświetlacz. Ożył on właśnie, ukazując obraz Ziemi widzianej z kosmosu w wysokiej rozdzielczości tak wyraźnie, tak czysto, że nie mogło się z nim równać nic w świecie cywilnym. I nic dziwnego, skoro pochodził z jednego z najdoskonalszych satelitów szpiegowskich w historii. Gdyby jego obiektywy wycelować w parking przy siedzibie NSA,

¹ W filmie *Cast Away*: Poza światem główny bohater grany przez Toma Hanksa ląduje na bezludnej wyspie i towarzyszącą mu piłkę nazywa Wilson.

nie tylko dałoby się odczytać tablice rejestracyjne, lecz obrazowanie multispektralne na podstawie temperatury silnika określiłoby również, od jak dawna parkował tam konkretny samochód. Poza tym pokazałoby, które miejsca zostały niedawno opuszczone, po różnicach nagrzania powierzchni pod pojazdami.

Denise wdusiła sekwencję przycisków na pilocie, uruchamiając prezentację, którą przygotowywała przez ostatnie dwie godziny.

– Piłko, panowie. Poprosiłam o to spotkanie, aby pokazać wam coś, na co zwrócił dziś moją uwagę Wielki John. Tematem korelacyjnego wyszukiwania danych był Jack „Kosiarz” Gregory.

Widząc, że przyciągnęła ich niepodzielne zainteresowanie, kobieta przeszła do pierwszego slajdu. Widniała na nim wiadomość tekstowa, którą otrzymała wcześniej.

– Ten komunikat dostałam od Wielkiego Johna dziś, chwilę po południu. Przedstawię teraz w skrócie kontekst, aby zrozumieli panowie jego znaczenie. Przed kilkoma tygodniami Wielki John zaczął zgłaszać sekwencję informacji korelujących z poszukiwaniami Gregory’ego, punkty danych, które same z siebie wydawały się nieistotne.

Denise włączyła serię slajdów prezentujących zdarzenia, które superkomputer uznał za powiązane.

– Omówię to szybko, a później przedyskutujemy nasuwające się powiązania. Pierwszym z tych zdarzeń był Wirus Noworoczny sprzed roku z małym okładem. NSA zwróciła na niego uwagę z dwóch powodów. Potrafił szyfrować dane w sposób, którego nie mogliśmy złamać nawet naszymi najlepszymi metodami. Ponadto ujawniał lokalizację komputera, na którym znajdowała się kolejna zaszyfrowana wiadomość, tym razem nadająca się do złamania, z treścią sugerującą niebezpieczną działalność w Projekcie Rho z Los Alamos. Właśnie z tego powodu admirał Riles wysłał do Nowego Meksyku zespół Jacka Gregory’ego.

Na ekranie pojawili się Gregory i Janet Price kibicujący na stojąco podczas meczu koszykówki.

– To zdjęcie wykonano podczas mistrzostw stanu Nowy Meksyk w koszykówce w tym samym roku. Czerwonym okręgiem

zaznaczyłam osoby zajmujące miejsca obok Jacka i Janet. Są to, od lewej do prawej: Gil McFarland, Anna McFarland, Fred Smythe, Linda Smythe, Jennifer Smythe i Heather McFarland. Część z tych nazwisk pojawiła się na moim pierwszym slajdzie. Kolejną osobą wspomnianą dziś w wiadomości Wielkiego Johna był Mark Smythe, wówczas najlepszy młody koszykarz w stanie, grający w tych mistrzostwach.

- Pamiętam, że czytałem o tym dzieciaku - wtrącił się Piłka, wychylając się do przodu. - Z tego, co kojarzę, był fantastycznym rozgrywającym. ESPN porównywało go do Steve'a Nasha z wczesnych lat.

Denise włączyła kolejny slajd.

- Oto artykuł, który niedługo później pokazał się w „Albuquerque Journal”. Miejscowy inspektor z Agencji Ochrony Środowiska nazwiskiem Jack Johnson, czyli przykrywka Gregory'ego, pojawił się w szpitalu w Los Alamos z raną dziewczyną nazwiskiem Heather McFarland. Według gazety Jack najwyraźniej natknął się na szalonego bezdomnego, który próbował porwać Heather. Obaj mężczyźni wdali się w walkę i Jack został zraniony w rękę, a bezdomny uciekł. Już nigdy później go nie widziano.

Piłka roześmiał się.

- Moim zdaniem nie ma większych szans, że kiedykolwiek się go zobaczy.

Karl Oberstein parsknął, zgadzając się.

- Tak, małe prawdopodobieństwo, by ten gość przeżył spotkanie z Gregorym. Ale zaskoczyło mnie, że udało mu się go zranić.

- Pewnie to dlatego, że Kosiarz chronił dziewczynę - podsunął Piłka.

- A tu mam kolejny artykuł z Los Alamos. Heather McFarland porwana i zaatakowana przez doktora Ernesta Rodrigueza, jednego z czołowych naukowców z Projektu Rho. Popełnił samobójstwo, zanim zdołano go aresztować.

- Mała McFarland? Znów porwana? - zapytał Bert.

Denise ponownie przełączyła slajd.

- A to pochodzi z „Washington Post”. Gazeta opisuje, jak Jonathan Riles zamordował doktora Davida Kurtza, a następnie odebrał sobie życie.

Atmosfera w pomieszczeniu nabrała ponurego tonu.

- A teraz widzimy tekst z Associated Press na temat dokonanej przez FBI próby pojmania bądź zabicia Jacka Gregory’ego i jego zespołu. Kolejna plama ze strony federalnych, tym razem nawet gorsza niż w Waco². Zginęło kilku ludzi Kosiarza, a także kilkudziesięciu agentów FBI i cywilów. Jack i Janet zbiegli.

Oberstein przytaknął.

- Zakładam, że to do czegoś zmierza.

Denise wydeła wargi.

- Jeszcze kilka minut i wokół wszystkiego zawiążę dla pana kokardkę.

Jej szorstka odpowiedź wywołała kolejny śmiech „Piłki” Wilsona.

- Uważaj, Karl. Ona ma twój numer.

Kobieta zaczęła szybciej przerzucać slajdy.

Morderstwo dyrektora FBI.

Skrytobójcze zabójstwo prezydenta Harrisa.

Senator Pete Hornsby, główny przeciwnik Projektu Rho w Senacie, ginie w wypadku samochodowym, wracając z ojczystego stanu Maine.

Trójka nastolatków wygrywa krajowy konkurs naukowy ze swoim urządzeniem zimnofuzyjnym, ale zostają oskarżeni o plagiat i pozbawieni nagrody.

Kolejny materiał z AP, tym razem o trojgu zaginionych nastolatkach z liceum w Los Alamos w stanie Nowy Meksyk.

Odnalezienie zamordowanego głównego szkoleniowca CIA, Garfielda Kromly’ego.

Oraz ciała Eduarda Montenegra, zabójcy znanego jako El Chupacabra, w pobliżu bazy sił powietrznych Schriever,

² 19 kwietnia 1993 r. w Waco w stanie Teksas agencje FBI i ATF przeprowadziły szturm kończący oblężenie budynków zajmowanych przez sektę Gałąź Dawidowa. Doszło do wybuchu pożaru, w wyniku którego zginęło 76 członków sekty i 4 agentów ATF.

niedaleko od miejsca, gdzie Jack Gregory podobno zhakował łącze satelitarne, przeprogramowując system GPS, by zdalnie wyłączyć nanoboty z Projektu Rho.

Denise zakończyła prezentację slajdów i obróciła się do generała.

– Wielki John nadał każdemu z tych zdarzeń bardzo wysoką korelację z moją prośbą o wyszukanie danych na temat Jacka Gregory'ego.

– A jak wysoki stopień korelacji wyliczył Wielki John? – nosowym głosem odezwał się Levi.

– Najniższy wynosił osiemdziesiąt siedem i trzy dziesiąte procent.

– Tak dużo?

– Owszem. A to nie wszystko. Okazuje się, że Jennifer Smythe przebywała kilka dni w hotelu Bellagio w Las Vegas, została zidentyfikowana przez tamtejszą ochronę jako bardzo utalentowana hakerka, a następnie przeniosła się do hacjendy barona narkotykowego Espe?osy pod Medellín w Kolumbii. Niedługo później Espe?osa i kilku jego strażników zostali zabici. Po tym wszystkim Jennifer Smythe po prostu zaginęła.

– Co z dwojgiem pozostałych dzieciaków?

– Nie mamy nic solidnego, ale osoba z personelu porządkowego Espe?osy doniosła o dwojgu młodych Amerykanach, którzy pojawili się w hacjendzie w dniu śmierci gangstera.

– Jezu.

– I jeszcze jedno. Tego dnia w USA obchodzono Dzień Dziękczynienia, a Jack Gregory zabił głównego cynгла kartelu Espe?osa i przeprogramował satelity GPS. – Denise przerwała na chwilę. – Natomiast teraz dowiadujemy się, że dziś wieczorem FBI zamierza monitorować sesję czatu komputerowego pomiędzy nastolatkami a ich rodzicami.

W pomieszczeniu przez kilka sekund panowało milczenie, po czym generał Wilson podniósł się.

– Karl, chcę, aby zhakowano komputer, z którego FBI będzie śledzić ten czat. Pracuj z Denise. Wejdźcie, używając jej antywirusa jako furtki. Nasz cel to dysponowanie wirtualną

kontrolą nad tym systemem, gdy zacznie się rozmowa. I pamiętajcie, że ta mała Smythe podobno jest utalentowaną hakerką. Nasza kopia danych ma się znajdować wyłącznie lokalnie. Nic nie wychodzi przez sieć, dopóki nie skończy się czat.

– Ale co z FBI? Czy nie zgarną komputera zaraz po sesji?

– Raczej nie. W pełni zdradziliby się wtedy przed swoją zwierzyną. Pozostaną przy obserwacji.

– W porządku. Zrobi się, szefie.

– Dobrze tego dopilnujcie.

Z tymi słowy generał obrócił się na pięcie i wyszedł.

ROZDZIAŁ

33

Mark obserwował, jak oczy Heather stają się najpierw białe, później brązowe, następnie znów białe. Zmieniały kolor tak szybko, że niemal był w stanie przekonać samego siebie, iż to sobie tylko wyobraża. Ale nie wyobrażał sobie.

Dziewczyna wzdrygnęła się, pokręciła głową i skrzywiła.

– Niech to cholera!

– Co? – spytał Mark, zaskoczony nietypową w ustach Heather wulgarnością.

Skierowała na niego gniewne spojrzenie.

– Czasami tak się na siebie wściekam, że nie mogę tego znieść. Mamy okazję porozmawiać za kilka minut z naszymi rodzicami i pragnę tego tak bardzo, że odczuwam to wręcz w fizyczny sposób, a jednak nie potrafię się powstrzymać przed kwestionowaniem naszej decyzji.

– To zrozumiałe – odparł.

– Gówno prawda! Jeśli nie możemy ufać rodzicom, to komu możemy?

– Masz rację – rzekł po kilku sekundach. – Ale wiemy, że Jack i Janet założyli podsłuch w obydwu naszych domach. Być może te pluskwy wciąż działają?

Ku znacznej uldze Marka Heather skinęła głową i uspokoiła się.

– Tak, musiało chodzić właśnie o to. W sensie, że tym się martwiłam.

– Podjęliśmy odpowiednie środki bezpieczeństwa, wykonaliśmy tło z foliowej płachty dla naszego stanowiska przed kamerą, ubraliśmy się w te togi z białych prześcieradeł. Jeśli będziemy pamiętać, żeby nie zdradzić żadnej informacji o miejscu naszego pobytu i że ktoś może nas monitorować, będzie dobrze. Nie da się wyśledzić naszego sygnału

podprzestrzennego.

Oczy Heather straciły ostrość na chwilę wystarczająco długą, by Mark się zmartwił, lecz wróciły do normalności.

– Masz rację – stwierdziła dziewczyna. – Nie ma się czym przejmować.

W tym momencie do laboratorium weszła Jennifer, wpuszczając podmuch letniego nocnego powietrza, gęstego od wilgoci i pachnącego nadciągającą burzą. Omiotła pozostałą dwójkę wzrokiem.

– Wszystko dobrze? – spytała.

– Tak – odparła Heather, przywołując na twarz uśmiech, choć Mark dostrzegł, że był on wymuszony. – Tylko się trochę denerwuję.

Jen odpowiedziała uśmiechem.

– Serio? Ja też.

Jen usiadła przy laptopie, zalogowała się i uruchomiła program, który połączy ich z komputerem Lindy Smythe. Jej środkowy palec zawisł nad klawiszem Enter.

– No to jedziemy. – Wdusiła klawisz, uruchamiając transmisję podprzestrzenną.

Przez kilka sekund nic się nie działo, po czym ekran wypełniło okienko wideo. Zobaczyli swych rodziców stłoczonych przed kamerą.

Smutek ogarnął Marka, gdy chłopak ujrzał łzy płynące po twarzy Heather.

Mimo to zdołała odezwać się pierwsza.

– Cześć, mamó i tato. Bardzo za wami tęsknię.

– My za tobą też, kochanie. – Głos pana McFarlanda sprawił, że przez umysł Marka pomknęły wspomnienia skupione na swobodniejszych, lepszych czasach z przeszłości. Matka Heather wpatrywała się w ekran załzawionymi oczyma, zupełnie oniemiała.

I nagle wszyscy zaczęli mówić jedno przez drugie. Mark, Jen i Heather rywalizowali ze sobą o czas antenowy, a ich rodzice po drugiej stronie wchodzili sobie w słowo. Wyrazy miłości ustąpiły pytaniom o to, jak wszyscy się miewają. Stopniowo rozmowa

przeszła na sytuację nastolatków. Gdzie się znajdowali? Czy potrzebowali pomocy? Czy mogli wrócić do domu?

Choć omówili kwestie, które się mogą pojawić, Markowi trudno było udzielać odpowiedzi. Z każdym unikaniem przez nich pytaniem rodzice naciskali, pragnąc wyciągnąć więcej szczegółów. Jeśli potrzebowali pomocy, otrzymają ją. Jeśli ktoś przetrzymuje ich wbrew ich woli, niech po prostu przekaże żądania. Wszystko da się naprawić. Dom na nich czekał.

Wydawało się, że minęła dopiero chwila, gdy zegar pokazał porę, o której zgodzili się zakończyć połączenie. Mark jako pierwszy pożegnał się z mamą i tatą. Kolejna runda łez ze strony dziewcząt i ich matek, następna smutnych słów o rozłące ze strony ojców i w końcu Jennifer przerwała sesję.

Pochyliła się nad biurkiem, opierając łokcie na blacie i chowając twarz w dłoniach. Białe oczy Heather wydawały się wpatrywać w pustkę, na wskroś przez Marka, jakby ten był niewidoczny, a po policzkach dziewczyny cienkimi strumyczkami spływały łzy. Gdy chłopak spojrział na pusty ekran, odległy huk pioruna przerwał ciszę, która panowała w pracowni komputerowej.

Stojąc obok Heather i Jen, słuchając zbliżającej się burzy, nie potrafił sobie przypomnieć, by kiedykolwiek czuł się tak przygnębiony.

Fred Smythe otoczył ramionami żonę, przyciągając ją do niedźwiedziego uścisku, do którego dołączyli Gil i Anna. Wspólnie przeżywali właśnie najtrudniejszą decyzję swego życia. Gdy w końcu puścił żonę, uśmiechnęła się.

- Kochanie, może zaprowadzisz Annę i Gila do kuchni i zaparzysz dzbanek herbaty? A ja zamknę twój komputer i zaraz do was dołączę.

Linda zerknęła na Annę, przytaknęła i poprowadziła przyjaciół najpierw na korytarz, a później w dół schodów.

Fred uspokoił się, odetchnął głęboko i usiadł przed laptopem. Sięgnął pod stół, by wyciągnąć urządzenie nasłuchowe, które agent terenowy FBI przekazał mu wcześniej. Wsunął je do

kieszoni, chwycił myszkę, kliknął Start, wybrał Zamknij i czekał.
Po kilku sekundach na ekranie pojawił się komunikat:

Nie wyłączaj komputera
ani nie odłączaj jego zasilania.
Instalowanie aktualizacji 1 z 2.

Fred pokręcił głową. Cholerne automatyczne aktualizacje Microsoftu. Musiał pamiętać, by je wyłączyć, gdy następnym razem zaloguje się do komputera Lindy.

Wstał i opuścił pokój. Pora posiedzieć z żoną i przyjaciółmi, porozmawiać o dzieciach. Wprawdzie sytuacja wydawała się kiepska, jednak nastolatki wciąż żyli. Dzięki temu świat stał się zdecydowanie znośniejszy niż dwa dni wcześniej.

Ten cholerny laptop mógł się zamykać, ile tylko chciał.

„Piłka” Wilson pochylił się nad ramieniem doktora Matthews, przyglądając szybko przewijającemu się ekranowi.

- I jak tam, Bert? Mamy ten zrzut pamięci?
- Proszę się nie obawiać, sir. Właśnie się do nas przesyła.

ROZDZIAŁ

34

Profesor Donald Stephenson rozglądał się po swojej widowni, omiatając wzrokiem zebranych. Aula była całkowicie wypełniona, tysiąc ośmiuset naukowców kręciło się niespokojnie na swych siedzeniach, patrząc na niego, jakby był Antychrystem, znienawidzonym, lecz zbyt przerażającym, by go ignorować.

Wyczuwając promieniujące z obecnych emocje, Stephenson uśmiechnął się w duchu. Obawiasz się tego, czego nie rozumiesz. Nienawidzisz tego, czego się obawiasz. Odbierał te emocje i pławił się w nich. Podczas upokarzającej odsiadki uczynił z tych słów swą mantrę. Jeśli zwichrowane dzieciństwo czegoś go nauczyło, to wstrętu do uwięzienia. Nie miało znaczenia, czy chodziło o szafę w sypialni, czy też o celę ze stalowymi kratami o wymiarach trzy na cztery metry. Przez chwilę pragnął jedynie, by każda osoba w sali doświadczyła tego, co on musiał znieść, ale nie dotarłoby to do nich. W końcu był geniuszem, a większość z nich kretynami. Trudno sprawić, by kretyn cokolwiek zrozumiał, nawet jeśli stawiało mu się rozwiązanie przed oczami.

Uświadomił sobie nagle, że czekali, aż przemówi, że jeszcze chwila, a zapadłoby coś, co można by nazwać niezręczną ciszą. Odchrząknął.

– Koledzy naukowcy, szanowni goście. To prawdziwy zaszczyt móc stać przed wami w ten doniosły dzień, który stanowi początek nowej ery dla ludzkości.

Wśród zebranych przetoczyły się ciche pomruki, niczym wietrzyk poruszający jesiennymi liśćmi.

– Chciałbym wyrazić się jasno. – Wzmocniony głos profesora odbił się echem w auli. – Na szali leży przyszłość naszego świata. W tym momencie w sercu detektora ATLAS znajduje się niestabilna anomalia, która wymyka nam się z rąk, która zmierza

do końca wszystkiego, co znamy, do końca tej kruchej egzystencji, którą tak cenimy.

Przerwał na chwilę, by jego słowa przyniosły efekt, i zaczynał już zauważać wystraszone reakcje.

– Tej anomalii, tego straszliwego zjawiska nie da się spowolnić, nie da się zatrzymać. Za dziewięć miesięcy, trzynaście dni, cztery godziny i trzydzieści dwie minuty zmieni się w czarną dziurę. I ani na tym świecie, ani na następnym nikt nie zdoła uczynić nic, by temu zapobiec.

Cichy jęk rozległ się wśród zgromadzonych niczym eteryczna zjawa, która przybrała formę fizyczną. Ucieleśnienie grozy. Poczul tak silną satysfakcję, jakiej oczekiwał. A teraz pora zabawić się w bohatera...

– Ale nie traćcie otuchy! – Stephenson uśmiechnął się, a jego wąskie wargi zakrzywiły się niechętnie w górę. – Ludzkość nie jest jeszcze zgubiona. Wprawdzie moje wyliczenia wskazują, że anomalii nie da się powstrzymać, jednak zdarzenie nie musi mieć miejsca tutaj. Nie na planecie Ziemia.

– A niby gdzie? – w auli rozbrzmiał głos profesora Kaia Wohlera.

– Dziękuję za to pytanie, profesorze Wohler. – Tak, dziękuję za te trzy słowa, tak starannie sformułowane, tak uczone. – Jak wszyscy państwo wiedzą, przez ostatnich kilka dekad koncentrowałem się na badaniach pozaziemskich technologii w ramach programu nazwanego Projektem Rho. W wyniku tych badań rząd Stanów Zjednoczonych powołał dwie pomniejsze inicjatywy. Pierwsza z nich dotyczyła zimnej fuzji, druga zaś nanobotów, dzięki którym mamy szansę wyeliminować wszelkie formy ludzkich chorób, być może przedłużając tym samym życie człowieka do setek lat. Proszę zauważyć, że obie te rewolucyjne technologie określiłem jako pomniejsze osiągnięcia. To dlatego, że w pojeździe obcych natknąłem się na coś, co może dać ludzkości znacznie większe korzyści. W naszej obecnej sytuacji zapewnia nam nadzieję, na którą inaczej nie moglibyśmy liczyć.

Profesor Stephenson odetchnął głęboko, pozwalając, by nieruchome powietrze szwajcarskiej auli napełniało mu płuca,

gdy kroczył po scenie, w lewej dłoni ściskając mocno bezprzewodowy mikrofon. Jego słuchacze całkowicie ucichli i otaczała go aura wyczekiwania. Nie kazał im czekać długo.

– Rozpocznijmy teraz projekt o ogromnym rozmachu, projekt, który uratuje naszą planetę przed całkowitym i absolutnym zniszczeniem. Jeśli ktoś z państwa nie dowierza, ile może nas kosztować beczynność, z chęcią udostępnię moją analizę danych celem opinii eksperckiej.

Stephenson postarał się, by jego uśmiech nie pozostawiał wątpliwości, iż koncepcję obecności ekspertów w zgromadzonej grupie uważał za komiczną. I nagle, jakby słońce przysłoniła chmura, znów zmarszczył brwi. W końcu był zmiennym bogiem.

– Chciałbym wyrazić się jasno. Mamy tylko jedną szansę, by ocalić nasz świat. Jeśli anomalii nie da się zatrzymać, a nie da się, wówczas czarna dziura musi się narodzić gdzie indziej. W tym celu musimy skonstruować maszynę zdolną do wygenerowania tunelu czasoprzestrzennego, który przeniesie czarną dziurę w przestrzeń kosmiczną, daleko od naszego układu gwiazdowego.

W sali zapanowała wrzawa, naukowcy przekrzykiwali się nawzajem, w efekcie się zagłuszając.

Profesor Petir Fois, kościsty holenderski fizyk, stanął na krześle, by wznieść się ponad kolegów.

– Propozycja profesora Stephensona to szaleństwo. Nawet gdybyśmy uwierzyli mu na słowo, przyjęli, że rozumie tę technologię obcych, to wciąż szaleństwo. Tworzenie tunelu czasoprzestrzennego tu, na Ziemi, może doprowadzić do nieprzewidywalnej sekwencji wydarzeń, być może nawet do katastrofy większej niż ta, której chcemy zaradzić.

Fois należał do osób, które potrafiły godzinami upierać się przy swoim zdaniu, nie zauważając, że wokół nich wszystko się rozpada.

– Czy ktoś mógłby pomóc profesorowi Fois okiełznać emocje? – Głos Stephensona ociekał pogardą. – Najwyraźniej wpłynęły na tok rozumowania, zupełnie wykluczając logikę. W jego świecie czarna dziura pochłaniająca całą naszą planetę jest mniej niebezpieczna niż próba stworzenia tunelu czasoprzestrzennego,

który miałby przenieść anomalię w przestrzeń kosmiczną.

Twarz Holendra przemieniła się z czerwonej w fioletową.

– Istnieją inne możliwości – oznajmił.

– Proszę mnie oświecić.

– Moglibyśmy wystrzelić anomalię w kosmos.

Profesor Stephenson roześmiał się. Fois znów go nie rozczarował.

– Moglibyśmy? Jediną rzeczą, która powstrzymuje anomalię przed przerodzeniem się w czarną dziurę, jest pole magnetyczne oraz najdoskonalsza komora próżniowa, jaką zdołaliśmy uzyskać. Te warunki należałoby zachować podczas startu. W tym celu musielibyśmy obudować detektor bardzo dużą rakieta, zapewne rozmiarów Saturna V, i trzeba by tego dokonać tu, w jaskini. Nawet zakładając, że to by się nam udało, to wraz z obudową bezpieczeństwa musielibyśmy przetransportować również jej źródło zasilania. Zresztą nie wystarczy po prostu wystrzelić całość poza ziemską orbitę. W pewnym momencie skończyłoby się zasilanie i wygasłoby pole podtrzymujące. Wówczas anomalia pożarłaby swój pojazd. A następnie przemieszczałaby się po naszym układzie, jej horyzont zdarzeń powiększałaby się z każdą pochłoniętą cząstką materii i nikt nie zdołałby zatrzymać rosnącej czarnej dziury. Nawet przy założeniu, że pole ochronne jakoś przetrwałoby tę podróż, to jeśli uważa pan, że anomalia utrzymałaby stabilność na tyle długo, by opuścić nasz układ, przy wszystkich asystach grawitacyjnych, jakich by to wymagało, wówczas nie ma pan kwalifikacji, by przebywać w tym pomieszczeniu.

Stephenson przerwał, znów rozglądając się po zgromadzonych.

– Ktoś powiedział, że nie ma głupich pytań. Dla wszystkich obecnych powinno być jasne, że profesor Fois właśnie obalił to twierdzenie. Zresztą osoba, która je sformułowała, jest kretynem. Nie oczekuję, że ktokolwiek tutaj będzie mnie lubił. Nie ubiegam się o wasz podziw. Domagam się jednak waszej uwagi. Poprosiłem, aby na biurku każdego z państwa znalazł się egzemplarz mojej propozycji do przejrzania, gdy wrócą państwo do swych stanowisk. Zalecam długą i staranną analizę tego

materiału, kiedy tylko opuszczą państwo tę salę.

Podszedł do pulpitu, po raz ostatni omiół salę swym bezdusznym wzrokiem, po czym odstawił mikrofon na statyw, odwrócił się i zszedł ze sceny.

ROZDZIAŁ

35

Gdy Kai Wohler obserwował Donalda Stephensona schodzącego z mównicy, w auli zapanował harmider. Wydawało się, że wszyscy mówią jednocześnie. Zrobiło się zupełnie jak w amerykańskim barze podczas tych długich godzin przed meczem Super Bowl, gdy dziennikarze sportowi bez końca smęcą o drobiazgach, kibice wypijają jedno piwo za drugim, a głośność rozmów wzrasta proporcjonalnie do stopnia nietrzeźwości.

Sięgnął po telefon i nagle przypomniał sobie, że go nie miał. Znajdowali się w miejscu objętym klauzulą tajności, zatem wraz z pozostałymi zgromadzonymi musiał zostawić komórki i inne podobne urządzenia w małych szafkach w holu. Jedno nie pozostawiało wątpliwości: niezależnie od podjętych środków bezpieczeństwa, gdy tylko ten tłum opuści salę, skończy się tajemnica otaczająca anomalie. Skoro już tyle osób wiedziało, że profesor Stephenson uważał czarną dziurę za pewnik, miną nie godziny, lecz minuty, zanim wieści przedostaną się do prasy. Kai zamierzał najpierw przekazać je swojej ukochanej Karinie, w delikatniejszy sposób, niż zrobią to bezduszne gadające głowy z telewizora.

Próbując przedostać się do przejścia pomiędzy rzędami, utknął między ludźmi i nie mógł się poruszyć. Najwyraźniej zrobił się korek na schodach prowadzących do drzwi wyjściowych.

Nagle mikrofon zapiszczał, po czym z głośników dobiegło kilka głośniejszych szumów, gdy ktoś w niego dmuchnął. Gdy Kai się odwrócił, ujrzał stojącego na mównicy profesora Louisa Dubois.

– Proszę posłuchać! Czy mogę prosić o państwa uwagę?

Wszystkie głowy obróciły się w stronę szanowanego naukowca, byłego kierownika projektu ATLAS.

– Czy mogę poprosić o chwilę ciszy? – Dubois zniżył lekko głos,

temperując w ten sposób audytorium. – Obawiam się, że mam informacje, które nieco zakłóca państwa harmonogram. W związku z delikatną naturą przekazanych przed chwilą informacji przydzieliliśmy wszystkim państwu w tym budynku tymczasowe stanowiska biurowe, przy których będą państwo pracować, dopóki wszyscy nie przyjrzymy się analizie oraz zaleceniom profesora Stephensona.

W tłumie znów rozległa się wrzawa, ale naukowiec kontynuował:

– Zgodnie z poleceniem przywódców Unii Europejskiej oraz w porozumieniu z rządem Stanów Zjednoczonych do momentu zakończenia naszego zadania i podjęcia decyzji przez polityków ta placówka zostaje objęta blokadą. Siły wojskowe NATO otoczyły ją kordonem bezpieczeństwa i nikomu nie wolno tu wejść ani opuścić żadnego obszaru LHC, dopóki zarządzenie nie zostanie uchylone. Informuję państwa, że opublikowano właśnie komunikat, iż w LHC wystąpiło toksyczne skażenie i do momentu rozwiązania sytuacji kompleks objęto kwarantanną. Obecnie odbywa się ewakuacja pobliskich terenów.

Wśród zgromadzonych znów wzniosły się okrzyki świadczące o konsternacji naukowców, zmuszając Dubois do podniesienia głosu.

– Po wypuszczeniu z tej auli każdy z państwa otrzyma indywidualny pakiet zawierający numer boksów oraz plan budynku, aby łatwiej było go znaleźć. Proszę zgłosić się jak najszybciej na swoje stanowiska biurowe, gdzie znajdą państwo całość materiałów przekazanych przez profesora Stephensona. Ponadto w każdym boksie znajduje się laptop podłączony do naszej wewnętrznej sieci, lecz pozbawiony kontaktu z zewnętrznym Internetem, oraz leżanka z małą kosmetyczką i zestawem środków toaletowych. Na każdym poziomie znajdują się prysznice, zaznaczone na planach wraz z toaletami oraz w pełni wyposażonymi pokojami socjalnymi. Większość z państwa zna już naszą stołówkę na parterze.

Profesor Dubois przerwał na chwilę, pozwalając, by w pomieszczeniu zapadła wynikająca z szoku cisza.

- Pomimo tego, co mówił profesor Stephenson, od lat pracowałem z większością z państwa i wiem, że jesteście najlepszymi z najlepszych. Im szybciej zakończymy to zadanie, tym szybciej wrócicie do domów, by zobaczyć się z bliskimi, i tym szybciej będziemy mogli zabrać się za ratowanie naszej planety. A teraz dajcie mi powód do dumy.

Naukowiec odwrócił się i zszedł ze sceny, idąc w odwrotnym kierunku niż wcześniej Stephenson.

ROZDZIAŁ

36

Gdy podjęli trudną decyzję, Mark zaprowadził Heather oraz Jen na ganek, na odprawę, którą codziennie odbywali przed świtem wraz z Jackiem i Janet. Poranne powietrze wydawało się chłodniejsze niż zwykle, stanowiło pierwszą oznakę nadciągającej boliwijskiej zimy, wystarczającą, by wywołać gęsią skórkę na odsłoniętych rękach chłopaka.

Jack obserwował, jak nadchodzili, trzymając w dłoni parujący kubek. Przed Janet stał na stole dzbanek z kawą, zapraszająco blisko trzech kolejnych brązowych ceramicznych filiżanek. Mark napełnił je wszystkie, po czym uniósł swoje naczynie do ust, prostując się. Zapach pasował do smaku gorącego płynu, silny, lecz aksamitny. Nastolatek wytarł wargi grzbietem dłoni i odwrócił się do szkoleniowców.

– Musimy wam coś powiedzieć.

– Słucham. – Jack zmrużył lekko oczy. Mark nie uznał tego za dobry znak.

– Zeszłej nocy skontaktowaliśmy się z rodzicami przez podprzestrzenny czat wideo.

Żadne z agentów nie okazało po sobie nawet śladu zaskoczenia. Nie odezwali się też, pozwalając, by zapadła ciężka cisza. Mark poczuł ulgę, gdy tę próżnię wypełnił opanowany głos Heather:

– Nie prosiliśmy o zezwolenie. I nie zamierzamy się tłumaczyć. Znaliśmy ryzyko, ale i tak to zrobiliśmy.

– Wiemy, że was również naraziliśmy – rzekł chłopak, próbując trochę osłonić przyjaciółkę – ale to nie oznacza, że żałujemy swojej decyzji.

I znów zapadło milczenie, przerwane w końcu przez Jacka.

– Nie mogę powiedzieć, żeby mnie to zdziwiło. Janet i ja wiedzieliśmy, że wcześniej czy później nawiążecie kontakt.

Nawet założyliśmy się o to, kiedy to się stanie.

Mark nie wiedział, czy złościć się, że okazali się tak przewidywalni, czy też cieszyć, że uniknęli nagany.

– Ja wygrałam. – W kącikach ust Janet błysnął nieznaczny uśmiech. – Jack nie sądził, że wytrzymacie tak długo.

Oczywiście, że nie. I niemal miał rację.

– No dobra – odezwał się Gregory. – Skończcie kawę, zjedzcie szybko coś w kuchni i szykujcie się. Dzisiaj przed wami dzień pełen zajęć.

– A co, jeśli znajdą sposób, żeby nas wyśledzić? – zapytał Mark.

Jack wzruszył ramionami.

– Zakładam, że podjęliście odpowiednie środki ostrożności. Poza tym jedyną rzeczą, której możecie być pewni w tym życiu, jest to, że wcześniej czy później wszystko pójdzie nie tak. Czy to z powodu tego wydarzenia, czy z jakiejś innej przyczyny, w końcu nas znajdą. To dlatego wciąż ćwiczymy procedury reakcji.

– Nie wiem, dlaczego mieliby nas znaleźć – stwierdziła Jennifer.

– Wielu przestępcom i terrorystom udaje się ukrywać.

– Co ma piernik do wiatraka? – odparł Jack. – Istnieją dwa rodzaje ludzi: owce i wilki. Politycy, którzy czają się w norach, nie są wilkami. To owce, posyłające swoje wilki, żeby wykonywały ich polecenia. Janet i ja jesteśmy wilkami. Was też na nie szkolimy.

Janet zerknęła na zegarek.

– Lepiej się pospieszcie. Macie tylko osiem minut, żeby wciągnąć coś na śniadanie, zanim pójdziemy na strzelnicę. Dzisiaj będziecie strzelać z karabinu snajperskiego i karabinu maszynowego M2. Każdy, kto pobije mój wynik, będzie zwolniony z przeładowywania magazynków.

Mark wywrócił oczyma. Owszem, ich szkolenie było trudne, ale nie znaczyło to, że nie mogło się zrobić trudniejsze. Być może mimo wszystko nie uniknęli kary.

ROZDZIAŁ

37

Levi Elias nie bez powodu miał reputację najlepszego analityka w NSA. James Blanchard, siedzący w gabinecie swego szefa, zauważył, że ten kieruje na niego wzrok. Ciemne oczy Eliasa kojarzyły się z lufami dwururki.

– Powiedz mi, co mamy.

– W cholerę więcej niż FBI. – James wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Wyjaśnij.

– Podobnie jak my, założyli sniffer na ruch IP wychodzący przez kartę sieciową. Zabawne jest to, że zupełnie nic nie przeszło przez interfejs sieciowy.

– I?

– I dzięki Bogu za magiczny kod umieszczony przez Denise w oprogramowaniu antywirusowym laptopa. Mamy zapisany każdy bit i bajt z danych, które zmieniły się w systemie w trakcie czatu, w tym dźwięk i obraz.

– Nic nie przeszło przez kartę sieciową? To możliwe?

– Niemożliwe. Przynajmniej nie przy znanej nam technologii. Ale pasuje do zdarzeń, po których admirał Riles wysłał zespół Jacka Gregory'ego do Los Alamos.

– I co o tym sądzisz?

James Blanchard wzruszył ramionami.

– Przez całą noc i pół poranka sprawdziliśmy z moim zespołem przynajmniej ze dwadzieścia razy nagrania audio i wideo. Mówiąc w skrócie, szefie: nic nie mamy.

– Nic?

– Kimkolwiek są te dzieciaki, działają naprawdę dobrze. – James przekreślił kółko kontrolera, przesuając nagranie pięć minut do przodu. – Typowy przykład: tło jest zasłonięte grubą plastikową

folią, często spotykanym materiałem budowlano-remontowym, produkowanym przez setki firm na całym świecie, głównie w Azji, moim zdaniem w Chinach.

Blanchard przybliżył mały obszar folii i laserowym wskaźnikiem nakreślił kółko na niewielkim fragmencie.

– Tutaj widać na plastiku małe kropelki kondensacji, czyli chłodne pomieszczenie, wysoka wilgotność. O tej porze roku takie warunki występują w klimatyzowanych wnętrzach na około trzydziestu siedmiu procentach lądów, w tym na całym zatokowym wybrzeżu USA.

Oddalił obraz, wybrał funkcję na panelu kontrolnym i szybko naszkicował przerywaną linię wokół każdego z trojga młodych ludzi zatrzymanych na stopklatce. Kliknął kolejne narzędzie i Heather McFarland, Mark Smythe oraz Jennifer Smythe pojawili się na zupełnie białym tle, które zastąpiło wyciętą płachtę.

– Nie ma w nich niczego wyjątkowego?

– Ładna opalenizna. Muskularni, szczupłe twarze. Po samym wyglądzie zgadywałbym, że spędzili trzymiesięczne wakacje w centrum odnowy biologicznej. Ewentualnie trenowali przed olimpijskimi zawodami w siatkówce plażowej. Co oni na sobie mają? Togi?

– Prześcieradła.

– Prześcieradła?

– Oczywiście. Zwykłe stare bawełniane prześcieradła.

– Niech zgadnę. Można takie kupić wszędzie, zapewne wyprodukowano je w Chinach. Wygląda na to, że spodziewali się, iż ktoś może przechwycić zapis czatu.

– Wszystko jak najmniej charakterystyczne.

– Daj mi zbliżenie wszystkich twarzy obok siebie. Reszta tła niech zostanie wycięta. A później puść nagranie.

James Blanchard zmienił ustawienia i uruchomił wideo od początku. Na ekranie widniały trzy oblicza, a oczyszczony obraz był tak wyraźny, że gdy nastolatki się uśmiechały, Levi widział wilgoć błyszczącą na ich zębach.

– Podkręć dźwięk.

Poziom głośności wzrastał, aż agenci usłyszeli basowe wibracje

w głosie Marka.

– Pauza.

Obraz został zatrzymany.

– Co pokazuje analiza stresu w głosie? Robią to pod przymusem?

– Nie ma pewności. Występuje stres, ale wydaje się powiązany z emocjami wywołanymi rozmową z dawno niewidzianymi rodzicami. Moim zdaniem chcą wrócić do domu, ale nie mogą. Jest to podyktowane wieloma powodami. I nie oznacza, że są przetrzymywani wbrew swojej woli. Ale wrócę do ich wyglądu. Tak piękna rzeźba mięśni nie pasuje do stanu uwięzienia. Podobnie jak opalenizna.

– Puść znów wideo.

Dudniący dźwięk znów wypełnił pomieszczenie, gdy Levi obserwował wyraz twarzy nastolatków towarzyszący ścieżce audio. Nagle analityk wyprostował się na krześle.

– Stop. Powtórz ostatnich piętnaście sekund. Pięć procent więcej głośności. Tu. Słyszysz coś?

James skinął głową.

– Odtwórz jeszcze raz, ale odfiltruj wszystkie glosy. Chcę tylko dźwięki tła.

Tym razem Blanchard musiał ustawiać edytor audio przez piętnaście minut, by uzyskać pożądaną efekt. Gdy znów włączył odtwarzanie, słyhać było kilka odgłosów. Wentylatory komputerów, prąd przemienny brzęczący w żarówkach i cztery sekundy ćwierkania.

– Czy to był ptak?

– Tak, sir. Zdecydowanie ptak.

– Jaki?

Blanchard roześmiał się.

– Nie specjalizuję się w tym.

Levi się nie śmiał.

– Zatem znajdź kogoś, kto się specjalizuje. Chcę wiedzieć, jaki to konkretnie gatunek, gdzie żyje, jakie ma trasy migracyjne i jakiego koloru ziarenka wysrywa. I jeszcze jedno. Chcę, aby twój zespół przeanalizował wszystko jeszcze raz, tym razem badając

wyłącznie odgłosy tła. Zidentyfikujcie wszelkie dźwięki zwierząt lub owadów. Taka sama procedura jak przy ptaku.

Blanchard ruszył w stronę drzwi.

– Chwila, James – zawołał za nim Levi. – Niech ktoś sprawdzi to brzęczenie elektryki. Ciekawe, czy to pięćdziesiąt, czy sześćdziesiąt herców.

– Już się za to zabieram.

Idąc żwawym krokiem przez korytarz, James się uśmiechnął. Skoro musiał pracować dla analityka, to dobrze, że trafił mu się najlepszy w tej branży.

ROZDZIAŁ

38

Prezydent Jackson siedział tyłem do wysokich okien, zasłoniętych całkowicie złotymi zasłonami. Na ścianach między nimi znajdowały się kinkiety świecznikowe. Rozejrzał się po ludziach z Rady Bezpieczeństwa Narodowego, siedzących w skórzanych fotelach koloru burgunda wokół wielkiego stołu, zajmującego większą część powierzchni sali gabinetu.

W dzisiejszym spotkaniu brały udział jedynie najważniejsze osoby z Rady Bezpieczeństwa Narodowego: wiceprezydent Bob Bethard, sekretarz stanu Beth McKee, sekretarz obrony Gary Blake, dyrektor Wywiadu Narodowego Cory Mayfield, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego James Nobles, dyrektor Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego Thane Evans oraz szefowa personelu Białego Domu Carol Owens.

Oprócz nich w pomieszczeniu znajdował się też Carl Rheiner, dyrektor CIA, siedzący na lewo od prezydenta. To on miał odegrać główną rolę podczas zebrania. Zaledwie kilka godzin wcześniej Rheiner powiadomił Biały Dom, że prezydent Czekow z Federacji Rosyjskiej nieoczekiwanie zwołał konferencję prasową, by ogłosić, iż Rosja uzyskała własną wersję roztworu nanobotów.

Pierwsza reakcja prezydenta Jacksona nie nadawała się do druku, lecz Rheiner słyszał już gorsze rzeczy.

– Najwyraźniej szykują się do rozpoczęcia masowej produkcji w kilku ośrodkach. Już zaczęli szczepić personel wojskowy, w najbliższych miesiącach zamierzają rozszerzyć wakcynację na ogół populacji, po czym uruchomią sprzedaż preparatu na rynku międzynarodowym.

Właśnie dlatego zwołano specjalistów od bezpieczeństwa narodowego.

– Chyba jesteśmy już wszyscy – oznajmił Jackson, rozkładając szeroko ręce, jakby chciał objąć nimi obecnych. – Chińczycy, Francuzi oraz inni nie mogą znajdować się daleko za Rosjanami. Teraz rzecz w tym, co zamierzamy zrobić w odpowiedzi? Zanim wysłucham waszych przemyśleń, poprosiłem dyrektora CIA, aby szybko przedstawił nam punkt widzenia agencji.

Oczy wszystkich skierowały się na Carla Rheinera.

– Dziękuję bardzo, panie prezydencie. – Szef CIA otworzył skórzaną aktówkę i jej zawartość ułożył przed sobą w trzech niskich stosach. – Rozpocznę od naświetlenia sytuacji z nanobotami, ponieważ to ich najbardziej dotyka oświadczenie prezydenta Czekowa.

Jackson miał nadzieję, że ta prezentacja nie okaże się równie ponura, jak się obawiał.

– Jak wszyscy państwo wiedzą, przez ostatnich kilka miesięcy agencja skupiała znaczną część wysiłków na analizie konsekwencji rozpowszechniania naszej własnej nanoformuły, począwszy od Afryki, ponieważ tam dokonano pilotażowej dystrybucji. Jej efekty są mieszane, z przewagą złych. Nie powinno dziwić, że w krajach zdziesiątkowanych przez AIDS, niedożywienie oraz inne choroby pragnienie otrzymania lekarstwa doprowadziło do walk między tymi, którzy dostali pierwsze dawki, i tymi, którzy musieli poczekać. Brutalne gangi zaczęły porwać zaszczepionych i wykrwawiać ich do worków, by odsprzedawać dalej krew. Towarzyszyły temu akty zabobonnego barbarzyństwa. Wprawdzie nadany przez Jacka Gregory'ego sygnał GPS wyłączył większość tych nanobotów, jednak do sporej liczby osób ten przekaz nie dotarł i wciąż mają we krwi aktywne nanoserum. Nie muszę państwu mówić, na jakie niebezpieczeństwo to ich naraża. Większość z nich próbowała, ze zmiennym powodzeniem, udawać, że ich nanoboty są zdezaktywowane jak u innych, jednak wystarczy tylko jedno zranienie na widoku publicznym, by położyć kłam takim twierdzeniom. Jeśli dołożyć do tego gangi wzmocnionej nanobotami młodzieży, pijanej przeświadczeniem o własnej nieśmiertelności, to otrzymujemy rezultat, który widzimy w

afrykańskich społecznościach. Drastyczne zwiększenie poczucia przynależności plemiennej, a więc grupy stały się bardziej homogeniczne, czy to celem obrony, czy też agresji. Nie zamierzam roztrząsać szczegółów, ale ta analiza, w połączeniu z niebezpieczeństwem możliwego w dłuższej perspektywie negatywnego wpływu uzależnienia od nanobotów na naturalne systemy odpornościowe ludzi, skłoniła prezydenta do starannego rozważenia ponownego rozpowszechniania nanoserum. Wprawdzie wiedzieliśmy, że nadejdzie dzień, w którym innym krajom uda się odtworzyć formułę, jednak chyba wszyscy mieliśmy nadzieję, że zdążymy najpierw przetestować naszą strategię dystrybucji i ustanowić jakiś mechanizm kontrolny chroniący przed tego rodzaju negatywnymi konsekwencjami. Niestety, to już nie wchodzi w grę.

– Zatem jakie kroki nam pan zaleca? – Podczas przemowy Rheinera prezydent Jackson zacisnął wargi w wąską linię. Wyczuł, że niestety, dyrektor CIA zostawił najgorsze wieści na koniec.

– Zanim przekażę swoje rekomendacje, muszę omówić dwie kwestie, które w znaczący sposób wpływają na sytuację. – Rheiner rozłożył przed sobą kilka arkuszy z drugiego stosu. – Pierwszą z nich jest inna technologia obcych udostępniona publicznie, czyli zimna fuzja. Wprawdzie powszechnie uważa się ją za wyjątkowo korzystną dla naszej planety, jednak towarzyszą jej zagrożenia. Wszyscy naukowcy i eksperci do spraw energii, z którymi rozmawiałem, byli oszołomieni szybkością, z jaką przemysł wdraża coraz wydajniejsze wersje tej metody, a koszty opadają w takim tempie, że wkrótce będzie można wykorzystywać to rozwiązanie do napędzania pojazdów. Urządzenia stosujące paliwa kopalne stają się równie przestarzałe jak prehistoryczne rośliny i zwierzęta, z których powstały te paliwa. Dzieje się to tak szybko, że krajom OPEC grozi bankructwo. W państwach muzułmańskich panuje gniew i frustracja, którym towarzyszy wzrost islamskiego radykalizmu. Islam to nie tylko sunnici i szyici, składa się z wielu odłamów, muzułmanie również grupują się w podobny do Afrykanów,

plemienny sposób. Sytuacja osiągnęła punkt, w którym wojna w regionie jest już niemal pewna.

Rheiner przerwał, by jego słowa odniosły odpowiedni efekt. Wszyscy obecni znali już te informacje, jednak cisza i ponure miny wskazywały, że wypowiedź szefa CIA była niczym kołek w serce.

- Byliśmy już świadkami podobnej radykalizacji na naszym gruncie - wtrącił Thane Evans. - Zaczęło się od regionalnych milicji na północnym zachodzie i południu, by rozszerzyć się na takie grupy, jak ekologiczna organizacja Sierra Club. Nawet plemiona indiańskie odłączają się od sieci energetycznej w tempie wskazującym na to, że ściśle ze sobą współpracują.

Gdy w pomieszczeniu zaczął podnosić się gwar, prezydent Jackson uniósł dłoń, natychmiast uciszając zebranych urzędników.

- Niech Carl skończy, a później wszyscy będą mieli okazję się wypowiedzieć.

Zamierzał ich zaharować, jeśli będzie musiał. Sprawa stała się zbyt poważna.

- To prowadzi mnie do ostatniego punktu, czyli do katowskiego topora wiszącego w Szwajcarii nad naszą planetą - kontynuował Rheiner, jakby nikt mu nie przerwał. - Panie prezydencie, gdy tylko pan i nasi europejscy sojusznicy wystosujecie wspólne oświadczenie, że w LHC formuje się czarna dziura, te globalne i lokalne napięcia eksplodują. To cud, że tak długo udało się utrzymać tajemnicę wokół Listopadowej Anomalii, ale nie zdołamy już tego ciągnąć dłużej niż kilka tygodni. Gdy tylko najbogatsze państwa zaczną konstruować potworne nowe urządzenie profesora Stephensona, dalsze ukrywanie skali naszych problemów stanie się niemożliwe. Maksymalnie dwa tygodnie. Tyle mamy na sformułowanie planu i skoordynowanie go z działaniami najważniejszych sojuszników. W kolejności priorytetów musimy przede wszystkim opracować strategię ochrony nowej inicjatywy Projektu Rho, zabezpieczenie naszego rządu oraz głównych ośrodków ludności, procedury stopniowego przywracania porządku tam, gdzie nie uda nam się

go początkowo utrzymać, a także metody powstrzymania naszych przeciwników przed rozwaleniem nas w drzazgi, zanim zdołamy wykonać zaplanowane kroki.

Dyrektor Rheiner schował arkusze z notatkami z powrotem do aktówki i zamknął ją.

– Panie prezydencie, właśnie w taki sposób CIA widzi sytuację na świecie.

Prezydent wziął długi, powolny łyk z kryształowej szklanki stojącej przy jego łokciu. Skinął Rheinerowi głową.

– Dziękuję, Carl. Świetne podsumowanie.

Jackson słyszał kiedyś wypowiedź jednego z pilotów śmigłowca latającego w Afganistanie z żołnierzami sił specjalnych w gęstej górskiej mgle. Gdy po powrocie z misji pułkownik spytał go, jak się czuje, lotnik odpowiedział, że nawet młotem pneumatycznym nie zdołałby wbić sobie wykałaczki w dupę. Bardzo dobrze odzwierciedlało to obecne uczucia prezydenta.

– Carol – odezwał się do szefowej personelu. – Może wystaw głowę na zewnątrz i poproś kogoś, żeby zorganizował kilka kartonów pizzy? Wygląda na to, że czeka nas długa noc.

ROZDZIAŁ

39

Heather nasunęła obręcz na skronie i poczuła, jak masujący puls wślizguje jej się do mózgu. Mark i Jennifer, siedzący wraz z nią na werandzie, poszli w jej ślady. Pogrążony w cieniach zmierzchu Jack rozparł się wygodniej w swoim fotelu i oparł buty na stoliku, obserwując ich. Żadnej presji.

Dziewczyna z miejsca weszła do komputera okrętu Bandelier. Jennifer podążała za nią, Mark zaś zajął wirtualną pozycję strażniczą, szukając wszelkich śladów sztucznej inteligencji, która zaatakowała ich przy poprzedniej wizycie. Heather obliczyła szanse kolejnego wrogiego spotkania z nią na mniej niż 7,3642 procent, ale to jednak wciąż było więcej niż zero.

Bardzo zaskoczyły ich wieści z Rosji, że rozpoczęto już szczepienie tamtejszych żołnierzy opracowaną miejscowo nanoformułą. Zmusiły ich do przyspieszenia działań i był to kolejny znak, że szkolenie w hacjendzie szybko dobiega końca. Pomimo ich wszystkich wysiłków nanodżin na dobre wydostał się z lampy. Ziemska populacja musiała nauczyć się egzystować w tej nowej rzeczywistości, inaczej czekała ją bardzo tragiczna przyszłość.

Bardziej martwiło ich to, czego dowiedzieli się o działaniach profesora Stephensona w Wielkim Zderzaczach Hadronów. Jak dotąd rząd Stanów Zjednoczonych i Unia Europejska zdołały utrzymywać je w tajemnicy, ale to już nie mogło długo potrwać. Heather nie chciała myśleć, co się stanie, gdy świat dowie się o Listopadowej Anomalii. Jej wizje nie okazywały się w tej kwestii miłe i przytulne.

Wróciwszy myślą do teraźniejszości, Heather przemierzała mapę danych z szybkością zadającą kłam niesłuchanemu skomplikowaniu fraktali. Ignorowała magistrale oferujące

wyjatkowe rewelacje w dziedzinie matematyki i fizyki, choć bardzo ciągnęła ją do nich ciekawość. Wiedziała, czego szuka, i była zdecydowana skupiać się ściśle na celu misji.

Po upływie pięciu minut zidentyfikowała kluczowy węzeł, punkt, w którym zbiegało się kilka powiązanych ścieżek. Udostępniona myśl posłała Jennifer wzdłuż jednej z nich, a Heather otworzyła umysł na inną.

Znany jej świat rozplątał się i dziewczyna została ciśnięta daleko od znajomego zakrzywionego ramienia Drogi Mlecznej. Znalazła się w jednej trzeciej drogi w stronę jądra Galaktyki i mknęła ku piątej planecie z osiemnastu okrążających matowopomarańczową gwiazdę. Był to gazowy olbrzym dwukrotnie przewyższający średnicą Jowisza, a jeden z jego trzynastu księżyców okazał się nieco większy od Ziemi. Widok się zmienił, teraz Heather podchodziła do tego satelity, zwalniając, aż zawisła ponad nim niczym zaawansowany dron zwiadowczy.

Czuła się z tym dziwnie. Odkryła, że może obracać glob w dowolnym kierunku, choć tak naprawdę przestawiała tylko lokację swojej wirtualnej kamery. Niezwykła kontrola, jaką miała nad całym układem, tak zafascynowała ją na kilka sekund, że nie dostrzegała znaczenia rozciągającej się pod nią scenerii.

Czterdzieści osiem procent powierzchni księżyca pokrywała woda, a resztę zajmowało pięć kontynentów, każdy wyraźnie większy od Azji. Przy tak ścisłym połączeniu z komputerem wystarczyło, by Heather o czymś pomyślała, i natychmiast otaczały ją odpowiednie informacje. Niektóre rzeczy, jak nazwy przypisane do tego konkretnego układu gwiazdnego i jego planet, były jedynie długimi alfanumerycznymi oznaczeniami, które choć przydatne przy katalogowaniu, raczej nie brzmiały zbyt zgrabnie. Dziewczyna uznała, że gazowemu olbrzymowi przydzielili określenie Jowisz 2, a jego zamieszkanemu satelicie – Zeta.

Atmosfera Zety składała się z tlenu i azotu, choć przy tak zwiększonej zawartości tlenu i gęstości atmosfery ludzie czuliby się tam jak na nieustannym haju. W oceanach roiło się od

wodnego życia, choć tylko nieliczne gatunki choć trochę przypominały zwykłe ryby, a reszta kojarzyła się z dziwnymi istotami znajduwanymi na ogromnych głębokościach w ziemskich oceanach.

Jednak to coś innego zupełnie zbiło Heather z tropu.

Łądy były pokryte tkanką miejską tak dalece przekraczającą ziemską technologię, że wyglądały bardziej jak procesor komputerowy oglądany przez mikroskop elektronowy. Zurbanizowane kontynenty kipiały aktywnością, choć niewiele miejsca przeznaczono na ruch w poziomie. Pojazdy podnosiły się i leciały do wyznaczonych miejsc.

Miejscowa populacja składała się z rozmaitych gatunków różniących się formą fizyczną, lecz działającą w jedno, która wskazywała na wspólnotę myśli, podobną do tego, co ona, Mark i Jennifer doświadczali dzięki obręczom. Mentalne połączenie z komputerem okrętu Bandelier podsunęło jej nazwę: Kolektyw Kasari.

Uwagę dziewczyny zwróciła inna nietypowa rzecz. Zdecydowana większość mieszkańców planety była żołnierzami, być może nawet wszyscy. W przeciwieństwie do ziemskich sił wojskowych, gdzie żołnierzy wspiera rozbudowana logistyka, tamtejsza struktura organizacyjna wydawała się składać głównie z walczących. Zaopatrzeniem w żywność i amunicję zajmowały się autonomiczne maszyny, które dostarczały potrzebne zapasy w określone miejsce i o określonym czasie.

Wprawdzie miejscowe istoty w przeważającej części górowały rozmiarami nad ludźmi, to wiele gatunków wyglądało wyraźnie humanoidalnie. Obcy chodzili wyprostowani na dwóch nogach, choć niektórzy mieli więcej niż jedną parę rąk. Gdzie tylko spojrzała, Heather widziała samców i samice w wieku poborowym. Najwyraźniej długością życia przewyższali kilkakrotnie mieszkańców Ziemi. Spodziewała się dostrzec dzieci i starców, ale nie było ich na Zecie.

Ani jedno świadome stworzenie z całej osiemnastomiliardowej populacji nie pochodziło tak naprawdę stamtąd. Księżyc był jedynie ogromną siecią baz wojskowych, jednym z wielu światów

pełniących podobną funkcję dla Kasari.

Każda baza tworzyła okrąg wokół centralnego ośrodka logistycznego, utrzymującego gotowość w oczekiwaniu na chwilę, gdy ten konkretny ośrodek zostanie uaktywniony. Z perspektywy inżynieryjnej był to wyjątkowo skuteczny system.

Heather przypominała się jedna z lekcji historii. W Izraelu znajduje się potężna niegdyś twierdza Masada, ulokowana na płaskowyżu o stromych urwiskach. W czasach rzymskich zgromadzono tam zapasy na lata i forteca wydawała się zupełnie nie do zdobycia. Rzymianie zdobyli jednak Masadę w typowy dla siebie sposób, stosując rozwiązanie inżynieryjne. Usypano wielką skarpe sięgającą szczytu zbocza, wykorzystując okolicznych mieszkańców w charakterze żywych tarcz, aby powstrzymać obrońców przed korzystaniem ze strzał oraz gorącej oliwy. Dzięki powstałej drodze udało się wprowadzić na szczyt maszynę oblężniczą i w ten sposób pokonać wrogów za murami.

Wyglądało na to, że Kasari stosowali podobne militarne rozumowanie. Oczywiście nawet potężni Rzymianie zostali w końcu podbici.

Heather przesunęła swą wirtualną pozycję do masywnej centralnej budowli jednego z węzłów. W środku pomieszczenia wielkości stadionu znajdowała się ogromna maszyna w kształcie ustawionego pionowo pierścienia. Brama. Technologia umożliwiająca ich działanie była znana tylko Kasari. Stanowiła ich siłę, lecz również słabość.

Uzyskanie pola grawitacyjnego na tyle mocnego, by utworzyć w bramie tunel czasoprzestrzenny, wymagało zamiany ogromnej ilości materii w energię. Proces ten pochłaniał zasoby w takim tempie, że całe systemy planetarne wyjaławiały się w zaledwie kilkaset lat. To był problem numer jeden. Drugi polegał na tym, że nikt nie opracował jeszcze metody pozwalającej na taką stabilizację tunelu zakotwiczonego w tylko jednej bramie, by żywa istota przetrwała podróż. Osłabienie siły inercji na tyle, by dało się przeżyć przejście, wymagało bram po obu stronach tunelu.

I znów Kasari wymyślili rozwiązanie inżynieryjne. Znaleźć

świat z inteligentnym życiem, które uzyskało technologię nuklearną. Następnie wysłać automatyczny okręt przez tunel czasoprzestrzenny o jednej bramie, aby skusić populację tego świata obietnicami wspaniałych wynalazków, których ukoronowanie stanowiłaby brama. Gdyby została już zbudowana i włączona, Kasari połączyliby się z nią od swojej strony i przestali oczekującą armię.

Jednak ten system miał swoje wady. Wiele zrobotyzowanych pojazdów było niszczone przez twórców okrętu Bandelier, Altreian – kolejna nazwa, którą Heather poznała dzięki nowemu poziomowi dostępu do komputera. Niektóre światy nigdy nie poddały się technologicznym pokusom automatycznych okrętów. Ponadto nawet w najlepszym z możliwych scenariuszy należało utrzymywać w gotowości wielką liczbę żołnierzy, którzy czekali na aktywację bramy. Gdy się już jednak włączyła, nic nie mogło powstrzymać najeźdźczych sił Kasari. Wlewały się przez przejście, najpierw zabezpieczając obszar wokół niego, a następnie metodycznie rozszerzając swą kontrolę, dopóki populacja zaatakowanego świata nie została wchłonięta przez Kolektyw.

Altreianie także dysponowali zaawansowaną techniką. Przed wszystkim potrafili władać podprzestrzenią, dzięki czemu mogli przenosić własne okręty z prędkością wyższą niż światło i przewozić w nich żywą załogę. Okręty były jednak kosztowne i nie mogły się równać z bramami w kwestii szybkiego transportu dużych ilości wojska na nowe światy. Wprawdzie Altreianie często odnosili zwycięstwa, jednak każda ich porażka powiększała imperium Kasari, którzy rozprzestrzeniaли się od lat i nic nie wskazywało, by mieli zwolnić tempo.

Wpatrując się w obcych żołnierzy zajmujących się swymi zadaniami w pobliżu nieaktywnej bramy, Heather nagle zamarła. Już wiedziała, co profesor Stephenson planował w Szwajcarii.

Nagle perspektywa świata zalanego nanobotami wydawała się najmniejszym z ich zmartwień.

ROZDZIAŁ

40

Mamy ich.

Generał Wilson podniósł wzrok i ujrzał rzadki widok, czyli uśmiech na pociągłej twarzy Leviego Eliasa.

– Opowiadaj.

– Rzeczywiście to był ptak. Saltator similis, ziarnołusk zielonawy, występujący na pagórkowatym obszarze sąsiadującym z południową Amazonią, zwłaszcza na niektórych terenach Paragwaju, Urugwaju oraz północno-wschodniej Boliwii. Poza tym szum elektryczny w żarówkach miał częstotliwość pięćdziesięciu herców, pasującą do tego regionu.

– Spory obszar.

– Owszem. Porównaliśmy go zatem z wszystkimi wcześniejszymi zadaniami Jacka Gregory'ego.

– I?

– Kilka lat temu wyznaczono Gregory'ego, aby wyeliminował zagrożenie dla Miguela de Esqueli, ważnego boliwijskiego polityka będącego na garnuszku CIA. Przywódca komunistycznej partyzantki dał na niego zlecenie. Gregory zlikwidował niebezpieczeństwo.

– Czy miał bezpośredni kontakt z de Esquelą?

– Tak. Po zabiciu dowódcy partyzantów Kosiarz zajął się też dwoma cynglami w domu polityka, ratując życie jemu, jego żonie i czwórce dzieci.

– Czyli facet stał się jego dłużnikiem.

– Zgadza się. Nie mamy jednak żadnych informacji o dalszych kontaktach pomiędzy nimi. Kilka miesięcy temu szukaliśmy nawet możliwych powiązań, ale nic z tego nie wyszło. Dzięki najnowszym danym pozwoliliśmy jednak jeszcze raz przyjrzeć się sprawie Wielkiemu Johnowi.

Levi podał „Piłce” Wilsonowi segregator z sześcioma zdjęciami satelitarnymi. Generał rozłożył je na biurku.

– To ranczo leżące godzinę drogi od San Javier, dawniej należące do byłego oficera SS Joriego Klausa, który umknął przed trybunałem norymberskim. Okazało się, że Miguel de Esquela odegrał istotną rolę w konfiskacie posiadłości po śmierci Klausa, a następnie w przekazaniu jej innemu Niemcowi, niejakiemu Karłowi Jacques’owi Frazierowi.

– Potwierdziliście, że to Gregory?

– W aktach nie ma zdjęcia Fraziaera. Boliwia nie znajduje się raczej na szczycie listy krajów prowadzących cyfrowe archiwa. Wielki John uważa jednak, że to on. Korelacja osiemdziesiąt i trzy dziesiąte procent.

Wilson przyjrzał się uważniej fotografiom.

– Nie są zbyt dobre.

– Na orbicie obejmującej Boliwię nie mamy żadnych porządnych satelitów szpiegowskich. To najlepsze, czym dysponujemy, dopóki nie zmienimy trasy U-2 albo Global Hawka.

Generał zmarszczył brwi, odchylił się w skórzanym fotelu i zamknął oczy na tak długo, że Levi zaczął się zastanawiać, czy nie zasnął. Po chwili Piłka znów je jednak otworzył i pokręcił powoli głową.

– Jeśli Wielki John mówi o osiemdziesięcioprocentowej korelacji, dla mnie to wystarczająco. Zmiana trasy samolotów szpiegowskich czy dronów obsługujących południowo-wschodnią Azję za bardzo rzuciłaby się w oczy. Gregory jest tak dobry, że nie chcę ryzykować spłoszenia go.

Wilson wstał, obszedł wielkie dębowe biurko i klapnął Eliasa w plecy, odprowadzając go do drzwi.

– Cholernie dobra robota, Levi. Chyba pora, abym odbył kolejną pogawędkę z prezydentem. Tym razem to on będzie musiał podjąć decyzję o rozpoczęciu działań i ewentualnym użyciu dodatkowych zasobów szpiegowskich.

ROZDZIAŁ

41

Heather oparła się w fotelu i ściągnęła obręcz z głowy. Mark i Jennifer również przerwali połączenie. Od wzgórz wiał wilgotny, parny wiatr, zarzucający dziewczynie włosy na twarz. Skierowała wzrok ku Jackowi.

Trzy miesiące wcześniej była przekonana, że twórcy okrętu Bandelier mieli dobre zamiary wobec Ziemi. Teraz czuła pewność, że prawda wygląda inaczej. Nadeszła pora, aby przekazać Jackowi złe wieści.

Zaczęło się od rozmowy Jacka, Marka, Heather oraz Jennifer, lecz szybko dołączyła też Janet, która wysunęła się na werandę, bezszelestnie przechodząc przez moskitierę. Heather zaczęła opisywać, co widziała w obszarach bazy danych dotyczących działań Kasari, o głodzie nowych zasobów, o kolejnych gatunkach do zasymilowania. Na podboje pozwalało Kolektywowi wiele rzeczy, w tym potężna technologia tuneli czasoprzestrzennych.

Później głos przejęła Jennifer. Skupiła się na zrozumieniu motywów, którymi kierowali się Altreianie. Na pierwszy rzut oka wydawały się one altruistyczne, obcym chodziło bowiem o zachowanie wolności wyboru dla wszystkich gatunków, powstrzymywanie niepoahamowanych tendencji niszczycielskich Kasari oraz walkę z nimi, gdy doszło już do inwazji. Jen dotarła jednak głębiej, chcąc dowiedzieć się, co działo się na każdej planecie, na której Altreianie wdawali się w wojnę z Kasari.

I znów wstępne zapytania zdradziły jedynie dobre zamiary. Jeśli okręty Altreian były w stanie zniszczyć jednostkę Kasari przed skonstruowaniem bramy, twórcy okrętu Bandelier zostawiali ocaloną planetę w spokoju. Jeśli jednak Kolektywowi udało się skusić miejscową populację do zakończenia budowy

przejścia, świat był stracony. Jennifer niepokoiło, że nie znalazła informacji o wszystkich takich planetach. Gdzie by zaglądała, natrafiała na luki porozrzucane po bazie danych w taki sposób, że nie dawało się wysledzić połączeń.

Tylko zrzędzeniem losu dostrzegła pierwsze ukryte powiązanie. Sfrustrowana, że nie może uzyskać szczegółowych informacji o tym, co wydarzyło się na części planet, Jen wycofała się i zabrała przeglądania danych o układach gwiazdnych, które zebrano przez stulecia mapowania oraz monitorowania Galaktyki.

Postanowiła przefiltrować te materiały, zawężając poszukiwania w taki sposób, by objąć nimi wyłącznie układy, które wcześniej zidentyfikowała już jako wzięte na cel przez Kasari. Nagle zaczęła trafiać na przypadki, gdzie tętniące dotąd życiem planety stały się jałowe. Co dziwne, nie były to światy spustoszone rabunkową gospodarką Kasari ani globy, gdzie pokonano Kolektyw, zanim rozpoczęła się budowa bramy. Nie, chodziło raczej o planety, na których, zgodnie z jej wcześniejszymi badaniami, miejscowa populacja próbowała skonstruować bramę, po czym wszelkie dalsze dane o znaczeniu militarnym danego świata zniknęły. Zupełnie jakby usunięto je z bazy okrętu Bandelier.

Dlaczego jednak Altreianie mieliby usuwać zapisy określające sposób zniszczenia planet? Jeśli Kasari byli za to odpowiedzialni, to z pewnością zachowano by o tym informacje. Nawet gdyby Altreianom udało się pokonać Kolektyw po tym, jak zasymilował już mieszkańców globu, i tak liczyliby się to jako zwycięstwo. Stało się zatem coś innego. Coś, co chcieli ukryć.

W tym momencie Jack przerwał jej opowieść.

– I co o tym myślisz?

Jen wahała się przez krótką chwilę, zanim znów się odezwała:

– Uważam, że jeśli Altreianie uznawali, że stracą świat, wówczas próbowali zabić całą jego populację, zanim zostanie skończona brama.

Choć Heather bardzo nie podobała się ta koncepcja, złapała się na tym, że przytakuje. Milczenie Marka mówiło samo za siebie.

– W jaki sposób to robią? – zapytał Jack.

– Nie wiem – odparła Jennifer. – Wszystkie dane na ten temat zostały usunięte.

Heather poruszyła się w swoim fotelu.

– Wątpię, czy Altreianie załadowali je w ogóle do bazy danych – stwierdziła.

– A co z SI? – wtrąciła się Janet, obracając się do Marka.

– Żadnych śladów, niczego, choć szukałem.

– Może to dobry znak.

– Nie liczyłbym na to – odrzekł chłopak.

Jack wstał i podszedł na krawędź ganku, spoglądając na wschód, gdzie zza horyzontu wyłaniał się odcinek księżyca w pełni. Gdyby ktoś namalował na niebie małe dłonie, całość wyglądałaby jak neonowa wersja graffiti „Kilroy was here”.

– Mamy spory problem.

– A robi się większy – oznajmiła Heather. – Moim zdaniem to Stephenson stoi za Listopadową Anomalią i użył okrętu Rho, żeby ją utworzyć. Teraz wykorzysta światowe rządy do budowy bramy. Naprawdę paskudne jest to, że jeśli powstrzymamy tę inicjatywę Projektu Rho, czarna dziura pochłonie naszą planetę. A jeśli nie powstrzymamy, to albo zaleje nas horda Kasari, albo też nasz ukochany okręt Bandelier usmaży nas wszystkich.

– Jednej rzeczy nie rozumiem – powiedział Mark. – Skoro SI zniknęła, dysponujemy pełną kontrolą nad komputerami okrętu Bandelier. Nie wykryłem niczego, co mogłoby wyzwać system samozniszczenia.

– I nie mamy pojęcia, co w rzeczywistości wydarzyło się na tych martwych planetach – dodała Jennifer. – Być może do zniszczeń doprowadziła SI, a może, zważywszy na fakt, kto nosił tę obręcz, mogła to być sprawka czwartego załoganta.

– Uważaj. – Cichy i łagodny głos Janet przeciął nocne powietrze niczym sztylet. Heather zapomniała już, jak groźna potrafi być ta kobieta. Najwyraźniej Jen również.

– Przepraszam, zapomniałam – pospieszenie kontynuowała Jennifer, uświadomiwszy sobie znaczenie swych słów. – Zresztą i tak nie może chodzić o Robby’ego, on jest tylko dzieckiem.

W świetle księżycy oczy Janet błysnęły srebrem. Następnie agentka bez słowa weszła z powrotem do domu, pozwalając, by drzwi z moskitierą zatrzasnęły się za nią. Heather poczuła w gardle gulę, a w sercu tępy ból. Wyglądało na to, że nie była w stanie zmienić przeznaczenia, które zmuszało ją do krzywdzenia każdego, na kim jej zależało.

ROZDZIAŁ

42

Kapitan marynarki Gordon Morrow zdjął z oczu gogle noktowizyjne. Przy takim natężeniu światła księżycowego jego pluton nie potrzebował ich zbyt tej nocy, przynajmniej pod warunkiem, że nie będzie zmuszony działać w gęstych zaroślach. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nie wejdą podczas tej misji w żadne krzaki. Tyle że podczas jego półtorarocznej służby na stanowisku dowódcy pierwszego plutonu dziesiątego oddziału SEAL jeszcze nic nie poszło zgodnie z planem, a teraz ich celem miał być Jack „Kosiarz” Gregory, więc ta tendencja raczej nie ulegnie zmianie.

Kapitan Morrow przodował w dwóch rzeczach: przygotowaniach do misji oraz wykonywaniu misji. W związku z tym pierwszym zapoznał się ze wszystkim, co było wiadomo o życiu Kosiarza, odkąd ten jako mały chłopiec obserwował ścięcie głowy ojcu w Rijadzie, stolicy Arabii Saudyjskiej, aż po czasy, kiedy robił za najgroźniejszego zabójcę w CIA. Gdy agencja się na niego wypięła, Jack zyskał renomę jako wolny strzelec i w końcu zwrócił na siebie uwagę admirała Jonathana Rilesa, dyrektora NSA. Riles zdołał zwerbować Gregory’ego, a następnie próbował wykorzystać jego talenty, by doprowadzić do upadku Projektu Rho. Wywołał tym samym sekwencję wydarzeń, w wyniku której drogi Jacka i kapitana Morrowa miały się wkrótce przeciąć. Dziwacznym zrzędzeniem losu Kosiarz i jego protegowana Janet Price mieli odtworzyć ostatni akt tragedii boliwijskich Butcha Cassidy’ego i Sundance Kida.

Wykonał nad głową okrężny gest, każąc członkom drużyny ścieśnić szyk. Dzięki temu mógł wygodnie obejść i obejrzeć swoich podwładnych. Jego starszy chorąży robił to samo, tyle że zaczynając od drugiej strony grupy. Obydwaj fizycznie

sprawdzali każdego z ludzi i ten ostatni dotyk mówił im więcej niż cały nowoczesny sprzęt, którego zadaniem było pokazywać lokację oraz status uczestnika misji.

Skok z dużej wysokości udał się idealnie i drużyna wylądowała na odizolowanej polanie niewiele ponad dwa kilometry od współrzędnych GPS wskazujących hacjendę Frazier. Gdy ukrywali maski tlenowe, spadochrony i dodatkowe wyposażenie, Morrow czuł przyjemne zaskoczenie, że nocny desant nie skończył się niczym gorszym niż drobne zadrapania dla żadnego z szesnastu członków jego drużyny.

Byli już gotowi. System GPS wskazywał docelowe pozycje natarcia poszczególnych operatorów oraz ciasne skupisko symboli odzwierciedlające ich bieżące położenie.

Kapitan klepnął swego starszego chorążego w ramię i dał sygnał wymarszu. Szesnastu solidnie opancerzonych wojowników zniknęło w cieniu.

Błyskający czerwienią sygnalizator cichego alarmu sprawił, że Mark zerwał się na nogi w swojej sypialni. Potężnymi krokami pokonał korytarz i ujrzał, że Heather znika już w drzwiach wyjściowych. Wprawdzie przećwiczyli ten scenariusz setki razy, jednak chłopak z jakiegoś powodu miał pewność, że teraz to się dzieje naprawdę.

Gdy dotarł do centrum łącznościowego, zobaczył tam już Jacka, Janet oraz Heather. Jennifer dobiegła do niego, gdy przestępował próg. Sięgnął do szafki z bronią, skąd wziął karabinek automatyczny M4, kaburę na szelkach mieszczącą pistolet SIG-Sauer P226 oraz plecak z amunicją i zapasami. Następnie przeszedł na wyznaczoną pozycję, robiąc miejsce, by Jen też mogła się uzbroić.

Heather usiadła przed jednym ze stanowisk komputerowych świecących lekko w ciemnym pomieszczeniu. Zerknąwszy szybko w bok, Mark sprawdził, że ktoś zasunął już wszystkie rolety, więc nikt z zewnątrz nie miał szans dostrzec światła.

– Raport sytuacyjny? – spytał Jack.

- Widzę szesnaście sygnatur na kierunku dwieście czterdzieści pięć stopni, odległość tysiąc osiemset metrów - poinformowała Heather, wyświetlając mapę pokazującą przemieszczające się powoli symbole.

Mark zalogował się do swojego komputera, Jennifer też podeszła do własnej konsoli.

- Podłączyliśmy się już do ich sygnałów GPS? - spytał chłopak.

- Jeszcze nie. Właśnie łamię zabezpieczenia. Na razie ich pozycje podaje nam tylko triangulacja z matrycy anten pasywnych.

Janet podeszła bliżej Marka.

- Jen, dowiedz się, co dostarcza dane z góry - poleciła. - To będzie Global Hawk albo U-2. Mark, sprawdź, co zapewnia bliskie wsparcie lotnicze.

- Już się robi. - Mark zaczął stukać w klawiaturę, szybko przeglądając wykaz satelitów, które mogły widzieć kompleks Frazier ze swojej bieżącej pozycji na orbicie. Gdy znalazł to, czego szukał, wpisał współrzędne do podprzestrzennego urządzenia nadawczo-odbiorczego, uruchamiając połączenie z okiem na niebie.

Niecałe pięć tysięcy kilometrów stamtąd, w centrum operacyjnym dziesiątego oddziału SEAL w Virginia Beach, komandor porucznik Eric Patterson zaklął, gdy jeden z ekranów sytuacyjnych wypełnił się zakłóceniami.

ROZDZIAŁ

43

Krew pulsowała Heather w sercu, jej ciepło rozplýwało się tętnicami. Dziewczyna czuła tlen odfiltrowywany przez płuca i zastępujący dwutlenek węgla pobudzającą mieszanką, dzięki której czuła się bardziej ożywiona niż kiedykolwiek. Wiedziała, że skoro na cel wzięły ich niezwykle potężne władze Stanów Zjednoczonych, powinna zapewne trochę się bać. Zespół najlepszych żołnierzy sił specjalnych na świecie podchodził do ich budynków, wsparty z powietrza siłami, które mogły zamienić całą hacjendę Frazier w wielką kulę płomieni, jednak jedynym doznaniem nastolatki było podekscytowanie.

– Na drugim monitorze mam przekaz na żywo z satelity – odezwał się Mark na lewo od niej. – Ale nie wygląda to dobrze. Widzę trzy samoloty. Wychodzi na to, że to szpiegowski Global Hawk i dwa inne.

Jack zerknął na wyświetlacz.

– Ten, który się oddala, to zapewne C-140, z którego dokonano skoku. Drugi to B-52. Chyba na wszelki wypadek wysłali ciężkiego zawodnika, w razie gdyby ekipa naziemna wpadła w kłopoty.

– A wpadnie – powiedziała Heather. – Złamałam zabezpieczenie GPS. Jestem gotowa zakłócić im sygnał.

Gregory przyglądał się przez kilka sekund mapie, po czym wskazał punkt oddalony sześćset metrów na południe.

– Ale nie za daleko. Poślij ich po prostu na drugą stronę tego wzgórza.

Dziewczyna skinęła, zaczynając wpisywać instrukcje, które wprowadzą do wskazań GPS odpowiednią korektę.

– Przejęłam kontrolę nad sensorami, sterowaniem i telemetrią Global Hawka. Monitoruję polecenia docierające z centrum

kontroli misji – dołączyła się Jennifer. – Mam sprawić, żeby oślepl?

– Nie – odparł Jack. – Ale zastąp przekaz na żywo danymi z dwóch ostatnich minut zarejestrowanymi przez sensory. Janet i ja pójdziemy po Robby’ego, Yachay i obręcze, a wy psujcie szyki tamtym. Jeśli się da, to dajcie nam piętnaście minut, a później działajcie zgodnie z procedurą. Puśćcie w pętli zapisane dane, ustawcie mechanizmy zegarowe na ładunkach i spadajcie w cholere.

– Nie zamierzamy walczyć?

– Gdyby tam w gorze latał B-2, rozważyłbym to, ale nie przy B-52. To tak stary model, że mnóstwo rzeczy robi się w nim ręcznie, a my nie zdołamy tego ominąć. Nie muszą nawet zbyt dokładnie celować, a jesteśmy tak daleko od innych ludzi, że nie będą się przejmować ewentualnymi uszkodzami. Gdy tylko uznają, że drużyna szturmowa ma kłopoty, rozwalą cały kompleks w drzazgi.

Heather wzięła głębozi oddech. Będzie tęskniła za tym miejscem, ale wiedziała, że nie mogli tu tkwić wiecznie. Dzięki Bogu, że paskudny stary nazista, który to wszystko zbudował, miał taką paranoję, że uwzględniał w planach tunel prowadzący z głównej sypialni do gęsto zalesionego parowu znajdującego się tysiadc trzysta metrów na północny wschód.

– Gotowa? – zapytał Jack.

– Tak – odrzekła Jennifer.

– Uruchom pętlę.

Długie palce Jen pomknęły po klawiaturze.

Gdy Heather się obejrzała, Jacka i Janet już nie było.

ROZDZIAŁ

44

Kapitan Morrow dał swej drużynie sygnał do zatrzymania. Starszy chorąży Hob Lucero zmaterializował się niepostrzeżenie przy jego boku. Zupełnie nie było go słyszać ani widać, gdy podchodził.

– Tak, chorąży?

– Coś tu jest mocno nie tak.

Choć Morrow był dobry, jego najwyższy rangą podoficer był lepszy. W siłach specjalnych robił za żywą legendę. Dwie Srebrne Gwiazdy, Medal Honoru i pierś tak ozdobiona baretkami, że gdy tylko zakładał mundur galowy, przechylało go na lewo. To wszystko jednak tylko odzwierciedlało, kim był ten człowiek: wojownikiem z innej epoki, w cywilu dżentelmenem jakby wziętym prosto z dworu króla Artura, a w walce bohaterskim wikingiem, za którym jego ludzie poszliby do samego piekła.

– Tak, też mam takie wrażenie, ale o co chodzi?

Hob parsknął.

– To ten cholerny zaawansowany sprzęt. Psuje nas.

– Możecie mówić nieco konkretniej, chorąży?

Żołnierz wyciągnął mapę, rozłożył ją na ziemi i włączył latarkę z czerwonym filtrem. Palcem zrobił kółko na mapie.

– GPS mówi, że jesteśmy tutaj, prawda?

– Prawda.

– Gówno prawda. Może nie jestem technicznym świrem z Pentagonu, ale potrafię na tyle dobrze czytać pieprzoną mapę, że odróżniam łańcuch wzgórz od doliny. Siedzimy na dnie doliny, ale GPS twierdzi, że sterczymy o tutaj, na szczycie pagórka.

Morrow spojrział na arkusz papieru, a następnie przeniósł wzrok na swój cyfrowy wyświetlacz. Milczał przez kilka sekund, analizując rozbieżności.

– Narodowa Agencja Wywiadu Satelitarnego nie za bardzo się spisała przy tworzeniu map wielkoskalowych tej okolicy.

– No dobrze. Mogę jeszcze zaakceptować na mapie błąd rzędu stu metrów. Tylko że, klnę się na Boga, jesteśmy pół kilometra od współrzędnych wskazywanych przez GPS.

– W jakim kierunku?

– Prosto na południe.

I znów kapitan Morrow przez chwilę milczał. Choć bardzo chciał wierzyć we wskazania wymyślnych gadżetów, bardziej ufał swemu chorążemu.

– A jak na to wpadliście?

– Sir, czy Gregory nie przeprogramował satelitów GPS, żeby wyłączyły nanoboty?

– Owszem.

– Właśnie dlatego uważam, że wie o naszej obecności. Wie też, jak bardzo siły specjalne uzależniły się od technologii. Wykorzystuje nasz sprzęt przeciwko nam.

– Zalecenia?

– Namierza nas w jakiś sposób przez nasze nadajniki. My dwaj musimy się pozbyć całego wyposażonego sprzętu. Zrobimy z niego dwie paczki, damy je naszym ludziom i pošlemy ich trasą, którą szliśmy wcześniej. Natomiast my oddzielimy się i zrobimy Jackowi Kosiarzowi małą niespodziankę.

Zanim starszy chorąży Hob Lucero skończył przedstawiać swój plan, Morrow już ściągał z siebie wszystkie elementy zaawansowanej technologii, układając je w stercie na ziemi.

ROZDZIAŁ

45

Niedługo musimy stąd iść – powiedział Mark. Zegarek w jego głowie odliczał sekundy. Chłopak wskazał na ekran wyświetlający mapę. – Drużyna SEAL zeszła już daleko w bok. Dotrą tu, kiedy nas już dawno nie będzie.

Zobaczył, że Heather wywróciła oczy białkami i zachwiała się pod ciężarem wizji. Wyciągnął rękę, by ją podeprzeć.

Po chwili dziewczyna doszła do siebie i pokręciła głową.

– Ucieczka tunelem i wysadzenie kompleksu nie zadziałają – oznajmiła. – Umieszczony w Global Hawk radar z syntetyczną aperturą i sensory podczerwieni są po prostu zbyt dobre. Dostrzegą nas w dżungli, a później nie wymkniemy się już przed B-52.

Heather odwróciła uwagę od swojej konsoli i przekierowała urządzenie podprzestrzennne na bombowiec.

– Mam kontrolę nad systemem celowniczym B-52 – poinformowała przez zaciśnięte gardło.

– Wydawało mi się, że nie da się nim sterować.

– Załoga wciąż może obejść moje polecenia, ale tylko jeśli uświadomią sobie, co się dzieje. A wtedy będzie już za późno.

– Za późno na co? – spytała Jennifer.

– Potrzebne mi długość i szerokość środka masy drużyny SEAL.

W umyśle Marka zapaliło się światło. Przeliczył współrzędne co do jednej dziesiątej sekundy kątowej i podał je na głos.

– Rozrzut drużyny?

– Sto siedemdziesiąt trzy metry.

Heather wprowadziła dane.

– Zamierzamy zabić Amerykanów? – Jen wciągnęła gwałtownie powietrze.

– Przylecieli tu z zamiarem zabicia nas.

Mark nigdy dotąd nie słyszał tak lodowatej nuty w głosie Heather, ale nie zdziwiła go ona. Czuł, jak uruchamia się wszystko to, czego nauczyli się podczas szkolenia, jak odsuwają się na bok emocje, które mogłyby ich paraliżować. Owszem, później będą musieli stawić im czoła, ale jeszcze nie teraz.

– Jen – ciągnęła Heather – przygotuj się do przesłania mi przekazu z Global Hawka. Będę potrzebować widoku drużyny SEAL w podczerwieni.

– Przejęłam już kontrolę nad sensorami. Mogę zacząć przesyłać w dowolnej chwili.

– Mark, daj mi ujęcie z satelity, w najlepszej możliwej jakości.

Chłopak skupił się na swojej konsoli.

– Przekazuję obraz. To dość sporo danych. Pobieranie zajmie trzydzieści pięć sekund.

Na monitorze na lewo od Heather pokazały się informacje. Widziała członków drużyny, ale bez potrzebnych jej szczegółów. Pokręciła głową.

– Coś jest nie tak. Widzę tylko czternaście osób.

– Wciąż mam na tym obszarze szesnaście sygnałów GPS – oznajmił Mark. – Może dwaj są zasłonięci przez teren.

Heather zerknęła na mapę.

– To niemożliwe. Źródła tych dwóch sygnałów znajdują się tuż obok widzianych przeze mnie operatorów.

Mark zobaczył, że nagle jej oczy znów zbieleły. Niedobrze.

Heather wyszła z transu niemal zaraz po tym, jak w niego weszła.

– Jen, daj mi natychmiast przekaz z Global Hawka!

– Do cholery, gdzie dane z Global Hawka? – Głos komandora Pattersona dobiegł bezpośrednio zza prawego ucha młodszego chorążego Swana.

– Nie wiem, sir. Mieliśmy doskonały sygnał i nagle jakby zupełnie przestał nadawać.

– Rozmawialiście z centrum kontroli misji?

– Pracują nad tym, szefie.

– Nie dość się starają. Moi ludzie są tam zagrożeni. Powiedźcie tym fachurom z lotnictwa, że jeśli nie naprawią mi natychmiast transmisji, to tak ich kopnę w dupy, że zakrztuszą się sznurówkami.

– Tak jest.

Swan słyszał już kiedyś taki ton. Należał do naprawde wkurzonego SEAL.

Mark obserwował, jak Jennifer kieruje silną podczerwoną kamerą Global Hawka, przesuając ją na pozycję plutonu SEAL. Czternastu żołnierzy, nie szesnastu.

– Ustaw ją z powrotem na nas – poleciła Heather. – Chcę zobaczyć kompleks.

W obiektywie pokazała się w podczerwieni hacjenda Frazier.

– Cholera! – Markowi wymknęło się przekleństwo, gdy ujrzał dwie jasno świecące sylwetki klęczące przy stodole, mniej niż pięćdziesiąt metrów od centrum łącznościowego, w którym przebywali nastolatki. Zanim te trzy sylaby dotarły do uszu dziewcząt, chłopak już zerwał się do biegu, podnosząc dziewięćmilimetrowy pistolet SIG-Sauer do pozycji strzeleckiej. W tym samym momencie okno i rolety implodowały do środka.

Kątem oka dostrzegł, że Heather nacisnęła w swoim laptopie klawisz Enter.

Niemal czternaście kilometrów wyżej zaczął otwierać się luk bombowy B-52.

ROZDZIAŁ

46

Kapitan Morrow klęczał w ciemności, tak trzymając M4, by w razie potrzeby zapewnić osłonę swemu starszemu chorążemu. Nie przewidywał jednak, by sytuacja go do tego zmusiła. Lucero dokonał już odczytu z dalmierza laserowego, by móc użyć amunicji niezabijającej znajdującej się obecnie w komorze granatnika XM25, służącego do zwalczania celów znajdujących się za osłonami, i teraz naciskał palcem spust. Ta wspaniała broń zwykle strzelała granatami odłamkowo-burzącymi i nie pozwalała wrogom kryć się za ścianami. Wystarczyło wycelować w ścianę lub parapet, odczytać laserem odległość, ręcznie dorzucić dodatkowy metr i strzelić tuż nad przeszkodą. Obwód zabezpieczający granatu uzbrajał go po pokonaniu trzydziestu metrów, pocisk leciał dalej na zaprogramowany dystans i eksplodował. Pa, pa, czarny charakterze.

W miarę możliwości mieli jednak brać poszukiwanych żywcem, zatem starszy chorąży załadował magazynek granatami niezabijającymi, nazywanymi przez żołnierzy glutami. Również uzbrajały się one po opuszczeniu lufy i wybuchały po pokonaniu ustawionej odległości. Różnica polegała na tym, że opryskiwały cel błyskawicznie schnącą mazią o wytrzymałości na rozciąganie większej niż superglue. Aby uwolnić kogoś trafionego taką amunicją, należało zastosować specjalny rozpuszczalnik w sprayu.

Spoglądając przez celownik termowizyjny, Morrow przez zaciągnięte rolety wyraźnie widział sygnatury cieplne trzech osób zgromadzonych przy komputerach. Rozległ się huk i granat wyleciał z krótkiej lufy XM25. Niemal w tej samej chwili jedna z postaci rzuciła się w stronę okna. Poruszając się z niewiarygodną szybkością, jaśniejąca sylwetka w biegu wyciągała broń krótką.

Kosiarz. Ta myśl błysnęła Morrowowi w głowie, gdy granat przebijał roletę i zgodnie z wcześniejszymi ustawieniami wybuchł metr dalej. Glut wypełnił pomieszczenie kleistymi pasmami, wszystko, z czym się zetknął, łapiąc w szybko twardniejącą sieć, która z pewnością wzbudziłaby zawiść Spider-Mana.

Kapitan zauważył, że wybuch trafił biegnącą postać, obrócił ją w powietrzu i unieruchomił, zanim dotknęła podłogi. Pozostałe dwie osoby również zamarły przy stanowiskach komputerowych.

Człowiek, którego uznał za Kosiarza, nie przestawał szarpać się w niezwykle wytrzymałych niciach i choć Morrowowi mówiono, że to niemożliwe, wyglądało na to, że zerwał kilka z nich i zaczynał powoli podnosić broń w kierunku obydwu operatorów.

– Dość tego. – Dowódca wystrzelił po jednym pocisku w każdą z osób. Strzałki obezwładniające wbiły się głęboko w odsłoniętą skórę.

Przez kilka sekund oplątany siecią człowiek dalej się mიაł, lecz, podobnie jak pozostała dwójka, w końcu oklapł bezwładnie.

Hob Lucero podniósł się i ruszył w stronę budynku z pojemnikiem zawierającym rozpuszczalnik.

– Misja wykonana – oznajmił.

Morrow zawahał się, rozglądając w termowizji po okolicy i szukając dalszych sygnatur ciepłych. Zgodnie z otrzymanymi informacjami mieli spodziewać się pięciorga przeciwników. Akurat gdy przekonał sam siebie, że to koniec walki, i obrócił się w stronę starszego chorążego, niebo zapłonęło bielą i pomarańczem. Zaraz później fala uderzeniowa poderwała go i cisnęła w dal niczym szmacianą lalką na wietrze.

ROZDZIAŁ

47

Rozbłyski rozświetliły niebo na południowym zachodzie bardziej niż słońce. Nad linią eksplodujących bomb wykwitła kula ognia, unosząc się wysoko huraganem gorąca, a pięć sekund później przez głęboki parów przetoczyła się fala uderzeniowa. Janet spojrzała w szeroko otwarte oczy Robby'ego, spodziewając się, że dziecko zacznie krzyczeć, ale jej matczyne przewidywania nie zostały spełnione. Wprawdzie małe rączki zacisnęły się mocno na uszach, jednak malec spoglądał na widowisko z wyrazem fascynacji.

Trzy metry w lewo od nich odziany w czerń Jack wpatrywał się w stronę hacjendy.

- Wracamy? - Janet tak brzęczało w uszach, że własny głos wydawał jej się ledwie szeptem.

- Nie ma sensu - odparł agent. - Albo są już w tunelu i nas dogonią, albo nie żyją.

Janet otrząsnęła się z fali grozy, która ścisnęła jej serce, ścisnęła M4 wiszące na nosidełku Robby'ego i ruszyła dalej za Yachay w rozpostarte ramiona Amazonii.

ROZDZIAŁ

48

Panie prezydencie, mamy potwierdzone informacje z Boliwii. – James Nobles wcisnął guzik w pilocie, zastępując widoczną na dużym ekranie mapę obrazem w podczerwieni, ukazującym kilka krytych strzechą budynków i świecące sylwetki rozproszone po kompleksie.

– Słucham.

– Drugi pluton dziesiątego oddziału SEAL znalazł się w posiadłości Frazier. Perymetr został zabezpieczony.

– A co z pierwszym plutonem?

– Przykro mi, panie prezydencie. Nie jest dobrze. Czternastu poległych. Kapitan Morrow, dowódca pierwszego plutonu, ma złamaną rękę, ale pozostał na miejscu i współpracuje z drugim plutonem.

– Gregory?

– Ani śladu po nim i po Janet Price.

– Niech to diabli! Co się tam wydarzyło, do cholery?

– Nie mamy jeszcze pewności, ale są podejrzenia, że poszukiwani zdołali włamać się do kilku bezpiecznych systemów narodowych.

Prezydent Jackson poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

– Jak to w ogóle możliwe?

– Nie wiemy.

– Dowiedzcie się!

Jego doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego skinął głową.

– W kompleksie Frazier znaleźliśmy dwa laptopy. Zawarte w nich informacje mogą okazać się nieocenione.

– Dwa laptopy... – Wydawało się to marnym pocieszeniem, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę poniesione ofiary.

– Ale to nie wszystko, sir – podjął Nobles po chwili milczenia. – Kosiarz i Janet Price dysponowali pomocą. Znacząca.

Prezydent poczuł przypływ nadziei. Być może misja nie okaże się jednak zupełną katastrofą.

– Wciąż czekamy na ocenę obrażeń, ale drugi oddział SEAL donosi o pojmaniu trojga terrorystów. Sądzymy, że mogą to być hakerzy, którzy wprowadzili błędy do sygnału GPS i przejęli kontrolę nad sensorami naszego Global Hawka. Udało im się także zmienić cel bombardowania B-52, w wyniku czego zginęło czternastu naszych żołnierzy. Terrorysty i laptopy zostaną przetransportowani do jednej z naszych specjalnych placówek. Przesłuchania mogą zająć trochę czasu, w zależności od stanu zatrzymanych i metod, które pan zaaprobuję.

– Udzielam zgody na użycie wszelkich koniecznych metod – oznajmił prezydent bez chwili wahania.

Jego doradca skinął głową i skierował się do drzwi, lecz Jackson podniósł dłoń.

– Jeszcze jedno, James, w razie gdyby ktoś zapomniał. Chcę Gregory'ego. Może być martwy.

ROZDZIAŁ

49

Profesor Louis Dubois siedział w swoim biurze, wpatrując się w ekran komputera, a przekrwione oczy stanowiły świadectwo, że nie spał od trzydziestu sześciu godzin. Pomimo złości, jaką w podwładnych mu naukowcach, inżynierach oraz technikach budziła przymusowa kwarantanna, ich profesjonalizm i umiłowanie pracy znów dały spektakularne rezultaty. Pierwsza analiza projektu profesora Stephensona nie wykazała błędów w jego równaniach, co oznaczało, zważywszy na nienawiść żywioną przez zespół LHC do fizyka z Projektu Rho, że jego teoria może być prawidłowa.

W świecie nauki weryfikacja czyjejs pracy odbywała się za pomocą ocen eksperckich. Im bardziej kontrowersyjna wydawała się publikacja, tym bardziej naukowcy i matematycy starali się odnaleźć w niej luki. Fakt, że tak szerokie grono najwybitniejszych umysłów świata nie trafiło na dziury w propozycji Stephensona, nie dowodził, że Amerykanin na pewno miał słuszność, ale Louisowi to wystarczało. I cholernie go to frustrowało.

Wpatrywał się w raport inżynieryjny i zimny pot spływał mu po karku, mocząc schludny niegdyś kucyk i plamiąc kołnierzyk koszuli. Projekt budowy tego, co określał jako Bramę Rho, wymagał wysiłku, przy którym konstrukcja Wielkiego Zderzacza Hadronów wydawała się błahostką. Nie w sensie wymiarów fizycznych. Samo urządzenie zmieściłoby się w nieco powiększonej grocie projektu ATLAS. Oszalałamiły jednak stopień złożoności mechanizmu, moc potrzebna do uzyskania tunelu czasoprzestrzennego oraz nieprzekraczalny siedmiomiesięczny termin. W dziejach Ziemi nie stworzono nigdy nic o podobnej skali.

Dubois uruchomił komputerowy projekt Bramy Rho. Schemat konstrukcyjny wypełniał ekran za ekranem. Opracowanie tak szczegółowego planu przez zespół inżynierów LHC w tak krótkim czasie świadczyło o ogromie włożonej pracy, która powinna zrobić wrażenie nawet na Donaldzie Stephensonie. Oczywiście nie zrobiła, ale nie miało to większego znaczenia. Teraz zadaniem Louisa było opracowanie szkicu propozycji skierowanej do polityków z najpotężniejszych krajów świata, dzięki której rządy bez tracenia czasu włączą się do przedsięwzięcia.

Naukowiec otworzył kolejny napój energetyczny, odchylił głowę i wlał w siebie zawartość. Wpatrując się w małą butelkę, uśmiechnął się. Jeszcze sześć takich i powinien skończyć.

ROZDZIAŁ

50

Gil McFarland obserwował z mieszkanką nadziei i grozy, jak dwaj agenci z FBI idą jego podjazdem. Gdy minęli otwarte drzwi frontowe, skierował federalnych, ubranych w identyczne granatowe garnitury, białe koszule i czarne krawaty, do salonu, gdzie czekali zniecierpliwieni Smythe'owie oraz Anna. Agenci pozostali w pozycji stojącej, gdy Gil spoczął obok żony, ujmując jej drżącą dłoń.

- Państwo Smythe, państwo McFarland - zaczął federalny po lewej - jestem agent specjalny Crowley, a to agent specjalny McKee.

- Znaleźliście nasze dzieci? - wylało się z ust Anny oskarżycielskim tonem pasującym do sytuacji.

Crowley wydał wargi, odetchnął głęboko i kontynuował:

- Przykro mi to mówić, ale znaleźliśmy. Mniej więcej o północy zginęli podczas ataku oddziału SEAL na siedzibę terrorystów dowodzonych przez Jacka „Kosiarza” Gregory’ego.

Jego słowa uderzyły Gila w pierś niczym taran, wybijając mu gwałtownie powietrze z płuc.

- Nie! - Zbolały krzyk Lindy Smythe jako jedyny odgłos przerwał wynikającą z szoku ciszę.

- Gdy operatorzy SEAL wkroczyli do boliwijskiej posiadłości Kosiarza, ten zabił wasze dzieci pojedynczymi strzałami w głowę, a następnie zdetonował bombę pułapkę, w wyniku czego zginęło czternastu członków drużyny SEAL prowadzących akcję ratunkową. Przyjechaliśmy tutaj, aby w imieniu rządu Stanów Zjednoczonych złożyć państwu najszczerze kondolencje.

Czas się zatrzymał.

- Moment. - Gil McFarland przerwał w końcu milczenie. - Wezwaliśmy was, gnoje, żebyście pomogli naszym dzieciom. I

teraz pierdolicie nam takie bzdury? To wy ich zabiliście!

– Zdaję sobie sprawę, że to dla państwa trudne – powiedział agent Crowley, idąc w stronę drzwi.

– Trudne? Wy żałosne skurwysyny! – Fredowi Smythe'owi głos łamał się z emocji.

Szklana lampa opuściła dłoń Gila, zanim w ogóle uświadomił sobie, że wstał. Przedmiot wydawał się sunąć przez pokój w zwolnionym tempie. Gdy agenci się uchyliłi, eksplodował na krawędzi zamykających się drzwi i grad wielokolorowych odłamków pomknął za federalnymi w noc.

Gil wykonał dwa kroki naprzód i kolana niemal się pod nim załamały. Obrócił się, słysząc niskie zawodzenie Anny i szloch Lindy. Obie kobiety obejmowały się na skórzanej kanapie, tuląc głowy w ramionach. Fred stał obok nich, wpatrując się w drzwi i tak zaciskając pięści, że na rękach nabrzmiały mu żyły. Widząc, że wściekłość i frustracja wmurowały jego najlepszego przyjaciela w miejsce, Gil poczuł, jak otaczający go świat rozpada się na kawałki.

ROZDZIAŁ

51

Był to stary sen, a przynajmniej taki kojarzący się ze starym i wychodzonym butem, który łatwo wsunąć, choć gdy stopa już znajdzie się w środku, nie jest zbyt wygodnie. Rozsupływał się w umyśle poddanej śpiączce farmakologicznej Heather, a jej idealna pamięć w jakiś sposób wypaczała wszystko i wzmacniała, aż każde uderzenie serca wydawało się niczym dudnienie bębna basowego.

W małej sali gimnastycznej znajdowała się lustrzana ściana, wzdłuż której biegł drążek. Po drugiej stronie był stojak z obciążnikami, do którego przykuto Marka.

Czterech osiłków przyciskało ją do podłogi i rozkładało jej nogi, między którymi klęczał señor Espeñosa gmerający przy pasku, guziku i suwaku, a jednocześnie rozrywający jej bluzkę i obmacujący piersi. Szydził z Marka. Boss narkotykowy roześmiał się chrapliwie, kierując uwagę z powrotem na swojego fiuta.

Choć dzieliło ich całe pomieszczenie, do jej uszu dochodziło wyraźne dudnienie serca Marka, łomoczącego mu w piersi.

ŁUP.

Jak ci ludzie tego nie słyszeli? Heather widziała w swej wizji nieuniknione konsekwencje naplucia Espeñosie w twarz. Mogła zrobić coś innego, ale nic nie byłoby równie ekscytujące lub satysfakcjonujące, więc strzyknęła strużką plwociny między oczy narkotykowego barona, pozwalając, by kamienie domina zaczęły się nawzajem przewracać.

I nagle Mark wpadł między nich, miażdżąc, szarpiąc i rozrywając, a wrzaski drabów zatoneły w strumieniach krwi. Jednak to nie on ich zabił. Heather to zrobiła. I, niech Bóg ma ją w swojej opiece, podobało jej się to.

Sen zmienił się. Szkło eksplodowało w centrum łącznościowym,

gdy nacisnęła szary klawisz Enter w laptopie, posyłając bomby o wadze dwóch tysięcy funtów na drużynę SEAL. Krew i ogień. Ponownie to ona wybrała tę ścieżkę.

Plan Jacka zakładał, że ich zadaniem będzie zmylenie żołnierzy, a następnie przejście tym samym tajnym tunelem, którym udał się wcześniej on wraz z Janet. Ładunki wybuchowe miały zmienić posiadłość Frazier w inferno, by SEAL nie mieli już tam czego szukać. Heather zmieniła jednak tę koncepcję, zamiast tego decydując się na ścieżkę śmierci oraz zniszczenia. Znała ryzyko. Wiedziała, że w ten sposób zginą Amerykanie.

Poczuła, że coś ją podnosi, ciska w powietrze i oplątuje kleistą mazią, która tak skutecznie uwięziła jej ciało, że nawet nie uderzyła o podłogę. Oszołomiona Heather wisiała w gwałtownie twardej sieci, aż ostry ból strzałki w białej w jej udo przyniósł wywołaną środkiem chemicznym mgłę.

- Pani doktor. Wybudza się.

Głos przedarł się przez tę mgłę. Heather otworzyła oczy, mrugając, gdy otoczyła ją jaskrawa biel. Leżała przypięta do łóżka w jakimś szpitalnym pokoju. Moment. Jej otoczenie nosiło pewne znamiona sali szpitalnej. Ze stalowego stojaka zwisał worek z kroplówką, którego zawartość sączyła się do przezroczystej plastikowej rurki podłączonej do wenflonu w jej rękę. Przenośny monitor pokazywał jej parametry życiowe. Na tym jednak kończyły się podobieństwa z lecznicą. Pomieszczenie miało białe, wyściełane ściany i podłogę z białej gumy.

Heather zerknęła na pielęgniarkę, niewyróżniającą się blondynkę, lekko przy kości, w białym uniformie, a nawet w staroświeckim czepku. Zza jej pleców wyszła lekarka, wchodząc w pole widzenia dziewczyny. Ta twarz, okolona ciemnymi włosami zebranyymi w ciasny węzeł.

Oddech utknął Heather w gardle. Co, do ciężkiej cholery, robiła tu doktor Gertrude Sigmund? Gdziekolwiek to było.

Psychiatra skierowała ku niej ten znajomy zatroskany uśmiech, który zawsze poprzedzał zmianę przepisanego przeciwpsychotycznego leku na silniejszy.

- Witaj, Heather. Miło widzieć, że do nas wróciłaś. Jak się

czujesz?

Dziewczyna próbowała oczyścić myśli, ale mgła nie chciała się podnieść. Gdy spojrzała na plastikowy worek z kroplówką, zauważyła, że brakowało na nim zwyczajowej etykiety z nazwą.

– Co to jest? – spytała lekko bełkotliwym głosem.

Lekarka znów się uśmiechnęła.

– Nie martw się tym teraz. Najważniejsze, że odzyskałaś świadomość.

– Gdzie jestem?

– Masz ogromne szczęście, młoda damo. Dzięki szczodrości anonimowego dobroczyńcy zostałaś pacjentką najlepszej tego typu placówki w Ameryce Północnej. Znajdujesz się w Psychiatrycznym Szpitalu Klinicznym Fundacji Henderson House.

– Henderson House? – W otulającej jej myśli mgle zawirowała fala grozy.

Doktor Sigmund zaśmiała się lekko, w sposób, który miał podnieść dziewczynę na duchu, choć ten zamysł nie powiódł się.

– W ostatnich miesiącach ta nazwa okryła się trochę złą sławą, prawda? Pozwól, że cię uspokoję. Oddział psychiatryczny jest zupełnie oddzielony od placówki eksperymentalnej, w której swoje badania prowadził profesor Frell, choć mieści się na tym samym terenie. To szkoda, że taki człowiek jak Frell zepsuł świetną reputację całej instytucji.

Heather zamknęła oczy, próbując zebrać fakty.

– Dlaczego tu jestem? Gdzie są Mark i Jennifer?

Lekarka przysunęła krzesło i usiadła obok łóżka. Wyciągnęła rękę, by poklepać dziewczynę po prawej dłoni, poniżej skórzanej opaski mocującej ją do stalowej poręczy.

– Posłuchaj, Heather. Doznałaś poważnego epizodu psychotycznego wywołanego odstawieniem leków. Przez kilka ostatnich tygodni tkwiłaś głęboko w jednym ze swoich transów. Dopóki cię tu nie przenieśliśmy, zaczynałam sądzić, że być może straciliśmy cię już na zawsze. A jeśli chodzi o twoich przyjaciół, to oczywiście wciąż przebywają w Los Alamos i kończą rok szkolny. Słyszałam, że Marcus jest prawdziwą gwiazdą koszykówki.

Kłamstwa. Ale jak to możliwe, że doktor Sigmund brała udział w tym wszystkim? Nie miało to sensu.

– Ale Markowi zakazano zajęć dodatkowych. I co z Boliwią?

– Cóż, w kwestii zawieszenia Marka lokalne społeczności w Los Alamos i White Rock zrobiły takie zamieszanie, że rada szkoły uchyliła zakaz nałożony na waszą trójkę.

– Proszę mi to udowodnić. Chcę zobaczyć się z rodzicami. Oraz z Markiem i Jen.

Psychiatra wyduła wąskie wargi.

– Omówię to z twoimi lekarzami, ale lepiej nie rób sobie zbyt dużych nadziei, przynajmniej nie tak od razu. Nawet najmniejsze zakłócenie terapii może ponownie wywołać głęboką psychozę i następnym razem możemy cię już nie odzyskać.

– Moimi lekarzami? Pani mnie nie leczy?

I znów ten śmiech.

– Ja? Miło mi, że widzisz mnie w tej roli, ale znajdujesz się teraz pod opieką najlepszych specjalistów od zdrowia psychicznego na świecie. Poproszono mnie o przyłot tutaj tylko dlatego, abyś po powrocie do rzeczywistości ujrzała znajomą twarz, co miało zmniejszyć stres. Skoro udało mi się wykonać zadanie, wrócę do Los Alamos.

– Ale...

Doktor Sigmund podniosła się.

– Ale już nic. Musisz odpoczywać i skupić się na poprawie swojego stanu. Zaufaj mi. Zaufaj swoim lekarzom. Naprawdę są najlepsi.

Psychiatra przystanęła przed wyjściem, przesuwając wzrokiem po unieruchomionej sylwetce Heather. Dziewczyna przez chwilę sądziła, że lekarka jeszcze coś powie, ale ta odwróciła się i opuściła salę.

Gdy kobieta wyszła, Heather usłyszała szcęknięcie blokującego się mocnego elektrycznego zamka.

Dwóch agentów federalnych, którzy spotkali się z Gertrude przy następnych drzwiach, poprowadziło ją najpierw długim

korytarzem, następnie skręcili w krótszy w prawo i zatrzymali się przed wejściem do windy. Jeden z nich wcisnął przycisk przywołania, który zaświecił się na czerwono, lecz lekarka zauważyła brak lampek wskazujących piętra. Gdyby całe zdarzenie nie wydawało się tak surrealistyczne, mogłaby uznać ten fakt za dziwny.

Gdy drzwi windy otworzyły się, wyższy z mężczyzn, który przedstawił jej się jako agent Sampson, wszedł wraz z nią i wcisnął najwyższy z pięciu nieoznaczonych przycisków. Drzwi zasunęły się i winda ruszyła w górę. Gdy znów się zatrzymała, wyjście pozostało zamknięte.

Sampson wyciągnął dłoń.

- Doktor Sigmund, bardzo przysłużyła się pani swojemu krajowi.

- Naprawdę?

- I jestem pewien, że nie muszę pani przypominać, że wspomnianie komukolwiek o tej wizycie wiąże się z dotkliwymi karami na podstawie Patriot Act.

Gertrude zignorowała dłoń, a agent cofnął ją.

- Czy mogę już pójść?

Federalny wdusił środkowy przycisk i drzwi rozsunęły się. Odprowadził lekarkę do stanowiska strażnika i obserwował, jak oddawała tymczasową przepustkę i składała podpis.

Gertrude wyszła na podziemny parking i przemknęła do czekającego na nią rządowego samochodu. Agent Sampson pozwolił jej wsunąć się na tylne siedzenie i zamknął drzwi, po czym klepnął w dach, dając znak kierowcy, że może jechać.

Kiedy czarne auto przejeżdżało przez bramę Fort Meade, lekarka jeszcze raz obejrzała się przez ramię.

- Chciałaby pani zatrzymać się, żeby coś zjeść, czy mam jechać bezpośrednio na lotnisko?

Gertrude pokręciła głową.

- Proszę jechać na lotnisko.

Nic tego dnia nie jadła, ale fala mdłości pozbawiła ją całego apetytu. Jedyne, czego pragnęła, to wsiąść do samochodu, wziąć antydepresant i zasnąć w nadziei, że po przebudzeniu nie będzie

już tak nienawidziła siebie samej.

ROZDZIAŁ

52

Jeśli istniało w USA lotnisko, na którym panowało wolniejsze tempo niż w międzynarodowym porcie lotniczym Baltimore/Washington, to Freddy Hagerman jeszcze go nie odwiedził. Czego jednak można było się spodziewać po tak uzwiązkowionym mieście? Samo dotarcie do bramki bezpieczeństwa stanowiło koszmar, zmuszający pasażerów do przedzierania się przez kręty, długi i wąski labirynt wytyczonej słupkami z taśmą ścieżki, którą ludzie szli raz w jednym, raz w przeciwnym kierunku.

Podczas podróży w tamtą stronę Freddy toczył tę walkę przez trzydzieści siedem minut, zanim wreszcie dotarł do stanowisk kontrolnych TSA, Administracji do spraw Bezpieczeństwa Transportu. Gdy sądził już, że podróż przez piekło dobiegła końca, został zmuszony do czekania przy cholernej maszynie, podczas gdy kobieta z TSA trajkotała z koleżanką o swoim zdradzającym chłopaku i co Sheila sądzi: powinna go zostawić, czy też po prostu mu porządnie natłuc? Freddy uznał, że ma już dość, i ogłosił ten fakt głośno, przez co został wytypowany do szczegółowej kontroli osobistej i spóźnił się na swój lot.

Teraz wracał i czekał w punkcie odbioru bagażu wraz z mniej więcej trzystoma innymi osobami, zastanawiając się, czy w branży rozładunkowej trafiło się akurat jakieś święto. W końcu była środa, a kto tak naprawdę pracował w środy? Przypomniał mu się fragment z jednego z filmów z serii Zabójcza broń: „Zawsze będą was rąbali w dupę”³.

A na Baltimore/Washington rąbali w obie strony.

I tak nie miało to większego znaczenia, bo kręcił się w kółko, próbując jakoś wykorzystać cynk od doktor Jennings. Trzy dni

3 Szklana pułapka 2, tłum. Tomasz Beksiński.

spędzone na Manhattanie na próbach wyciągnięcia jakichś informacji z jego źródeł w ONZ okazały się zupełną stratą czasu. Gdy połączył to ze wszystkim, co zdołał wykopać w stolicy, okazało się, że miał jedno wielkie nic.

W tym momencie rozległy się trzy ostre piśnięcia i przenośnik taśmowy ruszył z hurgotem. Pięć minut później Freddy przeciągnął swą winylową, plamiastą walizkę przez rozsuwane drzwi lotniska i skręcił w prawo w kierunku busa, który miał go zawieźć do wypożyczalni samochodów. Zdążył wykonać sześć kroków, gdy dostrzegł rządową limuzynę. Kierowca wysiadł ze środka i podszedł do bagażnika, by pomóc wyciągnąć walizkę szczupłej, ciemnowłosej kobiecie. Freddy zatrzymał się. Gdzie ją widział? Nigdy nie zapomniał twarzy, skoro więc nie mógł sobie przypomnieć, skąd ją kojarzył, oznaczało to, że mignęła mu tylko przelotnie. Mężczyzna, który przywiózł kobietę, był wyraźnie jakimś agentem federalnym. Wybrzuszenie marynarki z lewej strony świadczyło, że dźwigał nie tylko bagaż pasażerki.

Agent postawił walizkę na chodniku, skinął lekko głową odwiezionej, wrócił do auta i włączył się do ruchu. Gdy Freddy przeniósł uwagę na kobietę, przeciągającą właśnie lawendową torbę przez te same szklane drzwi, przez które Hagerman właśnie wyszedł, w końcu sobie przypomniał. Wspomnienia zostały pobudzone przez jej włosy, tak mocno zebrane w tył, że zapewne nigdy nie będzie potrzebowała liftingu twarzy. Wypowiadała się jako psychiatra w artykule z „Newsweeka” o trojgu zaginionych licealistach z Los Alamos. Freddy czytał go kilka miesięcy wcześniej, gdy wciąż pracował nad tekstem o Henderson House.

Zatem dlaczego psychiatra z małego Los Alamos była wożona przez federalnych w regionie stolicy? Nie wyglądała na szczególnie zadowoloną z tego powodu. A tak w ogóle to dlaczego podrzucili ją koło przylotów, a nie przy odlotach?

Pięćdziesiąt metrów dalej bus z wypożyczalni ruszył od krawężnika. Cholera. Sterczał tu tak długo, próbując sobie przypomnieć, gdzie widział tę kobietę, że uciekł mu transport. Teraz musiał poczekać na następny, a na tym lotnisku oznaczało

to, że być może będzie tu tkwić kolejne pół godziny.

Zerknąwszy do środka, Hagerman dostrzegł learkę stojącą w kolejce do punktu zgłaszania zagubionego bagażu. Cóż, to przynajmniej wyjaśniało, dlaczego ją tu wysadzili.

– Ej, kolego! – Freddy przeniósł wzrok na mówiącego. Wgapił się niego tłusty biały facet w pogniecionym garniturze i z dwiema walizkami. – Będiesz pan tu tak stał cały dzień i blokował chodnik czy się przesuniesz?

Freddy odwzajemnił spojrzenie, ale cofnął się o krok i bez komentarza pozwolił przejść obładowanemu grubasowi.

I znów wrócił wzrokiem do kobiety. Wyglądała na wyraźnie zdenerwowaną i Freddy nie sądził, że to z powodu zgubionego bagażu. Ta młoda McFarland była jej pacjentką, a jeśli wierzyć materiałowi z wiadomości na temat szturmu na boliwijską kryjówkę Kosiarza, zginęła tam wraz z dwojgiem szkolnych przyjaciół i czternastoma żołnierzami z sił specjalnych. Z pewnością stąd brał się ból na twarzy psychiatry.

Jednak nie tłumaczyło to jej przyjazdu na lotnisko w asyście agenta federalnego. Dlaczego mieliby chcieć rozmawiać z learką tej małej, jeśli naprawdę nie żyła? Może z rodzicami, ale z psychiatrą? Nie kupował tego.

Stojąc na chodniku w chyba pierwszy gorący dzień roku w Baltimore, Freddy miał wrażenie, jakby coś nim mocno szarpnęło. Poczuł to po raz pierwszy od spotkania z tą dziwną Jennings z NSA. Może obie sprawy się ze sobą nie wiązały, ale i tak był zaintrygowany.

Wyciągnął telefon i wybrał numer swojej asystentki.

– To ja. Posłuchaj, Julio. Zmiana planów. Zarezerwuj mi pierwszy dostępny lot z BWI do Albuquerque. Tak. Wypożyczalnia samochodów na lotnisku, hotel w Los Alamos. Nie jestem pewien, na jak długo. Najlepiej na tydzień.

Po zakończeniu rozmowy Freddy schował iPhone'a do kieszeni i złapał walizkę. Czując, jak kąciki ust wykrzywiają mu się w grymasie, ruszył ciężko w stronę punktu obsługi podróżnych. Wyglądało na to, że lotnisko Baltimore/Washington będzie mogło go dziś podręczyć kolejny raz.

ROZDZIAŁ

53

W pomieszczeniu unosił się lekki gryzący zapach, kojarzący się z niedawno wyschniętym klejem i czymś jeszcze. Heather obróciła głowę, by dostrzec na monitorze swoje parametry życiowe, i od razu je zapamiętała. Leki wpływały na procesy myślowe, ale zanim coś z tym zrobi, musi wiedzieć, jak wyglądają jej odczyty pod ich wpływem, by później w razie potrzeby zdołać przywrócić je do podobnych wartości.

Autonomiczny układ nerwowy to zdumiewająca rzecz. Nie potrzebowała ani jednej świadomej myśli, by w organizmie wciąż biło serce, płuca oddychały, krew krążyła, utrzymywała się ciepłota ciała, pożywienie się trawiło i tak dalej. Wszystko to działało niezależnie od tego, czy spała, czy też była świadoma. Jedną z korzyści, jakimi cieszyli się wraz z Markiem i Jennifer, była możliwość większej kontroli nad tymi procesami.

Heather przeniosła uwagę na mgiełkę otulającą jej myśli. Nie był to potężny środek obездwładniający, który wstrzyknęli jej w Boliwii, ani też torazyna czy inny lek przeciwpsychotyczny stanowiący pochodną fenotiazyny, jakie doktor Sigmund wypróbowywała na niej w Los Alamos. Dziewczyna wzięła głęboki oddech i wykonała odkrytą przez Marka sztukę medytacyjną, wywołując doskonałe wspomnienie, jak to jest mieć czysty i czujny umysł.

W mózgu Heather niewykorzystywane komórki zrównoważyły stan upojenia lekami i przeprogramowały jej sieć neuronową, by uzyskać pożądany stan bystrości myśli. Kolejne zerknięcie na ekran nagrodziło ją informacją, że nikt nie wykryłby, iż właśnie unieszkodliwiła podawane środki.

Dziewczyna skierowała znów uwagę na zapachy wiszące w powietrzu. W miejscu, gdzie biała wyściółka ścian stykała się z

sufitowymi panelami dźwiękochłonnymi, wciąż widać było ślady niedawnego montażu. Toaleta i umywalka ze stali nierdzewnej zajmowały środek tylnej ściany, a prosty prysznic umieszczono w lewym tylnym rogu pokoju. Tylko że tych urządzeń, jej łóżka z podrapaną ramą i poręczami oraz małej kamery w prawym górnym rogu w przedniej części sali wcale nie umieszczono tu niedawno.

Heather przywołała w głowie rozmiary pomieszczenia, formując trójwymiarowy model. Obróciła go, zrywając ze ścian wyściółkę rodem z domu wariatów. Zdjęła z sufitu panele akustyczne. Przednią ścianę i drzwi zastąpiła kratami z odpuszczanej stali, zdalnie sterowaną zasuwaną furtką i otworem do podawania posiłków.

Nie znajdowała się w Henderson House ani w zakładzie psychiatrycznym, tylko w świeżo przebudowanej izolatce w więzieniu o zaostzonych środkach kontroli.

Dlaczego więc władze podjęły tyle wysiłków, aby stworzyć to oszustwo? Najwyraźniej doktor Sigmund przywieziono, by nadała sytuacji wstępną wiarygodność, a leki miały wzmocnić efekt. Wyciągnięto rejestry medyczne Heather, odkryto problemy psychiczne i zdecydowano się je wykorzystać.

Kryła się w tym pewna ironia. Próbując wykorzystać jej słabość, ci, którzy ją więzili, dali jej do ręki przewagę. Skupiła się na skórzanych opaskach mocujących jej dłonie oraz stopy do łóżka i napięła mięśnie tylko na tyle, by sprawdzić ich rozciągliwość. Rozerwanie więzów nie stanowiłoby problemu, jednak nie zamierzała tego robić przed kamerą. Zanim się oswobodzi, musi dowiedzieć się sporo o rozkładzie dnia, budynku i ludziach stojących za całą operacją.

Martwiły ją myśli o Marku i Jennifer, ale znała ich możliwości i wiedziała, jak zostali wyszkoleni. Najlepiej im pomoże, zajmując się własną sytuacją.

Jej uwagę zwrócił odgłos w oddali, szelest gumowych podeszew dwóch par butów na betonie. Towarzyszyło mu echo wskazujące na długi korytarz, co potwierdziła ilość czasu potrzebnego, by kroki dotarły do wejścia.

Brzęknął sygnał elektryczny i drzwi otworzyły się, wpuszczając dwóch mężczyzn w strojach lekarskich. Wysoki, niebieskooki blondyn miał na szyi stetoskop, a niski, łysy mężczyzna trzymał iPada. Ten wyższy podszedł do jej łóżka.

– Dzień dobry, Heather. Jestem doktor Jacobs. To mój asystent, doktor Frank Volker. Dobrze widzieć, że postanowiłaś do nas wrócić.

– Postanowiłam? – Dziewczyna postarała się, by jej głos zabrzmiał nieco bełkotliwie.

Jacobs uśmiechnął się.

– Tak. I powinnaś być dumna z tego osiągnięcia. Większość osób w twoim stanie nigdy nie odnajduje drogi powrotnej.

Heather zerknęła na swoje ręce.

– Dlaczego jestem przywiązana?

Jacobs poklepał ją po prawej dłoni i lekko ścisnął.

– To wyłącznie dla twojego bezpieczeństwa, przynajmniej dopóki nie zdołamy określić dokładnie, w jakiej jesteś kondycji.

– Dla mojego bezpieczeństwa?

Niebieskooki lekarz usiadł na krześle obok jej łóżka.

– Będiesz przywiązana, dopóki tylko nie upewnimy się, że twój stan jest stabilny, że znów ci się nie pogorszy. Właśnie dlatego dajemy ci słabe środki uspokajające. Czy pamiętasz cokolwiek na temat swojego pobytu tutaj?

Volker stuknął coś na ekranie dotykowym tabletu.

Heather zmarszczyła brwi.

– Pamiętam Boliwię.

– Nie mówię teraz o twojej alternatywnej rzeczywistości, tylko o miesiącach, które spędziłaś w tej placówce.

– Zobaczyłam to miejsce po raz pierwszy w życiu, gdy obudziłam się i ujrzałam stojącą nade mną doktor Sigmund. Jak już jej mówiłam, chcę zobaczyć się z rodzicami.

Twarz doktora Jacoba przybrała poważny wyraz.

– Uwierz mi, również bym tego dla ciebie chciał. Wszyscy byśmy chcieli. Przez ostatnie miesiące przeszłaś jednak przez psychiczne piekło. I choć trudno jest ci zrozumieć nasze postępowanie, musimy przywracać cię prawdziwemu światu

bardzo powoli i ostrożnie. Na razie oznacza to zero telewizji, radia czy Internetu, a także, niestety, żadnych znajomych i rodziny.

Heather zacisnęła mocno oczy.

– Czyli mam tu tylko tak leżeć, otumaniona lekami i przywiązana do łóżka, i wam ufać?

– Nie twierdziłem, że to będzie proste.

Z ust dziewczyny wydobył się gorzki śmiech.

– Coś ci powiem – ciągnął lekarz. – Uwolnię cię z tych więzów, gdy tylko zakończymy serię badań. Wówczas, jeśli będziesz ze mną współpracować i nauczysz się dostrzegać różnicę między tym, co prawdziwe, a tym, co urojone, sprowadzimy twoich rodziców do Kalifornii. Jednak naprawdę musisz mi zaufać.

Doktor Jacobs podniósł się, znów poklepał ją po dłoni i odwrócił się do drzwi. Volker wyłączył iPada i ruszył za nim.

– Mogę przynajmniej iść do łazienki?

– Poproszę pielęgniarkę, żeby przyniosła ci basen.

– Panie doktorze! – Heather podniosła głos na tyle, by na nią spojrział. – W tym momencie moja alternatywna rzeczywistość wygląda cholernie pociągająco.

Na twarzy lekarza pojawił się wyraz sympatii.

– Nie poradzisz sobie z tym sama, Heather. Ale my możemy ci pomóc. Musisz mi tylko na to pozwolić.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi, Heather skupiła się na odgłosach ich kroków i na echu, generując w głowie obraz przestrzeni za drzwiami. Zgadza się, korytarz. Szerokość trzy i pół metra, wysokość trzy metry i naprawdę, naprawdę długi. Wypełnił się kolejny fragment planu budynku. A gdy pielęgniarka przyniesie jej basen, Heather przekona się, czy przyjdzie ta sama, która asystowała doktor Sigmund.

Podniosła wzrok na kamerę i zamknęła oczy, stopniowo obniżając swoje parametry życiowe. Spodziewali się, że będzie wyczerpana, więc dostarczała im odpowiednie dane.

Uśmiechnęła się w duchu na tę myśl.

Zupełnie jakby szkolić psa Pawłowa.

ROZDZIAŁ

54

Pogrążona głęboko w wywołanych farmakologicznie snach, Jennifer siedziała przy stole u sąsiadów, obok Marka i Heather, a pani McFarland stawiała przed nimi półmisek, na którym wysoko piętrzyły się złotobrazowe naleśniki. Skojarzyła tę scenę. Miała miejsce rankiem po tym, jak znalazła się wraz z Markiem w śnie Heather o Łachmaniarzu. Obserwowała bieg wydarzeń niczym bezcielesne widmo, nie mogąc dać nikomu znać o swojej obecności. Poczwała ukłucie żalu, że te czasy już nigdy nie wrócą.

Sen zmienił się na inny poranek przy stole McFarlandów. Jej druga ja zerknęła na Heather, która wydawała się tego dnia wyjątkowo zdekoncentrowana.

– Co się dzieje z Heather? – usłyszała swoje myśli.

Heather spojrzała na Jennifer.

– O co ci chodzi? – burknęła.

Zupełnie jakby ją usłyszała, choć przecież Jen nie wypowiedziała tych słów na głos.

I znów sen się zmienił, tym razem przechodząc w noc, kiedy wybiegła ze swojego pokoju i spotkała Marka u szczytu schodów. Heather wołała do nich w bólu i przerażeniu, jej myśli sięgały do ich umysłów, gdy porywał ją Łachmaniarz. I to właśnie owe myśli poprowadziły Marka przez mrok nocy, by ją znalazł.

Te doświadczenia zupełnie różniły się od jej własnej zdolności odczytywania ludzkich emocji oraz wpływania na nie. Ona, Mark i Heather mogli łączyć się umysłami. I robili to bez obręczy obcych. W jaki sposób? I dlaczego nie udawało im się to na żądanie?

Dzięki tym zadawanym sobie samej pytaniom skupiła myśli, odpychając farmakologiczną mgłę. Poczwała na plecach dreszcz. Odnalezienie odpowiedzi nagle nabrało dla niej takiego

znaczenia, że wprowadziło ją na jeszcze wyższy poziom koncentracji.

Dziewczyna pozbyła się tumanu spowijającego jej mózg, zamknęła jego efekty w drobnym zakątku umysłu i zaprzęła swe umiejętności analityczne do pracy na pełny etat. Obręcze stanowiły klucz. Miała tego pewność.

Gdy za pierwszy razem stała we wnętrzu okrętu Bandelier i czuła, jak opaska tworzy więź między nią a pokładowym komputerem, miała świadomość, że system obcych modyfikuje jej mózg, nie tyle kreując nowe połączenia, co raczej wymuszając aktywność w całej strukturze umysłowej. Powiązania nerwowe tak słabe, że dotąd uśpione, nagle ożyły, zyskała do nich dostęp i mogła je wykorzystywać w sposób do tej pory niemożliwy.

Gdy wszyscy troje nakładali obręcze, mogli łączyć się umysłami. Jeśli nie zachowywali ostrożności, mogli nawet wdzierać się w osobiste obszary mózgu pozostałych, sięgać do myśli i uczuć, które ci woleli zachować dla siebie. Jennifer zastanawiała się nad tym. Opaska wyłapywała ich myśli i za pośrednictwem łączy podprzestrzennego przenosiła je w formie impulsów do okrętu Bandelier. W jaki jednak sposób udawało im się czasami osiągać podobną więź bez obcych urządzeń?

W podprzestrzeni odległości wyglądały inaczej. W przeciwieństwie do materii, czasu i przestrzeni nie wpływały na nie efekty grawitacyjne. Zamiast tego podprzestrzeń miała własną szybkość przenoszenia fal i ich znaczenie definiował związek między czasem a odległością, podobnie jak w naszym wszechświecie czyniła prędkość światła.

Jennifer widziała to zjawisko na własne oczy i stosowała je, by włamywać się do odległych sieci oraz korzystać z ich danych za pośrednictwem podprzestrzennych urządzeń nadawczo-odbiorczych. Przy hakowaniu komputerów nie trzeba było nawet podłączać niczego do systemu po drugiej stronie.

Przez układ nerwowy dziewczyny przemknęła nagle ekscytacja zapowiadająca wielkie odkrycie, które czaiło się w kącie jej świadomości. Musiała się tylko zrelaksować i rozbić ścianę, która ją od niego oddzielała. Odpowiedź znajdowała się tuż obok, tak

irytująco blisko, że niemal mogła jej dotknąć.

Jak wyglądało hakowanie przez podprzestrzeń? Należało skupić nadajnik na określonych współrzędnych, a następnie przeskanować okolicę w poszukiwaniu aktywnych komputerów. Ponieważ drobny ułamek wszystkich sygnałów wyszczał się do podprzestrzeni, wystarczało go starannie dostroić i odfiltrować, by z szumu tła wyciągnąć potrzebne informacje.

Jednak obręcze dawały potężnemu komputerowi obcych cel dla sond podprzestrzennych, udostępniały precyzyjne współrzędne do połączenia, a także unikalny, osobisty klucz szyfrowania identyfikujący każdego z załogantów, podobnie jak dane uwierzytelniające przy bezpiecznym łączu bezprzewodowym.

Po ustanowieniu więzi komputer okrętu Bandelier zapamiętywał ją i rozpoznawał sygnał członka załogi, gdy tylko napotykał jego sygnaturę podprzestrzenną. Jednak czy później okręt rzeczywiście potrzebował jeszcze obręczy do nawiązania kontaktu?

Na skraju świadomości Jennifer poczuła, jak nowy strumień leków wlewa się do jej krwiobiegu, i choć skupiła się na próbie odcięcia ich efektów, to zalała ją fala ciepłej piany, porywając od odpowiedzi, które majaczyły tuż na granicy zrozumienia.

ROZDZIAŁ

55

Opaski wbijały się w nadgarstki i kostki Marka, jakby kasał go tam pies, rozciągały jego nagie ciało na płycie nachylonej pod kątem dwudziestu siedmiu stopni. Woda spływała po niej strumieniami, jednak wsiąkała w irchową tkaninę zakrywającą chłopakowi głowę. Powietrze przeciskało się z trudem przez mokry materiał, który z każdym oddechem coraz bardziej przyklejał się do nosa i ust, przez co nastolatek miał wrażenie, jakby wdychał płyn.

Pod kapturem Mark uśmiechnął się i zrelaksował, wchodząc w pośredni stopień medytacji i pozwalając, by akcja jego serca spadła ze zwyczajowych czterdziestu trzech uderzeń na minutę do trzydziestu pięciu. Nie wiedział, gdzie są przetrzymywane Heather i Jennifer, ale znał swoją rolę. Ludzie, którzy go pojмали, spodziewali się, że jest przywódcą grupy, twardzielem. Mark nie zamierzał ich rozczarować. Najlepszą rzeczą, jaką mógł teraz zrobić, było dać tamtym coś, na czym mogli się skupić, coś tak interesującego, że odciągnie ich uwagę od dziewczyn.

Poczuł uderzenie w twarz, piekący policzek wymierzony otwartą dłonią, po którym głowa odskoczyła mu na bok, a na języku pojawił się miedziany smak krwi.

– Jak sądzisz, ile jeszcze wytrzymasz, dzieciaku? – warknął niski głos obok jego lewego ucha. – Mnie się nie spieszy.

Na głowę i pierś Marka polał się nowy strumień lodowatej wody, na moment całkowicie odcinając dopływ powietrza do worka.

– Lepiej się z tym pogódź. Wcześniej czy później powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć. Im szybciej to się stanie, tym będzie ci łatwiej. To jak?

We wnętrzu kaptura chłopak znów się uśmiechnął. Leżał na

zielonej trawie obok szemrzącego górskiego strumienia. Oblaną słońcem łąkę otaczały góry o ośnieżonych szczytach wbijających się w bezchmurne, błękitne niebo. Wąchał słodką woń kwiatów, słyszał brzęczenie kolibra, czuł, jak delikatny wietrzyk przyciska mu wilgotne źdźbła do policzka.

Przywiązany do wiszącej płyty w mroźnej celi, Mark czuł, jak akcja serca spada mu o kolejnych pięć uderzeń na minutę.

– Widzisz to?

W głosie Harlana Reddinga pojawiła się nerwowa nuta, którą Channing Grail słyszał po raz pierwszy. Przesunął wzrok z monitora pokazującego obraz wideo na ekran ze wskazaniem parametrów życiowych Marka Smythe'a i poczuł, jak nagle przechodzi go dreszcz.

Dzieciak nie jadł od trzech dni. Wcześniej został przykuty do wysoko zawieszonoego pierścienia umieszczonego na środku lodowatej betonowej celi w pozycji, która dawała mu dwie możliwości: będzie stał albo zawisnie na kajdankach. Odpływ w podłodze służył mu za toaletę. Do tego czasu sam brak snu doprowadziłyby większość ludzi do wypełnionego halucynacjami stanu gdzieś pomiędzy jawą a snem. Ale nie Marka Smythe'a. Chłopak wciąż stał, jakby nie wiązało się to z wysiłkiem większym niż leżenie w miękkim łóżku.

Decyzja o przejściu do metody waterboardingu otrzymała niechętną akceptację z góry. Po czterech godzinach Channing zaczął dochodzić do wniosku, że jeśli oceniać po wynikach, to w zasadzie mogli sobie nie zawracać głowy.

– Jezu.

– Śpi jak dziecko.

– Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

– I nie ma na ciele ani grama tłuszczu. Wygląda tak, jakby mógł wygrać w dziesięcioboju olimpijskim. – Harlan wskazał podbródkiem ekran. – Te wskazania świadczą, że posiada niespotykaną samokontrolę.

– Szkolił go Gregory.

- Owszem, ale chodzi o coś więcej. - Harlan wymierzył palec w monitor. - Mamy tu niezły przypadek.
- Taa - odparł Channing. - Szkoda, że nie pracuje dla nas.

ROZDZIAŁ

56

Wysoki Niedźwiedź obserwował, jak trzynastu wodzów plemiennych wyłania się z największego szałasu potu w rezerwacie Santa Clara, a krople spływają z ich ciał na ubity grunt obok ziemianki. Mijali go bez słowa i wyłącznie lekkie skinienia w jego kierunku potwierdzały, co właśnie wydarzyło się w środku.

Bardzo niewielu obcych rozumiało indiańskie ceremonie, a już na pewno nie należeli do nich młodzi karierowicze, którzy płacili samowolnym szamanom za przeprowadzanie rytuałów oczyszczających. Amerykańskie władze zaś wykazywały niewielkie zainteresowanie i zrozumienie dla ich znaczenia. Dzięki takiemu połączeniu obojętności z naiwnością szałas potu okazywał się doskonałym miejscem do omawiania wielu delikatnych kwestii.

Plemienny policjant nie był pewien, w jaki sposób doszło do tego, że przyjął rolę nieoficjalnego przywódcy Sojuszu Rdzennych Ludów. Zaczęło się od nieposłuszeństwa, jakie okazał, pomagając Jackowi i Janet uciec przed ścigającymi ich agentami federalnymi. Następnie jego dusza wzburzyła się gniewem na rozpasaną arogancję rządu centralnego równie gwałtownie, jak pustyne koryto rzeczne wypełnia się błyskawicznie wodą z burzy szalejącej w oddali. Nadużycia tej władzy, tak dobitnie pokazane w sposobie, w jaki rządzący wrobili Jacka i jego zespół, przelały czarę goryczy i pękła tama powstrzymująca wściekłość Wysokiego Niedźwiedzia wywołaną niesprawiedliwym traktowaniem jego ludu. Nie tylko Navajo.

Wiele plemion ucierpiało w wyniku ludobójstwa. Co dziwne, nie przeszkadzało to Wysokiemu Niedźwiedziowi tak bardzo jak systematyczne odzieranie jego pobratymców z godności. Wielki

amerykański rząd, kierując się duchem wolnej przedsiębiorczości, narzucił Indianom komunizm i to zaowocowało rezultatami zbliżonymi do skutków działania systemu wprowadzonego przez bolszewików w Związku Sowieckim. Dumni niegdyś tubylcy nauczyli się przyjmować jałmużnę od władz, a następnie uzależnili się od niej. Wynikająca z tego utrata godności, samodzielności i inicjatywy nieuchronnie doprowadziła do bieżącej plagi alkoholizmu, otyłości i beznadziei nękającej współczesne społeczności plemienne.

Mężczyzna przeniósł się myślami do meczu futbolowego między New Orleans Saints a Arizona Cardinals, na który został zaproszony poprzedniej jesieni. Na wielkim stadionie wypełnionym ubranymi na czerwono fanami prowadzącego zespołu z Arizony z systemu nagłaśniającego rozgrzmiały słowa, które wywołały dreszcz na grzbiecie Wysokiego Niedźwiedzia.

– Czerwoni do boju!

Gdy policjant obserwował wodzów plemiennych wsiadających do półciężarówek i samochodów, którzy odpalali silniki i odjeżdżali ubitą drogą, ciągnąc za sobą pióropusze beżowego pyłu, zacisnął z determinacją szczękę.

Czerwoni do boju!

ROZDZIAŁ

57

To mógł być jego materiał.

Dlaczego więc Freddy czuł się jak głupiec światowej klasy?

Może dlatego, że to mógłby być najważniejszy artykuł w historii, a on wiedział o sprawie od tygodni i jej nie ujawnił. Zamiast kuć żelazo, póki gorące, milczał, pozwalając, by prezydent wygłosił z Gabinetu Owального oświadczenie telewizyjne w porze największej oglądalności. Może dlatego, że gdzieś w głębi czuł, iż jest na tropie czegoś jeszcze większego. A może dlatego, że zrobił się patriotycznie nastawionym mięczakiem. Wiedział jedno: gdyby jego szef kiedykolwiek się dowiedział, że to przemilczał, Freddy szukałby nowej pracy.

Oparł się o stertę poduszek leżących na drewnianym zagłówku i wpatrywał w telewizor dudniący na każdym kanale wieściami z ostatniej chwili.

Prezydent nie owijał w bawełnę i powiedział obywatelom Stanów Zjednoczonych, że w środku detektora ATLAS w Meyrin w Szwajcarii formuje się czarna dziura. Oznajmił również, że on oraz przywódcy pozostałych krajów grupy G7 wprowadzają ze skutkiem natychmiastowym stan wojenny, aby podczas kryzysu zapewnić bezpieczeństwo publiczne i porządek. Wezwano do pomocy Gwardię Narodową, a amerykańskie wojsko otrzymało rozkaz przejścia w stan pełnej gotowości bojowej. Ponadto, zgodnie z dekretem o stanie wojennym, tymczasowo zawieszono postanowienia ustawy Posse Comitatus z 1878 roku, dzięki czemu siły zbrojne USA mogły egzekwować przestrzeganie prawa.

Na oczach oszołomionego narodu prezydent zmienił ton na łagodniejszy, zapewniając widzów, że największe światowe mocarstwa opracowały plan zażegnania niebezpieczeństwa

płynącego z czarnej dziury za pomocą technologii uzyskanej z Projektu Rho. Polegał on na najambitniejszym przedsięwzięciu konstrukcyjnym w historii ludzkości, czyli budowie urządzenia, które miało przetransportować czarną mikrodziurę w przestrzeń kosmiczną daleko od Układu Słonecznego, gdzie nie będzie już zagrażać Ziemi. W porozumieniu z przywódcami Unii Europejskiej na czele tego projektu postawiono profesora Donalda Stephensona, człowieka najlepiej obeznanego z technologiami obcych.

Zakończył przemówienie typowymi bzdurami w rodzaju „Niech Bóg ma nas w swojej opiece” i wyłączył się, podczas gdy kraj opanowywało pandemonium.

Stan wojenny? Czy amerykańskie władze dysponowały w ogóle planem wprowadzenia go na obszarze całego kraju? Freddy tak nie uważał. I przypuszczał, że nawet gdyby taki plan istniał, nie okazałyby się zbyt skuteczny. Może dało się tak zrobić w Europie, gdzie wszystko znajdowało się blisko siebie, ale tu była Ameryka, czyli zajebiście wielki teren.

Równocześnie z prezydenckim orędziem przywódcy państw UE wystosowali własne przemówienia. Ich termin musiał zostać tak dobrany, by wypaść w porze największej oglądalności w USA, jednak być może wczesne poranne godziny ułatwiły wprowadzenie wojskowej władzy w Europie. Po prostu większość tamtejszych mieszkańców obudziła się już w nowej rzeczywistości.

Freddy oglądał dalej zdyszane komentarze. Wieści o czarnej dziurze zaczęły być zastępowane przez informacje o rabunkach na obszarze całego państwa. Najwcześniej uderzono na sklepy z bronią i wyposażeniem turystycznym. W niektórych miastach policja otrzymywała tyle zgłoszeń, że musiała wybierać, na które zareaguje. Wezwano Gwardię Narodową, ale to wymagało czasu.

Przez okno hotelu Holiday Inn Express dziennikarz słyszał skowyt syren przerywający nocną ciszę Los Alamos.

Cholera, nienawidzę mieć racji, pomyślał Freddy, przypinając protezę do chodzenia i sięgając po spodnie. Cóż, był reporterem. Mógł wyjść na zewnątrz i relacjonować to, co z pewnością okaże

się końcem znanej mu i uwielbianej Ameryki. Wiedział jednak, że taki materiał może stanowić naruszenie zasad stanu wojennego. Zapinając guziki koszuli i sięgając po cyfrowy dyktafon oraz kamerę, Hagerman znieruchomiał na chwilę, by znów posłuchać syren. Przynajmniej nie będzie jedyną osobą zaangażowaną w działalność przestępczą.

Freddy przeszedł po dywanie w czerwone, żółte i pomarańczowe paski, po czym opuścił swój pokój hotelowy, pozwalając, by zatrzasnęły się za nim drzwi.

Profesorowi Louisowi Dubois nie podobał się sposób, w jaki jego kolega Donald Stephenson spoglądał na inżynierów zgromadzonych wokół stołu konferencyjnego. Wyglądał niczym drapieżnik oceniający zwierzynę – jak sokół albo jaguar. Ten sam chłodny, wygłodniały wzrok. Dubois nie po raz pierwszy zastanawiał się, czy Stephenson nie jest wysokofunkcjonującym psychopata, który gdyby nie zajął się nauką, zwróciłby się w stronę mniej szlachetnych dążeń.

Na szczęście inżynierowie z niepodzielną uwagą przyglądali się planom i ignorowali spojrzenia Stephensona. W mniejszych grupkach rozmawiano po francusku, niemiecku i hiszpańsku, po czym wracano na ogólnym forum do angielskiego.

Jednak w końcu, jak się tego spodziewał Dubois, Stephenson stracił cierpliwość.

– Czy zdołacie to zbudować? – wywarczał pytanie do Gerhardta Wernera, głównego inżyniera z Kohl Engineering, firmy odpowiadającej za konstrukcję największych i najtrudniejszych projektów na świecie, w tym ogromnych turbin Francisa w chińskiej Tamie Trzech Przełomów.

Przysadzisty blondyn obrócił się w jego stronę.

– Do cholery, nie rozumiem nawet, jak to ma działać.

– To nieistotne. Czy zdołacie to zbudować?

– Nieistotne? Chyba inżynierowie budują rzeczy, które powinny działać?

– Czy zdołacie to zbudować zgodnie z podaną specyfikacją?

Stalowszare oczy Niemca skrzyżowały się ze spojrzeniem fizyka.

– *Das ist klar*⁴. Oczywiście, że możemy zbudować to cholerstwo

⁴ *Das ist klar* (niem.) – To oczywiste.

zgodnie ze specyfikacją. Ale jeśli nie będzie działać, to z powodu pańskiego błędu.

– Ja nie popełniam błędów. Proszę dopilnować, żebyście wy również ich nie popełnili, i się dogadamy.

– Wątpię w to.

Dubois obserwował, jak Amerykanin przez kilka sekund wpatruje się w Niemca, po czym Stephenson odwrócił się na pięcie i opuścił salę.

Wszyscy inżynierowie skupili się znów na planach. Profesor Dubois przemknął wzrokiem po stole. Specyfikacje inżynierskie dotyczyły dwóch najbardziej skomplikowanych projektów budowlanych w historii ludzkości. Pierwszy zespół miał powiększyć pomieszczenie detektora ATLAS, po czym wybudować wokół anomalii Urządzenie Rho, utrzymując jednocześnie stabilność otaczającego ją pola elektromagnetycznego. Zadaniem drugiego zespołu była konstrukcja konwertora materii na energię o kryptonimie MINGSTER⁵, generatora mocy, który miał przetwarzać pochłanianą materię na ogromne ilości energii potrzebnej do uzyskania tunelu czasoprzestrzennego.

Zasady teoretyczne stojące za obydwojema mechanizmami tak bardzo odbiegały od znanej Louisowi fizyki, że zahaczały o kwantowe bluźnierstwo. Stephenson w zasadzie wprowadził na nowo wariant dawnej teorii eteru, do której dodał odrobinę kwantowego wypełniacza. W swej istocie jego model sugerował, że światło to coś więcej niż tylko cząstki kierowane falami prawdopodobieństwa, że nadaje ono naturę falową eterowi stanowiącemu materię naszego wszechświata.

Według Stephensona materia oraz energia formowały się dzięki wariacjom w gęstości eteru, stanowiącego podstawę całej teorii. Tam, gdzie to hipotetyczne tworzywo zostawało poddane względnej kompresji, istniał dodatni gradient energii, jeśli zaś je rozciągnano, powstawał odpowiedni ujemny gradient. Dzięki temu eter mógł przybierać formę ziarnistą, gdzie odstępy między

⁵ Skrót od angielskiego wyrażenia matter ingester, czyli „pochłaniacz materii”.

ziarnami zajmowała podprzestrzeń. Model Stephensona kierował się dwiema zasadami: że prędkość światła nie jest stała i że energia w naszym wszechświecie nie podlega zachowaniu, lecz wycieka do podprzestrzeni oraz przenika z niej.

Naukowiec zaproponował prosty test ilustrujący założenie, że prędkość światła jest funkcją gęstości eteru. Jego wersja doświadczenia Michelsona-Morleya wykorzystywała standardowy układ ze zwierciadłem i interferometrem, jednak na drodze jednej z wiązek światła fizyk umieścił silne odpychające pole magnetyczne, w swym obrębie modyfikujące gęstość eteru. Powstała zmiana w układzie interferencji wskazywała różnicę w prędkości światła, jaką przewidział.

Model Stephensona stawał się naprawdę ciekawy w przypadku analizy paczek fal składających się na materię. Zakładał on, że określone rzadkie kombinacje częstotliwości generowały w eterze stabilne paczki fal stojących i że te wyjątkowe zestawy harmoniczne tworzyły cząstki i pierwiastki obserwowane w naturze. Jeśli rozumiało się częstotliwości dające stabilne paczki, można było zastosować kolejny zestaw częstotliwości, antypaczkę, która neutralizowała pierwotną paczkę, wyzwalając zawartą w niej energię.

Co więcej, aby zdestabilizować cząstkę, nie trzeba było tworzyć doskonałej antypaczki. Wystarczył odpowiedni podzbiór częstotliwości zakłócających lub neutralizujących i paczka sama się rozrywała. Teoretycznie proces ten był równie stabilny jak mechanizm zegarowy.

Przeanalizować paczkę.

Wprowadzić częstotliwości zakłócające.

Zebrać wyzwoloną energię.

Czynność powtórzyć.

Stephenson podał odpowiedni algorytm i procedurę. Zadaniem konwertera było wchłanianie materii i zakłócanie paczek jej fal, dzięki czemu miała powstawać energia o skali, jakiej Ziemia nie doświadczyła od czasu kosmicznej eksplozji, dzięki której w ogóle powstała. Uzyskana energia miała być przekazywana do Urządzenia Rho, by wygenerowało ono tunel czasoprzestrzenny,

który przeniesie Listopadową Anomalię na odległość kilku lat świetlnych.

Dlaczego więc wszystko tak martwiło Louisa, skoro procedura wydawała się tak nieskomplikowana? Podobnie jak niemiecki inżynier, nie lubił nie wiedzieć, w jaki konkretnie sposób i na jakiej zasadzie coś działa. Rzecz w tym, że nikt, nawet on, nie był w stanie zrozumieć wszystkich równań Stephensona, w znacznej części wyprowadzonych w oparciu o obcą gałąź matematyki, której amerykański naukowiec nie zamierzał szczegółowo wyjaśniać.

- Mój drogi profesorze Dubois - oznajmił spytany o to Stephenson - i tak mamy już zdecydowanie za mało czasu. Dlaczego pan sądzi, że mogę sobie pozwolić na dodatkowe opóźnienie, by przez jeden semestr

pobawić się w wykładowcę akademickiego, skoro ani pan, ani pańscy koledzy nie zdołacie nawet pobieżnie objąć tematu?

Louisa ogarnął taki gniew, że tylko zawodowa duma pozwoliła mu utrzymać zaciśnięte drżące pięści u boku, choć bardzo chciał cisnąć Stephensonem w okno. Okazja minęła.

Rzuciwszy jeszcze raz okiem na inżynierów przeglądających plany, Dubois westchnął, odwrócił się i rozpoczął długą drogę powrotną z Budynku 33 do swego biura.

ROZDZIAŁ

59

Wydawało się to małym cudem, ale nie było nim. Rozstąpienie Morza Czerwonego to mały cud. Chodzenie po wodzie to mały cud. Jedno i drugie bladło przy tym, co udało się osiągnąć Raulowi. Choć pozbawiony nóg i uwięziony w ciemności, zdołał przywrócić okręt Rho z martwych.

Zaczęło się od wyładowania z kondensatora do ogniwa mocy, a skończyło na przejęciu przez chłopaka pełnej kontroli nad systemem konserwacyjnym pojazdu. Następnie, bardzo uważając, aby nie wyzwolić żadnego sygnału mogącego zaalarmować naukowców uważających okręt za nieaktywny, Raul uruchomił w sumie trzynaście ogniw mocy. Co ważniejsze, przywrócił też działanie utylizatora materii i nakarmił go torbami pełnymi ludzkich nieczystości, aby dać tym ogniwom początkową energię.

Tego dnia czekał go kolejny istotny etap odzyskiwania potęgi. Tego dnia miał na nowo przejąć kontrolę nad pokładową siecią neuronową. Poczuł, jak na samą myśl o tym przebiegł go dreszcz. Jednak tym razem nikt nie pozbawi go tej władzy, żadne ukryte procedury nie będą działać w tle poniżej poziomu jego świadomości. Starannie dopilnował, by wszystkie systemy wróciły do ustawień domyślnych. Oczyszczył je dokładnie, by mieć pewność, że w mechanizmach okrętu nie zostały żadne ślady Stephensona.

Raul uruchomił ostatnią procedurę diagnostyczną i niecierpliwie czekał na jej wynik. Wokół niego jaśniało światło wydające się promieniować wprost z powietrza, a jego delikatny blask ujawniał płataninę obcego osprzętu, zajmującego przeważającą część podłogi. Jeśli wszystko poszło dobrze, nie będzie już musiał ślizgać się po niej na rękach i tyłku. Znów zazna

niezwykłego uczucia wspólnoty umysłów z komputerem centralnym i na powrót obejmie władzę nad polem statycznym.

Jednostka diagnostyczna podała wyniki badania bezpośrednio do jego umysłu. Nie wykryto żadnych anomalii. System główny był dostępny.

Raul zawahał się przez króciutki ułamek sekundy i wydał polecenie. Włącz system główny.

Przejście nastąpiło tak nagle, że na moment stracił orientację. Nie nastąpiło stopniowe logowanie. Miał wrażenie, jakby nigdy nie stracił kontroli z siecią neuronową. W jednej chwili był jedynie Raulem, a w następnej stanowił jedność z okrętem Rho, mógł doznawać każdego aspektu jego stanu fizycznego, doświadczał tej jego niewielkiej części, która obecnie działała, i odczuwał ból w uszkodzonych podsystemach.

Wydając polecenie w myślach, nastolatek podłączył się do generatora pola statycznego i wzniósł się w powietrze, jednocześnie przyciemniając światło, aż osiągnęło poziom księżycy nocą. Poczul falę euforii i było to naprawdę przyjemne doznanie. Spoglądając z góry na pomieszczenie, Raul uśmiechnął się. Pociągnął za tysiące pasm pola statycznego i skierował wysiłki na przywrócenie okrętu Rho do pełnej funkcjonalności.

Magistrantka z Uniwersytetu Kolorado Jill McMartin zerknęła na kadłub okrętu oparty na wielkich stalowych podporach w kształcie litery U. Mogłaby przysiąc, że coś widziała, jednak popatrzyła na monitory i uznała, że tylko jej się wydawało. Poczula smutek, ponieważ bardzo chciała ożywić pojazd obcych, martwy od tamtej listopadowej nocy. A skoro profesor Stephenson przebywał w Europie, okręt zapewne miał pozostać martwy.

ROZDZIAŁ

60

Ketaan-Ra przyglądał się danym napływającym przez jego korę mózgową, czterowymiarowym obrazom wzbogaconym o tysiące kanałów dźwiękowych i informacje multispektralne. Włączył hologram Galaktyki i poszedł za sygnałem przybliżającym go błyskawicznie ku żółtej gwiazdzie w zewnętrznej części jednej ze spiral.

Widok powiększał się, koncentrując na trzeciej planecie od tej gwiazdy, wodnym globie uznanym za wystarczająco interesujący, by opłacało się tam wysłać światookręt. Przejrzawszy dane uzupełniające, Ketaan-Ra wyświetlił specyfikację, którą znał już na pamięć.

Planeta K3VX789ZL10-X, gdzie X oznaczało zagubiony lub porzucony światookręt. Przez $2,319E19$ okresów rozpadu połowicznego cezu pojazd nadawał impulsy świadczące o stopniowych postępach, lecz nagle zamilkł i milczał już tak długo, że Rada Najwyższa uznała go za stracony. Nadanie takiego oznaczenia wiązało się z obniżeniem stanu gotowości kohorty inwazyjnej przydzielonej do odpowiedniej bramy, przy której prowadzono teraz tylko monitoring.

Z dziesiątek tysięcy żołnierzy przydzielonych do tej inwazji na miejscu pozostał jedynie dowódca, czyli Ketaan-Ra, choć wyłącznie dlatego, że Rada nie chciała się przyznać do pełnej porażki. Zostawienie go na stanowisku bez podwładnych, przywiązanego do martwego światookrętu, oznaczało, że jego misja zakończyła się fiaskiem niweczącym życie pełne heroicznych dokonań w służbie Kolektywu Kasari.

Teraz, zanurzony w morzu danych płynących strumieniami przez zewnętrzne matryce sensoryczne, Ketaan-Ra pozwolił, by cybernetyczne wszczepy wyzwoliły powolną strużkę

chemikaliów do jego nadnerczy. Zasłużył na taki luksus dzięki dokonanemu odkryciu. Usunął X z sygnatury planety i przekierował transmisję do Zaalex-Ka, kuratora danych w Radzie Najwyższej.

Gdy kolejna fala chemicznego ciepła popłynęła przez jego system, Ketaan-Ra rozparł się na leżance. Gdzieś tam na tej odległej i prymitywnej planecie ktoś zdołał ożywić martwy światookręt, wraz z nim wskrzeszając karierę dowódcy kohorty Ketaana-Ra.

ROZDZIAŁ

61

Heroina.

To słowo wdarło się do zamroczonego umysłu Jennifer. Szarpnęła za sznurki pamięci, wyciągając objawy zażycia narkotyku, po czym starannie porównała je ze stanem własnego organizmu. Skupiła się na tumanie spowijającym umysł. Próbując go oczyścić, skoncentrowała się na tyle, by przypomnieć sobie o sztuczce Marka. Skierowała myśli na przywołanie tego, jak to jest czuć się czujną i bystrą, po czym otuliła się doskonałym wspomnieniem tego stanu.

Całe przyjemne otępienie zniknęło, odepchnięte w miejsce, z którym odcięła już więzi. Jennifer poczuła, jak jej dawne ja wskakuje na właściwe miejsce. Choć wydawało się to niewiarygodne, władze USA sączyły do jej żył czystą heroinę i nie trzeba było zbytniej wyobraźni, by domyślić się powodu. Chcieli ją uzależnić.

– Cóż, to przypieczętowanie sprawy, panie prezydencie. Może pan zapomnieć o moim głosie w wyborach.

Wyczuwając, że tuman ponownie otula jej myśli, Jennifer znów się skoncentrowała. Nagle stała się bardzo, bardzo wkurzona. Cholerny rząd uznał, że może potraktować ją gorzej niż Espeñosa. I jak to usprawiedliwiali? Zapewne tak samo jak masakrę zespołu Jacka.

Pora dowiedzieć się, gdzie się znajdowała, jak tu trafiła i co mogła zrobić, by uwolnić siebie, Marka oraz Heather. Poczuła, że ogarnia ją chłód, zimny niczym lód wpełzający na arktyczny trawler.

Jennifer zacisnęła zęby. Jedno było pewne. Ci ludzie nie mieli pojęcia, z kim zadarli.

Otworzyła oczy, kierując wzrok na Erica Frosta, pracownika

NSA, którego palce kontrolowały przepływ heroiny.

Frost uważał swój najnowszy przydział za w najlepszym przypadku nudny, w najgorszym nieco niepokojący. Owszem, szemrane metody nie były mu obce, ale raczej nie zamierzał chwalić się w życiorysie, że faszerował nastolatkę narkotykami.

Ta poruszyła się nagle i obróciła ku niemu głowę. Mężczyzna otworzył szeroko oczy, mając wrażenie, że jego ciało ogarnia napięcie. Spojrzał na uśmiechniętą dziewczynę i nagle poczuł, jak jego duszę ogarnia łagodny spokój.

– Właśnie tak, Ericu. Nie ma sensu się bronić. Jesteś już mój – powiedziała.

I miała rację.

ROZDZIAŁ

62

Heather poczuła w myślach szturchnięcie, lekkie niczym piórko, odległe niczym gwiazdozbiór Andromedy. Jennifer.

Choć pomysł ten wydawał się zaskakujący, Jen próbowała zapoczątkować bezpośrednie połączenie umysłów. Heather wiedziała, że udawało im się to już wcześniej, ale tylko w wyniku przypadku lub wyjątkowego stresu, a poza tym inicjowała je zwykle jej podświadomość. Tym razem było jednak inaczej. Jennifer starała się osiągnąć coś, czego jeszcze nie robili bez obręczy, czyli świadome powiązanie umysłów.

– Heather, słyszysz mnie?

Doktor Jacobs podsunął krzesło bliżej jej łóżka. Spełnił obietnicę i nie była już związana. W zamian udawała niechętną zgodę na dokonywane przez lekarza badania jej zdrowia psychicznego. Miał dostęp do jej rejestrów medycznych i omówił jej przypadek z doktor Sigmund. Uważał, że pacjentka cierpi na poważną psychozę, a Heather w żaden sposób nie próbowała go wyprowadzać z tego przekonania.

– Heather?

Skoro spodziewał się, że dziewczynie przydarzy się epizod psychotyczny, Heather uznała, że to dobra chwila, by spełnić jego oczekiwania. Skoncentrowała pełną moc umysłu, by pomóc Jennifer w nawiązaniu połączenia, i wyrzuciła oczy białkami, wchodząc w głęboki trans.

Pobliski umysł Jen szukał jej po omacku jak ślepy kret, nie widząc jej, ale czując jej zapach. Heather teraz też złapała, nie woń, ale coś zbliżonego, trudnego do śledzenia.

Heather często zastanawiała się nad tym, jaka zasada kieruje ich umysłami łączącymi się za pomocą obręczy obcych. Gdyby nie te rzadkie przypadki, kiedy udało jej się podzielić myślami z

Markiem i Jennifer bez opasek, mogłaby wierzyć, że tego rodzaju kontakt był możliwy wyłącznie za pośrednictwem komputera z okrętu Bandelier.

Zatem w jaki sposób jej mózg uzyskiwał takie bezpośrednie połączenie?

Przejawiana przez Jen zdolność do nawiązywania bliskości z innymi ludźmi robiła wrażenie, jednak była to ledwie błaźnista w porównaniu ze złożonością pełnej łączności umysłów. Teraz Jennifer była bliska rozwikłania tajemnicy. Zupełnie jak w przypadku niewyraźnie słyszanej stacji radiowej, nie do końca nastawionej na prawidłową częstotliwość, Heather wiedziała, że przyjaciółka gdzieś tam jest, ale nic więcej.

Nagle ją olśniło. Częstotliwość! Heather przypomniała sobie, co wiedziała o zmianach, jakich dokonał w nich okręt Bandelier. Ludzki mózg mieścił ponad sto miliardów neuronów, każdy połączony synaptycznie z tysiącami innych. W sumie setki bilionów synaps składały się na ogromną sieć chemiczno-elektryczną, dającą umysłowi jego moc.

Różnica w działaniu mózgów trójki nastolatków i przeciętnej osoby nie miała zbyt wiele wspólnego z liczbą wykorzystywanych synaps, a raczej z tym, w jaki sposób ich funkcje były skoordynowane w jedną zsynchronizowaną całość. Tak ścisła współpraca pozwalała ich umysłom działać niczym antenowy szyszek fazowany.

Heather po raz pierwszy usłyszała o szyskach fazowanych w gimnazjum, gdy uczyła się o pierwszej wojnie w Zatoce Perskiej. Amerykanie rozmieścili wówczas baterie rakiet Patriot, aby chronić ważne obiekty w Arabii Saudyjskiej oraz Izraelu. W skład każdej z baterii wchodził płaski radar fazowany obserwujący przestrzeń powietrzną przed sobą za pomocą skupionych wiązek energii, przepatrujących niebo wiele razy na sekundę. Zafascynowało ją, że wiązkę można było tak szybko kierować w wiele różnych miejsc bez potrzeby przesuwania jakiegokolwiek części urządzenia.

Było to możliwe dzięki zastosowanej zasadzie działania: skoordynowaniu wiązek wychodzących z tysięcy elementów

promieniujących rozmieszczonych na powierzchni radaru. Jeśli włączyło się wszystkie jednocześnie, promienie biegły prosto. Jeśli natomiast ściśle kontrolowało się zsynchronizowanie poszczególnych emiterów, radar tworzył skupioną wiązkę, którą można było szybko i precyzyjnie sterować w różne strony. Na podobnej zasadzie dawało się również kierunkować sygnały łącznościowe lub inne przypadki wykorzystania skoncentrowanej energii.

Jaką skuteczność przetwarzania sygnału można było osiągnąć, dysponując szykiem fazowanym złożonym z setek bilionów nadajników oraz odbiorników? Wystarczającą, by móc przekazywać impulsy do innych części mózgu bez opóźnienia związanego z koniecznością przemierzania szlaków nerwowych. A jeśli było to możliwe, wówczas powinno się również udać nawiązać podobne połączenie z innym umysłem.

Zbliżając się do rozwiązania, Heather poczuła przyływ adrenaliny. Na drodze do zainicjowania tego rodzaju więzi wciąż znajdowało się sporo przeszkód. Po pierwsze, każdy mózg był inny. Oznaczało to, że nakierowanie się na czyjś szyk fazowy stanowiło jedynie część problemu. Oprócz tego należało określić częstotliwość i wzorzec szyku odbiorczego drugiej osoby.

W jaki sposób działało się to automatycznie, gdy była poddana stresowi? Kiedy Łachmaniarz ją porwał, nie miała pojęcia, gdzie konkretnie znajdują się Mark i Jennifer. Ludzki mózg generował tak słabe sygnały, że impuls musiałby być niezwykle skupiony, aby uniknąć strat odwrotnie proporcjonalnych do kwadratu promienia fali kulistej.

Najwyraźniej jej mózg wytworzył wtedy błyskawicznie skanującą skoncentrowaną wiązkę, która najpierw znalazła bliźnięta, a następnie, znając ich położenie, określiła odpowiednie wzorce łączności i częstotliwości akceptowane przez ich umysły.

Znów miała wrażenie, że znalazła się na progu odkrycia. Była tak blisko odpowiedzi, że niemal mogła ją dotknąć. Coraz bardziej zniecierpliwiona, poczuła, że zapada się jeszcze głębiej w swój sawancki trans.

Doktor Jacobs spoglądał na zegarek, mówiąc do cyfrowego dyktafonu:

- Pacjentka weszła w stan fugi o godzinie dziewiętej osiemnastu i pozostawała w stanie minimalnej świadomości przez ostatnie trzydzieści dwie minuty. O godzinie dziewiętej czterdzieści siedem parametry życiowe pacjentki zaczęły wykazywać znaczące wahania. Wzrosły częstość akcji serca i tętno, choć pozostały w granicach dopuszczalnych dla osoby poddanej wzburzeniu. Wskazania EEG odpowiadają niezwykłym wynikom zaobserwowanym przez doktor Sigmund podczas badań w Los Alamos.

Wyłączył nagrywanie i znów skierował uwagę na Heather McFarland. Gdy psychiatra patrzył na tę piękną twarz o dziwnych, mlecznych oczach wydających się wpatrywać w przestrzeń poza nim, na jego czole pojawiły się cienkie zmarszczki. Jacobs miał wrażenie, że na ustach pacjentki wykwitł nieznaczny uśmiech.

Poczuł, że na rękach i nogach podnosi mu się gęsia skórka, stawiając włoski na baczność i rozszerzając się szybko na kark i głowę. Nie odrywał wzroku od młodej kobiety i czuł, jak uginają się pod nim nogi, aż musiał złapać się stolika. I choć jego umysł buntował się przeciwko tej koncepcji, nagle uznał, że ta dziewczyna przeraża go bardziej niż wszystko, z czym dotąd zetknął się w życiu.

ROZDZIAŁ

63

Doktor Bert Matthews zapiął opaskę antystatyczną wokół prawego nadgarstka, podłączył krokodylka na drugim końcu przewodu do metalowej obudowy mieszczącej laptop i usiadł na fotelu obok Eileen Wu, dziewiętnastoletniego cudownego dziecka z Caltech, znanej w społeczności hakerów jako Hex. Drobnokoścista i szczupła Azjatka o czarnych włosach krótko obciętych na chłopaka miała na sobie obcisłą żółtą koszulkę na ramiączkach, niesięgającą do poszarpanych džinsów.

Nie było to zbyt odpowiedni strój roboczy jak na NSA, ale dla Eileen zrobiono wyjątek. Poza tym z tego, co wiedział Bert, dziewczyna nie posiadała żadnych innych ubrań niż dzinsy i obcisłe koszulki na ramiączkach. W jej wyglądzie najbardziej zaskakiwało Berta to, że nie miała żadnych tatuaży ani kolczyków, co po prostu świadczyło, jak różniła się od innych. Nie była gotką, a raczej celtycką najwyższą kapłanką kodowania.

W urządzeniu leżącym na stole laboratoryjnym trudno byłoby rozpoznać jeden z laptopów przechwyconych w kryjówce Jacka Gregory'ego. Rozkręcono obudowę, a płytę główną i resztę elementów umocowano na metalowym stelażu. Usunięto monitor, a prowadzące do niego wcześniej przewody przepuszczono przez małe czarne pudełko, z którego szły na duży płaski ekran. Wiązkę cienkich kolorowych kabli podpięto do płyty głównej, procesora, kart sieciowych, kości pamięci, dysku twardego i karty graficznej. Za ich pośrednictwem łączyły się z komputerem szafkowym ustawionym na prawo od Eileen.

– To jak, jesteście gotowi? – spytał Matthews.

Eileen wdusiła przycisk zasilania i odczekała kilka sekund na pojawienie się standardowego ekranu ładowania Windows. Widniały na nim dwie ikony użytkowników: HAL i WybierzMnie.

– Uroczo – mruknęła Eileen. – To nie powinno długo zająć.

Obróciła fotel o dziewięćdziesiąt stopni w prawo i przeniosła uwagę na matrycę monitorów oraz klawiaturę podpięte do szafki z serwerami kasetowymi. Gdy wpisywała polecenia, na oczach Berta laptop zresetował się do ekranu BIOS-u, przeszedł do wyboru bootowania i zmienił ustawienie na urządzenie USB. Następnie znów się zresetował, ponownie zatrzymując na ekranie logowania. Eileen obróciła się na powrót do klawiatury, wybrała ikonę HAL, przesunęła kursor na pole wpisywania hasła i wcisnęła Enter. Lekki uśmiech podniósł kąć jej ust, gdy pojawił się pulpit Windows.

– I co teraz? – zapytał Bert. W normalnych okolicznościach uruchomiłby zestaw skryptów przeprowadzających pełną procedurę odzyskiwania danych. Chciał jednak, by Eileen wcześniej przejrzała system, na wypadek gdyby działały w nim jakieś nieznanne protokoły bezpieczeństwa. W końcu był to jeden z laptopów Jacka Gregory'ego, a wieści przechwycone z kartelu wskazywały, że zdolnościami hakerskimi Jennifer Smythe mogła niemal dorównywać Hex.

– Daj mi chwilę. Chcę sprawdzić listę uruchomionych procesów i usług. Archiwizujemy wszystko, co dzieje się w magistralach i rejestrach, co odczytuje się i zapisuje na dysku twardym, jakie dane przechodzą przez stos TCP/IP do kart sieciowych oraz wszystko, co do nich wchodzi lub wychodzi. Jeśli na tym laptopie zmienia się choć jeden bit, przechwytujemy to.

– Włączyłaś Wi-Fi?

– I podłączyłam karty sieciowe do naszej sieci LAN. Chcę zobaczyć, jakie dane próbuje wysyłać ten komputer. Nie martw się, żaden sygnał nie opuści tego pokoju.

– Już wcześniej do nas przeniknęli.

– Wtedy chodziło o zwykłe klatki Faradaya typowe dla systemów TEMPEST. To pomieszczenie jest z litej stali. Nie przeniknie przez nią żaden sygnał elektromagnetyczny. A już na pewno nie z laptopa.

Przez sześć godzin doktor Matthews obserwował, jak Eileen sprawdza komputer, robiąc sobie przerwy tylko na kawę i

bezpośrednio z nią powiązane wyprawy do łaźienki. Choć burczało mu w brzuchu, nie chciał zostawiać hakerki, a ona w żaden sposób nie sugerowała, że zamierza skończyć. Wyglądało na to, że czeka ich kolejny nieskomplikowany zrzut danych, po którym będą mogli przekazać zaszyfrowane pliki systemom zaprojektowanym pod kątem łamania zabezpieczeń.

Nagle Hex poruszyła się w fotelu i uniosła nad klawiaturą niczym puma przyczajona na półce skalnej.

- To dziwne.

- Co?

Nie przestawała pisać na klawiaturach, przechodząc między laptopem a systemem kasetowym. Gdy Bert uznał już, że go nie usłyszała, Eileen wskazała monitor.

- Tu. W stosie TCP ma miejsce spora liczba zapisów i odczytów. Niemal to przegapiłam, bo nic nie idzie przez kartę sieci bezprzewodowej ani przez kartę Ethernet. Jednak między warstwą sieciową a transportową zdecydowanie przechodzą dane.

- Loopback?

- Nie. Muszą iść do jakiegoś nietypowego sterownika sieciowego.

- Ale jeśli sterownik nie porozumiewa się z kartami sieciowymi ani z loopbackiem, to z czym?

- Jedynym innym urządzeniem jest klucz USB.

- Możesz sprawdzić, od jak dawna stos TCP aktywnie przekazuje i odbiera dane?

Eileen włączyła kolejny linuxowy xterm i szybko wpisała sekwencję poleceń uruchamiających na jednym z serwerów kasetowych nowy program, który wypełnił jeden z monitorów. Większość okna zajmowały ramki z wykresami danych, a poniżej w poprzek ekranu rozciągała się wąska niebieska linia czasu. Eileen zaczęła powoli przeciągać wskaźnik w tył, obserwując zmiany na wykresach. Gdy zbliżyła się do początku, zatrzymała kursor. Na kolejnym wyświetlaczu wywołała listę procesów działających w tym czasie, po czym zaczęła przeskakiwać do przodu w odstępach półminutowych, znów zatrzymała, jeszcze

raz cofnęła i zapauzowała.

– Niech to diabli.

Matthewsowi nie spodobał się ton jej głosu.

– Mów.

– Wygląda na to, że niedługo po tym, jak się zalogowałam, włączył się jakiś proces zależny od czasu.

– Po co?

– Nie będę mieć pewności, dopóki nie poświęcę jeszcze paru godzin na przejrzenie tych danych, ale gdybym miała zgadywać, co zresztą właśnie robię, to powiedziałabym, że po zalogowaniu mieliśmy określoną ilość czasu na uwierzytelnienie. Konkretnie: jedną minutę.

– Jedną minutę?

– Tak. Ponieważ ten proces wyłączył się dokładnie po minucie od uruchomienia. Właśnie wtedy rozpoczął się transfer danych przez stos TCP.

Doktor Matthews przejechał palcami lewej dłoni przez siwiejące włosy.

– No dobrze. Założmy, że powinniśmy się w jakiś sposób zalogować po raz drugi, ale tego nie zrobiliśmy. Dlaczego po prostu nie skasowała się zawartość twardego dysku?

– Byłoby to zbyt oczywiste, a poza tym naprawdę skuteczne czyszczenie zajęłoby zbyt długo. Wyłączylibyśmy zasilanie, wyjęli dysk i przekazali naszym specom od sprzętu, żeby odzyskali dane.

Bert dobrze wiedział to wszystko, ale był zszokowany i myślał na głos. Pokręcił głową.

– Wciąż coś mi tu nie pasuje – stwierdził. – W czasie, gdy to coś bawi się ze stosem TCP, skopiowaliśmy twardego dysk i zarejestrowaliśmy całość transferu danych w systemie. Poza tym nic nie wyszło przez karty sieciowe. A nawet gdyby szło, nie wydostałoby się z tego pokoju.

Matthews podniósł się z fotela i stanął za Eileen Wu, trzymając się za podbródek.

– To co robimy?

Hex okręciła się, by spojrzeć na niego niemrugającymi czarnymi

oczyma.

- Za cholerę nie mam pojęcia.

Odliczanie do drugiego logowania rozpoczęło się, gdy system operacyjny wyświetlił pulpit. Gdy w ciągu sześćdziesięciu sekund nie nastąpiło uwierzytelnienie, zostało zainicjowane kolejne zdarzenie Windows, tym razem uruchamiające procedurę postępowania w przypadku nieuprawnionego użytkownika.

Na płycie głównej włączyło się podprzestrzenne urządzenie nadawczo-odbiorcze i rozpoczęło skanowanie w poszukiwaniu wszystkich sieci komputerowych w promieniu jednego kilometra. Robak został skonfigurowany tak, by wykonać trzy priorytetowe działania: infiltracja, replikacja, ukrycie.

Dopiero po przeniesieniu robaka do szesnastu oddzielnych systemów urządzenie zmieniło tryb z reakcji początkowej na analizę i optymalizację środowiska lokalnego. Zaczęło wówczas konstruować listę sieci i procesorów w określonym promieniu, przydzielając najwyższy priorytet systemom działającym na największej liczbie procesorów. Po upływie kilku milisekund zwróciło uwagę na komputer, przez który tymczasowo zmieniło swój status na tryb procedowania celu o wysokim priorytecie.

Po przejrzeniu pakietów sieciowych wchodzących i wychodzących z tego nowego celu urządzenie nadawczo-odbiorcze uzyskało nazwę hosta.

Wielki John.

ROZDZIAŁ

64

Prezydent Jackson spoglądał na żołnierzy i pracowników wywiadu zgromadzonych przy długim stole w Krajowym Centrum Dowodzenia w Pentagonie. Jedną ze ścian pomieszczenia zajmowało sześć dużych monitorów wyświetlających mapy poszczególnych rejonów Stanów Zjednoczonych. Gdy prezydent się w nie wpatrywał, przez chwilę poczuł déjà vu z zimnej wojny i niemal spodziewał się, że zza stołu wyjedzie doktor Strangelove i wykona nazistowski salut.

Generał McKittrick, przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, właśnie zakończył poranny raport sytuacyjny, który wypadł zgodnie z oczekiwaniami Jacksona. Było kiepsko i miało się robić jeszcze gorzej. Wojsko wzmacniało kontrolę nad najważniejszymi zasobami państwowymi. Nie licząc odizolowanych obszarów, do których skierowano siły zbrojne, by utrzymywały porządek, w zasadzie każdy zdany był na siebie. Co gorsza, rozpanoszyły się gangi. W miastach i miasteczkach na terenie całego kraju policja znalazła się na przegranej pozycji, ograniczyła się do ochrony najistotniejszych miejsc i czekała na obiecane wsparcie ze strony Gwardii Narodowej. Ta miała jednak ograniczone możliwości i przydzielono ją do strzeżenia placówek wyznaczonych przez dowództwo centralne.

Grabieże i przemoc rozpleniły się w takim stopniu, że prezydent czuł mdłości na samą myśl o tym, lecz uzbrojeni obywatele organizowali się w milicje lokalne, by chronić swoje społeczności przed bandami. Te części kraju, w których istniały już formacje milicyjne lub silne organizacje strzeleckie, szybko ustanowiły porządek na swoim terenie, jednak chodziło tu zwykle o obszary wiejskie, gdzie gangi nigdy nie stanowiły większego problemu. Poza tym milicje wolały zajmować się miejscowymi sprawami,

podczas gdy rząd federalny próbował odzyskać kontrolę nad państwem. Zresztą nawet te samopomocowe grupy uciekały się do rabunków, aby zdobyć dodatkową broń, amunicję, żywność i inne zapasy.

Sojusz szczepów indiańskich ogłosił zawiązanie nowej federacji, wystosował deklarację niepodległości i zamknął granice plemienne. Była to kolejna z rzeczy, z którymi trzeba będzie coś zrobić, lecz obecnie lokowała się nisko na liście priorytetów prezydenta. Znajdowało się na niej wiele spraw, ale na razie musiał się skupić na najważniejszych.

W stolicy panował względny spokój, ponieważ jej ulice patrolowały pojazdy opancerzone i żołnierze, którzy otrzymali rozkaz, by bez pytania strzelać do złodziei lub osób łamiących godzinę policyjną. Do służby zostały zaprzęgnięte wszystkie media, które przekazywały zarządzenia, by ludzie nie wychodzili na ulice, dopóki nie zostanie przywrócony ład.

Inne jednostki wojskowe skierowano do zabezpieczenia elektrowni, ośrodków informacyjnych, portów, centrów logistycznych i innych miejsc kluczowych do przywrócenia w przyszłości regionalnej dystrybucji żywności oraz paliwa, a także ustanowienia sieci stref chronionych, z których władze zamierzały prowadzić dalsze działania.

Poza tymi strefami życie miało bardzo szybko stać się niezwykle trudne. Gdyby znaczne siły wojskowe nie chroniły kluczowego portu w Nowym Orleanie oraz powiązanego z nim ruchu barek po rzece Missisipi, amerykańskie fabryki musiałyby się zamknąć w ciągu tygodnia. Niestety, z wyjątkiem dużych, strzeżonych konwojów krajowy system transportu ciężarówkami został poważnie zakłócony. Oznaczało to braki paliwa, płodów rolnych i innych towarów.

Ogólnokrajowa panika szerzyła się niczym pożar prerii i prezydent Jackson nie mógł nikogo winić za takie reakcje. Szczerze mówiąc, był tak spięty, że od trzech dni nie postawił klocka. Oszło mu go, jak mało czasu potrzeba, aby doszło do załamania porządku publicznego, zupełnie jakby wcześniejsza stabilizacja stanowiła jedynie iluzję szukającą tylko pretekstu, by

się rozwiać.

Prezydent przeniósł uwagę z powrotem na grupę zebraną wokół stołu i zatrzymał spojrzenie na szefie sztabu sił lądowych.

– Generale Jones, czy zgadza się pan z oceną generała McKittricka?

– Owszem, panie prezydencie, zgadzam się.

– Admirale Falan?

– Tak jest, sir.

Jackson wypytywał kolejnych siedzących i nie trafiał na żadne głosy sprzeciwu, co było niezwykle, zważywszy, że na spotkanie przyszli rywalizujący ze sobą ludzie z sił lądowych, marynarki, lotnictwa, marines, sił specjalnych i wywiadu. Prezydent nie potrafił sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wszyscy coś tak jednomyślnie akceptowali.

– Dobrze zatem. Zgadzamy się, na czym stoimy. Rozumiem, że takiego porozumienia nie ma w kwestii dalszych kroków. Admirale Falan, czy może pan przedstawić swoje obiekcje?

– Panie prezydencie, jak pan wie, od początku argumentowałem przeciwko szerokiemu zastosowaniu stanu wojennego. Jak przewidywałem, naszym nadmiernie siłowym podejściem zraziliśmy do siebie znaczną część populacji. Wielu kongresmenów, również z pańskiej partii, nawołuje do wdrożenia procedury impeachmentu, podważając pańskie moralne prawo do sprawowania władzy.

– A co, według pana, powinniśmy zrobić inaczej?

– Przede wszystkim powinniśmy przestać strzelać do Amerykanów. Zaaprobowane przez pana zasady użycia broni są znacznie bardziej drastyczne niż w jakiegokolwiek z niedawnych wojen. Nie zdołamy zwyciężyć, zabijając rodaków.

Generał Jones walnął wielką pięścią w stół.

– Nonsens. Amerykanie liczą, że przywrócimy porządek, aby mogli wieść dalej spokojne i bezpieczne życie. Jeśli oznacza to konieczność strzelania do gangów zbójów, którzy chcą ich tego pozbawić, to, na Boga, właśnie tak musimy działać.

Czując, że staje się coraz bardziej zirytowany, prezydent Jackson podniósł rękę, by uciszyć zebranych.

– Przeszliśmy już przez to wszystko, zanim podjąłem decyzję. Nie uchylam jej. Panowie, nadeszły trudne czasy, jakich jeszcze nie widział ten świat. Zamierzam przeprowadzić przez nie Amerykę. W tym celu musimy zapewnić dalsze funkcjonowanie silnego rządu centralnego. Musimy zabezpieczyć najistotniejszą infrastrukturę. Następnie musimy powiększać obszar stref znajdujących się pod naszą kontrolą, aż obejmą cały kraj. Nie będzie łatwo i znajdą się osoby kwestionujące wybraną przeze mnie ścieżkę. Niech oceni mnie historia. Teraz musimy jednak działać, abyśmy dotrwali do przyszłości, w której taki osąd będzie mógł nastąpić.

Prezydent skrzyżował wzrok z admirałem Falanem.

– Bill, czy mógłbyś odłożyć na bok swoje zastrzeżenia i mnie wesprzeć, czy też zostanę zmuszony do dokonania zmiany?

Szef sztabu milczał przez chwilę, po czym skinął powoli głową.

– Panie prezydencie, przekazałem jedynie swoją opinię. Jest pan jednak przywódcą mojego kraju i zrobię to, co należy.

Jackson wstał.

– To dobrze, ponieważ mamy mnóstwo rzeczy do zrobienia. Zabierajmy się do pracy.

ROZDZIAŁ

65

Pomimo uchylonych lekko szyb w białym chevroletcie impala robiło się gorąco. Freddy zastanawiał się, czy nie opuścić ich do końca, ale wtedy ktoś mógłby zauważyć go siedzącego w środku. Zostawienie samochodu z włączonym silnikiem i klimatyzacją również było ryzykowne, zwłaszcza gdy okolice Los Alamos patrolowało tyle wojska i policji. Zapach potu i kanapki z pastrami na pieczywie żytnim, którą skonsumował dwadzieścia minut wcześniej, nie poprawiał panującej w aucie atmosfery.

Jakże nienawidził roboty obserwacyjnej.

Zerknął na zegarek w eleganckiej kopercie ze złota i kryształu, kaprys, którym uczcił Nagrodę Pulitzera. Obserwował ruch wskazówki sekundowej, zatrzymującej się na moment, po czym skaczącej dalej, i wyobrażał sobie maleńkie przekładnie i kółka obracające się w cienkiej obudowie. Szwajcarzy robili porządne zegarki, a nie to cyfrowe gówno.

Dwadzieścia trzy minuty po drugiej. Doktor Gertrude Sigmund przebywała w domu swojej matki już trzydzieści siedem minut. Choć Freddy bardzo chciał podejść do drzwi i zapukać, uważał, że powinien odczekać jeszcze dziesięć minut. Nawet jeśli był stalkerem, nie powinien tego okazywać.

Dla reportera tych ostatnich kilka dni było niczym film soft porno: interesujące, ale frustrujące. Przez miniony tydzień Stany Zjednoczone Ameryki rozpadły się. Nie całe. Nie w pełni. Jednak najpotężniejsze do niedawna mocarstwo na świecie przypominało teraz szachownicę małych państweczek. Trzeba przyznać, że amerykańskie wojsko odpowiedziało na wezwanie Białego Domu i wypełniało swoje obowiązki w obronie konstytucji. Prezydent Jackson ogłosił stan wojenny, a żołnierze robili, co w ich mocy, by wprowadzać go w życie.

W terenie oznaczało to, że miasta leżące w pobliżu baz wojskowych cieszyły się całkiem sporym bezpieczeństwem. Miejsca niedysponujące tym atutem znalazły się w zdecydowanie mniej korzystnej sytuacji. Los Alamos miało szczęście, bo choć nie było w nim bazy, posiadało kluczowe znaczenie dla państwa, zatem skierowano tu niewspółmierne zasoby militarne. Właśnie dzięki temu Freddy mógł siedzieć w wynajętej białej impali zaparkowanej na ulicy w dzielnicy willowej, nie martwiąc się, że jakiś zdegenerowany gang wypatroszy go dla kluczyków od auta.

Ciekawym efektem ubocznym chaosu, w jaki wpadły USA, było to, że najnowocześniejsza infrastruktura przetrwała w zasadzie bez szwanku. W końcu Internet stanowił jedną z priorytetowych kwestii federalnych. Gdzie byłby nasz naród bez Google'a, na miłość boską? Może i farmerzy kukurydzy ze stanu Iowa musieli zbrojnie strzec swych gospodarstw, ale przynajmniej wciąż działała nawigacja samochodowa. Chryste. Freddy'emu przypomniał się stary skrótowiec SNAFU⁶ z czasów drugiej wojny światowej. Wszystko się spieszyło, ale życie trwało.

W tym momencie drzwi garażowe po drugiej stronie ulicy zaczęły otwierać się z hurgotem, jednak zamiast samochodu ze środka wytoczyła się na trawnik kosiarka spalinowa. Trzema silnymi pociągnięciami doktor Sigmund ożywiła dudniącą bestię.

Hałas zmniejszył na chwilę częstotliwość, gdy kobieta wjechała w wysoką trawę, po czym wyrównał się, a z uniesionej dyszy po lewej stronie urządzenia posypał się strumień odciętych źdźbeł. Reporter patrzył, jak Gertrude pchała kosiarkę po trawniku, tworząc wzór zacieśniającej się spirali. Freddy pokręcił głową.

Na Boga, sestro! Dobijasz mnie.

Hagerman przemknął wzrokiem po domu, który mógłby stać na dowolnym przedmieściu dla klasy średniej. Miał trzy sypialnie, łazienkę i toaletę, podobnie jak reszta budynków mieszkalnych w tej okolicy, lecz z jedną różnicą. Dach kryty starymi drewnianymi dachówkami błagał o wymianę, drzewa i krzaki o przycięcie, wszystko zapadało się pod ciężarem smutku i żałoby. Historia stara jak świat: niegdyś dom był pełen uroku, stanowił scenerię

6 Situation normal, all fucked up.

dla wielkanocnych pikników i bożonarodzeniowych kolacji, a później stawał się spadkiem po rodzicach, odwiedzanym tylko wtedy, gdy najbliższe żyjące dziecko mogło się zmusić, by przyjechać tu i wykonać jakieś konieczne czynności. Żył tu zbyt wiele wspomnień, by go sprzedać, lecz także zbyt wiele, by dawało się je znosić.

Sprawdzając Gertrude Sigmund, dowiedział się, że kobieta straciła ojca przed dwoma laty, a matkę pół roku później. Od tego czasu budynku nie wynajmowano ani nie próbowano sprzedać, wciąż było w nim pełno mebli i osobistych przedmiotów rodziców. Zgodnie ze słowami sąsiadów Gertrude zaglądała raz czy dwa razy w miesiącu, zostawała na kilka godzin, lecz nigdy nie spędzała tu nocy.

Odkąd Freddy przyjechał przed kilkoma dniami do miasta, już na tyle długo obserwował lekarkę, by uznać, że ją w miarę poznał. Po powrocie z Baltimore wzięła urlop wypoczynkowy, zamknęła swój gabinet psychiatryczny i jeśli nie liczyć krótkich wypadów do sklepu spożywczego, nie opuszczała swojego domu. Hagerman zastanawiał się, jaką postawiłaby sobie diagnozę, gdyby zgłosiła się sama do siebie na wizytę.

W jej zachowaniu nastąpiła gwałtowna zmiana. Przed pospiesznym wyjazdem w okolice stolicy była podobno pewną siebie, ambitną kobietą, wręcz pracoholiczką. Teraz wydawała się przygnieciona smutkiem, którego najwyraźniej nie próbowała z siebie zrzucić. Freddy nie mógł się doczekać rozmowy z nią, lecz nie w jej domu. Wprawdzie nie zaobserwował nic, co wskazywałoby, że jest śledzona lub obserwowana, ale miał już w życiu wystarczająco dużo do czynienia z różnymi agencjami rządowymi, które najprawdopodobniej wbiły w nią swoje pazury, by wiedzieć, że jej mieszkanie zapewne podsłuchiowano. Wątpił natomiast, czy władzom chciałoby się monitorować dom zmarłych rodziców. Freddy zamierzał wykorzystać okazję, gdy tylko lekarka skończy kosić i wróci do środka.

Niestety, po trawniku wzięła się do przycinania żywopłotu, a później do mycia chodnika. Gdy Hagerman zaczynał już się zastanawiać, czy zaryzykować i podejść do niej na zewnątrz,

zdjęła rękawice robocze, odsunęła z twarzy zabłąkany kosmyk włosów i weszła do garażu, zamykając za sobą bramę.

Ogarnęła go lekka panika, że kobieta natychmiast wyjdzie przez drzwi frontowe, wsiądzie do swojego niebieskiego lexusa i odjedzie. Freddy wygramolił się z impali. Zmuszając się do utrzymania spokojnego, leniwego kroku, podszedł bezpośrednio do głównego wejścia i wcisnął podniszczony przycisk. W przeciwieństwie do droższych dzwonek, które grały jeszcze po zdjęciu palca, ten dał tylko krótkie brzęknięcie, które urwało się, gdy przestał naciskać.

Po kilku sekundach drzwi otworzyły się i Freddy znalazł się przed lodowatoniebieskimi oczyma Gertrude Sigmund.

– Tak? – Jej powitanie zabrzmiało, jakby rzucała mu wyzwanie.

– Bardzo przepraszam, że niepokoję panią na urlopie, doktor Sigmund. Nazywam się Freddy Hagerman i muszę z panią pilnie porozmawiać.

Na kilka sekund jej oczy straciły koncentrację, gdy kobieta szperała w pamięci.

– Freddy Hagerman? Ten dziennikarz?

– Zgadza się.

– O co chodzi?

– Czy mogę wejść? Lepiej, żeby nikt nie usłyszał ani nie zobaczył, że rozmawiamy.

Lekarka wpatrywała się w niego tak długo, że Freddy zaczął wątpić, czy go widzi. Następnie wzruszyła ramionami i otworzyła szerzej drzwi, odsuwając się na bok, by wszedł do środka.

– A co tam. I tak nie mam już nic do stracenia.

Freddy znalazł się w małym przedsionku. Na wysokości ramienia na ścianie po lewej widział trzy puste drewniane kołki, linoleum podłogi przechodziło w salonie w brązowy berberyjski dywan. Listewkowe żaluzje były zaciągnięte, a gdy doktor Sigmund zamknęła drzwi, już tylko lampa stojąca między fotelem a kanapą starała się odpychać ciemność. Kobieta wskazała mu fotel.

– Mogę panu zaproponować szklankę wody? Obawiam się, że w lodówce jest pusto.

– Dziękuję, nie trzeba.

Freddy usiadł na skraju wskazanego mebla, a lekarka przycupnęła na kanapie.

– No dobrze. Słucham.

Siedząc na ulicy w impali, Hagerman przećwiczył sobie to, co chciał powiedzieć, ale nagle nie potrafił znaleźć odpowiednich słów.

– Doktor Sigmund, ja...

– Gertrude.

– Dobrze, Gertrude. Zakładam, że znasz moją reputację, oszczędzę więc sobie przydługich wstępów. Jestem tu z powodu agenta federalnego, którego zauważyłem, gdy odwoził cię na lotnisko Baltimore/Washington. A konkretniej: agenta Johna Marksa, obecnie zatrudnionego przez Agencję Bezpieczeństwa Krajowego. – Słyszając, że kobieta wciąga gwałtownie powietrze, Freddy kontynuował: – Zadałem sobie pytanie, dlaczego NSA interesuje się psychiatrą z małego miasteczka? Od owego przypadkowego spotkania doszedłem do wniosku, że tamta podróż była związana z twoją byłą pacjentką. Młodą damą nazwiskiem Heather McFarland.

Gertrude Sigmund wydawała się zapadać w skórę kanapy, gdy w jej lśniących oczach szalała burza gwałtownych emocji. Freddy dał kobiecie chwilę, by oswoiła się z jego słowami.

– I? – rzekła, gdy już doszła do siebie.

– I przejechałem taki kawał drogi, żeby cię spytać, dlaczego NSA chciała rozmawiać z tobą o pacjentce, która podobno zginęła w posiadłości Jacka Gregory'ego w Boliwii.

Kobieta zacisnęła szczękę.

– Po prostu chcieli mnie poprosić o profesjonalną opinię, dlaczego dziewczyna mogła wplątać się w sprawy kogoś takiego jak Gregory.

– Bzdura. Po taką informację przysłaliby agenta tu, na miejsce. – Freddy wychylił się do przodu w fotelu. – Ona żyje, prawda?

Zupełnie jakby nagle puściła tama. Gdzieś w głębi ciała lekarki rozpoczęło się gwałtowne drżenie, rozprzestrzeniające się nagle ku kończynom, i choć kobieta podciągnęła nogi, otaczając je

ramionami, i przygryzła wargę, nie mogła przestać się trząść. Łzy ciekły jej z oczu, rysując bliźniacze linie na brudnych policzkach i spływając z brody. Nie opuściła jednak wzroku.

Drgawki ustały równie szybko, jak się pojawiły, zastąpione martwym spokojem wyjałowionej duszy.

– Złamałam przysięgę Hipokratesa.

– Możesz mi o tym opowiedzieć. Nigdy nie zdradzam źródeł.

Z warg Gertrude wymknął się ostry, gorzki śmiech.

– Myślisz, że się tym teraz przejmuję? Myślisz, że to istotne, co wiedzą inni? Ja wiem! Dobry Boże. Ja wiem!

– Jej rodzice sądzą, że zginęła. Mówiąc mnie, pomożesz im.

I znów przyszpiliła go wzrokiem.

– Zapewne nie. Poznałam ludzi, którzy trzymają Heather, więc lepiej byłoby dla niej, gdyby nie żyła. – Umilkła na chwilę. – Ale powiem ci dla własnego spokoju.

Freddy ustawił dyktafon na stoliku przed nią i wcisnęła czerwony przycisk nagrywania. Gertrude zerknęła na urządzenie i skinęła głową.

Gdy skończyła opowieść, zapadł już mrok. Freddy wyciągnął dłoń po dyktafon, a doktor Sigmund wstała z kanapy.

– Przepraszam na chwilę. Muszę umyć twarz. Zostań jeszcze chwilę, jeśli to nie problem. Przyda mi się twoja pomoc.

– Jasne.

Odwróciła się i ruszyła korytarzem w kierunku głównej sypialni.

Freddy wyłączył nagrywanie, odłożył urządzenie do kieszeni i przeszedł do kuchni. Duża szklanka wody wydała się nagle świetnym pomysłem. Znalazł naczynie w drugiej szafce, którą otworzył, wypełnił je po rant i uniósł do ust.

Huk wystrzału tak go wystraszył, że dziennikarz upuścił szklankę. Podłoga pokryła się wodą i fragmentami rozbitego szkła.

Hagerman natychmiast pobiegł do sypialni. Zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami, trzymając dłoń na mosiężnej klamce.

– Gertrude?

Żadnej reakcji. Wciąż dźwięczało mu w uszach i ta nowa cisza

wydawała się nabierać fizycznej postaci, która wypełniała ciemny korytarz.

Z żołądkiem skręcającym się ze zgrozy Freddy obrócił klamkę i pchnął drzwi. W sypialni było pusto. Na środku ściany na prawo od niego stało schludnie pościelone duże łóżko z szafkami nocnymi po obu stronach, a naprzeciwko wejścia znajdowała się komoda z sześcioma szufladami. Pod zamkniętymi drzwiami do łazienki widać było pasek światła.

– Gertrude?

Dziennikarz zawahał się, wziął głęboki oddech i podszedł do łazienki. Choć wiedział, że nie usłyszy odpowiedzi, spróbował po raz ostatni.

– Gertrude, jesteś tam?

Freddy zebrał się w sobie i otworzył drzwi. Krew i kawałki mózgu spływały z niebieskich kafelków na Gertrude Sigmund, której ciało leżało bezwładnie w wannie, jakby właśnie położyła się w ciepłej kąpieli z pianą. W drobnej prawej dłoni trzymała rewolwer kaliber trzydzieści osiem, z którego krótkiej lufy wciąż unosiła się cienka smużka dymu. Kula weszła przez usta kobiety, odstrzeliła jej tył i czubek głowy oraz obróciła lekko twarz w stronę drzwi. Jej jasnoniebieskie oczy, zalane silnym blaskiem jarzeniówki, spoglądały tak intensywnie, że Freddy spodziewał się, iż lekarka wyceluje w niego oskarżycielsko palec.

Gdy Hagerman podniósł telefon, by wykręcić numer alarmowy, uderzyła go myśl. Tak jak powiedziała, przyda jej się jego pomoc.

Czując mdłości i walcząc z kulą żółci, która podniosła mu się do gardła, Freddy obrócił się i przeszedł szybko przez łazienkę i resztę domu, po czym znalazł się na tyłach budynku. Wyciągnął z kieszeni dyktafon i rozejrzał się, czekając, aż oczy dostosują mu się do miękkich cieni rzucanych przez widoczny w trzech czwartych księżyc. W końcu pod jednym ze świeżo przystrzyżonych krzewów znalazł to, czego szukał: kamień wielkości futbolówki, na tyle płytko osadzony, że dało się go odwrócić.

Odrzucił przelotną obawę, że ziemia zniszczy urządzenie elektroniczne, wydrążył dziurę, włożył do niej dyktafon i odwrócił z powrotem kamień. Następnie Freddy wrócił do kuchni, umył ręce i usiadł na schodach frontowych, by zaczekać na policję. Nie trwało to długo.

Po złożeniu zeznania zawieziono go do centrum. Gdy miejscowi z nim skończyli, kazano mu czekać na przybycie agenta federalnego z Albuquerque. Nie, nie był aresztowany. Co znaczyło, że siedział w pokoju z lustrem weneckim, a nie w celi. Przynajmniej gliniarze przynieśli mu pizzę z pepperoni i litrową butelkę coli. Nie licząc tej dostawy i wypraw pod eskortą do kibla, zostawiono go samemu sobie.

Facet z NSA dotarł o pierwszej osiemnastce nad ranem. Agent Sorenstam. Brązowe włosy, brązowe oczy, przeciętny wzrost, przeciętna budowa. Typ człowieka, którego większość osób zaszczycałaby za ledwie krótkim spojrzeniem i nie poświęciła dalszej uwagi. Freddy nie popełnił takiego błędu. Gdy agent usiadł na krześle po przeciwnej stronie stołu, przedstawił się i spojrzał mu prosto w oczy, Hagerman poświęcił mu mnóstwo uwagi.

– Z tego co rozumiem, przebywał pan na terenie domu, gdy doktor Sigmund została zastrzelona.

– Gdy się zastrzeliła. Owszem.

– Co pan tam robił?

– Czy potrzebuję adwokata?

– A potrzebuje pan?

Freddy wychylił się do przodu, opierając łokcie na blacie.

– Ma pan kopię zeznania, jakie złożyłem policji Los Alamos. Proszę zapoznać się z moimi odpowiedziami.

– Zapoznałem się. Chcę tylko więcej szczegółów. Sąsiad zgłosił, że widział pana wchodzącego do środka przed piętnastą. Przebywał pan wewnątrz ponad cztery godziny. Proszę mi po prostu powiedzieć, o czym rozmawiał pan z doktor Sigmund.

– Jak już mówiłem wcześniej, spytałem ją o pobyt w Baltimore i dlaczego spotkała się tam z NSA.

– Co odparła?

- Że wy, popieprzone gnoje, kazaliście jej zobaczyć się z Heather McFarland, że Heather żyje, że jest przetrzymywana na fałszywym oddziale psychiatrycznym i że NSA podaje jej substancje psychoaktywne, próbując wyprać jej mózg.

Wyglądało na to, że jego odpowiedź zaskoczyła Sorenstama. Agent zerknął na lustro weneckie, znieruchomiał na chwilę, po czym znów spojrzął na Freddy'ego.

- Nagrał pan tę rozmowę?

- Nie chciała mówić do mikrofonu. Musicie mi uwierzyć na słowo.

- Wyjaśnijmy coś sobie. Przez pół wieczoru mówiła do pana w salonie swoich rodziców, a później pana przeprosiła, bo zamierzała odstrzelić sobie głowę?

Freddy wzruszył ramionami.

- Tak naprawdę powiedziała coś w stylu: „Przepraszam na chwilę. Jeśli zostaniesz jeszcze chwilę, skorzystam z twojej pomocy”.

- Co ją do tego skłoniło?

- Moim zdaniem nie mogła z siebie zmyć smrodu NSA.

- Posłuchaj, dupku. Trochę mnie już męczy to twoje antyamerykańskie nastawienie.

- Może mnie niedokładnie zrozumiałeś. Nie mówiłem USA, tylko NSA.

- Nie próbuj zgrywać twardziela. Nie masz pojęcia, jak to jest.

Freddy podciągnął nogawkę spodni, rozpiął paski łączące sztuczną nogę z kikutem uda i położył protezę na stole.

- Doprawdy? Coś ci powiem. Albo mnie teraz aresztuj, albo wezwij mojego adwokata, bo ta rozmowa właśnie dobiegła końca.

ROZDZIAŁ

66

Wysoki Niedźwiedź zerknął na dzwoniący telefon komórkowy, zobaczył jedynie komunikat „Numer prywatny” i zastanawiał się, czy nie odrzucić połączenia, jednak w końcu zdecydował się odebrać.

– Pino – powiedział.

– Dzień dobry, sierżancie Pino. Dziękuję, że pan odebrał. Nazywam się Freddy Hagerman i jestem dziennikarzem.

– Wiem, kim pan jest.

– Gratuluję wyboru na stanowisko prezydenta Narodu Navajo.

– Dziękuję, ale nie zamierzam teraz udzielać na ten temat wywiadu.

– Nie dlatego dzwonię. Postaram się streścić. Zeszłej nocy zostałem doprowadzony na przesłuchanie przez policję Los Alamos. Miałem nieszczyćcie towarzyszyć doktor Sigmund, gdy wczoraj popełniła samobójstwo. Kiedy dziś rano zostałem wypuszczony, pospieszyłem prosto do Albuquerque, zatrzymałem się na chwilę, żeby kupić ten telefon na kartę, a gdy tylko się rozłączę, zamierzam wyrzucić go i wskoczyć do pierwszego samolotu lecącego do Waszyngtonu.

– Po co te zabawy w szpiega? – odparł po chwili Wysoki Niedźwiedź. – Wątpię, czy gliniarze z Los Alamos monitorują pański właściwy numer.

– Oni nie, ale na pewno robi to NSA. Podśluchiwali doktor Sigmund, a teraz podśluchują mnie. I tu wracamy do powodu, dla którego dzwonię. Wykonałem cyfrowe nagranie mojego wywiadu z doktor Sigmund. Później, po tym jak się zabiła, zatelefonowałem pod numer alarmowy, wyszedłem na tył domu i schowałem dyktafon pod kamieniem. Ponieważ z pewnością jestem obserwowany, chciałbym, aby to pan go wyciągnął.

Indianin roześmiał się.

– Dlaczego ja? Nie miał pan bliżej żadnego innego czerwonoskórego?

– Wiem, że to brzmi dość szalenie, ale w zeszłym roku widziałem relację z demonstracji w rezerwacie Santa Clara i wydawał się pan gościem, który nie przepada za federalnymi.

Wysoki Niedźwiedź znów zastanawiał się, czy nie przerwać połączenia.

– Co takiego pan nagrał, że NSA tak się zamartwia?

– Słyszał pan o trójce dzieciaków z Los Alamos, które zostały zabite podczas nalotu sił specjalnych na boliwijskie ranczo Jacka Gregory'ego?

– Tak.

– Według doktor Sigmund przynajmniej jedno z nich żyje i jest przetrzymywane przez NSA na oddziale dla czubków. Zabrali tam Sigmund, kazali jej pomóc przekonać Heather McFarland, że jest szalona, po czym odesłali panią psychiatrę do domu. Tyle że nie mogła z tym żyć. Uważam, że NSA może też mieć pozostałą dwójkę, ale te gnoje powiedziały ich rodzicom, że wszyscy zginęli.

– Nawet gdybym panu uwierzył, dlaczego pan sądzi, że ma to dla mnie jakiegokolwiek znaczenie?

– Może to głupie, ale idę za instynktem. Uznałem pana za kogoś, kto nie lubi takiego nadużywania władzy. Miałem nadzieję, że nie lubi pan na tyle, żeby poświęcić godzinę swojego czasu.

Indianin pozwolił ciszy się rozciągać, aż wisiła ciężko w powietrzu.

– Proszę mi powiedzieć, gdzie to znaleźć.

Gdy kilka minut później jechał do Los Alamos, ciepły popołudniowy wiatr wpadał przez opuszczoną szybę jeepa cherokee, rozwiewając mężczyźnie długie czarne włosy. Wyglądało na to, że Jack Gregory znów wkroczył w jego życie. To dziwne, jak świat wydawał się kręcić wokół tego człowieka. Wysoki Niedźwiedź miał wrażenie, jakby dopiero wczoraj prowadził Jacka i Janet do hoganu. W jego myślach pojawił się obraz Janet stojącej w wejściu, jej pięknej twarzy rozświetlonej

uśmiechem, rąk nieświadomie opierających się na krągłym, ciężarnym brzuchu.

W jaki sposób, do cholery, zbuntowani agenci związali się z trojgiem nastolatków z Los Alamos? Jednego był pewien. Jeśli NSA przetrzymywała te dzieciaki, to cała bajeczka o akcji w Boliwii śmierdziała. Indianin nigdy nie spotkał lepszego człowieka niż Gregory, a jednak Jacka wydymał jego własny rząd. Oznaczało to, że młodocianą trójkę potraktowano tak samo. Pytanie brzmiało: dlaczego?

Wysoki Niedźwiedź doszedł do wniosku, że posłucha tego nagrania, zanim dostarczy je Hagermanowi.

ROZDZIAŁ

67

Małpa zaszwargotała coś z drzewa rosnącego najbliżej krytej strzechą chaty, podskoczyła, a następnie straciła zainteresowanie. Janet trzymała synka jedną ręką, a drugą wskazywała zwierzę.

- Widzisz małpkę, Robby?

Przyglądała się twarzy chłopczyka, a jego bystre brązowe oczy spojrzały na nią, po czym przesunęły się na włochatą istotę oddaloną o dziesięć metrów. Choć malec był zdecydowanie zbyt młody, by mówić, Janet miała jednak nieodparte wrażenie, że rozumiał nie tylko jej gesty, ale i słowa. Wiedziała, że nie powinno jej dziwić tempo, w jakim się uczył, zważywszy na wszystko, co wiedziała o efekcie wywartym przez obręczę na Marka, Jen oraz Heather. Mimo to taki stopień rozwoju ją niepokoił.

Janet rozejrzała się po skupisku chat Indian Keczua, które stały na ponadmetrowych palach, z drabinami prowadzącymi do drzwi i praniem wiszącym na sznurkach pod okapami. Zaledwie kawałek za drogą i wzgórzem leżały przedmieścia Puyo w Ekwadorze. To stąd pochodziła Yachay. Tubylcza niańka przywiodła ich tutaj i wprowadziła do biednej keczuańskiej społeczności, która powitała ich niczym dawno zaginionych krewnych. Schowali się tu przed światem równie skutecznie, jakby wpadli do asfaltowych jezior La Brea w Kalifornii. Żadnej elektryczności, bieżącej wody czy domowych toalet. Jedynie przyjemny, bezpieczny azyl.

Odwróciwszy się od małpy, Janet wspięła się po pochyłej drabinie prowadzącej do jej domu, najmniejszego w wiosce. Przystanęła zaraz za wejściem i podniosła wzrok na Cherise, piękną arę żółtoskrzydłą, którą udomowiła.

– Ałk. Robby. Robby.

Janet roześmiała się, słysząc to przywitanie. Choć malec był inteligentny, ptak nauczył się mówić wcześniej niż on. Szkoda, że Jack nie mógł tego zobaczyć.

Położyła chłopca w kojcu, który zrobiła dla niego Yachay, i podeszła do stołu, gdzie leżał rozłożony jej pistolet Heckler & Koch. Ważna cecha dżungli na płaskowyżu: przy tak wysokiej wilgotności musiała codziennie poświęcać broni jeszcze więcej uwagi niż w Boliwii.

Gdy usiadła i podjęła pracę w przerwany miejscu, jej myśli popłynęły w stronę Jacka. Upewniwszy się, że ona i Robby znaleźli się w dostatecznie bezpiecznym schronieniu, gdzie wrogowie raczej nie powinni ich znaleźć, zapakował do plecaka amunicję, podstawowy sprzęt survivalowy oraz jeden z dwóch posiadanych przez nich podprzestrzennych kluczy nadawczo-odbiorczych podłączanych do USB i ruszył w hałaśliwą nocną dżunglę. Janet wciąż czuła na ustach pożegnalny pocałunek, pamiętała, jak zęby mężczyzny figlarnie podgryzały jej dolną wargę, widziała ogień w jego oczach.

Tęskniła za nim, pragnęła, aby wrócił. Główne zobowiązania miała jednak wobec Robby'ego. Gdyby synek był zwykłym małym chłopcem, zostawiłaby go z Yachay i poszła z Jackiem. Niestety, żadne z nich nie wiedziało, jakie wyzwania staną przed malcem w nadciągających miesiącach, i Janet chciała znajdować się na miejscu, by kierować jego rozwojem. Poza tym Jack był przecież Jackiem. Znajdzie miejsce przetrzymywania nastolatków i da im szansę wywalczenia sobie wolności.

Niskiemu pomrukowi z oddali towarzyszył szmer wiatru między krokwiemi. Wkrótce ze strzechy spłyną kaskady wody, dołączając do małej powodzi kłębiącej się wokół pali, na których stały chaty, a keczuańska wioska na jakiś czas stanie się jeszcze bardziej odizolowana od świata niż zwykle. Janet podniosła się i stanęła w drzwiach, wpatrując w zbierające się chmury. Gdy pierwsze wielkie krople rozprysnęły jej się na twarzy, skierowała wzrok na północ. Choć ulewa w dżungli to potężne zjawisko, prawdziwa burza szykowałą się na północy. I

najprawdopodobniej okaże się bardzo wyniszczająca.

ROZDZIAŁ

68

Dwujezdniowa droga wymagała remontu. Pustynia w każdej chwili mogła ją zagarnąć. Była to tylko jedna z wielu tras w rezerwacie Santa Clara, które należało wyremontować. Jednak to nie dziury czy pęknięcia zajmowały uwagę Wysokiego Niedźwiedzia, lecz zdezelowany biały ford F-150, który wyjechał na szosę kilkaset metrów przed nim.

W tej części kraju nie brakowało podobnych aut, wielkich półciężarówek z napędem na cztery koła, zużytych w nierównym terenie, z przestrzenią ładunkową zapadniętą pod licznymi wspomnieniami rzucanych na nią bezceremonialnie ciężkich kłopotów. Nic w tym niezwykłego. Ford jechał jednak od krawężnika do krawężnika, co sprawiło, że w Indianinie zaczęła się gotować krew. Nie to, żeby poranne pijaństwo stanowiło w rezerwacie nietypowe zjawisko – zdarzało się aż nazbyt często i właśnie dlatego wzbudzało w plemiennym policjancie gniew.

Po włączeniu koguta i syreny Wysoki Niedźwiedź podjechał do półciężarówki, przyjemnie zaskoczony faktem, że kierowca posłusznie zjechał na prawe pobocze i zatrzymał się tam, na nic nie wpadając. Gdy zerknął na samochód od tyłu, zauważył dwie rzeczy: wóz był przystosowany do ciągnięcia ciężkich przyczep, lecz nie miał tablicy rejestracyjnej.

Indianin otworzył swoje drzwi, wysiadł i podszedł do zatrzymanego auta od strony kierowcy, trzymając lekko dłoń na kolbie colta kaliber czterdzieści pięć. Szofer półciężarówki opuścił całkowicie szybę i opierał na niej rękę z równym spokojem, jakby właśnie zajechał do McDonalda. Wystające z czarnej koszulki ramię było mocno opalone i tak umięśnione, że wydawało się wykute z kamienia. Górną część twarzy mężczyzny zasłaniało szerokie rondo kapelusza.

– Poproszę prawo jazdy i dowód ubezpieczenia.
– Bardzo mi przykro, panie władzo. Chyba zostawiłem je w domu.

Coś w tym głosie sprawiło, że Indianin się zawahał.

– Proszę opuścić pojazd i trzymać ręce na widoku.

Kierowca otworzył drzwi i wysiadł. Mierzył niewiele ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i miał na sobie czarny T-shirt wsunięty w dżinsy, które zakrywały sznurowane buty wojskowe. Było wyraźnie widać, że muskulatura reszty ciała szofera nie odbiega od wyglądu jego ramion. Wysoki Niedźwiedź znów odniósł wrażenie, że mężczyzna jest zupełnie spokojny, co niezbyt pasowało do jego bieżącej sytuacji.

Ponieważ Indianin wciąż nie widział twarzy kierowcy z powodu kapelusza i opuszczonej głowy, w jego głos wkradł się ostrzejszy ton.

– Proszę patrzeć mi w oczy, gdy do pana mówię.

Mężczyzna powoli zadarł głowę do góry.

– Ej, Jim. Tak się odzywasz do starego przyjaciela? – rzucił z rozbawieniem.

Zszokowany nagłym olśnieniem, Wysoki Niedźwiedź wpatrywał się prosto w uśmiechniętą twarz Jacka Gregory'ego. Otrząsnął się z godną pochwałą szybkością i podszedł, by uścisnąć byłemu agentowi dłoń.

– Jack, ty szalony sukinsynu! Myślałem, że jesteś na tyle mądry, żeby trzymać się z dala od tego kraju.

– Chyba nigdy nie byłem zbyt błyskotliwy.

– Co, do ciężkiej cholery, robisz na tym zadupiu?

– Czekałem, aż podjedziesz i mnie zgarniesz. Uznałem, że telefonowanie to kiepski pomysł. Moglibyśmy gdzieś porozmawiać na osobności?

– Tu, w rezerwacie, nie brakuje prywatności. Jest nawet miejsce, gdzie możemy usiąść na kanapie i strzelić piwo.

– To mi się podoba. – Jack wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Masz pewność, że twój dom nie jest na podsłuchu?

– Nie mówię o swoim mieszkaniu. Kolega pojechał do Arizony, żeby odwiedzić rodzinę. Zaglądam tam czasami, żeby sprawdzić,

czy wszystko w porządku.

- Jego piwo też sprawdzasz?

- No pewnie.

- Dobra. Pojadę za tobą.

Dom Eddy'ego Castilla nie był niczym szczególnym, ot, niewielka budowla o szerokiej fasadzie, położona kilka kilometrów na północ od miasteczka, ze stalową wiatą na samochód pochylającą się na jedną stronę i ogrodzonym ogródkiem z tyłu, pełnym zielonkawobrazowej trawy. Wysoki Niedźwiedź wprowadził Jacka do środka, wskazał kanapę i otworzył lodówkę.

- Klapnij sobie.

Wrócił z dwoma lodowatymi piwami marki Bud, podał jedno byłemu agentowi i usiadł obok.

- Jak tam Janet?

- Wygląda świetnie, jak zawsze.

Indianin roześmiał się.

- A dziecko?

- Śliczny chłopczyk. Robert Brice Gregory. Nazywamy go Robby.

- Czy wreszcie przypięłeś sobie huevos i się z nią ożeniłeś?

- Owszem. Pobraliśmy się w kościele w Puyo w Ekwadorze, tuż przed moim powrotem tutaj.

- Kurczę, to świetnie. Żałuję, że nie mogłem tam być.

- Ja też tego żałuję.

Jack uniósł puszkę do ust, zaczekał chwilę, by poczuć zimną kondensację, po czym wlał część bursztynowego płynu do gardła. Gdy opuścił z powrotem piwo, znów się uśmiechnął.

- A tak w ogóle, to rozumiem, że należą ci się gratulacje. Prezydent Narodu Navajo?

- Jeszcze nie. Zostanę zaprzysiężony w przyszłym tygodniu.

- Prezydent największego plemienia w Ameryce Północnej. Moim zdaniem to całkiem spora sprawa. Zwłaszcza przy tym, co dzieje się teraz na świecie.

- To co sprowadza cię do tego wygwizdowa? - Twarz Wysokiego Niedźwiedzia spoważniała, gdy wygłaszał najbardziej

dręczące go pytanie.

– Potrzebuję przysługi.

– Czy ma ona coś wspólnego z tymi dziećmiakami z Los Alamos?

Jack milczał przez chwilę.

– Jim, ty mistyczny draniu – powiedział w końcu. – Jak się tego domyśliłeś?

Plemienny policjant pociągnął długi łyk piwa i przytrzymał go w ustach, czując goryczkę.

– Trąbiono o tym w wiadomościach.

– Tak. Ale wiadomości głosiły, że zginęli.

– Nie zginęli.

– Ja to wiem, ale skąd ty?

Wysoki Niedźwiedź podniósł się i podszedł do okna, by spojrzeć na pylistą drogę wijącą się przez samotne wzgórze.

– Znasz Freddy’ego Hagermana?

– Tego dziennikarza?

– Yhm.

– Czytałem jego artykuły.

– Zadzwoił do mnie kilka dni temu. Powiedział, że w White Rock ukrył cyfrowy dyktafon. Chciał, żebym go dla niego odzyskał.

– Dlaczego ty?

– Sam też o to spytałem. Mówił, że zrobił wywiad z psychiatrą z Los Alamos, która kiedyś leczyła Heather McFarland. Doktor Sigmund ujawniła mu, że niedawno widziała się z Heather w więzieniu o zastrzonych środkach kontroli, prowadzonym przez NSA w Maryland. Zaraz po tej rozmowie lekarka się zastrzeliła. Wtedy Freddy schował dyktafon i wezwał gliny.

– Czyli odzyskałeś urządzenie?

– Odzyskałem, przesłuchałem nagranie, przesłałem je kurierem do kumpla Hagermana w Waszyngtonie.

Przez kilka sekund w powietrzu między nimi wisiła cisza.

– To co było na tym nagraniu?

Wysoki Niedźwiedź obrócił się do Jacka.

– Heather McFarland żyje. Zapewne pozostała dwójka również. NSA traktuje ich brutalnie. – Wzruszył ramionami. – Może lepiej

by było dla nich, gdyby nie żyli.

Na twarzy Gregory'ego pojawił się chłodny uśmiech.

– Pozwolę sobie się z tobą nie zgodzić.

– Zatem co mogę dla ciebie zrobić?

Indianin przypomniał sobie pierwszy raz, kiedy ujrzał w oczach Jacka ten dziwny ogień, i przyłapał się na tym, że w myślach odmawia modlitwę. Przodkowie, pomóżcie mu. Przodkowie, pomóżcie im wszystkim.

ROZDZIAŁ

69

Doktor Elbert Krause z NSA wpatrywał się w odczyty wyświetlające się na monitorze. Wartości Marka Smythe'a dziwnie go fascynowały. Nigdy w czasie swojej zawodowej kariery nie zetknął się z takim stopniem samokontroli, jaką posiadał ten młody człowiek. Nieważne, jakiej presji fizycznej poddawano jego ciało, w pełni nad sobą panował, utrzymywał częstość akcji serca na poziomie czterdziestu trzech uderzeń na minutę, ciśnienie krwi w dolnych granicach normy, aktywność mózgu porównywalną z wewnętrznym spokojem mnicha z klasztoru Szaolin.

Nie mogło to wynikać wyłącznie z treningu przeprowadzonego przez Jacka Gregory'ego. Kosiarz miał te dzieciaki tylko kilka miesięcy, a do wykształcenia takiego stopnia kontroli były potrzebne lata. Smythe reagował na waterboarding tak, jakby siedział na kanapie w Dzień Dziękczynienia i oglądał mecz. Pozbawienie go snu okazało się zupełną stratą czasu, ponieważ w ogóle nie zadziało na chłopaka. Co więcej, gdy Krause wpatrywał się w widoczne na monitorze oczy Marka, miał wyraźne wrażenie, że ten młody twardziel się powstrzymywał, zachowując większość swoich możliwości w rezerwie.

Mężczyzna przełączył się na stare dane z Los Alamos. W nich leżała odpowiedź. Wszystko zaczęło się w Los Alamos. Inne rozwiązanie nie miało sensu.

Smythe'owie i McFarlandowie byli sobie tak bliscy, że w zasadzie tworzyli jedną wielką rodzinę. Cała trójka dzieciaków dorastała razem w White Rock, byli najlepszymi przyjaciółmi, zanim jeszcze zaczęli szkołę, mieszkali obok siebie i byli w zasadzie nierozłączni. W ciągu ostatnich dwóch lat coś się jednak wydarzyło. Z Marka Smythe'a zrobił się wybitny sportowiec, a

Jennifer Smythe i Heather McFarland poprawiły i tak już imponujące wyniki w nauce.

Agent zauważył jeszcze kilka innych osobliwości. Heather została dwukrotnie porwana, raz uratowana przez Jacka Gregory'ego, a później zaczęła okazywać objawy schizofrenii. Całą trójką wykonali niezwykle projekt na Krajowy Konkurs Naukowy. Krause czytał ich sprawozdanie i zszokowała go jego jakość, choć uczestnicy zapomnieli o podaniu jednego ze źródeł.

Najwyraźniej Gregory wyczuł, jak wyjątkowi są ci młodzi ludzie, i w jakiś sposób skłonił ich, by uciekli i dołączyli do niego. Agent NSA wciąż dręczyło pytanie, co sprawiło, że stali się tak wyjątkowi. Musiało to mieć coś wspólnego z Projektem Rho, ale gdyby tak było, to czy profesor Stephenson by o nich nie wiedział? Oczywiście niektóre kwestie związane z okrętem wymknęły się Stephensonowi spod kontroli. Może to była jedna z nich.

Krause podniósł się z fotela i pomasażował sobie dolną część kręgosłupa, a następnie podszedł w stronę ekspresu do kawy. Napełnił ceramiczny kubek parującym czarnym płynem, podniósł naczynie do nosa i powąchał. Ach! Świeżo zmielone ziarna Wolfgang Puck, kosztowny kaprys, ale z chęcią się na niego wykosztowywał. Agent powoli wziął łyk i uśmiechnął się. To właśnie była prawdziwa miłość.

Nagle zeszytniał. Oczywiście. Odpowiedź cały czas była na wyciągnięcie ręki. Nie w aktach Marka Smythe'a, lecz w rejestrach medycznych Heather McFarland. Doktor Sigmund zanotowała, że choć Heather i Jennifer były sobie bliskie, to uczucia Heather do Marka były silniejsze.

Pojechali razem za Jennifer, gdy ta zniknęła. Byli parą.

Doktor Krause podniósł słuchawkę telefonu i wybrał pięciocyfrowy numer wewnętrzny. Gdy usłyszał po drugiej stronie odpowiedź, zaczął wydawać instrukcje. Potrzebowali trochę pracy edycyjnej, ale Sam Halvert sobie z tym poradzi.

Po odłożeniu słuchawki Krause znów spojrzął na monitor. Jeśli Mark Smythe był zakochany w Heather McFarland, potwierdzą to, gdy tylko będą dysponowali odpowiednim materiałem wideo.

ROZDZIAŁ

70

Markowi przypięto dłonie do łańcucha, którym owinięto go w pasie, i zaprowadzono z celi przez szereg niemal identycznych korytarzy do pomieszczenia wyglądającego jak kino domowe w dość bogatym domu. Na przeciwległej ścianie umieszczono ekran o szerokości czterech metrów i wysokości niemal trzech, obecnie wyświetlający obraz kontrolny z zainstalowanego na suficie projektora. Przed nim umieszczono cztery rzędy foteli kinowych, po cztery siedziska w każdym, dostępne od biegnących po lewej stronie schodków. Jennifer spodobałby się ten układ. Piękna dziesiątka w systemie szesnastkowym.

Gdy jeden ze strażników szorstko pchnął chłopaka na siedzenie w pierwszym rzędzie, Mark zauważył ważną różnicę w stosunku do zwykłego pokoju kinowego: każdy fotel wyposażono w parę krótkich łańcuchów. Gdy tylko usiadł, wartownik spiął je z jego kajdankami. Nastolatek uznał, że w takich warunkach nie ma co liczyć na szczególną wartość rozrywkową filmu, który zamierzali mu pokazać.

Oprócz dwóch strażników w pokoju znajdował się tylko doktor Krause, nazistowski blond gnojek kierujący jego przesłuchaniami. Krause celowo usiadł bezpośrednio na prawo od Marka, a masywny wartownik, który go przypinał, zajął miejsce po lewej. Kątem oka chłopak widział drugiego klawisza, stojącego przy wyjściu.

Najwyraźniej w cenie biletu nie uwzględniono popcornu. Trudno. W kajdankach i tak trudno byłoby wyciągać go z pudełka i wkładać do ust. Wizja jego palców wydrapujących puchate, białe, ociekające masłem grudki i podrzucających je do ust niemal wywołała uśmiech na twarzy Marka. Brak przekąsek wydawał się jednak dobrym zrzędzeniem losu dla pilnujących go

mężczyzn. Nastolatek był niemal pewien, że zdołałby cisnąć ziarenkiem na tyle mocno, by oko Krausego zmieniło się w krwawy śluz.

Agent nachylił się w jego stronę, a jego gęba wyszczerzyła się lekko.

– Mark, widziałeś kiedyś więzienny gwałt zbiorowy?

– To groźba?

– Pytam tylko, czy widziałeś, co robią zwierzęta, gdy zerwą się ze smyczy.

– Widziałem zwierzęta, które tego próbowały.

– I?

– Nie bawiły się tak dobrze, jak się spodziewały.

Uśmiech Krausego poszerzył się, całkiem nieźle upodabniając jego twarz do Jokera z Batmana.

– Właśnie to w tobie lubię. Optymistyczne nastawienie. Jednak w tej sytuacji tylko ja mogę kierować groźby, zatem twoje stają się raczej puste.

Agent dał znak strażnikowi siedzącemu obok Marka i mężczyzna pochylił się, by przypiąć bezprzewodowy monitor akcji serca do nadgarstka nastolatka oraz przykleić dwie działające na takiej samej zasadzie elektrody do jego skroni. Gdy skończył, rozsiadł się znów w swoim fotelu. Doktor Krause poszedł w jego ślady.

Plansza kontrolna została zastąpiona obrazem wideo z wyściełanej celi Heather. Mark wciągnął gwałtownie powietrze, gdy ujrzał ją w długiej szpitalnej koszuli, z rękoma i nogami przypiętymi do łóżka. Jej mlecznobiałe oczy wydawały się spoglądać w przestrzeń poza nim. Czując, że zaczyna mu przyspieszać akcja serca, chłopak przywołał wspomnienie jednej z medytacji. Zadziałało, jednak wciąż coś w nim narastało, próbując przedrzeć się przez postawioną w umyśle blokadę.

– Przypuszczam, że znasz pannę McFarland.

Mark nic nie odpowiedział.

– Jak widzisz, jest w nie najlepszym stanie. Obawiam się, że poważniejszy szok może wtrącić ją w nieodwracalną katatonię.

Nastolatek niemal roześmiał mu się w twarz. Heather

całkowicie ich nabrała, przekonując, że znajduje się w psychozie. Pokazywała im to, czego oczekiwali.

Krause wyciągnął smartfon, wcisnął ikonę aplikacji i wypowiedział trzy słowa:

– Wprowadźcie ich.

W drzwiach Heather zabrzączał elektroniczny zamek i do środka weszło trzech wielkich, wytatuowanych białych facetów skutyk z sobą łańcuchem i eskortowanych przez czterech strażników, z których dwóch śledziło ruchy więźniów lufami karabinów.

Doktor Krause pokazał Markowi smartfon.

– Zapewne zastanawiasz się, dlaczego mogę korzystać z telefonu w chronionej placówce. To zabawka działająca tylko tu, w środku, z aplikacją typu VoIP, wykorzystująca naszą bezpieczną sieć Wi-Fi.

– Gównu mnie to obchodzi.

– Jeśli nie zgodzisz się na pełną współpracę, za dziesięć sekund wcisnę tę ikonę i powiem strażnikom, żeby zdjęli łańcuchy oraz kajdanki trzem najpaskudniejszym seryjnym gwałtcielowi w naszym systemie więziennym, obecnie znajdującym się w jednej celi z Heather McFarland. Ty, farciarzu, będziesz mógł sobie pooglądać widowisko z pierwszego rzędu.

Mark popatrzył na ekran i wiedział, że Heather bez większego problemu poradziłaby sobie z tymi trzema dupkami z Bractwa Aryjskiego. To by jednak wszystko popsuło. NSA dowiedziałyby się, że obie dziewczyny również mogą stanowić poważne zagrożenie. Nie mógł na to pozwolić. Nie teraz.

W głębi umysłu chłopaka spokojna medytacyjna powierzchnia pokryła się rozszerzającą się siecią pęknięć, powiększających się w głębokie szczeliny, z których wylewała się czerń.

– Dziesięć...

Nastolatek poczuł wibracje pulsujące mu w mięśniach ramion i grzbietu.

– Dziewięć...

Wciągnął głęboko powietrze przez nozdrza.

– Osiem... siedem...

Wypuścił je powoli ustami.

– Sześć... pięć...

Łańcuchy pętające mu nadgarstki rozdarły się z taką siłą, że poszczególne ogniwa uderzyły w ekran z energią porównywalną z kulami kaliber czterdzieści pięć. Chłopak prawą dłonią złapał Krausego za gardło i zamachnął się lewą nogą, uderzając w pierś siedzącego obok strażnika i ciskając jego bezwładnym ciałem na ścianę.

Wartownik przy wejściu zadziałał instynktownie, wyciągając paralizator, gdy Mark pędził po schodkach w jego stronę. Klawisz był szybki. Naprawdę szybki. I z każdym innym przeciwnikiem by mu to wystarczyło.

Mark poczuł, jak wyładowanie elektryczne uderza go w splot słoneczny, i odruchowy skurcz mięśni zatrzymał go w miejscu na zaledwie ułamek sekundy, po czym jego wzmocniony układ nerwowo-mięśniowy odepchnął efekty porażenia na bok i chłopak pomknął dalej, by na szczycie schodów grzotnąc strażnika lewą pięścią w bok głowy. Przez cały ten czas nie wypuścił Krausego z prawej dłoni.

Widząc, że zdalnie sterowane drzwi zasuwały się, Mark cisnął ciałem umierającego blond gnojka w szczelinę, pochylił się, by wziąć jego telefon, po czym przeskoczył przez wejście. Zawahał się tylko przez chwilę, po czym pomknął korytarzami, którymi wcześniej prowadzili go do sali kinowej. Pamiętał, że dwa zakręty dalej dostrzegł schowek dozorczy. Gdy tam dobiegł, rzucił się z całą siłą na drzwi, wrywając je z zawiasów.

Wszedł do środka i skupił się na smartfonie. Z westchnieniem ulgi sprawdził, że robak Jennifer zainfekował system Android, na którym pracowało urządzenie. Oznaczało to, że ktoś uruchomił przynajmniej jeden z ich laptopów i wypuścił program do każdego komputera w tej placówce, a także do wszystkich pozostałych w określonym promieniu poszukiwania. Po wpisaniu sekwencji szybkich poleceń Mark zgniótł aparat w dłoni i rzucił go pod przeciwległą ścianę. Fragmenty rozsypały się po korytarzu.

Oparł głowę o ścianę i uspokoił się, wracając do przerwanej

wcześniej medytacji. Był gotowy. Niech przychodzą.

ROZDZIAŁ

71

Przez kilka dni Heather czuła narastającą frustrację, lecz wciąż odsuwała ją na bok, odgradzając się od niej, by nie przeszkadzała w wykonywanej pracy. Nie można było powiedzieć, że nie dokonała żadnych postępów w nawiązywaniu połączenia z Jennifer. Nauczyła się bardzo dobrze wykrywać próby kontaktu podejmowane przez przyjaciółkę i poprawiła wzajemną świadomość tych starań. Nie doprowadziło to jednak do pogłębienia więzi, która pozostała na poziomie przypominającym dostrzeganie ducha kątem oka, a gdy próbowało się spojrzeć na niego bezpośrednio, znikał.

Dziewczyna zaczęła kwestionować swoją wcześniejszą analizę zasad działania telepatii. Przede wszystkim, gdyby stanowiła ona po prostu formę zwykłej komunikacji za pośrednictwem fal elektromagnetycznych, nawet kierowanych przez bardzo skomplikowany neuronowy szlak fazowany, sygnał wygasłby na przeszkodach, a już w ogóle nie działałby w miejscu pełnym klatek Faradaya chroniących urządzenia typu TEMPEST.

Poza tym, gdy Jennifer i Mark wyczuli jej myśli po porwaniu przez Łachmaniarza, była od nich daleko i nie dysponowała linią wzroku konieczną do ukierunkowania sygnału. Uderzyło ją, że z powodu niewłaściwych początkowych założeń zmierzała błędną ścieżką.

Dziecko nie uczy się chodzić, obliczając w myślach, które zakończenia mięśniowe pobudzić i które włókna mięśniowe skurczyć. Robi to metodą prób i błędów, wyobrażając sobie, co chce osiągnąć, a później wypuszcza to pragnienie do mózgu, który zapamiętał drobne sukcesy i teraz działa na ich podstawie. Dzieje się to w sposób automatyczny, ale nie natychmiastowy.

Zamiast wracać do nocy, podczas której Łachmaniarz ją pojmał,

Heather pozwoliła myślom zdryfować na poranek przy śniadaniu w rodzinnym domu, kiedy to usłyszała myśli Jennifer równie wyraźnie, jakby ta wypowiedziała je na głos.

Nagle Heather znów znalazła się przy stole, smakowała naleśniki, czuła zapach ciepłego syropu klonowego spychającego roztopione masło ze sterty rumianych placuszków. Głos Jen w jej głowie zabrzmiał identycznie jak wtedy, gdy przyjaciółka wygłaszała te słowa. Czegoś jednak brakowało. Sygnałom z ucha środkowego nie towarzyszyło wspomnienie wibracji wywołanych falami dźwiękowymi głosu Jennifer.

Czuła się raczej, jakby znalazła się w głowie przyjaciółki i ich umysłów nie dzieliła żadna odległość. Zupełnie jak przy połączeniu za pośrednictwem obręczy. Heather raz za razem odtwarzała wspomnienie, każdorazowo zauważając jakiś nowy szczegół mentalnej więzi. Wówczas dotarły do niej te myśli Jen, które rozbrzmiewały najgłośniej w mózgu przyjaciółki, ale było ich więcej. Pod donośnymi przesłaniami z powierzchni pływały warstwy innych idei i uczuć, niczym szept w zatłoczonym pomieszczeniu. Umysł Heather wychwycił to wszystko, ale początkowo skupił się na tym, co się wyróżniało.

Jednak co zainicjowało połączenie? Gdy próbowała to zrozumieć, znów poczuła narastającą frustrację. Gdzieś istniało rozwiązanie, czaiło się na skraju jej pamięci, lecz pomimo wszystkich swoich umiejętności nie potrafiła go dostrzec.

Jednak wszystkie te przypadki psychicznej więzi posiadały wspólną cechę: za każdym razem, gdy miały miejsce, Heather nie próbowała świadomie zapoczątkować kontaktu.

Wzięła głęboki oddech, powoli go wypuściła. Zwizualizowała swoje pragnienie, po czym wyzwoliła tę ideę, przywołując wspomnienie jednej ze swoich ulubionych medytacji. Czuła, jak jej mózgowie fale alfa wygładzają się do długich, łagodnych zmarszczek, a świadomość dryfuje w czerń, oddalając się, aż staje się jedynie odległym, migoczącym płomyczkiem, samotnym w nieskończonej ciemnej pustce. Dziewczyna pozwoliła sobie odpłynąć jeszcze dalej i dostrzegła inny świetlny punkcik, a później kolejny i jeszcze jeden. Gdy uświadomiła sobie obecność

tych małych jaśniejących plamek, zauważyła też coś innego. Czerń dzieląca ją od nich nie była jednolita. Z każdej kropki promieniowały w przestrzeń fale, jak od kamyków rzuconych do stawu. Tyle że te rozchodziły się w przestrzeni trójwymiarowej.

Pustka nie była przestrzenią czterowymiarową, lecz składała się z jednego lub więcej dodatkowych wymiarów, z których każdy dotykał wszystkich znajdujących się w niej punktów. Pływały w niej i przecinały się ze sobą fale o rozmaitych częstotliwościach i amplitudach, w większości zupełnie nieznanymi dziewczynie. Heather pozwoliła swemu umysłowi dryfować, skanować źródła fal rozszerzającą się spiralą, aż natrafiła na wzorzec, który rozpoznała. Jennifer.

Poczuła ją równie pewnie, jakby się dotknęły. Siła doznań zwiększyła się raptownie, gdy skupiła się na ogniku przyjaciółki. Zamiast próbować zainicjować więź, Heather wpadła jeszcze głębiej w stan medytacji, by jej myśli same z siebie skoncentrowały się na punkcie początkowym tej fali.

I nagle stało się. Zupełnie jakby dwa płomienie świec zlewały się ze sobą, umysły jej i Jen połączyły się tak mocno, jakby obie właśnie nasunęły na głowy obręcz. Tylko że tym razem żadna z nich nie stawiała żadnych mentalnych blokad, obie z radością akceptowały tę wspólnotę.

Wskazania leżącej w swej wyściełanej celi Heather zmieniły się gwałtownie, jakby ta weszła w przerażający sen. Gdy doktor Jacobs odwrócił wzrok od monitora, by spojrzeć w mlecznobiałe oczy dziewczyny, zaskoczył go widok łez płynących po jej twarzy i moczających brązowe włosy.

Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy nie spróbować wybudzić pacjentki z halucynacji, ale odrzucił ten pomysł. Lepiej poobserwować i przekonać się, do czego to doprowadzi. Być może mentalne cierpienia przeżywane przez Heather w tej fudze da się później w jakiś sposób wykorzystać.

Jacobs rozsiadł się w fotelu, pozwalając, by dane dalej się zapisywały.

ROZDZIAŁ

72

Generał „Piłka” Wilson był wkurzony. Więcej niż wkurzony. Był cholernie wściekły. Gdy wpatrywał się w swój zebrany zespół, jego zwykle pogodne brązowe oczy wydawały się gotowe do strzelania błyskawicami, po których zostałyby tylko osmalone szkielety każdej osoby, która ściągnęłaby na siebie pełną moc tego spojrzenia.

– Kto, do diabła, zatwierdził wykonanie tego materiału wideo i pokazanie go Markowi Smythe’owi?

Panująca cisza osiągnęła gęstość londyńskiej mgły. Długie kroki niosły generała wokół stołu konferencyjnego, najpierw zgodnie z ruchem wskazówek zegara, następnie w odwrotną stronę, aż ciężar jego obecności stał się nie do zniesienia.

– Panowie. Być może mnie nie usłyszeliście. Chcę wiedzieć, kto zezwolił na zrobienie tego gównianego klipu i wyświetlenie go więźniowi bez mojego bezpośredniego upoważnienia. Jeśli nie otrzymam odpowiedzi w ciągu trzydziestu sekund, wy wszyscy, gnoje, będziecie sobie szukać nowej pracy.

Jako pierwszy odezwał się Carl Christensen.

– Sir, wygląda na to, że produkcję zatwierdził doktor Krause. On też osobiście pokazał nagranie Smythe’owi.

– To ma szczęście, że zginął. Gdyby żył, zająłbym się nim.

Sprężyste kroki Wilsona znów zawiodły go na front sali, skąd omiółł jastrzębim wzrokiem zebranych.

– Nie żyje trzech agentów NSA. I wiecie co? Nie mam pojęcia, jak Smythe tego dokonał, ale po tym, co widziałem, nie winię go nawet w najmniejszym stopniu.

Skierował spojrzenie na doktora Jacobsa.

– Skąd Krause wziął materiał z Heather McFarland do swojego montażu? Czy to nie pan kieruje jej przesłuchaniami?

– Zgadza się, sir. Doktor Krause poprosił o dostęp do kamery. Założyłem, że miało to pomóc w przesłuchaniach Smythe'a.

– Założył pan.

– Tak jest, sir.

– Niech to cholera. Ja zaś zakładałem, że pracuję z kompetentnymi ludźmi. Chyba wszyscy jesteśmy bandą idiotów.

– Pierś generała unosiła się gwałtownie, gdy starał się zapanować nad emocjami. – Nie prowadzę tu jakiejś nedorobionej operacji z Abu Ghurajb. Jeśli jeszcze raz zetknę się z próbą zastosowania przez kogoś jakiejś techniki przesłuchania bez mojej wyraźnej zgody, taki ktoś pożałuje, że w ogóle mnie poznał. Czy wyrażam się jasno?

– Tak jest, sir! – Donośna odpowiedź wszystkich obecnych nadała wiarygodności ich słowom.

Wilson skrzyżował po kolei wzrok z każdym w pomieszczeniu.

– To dobrze. Lepiej, żebyście mnie znów nie rozczarowali.

Pozwolił, by na kilka sekund w sali ponownie zawisła cisza.

– Odmaszerować!

Sala opustoszała w niecałe trzydzieści sekund, został w niej wyłącznie generał. Obrócił się znów do zatrzymanego obrazu Heather McFarland przywiązanej do łóżka, gdy do jej pokoju wchodziło trzech gwałcicieli, po czym cisnął pilotem w ekran z taką siłą, że szkło rozpadło się na setki kawałeczków, a spadające na ziemię odłamki zabrzmiały niczym marznący deszcz uderzający o szybę samochodu.

Piłka wpatrywał się w ten bałagan, tak mocno zaciskając pięści, że nabrzmiały mu żyły przedramion. Po chwili obrócił się i opuścił salę.

Louis Dubois zaczął pogardzać Donaldem Stephensonem. Musiał jednak przyznać, że inteligencja i ambicja tego człowieka wykraczały poza jakąkolwiek standardową definicję geniuszu. Był dupkiem, który wydawał się jak na zawołanie dokonywać niezwykłych przełomów teoretycznych oraz praktycznych.

Ostatnim naukowym cudem stał się projekt urządzenia nazywanego przez Stephensona generatorem pola statycznego. Louis pracował na okrągło przez czterdzieści osiem godzin, próbując odnaleźć jakikolwiek błąd w założeniach, ale zdołał jedynie potwierdzić koncepcję.

I nie był sam. Kazał innemu zespołowi równolegle sprawdzać równania. Louis wrócił właśnie ze spotkania z profesorem Fredrickiem Hausem, laureatem Nagrody Nobla w dziedzinie matematyki i szefem tegoż zespołu. Jak można się było spodziewać, Haus i jego ludzie również potwierdzili teorię Stephensona. Urządzenie działało zgodnie z założeniami teoretycznymi i potrafiło wytwarzać potężne pola siłowe, którymi dało się manipulować z niesłychaną precyzją.

Louis odchylił się w fotelu i wsunął palce pod okulary do czytania, by potrzebę zaczerwienione oczy. Choć trudno było w to uwierzyć, amerykański fizyk przedefiniował światowe zrozumienie swojej nauki w tempie wprawiającym w absolutny szok tysiące naukowców pracujących nad projektem ATLAS. I Dubois nie miał wątpliwości, że gdy opracowania Amerykanina zostaną udostępnione publicznie, w podobny sposób zaskoczą całą społeczność akademicką. Jeśli Ziemia przetrwa bieżący kryzys, mnóstwo podręczników powędruje prosto do kosza, bo właśnie tam było teraz ich miejsce.

Podniósł się z siedzenia, wziął czarny płaszcz

przeciwdeszczowy i parasol, po czym ruszył w stronę wyjścia z budynku. Zimny miarowy deszcz od trzech dni zalewał większą część Europy i prognozy nie dawały nadziei na poprawę pogody. Rozległy chłodny front szedł przez Stary Kontynent na wschód, jego niebieska krzywa sięgała od Finlandii aż po obcas włoskiego buta. Obecnie stanął, zablokowany przez potężny obszar wysokiego ciśnienia nad zachodnią Rosją.

Skinąwszy głową Elynn Stadich, ochroniarce z recepcji, Louis podniósł kołnierz płaszcza, rozłożył parasol i wyszedł na szarą wilgoć szwajcarskiego poranka. Postanowił, że przejdzie się do budynku z detektorem ATLAS, żeby oczyścić myśli. Po pięciu minutach wędrówki pożałował tej decyzji. Temperatura oscylowała w okolicach pięciu stopni, co nie byłoby jeszcze takie złe, ale silny wiatr sprawiał, że parasol był raczej bezużyteczny. Gdy kolejny podmuch niemal wygiął druty na drugą stronę, profesor dał za wygraną, zwinął osłonę i pogodził się z faktem, że zupełnie zmoknie mu głowa. Zresztą i tak więcej wody chyba nie mogło już na nią spaść.

Gdy wszedł do przedsiönka budowli, z której schodziło się do groty ATLAS, Louis zdjął płaszcz i pochylił się, by zgarnąć wilgoć z głowy oraz szyi.

– Profesorze Dubois, wydawało mi się, że przysługuje panu samochód z kierowcą.

Naukowiec odwrócił się i ujrzał wyszczerzoną twarz Gary'ego Levina, jednego z najlepszych doktorantów przydzielonych do programu.

– Uznałem, że to miły dzień na spacer.

– Chyba raczej wolałbym nie spacerować z panem w kiepski dzień.

Gary podał mu biały kask i zaczekał, aż Louis wyreguluje paski.

– Może powinienem też przynieść panu ręcznik.

– Wyschnę w drodze do ATLAS-a.

Uśmiech zniknął z twarzy doktoranta, jakby został stamtąd starty jak z tablicy szkolnej.

– Kiedy ostatni raz przebywał pan w pomieszczeniu detektora?

– We wtorek. Przez ostatnie dni byłem zajęty analizowaniem

najnowszego opracowania profesora Stephensona. Mówiłem Sophii, że nie chcę, aby mi przeszkadzano, jeśli nie pojawi się jakiś krytyczny problem.

Młodzieniec odetchnął głęboko i zmarszczył brwi.

– Chyba nie ja powinienem pana o tym informować, ale nie spodoba się panu to, co się tam dzieje.

Chłodna dłoń grozy złapała profesora Dubois za gardło i ścisnęła.

– Co to ma oznaczać?

– Chyba najlepiej będzie, jeśli po prostu pokażę.

Przeszli wąskim korytarzem, nad głowami mając srebrny przewód biegnący środkiem wiszącego na wysokości dwóch i pół metra stropu. Louis przystanął przy szafce, by powiesić w środku płaszcz i parasol. Następnie podążył za Garym przez kilka kolejnych pomieszczeń i korytarzy. Im bardziej zbliżali się do komory detektora ATLAS, tym głośniejszy stawał się hałas ciężkiego sprzętu.

Wyszli na rusztowanie umieszczone wysoko na ścianie groty. Rozciągający się stamtąd widok jak zawsze oddziaływał na profesora niejednoznacznie. Przez wszystkie te lata budowano to miejsce, a teraz w zawrotnym tempie trwały prace nad demontażem ogromnego detektora i powiększeniem komory, przy jednoczesnym pilnowaniu, by nic nie zakłócało pola zabezpieczającego Listopadową Anomalię. A wszystko to, by zrobić miejsce dla generatora tunelu czasoprzestrzennego.

Nagle Louis zmartwiał. Duży fragment końcowej części detektora zwiślał z żurawia dźwigu, ciągnąc za sobą elementy i przewody, zupełnie jakby urządzenie chwyciła gigantyczna paszcza i wyrwała spory kawał.

– Co tu się dzieje, na litość boską?

Naukowca zalała fala mdłości i zawrotów głowy, pod którą niemal ugięły mu się kolana.

– To na polecenie profesora Stephensona. Osobiście nadzoruje proces demontażu.

– Demontażu? – wypalił Dubois. – To bezmyślna destrukcja. Gdzie on jest, do cholery?

Gdy Gary wskazał małą postać, która gestami kierowała pracami robotników po drugiej stronie komory, Louis zaklął, po czym zszedł po schodach na dno groty. W drodze do Stephensona tak się zasapał, że oddychał krótkimi, urywanymi haustami.

Złapał amerykańskiego naukowca za ramię i obrócił go w swoją stronę.

– Co pan najlepszego wyrabia, do diabła?

Szare oczy Stephensona objęły sylwetkę Dubois równie niedbale, jakby został właśnie poproszony o wyznaczenie terminu spotkania.

– Ekipa opóźniała się w stosunku do harmonogramu. Zmieniłem to.

– Niszcząc przyrządy warte miliardy dolarów? Mieliśmy zdemontować ATLAS, żeby dało się go odbudować, gdy już tu skończymy. Przez pana tracimy dziesięciolecia pracy.

Stephenson wyjął wargi.

– Profesorze Dubois, którą porcję tego szmelcu należałoby według pana zachować? Ponieważ zapewne nie zrozumiał pan ani słowa z moich opracowań, być może nie przyszło to panu do głowy, ale wasz naukowy projekcik dobiegł końca. Technologie i energia, jakie zamierzamy stworzyć w tej komorze, w takim stopniu wykraczają poza wszystko, co kiedykolwiek rozważano na Ziemi, że Wielki Zderzacz Hadronów jest przy nich śmiechu warty.

Louis poczuł się, jakby właśnie został uderzony w twarz.

– Niech pan się z tym pogodzi – ciągnął Stephenson. – Nie ma sensu szukać dalej potwierdzenia modelu standardowego fizyki. Ta dziedzina jest już martwa.

Po tych słowach amerykański naukowiec odwrócił się, by wykrzyzczyć kolejne instrukcje do kierownika robót. Za jego plecami profesor Louis Dubois stał wmurowany w ziemię. Wpatrywał się w piękną, złożoną maszynę, jaką do niedawna był ATLAS, i czuł, że zamgliły mu się oczy. Stephenson miał rację. Podobnie jak sam Dubois, w gnieniu oka cały ten sprzęt stał się dinozaurem.

ROZDZIAŁ

74

Profesor Rodger Dalbert zajął wskazane miejsce w małym pomieszczeniu przylegającym do pokoju dowodzenia w Białym Domu. Prezydent Jackson siedział naprzeciwko niego, dyrektor Wywiadu Narodowego Cory Mayfield na prawo, a doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego James Nobles na lewo od przywódcy państwa. W tym układzie Rodger miał drzwi za sobą, w związku z czym czuł się odsłonięty.

Sali tej używano zwykle, gdy prezydent chciał wyciągnąć kilku członków swojego personelu z pokoju dowodzenia, by coś z nimi omówić na osobności, podczas gdy reszta obecnych mogła ochłonąć w oczekiwaniu na powrót głowy państwa. Dalbert denerwował się, że został przyprowadzony bezpośrednio tutaj, gdy za drzwiami znajdował się pusty pokój dowodzenia. Czuł się, jakby został zamknięty w jednej z pobliskich bezpiecznych kabin telefonicznych z pleksiglasu.

- Profesorze Dalbert, miło pana widzieć – rzekł Jackson.
- Jak zawsze, to dla mnie zaszczyt, panie prezydencie.
- Zapewne ciekawi pana, dlaczego tu pana sprowadziłem.
- Takie pytanie przyszło mi do głowy.

Prezydent oparł się w fotelu i splótł palce za głową.

- Rozumie pan, że temat naszej rozmowy jest objęty najwyższą klauzulą tajności?

Rodger skinął głową.

- I nie wolno panu rozmawiać o tym z nikim oprócz mnie. Czy to jasne?

Profesor znów poczuł nieprzyjemne napięcie mięśni między łopatkami. Prezydent istotnie miał zwyczaj się powtarzać.

- Tak jest, sir.

Na twarzy Jacksona pojawił się ten sam szeroki uśmiech, który

ułatwił mu wzlot w polityczną stratosferę. Przywódca państwa pochylił się do przodu i oparł przedramiona na blacie.

- To dobrze. Zatem przejdźmy od razu do sedna sprawy. Zna pan Jima Noblesa i Cory'ego Mayfielda. Przyszli do mnie z propozycją, która może mieć wpływ na prace konstrukcyjne odbywające się w grocie detektora ATLAS. Przed podjęciem ostatecznej decyzji chciałem zasięgnąć pańskiej opinii jako przewodniczącego mojej rady ekspertów do spraw nauki i techniki oraz pierwszego Amerykanina, który dowiedział się o Listopadowej Anomalii.

Rodger zerknął na Mayfielda, ale szare oczy specja od wywiadu nie zdradzały ani śladu emocji. Natomiast w spojrzeniu Noblesa widać było napięcie podobne do tego, jakie czuł profesor.

- Słucham.

- Mów, Cory.

- Zaleciłem prezydentowi, aby skorzystać z naszych powiązań z genewską firmą budowlaną Dietrich i Hoechner i w części prefabrykowanych elementów wspornikowych przeznaczonych do instalacji w grocie ATLAS umieścić taktyczną broń nuklearną.

Rodger osłupiał, gdy próbował przeanalizować usłyszane właśnie słowa. Gdy odzyskał głos, świadomie zwolnił napięcie w zaciśniętych pięściach.

- Panie prezydencie, to najgłupszy pomysł, jaki słyszałem w życiu.

Wskazawszy gestem pozostałej dwójce, by zachowali milczenie, prezydent spojrzął naukowcowi prosto w oczy.

- No dobrze. Proszę przedstawić swoje stanowisko.

Dalbert próbował zaprzęgnąć myśli do zajęcia się problemem. Niepokoiło go, że prezydent Stanów Zjednoczonych w ogóle rozważał tę propozycję, a wręcz na tyle w nią uwierzył, by poprosić Rodgera o opinię. Naukowiec odetchnął głęboko.

- Panie prezydencie, zakładam, że te ładunki zostałyby umieszczone w ramach jakiegoś zapasowego planu, zgodnie z którym odpalono by je, aby zniszczyć powstającą czarną dziurę?

- Zgadza się.

- Jest to zupełnie błędne założenie. Jak już wyjaśniałem panu

oraz całemu zespołowi, anomalia znajduje się w punkcie przegięcia i stopniowo przechodzi w stan, w którym najprawdopodobniej przemieni się w czarną dziurę. Staramy się spowolnić ten proces, otaczając ją warunkami tak bliskimi zera absolutnego w próżni, jakie tylko da się uzyskać na Ziemi, aby powstrzymać ją przed dalszym pochłanianiem materii oraz energii. W ten sposób zyskujemy czas potrzebny do skonstruowania urządzenia profesora Stephensona. Natomiast energia wyzwolona w wyniku eksplozji znacznie przyspieszyłaby cykl rozwojowy czarnej dziury. Jeśli doprowadzicie do wybuchu nuklearnego, zniszczenie Ziemi nastąpi z równą pewnością jak w sytuacji, w której nasze Słońce przerodziłoby się w supernową.

– I jest pan o tym przekonany.

– Równie mocno jak o tym, że tu siedzę.

– Cory?

– Rozumiem analizę naukową profesora Dalberta. Jednak, panie prezydencie, nie możemy zapominać, że coś może pójść nie tak z urządzeniem profesora Stephensona. Pamiętajmy też, że niekoniecznie możemy mu całkowicie ufać. Bez wątplenia jest geniuszem, ale nasze źródła mówią, że sypie jak z rękawa teoriami, których nigdy nie ujawnił ani nikomu w Los Alamos, ani reszcie zespołu rządowego. Jeśli coś się mocno popsuje, nie możemy sobie pozwolić na brak planu awaryjnego.

– Planu awaryjnego? – wypalił Rodger. – Nie słuchał pan, co przed chwilą mówiłem? Jeśli odpalicie atomówkę, otrzymacie błyskawiczną czarną dziurę. Nie trzeba nawet dodawać wody i mieszać.

– A jeśli nic nie zrobimy, i tak dostaniemy czarną dziurę. Czy to prawda, profesorze Dalbert?

Naukowiec poczuł, jak na skroniach wykwitają mu krople potu.

– Najprawdopodobniej, choć nie tak szybko. Możemy mieć czas na jeszcze jedną próbę.

Cory Mayfield roześmiał się ostrym, chrapliwym rechotem, którego ciężko było słuchać Rodgerowi.

– Jeszcze jedną próbę? Nie będzie żadnej kolejnej próby. Świat wkłada wszystkie swoje naukowe i inżynierskie rezerwy w plan

profesora Stephensona. Owszem, mimo to uruchomilibyśmy awaryjny projekt, gdyby ktoś zaprezentował pomysł dający szansę powodzenia, ale smutna prawda brzmi tak, że nikt go nie zaproponował. Już przeszliśmy przez koncepcję wystrzelenia tego czegoś w kosmos. Wszystkie najmądrzejsze głowy twierdzą, że nie da się tego zrobić z wielu powodów, z których najważniejszy to kwestia utrzymania izolacji anomalii w polu powstrzymującym podczas startu. Poza tym to podejście jest niezgodne z naszą największą szansą, czyli skonstruowaniem urządzenia Stephensona wokół anomalii. Jeśli więc jakiejś grupie religijnej nie uda się wymodlić zniknięcia rodzącej się czarnej dziury, zostaje nam wyłącznie pomysł profesora.

Dalbert otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz zaraz je zamknął.

– Zatem – ciągnął Mayfield – jeśli wszystko inne zawiedzie, a anomalia i tak będzie gotowa nas pożreć, nie zaszkodzi zaryzykować.

Jackson obrócił się do swego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego.

– James?

– Nie widzę żadnej lepszej alternatywy.

– Panie prezydencie! Proszę dać mi miesiąc. Zbiorę kolejny zespół, przyjrzymy się jeszcze raz sprawie i sprawdzimy, czy uda nam się wymyślić inne rozwiązanie awaryjne.

Przywódca państwa uśmiechnął się smutno.

– Nie mogę dać panu miesiąca. Jeśli chcemy umieścić atomówki w elementach konstrukcyjnych, muszę podjąć decyzję od razu. Przykro mi, ale daję zielone światło propozycji dyrektora Mayfielda.

Obróciwszy się do swego uśmiechniętego doradcy, Jackson skinął głową.

– No dobrze, Cory. Zrób to.

ROZDZIAŁ

75

Stukot oddalających się kroków odbijał się echem w długim, pustym korytarzu, wzbudzając wibracje stalowych prętów celi. Mark siedział nago i po turecku na zimnym betonie, pogrążony głęboko w transie medytacyjnym, który dawał mu wytchnienie od tego samotnego miejsca.

Co zaskakujące, jego sytuacja uległa poprawie. Po zabiciu doktora Krausego i dwóch strażników nastolatek czekał w schowku dozorca na ponowne schwytanie. Intuicja podpowiadała mu, że to Heather powinna zainicjować ich ucieczkę, ponieważ będzie wiedziała, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila. Poprzestał więc na przekazaniu instrukcji do komputerowego robaka Jennifer, zniszczył telefon i czekał.

Przeniesiono go do innej celi, wciąż w więzieniu o zaostrzonych środkach kontroli, lecz bez łańcuchów i płyty do waterboardingu. Jeśli nie liczyć tac z jedzeniem wsuwanych przez otwór w drzwiach, jego nadzorcy wydawali się o nim zapomnieć, pozwalali mu samotnie walczyć ze swoimi demonami w izolatce. Przestrzeń o wymiarach trzy metry na cztery chłopak dzielił z umywalką, sedesem, prysznicem i odpływem. W kranach była woda o tej samej temperaturze. Zawsze zimna.

Nie licząc pomarańczowej więziennej piżamy i jednej pary slipek, Mark nie miał nic. W dni, kiedy prał ubrania pod kranem, czekał nago, aż wyschną. Przy panującej w celi stałej temperaturze siedemnastu stopni trwało to dość długo, nawet jeśli wszystko mocno wyżał. Właśnie dziś nadszedł dzień prania.

Choć próbował zajmować sobie czas ćwiczeniami i medytacją, przytłaczające odosobnienie działało na niego w sposób, jakiego nie dało się osiągnąć za pomocą tortur. Próbował nie myśleć o Heather, ale wciąż zakradała się ona do jego umysłu.

Towarzyszyła temu tęsknota, nieodparcie wciągająca nastolatka w czarną otchłań rozpaczy.

Zresztą nie tylko Heather wprowadzała zamęt w głowie nastolatka. Coraz częściej dręczyły go twarze ludzi, których zabił. Nie Espeñosy i jego oprychów, nawet nie doktora Krausego, lecz dwóch strażników, którzy pozbawili go spokoju. Czy mieli żony? Dzieci? Mark sądził, że znał odpowiedź, a przecież w jednej gwałtownej chwili zniszczył te rodziny, podobnie jak amerykański rząd zniszczył jego bliskich. Nie będzie już urodzin ani świąt z tatusiem. Nie będzie rodzinnych grilli na podwórku. Dziękujemy ci, Marku Smythe. Wspaniały z siebie bohater.

Nastolatek nagle uświadomił sobie, że zupełnie wypadł z transu. Pozwolił, by zdziczałe myśli wciągnęły go na mieliznę tego przygnębiającego wybrzeża. Potrząsnął głową, próbując ją oczyścić.

Gdzieś w tym piekle przetrzymywano też Jennifer i Heather. Mark nie żywił większych nadziei, że traktowano je lepiej niż jego.

Obraz Heather śpiącej obok niego w tamtym motelu w Las Vegas uformował się w jego umyśle tak wyraźnie, że chłopak niemal mógł wyciągnąć ręce, by przytulić ją mocno i zapewnić jej bezpieczeństwo. Wciągał przyjemną woń jej świeżo umytego ciała, unoszącą się do jego nozdrzy. Nawet zwykłe motelowe mydło namaszczone przez jej skórę przewyższało najlepsze perfumy.

I znów Mark musiał oczyścić myśli. Wpatrywał się w kamerę w prawym górnym rogu celi, pozwalając, by jego frustracja i gniew osiągnęły punkt wrzenia. Wstał. Napiął mięśnie nóg i z dwutaktu zerwał urządzenie z mocowania. Wylądowało na podłodze w deszczu elektrycznych iskier, a spięcie pograżyło cały korytarz w ciemności. Nastolatek stał przez kilka sekund, nasłuchując alarmu, który jednak nie rozbrzmiał, po czym wyrzuciwszy kamerę przez kraty, wrócił do dawnej pozycji medytacyjnej.

Generał Wilson odebrał telefon w swoim biurze po drugim

dzwonku.

- Tak?

- Smythe właśnie zerwał kamerę w celi. Wywalił bezpiecznik w tym obwodzie. Mam tam wysłać ekipę, żeby to naprawili?

- Nie. Przekierujcie prąd, ale zostawcie ten korytarz bez światła.

- Czyli chce pan, żebyśmy zignorowali kamerę?

- Właśnie o to mi chodzi.

- Tak jest, sir.

Gdy „Piłka” Wilson odkładał słuchawkę, na jego twarz powoli wpełzał uśmiech. Jeśli się nie pomylił, znaleźli właśnie pierwsze pęknięcie w pancerzu Marka Smythe’a.

ROZDZIAŁ

76

Ostatnich kilka dni było najbardziej wyczerpującymi w życiu Heather. Stanowiły dziwną mieszankę sesji psychiatrycznych, podczas których doktor Jacobs starał się wyzyskiwać do własnych celów jej rzekomą psychozę, oraz seansów łączności psychicznej z Jennifer. Dziewczyna przesuwiała się ostrożnie przez mentalne pole minowe, niczym żołnierz przeczołgujący się pod drutem kolczastym i jednocześnie sondujący bagnetem teren przed sobą. Męczyło ją to, lecz nie mogła zatrzymać się, by odpocząć.

Choć nie była już przypięta do szpitalnego łóżka, wcale nie czuła się dużo lepiej. Czasami próbowała odzyskać siły, zwijała się w kącie pomieszczenia i udawała, że przesypia noc.

Kontakty z Jennifer odbywały się nieregularnie. W zależności od dawek heroiny włączanych do żył przyjaciółki zdarzało się, że Heather w ogóle nie mogła nawiązać z nią łączności, a czasami przedzieranie się przez umysł Jen kojarzyło się z chodzeniem we mgle o gęstości zupy. Myśli młodej Smythe były niczym osłonięte lampy, ledwo widoczne w zalegających oparach. Bardzo martwiło to Heather. Obraz przyjaciółki fizycznie uzależnionej od niebezpiecznego narkotyku dręczył jej znużony mózg.

Przez ostatnie dwie godziny Heather leżała na podłodze celi, dopasowując częstość akcji serca i tempo oddechu do wartości spodziewanych po niej we śnie. Łączność była niemożliwa. Zastanawiała się nad skontaktowaniem z Markiem, ale dotąd każda próba kończyła się całkowitym niepowodzeniem. Wzniósł tak silne blokady mentalne, że ledwo mogła go wyczuć, i nie było mowy o przeniknięciu przez zapory. Wyczuwała, że jest blisko, ale tortury, którym go poddawano, zmusiły go do postawienia takich barier. Teraz dziewczyna czuła się tak zmęczona, że nie

mogła się zmusić do kolejnego podejścia.

Rozprostowała się, ziewnęła i przeciągnęła, a częstość akcji jej serca powoli wzrosła do rytmu typowego dla przebudzonej osoby. W celi było ciemno, ale dziewczyna nie musiała widzieć zegara, by wiedzieć, że jest trzy minuty po czwartej rano, podobnie jak wiedziała, że doba trwała już od czternastu tysięcy pięciuset osiemdziesięciu sekund.

Choć bardzo chciała pogрузić się w regeneracyjnej medytacji, musiała poćwiczyć, zanim zjawią się lekarze i opiekunowie, którzy z całą pewnością zajmą ogromną ilość czasu. Tak długo leżała związana, że jej mięśnie musiały pracować. Heather miała wrażenie, że gdy nadejdzie odpowiednia chwila, będzie potrzebowała każdej odrobiny siły i koordynacji, jakie zdoła z siebie wykrzesać. A wizje pełne Jacka Gregory'ego mówiły jej, że ta chwila zbliża się bardzo szybko.

Zsunęła z siebie szpitalną koszulę, rzuciła ją w kąt, rozprostowała nagie ciało i wypełniła płuca powietrzem. Następnie, wypuszczając powoli oddech, rozpoczęła pierwsze tego poranka ćwiczenie jogi.

Pozycja wojownika I.

Na Constitution Avenue pełno samochodów, w parku Washington Mall pełno ludzi, od wczesnego poranka gorąco i parno, a jakiś cholerny piosenkarz country łąził po scenie ustawionej przed Kapitołem, jazgocząc o tym, w jaki sposób wsioki zdołają przetrwać. Freddy pokręcił głową. Nie cierpiał tych obchodów czwartego lipca. Zupełnie jakby władze chciały zrobić specjalny wyjątek w reżimie stanu wojennego i zorganizować w tych trudnych czasach ceremonię, podczas której będą mogły sobie same pogratulować. Widział już wystarczająco wiele występów na tle czerwono-biało-niebieskich fajerwerków, by wystarczyło mu na dwa żywoty. Poza tym w miejscu styku kikuta z protezą do chodzenia zrobił mu się pęcherz.

Jednak wiadomość od Wysokiego Niedźwiedzia mówiła, żeby się tu zjawił, zatem oto był.

Gdyby przemyślał sprawę, przyniósłby koc, rozłożył go na trawie i obok postawił turystyczną lodówkę pełną piwa. Rozejrzał się po ochroniarzach chodzących wśród tłumu i uznał, że jednak nie zdołałby z nią wejść.

Coś uderzyło mocno Freddy'ego w zdrową nogę, niemal go przewracając. Gdy się obejrzał, zdążył jeszcze zobaczyć dwa grube blondwłose dzieciaki lawirujące między grupkami siedzących ludzi, ku wyraźnej irytacji niektórych z nich.

Może te małe prosiaki zemdleją w waszyngtońskim upale.

Dziennikarz zerknął na zegarek. Osiemnasta piętnaście. Indianin wspominał o osiemnastej, więc gdzie był, do cholery? Freddy przesunął się kawałek na południe, rozglądając się po schodach Kapitolu. Ani śladu wysokiego gliniarza. Z takim wzrostem i długimi kruczoczarnymi włosami powinno go być

łatwo zauważyć, nawet w takiej zgrai.

Hagerman zatoczył powoli koło. Gdy spoglądał na zachód, ku białej iglicy pomnika Washingtona, musiał osłaniać oczy przed zachodzącym słońcem. Stado ptaków wzbiło się z drzew wiśniowych w pobliżu budynku Jefferson Memorial i pomknęło skotłowaną masą nad zielonym przestworem parku, na chwilę przysłaniając jasnopomarańczową słoneczną kulę, po czym opadło między drzewa gdzieś przy Constitution Avenue. Freddy ucieszył się, że tam nie zaparkował.

Choć wydawało się to niezbyt możliwe, tłum coraz bardziej gęstniał, a ludzie szukali miejsc, z których chcieli oglądać wieczorny pokaz fajerwerków. Patrząc na to, reporter nieomal mógł uwierzyć, że w kraju działo się dobrze. Jednak dystrykt stołeczny był silnie chronioną zieloną strefą, przynajmniej ta jego część, w której obecnie się znajdowali. Siły lądowe, marines i Gwardia Narodowa wykonywały świetną robotę, poszerzając obszary znajdujące się pod kontrolą, ale wielkie fragmenty kraju wciąż pozostawały w stanie zahaczającym o anarchię. Na Luizjanie postawiono już krzyżyk jako na obszarze niewartym wysiłku policji, wiele słabo zasiedlonych terenów wiejskich zaś zinterpretowało stan wojenny jako rządy milicyjne i utrzymywano tam porządek kosztem praw obywatelskich. Biedne dzielnice miejskie przypominały strefy wojny. Policjanci obawiali się tam wchodzić, a armia uznawała je za nieistotne.

Zespół country zakończył swój występ, podziękował zgromadzonym i opuścił scenę, zastąpiony przez kongresmena ze wspianego stanu Maryland. Freddy wyciszył go w myślach i wznowił poszukiwania. Czując frustrację, zaczął przeciskać się przez tłum w kierunku budynku Kapitolu. Może jeśli stanie na schodach, Wysoki Niedźwiedź go znajdzie. Po trzydziestu minutach sterczenia tam uznał, że się mylił.

– Walić to – mruknął pod nosem, obracając się w stronę dworca Union Station i swojego samochodu.

Myśl o aucie sprawiła, że Freddy sięgnął dłonią do spodni i nagle zamarł. Kluczyki zniknęły. Sprawdził też kieszeń na biodrze i odetchnął lekko z ulgą. Przynajmniej miał portfel. Ale

jak, do cholery, zgubił kluczyki?

Obmacał się instynktownie i z zaskoczeniem wyczuł je w przedniej lewej kieszeni spodni. Co jest, do cholery? Nigdy tam nie wkładał kluczyków. Wsunął po nie palce i wyczuł w środku coś jeszcze. Kawałek papieru.

Wyjął oba przedmioty. Patrzył na starannie złożony kawałek grubego papieru welinowego. Skojarzył mu się z czymś, co widział już wcześniej, choć nie potrafił sobie teraz przypomnieć.

Rozejrzawszy się, Freddy nie dostrzegł nic nietypowego. Ktoś z tłumu zabawił się jednak w kieszonkowca, a później zwrócił kluczyki wraz z wiadomością i zrobił to w taki sposób, by na pewno zwrócić jego uwagę. Dziennikarz rozwinął złożony na cztery kartonik. Gdy ujrzał charakter pisma, ogarnęło go tak silne poczucie *déjà vu*, że aż zaparło mu dech.

„To druga wiadomość, jaką Panu wysyłam, choć pierwsza pod własnym nazwiskiem. Proszę przypomnieć sobie pewne pudełko po butach i naszyjnik, które towarzyszyły pierwszemu listowi. Nie mam złych intencji, gdybym tylko chciał, już by Pan nie żył. Dysponuje Pan informacjami, których potrzebuję, i uważam, że ja z kolei mogę wypełnić niektóre luki w sprawie, nad którą Pan obecnie pracuje. Proszę przyjść o 19.15 na południowo-wschodni narożnik Louisiana Avenue i New Jersey Avenue. Znajdę Pana. J.G.”

Zimny dreszcz zaczął się u podstawy karku Freddy'ego. Promieniował w górę na skórę głowy i w dół do ramion, niczym pocałunek śmierci. Jack Gregory. Gdzieś w tym naszpikowanym siłami bezpieczeństwa tłumie Kosiarz dotknął go dwukrotnie, a on nawet tego nie zauważył, choć przecież uważnie rozglądał się po otoczeniu.

Reporter złożył kartkę i schował ją z powrotem do kieszeni wraz z kluczykami, po czym, raz jeszcze rozglądając się dookoła, przeszedł przez Constitution Avenue na wysokości First Street. Przeczną dalej skręcił lekko w lewo, minął pomnik prezydenta Tafta i dotarł na południowo-wschodni narożnik Louisiana Avenue oraz New Jersey Avenue. Zegarek pokazywał dziesiętnastą osiem.

Obok niego zatrzymał się z piskiem opon czarny motocykl Honda Shadow. Kierowca o twarzy ukrytej za lustrzaną szybą kasku obrócił się w jego stronę.

- Jest pan wcześniej – oznajmił Freddy, kiwając mu głową.
- Proszę wsiadać.

Dziennikarz nie wahał się, a przynajmniej nie dłużej, niż zajęło mu przełożenie zdrowej nogi nad siedzeniem za Gregorym. Motocykl włączył się do ruchu i skręcił w lewo w New Jersey, po czym ruszył szybko na północny zachód, zostawiając za sobą plac otaczający dworzec.

Dwie godziny później Freddy znalazł się w Linthicum w stanie Maryland. Siedział na kanapie w pokoju Jacka Gregory'ego w hotelu Homewood Studios w pobliżu lotniska Baltimore/Washington.

- Kawy? – spytał Gregory, wyciągając dzbanek spod ekspresu przelewowego.

- Czarną proszę.

Postawiwszy przed dziennikarzem dymiący kubek, Gregory nalał również sobie i usiadł w fotelu naprzeciwko kanapy. Freddy nie wiedział, czego spodziewać się po zabójcy, ale na pewno nie takiego luzu. W tym momencie facet zupełnie nie przypominał tego z widzianych przez Hagermana zdjęć, a przecież było ich pełno w telewizji i gazetach. Dzięki ogorzalej cerze i średniej długości czarnym włosom wyglądał jak Indianin, do takiego wizerunku pasowały też dżinsy, buty i koszula.

Jack poruszał się w zrelaksowany, swobodny sposób, kojarzący się Freddy'emu z przechadzającym się lwem. Dziennikarz miał tylko nadzieję, że z biegiem wieczoru on sam nie stanie się zwierzyną. Na razie mu się udawało.

- Proszę opowiedzieć mi o pańskim spotkaniu z doktor Sigmund w wieczór, kiedy się zabiła.

Reporter wciągnął gwałtownie powietrze, a serce zaczęło mu bić wyraźnie szybciej. Skąd Gregory o tym wiedział? Na pewno nie przez dawne kontakty z NSA, które umarły wraz z Jonathanem Rilesem. W głowie Freddy'ego zapłonęło światełko. Wysoki Niedźwiedź.

– Co pan chce wiedzieć?

– Dlaczego zaaranżował pan spotkanie, co powiedziała Sigmund, pańskie wnioski i wrażenia na temat jej opowieści, dlaczego się zabiła. Wszystko.

– Z jakiego powodu miałbym to panu mówić, skoro nie mówiłem NSA? W wiadomości wspomniał pan, że coś za coś.

Jack sięgnął do koszyka z owocami stojącego na stoliku, wyjął lśniące czerwone jabłko i zaczął je powoli obierać. Freddy nie zauważył, kiedy w dłoni byłego agenta pojawił się nóż, lecz oto był, a cienka rumiana skórka odchodziła od czarnego ostrza nieprzerwanym wąskim paskiem.

– Czytałem pańskie artykuły śledcze. Imponująca robota. Jeśli zaprezentuje mi pan podobny stopień przywiązania do szczegółów, odwzajemnię się tym samym.

– A jeśli nie?

– Wówczas trafi pan na pierwszą stronę nieco szybciej, niż pan planował.

Freddy przypomniał sobie, co kiedyś powiedział mu ojciec: „Synu, nie zadawaj pytania, jeśli nie chcesz usłyszeć odpowiedzi”. Wzruszył ramionami.

– Uczciwy układ – rzekł.

O wpół do trzeciej rano Jack Gregory wychylił się nad stolikiem, podał Freddy’emu kartę wstępu do pokoju, wstał i wyszedł przez drzwi. Minutę później dziennikarz usłyszał ryk motocykla odjeżdżającego z hotelowego parkingu.

Choć Hagerman był zmęczony, nie miał ochoty spać. Zamiast tego wpatrywał się w cyfrowy dyktafon, z którego wcześniej odtwarzał Gregory’emu rozmowę z lekarką, a na który później Kosiarz pozwolił mu nagrać swoją opowieść.

– Jack, stary. To dopiero historia.

ROZDZIAŁ

78

Janice Collins skończyła drukować przepustkę dla pojazdu, podała ją rządowemu podwykonawcy czekającemu po drugiej stronie białego kontuaru i wdusiła przycisk zwiększający o jeden numer aktualnie obsługiwanego klienta.

- Dwieście siedem! - zawołała. Z jednego z krzeseł o niebieskiej tapicerce, które stały w poczekalni, podniósł się mężczyzna w średnim wieku i pokuśtykał w stronę jej stanowiska, trzymając w palcach różowy świstek z numerem.

- W czym mogę panu pomóc?

- Potrzebuję jednodniowej przepustki dla samochodu.

- Jednodniową mógł pan dostać w punkcie ochrony na Reece Road. Nie musiał pan przyjeżdżać do centrum kontroli odwiedzających.

- Cholera. Czyli zmarnowałem dwadzieścia minut w kolejce?

Janice uśmiechnęła się.

- Na to wygląda. Ale skoro pan już jest, to mogę wydać przepustkę. Potrzebne mi będzie pańskie prawo jazdy, dowód tożsamości, dowód rejestracyjny i dowód ubezpieczenia.

- To wypożyczony samochód.

- W takim razie poproszę umowę wypożyczenia.

Mężczyzna wyłożył dokumenty na kontuarze wraz z legitymacją emerytowanego wojskowego. Janice przejrzała wszystko, wpisała kilka rzeczy w komputerze i porównała twarz na legitymacji ze stojącym przed nią człowiekiem. Metr osiemdziesiąt wzrostu, włosy lekko siwiejące na skroniach, chyba nabrał kilka kilogramów od wykonania fotografii. Jednak brązowe włosy nie zmieniły się, podobnie jak rozbrajający uśmiech. Coś w tych oczach ją zaniepokoiło, ale może po prostu była nerwowa z powodu wysokiej wilgotności.

- Powód pańskiej wizyty?
- Odwiedziny u dawnego znajomego, który tu stacjonuje.
- W porządku, majorze Hanson – powiedziała, podając mu wydrukowaną przepustkę. – Proszę przykleić to pod przednią szybą. Może pan jechać.
- Dziękuję.

Hanson podniósł przepustkę, uśmiechnął się i pokuśtykał do drzwi.

Janice wcisnęła przycisk, by wyświetlić kolejny numer. Zerknęła na tablicę i zauważyła, że Sheila, kobieta pracująca na stanowisku obok, obsłużyła już dwie osoby, podczas gdy ona pomagała emerytowanemu majorowi.

- Numer dwieście dziesięć. Zapraszam – wywołała kolejnego petenta.

Lekko kuśtykając, Jack Gregory przeszedł przez mały parking przy centrum kontroli odwiedzających, wcisnął przycisk na pilocie do czerwonego camry, otworzył drzwi i wsunął się za kierownicę. Zegar wskazywał dziesiątą dwadzieścia pięć, a już zrobiło się na tyle gorąco, że były agent czuł dyskomfort pod przebraniem.

Uruchomił silnik i wyjechał z powrotem na Reece Road, dołączając do kolejki aut czekających przed bramą bezpieczeństwa. Ubrani na czarno ochroniarze byli zatrudniani przez firmę zewnętrzną, co często praktykowano w amerykańskich bazach wojskowych, by uwolnić żołnierzy od zadań niebojowych. Gdy Gregory pokazał swoją legitymację emeryta, wartownik wziął ją, spojrzął przez szybę na przepustkę, po czym wskazał gestem, by Jack podjechał na stanowisko kontroli pojazdów.

– Proszę otworzyć bagażnik i maskę, otworzyć schowek na rękawiczki, wyjść na zewnątrz i otworzyć wszystkie drzwi.

Jack wykonał polecenia i odszedł o krok, by pozwolić inspektorom przeprowadzić kontrolę. Jeden ze strażników wsunął lusterko na długiej rączce pod podwozie, drugi zaś obszedł auto, zajrzał do komory silnika, do wnętrza przez wszystkie drzwi oraz do bagażnika.

– W porządku. Może pan jechać.

Gregory skinął głową, po czym pozamykał wszystko, wsiał za kółko i zaczął leniwie wjeżdżać do właściwego Fort Meade. Skręcił w lewo w Rose Street, minął pocztę i sklep spożywczy, po czym skręcił znów w lewo na parking pod Burger Kingiem. W sumie mógł coś zjeść, zanim w porze lunchu zrobi się tu tłoczno. Uznał, że później zajrzy na pocztę i do sklepu, wpadnie do

Narodowego Muzeum Kryptologii, może nawet odwiedzi miejscową bibliotekę. Mógł sobie pozwolić na leniwe spędzenie dnia.

W końcu miał do zagospodarowania dziesięć godzin. Przedmioty ukryte w wydrążonych poduszkach tylnego siedzenia musiały zaczekać do zmroku.

Gdy zegar pokazał dwudziestą trzecią zero zero, Jack wjechał tyłem na wolne miejsce przy hotelu Sleep Inn i przejechał kartą przez czytnik przy bocznych drzwiach. Gdy tylko wszedł do wyłożonego chodnikami korytarza prowadzącego do jego pokoju, poczuł chłodny oddech klimatyzacji walczącej z panującą na zewnątrz duchotą. Lekka woń pleśni mu nie przeszkadzała, skoro hotel był czysty i zadbany. Poza tym w Maryland latem cholernie trudno było się pozbyć wszystkich śladów pleśni.

Wynajął na tydzień apartament na parterze, znośnie wyposażony, jak na hotel średniej klasy. Miał do dyspozycji lodówkę, kuchenkę mikrofalową, ekspres do kawy i kanapę. Stolik do kawy nie powalał szykiem, ale i tak lepiej się nadawał do jedzenia niż biurko. Woda leciała z prysznicza pod porządnym ciśnieniem, a łóżko okazało się wygodne. Ogólnie rzecz biorąc, całkiem niezła kwatera na czas wykonywania zadania.

Jack zdjął koszulę, odpiął pogrubiający sztuczny brzuch, rzucił go wraz z kaburą na szelkach na łóżko i wszedł do łazienki. Gdy opuścił ją dwadzieścia minut później, był opalonym nagim blondynem. Gdyby nie szalona płatanina blizn pokrywających jego korpus, mógłby uchodzić za członka australijskiej kadry olimpijskiej w siatkówce plażowej.

Podszedł do komody, włożył bokserki w paski oraz koszulkę drużyny futbolowej Baltimore Ravens, wyciągnął z lodówki dietetyczną colę i usiadł przed laptopem czekającym na biurku, zwykłym czarnym modelem toshiby kupionym w zeszłym tygodniu za czterysta dwadzieścia siedem dolarów. Wystarczającym, by posłużył jego celom, lecz niewartym kradzieży.

Nacisnął wkłęsty przycisk zasilania, oparł się na krześle, otworzył puszkę i uniósł jej niezbyt zimną krawędź do ust. Więcej chyba nie mógł oczekiwać po hotelowej lodóweczce.

Pięć kilometrów od niego Heather, Mark i Jennifer tkwili w oddzielnych izolatkach w ściśle tajnym więzieniu NSA o zaostrzonych środkach kontroli, nazywanym Lodowym Domem i umieszczonym głęboko pod podziemnym parkingiem przylegającym do pokrytej czarnym szkłem siedziby agencji. Wrażliwcy skarżyli się na warunki, w których trzymano więźniów w Guantanamo, a nie mieli pojęcia, że najgorszych terrorystów zamykano w sekretnym więziennym laboratorium w Fort Meade, w placówce skonstruowanej dzięki funduszom z budżetu na nielegalne operacje, gdzie najstarsze metody przymusu stosowano na zmianę z najnowszymi technikami wydobywania informacji.

Jack znał to miejsce jak własną kieszeń, brał udział w wielu takich usankcjonowanych przesłuchaniach. Jak na ironię, NSA sądziła teraz, że grupka przetrzymywanych młodych ludzi pomoże im znaleźć Kosiarza. Nie mieli natomiast pojęcia, że w ich rękach znajduje się prawdziwa zdobycz, trójka najbardziej niebezpiecznych ludzi na całej planecie. Nawet jeśli brać pod uwagę możliwości profesora Donalda Stephensona.

Było jedynie kwestią czasu, kiedy ci świetnie wyszkoleni i wzmocnieni młodzi agenci rozwałą to miejsce od środka, nie zważając na najdoskonalsze na świecie systemy bezpieczeństwa. Jack nie martwił się tym. Wiedział, że jeśli do tego dojdzie, to będzie to dla nich równie łatwe jak zabranie dziecku lizaka. Natomiast Gregory znalazł się tutaj, by dopilnować, żeby nikt nie uświadomił sobie, jak groźni są ci nastolatkowie.

Gdy laptop skończył uruchamiać system, Jack zalogował się, po czym do jednego z gniazd USB wpiął klucz podprzestrzenny. Trzymając klawisze Ctrl+Alt+Y, uruchomił aplikację dającą mu dostęp do podsłuchu, który dwie godziny wcześniej podłożył żandarmerii wojskowej z Fort Meade. Choć przez następne dni miał być przywiązany do tego pokoju hotelowego, dysponował wszelkimi zapasami, jakich potrzebował do wirtualnej operacji

obserwacyjnej.

Wiedział jedno. Gdy szambo się wyleje, cały ten plastik C4, który umieścił w strategicznych miejscach w Fort Meade, wykona świetną robotę w kwestii przekonywania rządu, że Al-Ka'ida znów prowadzi działania terrorystyczne na terenie USA. Dzięki temu i być może odrobinie szczęścia nie dostrzegą tego, co oczywiste.

Jack podniósł słuchawkę telefonu, zerknął na numer zapisany na niebiesko w hotelowym notatniku i go wybrał. Gdy po drugiej stronie usłyszał spodziewaną odpowiedź, zaczął mówić:

– Tutaj Karl Kroener z pokoju sto dwadzieścia siedem w hotelu Sleep Inn w Laurel. Chciałbym zamówić dużą pizzę Brooklyn z pepperoni i pieczarkami. Tak, z dostawą. Gotówką. Nie. To wszystko. Dziękuję.

Mark czekał trzynaście godzin na jakąś reakcję po zniszczeniu kamery, jednak miał wrażenie, jakby nikt tego nawet nie zauważył. O osiemnastej dostrzegł poruszający się promień latarki zapowiadający strażnika idącego ciemnym korytarzem. Krąg światła zatańczył, gdy mężczyzna stawiał tacę z jedzeniem pod drzwiami, po czym ruszył dalej, nawet przez chwilę nie padając na chłopaka. Promień i kroki oddalały się. Gdzieś otworzyły się i zatrzasnęły ciężkie drzwi, po czym znów zapadła pełna, absolutna ciemność.

Chłopak podszedł do tacy i podniósł ją, by powąchać zawartość. Zapach nie był odrzucający, ale też nie jakoś specjalnie przyjemny. Tak pachniał jego standardowy posiłek. Mark wiedział, że znajdowała się przed nim mięsno-warzywna paćka, zawierająca odpowiednią ilość składników odżywczych, by zachować go przy życiu, lecz pozbawiająca go podstawowej przyjemności jedzenia. Był to kolejny aspekt strategii deprywacji sensorycznej towarzyszącej odosobnieniu.

Był jednak głodny, więc zaczął jeść.

Wpychał palcami papkę do ust, aż zniknęło wszystko, po czym wylizał tacę, a następnie wypuścił ją z rąk. Brzęk promieniował z punktu uderzenia, wyraźne fale dźwiękowe odbijały się od ścian, krat, umywalki, sedesu i korytarza, a wzmocniony umysł nastolatka przetwarzał odbite echo na trójwymiarowy, kolorowy obraz. Był piękny, znacznie lepszy niż spartańska cela postrzegana własnymi oczyma.

Mark widywał wykonane w podczerwieni satelitarne zdjęcia Ziemi, gdzie czerwień i żółć oznaczały ciepłe prądy przepływające przez zimne oceaniczne wody, zabarwione na niebiesko i fioletowo. Tu było jednak inaczej. Uzyskiwał bogate

obrazowanie 3D w czasie rzeczywistym, odbite dźwięki pozwalały mu zaglądać za narożniki, a do pewnego stopnia nawet za ściany. Nie potrzebował tacy, by uzyskać ten efekt, ale wywołany przez nią hałas dał znacznie wyższą jakość.

Chłopak uśmiechnął się. Trzymali go w ciemności, ale nie mogli powstrzymać go przed widzeniem, jeśli zechciał.

Podniósł tacę i wsunął ją w otwór w drzwiach, po czym sięgnął po ubranie rozwieszane na umywalce. Pod dotykiem wciąż wydawało się wilgotne, jednak wyschło na tyle, by ciepłota ciała dokończyła zadanie, nałożył więc na siebie pomarańczowy strój i usiadł pod ścianą.

Po raz pierwszy od tygodni Mark miał ochotę pozwolić, by ogarnął go sen, by świadomość zsunęła się w tę rozległą pustkę, w której czas nie miał znaczenia, do świata snów stwarzanego przez podświadomość. Ale czy było w tym coś złego? Nie torturowano go już ani nie szpikowano narkotykami, by wydobywać informacje, nie musiał więc zachowywać czujności. Poza tym potrafił błyskawicznie przywrócić pełnię sił.

Stało się to tak szybko, że nastolatek ledwo się zorientował. Wszedł równie łatwo jak w stan medytacji, a świadomość zaczęła rozplýwać się wokół niego.

Nie sądził, by powinien coś czuć podczas snu, a jednak tak się stało. Znajome szturchnięcie, jakby dostał kuksańca w zębra.

Kiedy ostatnim razem doznał czegoś takiego? W poprzednim życiu. W garażu ojca w White Rock. Jennifer stała przy stole roboczym z Heather. Mark skończył właśnie kolejny ze swoich braterskich docinków, którymi zachodził siostrze za skórę, a Heather uderzyła go mocno łokciem w bark.

I znowu. Wprawdzie nie w bark, ale w jakiś sposób odczucie skojarzyło mu się z Heather.

Odwrócił się, by na nią spojrzeć, lecz mgła przysłoniła mu pole widzenia. Wydawało mu się, że dostrzega kontur dziewczyny, ale gdy próbował do niej sięgnąć, rozmyła się. Mark przestał próbować i pozwolił, by fala snu pociągnęła go za sobą.

Wokół niego zmaterializował się pokład dowodzenia okrętu Bandelier, a jego ciało spoczywało otulone jedną z miękkich

leżanek. Gładkie łuki ścian zamazały się i nastolatek mknął przez przestrzeń, jak za pierwszym razem po założeniu obręczy. Wszyscy troje je wtedy wypróbowali. Gdy mieli je na sobie, nawiązywali połączenie, w którym mogli się dzielić myślami oraz uczuciami. Jack zachęcał ich do dokładniejszego badania tego stanu. Poza tym wszyscy nauczyli się blokować niechciany kontakt.

Skoro jednak połączył się z okrętem, to gdzie były Heather i Jen? I pokładowa SI, która zaatakowała jego umysł? Mark podniósł wszystkie blokady, do których był zdolny, a następnie przeprowadził szybką diagnostykę umysłu. Najwyraźniej po wyzwoleniu gniewu na sztuczną inteligencję przywrócił swoje mentalne tarcze i zostawił je. Może to dlatego nie wyczuwał obecności dziewczyn.

Przypominając sobie, jak to jest dotykać pięknego umysłu Heather, chłopak opuścił osłony. Wizja tego, jak leciał przez bezmiar kosmosu, uzyskała nowy poziom klarowności: tak wiele gwiazd zawieszonych w czerni, maleńkich punkcików światła, pulsujących własną energią. Czuł, jak fale tej energii muskają łagodnie jego świadomość.

Nagle otaczająca go czasoprzestrzeń wykrzywiła się gwałtownie, gdy potężna wibracja zakłóciła czerń. Mark uświadomił sobie natychmiast, że... nie był już sam.

ROZDZIAŁ

81

Miała go! Zalała ją takie poczucie radości, że kruche mentalne połączenie niemal się zerwało, ale Heather nie zamierzała do tego dopuścić. Otworzyła się całkowicie i ich umysły złączyły się ze sobą. Choć z początku przerażała ją perspektywa, że Mark wdarłby się do jej najskrytszego sanktuarium, teraz z chęcią podzieliła się tym, co w niej było słuszne i niesłuszne. Nie odstraszyły jej też mroczne myśli i zażenowanie Marka. W końcu to głównie dzięki całej tej mieszance dobra ze złem, piękna z brzydotą ludzie byli sobą.

– Kocham cię – wyszeptał Mark w jej umyśle.

To zabawne. Wprawdzie dzielili swoje myśli, jednak mentalna rozmowa wciąż była dla nich najbardziej naturalna.

– I nawzajem. – Heather poczuła, jak Mark uśmiecha się na jej odpowiedź. – Zawsze cię kochałam. Po prostu nie wiedziałam, jak bardzo.

– Jak zdołałaś nawiązać połączenie bez obręczy?

– Jen mnie na to naprowadziła. Udałoby mi się szybciej, gdybym wszystkiego nadmiernie nie analizowała.

– Poprawiłaś mi nastrój. Tęskniłem za tobą.

Heather poczuła w oczach łzy.

– Ja za tobą też. Ale teraz cię czuję.

– Czyli jesteś gotowa, żeby się stąd wydostać?

– Pracuję nad planem.

– Włączyli laptopy, a przynajmniej jeden z nich.

Obraz Marka wpisującego polecenia do skradzionego telefonu komórkowego odtworzył się w umysłach ich obojga. Uruchomienie laptopów oznaczało, że w każdym systemie elektronicznym w kompleksie pojawiły się liczne luki, przez które Heather, Mark lub Jen mogli uzyskać nad nim kontrolę.

– Musimy dostać się do komputera podłączonego do sieci. Ja potrzebuję rozkładu budynku, żeby zobaczyć, gdzie przetrzymują każde z nas. Jennifer zabawia się w swoje umysłowe sztuczki z jednym z opiekunów, ale tak ją szprycują narkotykami, że często zupełnie odpływa.

Heather poczuła, jak Mark skanuje jej pamięć i gniew wzbiera w nim niczym burza.

– Heroina? Celowo ją uzależniają?

– Myślałeś, że będą grać czysto?

– Raczej nie. Ale i tak cholernie się wściekłem.

– To zrozumiałe. Wykorzystaj ten gniew, ale nie pozwól, żeby to on wykorzystał ciebie. I jeszcze jedno. Sądzę, że Jack jest gdzieś blisko.

– Skąd to wiesz?

– Nie wiem. Ale tak podpowiadają mi wizje. Wydaje mi się, że czeka, aż wykonamy ruch i wtedy będzie mógł nas wspomóc.

– A jeśli nie zdołamy się uwolnić?

– Już mówiłam. Zbliży się nasza szansa.

Przez dwie i pół godziny Heather opowiadała mu o swoim planie, dopracowywała go w zależności od reakcji Marka, omawiała ewentualne scenariusze z taką szczegółowością, że oboje obserwowali je niczym próby w teatrze snów. Jednak aby te koncepcje się urzeczywistniły, potrzebowała dokładnego rozkładu więzienia i okolicy, a zdobędzie go, dopiero gdy już rozpoczną ucieczkę.

Czując zmęczenie umysłu, Heather przerwała ostatnią wizję. Połączenie zaczynało jej się wymykać, ale ostatnia myśl Marka wywołała uśmiech na jej znużonych wargach.

– Czyli po prostu będziemy improwizować. Takie plany lubię najbardziej.

ROZDZIAŁ

82

Jesteś ze mną, Jen? – Heather sięgnęła umysłem do przyjaciółki.

– Bardziej niż w większość dni. Mniej niż w niektóre.

Rzeczywiście, Heather wyczuwała w jej mózgu zdecydowanie mniej mgły niż w ostatnim czasie.

– Jen, musisz postarać się o jak największą jasność myśli przez następnych kilka minut, nawet jeśli później miałyby cię to sporo kosztować.

Heather wiedziała, że wysiłek związany z odsunięciem na chwilę na bok efektów działania heroiny silnie odbije się później na Jennifer, zupełnie jakby nagle przedawkowała. Wiedziała to, nienawidziła się za to, ale i tak ją poprosiła.

Nie musiała prosić drugi raz. Natychmiast poczuła, jak umysł przyjaciółki osiąga zwyczajową bystrość. To dobrze. Teraz miała przed sobą okazję, ale za pięć minut ją straci.

– No dobra, Jen. Chcę, żebyś za kilka sekund coś zrobiła, ale będziesz musiała postępować zgodnie z moimi myślami i działać za moim pośrednictwem.

– Zapowiada się ciekawie. Jedziemy.

Heather wróciła do świata rzeczywistego, odczuwając Jennifer jako autostopowiczkę w swoim umyśle. Doktor Jacobs odkleił z jej skroni ostatnią elektrodę, zwinął przewody i schował je do pokrowca.

Gdy odwrócił się, by odłożyć przedmioty na wózek, Heather skupiła się na tym, czego potrzebowała, poczuła, że Jen podchwytuje jej myśli, po czym niemal straciła przytomność, gdy fala zawrotów głowy poniosła ją do umysłu lekarza.

Nie przypominało to żadnych jej wcześniejszych doznań. Wprawdzie dotykała wspomnień Jennifer, jednak nie chciała wściubiać nosa w tę część jej umysłu. Było to zdecydowanie coś

innego niż psychiczna więź z Jen i Markiem. Tutaj otrzymała dostęp do najskrytszych uczuć swego celu.

Na pierwszy rzut oka Jacobs wydawał się bardzo zadowolony z tego, co uważał za swoje postępy, ale poniżej kryła się rozszalała seksualna żądza, by robić ze swoją pacjentką rzeczy, których nigdy nie usankcjonowałiby jego szefowie. Gdyby tylko mógł znaleźć się z nią sam na godzinę bez tej cholerne kamery.

Jennifer wkręciła się w to uczucie niczym kleszcz, podkrecając chore pragnienia i kierując je z powrotem do umysłu lekarza. Jacobs obrócił się do Heather i podszedł bliżej, tak by jego ciało zasłaniało widok kamerze. Nasunął stetoskop na uszy i nachylił się.

– Weź głęboki oddech i nie wypuszczaj go – powiedział, wsuwając chłodną końcówkę urządzenia pod jej koszulę i opierając łagodnie dłonie na krzywiźnie jej piersi.

Jennifer znów wzmocniła skrytą żądzę mężczyzny.

– A teraz odetchnij powoli.

Heather wykonała polecenie, czując, jak jego dłoń przesuwa się wyżej po jej lewej piersi. Gdy się zatrzymał, przeszedł przez nią dreszcz.

– I jeszcze raz.

Dłoń lekarza znów się przemieściła, a Jennifer kolejny raz zintensyfikowała jego podniecenie. Nagle mężczyzna zamknął oczy, a przez jego ciało przeszło drżenie. Gdy znów je otworzył, zmarszczył brwi, cofnął stetoskop, odwrócił się i pospiesznie pchnął wózek w stronę drzwi. Przycisnął dłoń do czytnika biometrycznego i zamek elektroniczny otworzył się, po czym znów zamknął za lekarzem, gdy ten wyprowadził wózek na korytarz. Odszedł, skrzypiąc gumowymi podszewkami o beton.

Heather zerknęła w górę, a następnie obróciła się na bok, chowając przed kamerą. Czując, że Jennifer zapada się znów w narkotyczne otępienie, dziewczyna dotknęła ekranu dotykowego w smartfonie doktora Jacobsa.

Robak został zaprojektowany w taki sposób, by przechodzić przez luki bezpieczeństwa w systemach Windows, Linux, Solaris, AIX, HP-UX, Mac OS, OS/2, Android, Palm oraz iOS. Mutował przy użyciu ewoluującego algorytmu genetycznego, otwierał liczne furtki na poziomie roota, mapował tablice trasowania w systemie hostującym, usługach i podłączonych urządzeniach, po czym ukrywał się, czekając na polecenia z zewnątrz. Nie robił wiele, ale za to dobrze.

Zapewniał jedną dodatkową usługę, którą Heather natychmiast wykorzystywała: otwierał port telnetowy umożliwiający zdalny dostęp przez powłokę systemową do dowolnego zainfekowanego systemu podłączonego do sieci. Leżąc zwinięta w pozycji płodowej pod prześcieradłem, dziewczyna przemykała palcami po maleńkiej ekranowej klawiaturze telefonu, przeglądając listę pobliskich hostów i routerów. Wchodziła po kolei do systemów, szybko sprawdzała podłączone sieciowe urządzenia, po czym przechodziła dalej.

Obliczyła prawdopodobieństwo, że w dłuższym okresie doktor Jacobs odkryje brak telefonu. Dokonana przez Jennifer subtelna manipulacja powstrzymywanymi pragnieniami mężczyzny sprawiła, że kleiła mu się bielizna, a do tego był zszokowany, zawstydzony i tak wytracony z równowagi psychicznej, że chciał jak najszybciej po prostu pójść gdzieś, gdzie będzie mógł się umyć. Gdyby użył prysznicu na miejscu, istniało prawdopodobieństwo dziewięćdziesiąt osiem procent na to, że dysponowała zaledwie trzydziestoma minutami, zanim Jacobs uświadomi sobie zgubę. Heather ustawiła sobie zegar w głowie na odliczanie od pół godziny. Obecnie wskazywał dwadzieścia cztery minuty i jedenaście sekund.

Dziewczyna wiedziała, że w placówce umieszczono wielopoziomowy system klatek Faradaya, ale nie umknęło jej też coś innego. Jacobs pobierał bezprzewodowo dane do swojej komórki. Poza tym używał Wi-Fi, aby łączyć się z telefonu z siecią w swoim gabinecie. Oznaczało to, że system TEMPEST na dolnych poziomach obejmował poszczególne piętra, które z innymi kondygnacjami łączyły się za pośrednictwem bezpiecznych światłowodów. Nie musiała zatem kontaktować się bezprzewodowo z głównym centrum sterowania. Wystarczy, że połączy się przez Wi-Fi z komputerem wpiętym w sieć lokalną.

Heather wpatrywała się w mały ekran, czując nagłe ożywienie. Znalazła w końcu drogę do systemu zabezpieczającego, który kontrolował zamki w drzwiach. Ucieszyło ją to, musiała jednak odszukać jeszcze jeden węzeł, zanim zdoła obejść ten mechanizm. Sterowanie zamkami niewiele jej da, jeśli federalni będą mogli obserwować każdy jej ruch przez obiektywy.

Kamera w jej celi była podłączona przewodem koncentrycznym. Oznaczało to, że pozostałe elementy telewizji przemysłowej zapewne łączyły się z systemem monitorowania w taki sam sposób. Mogła się założyć, że całość montowała jedna firma. Jeśli tak, to wszystkie urządzenia były widoczne w jakimś systemie jako bezpośrednio sterowane. Nawet zresztą gdyby część kamer była bardziej wyrafinowana i kontrolowana przez sieć, i tak mogła je przejąć, ponieważ w takim wypadku istnieje centralny komputer wysyłający polecenia IP mówiące urządzeniom, co mają robić, oraz przekierowujący strumienie wideo do odpowiednich systemów klienckich.

Dwadzieścia minut trzydzieści cztery sekundy.

Nagły wyrzut adrenaliny niemal sprawił, że usiadła. Heather wyzwoliła swoje uczucia w szerokim uśmiechu.

– Mam cię!

Nie potrzebowała wiele czasu. Pięć minut. Może mniej. Akurat tyle, by zdołała przedostać się ze swojej celi do najbliższego porządnego komputera podłączonego do sieci, zlikwidować ewentualny opór i wejść w sieć lokalną.

Wpisała polecenia wymuszające natychmiastowe zamknięcie

systemu sterującego kamerami, zamieniła cele telnetowe i odblokowała wszystkie kontrolowane elektronicznie drzwi w całej placówce, doprowadzając do resetu całego systemu bezpieczeństwa. Następnie, by jeszcze zwiększyć nadciągający chaos, wyłączyła światła – nie zasilanie, a tylko oświetlenie.

Gdy zrobiło się ciemno, Heather zeskoczyła z łóżka, otworzyła szeroko drzwi i pełnym pędem wypadła na korytarz. Wprawdzie odgłosy nie wystarczyły, by wygenerować jasny obraz, jednak echo odbijające się od jej biegnących stóp zapewniło jej wystarczająco wiele szczegółów, by widziała otoczenie. Nie potrzebowała głośniejszych efektów. Chciała natomiast widzieć dźwięki wywoływane przez innych.

Gdy skręciła w prawo w pierwszy korytarz, ujrzała promień latarki wyłaniający się z drzwi uchylających się po lewej. Ledwo dostrzegła wyraz bólu i zaskoczenia na twarzy strażnika, zanim jej kopnięcie boczne złamało mu rękę w łokciu. Latarka wypadła mu z dłoni, a jej światło wirowało po ciemnym korytarzu niczym miecz świetlny Jedi, zanim upadło na betonową podłogę.

Wtedy Heather rzuciła się na wartownika niczym lwica.

ROZDZIAŁ

84

Bud Gendall wpatrywał się w rząd monitorów wyświetlających tę samą wiadomość: ODŁĄCZONO ŹRÓDŁO WIDEO.

– Co się stało z obrazem, do cholery?

John McCall, jego partner z nocnej zmiany, spojrzął na niego i wzruszył ramionami.

– Wygląda na to, że system się właśnie zresetował. Ech, ten Microsoft.

Wtedy zgasły światła.

– Co jest? Zasilanie też poszło?

– Niemożliwe. Komputery się właśnie uruchamiają.

I rzeczywiście, ekrany wciąż jaśniały bladym blaskiem w zapadłej ciemności. Dziwne. Bud nie lubił dziwnych rzeczy. Nie w należącem do NSA więzieniu o zaostrzonych środkach kontroli. Nie na jego zmianie.

John wziął ze stojaka na ścianie ciężką czarną latarkę, włączył ją i skierował się do drzwi.

– Sprawdzę to – oznajmił.

Gdy wyszedł na korytarz, rozległ się jego krzyk, któremu towarzyszył głośny trzask. Strumień adrenaliny przebiegł przez ciało Buda niczym wyładowanie elektryczne, sprawiając, że rozgrywająca się przed nim scena zaczęła biec jakby w zwolnionym tempie. Latarka wypadająca Johnowi z dłoni. Wirujący promień rozbijający akcję na sekwencję poklatkowych obrazów. Zimna, stanowcza twarz tej McFarland. Jej białe oczy. Prawa ręka Johna opadająca jak u szmacianej lalki. McFarland ciskająca jego sto dwadzieścia kilogramów mięśni w stronę Gendalla niczym ludzką kulę armatnią.

Bud już niemal wstał i wyszarpywał beretkę z kabury, gdy John na niego wpadł. Gendall odtoczył się i podniósł z lekkością

świadcząca o latach treningu. Gdy próbował wymierzyć broń, kopnięcie dziewczyny wytrąciło mu pistolet z dłoni, a siła ciosu sprawiła, że otępiało mu całe ramię.

Odpowiedział zamachem nogą, którym powinien powalić McFarland na plecy, ale ta skontrowała, wykorzystując jego własny pęd przeciwko niemu, i jej łokieć rozbił mu lewą gałkę oczną, zasłaniając pole widzenia czerwoną mgłą krwi oraz bólu. Gdy podłoga podnosiła mu się na spotkanie, kolano dziewczyny zablokowało jego upadek, miażdżąc mu tchawicę i rozrywając kilka odgałęzień tętnicy tarczowej dolnej.

Czując, jak otula go ciemność, Bud uświadomił sobie coś nie do pomyślenia. Ta szczupła młoda kobieta w niebieskiej szpitalnej koszuli właśnie załatwiła jego oraz Johna. Z podobnym wysiłkiem, jakby wynosiła śmieci.

Szybkie sprawdzenie pulsu potwierdziło to, co Heather przekazały już wcześniej jej wizje. Tylko ona przeżyła w tym pomieszczeniu. Odsunawszy na bok falę odrazy, pozwoliła, by szkolenie poprowadziło ją dalej.

Nie zwlekając, zabrała obydwu strażnikom pasy taktyczne, kabury i pistolety, zamknęła drzwi i usiadła na krześle zajmowanym do niedawna przez drugiego z wartowników. Gdy wykorzystywała lukę bezpieczeństwa, by obejść ekran logowania, usłyszała skowyt alarmu, któremu towarzyszyły w oddali krzyki i stłumiony huk karabinowej palby.

Potrzebowała dwudziestu sekund, by uruchomić ponownie system kontrolujący kamery, i kolejnych osiemnastu, aby przejąć sterowanie nim jako root. Po ominięciu ustawień domyślnych dziewczyna przekierowała strumienie ze wszystkich kamer na swoje stanowisko i wyświetliła obrazy z nich w siatce małych okienek rozproszonych po monitorach. Wystarczyło jej zerknięcie, by dowiedziała się wszystkiego, czego potrzebowała.

Heather wyświetliła trójwymiarowy schemat placówki, a następnie na głównym ekranie otworzyła trzy dodatkowe okna, przenosząc całe sterowanie budynkiem na swój terminal. Gdy znalazła cele Marka i Jennifer, zamknęła wszystkie pozostałe zamki, przywróciła oświetlenie i uruchomiła system przeciwpożarowy w głównym centrum kontroli, wypełniając zablokowane pomieszczenia halonem 1301. Najwyraźniej NSA nie obowiązywał narzucony przez Agencję Ochrony Środowiska zakaz stosowania tego środka. Dla dziewczyny nie miało zresztą znaczenia, jaki gaz przeciwpożarowy stosowano w budynku, skoro mógł zduścić nie tylko ogień. Nie mogła pozwolić na to, że ktoś spróbuje odzyskać sterowanie, gdy czekało ją jeszcze sporo

pracy.

Na innym poziomie ponad dwudziestu arabskich więźniów wypadło ze swych cel i zabiło trzech strażników, lecz jednocześnie straciło pięciu spośród siebie. Uzbrojeni w pistolety, pałki i latarki, ocalali systematycznie przemieszczali się teraz korytarzem.

Kamery z parteru pokazywały, że miejscowe siły szybkiego reagowania, pozbawione wsparcia kamer, podzieliły się na trzy pięciosobowe drużyny, które skierowały się do szybu windy i klatek schodowych.

Odetchnąwszy głęboko, Heather przeniosła uwagę na Marka i Jennifer. Przetrzymano ich na trzecim poziomie pod ziemią, podobnie jak ją, ale w innych skrzydłach. Jak wcześniej zaplanowali, bliźnięta pozostały w swych celach, czekając na kontakt ze strony Heather. Teraz gdy mogła już poświęcić im odpowiedni poziom koncentracji, otworzyła więź z Markiem i Jennifer.

– No. Jesteś. – Poczwała, jak zalewa ją odczuwana przez Marka ulga.

– Gotowy się ruszyć?

– Czekałem tylko na ciebie.

– Jen?

– Znowu odpłynęła. Będę musiał po nią pójść. Masz dla mnie schemat?

Heather wyciągnęła wspomnienie trójwymiarowego planu placówki.

– Może być.

– Będę ci na bieżąco odblokowywać drzwi po drodze, a później zamykać je za tobą. Ruszaj.

Zamknęła połączenie i znów skupiła się na monitorze pokazującym Marka opuszczającego celę, a później wbiegającego w pole widzenia następnej kamery.

Jej uwagę zwrócił ruch na pierwszym ekranie. Jedna z drużyn weszła do windy i jechała na poziom, na którym ona sama się znajdowała. Dziewczyna zatrzymała dźwиг pomiędzy pierwszym a drugim piętrem podziemnym, wyłączyła całe zasilanie w szybie

i jednocześnie zablokowała wszystkie drzwi. Nie powstrzyma to zdeterminowanych członków zespołu przed zejściem po linach i siłowym otwarciem wrót, ale przynajmniej ich spowolni. Gdy przemyślała sprawę, przywróciła windzie zasilanie i możliwość jazdy w dół, lecz wprowadziła małą korektę w system sterowania. Wydała polecenie, by dźwig, zamiast zatrzymać się na poziomie minus trzy, zjechał piętro niżej.

Gdy drzwi windy otworzyły się, drużyna szybkiego reagowania nagle znalazła się w ogniu palby ze strony Al-Ka'idy.

Jack wysłuchał, jak żandarmeria wojskowa zostaje postawiona w stan gotowości, zaczekał chwilę na potwierdzenie lokalizacji, po czym sięgnął po zdalny kontroler. Coś dużego działo się w ściśle tajnym więzieniu NSA o kryptonimie Lodowy Dom. Pierwsze doniesienia mówiły o grupie ważnych osadzonych członków Al-Ka'idy, którzy podjęli próbę ucieczki, co doprowadziło do wezwania na miejsce wszystkich jednostek.

Cóż, jeśli sądzili, że to robota Al-Ka'idy, Jack z chęcią zamierzał wesprzeć to założenie. Sprawdził siłę sygnału do wszystkich pięciu detonatorów, pstryknął pierwszy przełącznik do pozycji uzbrojonej, zaczekał na zielone światelko, wcisnął przycisk detonacji i czekał. Fala uderzeniowa dotarła do niego piętnaście sekund później i okazała się na tyle silna, że zatrzęsała szybami. Żandarmi musieli się teraz jakoś zorganizować bez dostępu do łączności radiowej.

Po uzbrojeniu drugiego przełącznika Gregory powtórzył procedurę i znów został nagrodzony opóźnioną falą. To tyle w kwestii głównej linii telefonicznej w bazie.

Do jego myśli wślizgnął się nieproszony obraz: Janet z małym Robbym na biodrze, gdy stała pod zadaszeniem chaty w dżungli i machała mu, kiedy obejrzał się, by po raz ostatni na nią spojrzeć. Tęsknił za swoją kochanką. Tęsknił za swoją partnerką.

Podniósł się z krzesła, podszedł do zlewu i nastawił nową porcję w ekspresie. Aby osiągnąć maksymalny efekt, powinien opóźnić trzy następne eksplozje. Na przykład o czas potrzebny na wypicie filiżanki kawy.

ROZDZIAŁ

87

Fala uderzeniowa rozbiła okno i zasypała sypialnię odłamkami szkła. Generał „Piłka” Wilson sturlał się z łóżka, raniąc się w bosą stopę, gdy wstawał.

– To bomba? – Wystraszony głos żony pomógł pozbyć się resztek snu z głowy.

– Już w porządku, Maggie. Nie było blisko.

Sięgnął dłonią do włącznika światła, lecz zmienił zdanie.

– Lepiej zostań w łóżku. Przyniosę twoje kapcie. Później zejdź do piwnicy i zostań tam, dopóki się nie odezwę. Rozumiesz?

– Rozumiem. – Tym razem odpowiedziała pewnym tonem. Nie na darmo spędziła tyle lat jako żona oficera sił powietrznych i potrafiła zachować spokój w trudnych sytuacjach.

Zrobił krok i znów zaciął się w stopę, przeklinając się za to, że zostawił pantofle w garderobie. Gdy dotarł do jej drzwi, pokojem zatrzęsała druga eksplozja, tym razem bardziej oddalona i dobiegająca z innego kierunku niż pierwsza. Jezu Chryste. Baza została zaatakowana.

Kiedy to sobie uświadomił, przyspieszył ruchy. Rzucił żonie kapcie na łóżko, wyciągnął z nóg wbite odłamki i wsunął bose stopy w buty mundurowe.

– Idź do piwnicy.

– Już idę.

Poczuł jej ręce otulające szyję i wargi muskające ucho.

– Uważaj na siebie. Kocham cię.

– Poradzę sobie. Ja też cię kocham. A teraz już idź.

Generał podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę do ucha, wciąż pamiętającego pocałunek Maggie. Brak sygnału. Piłka chwycił aparat satelitarny i wcisnął pierwszy numer szybkiego wybierania, po czym słuchał szumów i ćwierkania, gdy

urządzenie ustanawiało bezpieczne połączenie.

– Tu generał Wilson. Co się dzieje, do diabła?

– Sir, tu John Briggs. Nie znamy jeszcze zakresu problemu, ale otrzymaliśmy doniesienie o próbie ucieczki z Lodowego Domu, po którym nastąpiły dwa wybuchy. Nie wiemy, skąd konkretnie dobiegły, ale ktoś pozbawił komunikacji naszą żandarmerię i zniszczył główną linię telefoniczną. Z jakiegoś powodu nie wyłączyli jeszcze zasilania.

– Wychwyciliśmy jakieś sygnały łącznościowe?

– Na razie nic.

Piłce nie spodobała się ta odpowiedź.

– To nie ma sensu – stwierdził.

– Owszem, sir. Tego rodzaju atak Al-Ka’idy wymagałby zaawansowanej koordynacji.

– Jeśli to jest Al-Ka’ida.

– Raczej musi być. A przynajmniej takie panuje przekonanie tu, w centrum informacji poufnych.

– Kto jest dziś na zmianie?

– Levi i standardowy nocny zespół analityków i pomocników.

Wilson poczuł, jak przez jego mózg przechodzi fala ulgi. Jeśli Levi Elias znajdował się na miejscu, odgadnie, co się dzieje. I być może zdąży to zrobić na tyle szybko, by dało się powstrzymać sprawców przed wykonaniem celów operacyjnych.

– Ktoś telefonował już do prezydenta?

– Najpierw próbowaliśmy skontaktować się z panem.

– Dobry plan. Już jadę. Jeśli nie dotrę w ciągu pięciu minut, niech Levi zadzwoni do Białego Domu.

– Tak jest.

Piłka rozłączył się i odłożył telefon satelitarny z powrotem. Stał w ciemności obok łóżka, nagi, nie licząc butów od munduru, z krwią ściekającą między palcami u nóg, i nasłuchiwał skowytu syren w oddali, próbując zaprząć umysł do pracy nad problemem.

Nagle budynkiem zatrzęsły trzy kolejne eksplozje.

Gdy fale uderzeniowe ustąpiły, przypomniał sobie, że powinien jak najszybciej znaleźć się w siedzibie NSA.

Gdy spuścił wzrok, uderzyło go jeszcze jedno.
Być może powinien włożyć spodnie.

ROZDZIAŁ

88

Mark, uważaj! – wyszeptał głos Heather w jego głowie.

Wykrywając kątem oka nagły ruch, Mark skoczył w lewo i nogi poniosły go ku nowemu zagrożeniu. Hukowi pistoletu kalibru dziewięć milimetrów towarzyszył syk kuli odbijającej się od ściany za chłopakiem. Przykucnięty arabski bojownik ścisnął oburącz berettę. Gdy mężczyzna spróbował poprawić cel, Mark rzucił się ślizgiem po podłodze i wbił prawą nogę w jego krocze, podrywając go półtora metra w górę.

Dwaj inni wyłonili się zza rogu, akurat by zobaczyć, jak bezwładne ciało ich towarzysza spada na ziemię za rozmytą plamą, w którą zamienił się Mark Smythe. Wyższy z tej dwójki zamachnął się pałką, którą nastolatek odbił i wyrwał z dłoni Araba, po czym zmienił kierunek jej ruchu i uderzył przeciwnika w głowę z odgłosem kija baseballowego trafiającego w arbuza.

Drugi mężczyzna rzucił się po berettę, lecz Mark skoczył na niego, zaciskając dłonie wokół nadgarstków terrorysty, gdy ten złapał za rękojeść broni. Arab szarpał się i wił w uchwycie nastolatka, próbując oswobodzić rękę z pistoletem, lecz nagle wrzasnął, gdyż jego kości pękły w miazdzącym uścisku. Beretta upadła z brzękiem na betonową podłogę.

Zdesperowany arabski bojownik próbował kopnąć Marka kolanem w pachwinę, lecz zrezygnował, gdy chłopak wykręcił mu złamany lewy nadgarstek, wywołując kolejny bulgoczący krzyk. Mark podniósł broń, przyłożył ją mężczyźnie do głowy i gładko nacisnął spust, kończąc starania terrorysty. Nozdrza chłopaka wypełnił zapach prochu, szybko jednak zdominowany przez smród żółci i opróżnionych jelit, a na języku pojawił się miedziany smak krwawej mgiełki. Mdłe efekty gwałtownej śmierci. Doświadczył ich już wcześniej i miał nieprzyjemne

przecucie, że nie minie zbyt wiele czasu, zanim znów się w nich skąpie.

Po szybkim obszukaniu ciał Mark znalazł to, co miał nadzieję znaleźć: dwa zapasowe magazynki z nabojami kalibru dziewięć milimetrów. Wyciągnął z broni częściowo opróżniony magazynek i porównał jego wagę z pełnymi. Zostały trzy naboje. Wcisnął jeden z pełnych do beretty, zerwał koszulę z jednego z Arabów, zwinął ją w improwizowaną sakwę na ramię, by trzymać w niej dodatkową amunicję, i ruszył dalej.

Jennifer siedziała w rogu w ostatniej celi po lewej z oczyma obróconymi w głąb głowy i pustym uśmiechem na twarzy.

– Jen, wybudź się z tego. – Słowa Marka i delikatne potrząsanie sprawiły jedynie, że odepchnęła go lekko. Przypomniał sobie, że jako dziecko broniła się w ten sposób, gdy ojciec próbował wyciągnąć ją śpiącą z samochodu, jeśli późno wracali do domu.

Zerknął na jej lewą rękę i dostrzegł ślady po wkluciacz. Nie tylko uzależnili jego siostrę od heroiny, ale też dopilnowali, by napiętnować ją jako ćpunkę. Czerwona mgła na nowo zabarwiła Markowi pole widzenia, gdy delikatnie unosił Jennifer w ramionach.

– Nie martw się, Jen – wyszeptał jej do ucha. – Wyciągnę cię stąd. A później zabiję po kolei tych gnojków.

ROZDZIAŁ

89

Heather wyczuła wstrząsy wywołane pierwszymi dwiema eksplozjami i szybko oszacowała ich odległość oraz kierunek, wyświetlając jednocześnie na monitorze cyfrową mapę Fort Meade. Gdy w myślach oznaczyła miejsca, na jej twarzy powoli wpęłzył uśmiech.

Jack.

Tak jak się spodziewała, był tam. Zapewne szykował się od wielu dni, może nawet tygodni. Teraz odkrył sytuację w więzieniu NSA i rozpoczął własną dywersję, atak, który miał odwrócić uwagę i zmylić reakcję sił rządowych.

Skupiwszy się znowu na bieżącej sytuacji, zobaczyła, jak Mark wychodzi z celi Jennifer, trzymając na rękach bezwładne ciało siostry. Szybkie zerknięcie na inne monitory powiedziało jej, że drużyna szturmowa walczy o przetrwanie na poziomie minus cztery. Stracili trzech członków, a pozostałych dwóch broniło się w nieczynnej windzie.

Heather przeniosła uwagę na parter. Druga drużyna właśnie skończyła instalować mały ładunek wybuchowy na drzwiach klatki schodowej i wycofywała się, szykując do detonacji.

Po uruchomieniu kolejnego panelu kontrolnego dziewczyna włączyła alarmy przeciwpożarowe na parterze i pierwszych dwóch podziemnych kondygnacjach, a wraz z nimi sieć zraszającą. W pomieszczeniach ze sprzętem elektronicznym i komputerowym nie umieszczono zraszaczy, tylko system wykorzystujący gaz halonowy, podobnie jak w głównym centrum sterowania.

Huk z wybuchu na klatce schodowej sprawił, że obraz stamtąd wpadł w wibrację, a kamera umieszczona w najwyższym punkcie schodów zupełnie przestała działać.

Palce Heather pomknęły po klawiaturze. Znalazła pliki osobowe i otworzyła profile pięciu najwyższych rangą urzędników przydzielonych do placówki. Jak miała nadzieję, znajdowała się wśród nich kobieta. Wystarczyły dwie sekundy, by dziewczyna zapamiętała treść pliku.

Zerknęła na stojący na blacie mikrofon i wydeła wargi z frustracji. Nic z tego. Ten system został połączony z głośnikami w części więziennej, czyli poziomami minus trzy oraz minus cztery, i nie można go było przekierować. Nie zamierzała jednak pozwolić, by drużyny ochrony zeszyły na jej kondygnację.

– Cholera!

Spojrzała na laptop stojący na prawo od jej stanowiska. Nie będzie to rozwiązanie idealne, ale musiało wystarczyć.

Przesiadła się na sąsiednie krzesło, ominęła ekran logowania i zaczęła przejmować kontrolę nad systemem głośników obejmującym parter, klatki schodowe oraz laboratoria i biura na poziomach minus jeden oraz minus dwa. Zajęło jej to trzydzieści osiem sekund.

– Heather, jesteś tam? – myśl Marka trąciła jej umysł.

– Daj mi minutę.

Dziewczyna przeprowadziła szybką diagnostykę i skalibrowała mikrofon w laptopie, po czym włączyła fonię.

– Wszystkie siły bezpieczeństwa, uwaga! Mówi Rebecca Fairing. Numer legitymacji XK957Z. Wrócić natychmiast na poziom główny i przygotować się do odparcia ataku z zewnątrz. Powtarzam. Wrócić natychmiast na poziom główny i przygotować się do odparcia ataku z zewnątrz. Fairing bez odbioru.

Obserwowała obraz z kamery umieszczonej przed główną klatką schodową. Minęło dwadzieścia sekund bez żadnych oznak, że drużyna ze schodów usłyszała wiadomość. Nagle dwie odziane na czarno postacie pojawiły się w głównym korytarzu, zabezpieczając obie strony, a reszta zespołu wyskoczyła z klatki schodowej i pobiegła w kierunku wyjścia z budynku.

– No dobra, Mark. Idźcie pierwszym korytarzem po twojej lewej, a potem skróćcie w drugi po prawej. Jestem w pierwszym

pomieszczeniu na lewo.

– Nie powinniśmy spotkać się z tobą na schodach?

– Nie idziemy schodami, a ja muszę zrobić jeszcze kilka rzeczy, zanim opuścimy pokład.

– Już idę.

W tym momencie budynkiem wstrząsnęły trzy następne eksplozje, znacznie bliższe niż poprzednie. Gdy wibracje wygasły, kąciki ust Heather znów wygięły się w uśmiechu.

– Jack. Chętnie pocałowałabym cię długo i mocno. Tu i teraz.

Jack rozerwał opakowanie z telefonem na kartę, uruchomił go i wybrał numer z kierunkowym 404⁷.

– Dziękujemy, że dzwonią państwo do telewizji CNN. Jeśli chcą państwo zgłosić ważną wiadomość, proszę wcisnąć jeden...

Gregory wcisnął jedynekę raz, a później drugi, by rozmawiać z ekipą od zgłoszeń. Kiedy odpowiedziała prawdziwa osoba, uzbroidł pozostałe trzy przełączniki, a gdy po kolei zapalały się przy nich zielone lampki, uruchamiał od razu detonacje. W odległości zaledwie pięciu kilometrów nastąpiły eksplozje, których odgłos rozpoczął siedemnastosekundową podróż do jego pokoju hotelowego.

– Milcz, niewierny. Nazywam się Fariq Abdullah Muhammad. Właśnie w tej chwili Allah rozpoczął atak na waszą Agencję Bezpieczeństwa Krajowego w Fort Meade w stanie Maryland, gdzie nasi bracia są przetrzymywani w tajnym amerykańskim więzieniu. Jeśli posłuchasz uważnie, usłyszysz wybuchy w tle moich słów.

Jak na zawołanie zjawiły się fale uderzeniowe, które zatrzęśły szybami i obrazami na ścianach.

– Zaczęło się. *Allāhu Akbar*⁸.

Nie czekając na odpowiedź, Jack rozłączył się, położył telefon na białym ręczniku rozłożonym na podłodze i zmiażdżył urządzenie podeszwą. Zgarnął szczątki w materiał, położył zawiniątko obok laptopa w walizce z miękkiej skóry i dołożył detonator. Następnie przypiął sobie kaburę na szelkach i nóż, upił ostatni łyk kawy, podniósł bagaż i wyszedł w noc.

7 Obejmujący Atlantę, stolicę stanu Georgia, a także jej okolice.

8 Arabskie wyznanie wiary. Dosł. „Bóg jest wielki”.

ROZDZIAŁ

91

Bardzo przepraszam, panie prezydencie. Przykro mi, że muszę pana obudzić, ale mamy poważną sytuację. – Telefon nie złagodził posępnego głosu Jamesa Noblesa.

Prezydent Jackson spojrział na aparat, zerknął na śpiące ciało Leticii, jeszcze przed chwilą w niego wtulone, i westchnął. Boże, ależ tęsknił za tymi spokojnymi nocami z żoną, którymi mógł się cieszyć, zanim spełniło się jego życzenie i został głową państwa.

– No dobrze, James. Podaj mi złe wieści.

To zawsze były złe wieści, przynajmniej o tej porze. Nikt nie budził prezydenta Stanów Zjednoczonych o pierwszej w nocy, by powiedzieć: „Panie prezydencie, dobre wieści. Nie wydarzyło się nic złego”.

– Dokonano ataku na Fort Meade.

– NSA.

– Zgadza się, panie prezydencie.

Nagłe przygnębienie groziło zaćmieniem myśli, ale prezydent zmusił się, by wstać z łóżka.

– Niech za cholera. Zwołaj Radę Bezpieczeństwa Narodowego. Zejdę za pięć minut.

– Już się za to biorę.

– Jeszcze jedno, James. Połącz mnie z generałem Wilsonem.

– Tak jest, panie prezydencie.

Gdy Jackson wszedł do pokoju dowodzenia w Białym Domu, czekało już na niego troje specjalistów od bezpieczeństwa narodowego: Cory Mayfield, James Nobles i jego szefowa personelu, Carol Owens.

– Nie wstawajcie. – Prezydent usiadł w swoim fotelu. – Kto zrobi podsumowanie?

– Chyba mnie przypadł ten zaszczyt – oznajmił Nobles. – Jak już

mówiłem przez telefon, dotarły do nas doniesienia o kilku eksplozjach w Fortcie Meade oraz o strzelaninie w pobliżu kwatery głównej NSA. Mam na linii dyrektora NSA, ale zanim go połączę, chyba powinien pan zobaczyć to, panie prezydencie.

Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego nachylił się i dotknął przycisku na panelu sterowania, przełączając jeden z płaskich monitorów na CNN.

- ...wciąż śledzimy rozwój sytuacji w Fort Meade w stanie Maryland, skąd nie przestają docierać doniesienia o wybuchach oraz strzałach z broni palnej. Jak donosimy od kilku minut, do stacji zadzwoniła osoba podająca się za członka komórki Al-Ka'idy przeprowadzającej atak. Jeśli dopiero włączyli państwo telewizory, proszę posłuchać nagrania tej rozmowy...

Chwila ciszy, trwającej na tyle długo, że jeszcze bardziej nasiliła w prezydencie złe przeczucia, została nagle przerwana przez mężczyznę mówiącego z silnym akcentem:

- Milcz, niewierny. Nazywam się Fariq Abdullah Muhammad. Właśnie w tej chwili Allah rozpoczął atak na waszą Agencję Bezpieczeństwa Krajowego w Fort Meade w stanie Maryland, gdzie nasi bracia są przetrzymywani w tajnym amerykańskim więzieniu. Jeśli posłuchasz uważnie, usłyszysz wybuchy w tle moich słów.

Telefonujący przerwał na dźwięk trzech odległych eksplozji.

- Zaczęło się. *Allāhu Akbar*.

James Nobles znów wduśił przycisk i obraz zatrzymał się.

- Powtarzają to nagranie co kilka minut.

Prezydent skinął głową, po czym uruchomił głośnik w telefonie konferencyjnym.

- Generale Wilson, mówi prezydent Jackson. Czy pan mnie słyszy?

Nastąpiła dwusekundowa pauza, po niej szum szyfrowania i z głośnika dobiegł głos generała:

- Głośno i wyraźnie, panie prezydencie. Przepraszam za opóźnienie w odpowiedzi, ale musimy rozmawiać przez bezpieczne łącze satelitarne.

- A to dlaczego? - Prezydent bezskutecznie próbował ukryć

irytację w głosie.

– Ktoś zniszczył nasze zewnętrzne linie telefoniczne. A także zablokował łączność radiową żandarmerii wojskowej w bazie. Podobny problem wystąpił też we wnętrzu Lodowego Domu.

– I kto za tym stoi?

– Powszechne stanowisko głosi, że Al-Ka'ida. Ja tego nie kupuję.

– Widział pan wiadomości?

– Owszem.

– Sprawa wydaje mi się oczywista.

– Zbyt oczywista, panie prezydencie. Levi też nie uważa, że to Al-Ka'ida. Brak dopasowania głosu.

– Bzdura, panie prezydencie – wtrącił się Cory Mayfield. – Czasami jest dokładnie tak, jak wygląda.

– A czasami nie. – W głosie Wilsona pojawiła się ostrzejsza nuta.

– Jak teraz wygląda wasza sytuacja? – przerwał Jackson. Chryste. Czy każdy prezydent musi znosić takie nieustanne sprzeczki między swoimi doradcami?

– Ogólny zamęt. Właśnie wróciłem do NSA i budynek jest bezpieczny. Nasze zewnętrzne siły obronne znajdują się na miejscu, gotowe do odparcia ataku. Żandarmeria ma jednak problemy. Nie udało mi się jeszcze połączyć z ich posterunkiem, ale najwyraźniej nie mogą się komunikować ze swoimi patrolami. W bazie nastąpiło kilka eksplozji, może więc pan sobie wyobrazić, co robią, próbując dostać się do zniszczonych miejsc. Straciliśmy też łączność z placówką pod Lodowym Domem.

– Siły szybkiego reagowania?

– Mają tam swoje własne, podobnie jak my tutaj, w siedzibie NSA. Powinni sobie poradzić z każdym wewnętrznym zagrożeniem.

– Wszystko, co pan powiedział, wskazuje na operację Al-Ka'idy – wtrącił Cory Mayfield.

– Jak już wspominałem, nie kupuję tego.

Prezydent podniósł rękę, nie dając Mayfieldowi odpowiedzieć.

– Generale Wilson, szanuję pańską opinię, ale muszę działać w oparciu o to, co uważam za najbardziej prawdopodobny scenariusz. Ponieważ nie udało mi się skontaktować z dowódcą

bazy pułkownikiem Abramsem, zatwierdziłem reakcję Deltę.

– Panie prezydencie, miejscowa policja może dotrzeć tu szybciej.

– Nie zamierzam wystawić policji przeciwko wyszkolonym siłom szturmowym Al-Ka'idy. Podjąłem decyzję.

– Tak jest, sir.

Jackson przerwał połączenie i obrócił się do swojej szefowej personelu.

– Carol, wezwij tu moją rzeczniczkę prasową. Zamierzam wygłosić oświadczenie za mniej więcej godzinę.

– Wezwałam ją piętnaście minut temu. Gretchen jest już w drodze, podobnie jak reszta zespołu od bezpieczeństwa narodowego.

– To dobrze. – Prezydent nie zamierzał artykułować swoich myśli, zupełnie jakby mógł w ten sposób uniknąć tego, co zapowiadały, jednak słowa w jakiś sposób same się wyrwały: – Wygląda na to, że czeka nas kolejna pracowita noc.

Drzwi otworzyły się, gdy Mark sięgnął do klamki. Uśmiech Heather przełamał lody skuwające jego duszę. Przez chwilę błąkała wzrokiem po brodzie, która w międzyczasie wyrosła chłopakowi, po czym przesunęła spojrzenie na bezwładne ciało Jennifer w jego ramionach i wówczas uśmiech dziewczyny zgasł.

– Połóż ją na kanapie – powiedziała, wskazując przestrzeń socjalną między zlewem a ekspresem do kawy.

Gdy Mark delikatnie umościł siostrę, Heather pochyliła się i uniosła jej najpierw jedną, później drugą powiekę.

– Niech to diabli.

Nastolatek przytaknął.

– Mocno ją sponiewierali – rzekł.

Heather podniosła się, zarzuciła Markowi ręce na szyję i przytuliła go mocno. Chłopak ścisnął ją przez pełne dziesięć sekund, w czasie których serce dudniło mu w piersi.

Gdy dziewczyna odsunęła się, wskazała pasy taktyczne, kabury i zapasowe magazynki leżące na blacie przy rzędzie monitorów.

– Weź jeden, a ja drugi.

– Jaki jest plan?

– Zajęłam się drużynami ochrony i wycofałam je ze środka, żeby broniły budynku przed atakami z zewnątrz. Zostało im tylko dwóch rannych na poziomie minus cztery. Skoro już tu jesteś, otworzę drzwi, dzięki którym reszta arabskich więźniów wyjdzie pierwszą klatką schodową. Dzięki temu siły szybkiego reagowania będą miały zajęcie.

Wsunęła się na krzesło przed laptopem i gestem wskazała Markowi, by usiadł przed mikrofonem podpiętym do dwóch najniższych poziomów.

– Gdy tylko otworzę odpowiednie drzwi, odpal głos arabskiego

terrorysty.

Mark skinął potwierdzająco głową i czekał.

- Już.

- Bracia - zaczął z wyraźnym saudyjskim akcentem Mark - przybyliśmy tu, aby was oswobodzić. W swej wielkości Allah otworzył nam drogę. Zostawcie niewiernych, z którymi toczycie obecnie walkę, i wejdźcie w korytarz rozciągający się za wami. Znajdziecie tam klatkę schodową otwartą aż do samej góry. Stamtąd będziecie musieli wywalczyć sobie wolność. *Allāhu Akbar*.

Spojrzawszy znów na monitory, Mark zauważył, z jaką szybkością arabscy bojownicy zareagowali na jego polecenia, zostawiając dwóch rannych ochroniarzy leżących między ciałami ich poległych towarzyszy w nieczynnej windzie. W mniej niż trzydzieści sekund szesnastu terrorystów weszło na schody i zaczęło biec w stronę parteru. Ciężkie stalowe bolce zatrzęsnęły drzwi za ich plecami.

- Pora iść - powiedziała Heather, wstając i zapinając wokół talii pas taktyczny wraz z kaburą, po czym wsunęła doń zapasowy magazynek.

Choć wydawało się to dziwne, Mark uznał, że szczupłe ciało dziewczyny, mającej na sobie jedynie niebieską szpitalną koszulę oraz pas z bronią, wydaje mu się wyjątkowo pociągające.

- Druga klatka schodowa? - spytał.

- Nie. Będziemy musieli wspiąć się szybem windy. - Wskazała oczyma na Jen. - Zdołasz ją nieść, gdy będziemy schodzić po linach?

- Jeśli przypniemy ją do moich pleców, to bez problemu.

Heather przyklęknęła i ściągnęła z martwych strażników koszulę oraz pasy, a Mark w tym czasie podniósł siostrę. Gdy doszli do windy, chłopak zauważył, że jej drzwi są rozsunięte. Przełożył sobie Jennifer na plecy i zarzucił jej ręce na swoją szyję, a potem pozwolił Heather przewiązać jej nadgarstki zakrwawioną koszulą. Następnie dziewczyna spięła ze sobą pasy i owinęła je wokół obojga bliźniąt.

Przystanąła na chwilę, by przyjrzeć się efektom swojej pracy, po

czym odwróciła się, skoczyła do szybu, złapała za grubą linę i zaczęła się szybko wspinać. Mark poszedł w jej ślady. Zwiększony ciężar kazał mu się zastanawiać, czy improwizowane zabezpieczenia przytrzymujące Jen na jego plecach wytrzymają, gdy jednak nie zerwały się, zaczął podciągać się w miarowym tempie ręka za ręką.

- Radzisz sobie? – spytała z góry Heather.
- Jestem tuż za tobą. Możemy iść na samą górę.
- Zrobimy sobie małą przerwę na poziomie minus jeden.
- Po co?
- Znalazłam nasze laptopy.

ROZDZIAŁ

93

Heather minęła otwarte drzwi windy na drugim piętrze pod ziemią i dalej się wspinała, aż zawisła metr nad wyjściem na poziom minus jeden. Rozbijała ciało i skoczyła, koziołkując przy lądowaniu, dzięki czemu od razu mogła stanąć na nogi w korytarzu, w którym z góry płynęła na nią woda. Jak widziała na kamerach, ta kondygnacja została całkowicie ewakuowana, gdy uruchomiły się alarmy przeciwpożarowe i zraszacze.

Mimo to wyciągnęła berettę z kabury i wprowadziła nabój do komory. Przesuwając się naprzód na lekko ugiętych kolanach, zaczęła po kolei sprawdzać mijane po obu stronach pomieszczenia. Za sobą usłyszała lądującego i ślizgającego się Marka, który zaraz znalazł się przy niej z własną bronią w gotowości. Jennifer zwisała bezwładnie z jego pleców.

W przeciwieństwie do niższych poziomów tutaj umieszczono laboratoria i biura, ponieważ placówkę zaprojektowano tak, by najlepsze zespoły śledcze w tej branży mogły liczyć na natychmiastową pomoc techniczną. Na piętrze trzymano ekwipunek zajęty wraz z więźniami, tu go błyskawicznie analizowano i rozkładano na czynniki pierwsze, aby doprowadzić do współpracy byłych użytkowników lub zdobyć na nich haki. Na przykład telefon komórkowy zwykle dawał informacje, które biegli przesłuchujący mogli wykorzystać przeciwko badanym, i dawało to częstokroć lepszy skutek niż stosowanie tortur.

Heather przystanąła przed wybranym laboratorium, wzięła głęboki oddech i przytrzymała powietrze. Otworzyła drzwi, weszła na moment do środka, złapała najbliższe krzesło i użyła go, by przyblokować wejście, gdy halon uciekał na korytarz. Sam gaz nie był szkodliwy, ale wypierał z powietrza mieszaninę azotu

z tlenem, która podsycala ogień i pozwalała ludziom oddychać. Nie czekając, aż wszystko się ulotni, dziewczyna ponownie weszła do pomieszczenia i włączyła światła. Mark niosący Jennifer pełnił wartę za drzwiami.

Laboratorium znajdowało się w dużej sali, dwadzieścia metrów na szesnaście, z podniesioną podłogą mieszczącą pod spodem okablowanie. Rzędy blatów roboczych dzieliły pokój na cztery sekcje. W trzeciej z nich Heather znalazła to, czego szukała. Obydwa laptopy zostały rozebrane, a płyty główne i procesory podpięto do innych systemów pozwalających nagrywać całą aktywność elektryczną odbywającą się w ich obwodach. Heather zignorowała te podzespoły, a zamiast tego zlokalizowała dwa specjalnie zmodyfikowane klucze USB. Wyjęła je z gniazd i wrzuciła do małej zapinanej torebki plastikowej, którą wzięła z zapasów rozrzuconych na blacie, po czym skierowała się z powrotem do drzwi.

Przy wejściu zatrzymała się na chwilę, by zdjąć z wieszaka biały fartuch laboratoryjny, zsunęła z siebie mokrą szpitalną koszulę, spięła fartuch pasem taktycznym i wyszła znów na korytarz. Przebywała w laboratorium zaledwie trzy minuty z niewielkim okładem i miała pewność, że wstrzymałaby oddech przez kolejnych siedem. Mimo to dobrze było wypełnić płuca świeżym powietrzem.

Nieco orzeźwiona zimnym deszczem, Jennifer wierciła się na plecach Marka, słabo protestując przeciwko uprząży łączącej ją z bratem. Z góry dobiegł odgłos odległej palby.

- Masz je? – spytał chłopak.
- Nic więcej nie potrzebujemy.
- Czyli na górę i na zewnątrz.
- Szyb kończy się we wnęce jakieś piętnaście metrów od głównego wejścia. Obecnie trwa tam zaciekle walka, ale przy wyjściu na parking powinniśmy się spotkać z minimalnym oporem.
- Minimalnym?
- Od trzech do pięciu strażników. W oparciu o mój ostatni rzut oka na obraz z kamery prawdopodobieństwo wynosi

osiemdziesiąt siedem procent.

– No to ruszajmy.

Heather biegiem poprowadziła ich do szybu windy. Z ostatniego kroku wybiła się do liny. Strzelanina zrobiła się teraz głośniejsza i przecinały ją wrzaski oraz krzyki bólu. Gdy dziewczyna zbliżyła się do otwartych drzwi na parterze, spowolniła tempo wspinaczki. Ubrany na czarno wartownik klęczał odwrócony w drugą stronę i strzelał w kierunku wyjścia. Wypaliła mu w tył głowy.

Skoczyła z kabla do wnęki, złapała mężczyznę za stopy i przeciągnęła go bliżej windy, a Mark w tym czasie wylądował obok niej.

– Weź jego mundur! – krzyknęła Heather, by usłyszał ją przez odgłosy walki w wejściu do budynku. – Będę cię osłaniać.

Mark odpiął z siebie Jennifer, a Heather w tym czasie zabrała wartownikowi karabin SCAR-H wraz z magazynkami i przykucnęła w pozycji obronnej przy narożniku głównego korytarza. Gdy po chwili się obejrzała, chłopak miał już na sobie czarny strój i kończył wiązać buty. Rzuciła mu karabin.

– Ja poniosę Jen – powiedziała. – Wyprowadź nas stąd.

Gdy Heather zarzuciła sobie ciało Jennifer na ramię, zobaczyła, jak Mark wychyla się za róg i wypuszcza dwa szybkie strzały. Widząc, że wskazuje jej, by szła, rzuciła się biegiem przez korytarz, a skręcając za róg, usłyszała, że chłopak znów strzela. Dostrzegł ją kolejny przykucnięty strażnik i zawahał się, widząc dziewczynę w białym fartuchu niosącą nieprzytomną więźniarkę w pomarańczowym stroju. Heather wypuściła mu między oczy dziewięciomilimetrową kulę i jego pozbawione życia ciało uderzyło o podłogę.

Gdy dotarła do drzwi prowadzących na parking, usłyszała kroki Marka dudniące za nią w korytarzu. Obróciła klamkę i odsunęła się na bok. Chłopak grzmotnął barkiem w skrzydło, uderzając nim w jednego z klęczących na zewnątrz wartowników. Drugi próbował podnieść broń, lecz Mark był zbyt szybki i jego but z siłą tarana walnął mężczyznę w pierś. Dwa pociągnięcia za spust upewniły nastolatka, że żaden z przeciwników nie będzie już

stanowił zagrożenia.

Obejrawszy się na korytarz, Heather ujrzała arabskiego więźnia wyglądającego zza rogu. Wypuściła kulę, która trafiła dżihadystę w gardło i rozłożyła go na ziemi.

– Mam ich kluczyki – oznajmił Mark. – Chodźmy.

Pochyliwszy się tak nisko, jak tylko mogła z Jennifer dalej wiszącą na jej ramieniu, Heather biegła za Markiem wzdłuż zaparkowanych samochodów, podczas gdy on klikał w przyciski na obu pilotach. Biały ford edge w połowie drugiego rzędu nagrodził ich wreszcie piśnięciem i błyskiem reflektorów.

Heather położyła Jennifer na tylnej kanapie i wsiadła na fotel pasażera, a Mark przełączył automatyczną skrzynię biegów na tryb jazdy do przodu i z piskiem opon wjechał na rampę wyjazdową. Gdy opuszczali budynek, ślizgając się bokiem i zostawiając za sobą czarny opar z opon, tylna szyba ich auta roztrzaskała się pod gradem kul. Heather opróżniła berettę wzdłuż szacowanej wstecznej trajektorii. Pokonali zakręt i z wyłączonymi światłami wjechali z poślizgiem w Canine Road, a później skręcili w lewo w Rockenbach z całą szybkością, jaką chłopak mógł wycisnąć z nowego forda.

– Krwawisz.

Troska w głosie Marka sprawiła, że Heather uświadomiła sobie ćmiący ból na lewej skroni. Musnęła to miejsce dłonią i poczuła wilgoć.

– To tylko odbity kawałek szkła. Cholernie krwawi, ale nic więcej mi nie jest.

Na Cooper Avenue nastolatek znów skręcił w lewo i pozwolił samochodowi wytracić prędkość, gdy wjechali między domy otoczone lasem. Kolejny raz w lewo i znaleźli się na Ninety-First Division Boulevard, przejechali obok Colyer Loop i znaleźli się na Anderson Loop. Mark zaparkował forda na krawężniku, szukając miejsca, gdzie odstęp między budynkami był największy. Wyłączył oświetlenie wewnętrzne, otworzył drzwi kierowcy i wysiadł w ciemność. Heather uczyniła to samo z przeciwnej strony.

Gdy uchyliła tylne drzwi, chłopak podszedł do niej.

– Ja poniosę Jen – powiedział. – Ty weź to.

Podał jej karabin i wziął siostrę z siedzenia.

Heather przystanąła, by posłuchać odgłosów odległej palby i syren, i pozwoliła umysłowi przeanalizować najbardziej prawdopodobne scenariusze. Ktoś z samego rana znajdzie podziurawiony kulami samochód. I niech znajduje.

Odsunęła się od forda i żwawym krokiem przez trawnik pomiędzy domami ruszyła w stronę rozciągającego się dalej lasu. Mark szedł u jej boku w milczeniu.

Piłka” Wilson wkroczył do holu Lodowego Domu otoczony drużyną Delta. Żołnierze sił specjalnych pojawili się na miejscu w mniej niż godzinę, a przed niecałymi dziesięcioma minutami ogłosili, że teren jest zabezpieczony. Budynek ucierpiał już podczas początkowej strzelaniny, a przyjazd komandosów zdecydowanie nie poprawił jego stanu.

Do szefa NSA podszedł szczupły mężczyzna o kanciastej szczęce, cały ubrany w czerni.

– Generale Wilson, jestem Bob Chavez. Dowodzę tą drużyną.

Wilson zmierzył rozmówcę wzrokiem. Typowy Delta. Sprawny. Zadziorny. Bardziej najemnik niż wojskowy. Większość żołnierzy sił specjalnych chciała być właśnie taka.

– Ma pan czas, żeby mnie oprowadzić?

– Czasu mi nie brakuje, generale. Wrogów już nie ma.

– Został ktoś żywy?

– Kilku uciekło, zanim się zjawiliśmy. Reszta nie żyje. Nie mogliśmy pozwolić, żeby siedemdziesiąt dwie dziewczice długo na nich czekały.

Właśnie takiej odpowiedzi spodziewał się Piłka. Żadna tragedia. Już dawno wyciągnęli z Arabów wszelkie informacje, które mogli od nich uzyskać, a teraz rząd zaoszczędził na wydatkach i uniknął kłopotu związanego z jawnymi procesami. Koszt remontu placówki zwróci się z nawiązką. Prawdziwą stratę stanowiło natomiast troje współników Gregory’ego.

– Znaleźliście ciała jakichś białych?

– Trudno stwierdzić. Potrzebna będzie do tego dobra ekipa kryminalistyczna.

Najpierw zeszedli klatką schodową na poziom minus cztery, po czym przesuwali się w górę, przystając co chwila, by Piłka mógł

zajrzeć do każdej celi, pomieszczenia i laboratorium. Po drodze Chavez przedstawiał pełne sprawozdanie. Cała walka miała miejsce na kondygnacjach minus cztery, minus trzy i na parterze. Z ciał zostały zakrwawione szczątki, rozerwane kulami i materiałami wybuchowymi. Szkody na poziomach minus dwa oraz minus jeden ograniczyły się do tych wyrządzonych przez wodę lejącą się ze zraszaczy. Laboratoria wydawały się znajdować w dobrym stanie, a to dlatego, że jako środek przeciwpożarowy wykorzystano w nich halon. Jak na ironię, w Lodowym Domu poginęli ludzie, lecz elektronika była bezpieczna.

Generał zatrzymał się w laboratorium elektronicznym na kondygnacji minus jeden i podszedł do stanowiska Eileen Wu. Z tego, co mógł stwierdzić, nic się tu nie zmieniło. Laptopy od Gregory'ego wciąż zajmowały blat, a ich wnętrza tkwiły przymocowane do stelaży. Wpatrując się w to wszystko, Wilson pomyślał, że w świecie androidów Hex byłaby doskonałą lekarką medycyny sądowej.

Cóż, gdy prawdziwi specjaliści od tych spraw skończą już z tą rzeźnią, Eileen i pozostali będą mogli sprawdzić, które ze sprzętów jeszcze działają.

- Dzięki, Bob - oznajmił Piłka. - Sam trafię do wyjścia.

- Nie mogę na to pozwolić, generale. Mógłby się pan potknąć na schodach. Jak by to wyglądało w moim raporcie?

Wizerunek wyszczerzonego w uśmiechu Chaveza towarzyszył Wilsonowi przez całą drogę powrotną do siedziby NSA.

ROZDZIAŁ

95

Profesor Donald Stephenson nie był zadowolony. W wyniku wypadku zginęły trzy osoby. Co ważniejsze, opóźniło to budowę o dwa tygodnie. Teraz zgraja związkowych francuskich budowlańców narzekała, że napięty harmonogram pracy narażał bezpieczeństwo robotników. Stephenson dopiero skończył tłumaczyć tej bandzie idiotów, że jeśli nie nadrobią opóźnień, czarna dziura znacznie bardziej narazi bezpieczeństwo robotników. Poza tym, gdyby wykonywali swą pracę w odpowiedni sposób, nie byłoby wypadków.

Na szczęście żadne z nowych urządzeń nie zostało uszkodzone, gdy zerwała się lina dźwigu, zrzucając zdemontowaną sekcję detektorów mionów na podłogę komory ATLAS i miażdżąc pod nią trzech członków ekipy budowlanej. Katastrofa zniszczyła jednak potrzebny sprzęt budowlany, stąd wziął się poślizg. Cóż, musieli to nadrobić.

Jednak nie wszystkie wieści były złe. Stephenson skupił się na najnowszych raportach donoszących o postępach zespołu budującego rozpraszacz materii. Najwyraźniej ich kierownik robót potrafił odróżnić swoją dupę od dziury w ziemi. Po zakończeniu prac nad obwodem elektrycznym jego brygada znajdowała się już wręcz do przodu w stosunku do harmonogramu. Przy tym tempie już za miesiąc będą gotowi na pierwszy test konwersji materii na energię w małej skali.

Zalogował się do swojego komputera, używając biometrycznego skanu odcisku palca i sześćdziesięciocznaroznakowego hasła, które zmieniało się co godzina na podstawie schematu opracowanego przez Stephensona i tylko jemu znanego. Od czasu problemów z Nancy Anatole dokonał paru poprawek w kwestii bezpieczeństwa, aby

już nie martwić się tym, że jakiś haker mógłby wejść do jego prywatnego systemu. Było to jednak kłopotliwe i nie poprawiło mu bieżącego nastroju.

Cała jego praca, ostatnich czterdzieści kilka lat, doprowadziła do tego odgałęzienia Projektu Rho. W zasadzie miał ochotę uścisnąć Freddy'emu Hagermanowi rękę za to, że dziennikarz pchnął jego harmonogram naprzód. Gdy w wieczór Dnia Dziękczynienia wszystko się popsuło, naukowiec był zmuszony wykorzystać Raula, aby wygenerować anomalię, nawet jeśli miało się to odbyć kosztem całkowitego wyczerpania ogniów energetycznych okrętu Rho, a w związku z tym jego trwałej dezaktywacji. Jednak za sześć miesięcy świat obudzi się z nowym świtem, w złotej erze wiedzy oraz oświecenia. Nikt nie znał prawdziwego celu budowy bramy i nikt nie ośmieli się teraz powstrzymać jego dzieła. Listopadowa Anomalia to zagwarantowała.

Porażka nie wchodziła w grę. Albo ten projekt zostanie pomyślnie ukończony w odpowiednim czasie, albo też Ziemia, a może nawet cały Układ Słoneczny zniknie w nowej czarnej dziurze, której horyzont zdarzeń pochłonie wszystko, co znajdzie się w jej zasięgu. I z każdym skrawkiem dodatkowej materii ten horyzont będzie się powiększał.

Odsunąwszy na bok wszelkie myśli o tym, co nie do pomyślenia, profesor Stephenson zabrał się do pracy nad takimi modyfikacjami planu robót w grocie ATLAS, by jakoś zniwelować bieżące opóźnienie. Robotnikom się to nie spodoba, ale do tej pory nic w tym projekcie im się nie podobało. Naukowiec był jednak pewien jednego: niezależnie od swoich odczuć, zrobią wszystko, czego się od nich zażąda.

Między domami na New Cut Road znajdowały się spore odstępy, a poszczególne parcele sięgały mocno w głąb gęstego lasu, dzięki czemu właściciele mieli wrażenie sporego oddalenia od sąsiadów. Heather przykucnęła obok Marka i Jennifer w pobliżu jednego z takich domów, gdy świt malował niebo na wschodzie brzoskwiniowym blaskiem. Przebyli niecałe dwadzieścia trzy kilometry okrężną drogą przez lasy stanu Maryland, dzięki czemu znaleźli się mniej więcej osiem kilometrów w linii prostej od Fort Meade. Heather chciała się jeszcze bardziej oddalić, ale zdecydowali się zachowywać ostrożność, cofali się po swoich śladach lub wchodzili do strumieni, aby psy nie trafiły na ich trop.

Dziewczyna wiedziała jednak, że NSA nie użyje zbyt szybko psów. Zanim agencja zabierze się za poszukiwania, należało ustalić, kto przeżył, a kto zginął minionej nocy w kompleksie. Gdy agenci znajdą porzuconego forda i ściągną z niego odciski palców, będą wiedzieć, że nastolatki znaleźli się wśród uciekinierów, jeśli w ogóle ktoś oprócz nich zdołał umknąć. Takie rzeczy zajmowały czas nawet w sprzyjających okolicznościach, a chaos wywołany eksplozjami Jacka jedynie pogorszył sytuację.

Trochę po czwartej rano Jennifer wygrzebała się wreszcie z narkotykowego otępienia i doszła do siebie na tyle, by móc funkcjonować bez pomocy przyjaciół. To dobrze. Wszyscy musieli działać na najwyższych obrotach przez najbliższą dobę.

Odgłos otwierających się drzwi garażowych zwrócił uwagę Heather. Jak się spodziewała, obydwa samochody wyjechały po kolei na podjazd, a następnie ruszyły drogą, wrota zaś zasunęły się za nimi z hurgotem. Dwoje pracujących dorosłych. Żadnych dzieci. Właśnie dlatego oraz z powodu odosobnienia dziewczyna

wybrała ten konkretny dom.

Poprowadziła pozostałych pod boczną ścianę, gdzie szybko sprawdziła liczniki elektryczne, skrzynkę podłączeniową kablówki i przewody telefoniczne. Potrzebowała dokładnie pięćdziesięciu trzech sekund, by obejść system zabezpieczający. Skinęła głową Markowi, który złamał kłódkę na bocznych drzwiach do garażu, po czym weszli do środka.

Przeszukali dom, najpierw parter, później piętro, piwnicę zostawiając sobie na koniec.

– Wszędzie czysto. – Głos Marka dobiegający z dołu pozwolił Heather po raz pierwszy od tygodni opuścić gardę. Choć wiedziała, że to długo nie potrwa, poczuła się cholernie dobrze.

– Chcesz pierwszy wziąć prysznic?

Chłopak pokręcił głową i przyjrzał się dokładnie dziewczynie.

– Ty i Jen zajmijcie obydwie łazienki, a ja będę pilnować. Wyglądacie, jakbyście przeszli przez piekło.

Dziewczyny nie oponowały. Po dwudziestu minutach zeszły znów na dół, ubrane w dżinsy i bluzki o kilka rozmiarów za duże, ale i tak znacznie lepsze niż fartuch laboratoryjny czy pomarańczowy strój więzienny.

– Twoja kolej. Teraz ja popilnuję, a Jen zhakuje ich laptop.

Mark podał jej karabin i dwa zapasowe magazynki.

– Skoro jesteś w pobliżu, to sprawdź, co w lodówce – zawołał, idąc na górę do głównej sypialni. – Mógłbym zjeść konia z kopytami.

Heather weszła za Jennifer do gabinetu sąsiadującego z przedsionkiem. Miały stąd dobry widok na miejsce, gdzie zakrzywiona droga zniknęła między drzewami otaczającymi dom. Jen usiadła przed laptopem i przytrzymała przez kilka sekund przycisk zasilania, czekając na wyłączenie komputera, do tej pory pozostającego w trybie uśpienia. Następnie wsunęła klucz podprzestrzenny do portu USB po prawej stronie, na powrót włączyła della, wyświetliła ekran BIOS i ustawiła komputer na bootowanie z urządzenia USB, dzięki czemu mogła ominąć logowanie. Gdy pojawił się pulpit Windows, uśmiechnęła się i strzeliła kostkami palców.

– Kurczę, tęskniłam za tym.

Na oczach Heather jej przyjaciółka rozpoczęła przeszukiwanie sieci i zapamiętywała położenie kluczowych miejsc, do których chciała się dostać. Usatysfakcjonowana, wzięła się do zupełnie innej kwerendy, tym razem przy użyciu podprzestrzennego urządzenia nadawczo-odbiorczego.

– Sprawdź najpierw wiadomości od Jacka – rzekła Heather. – Potem będziesz mogła zacząć hakowanie.

Jen skinęła głową i skupiła się na przeglądarce internetowej.

Gregory umieszczał zaszyfrowane wiadomości na kilku profilach facebookowych, używając oprogramowania kodującego zaprojektowanego przez obie dziewczyny. Choć nie dysponowały tym programem, potrzebowały tylko kilku chwil na pobranie najnowszej wersji Java Development Kit i zainstalowanie jej w laptopie. Od tamtej chwili do skończenia i uruchomienia aplikacji miną nie godziny, lecz minuty.

Gdy Jennifer zasiadła do pracy, Heather podeszła do okna i wyrzała przez szybę. Nie licząc kilku ptaków dziobiących trawę koło drogi, nie dostrzegła żadnego ruchu. Dziewczyna opuściła gabinet, odblokowała drzwi frontowe i wyszła na zewnątrz. Wchodząc między drzewa, zauważyła wąską ścieżkę prowadzącą od podjazdu do lasu. Piętnaście metrów później dróżka skręciła mocno w lewo i skierowała się w stronę uliczki łączącej podobne ścieżynki. Piski dzieci bawiących się w oddali na podwórku wybijały się ponad inne dźwięki.

Heather skręciła z dróżki i obeszła dom szerokim łukiem przez las, nie robiąc więcej hałasu niż polna mysz, choć na jej stopach znajdowały się zbyt duże najki. Nie znalazłszy niczego zwracającego uwagę, wróciła do środka, znów przez drzwi frontowe, które zamknęła za sobą. Mark schodził akurat po schodach, jego ubranie było lepiej dopasowane: dżinsy, czarny T-shirt i para butów do biegania New Balance. Co ważniejsze, po raz pierwszy od tygodni ogolił się. Stracił tyle wagi, że ta niewielka ilość tłuszczu, którą miał wcześniej, spadła niemal do zera, dzięki czemu mięśnie rąk uwidaczniały się pod skórą niczym napięte liny.

– Jak twoja głowa? – Wskazał bandaż na skraju jej linii włosów. Heather podniosła dłoń, by dotknąć opatrunku.

– Będę żyła. Jesteś gotów coś zjeść?

– Co mają?

– Jeszcze nie sprawdzałam.

Mark skręcił do kuchni, a dziewczyna poszła za nim.

– W takim domu, parę kilometrów od najbliższego sklepu, pewnie jest pełna lodówka – uznała.

Nie była pełna, ale znaleźli w środku wystarczająco dużo produktów, by na twarzy chłopaka pojawił się uśmiech: skrzydełka z kurczaka, klops, purée ziemniaczane i pół brytfanny zapiekanki z zielonym groszkiem. Heather nałożyła na talerze porcje dla siebie i Jennifer, zostawiając Markowi resztę do skończenia.

Gdy postawiła obok laptopa ciepłe od mikrofalówki naczynie, Jen nawet nie zauważyła.

– Podano do stołu.

– Tak, jasne. Daj mi sekundkę.

Ponieważ Heather widywała już Jen pogrążoną w programistycznym transie, zostawiła ją i wróciła do kuchni. Jeśli jedzenie ostygnie, przyjaciółka zawsze będzie mogła je sobie odgrzać.

Wyciągnęła z kuchenki własny talerz i usiadła obok Marka, zaskoczona, że ten niemal uporał się już z pierwszą porcją. Od zapachów tak ciekła jej ślinka, że obawiała się, iż zapluje się przy pierwszym kęsie. Nie stało się tak, a klops smakował równie dobrze, jak pachniał. Z jakiegoś powodu Heather nie potrafiła go jednak przełknąć.

Wstała, szybko podeszła do zlewu, pochyliła się i zwymiotowała do młynka na odpadki. Mark zaraz znalazł się przy niej, obejmując ją w pasie.

– Co się dzieje?

Heather splunęła i próbowała odpowiedzieć, lecz znów targnęły nią mdłości. To było głupie. Jack i Janet ostrzegali ich, jakie są następstwa zabójstwa człowieka. Wydawało jej się, że skoro już widziała, jak Mark pozbawiał kogoś życia, będzie odporna na tę

reakcję. Teraz jednak opuściła mentalną gardę, którą trzymała przez cały okres niewoli, i jej umysł zalały wspomnienia zabitych przez nią żołnierzy SEAL oraz strażników w więzieniu NSA. Synowie Ameryki. Bohaterowie służący swojemu krajowi. Też mieli rodziny, a ona pozbawiła ich wszystkich życia. I choć uważała, że zrobiła tak, ponieważ nie miała innego wyjścia, wcale jej to nie pomagało.

Odkręciła zimną wodę, przepłukała usta, obmyła twarz i włączyła młynek. Gdy odwróciła się w stronę Marka, nic nie powiedział, jedynie przytulił ją silnymi rękoma. Łzy leciały dziewczynie coraz szybciej, aż utworzyły strumyczki na policzkach.

– Mark... Widziałam nasze przyszłości. I większość z nich, te najbardziej prawdopodobne, są tak... tak mroczne. I nie tylko dla nas. Dla wszystkich.

– Spójrz na mnie. – Chłopak odsuwał się, aż skrzyżował z nią wzrok, odciągając przyjaciółkę od wizji i skupiając jej spojrzenie na swoich oczach. – Gównu mnie obchodzą te przyszłości. Co do jednej. Jestem w terażniejszości. I mam wiadomość dla każdego, kto podejmie próbę przywołania tego mroku. Jeśli spróbują coś nam zrobić, pożałują tego. Wiem, że to nie ma matematycznego sensu, ale chcę, żebyś zapomniała o każdej przyszłości, która nie idzie po naszej myśli. Nawet jeśli prawdopodobieństwo wynosi dziewięćdziesiąt dziewięć procent, odrzuć to. Nie możemy tracić energii na walkę przeciwko złym rezultatom cudzych działań. Uda nam się, tylko jeśli będziemy się skupiać na tym, co według nas powinno się wydarzyć. Wyobraź to sobie. Znajdź dla nas drogę.

Heather uspokoiła się, wytarła oczy i skinęła głową. Gdy próbował znów przyciągnąć dziewczynę bliżej siebie, powstrzymała go.

– Już mi lepiej. Chyba znowu spróbuję coś zjeść.

Gdy usiadła nad talerzem, zrobiła to, o co prosił ją Mark. Zaczęła przeżuwać i wypchnęła z umysłu wszystkie mroczne wizje. Jak mawiał jej dziadek: „Jeśli zamierzasz grać o wysoką stawkę, daj koniom biec”.

Eileen Wu była sfrustrowana. Jazda o czwartej rano z mieszkania w Annapolis do Fort Meade nie stanowiła dla niej problemu, przynajmniej dopóki hakerka nie dotarła do Meade. Droga dojazdowa zakorkowała się z powodu wezwanych pracowników NSA oraz wciąż nadjeżdżających wojskowych i rządowych ekip śledczych, więc dziewczyna przejechała przez bramę dopiero o szóstej trzydzieści pięć.

Na parkingu NSA trwał koszmar. Garaż kryjący pod sobą Lodowy Dom został zamknięty, w związku z czym wszyscy musieli szukać postoju na zewnątrz, i pomimo wczesnej pory Hex jeździła długo między rzędami samochodów, aż wreszcie udało jej się wcisnąć w wolne miejsce czterysta metrów od budynku.

Nastrój nie poprawił jej się, gdy dotarła do budynku i odkryła, że nikt nie może wchodzić do jej laboratorium, dopóki specjaliści nie zakończą badania miejsca zbrodni. Co gorsza, nawet jeszcze nie zaczęli go badać. Ochroniarze nie chcieli wpuszczać techników kryminalistycznych i medycznych, dopóki nie zostaną potwierdzone ich poświadczenia bezpieczeństwa. Nawet gdy tak się stało, strażnicy wciąż nie pozwalali wchodzić. Bo owszem, ci technicy mieli dostęp do informacji ściśle tajnych, ale Lodowy Dom był objęty najwyższą klauzulą tajności.

Również w przypadku Eileen żadne argumenty, kłótnie, a nawet marudzenie i wpadnięcie w szal nie dały żadnego efektu. Nie dostanie dostępu, dopóki technicy nie skończą. Spróbowała nawet podstępnie słowami: „Ale to ja odpowiadam za kryminalistykę elektroniczną”. Bez skutku. Zapadła cisza i nikt nie słuchał.

Nie pomogło nawet zwrócenie się bezpośrednio do generała Wilsona. Piłka zajmował się już łagodzeniem wymagań

bezpieczeństwa, by ekipy kryminalistyczne mogły wejść do Lodowego Domu, i Hex po prostu nie znajdowała się na szczycie jego listy priorytetów. Owszem, będzie mogła zbadać, w jaki sposób ktoś zdołał przeniknąć elektroniczne systemy kontroli placówki, ale dopiero po usunięciu wszystkich ciał.

Zanim została wpuszczona do budynku, było już wpół do piątej po południu. Przystanąła w holu, by się rozejrzeć. Lodowy Dom znajdował się w paskudnym stanie. Podłogę pokrywały odłamki betonu, rozbite szkło, a także kawałki drewna ze ścian oraz mebli roztrzaskanych przez kule i amunicję wybuchową.

Eileen szła w stronę klatki schodowej, przedzierając się przez labirynt z żółtej taśmy, niepozwalającej ludziom wchodzić w miejsca, gdzie wciąż pracowali śledczy. Zabrano ciała, lecz pozostał po nich smród śmierci zatykający dziewczynie nozdrza. Wszędzie, gdzie spojrzała, stojąca woda miała czerwone zabarwienie.

Hakerka odwróciła wzrok i skupiła się na dotarciu do schodów bez wymiotowania. Na klatce było zresztą jeszcze gorzej, widziała wszędzie ślady walki, którą stoczono tu, gdy drużyna Delta starała się wywalczyć sobie drogę na dół.

Na poziomie minus jeden Hex przeszła przez otwarte drzwi i odetchnęła z ulgą. W korytarzu łączącym laboratoria wciąż było mokro, ale w wodzie nie widziała śladów krwi. Pomieszczenia otwarte, by wywietrzyć halon, i choć część wilgoci z korytarza dostała się pod podniesioną podłogę, uszkodzenia elektroniki powinny okazać się minimalne.

Gdy Eileen weszła do swojego pomieszczenia, skierowała natychmiast kroki do blatu, na którym rozłożyła laptopy od Gregory'ego. Z początku wydawało jej się, że wszystko jest w porządku. I nagle zauważyła. Zniknął klucz USB, który wpięła do płytki uniwersalnej. Dziewczyna zerknęła na przeciwną stronę biurka i zaklęła przez zaciśnięte zęby. Drugiego urządzenia też brakowało.

Bez zastanowienia podniosła słuchawkę telefonu z widełek. Cholera. Brak sygnału. A komórkę kazano jej zostawić przed bezpieczną strefą.

Zastanawiała się, czy wrócić na zewnątrz, by zgłosić sprawę przez telefon, ale odrzuciła ten pomysł. Najpierw musiała przeprowadzić staranną inspekcję, by sprawdzić, czy nie zginęło lub nie zostało zmodyfikowane coś jeszcze. Nie miała zamiaru udzielać niekompletnych odpowiedzi na pytania, które zostaną jej zadane. Choć Piłka próbował ustalić, co się tu wydarzyło, nie ucieszyłyby się, otrzymując nieprzydatne informacje.

Hex usiadła na krześle i rozpoczęła metodyczną pracę analityczną, z której słynęła. Niepokojące obrazy i zapachy z reszty budynku w końcu zaczęły umykać z jej głowy.

ROZDZIAŁ

98

Jack się nie lenił – powiedziała Jennifer, gdy Mark i Heather weszli do gabinetu.

– Nic w tym zaskakującego – odparł chłopak, z zadowoleniem dostrzegając bystrość wzroku siostry.

– Pamiętacie tego policjanta Navajo, który ukrył Jacka i Janet w rezerwacie Santa Clara?

– Wysokiego Niedźwiedzia.

– Zgadza się. Najwyraźniej stał się niezłą szyczą w Sojuszu Rdzennych Ludów, nowej federacji walczącej o autonomię plemion. W całym tym gównie, które dzieje się w kraju, Sojusz ogłosił niepodległość. Wysoki Niedźwiedź jako świeżo wybrany przywódca Narodu Navajo ma naprawdę niezłą siłę przebicia. Mówi się, że może zostać pierwszym prezydentem całego Sojuszu.

Heather pokręciła głową.

– Co to ma wspólnego z Jackiem? – spytała.

– Skontaktował nas z amerykańskim odpowiednikiem francuskiego ruchu oporu. Jeśli uda nam się dotrzeć do rezerwatu, Sojusz zgodził się wziąć nas pod swoją opiekę.

Mark podszedł do okna i wyrżał na pusty podjazd, rozmyślając o słowach Jennifer.

– Dlaczego władze dotąd nie zmiażdżyły brutalnie tego Sojuszu? – spytał.

– Jeszcze zanim zostaliśmy pojmani, sprawy wymknęły się spod kontroli. Rząd zdołał zaprowadzić porządek na osi Waszyngton–Boston, a także w największych metropoliach, z wyjątkiem Detroit, które jest w zasadzie ziemią niczyją. Większość kraju to jeden wielki miszmasz. Niektóre obszary są całkiem niezłe zorganizowane. Inne zdecydowanie mniej. Coraz trudniej zdobyć

żywność i zapasy. Sojusz to relatywnie niewielka niedogodność.

– Chaos powinien nam pomóc.

– Gdy tylko wyrwiemy się już z terenów kontrolowanych przez władze – dodała Heather.

– Najlepszym rozwiązaniem dla nas wydają się Senekowie w zachodniej części stanu Nowy Jork. To duże, zamożne plemię, uzyskujące ponad miliard dolarów rocznie ze swoich kasyn i sklepów. Ma silne związki z Sojuszem.

– Będziemy potrzebowali pieniędzy i dokumentów.

– Już się tym zajęłam. Zorganizowałam dostawę trzech tożsamości, które przygotowaliśmy w Boliwii. Paszporty i prawa jazdy powinny jutro dotrzeć pocztą priorytetową. Musimy się tylko dostać do Harrisburga, gdzie założyłam skrytki pocztowe na te nazwiska. Mamy też konta w Bank of America, Citibanku i Chase.

Przelałam tam środki, które wystarczą nam na najbliższy czas. Dobre wieści: nasze nowe wcielenia mają doskonałą historię kredytową.

Jennifer sięgnęła po stos kartek z drukarki i podała je pozostałej dwójce.

– Oto informacje o was. Poświęćcie chwilkę, żeby je sobie wskanować. Możecie już spakować laptop. Poza tym zamieniłam nasze cyfrowe odciski palców i zapiski DNA w federalnych bazach danych na należące do znanych przestępców.

Heather skinęła głową.

– Musimy sprawić, żeby to wyglądało na zwyczajne włamanie. Gdy będziemy wychodzić, zabiorę biżuterię. Potrzebny nam też samochód.

– Będą się zastanawiać, dlaczego zginęły ubrania.

– To nieistotne. Zanim się zorientują, znajdziemy się już daleko.

Mark zerknął na zegarek, wziął głęboki oddech i wypuścił go powoli. Jedenasta dwadzieścia cztery, tuż przed południem. Dobra pora, by rozpocząć resztę życia.

– No dobrze – stwierdził. – Do roboty.

ROZDZIAŁ

99

Fabryka US Food Service w Severn w stanie Maryland była wielkim zakładem. Główny budynek składał się tak naprawdę z dwóch mniejszych połączonych jednym rogiem. Całe przedsiębiorstwo skonstruowano w taki sposób, by ułatwić załadunek i rozładunek dużych ciężarówek, a parkingi dla pracowników umieszczono po dwóch bokach, ten na północnym wschodzie był okolony drzewami. Właśnie takiego miejsca szukała Heather. Wczesne popołudnie oznaczało, że na parkingu stało mnóstwo aut należących do ludzi, którzy wrócili już z przerwy lunchowej na popołudniową zmianę, a jeszcze było zbyt wcześnie, żeby myśleli o odjeździe.

Jennifer wyszła spomiędzy drzew od północy, usiadła na krawężniku i otworzyła skradziony laptop, czekając piętnaście sekund, by obudził się z trybu uśpienia. Mark i Heather pełnili straż, a ona uruchomiła skanowanie. Dzięki urządzeniu podprzestrzennemu nie potrzebowała żadnych furtek ani luk bezpieczeństwa, jakie potrafił wykorzystać jej robak. Ograniczyła promień skanowania do stu metrów i ekran wypełniał się listą systemów uszeregowanych według odległości, z tymi najbliższymi na samej górze.

Ludzie uważali samochody za urządzenia mechaniczne i dawniej rzeczywiście tak było. Teraz auta stanowiły raczej ruchome systemy obliczeniowe, naszpikowane programowalną elektroniką. A wszystko, co dało się zaprogramować, można też było przeprogramować. Większość z tego mogli zhakować amatorzy dysponujący tanimi interfejsami bezprzewodowymi. Wszystkie były dostępne dla Jennifer, Marka lub Heather uzbrojonych w komputer i nadajnik podprzestrzenny.

Biały ford fusion pięć miejsc na prawo od Jen pisnął krótko i

błysnął światłami.

– Wygląda na to, że podstawiono transport – powiedział Mark, idąc pierwszy.

– Ty prowadź – poleciła Heather. – Jen, ty i laptop jedźcie z tyłu. Ja na fotelu pasażera.

Chłopak otworzył drzwi kierowcy, wsunął się do środka i wcisnął guzik uruchamiania silnika.

– Międzystanową I-95 na północ?

– Nie – odparła Heather. – Wolę trzymać się zwykłych dróg, przynajmniej dopóki nie dotrzemy na północ od Baltimore. Jen, jesteś gotowa?

Jennifer zamknęła drzwi i oparła się o nie barkiem, po czym położyła sobie laptop na kolanach.

– Dajcie mi chwilkę, żebym znalazła sieć sygnalizacji ulicznej i kamery. Gdy skończę początkowe sortowanie, łatwiej będzie na nowo ustawiać kolejność w ruchu. O tej porze dnia raczej uda mi się zorganizować trasę bez opóźnień.

Kiedy zaczęła pisać, poczuła, jak trzęsą jej się dłonie. Drgawki przeszły na przedramiona i barki.

– Jen, wszystko w porządku? – Heather sięgnęła w tył, by położyć przyjaciółce rękę na udzie.

Bliźniaczka skoncentrowała się i osłabiła konwulsje. Nie całkowicie, ale przynajmniej nie rzucały się już w oczy.

– Po prostu jestem na głodzie. Nie martwcie się. Poradzę sobie.

Mark wyjechał samochodem z parkingu i skręcił na północ w Telegraph Road.

– Jeśli chcesz, żebym się zatrzymał czy coś, to mów.

– Nie trzeba.

Heather pokręciła głową.

– Sprawdź logi miejscowej policji – rzekła.

– Już się robi. – Jennifer otworzyła na ekranie kolejne okienko. – Cholera! Mamy problem.

– Co?

– Po prostu pech. Właściciel naszego samochodu musiał widzieć, jak wyjeżdżamy z parkingu, i zawiadomił gliny. Radiowóz jest niecały kilometr na północ na Telegraph Road i

jedzie w naszą stronę.

– Możesz zmienić zgłoszenie?

– Dajcie mi moment – odparła Jennifer.

Czując na sobie wzrok Heather, przeskanowała policyjną bazę danych w poszukiwaniu odpowiedniego wpisu. Gdy go znalazła, zmieniła kilka pozycji, zapisała i odpaliła aktualizację, która dotrze do każdego samochodowego komputera policyjnego w okolicy.

– Już. Skradzione auto to teraz czerwony ford fiesta kierujący się na wschód Donaldson Avenue, tablice z Virginii numer EAN-7301, w środku dwóch latynoskich mężczyzn.

– Nasz gliniarz?

– Wciąż jedzie na południe wzdłuż Telegraph... Moment. Zawraca.

– Gdy skręci na wschód w Donaldson, zorganizuj mu problem z silnikiem.

Jennifer uśmiechnęła się.

– Nie jest to najnowszy model w siłach policyjnych Glen Burnie, ale ma elektroniczny system zapłonu. Łatwizna.

Heather oparła się znów w fotelu, skupiając na drodze przed nimi.

– Mark, gdy miniemy Donaldson, jedź dalej Aviation, a później skręć w międzystanową I-195 i dojeżdż do parkingu na lotnisku. Chcę tam zamienić samochody. Później wjedziemy na międzystanową I-83 do Harrisburga. Gdzie się zatrzymamy, Jen?

– Należy nam się to, co najlepsze. Motel Six na Briarsdale Road. Rano możemy podjechać do skrzytek pocztowych i zabrać nowe dokumenty. Później kupimy ubrania.

– Brzmi dobrze – przytaknął Mark.

Jennifer poczuła, jak pod jej skórą pełza kolejna porcja drgawek i tym razem nie próbowała ich powstrzymać. Widziała, że Heather to zauważyła, ale na szczęście nie zaoferowała niepożądanego pomocy.

Dziewczyna wiedziała, że walczy ze swoim ciałem pragnącym heroiny. Tortury nie skończyły się dla niej wraz z opuszczeniem siedziby NSA.

Eileen Wu bolały oczy, ale nie czuła się zmęczona. Miała wrażenie, jakby była ogarem myśliwskim, który zwęszył dużą zdobycz. Naprawdę dużą.

Gdy tylko zauważyła nieobecność dwóch kluczy USB, uznała, że coś jest nie tak z domniemanym scenariuszem ucieczki terrorystów z Al-Ka'idy. Brak urządzeń kazał sądzić, że w sprawę wmieszany jest Jack Gregory. Ale dlaczego zabrano tylko klucze? Nie znalazła w nich nic wyjątkowego, więc dlaczego zniknęły?

Gdy po raz pierwszy włączyła laptop Gregory'ego, nie mogła się doczekać, aż przejrzy wszystkie zapisane dane, ale teraz ścigała osobę lub osoby, które obeszły wszystkie zaawansowane systemy bezpieczeństwa Lodowego Domu.

Hex łatwiej było działać, gdy nadawała przeciwnikowi twarz. Może stanowiło to wynik pewnej odwrotności seksizmu, ale w jej myślach pojawiło się kobiece oblicze, dość podobne do niej. Mściwa walkiria.

Kimkolwiek była ta walkiria, uczyniła znacznie więcej niż tylko zakłócenie systemów Lodowego Domu. Wykorzystała je jako broń, aby oślepić, zmylać, a nawet zabijać swoich przeciwników. Nawet legendarny robak Stuxnet tyle nie zdziałał. Celem Stuxneta były bardzo konkretne komputery, a program walkirii wpłynął na każdy system elektroniczny w budynku, od telefonów komórkowych oraz tabletów po zaawansowane serwery, i wykorzystał luki w rozmaitych systemach operacyjnych. Największe wrażenie robiła zdolność nowego robaka do genetycznej adaptacji i ukrywania się.

Eileen już się wydawało, że zidentyfikowała unikalną sygnaturę złośliwego programu, ale gdy wróciła do maszyny, w której znalazła go przed godziną, odkryła, że zniknął. Może nie tyle

zniknął, co się ukrył. Wyczyściła dysk twardy zainfekowanego komputera, lecz okazało się, że robak przywrócił się później w innej części napędu, ponieważ zdołał zapisać swoje jądro w pamięci RAM programowalnej klawiatury.

Był niezwykle agresywny, migrował przez dowolne połączenie do pamięci zapisywalnej. Uwielbiał pamięć typu flash, ale nie gardził niczym, co pozwalało mu nagrać gdzieś swoją wersję.

Hakerkę dezorientowała chronologia wydarzeń oraz kierunek rozprzestrzeniania się infekcji. Najwyraźniej nastąpiła ona jakiś czas przed atakiem. Choć robak potrafił się świetnie replikować i ukrywać, w końcu znajdowali się w ośrodku TEMPEST. Nawet gdyby Hex założyła, że ktoś nielegalnie wniósł tu zarażoną pamięć flash lub płytę, program powinien rozsiewać się miejscami, z obszarami o wysokiej koncentracji infekcji oraz czystymi. Stało się jednak inaczej.

Zupełnie jakby robak w jednej chwili przeniknął do całej placówki, niczym promieniowanie wysokoenergetyczne. Jedno z jego zachowań zwróciło uwagę Eileen. Gdy tylko program znajdował system z możliwością połączenia z Internetem, otwierał port telnetowy, a następnie ukrywał go przed standardowymi narzędziami administratora. Dziewczyna znalazła go dzięki jednemu ze swoich specjalistycznych narzędzi, czyli aplikacji, która tworzyła własną mapę portów, a także sprawdzała wszystkie pakiety danych przechodzące przez protokoły sieciowe.

Hex zidentyfikowała inne furtki, ale była całkiem przekonana, że to port telnetowy pozwolił walkirii przejąć kontrolę nad Lodowym Domem. Kamery padły jako pierwsze, a po nich oświetlenie. Następnie otwarto wszystkie sterowane elektronicznie zamki, dzięki czemu umożliwiono ucieczkę więźniów. Te zdarzenia zostały zapoczątkowane przez wewnętrzne łącze Wi-Fi. Eileen nie wysłедиła jeszcze źródła, ale była to tylko kwestia czasu.

Bardziej interesowało ją pomieszczenie monitorujące, z którego nastąpiły kolejne ataki. Ktoś zabił dwóch strażników serią profesjonalnie wymierzonych, silnych ciosów. Dalsze wydarzenia

- wypuszczenie halonu w głównym centrum kontroli, przekierowanie obrazu z kamer na stanowisko walkirii, uruchomienie wybranych systemów przeciwpożarowych i selektywna manipulacja mechanizmami blokującymi w budynku - wskazywały na osobę z zewnątrz, być może przebraną za wartownika. Jednak kluczową sprawą był fałszywy komunikat kierujący drużyny ochroniarzy poza budynek. Został wygłoszony kobiecym głosem i dotarł do radiowęzła za pośrednictwem laptopa z pokoju strażników. Jednak zeszłej nocy na nocnej zmianie nie było żadnej kobiety.

Pozostawały zatem dwie kobiety obecne w placówce w czasie ataku: Heather McFarland i Jennifer Smythe, obie pojmane w boliwijskiej posiadłości Jacka Gregory'ego. To one i Mark Smythe byli zainteresowani zajętymi laptopami, choć Eileen nie miała pojęcia, skąd wiedzieli, gdzie szukać swojego sprzętu. I uważała, iż wyszli z budynku żywi, zwłaszcza że technicy medyczni nie zidentyfikowali ich ciał.

Nie była ekspertką w kwestii taktyki Jacka Gregory'ego, ale chaos spowodowany eksplozjami w Fort Meade wydawał się pasować do metod pracy agenta. Odchyliła się na krzesło, wyciągnęła ręce nad głowę i strzeliła kostkami palców. Zamierzała zostawić tę sprawę Leviemu i jego zespołowi. Sama miała przed sobą jeszcze mnóstwo pracy, jeśli zamierzała przyjść w pełni przygotowana na spotkanie z generałem Wilsonem o ósmej rano. Oprócz tego, kto jest sprawcą tej jatki, Piłka na pewno zechce dowiedzieć się, w jaki sposób umieszczono robaka w każdym systemie w Lodowym Domu i w jaki sposób Hex planowała się go pozbyć. Na oba te pytania nie znała jeszcze odpowiedzi.

I chciała je poznać.

ROZDZIAŁ

101

Podróż z Harrisburga w Pensylwanii do Salamanki w rezerwacie Cattaraugus w stanie Nowy Jork odbyła się bez przeszkód, lecz dla Jennifer okazała się kontynuacją zstępowania w czeluści piekielne, które rozpoczęło się poprzedniego dnia. Heather przejęła komputer, by dokonywać włamań podprzestrzennych gwarantujących im bezpieczną jazdę, a Jen skuliła się w pozycji płodowej na tylnej kanapie, na przemian to przepacając na wylot koszulkę, to znów dygocząc tak, że drgawki groziły uszkodzeniem zawieszenia w samochodzie.

Przeczytała wszystko, co znalazła o fizycznych objawach odstawienia heroiny, ale zupełnie czym innym było doświadczać ich osobiście. Heather i Mark wielokrotnie próbowali pomóc, ale mogli jedynie pozwolić jej toczyć własną walkę.

Jack umieścił w sieci zaszyfrowane instrukcje dotyczące ich spotkania i Heather je pobrała. Dzięki nim dojechali do bezpiecznego domu w Salamance, gdzie dziewczyna użyła laptopa, by zdalnie otworzyć drzwi garażu. Zostali tam na noc i jeśli wszystko pójdzie dobrze, Jack miał zjawić się rankiem. Mark i Heather zajęli się planowaniem, a Jen, dręczona coraz silniejszym obniżeniem nastroju, poszła się położyć.

Gardziła sobą za to, że dysponowała taką mocą, a jednak czuła się tak bezradna. Nic nie pomagały żadne techniki medytacyjne. Zupełnie jakby jej wzmocnienia neuronowe jeszcze bardziej nasilały efekty działania narkotyku oraz jego odstawienia.

Może podchodziła do sprawy od złej strony. Wiedziała, że przy leczeniu uzależnionych od heroiny stosowano czasami metadon. Nie zamierzała zastępować jednego narkotyku drugim, ale być może istniał jakiś inny sposób na złagodzenie objawów. Opiaty, takie jak heroina, skłaniały ciało do produkcji zwiększonych

ilości dopaminy. Być może, gdyby użyła swej doskonałej pamięci, aby przypomnieć sobie, jak się czuła przed otumanieniem, zdołałaby uzyskać taką samą reakcję organizmu. Minus polegał na tym, że wciągnęłaby się znów w stan narkotyczny.

Jej dyskusja z samą sobą nie trwała długo. Musiała poczuć to jeszcze raz. Poza tym Mark i Heather będą potrzebowali rano jej bystrego umysłu. A jeśli pomysł zadziała, uda się stopniowo zmniejszać odczuwaną potrzebę.

Jennifer oparła się o poduszki, które ułożyła na dębowym zagłówku, i przywołała odpowiednie wspomnienie. Gdy cudowny strumień zmywał wszystkie jej troski, ostatnia niezmacona myśl wywołała uśmiech na jej ustach. Podjęła dobrą decyzję.

Jack opuścił stopkę boczną i zsiadł z czarnego motocykla na betonowy podjazd, po czym przystanął w świetle wczesnego poranka, by przyjrzeć się indiańskiej okolicy otaczającej bezpieczny dom. Niektórzy określiliby ją jako „senna”, lecz jemu przychodziło do głowy słowo „martwa”. I dobrze. Czasami martwy znaczą dobry.

Ściągnął kask, podszedł do drzwi frontowych i trzy razy zapukał głośno.

Heather najpierw uchyliła skrzydło, a później je szeroko otworzyła. Otoczyła szyję Gregory’ego silnymi, szczupłymi rękoma, a on podniósł ją z ziemi. Gdy podeszła do nich Jennifer, przesunął się, by dopuścić bliźniaczkę do zbiorowego uścisku. Widząc uśmiech Marka, Jack puścił dziewczyny i podszedł, by mocno ucisnąć dłoń chłopaka. Poczuł, jak jego wnętrze wypełnia ciepło, którego nie doświadczał od dawna.

– Janet powiedziała mi, żebym was wszystkich od niej przytulił. Mark będzie musiał poczekać, żeby odebrać to sobie osobiście.

– Nie ma problemu – roześmiał się nastolatek. – I tak wolę tulić się do niej.

– Nie każmy Jackowi stać cały ranek na podjeździe – odezwała się Jen. – Poza tym w środku mniej rzucamy się w oczy.

– Dobry tok rozumowania – zgodził się Jack.

Heather poprowadziła ich do salonu, lecz Jack wniósł swoją torbę na ramię do kuchni i wyciągnął z niej jasnobrązowe koperty podpisane HEATHER, MARK i JENNIFER. Rzucił je na stół i obrócił się do Heather.

– Macie może zaparzoną kawę? Przyda się nam wszystkim, zanim się za to zabierzemy.

Heather wzięła dzbanek, a Jennifer rozstawiła cztery kubki.

Gregory przyjął parujące naczynie i usiadł naprzeciwko drzwi, postępując zgodnie ze zwyczajem tak starym, że już przestał go zauważać. Gdy pozostali zajęli krzesła, odchylił się do tyłu i uśmiechnął.

- Wiem, że zapewne jesteście ciekawi, co działo się w świecie zewnętrznym, gdy trzymali was pod kluczem, więc w ramach waszych pakietów informacyjnych przygotowałem szczegółowe podsumowanie.

Mark rozchylił metalowe języczki koperty i wysypał zawartość na stół przed sobą. Zerknął na kupkę zdjęć lotniczych oraz satelitarnych przypiętych do wydrukowanych raportów i gwizdnął.

- W środku znajdziecie kopie sprawozdań, jakie Janet i ja przygotowaliśmy na temat tego, co dzieje się w siedzibie Wielkiego Zderzacza Hadronów w Szwajcarii. Są tam również tożsamości, których użyjecie, żeby zinfiltrować projekt Listopadowa Anomalia. Zanim jednak zaczniemy, chcę posłuchać, co was spotkało przez ostatnie tygodnie, gdy NSA gościła was w Lodowym Domu.

Przez dwie godziny nastolatki opowiadali o swoim uwięzieniu. Jack chciał usłyszeć każdy szczegół, począwszy od swojej ucieczki. Szczególnie interesował się rozkładem laboratorium i stanowiskiem, z którego Heather zabrała podprzestrzenne klucze USB.

- Wygląda na to, że osoba, którą wyszukali na miejsce doktora Davida Kurtza, jest równie dobra.

- Przy stanowisku znajdowała się tabliczka z nazwiskiem „dr Eileen Wu”.

Jack wyciągnął swój laptop z torby i podał go Jennifer nad stołem.

- Sprawdź, co uda się wykopać na temat naszej nowej przyjaciółki, doktor Wu.

Gdy Jen podłączyła komputer do zasilania i uruchomiła, Jack usiadł wygodniej, szykując się, by znów oglądać jej magię w akcji.

Jak bardzo źle jest? – Generał „Piłka” Wilson skierował uwagę na Eileen Wu.

– Źle. – Poruszyła myszką, wyświetlając na ekranie ściennym diagram. – Tutaj można zobaczyć wszystkie systemy elektroniczne Lodowego Domu przed atakiem, w tym urządzenia bezprzewodowe oraz zatwierdzone tablety i smartfony.

Kliknęła przycisk i obraz się zmienił.

– A tu są systemy wciąż działające po strzelaninie. Jak państwo widzą, pomimo wszystkich kul, eksplozji i uruchomionych układów przeciwpożarowych zdecydowana większość sprzętu elektronicznego dalej funkcjonuje.

– Dlaczego?

– Bo napastnicy chcieli, aby funkcjonował. Jednym z pierwszych ich posunięć było wyłączenie oświetlenia na poziomach minus trzy i minus cztery. Odcięli światło, ale nie zasilanie.

Znów kliknęła myszką.

– A tutaj widać systemy zainfekowane przez to, co nazwałam robakiem Lód.

– Nie dostrzegam różnicy. Które systemy są zainfekowane?

– Wszystkie.

– Wszystkie?

– Absolutnie każdy element poddający się programowaniu, a także każda zapisywalna pamięć przyłączona do tych systemów. Naprawdę wszystko, nawet programowane kalkulatory, odtwarzacze MP3 i projektory multimedialne, takie jak ten nad naszymi głowami.

Piłka wpatrywał się w nią z niedowierzaniem. Ciche pomruki, które rozlegały się wśród zebranego wokół stołu kierownictwa NSA, nabrały takiej intensywności, że generał uciszył je

stanowczym wzrokiem.

- Czy wie pani, kto zainfekował moją placówkę?
- Owszem.

Cisza zawisła między nimi w powietrzu, zmuszając Hex do kontynuowania.

- Gdy wczoraj uzyskałam wreszcie dostęp do laboratorium, zauważyłam, że z mojego stanowiska zginęły dwa klucze USB. Potwierdziłam, że nie zabrano niczego oprócz nich, a później zaczęłam się zastanawiać, po co komuś byłyby tylko te urządzenia. Wówczas na nowo przejrzałam wyniki testów, które przeprowadziliśmy na dwóch laptopach. Jak przypominają sobie państwo z mojego poprzedniego sprawozdania, pierwszy laptop odizolowałam w klatce Faradaya, podpięłam wszystkie obwody tego komputera, by rejestrował się przepływ danych, włączyłam go i ominęłam ekran logowania. Dokładnie jedną minutę później moje przyrządy zaczęły rejestrować niewyjaśnioną aktywność w wielu obwodach, w tym w stosie TCP. Ponieważ komputer był zupełnie odizolowany, nie wzbudziło to we mnie niepokoju. Wydarzenia zeszłej nocy i ponowna analiza pierwotnych danych wskazują, że moja wcześniejsza pewność siebie była błędem. W jakiś sposób, nie wysyłając żadnych mierzalnych sygnałów, laptop wykrył każdy system obliczeniowy w budynku i zainfekował je robakiem Lód. Robak zdołał się ukryć i przenosił się do nowych systemów, które też zarażał.

- Jezu - skomentował z ponurą miną Karl Oberstein.

- Bert - odezwał się generał Wilson - czy zgadzasz się z wnioskami doktor Wu?

Doktor Matthews spojrział na młodą geniuszkę, nie ujrzał na jej twarzy strachu i skinął głową.

- Obawiam się, że tak. Przed tym spotkaniem widziałem przekazane przez nią dane.

- Zatem skoro ten laptop nie wysyłał żadnych sygnałów, to w jaki sposób robak dostał się do wszystkich naszych systemów?

Eileen Wu kliknięciem wyłączyła projektor i obróciła się w jego stronę.

- Nie wiem - przyznała.

– Gregory.

– A konkretniej: Heather McFarland i bliźnięta Smythe. Kosiarz mógł pomagać im z zewnątrz, ale mogłabym się z panem założyć, że wszystko, co wydarzyło się w Lodowym Domu, zostało zorganizowane przez tę trójkę. Robak czy nie robak, ich ucieczka jest zupełnie nie do wiary.

Generał spojrział prosto w jej ciemne oczy.

– Czy pani zdołałaby wykręcić taki numer?

Wzruszyła ramionami.

– Zrobiłabym komputerową część, gdybym wiedziała o robaku. Ale cała reszta? Nie ma szans.

Wilson wychylił się naprzód.

– To nie pierwszy raz w ciągu ostatnich lat, gdy w naszych systemach z certyfikatem Tempest pojawiają się dane z zewnątrz. Karl, ty i Levi przyjrzyjcie się starym aktom Jonathana Rilesa z czasów, gdy wysłał ekipę Gregory’ego do Los Alamos. Dowiedźcie się, na co takiego natknął się Kosiarz, że się zbuntował. A pani niech dopilnuje, by robak nie wydostał się poza Lodowy Dom.

– Obawiam się, że na to już za późno, generale – odparła Eileen.

– Jeśli jednak ludzie Gregory’ego mają dostęp do takiej technologii, jak sądzimy, to robak jest najmniejszym z naszych zmartwień.

Mark podniósł wzrok na Jennifer, gdy ta zamknęła swój pakiet i podniosła się, by stanąć przy stole kuchennym.

– Przepraszę was, muszę się trochę przespać.

Mark spojrział na nią pytająco.

– Przespać?

Jen wzruszyła ramionami i jej brat dostrzegł wówczas, że przez jej ciało przemknęły drgawki.

– Heroina to paskudztwo. Sen pomaga, nawet mnie. Dobrze, Jack?

Gregory przyjrzał jej się uważnie i skinął głową.

– Chyba zdołasz rano nadrobić zaległości z pozostałą dwójką, ale będziesz musiała się przyłożyć.

Nie była to zbyt elegancka odprawa, ale Jennifer wydawała się tego nie zauważyć. Zerknięcie na zatroskaną twarz Heather powiedziało Markowi, że uwadze dziewczyny też nie umknęło zachowanie Jen. Jack sporo od nich wymagał i to było zrozumiałe, ale nie można było ignorować krzywdy, jaką ci gnoje z NSA zrobili jego siostrze.

Przecież pracowali bez przerwy przez ostatnich szesnaście godzin. Mark opanował już schemat konstrukcyjny groty ATLAS i elektrowni przetwarzającej materię na energię, nazywanej MINGSTER, zapamiętał plany, znał każdy aspekt okablowania, wiedział, które firmy wykonywały poszczególne kontrakty. Mimo to Jack nie był jeszcze usatysfakcjonowany. Obecnie przeglądali dokumenty wszystkich osób przydzielonych do projektu Listopadowa Anomalia. W nocy chłopak miał się jeszcze zapoznać z konstrukcją generatora pola statycznego, a Heather przypadło zbadanie reszty opracowań profesora Stephensona.

Jack wybrał ich przyszłe role w projekcie, ale czekał, aż skończą

przygotowania teoretyczne, zanim przeprowadzi ich przez plan zdobycia odpowiednich stanowisk w konkretnych firmach i przydzielenia na wymagane miejsca w Dzień Bramy.

Mark uznał swoją nową tożsamość za intrygującą. Miał stać się Gunterem Foglem, pyszałkowatym młodym technikiem elektrykiem z Kohl Engineering. Jego zadaniem było zrobić wrażenie na głównym inżynierze Gerhardcie Wernerze i zyskać przydział do zespołu konstrukcyjnego w grocie ATLAS. Jennifer weźmie na siebie rolę doktor Niki Iwanowicz, rosyjskiej naukowiec pracującej w zespole profesora Piotra Trockiego, specjalizującym się w teorii oraz praktyce kontrolerów pola statycznego.

Misja Heather polegała na wcieleniu się w Inge Hedstrom z ekipy szwajcarskich ochroniarzy pracujących w komorze ATLAS w Dzień Bramy. Profesor Stephenson nalegał, by żadni wojskowi nie przebywali w pobliżu generatora tunelu czasoprzestrzennego, przez który anomalia zostanie odesłana, ponieważ ich rolą miało być pilnowanie kompleksu z zewnątrz, by nikt nie zakłócił budowy lub działania urządzeń. Tylko kilkoro strażników miało pełnić wartę w samej komorze, zwykle od dwojga do trojga podczas zmiany, i zatrudniał ich Paladin, prywatna szwajcarska spółka ochroniarska. Wewnętrzni strażnicy mieli wykonywać wyłącznie polecenia Stephensona, również w zakresie usuwania nieupoważnionych osób z terenu.

W związku z tym Heather miała mieć niewiele pracy w Dzień B, czego właśnie chciał Jack. Będzie mogła wykorzystać swe wyjątkowe zdolności, by wypatrywać nieprzewidzianych problemów i natychmiast podejmować kroki naprawcze. Jej stanowisko okazywało się najmniej skomplikowane, lecz zdobycie go odpowiednio wcześniej wydawało się najtrudniejsze.

Mark wstał z siedziska, podszedł do ekspresu i nalał sobie znów kawy z dzbanka. Pomasował zesztywniały kark. Zdecydowanie za dużo siedzenia. Gdy jednak podniósł kubek do ust i poczuł, jak gorący płyn obmywa mu język, nie miał złudzeń. Czekają ich jeszcze znacznie więcej roboty w tej pozycji.

Macki pola statycznego zbiegły się, by wykonać ostatnie naprawy, każda delikatna linia mocy wykonywała własne zadanie w rozległej sieci neuronowej, z którą Raul stanowił jedność. Już tak niewiele dzieliło go od osiągnięcia czegoś, czego profesor Stephenson nigdy sobie nawet nie wyobrażał, czyli przywrócenia okrętowi Rho pełnej sprawności.

Nie zamierzał nigdzie nim lecieć. Wprawdzie mógłby badać Układ Słoneczny, ale nie był w stanie dostać się do innych gwiazd, a przynajmniej nie żywy. Altreiańska technologia wypaczania podprzestrzeni miała jedną zaletę w porównaniu z napędem czasoprzestrzennym: pozwalała podróżować między układami gwiazdnymi z żywą załogą. Wprawdzie silnik podprzestrzenny umożliwiał podróż szybszą niż z prędkością światła, ale nie mógł się równać z pokonywaniem dystansu między końcami tunelu czasoprzestrzennego. Problem śmierci ograniczał jednak takie wyprawy do jednostek bezzałogowych.

Raul wiedział, co Stephenson próbował osiągnąć. Wiedział również, jak naukowiec wykorzystał jego naiwność, aby nieświadomie ułatwić stworzenie Listopadowej Anomalii. I w końcu wiedział też, w jaki sposób profesor użył jej, aby zmusić świat do zbudowania bramy. Dzięki dostępowi do historii Kolektywu Kasari chłopak posiadał informacje, jak to wszystko powinno działać i co poszło nie tak na Ziemi.

Teoretycznie napęd czasoprzestrzenny okrętu Rho mógł połączyć się z bramą, formując portal transportowy, którym mogłyby przejść żywe istoty. Problem leżał w jego rozmiarach. Przy takiej konfiguracji portal musiałby znajdować się we wnętrzu okrętu, a napęd należałoby ustawić tak, by działał z mniejszą mocą. W normalnej sytuacji mechanizm rozkręcał się,

kierował okręt w świeżo uformowany tunel czasoprzestrzenny i mógł go od razu zamknąć. Brama musiała jednak pozostać otwarta przez długi czas i być na tyle duża, by umożliwić transport żołnierzy i ciężkiego sprzętu. Tego rodzaju długoterminowa operacja wymagała wydajnego konwertera materii i dużego portalu. Stephenson budował jedno i drugie w Szwajcarii.

Sieć neuronowa Raula za pomocą włókien czasoprzestrzennych krążyła po Internecie, a także monitorowała transmisje na częstotliwościach satelitarnych i radiowych. Dzięki temu mógł poznać szczegóły planów Stephensona. Co więcej, doszedł do niezaprzecznego wniosku na temat Heather i bliźniąt Smythe: Stephenson nie wiedział o ich zwiększonych umiejętnościach, a Projekt Rho nie miał z nimi nic wspólnego.

Pozostawała tylko jedna możliwość – odnaleźli altreiański okręt na długo przed tym, jak władze natknęły się na kryjącą go jaskinię. W jakiś sposób system pokładowy dokonał w nich modyfikacji. Wszystko, co robili Altreianie, miało cel, a jedynym celem, jaki Raul dostrzegał we wzmocnieniu tych ludzi, była zamiana ich w żołnierzy, których misją było powstrzymanie okrętu Rho przed osiągnięciem swojego zadania. Innymi słowy, powstrzymanie profesora Stephensona.

Raul dysponował wystarczającymi informacjami o Kolektywie Kasari, by wiedzieć, że nie chciał jego obecności na Ziemi. Nie dlatego, by uważał, że asymilacja rasy ludzkiej okazałaby się krzywdząca dla ziemskiej populacji. Kasari chcieli jedynie powiększać swoje szeregi i zasoby. Dzięki temu ludzkość zostałaby udoskonalona, choroby wyeliminowane, długość życia wydłużona do tysiącleci, wojny przeszłyby do historii... a przynajmniej wewnętrzne wojny. Nastolatek nie miał nic przeciwko temu wszystkiemu. Jeśli jednak Kasari się tu zjawią, Raul straci całą swą wyjątkową potęgę, na której osiągnięcie tak ciężko pracował.

Gdyby Stephenson nie stworzył Listopadowej Anomalii, chłopakowi łatwiej byłoby pokrzyżować plany naukowca, jednak nie mógł pozwolić na zamianę Ziemi w czarną dziurę. Stał więc

teraz przed tym samym problemem, co Heather i jej przyjaciele.

Aby pozbyć się anomalii, Stephenson musiał zbudować swoją bramę, zatem Heather i Smythe'owie z pewnością obserwowali szwajcarski projekt. Musieli znajdować się na miejscu, jeśli chcieli podjąć próbę zamknięcia tunelu po przeniesieniu rodzącej się czarnej dziury, lecz przed zsynchronizowaniem jej przez Stephensona z siostrzaną bramą Kasari. Tego dnia Heather będzie przebywać w komorze ATLAS, na tyle blisko portalu profesora, by Raul mógł to wykorzystać.

I wówczas już nigdy nie będzie sam.

Zimny deszcz, który przywiało przed dwoma dniami, wydawał się nie słabnąć. Freddy podniósł kołnierz czarnego płaszcza przeciwdeszczowego, zamknął drzwi samochodu i podszedł do staroświeckiego domu w zachodniej części Annapolis. Mary Beth Kincaid poznała Jonathana Rilesa, gdy ten przechodził szkolenie oficerskie na Akademii Marynarki. Zakochali się w sobie szaleńczo i pobrali zaraz po ukończeniu przez niego uczelni. Jej ojciec był komandorem marynarki, a ona wyszła za kolejnego marynarza. Freddy'ego nie zdziwiło, że po rzekomym samobójstwie admirała Rilesa wdowa przeniosła się z powrotem do dawnego domu rodzinnego, wyglądającego jak miejsce, w którym stary wilk morski powinien się czuć komfortowo.

Z tego, co się dowiedział, Mary Beth była silną kobietą, poświęcającą swój wolny czas okolicznym inicjatywom dobroczynnym. Silną, lecz ze złamanym sercem. Starzy przyjaciele mówili, że straciła radość życia i gdy nie pracowała, izolowała się w domu. Sąsiedzi do niej zaglądali, jednak wyraźnie wolała przebywać sama ze swym fortepianem i żalem.

Wszedł po trzech stopniach, stanął na otwartym frontowym ganku i podniósł mosiężną kołatkę. Usłyszał urokliwe nuty *Greensleeves*⁹ i nie chciał zakłócać gry, jednak doprowadził go tutaj cholerny reporterski nos i być może zdoła pomóc tej cierpiącej kobiecie znaleźć odrobinę spokoju.

Gdy melodia dobiegła końca, stuknęła wreszcie trzykrotnie kołatką. Osoba, która uchyliła drzwi, ledwo przypominała tę, którą widział na zdjęciu przedstawiającym państwa Riles, wykonanym, gdy admirał został wybrany na dyrektora NSA. Na

⁹ Angielska piosenka ludowa, jej autorstwo bywa przypisywane królowi Henrykowi VIII, jednak styl kompozycji nie był znany w Anglii za jego rządów.

fotografii jedynymi zmarszczkami kobiety były te wokół jej promiennych niebieskich oczu, wywołane śmiechem, a twarz okalały jasne włosy elegancko zaakcentowane pierwszymi śladami siwizny.

Teraz po blondzie nie pozostał nawet ślad, a policzki wdowy wyglądały, jakby obwisły pod ciężarem całego świata. Być może było to wynikiem odbicia ciemnych chmur za plecami dziennikarza, ale nawet oczy kobiety sprawiały wrażenie, jakby zmatowiały do poziomu szarości.

– Pani Riles?

– Owszem. W czym mogę panu pomóc?

– Jeszcze konkretnie nie wiem. Miałem nadzieję, że pani mi to powie.

Przyglądała mu się kilka sekund, po czym z pytającym wyrazem twarzy otworzyła przed nim drzwi.

– Proszę, niech pan wejdzie. Zamierzałam właśnie nalać sobie herbaty. Czy pan również sobie życzy?

– Bardzo chętnie – odparł Freddy, zdejmując płaszcz i zostawiając go na wieszaku.

– Jedna kostka czy dwie?

– Czarną... To znaczy bez cukru poproszę.

Hagerman podszedł do kominka i przyglądał się oprawionym zdjęciom, starannie ustawionym od lewej do prawej w porządku chronologicznym. Mary i Jonathan ramię w ramię na uroczystości ukończenia Akademii, krojenie weselnego tortu, pocałunek na przyjęciu z okazji awansu, oboje stojący na pokładzie USS „Ronald Reagan” i wreszcie ta sama fotografia, którą Freddy znalazł w sieci.

Brzęk cienkiej porcelany sprawił, że dziennikarz się obrócił. Mary Beth stawiała dwie filiżanki i spodeczki na stoliku.

– Byliśmy cudną parą, nie uważa pan?

– Uważam.

Freddy czuł się jak ryba wyciągnięta z wody. To nie domek wilka morskiego mieszał mu w głowie, lecz ta starsza pani. Mary Beth była otoczona aurą bólu i wdzięku, która wysysała z niego siły i sprawiała, że zachowywał się jak bełkoczący prostak.

– Proszę, niech pan usiądzie koło mnie. – Poklepała miejsce na sofie.

Hagerman obszedł niski stolik, a z powodu sztucznej nogi jego skręt wydał się nienaturalny. Kobieta to zauważyła.

– Jak to się stało?

– Nieprzyjemne spotkanie z piłą mechaniczną.

– Przykro mi to słyszeć. Niełatwo jest stracić część siebie.

Mary Beth podniosła czajniczek i zaskakująco pewną ręką naląła herbaty najpierw jemu, później sobie. Freddy ujął maleńkie uszko między palec wskazujący a kciuk, bojąc się, że je złamie, zanim doniesie w ogóle filiżankę do ust.

– No dobrze, panie...

– Hagerman. Freddy Hagerman.

– No dobrze, panie Hagerman. Gdyby był pan taki miły, chciałabym usłyszeć, dlaczego mnie pan odwiedził.

Freddy upił łyk, oparzył się w wargę i odstawił naczynie z powrotem na spodek. Po raz pierwszy w życiu pożałował, że nie jest lepszy w tych całych eleganckich manierach.

– Pani Riles, przyszedłem porozmawiać o pani mężu.

Wyraz jej twarzy nie uległ żadnej zmianie.

– Proszę mówić dalej.

– Pracuję jako dziennikarz śledczy w „New York Post”. Naprawdę nie da się tego wytłumaczyć w inny sposób niż bezpośrednio, więc oto, w czym rzecz: mam dobry powód, by sądzić, że pani mąż nie popełnił samobójstwa.

I znów nie dostrzegł żadnej zmiany na obliczu Mary Beth.

– Uważam, że pan Jonathan został zamordowany przez grupę osób pragnących powstrzymać jego śledztwo w sprawie Projektu Rho.

Teraz jej oczy zdecydowanie wydawały się niebieskie.

– Nie mówi mi pan nic, czego bym nie wiedziała.

Przez chwilę Freddy nie potrafił nic z siebie wykrztusić.

– Wiedziała pani? – spytał w końcu. – Zatem dlaczego pani nikomu nie powiedziała?

Śmiech wydostał się z ust kobiety, lecz nie sięgnął jej oczu.

– Och, ależ powiedziałam. Mówiłam śledczym. Mówiłam jego

zwierzchnikom. Mówiłam wszystkim. Jednak jestem wdową pogrążoną w żałobie, staruszką zaślepioną przez miłość do martwego męża i nieprzyjmującą do wiadomości, że mógł uczynić coś złego, niezdarzącą sobie sprawy, co dzieje się w prawdziwym świecie mężczyzn oraz polityki. W końcu przestałam więc walić głową w ścianę. Ale wie pan co, panie Hagerman? Nieważne, co odpowiadali, wcale nie zrobiło mi się lepiej, gdy przestałam.

- Zatem pomoże mi pani?

- Nie wiem, w jaki sposób.

- Czy zna pani człowieka nazwiskiem Jack Gregory?

Po raz pierwszy, odkąd ją zobaczył, na ustach Mary Beth pojawił się szczery uśmiech.

- Coś panu powiem. Jonny zawsze powtarzał, że nie poznał nikogo, kto mimo braku szkolenia w tym kierunku lepiej ode mnie potrafiłby oceniać charakter człowieka.

I znów ten miły uśmiech.

- Właśnie dlatego zaprosiłam pana do środka.

Sięgnęła po filiżankę, wypila mały łyk i delikatnie otarła wargi grzbietem dłoni.

- Jack Gregory to młody bóg. Jonny oddałby za niego życie. Podobnie jak ja.

- Wydaje mi się, że to zrobił.

Odstawiając naczynie z powrotem na spodek, Mary Beth skrzyżowała wzrok z dziennikarzem.

- Zatem jestem szczęśliwa.

- Ale Jack nie jest.

Jej lewa brew uniosła się o pół centymetra.

- Proszę mi o tym powiedzieć.

Przez następne pół godziny Freddy przytaczał kobiecie skróconą wersję historii, którą Jack Gregory przekazał mu w nocy w hotelu w Maryland. Gdy skończył, Mary Beth Riles wytarła chusteczką kąciki oczu.

- Czyli mój Jonny próbował zbawić świat.

- A Jack wciąż próbuje.

- Ważna rzecz na temat Jonny'ego. Zawsze dysponował planem

awaryjnym. Czuje się pan na siłach, żeby pomóc mi przeszukać jego stare rzeczy?

– Bałem się, że pani nie poprosi.

Mary Beth podniosła się i podała Freddy'emu dłoń.

– Zatem chodźmy pomóc naszym zbawcom.

Eileen wpatrywała się z niedowierzaniem w ekran komputera, a dreszcz popęłzył po jej plecach od łopatek po podstawę czaszki. Coś, co zaczęło się od obsesyjnego poszukiwania wskazówek na temat technologii stojącej za dwoma zabranymi urządzeniami Gregory'ego, nagle zboczyło w bardzo mroczne miejsce. Jeśli dalej będzie szła tą drogą, wiedza czająca się w owej ciemności zapewne przeżuje ją i wypłuje resztki gdzieś w jakiejś martwej odnodze Potomaku.

Jej problem polegał na tym, że nie potrafiła przerwać. Nie leżało to w jej naturze. To dlatego obroniła doktorat na Caltech, gdy jej rówieśnicy obchodzili szumnie szesnaste urodziny.

Zakończyła szczegółową analizę zapisanych danych, które wchodziły i wychodziły z kluczy USB. Otrzymała listę każdego programowalnego systemu w promieniu jednego kilometra. Rzecz w tym, że uzyskane informacje dalece przekraczały wszystko, co mógłby uzyskać haker, nawet gdyby dysponował fizycznym połączeniem z wszystkimi tymi urządzeniami. W jakiś sposób klucze podały bardzo dokładną lokalizację wszystkich systemów, co do milimetra. Taki poziom szczegółowości wydawał się niemożliwy i choć Hex nie mogła potwierdzić wszystkiego, sprawdziła współrzędne kilku próbek. Wszystkie z nich okazały się precyzyjne.

Nawet gdyby założyć, że klucze USB wykorzystywały jakiś nieznany i niewykrywalny sygnał Wi-Fi, którym mogły łączyć się z innymi systemami, Eileen zupełnie nie pojmowała tej sprawy z lokalizacją. W jaki sposób to się działo? Zupełnie jakby jakieś futurystyczne skanowanie neutrinowe wykryło wszystkie te urządzenia i zapisało ich położenie, a następnie wyciągnęło z nich informacje. Jeśli istniała taka technologia, musiała być

powiązana z Projektem Rho.

Z powodu tego wszystkiego Hex przeprowadziła własną analizę wydarzeń, które skłoniły admirała Rileasa, by wysłać Jacka Gregory'ego do Los Alamos. Jeśli Gregory podczas śledztwa natknął się na ten wynalazek, z pewnością uświadomił sobie, ile niektóre rządy były skłonne za niego zapłacić. Być może na tej drodze rozumowania uda się znaleźć jakieś wskazówki.

I właśnie to uparte dążenie do poznania prawdy przekonało Eileen do wykorzystania korelacyjnych zdolności wyszukiwawczych Wielkiego Johna. Nie martwiła się o uzyskanie upoważnienia do początkowej kwerendy, ponieważ wchodziła ona w zakres jej kryminalistycznego śledztwa w sprawie hackerskiego włamania dokonanego przez zespół Gregory'ego. Z każdym zapytaniem superkomputer prowadził ją jednak coraz bardziej w bok, szybko odrzucając jej roboczą hipotezę. Co gorsza, Hex na tyle wciągnęła się w swoje zadanie, że pytanie „jak” zmieniło się w „dlaczego”.

Z tego, co się dowiedziała, było jasne, że nie szła tym tropem jako pierwsza. Cyfrowe odciski palców Denise Jennings znajdowały się wszędzie, gdzie Eileen spojrzała. Jednak pytania kierowane przez Denise do Wielkiego Johna nagle się urwały. Najwyraźniej kobieta natknęła się na rzeczy, które wystraszyły ją na tyle, by zniechęcić do dalszych prób.

Eileen spoglądała na dowody i nie mogła się powstrzymać przed pozadzroszczeniem Denise oceny sytuacji. Skoro ona sama widziała jednak, jak królik zniknął w norce, nie miała wyjścia i musiała podążyć za nim.

Piazza del Campo we włoskiej Sienie było niemal puste. Paru turystów stało przy ogrodzeniu z kutego żelaza, spoglądając na fontannę Gaia, strzelając zdjęcia, smarując białe jak mąka nogi kremem z samoopalaczem lub pisząc wiadomości do znajomych, którzy skręcili do katedry albo innej z licznych turystycznych atrakcji tokańskiego miasta.

Heather jako Inga Hedstrom od trzech tygodni pracowała w szwajcarskiej firmie ochroniarskiej Paladin. Jej aktualny przydział polegał na niańczeniu Bayada al'Fahda, szpanerskiego syna saudyjskiego księcia, podczas objazdu po górnej Toskanii. Nie to, żeby Bayadowi brakowało własnych ochroniarzy, bo miał ich sześciu. Jednak młody al'Fahd był ważnym nowym klientem Credit Suisse i ten drugi pod względem wielkości szwajcarski bank grzecznościowo zapewniał dodatkową ochronę. Tak więc Heather na własnej skórze dowiedziała się, jak w klasie wyższej wygląda odpowiednik kuchenki mikrofalowej otrzymywanej w zamian za otwarcie nowego rachunku.

Samo zdobycie zatrudnienia okazało się najprostszą częścią. Inga Hedstrom, posiadająca podwójne, amerykańsko-szwajcarskie obywatelstwo, miała dwadzieścia dziewięć lat, ważyła pięćdziesiąt cztery kilogramy i mierzyła sto siedemdziesiąt trzy centymetry wzrostu. Przy blond włosach obciętych na chłopaka i oczach zamienionych w niebieskie dzięki szkłom kontaktowym tylko postawa pełna chłodu pozbawiała ją atrakcyjności. Jack stworzył jej dopracowany profil uczestnictwa w tajnych operacjach, obejmujący całą masę pochwał ujawnionych pośmiertnie przez wielu martwych kolegów. Dzięki możliwości wejścia do odpowiednich rejestrów nie miała problemów z zagwarantowaniem, by jej poświadczenia

bezpieczeństwa i przebieg służby pojawiły się w odpowiednich miejscach. A skoro opuściła CIA przed sześcioma miesiącami i wszystkie jej misje dla tej agencji miały status tajnych, uniknęła bardziej drobiazgowego sprawdzenia.

Heather lubiła być Ingą, ale nieszczególnie przepadała za tym konkretnym przydziałem. Gdy dała do zrozumienia, że nie interesuje jej nic więcej poza wykonywaniem pracy, Bayad polecił jej, by trzymała się z dala od jego najbardziej zaufanego kręgu. Zakładając, że dziewczyna nie zna nic więcej poza absolutnymi podstawami arabskiego, zaczął śmiać się z niej wraz ze swoimi dwoma najpotężniejszymi ochroniarzami. Czy to nie zabawne, że szwajcarski bank uważał, iż ta kobieta naprawdę zdoła zwiększyć jego bezpieczeństwo, skoro nadawała się tylko do wzbogacenia jego haremu?

Plus tej sytuacji polegał na tym, że skoro nie wolno jej było przebywać w bezpośredniej bliskości bogacza, oznaczało to, że nie musiała dłużej wysłuchiwać poglądów kretyna na temat kobiet czy czegokolwiek innego. Minus natomiast, że znajdowała się zbyt daleko, by zapobiec ewentualnemu atakowi.

Wlokła się więc dziesięć metrów za hordą Bayada, gdy zbliżali się do ogródków restauracyjnych umieszczonych po północno-zachodniej stronie placu. Na prawo od stolików dwóch mężczyzn wyładowywało krzesła z części bagażowej białej furgonetki na oczach zdenerwowanego menedżera restauracji. Wizja przemknęła przez mózg Heather na sekundę przed tym, jak pojazd ruszył gwałtownie w stronę al'Fahda, zostawiając za sobą cienką warstwę dymiącej gumi.

Gdy dziewczyna zerwała się do biegu, po drodze wyciągając glocka z podramiennej kabury, dwaj ludzie od krzeseł obrócili się, kierując niewidoczne wcześniej karabiny maszynowe MP5 w stronę grupy zaskoczonych Saudyjczyków. Pierwsza kula Heather trafiła bliższego z mężczyzn w pierś i dziewięćmilimetrowy pocisk cisnął nim na pobliski stół. Kobieta trzymająca dziecko zablokowała jej jednak linię strzału do drugiego napastnika, który mógł dzięki temu wypuścić serię w skupionych ochroniarzy Bayada. Następna kula dziewczyny

ugodziła zamachowca tuż nad nasadą nosa, a gdy wyleciała z tyłu głowy, na chwilę otuliła ją aureolą czerwonej mgiełki.

Jeden z ocalałych goryli zepchnął Bayada z drogi furgonetki i osłonił pracodawcę własnym ciałem, gdy pojazd uderzał w uniesioną rękę jego partnera, wbijając ją wraz z twarzą mężczyzny głęboko w atrapę chłodnicy. Heather jedynie usłyszała otwierające się drzwi od strony pasażera, ponieważ widok zasłonili jej przerażeni klienci restauracji. Gdy obiegnęła furgonetkę od tyłu, usłyszała podwójne stuknięcie i ujrzała krwawiącego ochroniarza staczającego się z wystraszonego Bayada. Widząc, że zamachowiec ponownie zaciska palec na spuście, znów wystrzeliła, trafiając go w dłoń z bronią, która wypaliła w kamienie bruku tuż obok głowy bogacza.

Wtedy dopadła napastnika. Kopnęła go w kolano, wyłamując je w tył, i jednocześnie grzmotnęła pistoletem w bok głowy. Gdy wielki mężczyzna uderzył w krawężnik, Heather usłyszała pisk opon furgonetki i rzuciła się w prawo, wykonując przewrót przez bark i przykucając od razu w pozycji strzeleckiej, lecz ujrzała, że biały pojazd skręca z poślizgiem i błyskawicznie ucieka z placu, zamykając po drodze tylne drzwi. Ponieważ poruszał się pod kątem czterdziestu stopni względem dziewczyny, nie miała możliwości oddania czystego strzału w kierowcę. Zamiast tego wypuściła cztery kule w prawe opony i kolejne cztery w bok, ale nie miała pojęcia, czy zdołała trafić kierującego. Po krótkiej chwili furgonetka skręciła w Via Casato di Sotto i zniknęła za rogiem.

Heather wyrzuciła magazynek, błyskawicznie wsunęła nowy i pochyliła się, by sprawdzić stan nieprzytomnego zamachowca. Słaby puls i krew plamiąca włosy po prawej stronie głowy powiedziały jej, że zbyt szybko się nie obudzi. Odkopnęła jego pistolet na bok, obszukała go szybko, wyciągnęła mu nóż z pochwy na łydce i odwróciła się od niego.

Bayad rzucił się pod jeden ze stolików i odpychał na bok krzesła, aż ukrył się do połowy pod blatem. Oddychał krótkimi, urywanymi haustami. Gdy Heather podeszła do niego, dobiegło ich wycie syren. Schowała broń do kabury i przyklękła przy

Saudyjczyk.

– Panie al’Fahd, jest pan ranny?

– Co?

– Proszę na mnie spojrzeć. Czy jest pan ranny?

Gdy skupił na niej wzrok, na jego twarzy pojawiła się ulga.

– Nie. Chyba nie. Tylko potłuczony. Dzięki niech będą Allahowi.

Cztery samochody policyjne wpadły na plac, zatrzymały się trzydzieści metrów od nich i wyskoczyli z nich ciężkozbrojni, ubrani w niebiesko-szare stroje poliziotti. Widząc Heather klęczącą przy siedzącym Bayadzie pośród tak wielu martwych ciał, podchodzili, mierząc z pistoletów maszynowych.

– Na brzuch, rozłożyć ręce i nogi. Już! – zagrzmiało po włosku z megafonu.

Heather rzuciła się na ziemię.

Bayad się wahał.

– Ale ja...

– Na brzuch! Rozłożyć ręce i nogi! Natychmiast! – zadudniło znów mocno akcentowanym angielskim. Saudyjczyk wykonał polecenie.

Heather poczuła natychmiast kolano na plecach, a stalowe obręcze zacisnęły się najpierw na prawym, następnie na lewym nadgarstku wykręconych do tyłu rąk. Została szybko rozbrojona i wrzucona na tył jednego z radiowozów, a Bayad zniknął w innym.

Oparła się wygodniej i wyglądała przez okno, gdy samochód pędził wąskimi uliczkami.

Zapamiętując mijaną okolicę, pokiwała głową. Siena była naprawdę pięknym miastem.

Mark wcisnął się głęboko pod MINGSTER-a, w ciasną przestrzeń nieprzekraczającą szerokością jego ciała. Oficjalnie urządzenie nazywało się „system konwersji materii na energię”, ale oprócz profesora Stephensona nikt tak go nie określał. Wraz z drugą częścią znajdującą się w grocie ATLAS stanowiło największą płataninę elektrycznych przewodów i kabli na planecie, a do tego dochodziły jeszcze elementy chłodzące wymagane przez superprzewodniki. Ponieważ konstruowanie urządzenia musiało odbywać się z tak zabójczą szybkością, należało zminimalizować liczbę przewodów, przez które musiała przejść cała ta moc, wszystkie części umieszczono więc jak najbliżej siebie. To dlatego trzeba było tak się czołgać.

Niestety, główny inżynier projektu, Gerhardt Werner, przydzielił go na niewłaściwym końcu. Mark nie chciał grzebać w MINGSTER-ze. Powinien pracować w zespole działającym w grocie ATLAS. Istniała możliwość przeniesienia się do drugiej ekipy, jednak wymagało to czasu, na którym chłopakowi nie zbywało.

Mark chciał, by jego zespół wyprzedził harmonogram prac i by nikt nie wątpił, iż stało się tak właśnie dzięki niemu. Ekipa z jaskini ATLAS już teraz pozostawała w tyle, a on miał jedynie zwiększyć tę różnicę, pracował zatem na dwie zmiany. Mógłby na trzy, ale całodobowa aktywność bez snu ściągnęłaby na niego niepożądaną uwagę. Dzięki swojej szybkości i dokładności stał się lokomotywą ciągnącą projekt do przodu.

W normalnych okolicznościach związek zawodowy próbowałby wpływać na niego, żeby zwolnił i nie stawiał innych w niekorzystnym świetle, ale sytuacja zdecydowanie była nietypowa. Zostawiano więc muskularnego, długowłosego

Szweda o brodzie wikinga w spokoju i dawano mu pracować. Markowi to pasowało. Nie przyjechał tu, by szukać przyjaźni i pić piwo.

Gdy kończył z okablowaniem bieżącej sekcji, w umyśle rozbrzmiewała mu ulubiona składanka muzyczna. Chłopak zajmował się jedyną rzeczą, na którą miał bezpośredni wpływ, pewien, iż z końcem dzisiejszej drugiej zmiany jego zespół jeszcze bardziej wysforuje się przed ten z ATLAS-a. Wyobraził sobie szefów projektu siedzących na spotkaniach oraz wpatrujących się w diagramy Gantta i uśmiechnął się. Wkrótce wyraźnie dostrzegą, co udało mu się osiągnąć, i wtedy jego kierownik nie będzie miał wyboru – przeniesie go tam, gdzie Mark powinien pracować od samego początku.

Profesor Piotr Trocki spoglądał na swoją asystentkę, która odwróciła się do niego plecami i ruszyła w stronę schodów wyjściowych z komory ATLAS. Doktor Nika Iwanowicz doprowadzała go do szaleństwa. Może nawet już doprowadziła.

Gdy dawała sporo z siebie, była najgenialniejszym naukowym mózgiem i najlepszą informatyczką, jaką spotkał, wliczając w to tego nadętego gnojka Stephensona. Zdarzało się jednak, że w ogóle nie można było na niej polegać. Na przykład teraz.

Stephenson właśnie wręczył mu listę poprawek, które powinno się wprowadzić do oprogramowania sterującego polem statycznym, i spodziewał się, że do następnego dnia zmiany zostaną zaimplementowane oraz przetestowane. Praca wymagająca miesiąca w jedną dobę. Ale gdy Piotr pokazał spis Nice, ona jedynie roześmiała się tym swoim uwodzicielskim śmiechem i oznajmiła, że prześpi się z tym problemem.

We wnętrzu Rosjanina zakotłował się gniew, ale gdy Trocki spojrział w te niebieskie oczy, poczuł, że z jakiegoś powodu robi mu się w środku ciepło i miękko. Powiedział Nice, że to dobry pomysł.

Dobry pomysł!

Mógł teraz jedynie patrzeć, jak drobna młoda kobieta w ciasnych džinsach i białej koszulce z Tori Amos oddała się od niego, a kilka szpikulców jej nastroszonych włosów celuje mu prosto w serce. Boże. Miał sześćdziesiąt pięć lat, a przy tej fascynującej młódce chciał znowu mieć trzydzieści. Cholera! Nawet gdyby był młodszy, nigdy nie poradziłby sobie z taką kobietą.

Spoglądając na stos wymagań trzymany w dłoni, podszedł do swojego stanowiska komputerowego, położył papiery pod

klawiaturą i skierował się do schodów, którymi zamierzał dostać się do własnej pryczy.

– Dokąd się pan wybiera?

Trocki obrócił się do Stephensona. W przeciwieństwie do innych nie bał się go. Widywał już wcześniej takich ludzi i doskonale ich znał. Wiedział, że i tak nic, co zrobi, nie okaże się w oczach przełożonego wystarczająco zadowalające, więc równie dobrze mógł robić to, co sam uważał za najlepsze.

– Najpierw projektuję, później koduję i wreszcie testuję. Proszę się nie martwić. Pańskie zmiany zostaną wprowadzone zgodnie z harmonogramem.

– Oby tak było. – Stephenson skrzywił twarz.

Rosjanin pokręcił głową, odwrócił się i odszedł. Jaki miał wybór? Nawet gdyby pracował cały tydzień, nie potrafiłby programować tak szybko, by wykonać to wszystko, czego życzył sobie Amerykanin. Tylko Nika tak umiała. Pozostawała mu nadzieja, że wypoczęta dziewczyna dokona jutro cudu. Inaczej jego podróż powrotna do Władywostoku nie okaże się zbyt przyjemna.

ROZDZIAŁ

111

Gdy Denise Jennings słuchała, co Eileen Wu miała jej do powiedzenia, krew odpływała kobiecie z twarzy. Hex mówiła przez ponad czterdzieści minut, a Denise wydawało się, że musi wyglądać jak wygłodniały wampir. Na pewno tak się czuła.

Najnowsze cudowne dziecko NSA prześledziło wszystkie zapytania, które Jennings skierowała do Wielkiego Johna, i domyśliło się tego samego, co ona. Co gorsza, dziewczyna kopała dalej i pomimo sprzeciwów Denise postanowiła wtajemniczyć ją w swoje odkrycia.

Dlaczego otworzyła drzwi i pozwoliła młodej komputerowej geniuszce wejść do swojego domu? Powinno jej się wydać podejrzane, że Eileen znalazła się w Columbi o dziewiątej wieczorem. W końcu dom Hex leżał w przeciwnym kierunku od pracy, w Annapolis. Poza tym dziewczyna była znana z tego, że jest samotna. A jednak Denise zaprosiła ją do środka.

Teraz obie wiedziały za dużo.

Dobry Boże. Admirał Riles. Jack Gregory i cały jego zespół. A teraz te dzieciaki Smythe i McFarland. Wszyscy załatwieni przez własny rząd. Do tego dochodzili zabici najwyżsi urzędnicy państwowi. Wszystko po to, by chronić Projekt Rho. I choć profesor Donald Stephenson dysponował doskonałym alibi – gdy to się stało, przebywał po drugiej stronie świata – Eileen Wu uważała, że w jakiś sposób doprowadził do powstania Listopadowej Anomalii. Denise też w to wierzyła.

Nie chciała dołączać do innych, którzy walczyli z Projektem Rho, ale jeśli nie uda jej się zniechęcić Eileen, ta uparta dziewczyna doprowadzi je obie do śmierci. I w imię czego? Co się stało, to się nie odstanie. Poza tym Denise wykonała już swoją część. Dała cynk temu dziennikarzowi śledczemu, Freddy'emu

Hagermanowi. Nadeszła pora, aby to on ruszył sprawę dalej.

Nagle Denise poczuła na sobie spojrzenie ciemnych oczu dziewczyny. Może jednak uda się jeszcze jakoś z tego wyplątać.

– Eileen, jestem oszołomiona. Odkryłaś znacznie więcej, niż udało się mnie.

– Bo przestałaś szukać.

Jennings pokręciła głową.

– Nie do końca. Nie jestem śledczym ani agentem terenowym. A z powodów, które z pewnością rozumiesz, nie mogę się z tym zwrócić do nikogo w agencji. Zamiast więc dać za wygraną, skontaktowałam się z kimś, kto zdołał zanurzyć się w Projekt Rho i wyjść z tego z życiem. Spotkałam się z Freddyem Hagermanem.

– Dziennikarzem.

– Laureatem Nagrody Pulitzera. Jego reputacja nie jest przesadzona.

– Czyli zrzuciłaś na niego odpowiedzialność.

– Nie postrzegam tego w taki sposób, ale skoro tak uważasz, to proszę bardzo.

– I chcesz, żebym zrobiła to samo.

– Po prostu mówię, że powinnaś to przemyśleć. Nie jest to twoja specjalizacja, a jego owszem. I wygląda na to, że idzie mu całkiem nieźle.

– Niezbyt dobrze mi wychodzi rezygnacja z czegokolwiek.

– Uznaj go za kolegę z drużyny.

Hex wpatrywała się w Denise jeszcze przez chwilę, po czym wstała i ruszyła do drzwi.

– Przemyśl to sobie.

– Zobaczmy – odparła Eileen, naciskając klawisk.

I porwała ją noc.

Charley Richardson, dowódca drużyny zabezpieczenia Paladin w LHC, nie lubił zmian w zespole na tak zaawansowanym etapie operacji, jednak Bruce Conrad dał sobie skopać dupę pod barem w Meyrin. Charley chętnie poznałby człowieka, który tak rozłożył Bruce'a. Paladin powinien go znaleźć i zatrudnić.

Tak więc Charley miał teraz jedną osobę w plecy. Co gorsza, firma w zamian wysłała mu kobietę. Wpatrywał się w jej akta leżące na biurku. Na papierze wydawała się niczym dynamit. Charley widział już wielu facetów, którzy na papierze byli dynamitem, ale nie radzili sobie, gdy szambo się wylewało. Jego ludzie pochodzili z różnych miejsc, wszyscy byli dawnymi żołnierzami sił specjalnych z sześciu różnych krajów. Zasłużyli sobie na miejsce w jego zespole. I nieważne, że bieżąca fucha była gówniana, a jego wojownicy zostali w niej zredukowani do roli cieciców pracujących na zmiany i przez większość czasu sprawdzających innym dokumenty, ponieważ kontrolowali dostęp do MINGSTER-a i groty ATLAS. Mimo wszystko musiał ich darzyć zaufaniem.

Jednak o tym przydziale zdecydował sam Jacob Kroner. Charley nie mógł powiedzieć surowemu szefowi Paladina, że nie życzy sobie tej kobiety. Ale to nic. Może i trafiła do ekipy, ale to wcale nie znaczyło, że zostanie w niej na tyle długo, by zdążyć mu zacząć zawadzać.

Dowódca wstał, włożył płaszcz i wyszedł na zimny parking, gdzie kazał zebrać się swoim ludziom, by im coś ogłosić. Gdy poparzył na siedemnastu niepokornych wojowników, samych twardzieli, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Przydzielono nam zastępstwo za Bruce'a. To kobieta. Nazywa się Inga Hedstrom. Pojawi się dziś po południu.

Podniósł dłoń, by uciszyć szmer rozmów.

– Wiecie, że lubię sam dobierać sobie ludzi. Tutaj podjęto decyzję za mnie. Ale i tak nie będziemy traktować tej nowej ulgowo.

Charley złączył dłonie za plecami, dzięki czemu pierś wysunęła mu się do przodu.

– Myślę, że okażecie się dżentelmenami i odpowiednio ją przywitacie.

Artan Yuzman, większy z dwóch należących do ekipy Turków, zachichotał.

– Może pan na to liczyć, szefie.

Mark nie przypuszczał, że kiedykolwiek będzie chciał za coś podziękować profesorowi Stephensonowi, jednak to właśnie on był odpowiedzialny za przeniesienie Guntera Fogla do zespołu elektryków w grocie ATLAS. Stałoby się tak również bez jego pomocy, ale gdy naukowiec spojrział na diagramy Gantta, natychmiast dostrzegł korelację między stanowiskiem młodego Szweda a nagłym zwiększeniem wydajności, chłopaka mianowano więc brygadzystą ekipy ATLAS.

Nową pracę Mark rozpoczął od przekazania swoim ludziom, by pracowali zgodnie z planem, sam zaś poświęcił kilka dni na zapoznanie się z Klatką, ogromną konstrukcją złożoną ze stalowych wsporników i metalowych kratownic, sięgającą od podłogi do stropu jaskini, czyli na wysokość dziewięćdziesięciu metrów. W Klatce umieszczono wszystkie przewody elektryczne biegnące do groty ATLAS z MINGSTER-a. Poza tym stanowiła ona rusztowanie dla sprzętu chłodzącego potrzebnego do utrzymania stanu nadprzewodnictwa w głównych liniach energetycznych. Gigantyczną budowlę tak wypchano kablami i urządzeniami, między którymi pozostały jedynie wąskie szczeliny, że niektórzy robotnicy nie zgadzali się w nie wciskać.

Mark przeszedł każdy centymetr przewodów i każdy zamontowany już element sieci elektrycznej, porównując je z zapamiętanymi planami. Wprawdzie znalazł kilka drobnych różnic lub prób pójścia na skróty, jednak nie natykał się na żadne poważniejsze odchylenia. Przynajmniej do połowy drugiej zmiany w środe, kiedy to w głębi najbardziej upakowanej pionowej sekcji trafił na kabel, którego nie było na schematach.

Zafascynowany, został na trzecią zmianę i podążył za tajemniczą linią w stronę podłogi jaskini. W takim stopniu wiała

się między wiązkami innych przewodów, że najwyraźniej starannie próbowano zamaskować jej bieg.

Na poziomie gruntu rozszczepiała się na cztery przewody, wyglądające jak standardowe okablowanie o napięciu dwustu dwudziestu woltów i częstotliwości pięćdziesięciu herców, znów znikające w skupiskach podobnych przewodów. Trzecia zmiana zakończyła się o północy, lecz Mark nie przerywał poszukiwań. O wpół do piątej nad ranem wreszcie uznał, że wie, gdzie kończą się wszystkie cztery kable. Co dziwne, wchodziły w cztery oddzielne prefabrykowane podpory z żelazobetonu. W tego rodzaju elementach konstrukcyjnych nie umieszczano żadnych urządzeń elektrycznych. A przynajmniej nie powinno się ich umieszczać.

Chłopak wrócił w miejsce położone wysoko w Klatce, gdzie po raz pierwszy natknął się na tajemniczy przewód, i zaczął śledzić go w drugą stronę, czyli do punktu, gdzie wychodził na strop jaskini. Gdy Mark dotarł na poziom pomostu łączącego Klatkę ze stalowym rusztowaniem na ścianach groty, wcisnął się między dwa dźwigary. To właśnie tam, przy tylnej części jednego z tych wsporników, przewód przechodził przez nieoznaczoną metalową skrzynkę wielkości encyklopedii.

Nastolatek wydostał się z ciasnej szczeliny i podszedł do jednej z szafek z przyrządami elektrycznymi, zamontowanych w regularnych odstępach na Klatce, wziął potrzebne narzędzia i wrócił do dziwnego pudełka.

Odkręcając pokrywę, Mark wyjątkowo uważał, aby nie przechylić skrzynki lub jej nie wstrząsnąć. Wziął między zęby małą latarkę i uchylił wieko zaledwie na tyle, by zerknąć do środka. Niedobrze. Do wewnętrznej strony przedniej osłony przymocowano małą szklaną bańkę z bąbelkiem srebrzystego płynu na jednym z końców. Przełącznik rtęciowy. Gdyby otworzył pudełko z mniejszą ostrożnością, ten bąbelek przetoczyłby się na drugą stronę. Chłopak nie chciał się dowiedzieć, co by się wtedy wydarzyło.

Zdjął osłonę, nie zmieniając kąta, pod którym ją trzymał, po czym sprawdził wewnętrzne okablowanie. Tworzyło prosty

obwód podłączony do nieustawionego cyfrowego mechanizmu zegarowego. Trudno było stwierdzić, czy przełącznik ręciowy miał omijać zegar, czy też wysyłać sygnał alarmowy, a Mark nie zamierzał przekonywać się o tym akurat w tej chwili. Już się domyślił, po co zainstalowano wszystkie te przewody.

Jakiś rząd, zapewne Stanów Zjednoczonych, zamontował zabezpieczenie. W każdym z czterech filarów ze zbrojonego betonu ukryto bombę nuklearną. Było to jedyne rozwiązanie, które wydawało się sensowne, choć paradoksalnie było bez sensu. Przecież pomysłodawcy musieli wiedzieć, że wybuch jądrowy jedynie dostarczy anomalii mocy i momentalnie zmieni ją w czarną dziurę. Czyli bomby założono jako ostatnią deskę ratunku. Jeśli brama czasoprzestrzenna Stephensona zadziała, nie zostaną użyte.

Po umocowaniu z powrotem osłony Mark wypełznął rakiem na kratownicę otaczającą najwyższy poziom Klatki i przeszedł na pomost. Nadeszła pora, by poświęcić chwilę na medytację i kontakt z Heather. Niech jego osobista sawantka zdecyduje, co zrobić z atomówkami.

Wypadek podczas ćwiczeń? – Charley Richardson uderzył pięścią w biurko, spoglądając na swego zastępcę.

– Zdarza się. – Bob Jones wzruszył ramionami.

– Taa, zdarza się. Nie w moim zespole. Nie trzem najlepszym ludziom.

Charley wstał i rozciągnął dwumetrową sylwetkę.

– Czyli mówisz, że Artan i Hedo przewrócili się, ścigając na torze przeszkód?

– Yhm. Blisko szczytu wspinaczki po belce. Artan poślizgnął się, wpadł na Hedo i obydwaj spadli.

– Akurat na Diego?

– Tak w zasadzie to Diego próbował złagodzić ich upadek.

Charley stanął twarzą w twarz z Bobem, a jego szare oczy wpatrywały się prosto w brązowe tęczówki drugiego mężczyzny.

– A teraz powiedz mi, co się naprawdę wydarzyło. Nie zamierzam karać.

– Czy to dotyczy całej drużyny?

– Owszem.

Bob skinął głową i opadł na kanapę naprzeciwko biurka Charleya.

– Może lepiej usiądź, szefie. Pamiętasz, jak powiedziałeś chłopakom, żeby odpowiednio przywitali nową rekrutkę i upewnili się, czy się do czegoś nadaje?

– Pamiętam.

– No to zabrali się za nią. Nic poważnego. Po prostu wyprowadzali ją z równowagi. Seksualne komentarze na zmianę z uporczywym milczeniem. Dawanie jej do zrozumienia, że może i prezes ją tu wcisnął, ale nie jest jedną z nas. Generalnie zmienili jej życie w piekło. Dziś rano miała dość. Szykowaliśmy się do

ćwiczeń z walki wręcz na ringu, gdy wyszła z szeregu i na oczach ich wszystkich podeszła do mnie. Wydawało mi się, że się załamie, zechce odejść, zacznie prosić czy coś. Słysząc było, że chłopaki się śmieją, więc odsunąłem się i oddałem jej pole. I wiesz, szefie, co powiedziała?

– Nie, nie wiem, co powiedziała, i nie mam ochoty zgadywać. Przejdź wreszcie do rzeczy.

– Stała tam, a drużyna otoczyła ją łukiem. Nigdy nie zapomnę jej głosu, nawet gdybym miał żyć tysiąc lat. Był niski i gardłowy, a przy tym gładki jak jedwab, seksowniejszego w życiu nie słyszałem. Obcięła nas wszystkich wzrokiem od góry do dołu i oznajmiła: „Proponuję układ. Wybierzcie najlepszego spośród siebie. Jeśli pokona mnie w walce wręcz tu, na ringu, każdy z was będzie mógł sobie ze mną poużywać. I gwarantuję, lepszej dupy nie znajdziecie”. Do cholery, zapadła taka cisza, że byłoby słyszać spadającą szpilkę. W atmosferze krążyło tyle testosteronu, że powietrze zrobiło się chyba łatwopalne. I wtedy dodała: „Ale jeśli ja wygram, okażecie mi taki sam szacunek jak sobie nawzajem. Umowa stoi?”.

– I?

– I poszli na to. Chłopaki spierali się, kto powinien walczyć, ale w końcu stanęło na Diego Vasquezie.

Charley skinął głową. Vasquez był jedynym członkiem drużyny silniejszym od niego, na dodatek szybkim jak mangusta.

– Co się dalej stało?

– Diego ruszył na nią jak świeżo włączona wiertarka udarowa. Nic podobnego w życiu nie widziałem. Zupełnie jakby Inga widziała jego ruchy, zanim jeszcze je wykonał. Przy tej pierwszej szarży połamała mu żebra, po prostu wykorzystwała jego pęd, żeby wzmocnić swoje kopnięcie. Padł na kolana, z trudem łapiąc powietrze. Ale ona już rzuciła mu się na plecy, otoczyła szyję rękoma w duszeniu, odcinając dopływ krwi do mózgu. Diego jedynie gapił się z niedowierzaniem, a potem oczy wywróciły mu się białkami. Gdy zemdlał, puściła go na ziemię. Byłem tak zaskoczony, że dwóch Turków zerwało się, zanim zdążyłem ich powstrzymać. Artan leciał pierwszy, próbował powalić ją na

matę i nadział się na jej łokieć, w związku z czym prawie zakrztusił się własnymi zębami. Hedo przybrał postawę do walki, ale nie miał żadnych szans, równie dobrze mógłby mieć zasłonięte oczy i ręce związane za plecami. Jej pierwsze kopnięcie złamało mu rzepekę, a drugie wbiło się w bok twarzy. Gdy przewrócił się na podłogę, nadepnęła mu na klatkę piersiową. Myślałem, że go zabije. Wtedy jednak Artan rozproszył jej uwagę, podnosząc się. Nie został długo na nogach. Gdy skończyła, obróciła się do reszty z nas. Bóg mi świadkiem, że nawet się nie zdyszała. Rzuciła tylko: „Ktoś jeszcze?”, ale nie zgłosili się żadni ochotnicy. Wtedy odwróciła się i odeszła. Właśnie dlatego ci trzej są w szpitalu. Diego w najlepszym stanie, pewnie wypuszczą go jutro. Artan i Hedo trochę sobie poleżą.

– Chyba jej się nie spodobało, że Turcy złamali umowę.

– Szczerze mówiąc, szefie, wolałbym jej nie podpaść.

Charley przytaknął.

– Czyli to był wypadek podczas ćwiczeń? – spytał.

– Jak już mówiłem.

– Wygląda na to, że mamy nową osobę w drużynie. Rozgłoś to.

Bob wstał, otworzył drzwi i obrócił się na chwilę.

– Nie muszę.

Wejście do pokoju dowództwa zamknęło się za nim z trzaskiem.

Pukanie do drzwi wybudziło Freddy'ego z lekkiej drzemki, podczas której szklaneczka whisky Crown Royal niemal wysunęła mu się z palców.

Cholera. Która godzina? Ledowe światełka na dekodерze kablówki mówiły, że dwudziesta trzecia czterdzieści pięć. Kto, u diabła, dobijał się tuż przed północą?

Pomyślał, by wyciągnąć swoją trzydziestkęósemkę o krótkiej lufie. Ale co, jeśli to był Kosiarz? Wtedy trzymana broń okazałaby się dla dziennikarza jedynie gwoździem do trumny.

Hagerman postawił szklankę na stoliku, podniósł się z wygodnego fotela i podszedł niepewnym krokiem do drzwi. Przetarł dłonią twarz, odetchnął głęboko, by oczyścić myśli, i nacisnął klamkę.

Umysł Freddy'ego potrzebował pełnych pięciu sekund, by przetworzyć stojącą przed nim dziewczynę, drobną Azjatkę w dżinsach i fioletowej koszulce na ramiączkach, odsłaniającej pępek. Przynajmniej nie było widać żadnych kolczyków.

– Nie ten dom. Impreza musi być kawałek dalej.

– Freddy Hagerman?

– A jeśli tak?

– Rozumiem, że spotkał się pan w Budynku Thomasa Jeffersona z Denise Jennings z NSA.

W końcu przyciągnęła jego uwagę. Freddy wskazał jej gestem kanapę, lecz nie ruszyła się.

– Nie zostanę na tyle długo, żeby wchodzić lub siadać. Chciałam coś panu dać.

Podawała mu skórzaną walizeczkę, którą błędnie wziął za torebkę, i odsunęła się. Dostrzegł, że oczy miała równie czarne jak włosy.

– Dowie się pan z tych opracowań, że skończyłam pracę

rozpoczętą przez Denise. Rozumiem, że wie pan, co z tym dalej zrobić.

– Czy mogę zadać kilka pytań? – W rzeczywistości miał ich więcej niż kilka.

– Nie ma takiej potrzeby. Jeśli w przekazanych panu właśnie materiałach nie ma odpowiedzi, nie znam jej.

– Jak się pani nazywa?

– Do widzenia, panie Hagerman.

Odwróciła się, przeszła ciemnym podjazdem i wsiadła do małego samochodu. Gdy otwierała wóz, w środku nie zapaliło się światło. Odjeżdżając, nie włączyła reflektorów. To tyle w kwestii dostrzeżenia numeru rejestracyjnego.

Freddy wpatrywał się w auto skręcające w przecznicę. Następnie zamknął drzwi, wszedł do kuchni i rozłożył zawartość walizki na stole. Trzy dzbanki kawy później, gdy pierwsza szarówka przedświt zaczął rozjaśniać okna, wiedział już, że dziewczyna mówiła prawdę.

Wiedział również, że gdyby Kosiarz nie powiedział mu, aby nie publikował artykułu przed Dniem Bramy, już ruszałby w drogę do Nowego Jorku.

ROZDZIAŁ

116

Donald Stephenson chodził po jaskini ATLAS jak lew po klatce.

Było dziwnie cicho. Dał całemu personelowi osiem godzin wolnego i polecił ekipie Dnia Bramy, aby stawiała się na posterunkach o czwartej rano, by rozpocząć sześciogodzinne odliczanie.

Byli zszokowani. W grocie zawsze ktoś pracował w nocy. Jednak teraz Donald chciał się samotnie napawać zwieńczeniem dzieła całego życia.

Gdy stąpał między ogromnymi urządzeniami, słuchając echa swych kroków i spoglądając na stalowe rusztowania zakrywające ściany jaskini, nagły chłód sprawił, że ręce pokryły mu się gęsią skórką. Przypomniało mu to inną listopadową noc, sprzed tak wielu lat, gdy również stał w grocie stworzonej ręką człowieka, za towarzystwo mając jedynie okręt Rho.

Tamta chwila była najczystszą w jego życiu. Dała mu poczucie odkrycia, objawienia. Nowego celu w momencie, w którym wielu uważało jego karierę za udaną, on jednak sądził, że jedynie kręci się w miejscu.

Ludzkość miała się za wysoce rozwinięty gatunek, a nawet, co jeszcze dziwniejsze, za największe dzieło wszechmogącego Boga. Jednak tamtej nocy, gdy Donald samotnie wszedł na pokład okrętu Rho, odkrył dowód tego, co zawsze uważał za prawdę. Człowiek był ledwie niedorostkiem na zadupiu starzejącej się Galaktyki.

Gdyby okręt Rho nie został poważnie uszkodzony w trakcie walki z pojazdem Altreian, Donald nie potrzebowałby tak wiele czasu, by doprowadzić ludzkość do kolejnego skoku ewolucyjnego. Choć jednak nie obyło się bez tylu lat drobnych kroczków i spotkało go tyle niepowodzeń, nie zatrzymał się i

w końcu dotarł na próg przeznaczenia.

Jakże dziwnie jego los wydawał się spleciony z Dniem Dziękczynienia, zupełnie jak w jakimś kosmicznym cyklu. Po raz pierwszy od bardzo dawna na niestarzejącej się twarzy naukowca pojawił się uśmiech.

Następnego dnia, gdy w Ameryce znów nastanie Dzień Dziękczynienia, on zmieni świat.

Ośrodek kontrolny Projektu Przeniesienia Anomalii, w skrócie PPA, wyglądał zupełnie inaczej niż wyobrażał sobie Ted Cantrell. Gdy przyjechał wraz z ekipą CNN, aby przygotować się do najważniejszej transmisji w historii, spodziewał się czegoś w stylu pomieszczenia kontroli misji w Centrum Lotów Kosmicznych imienia Lyndona B. Johnsona w Houston, wypełnionego rzędami nowoczesnych stanowisk komputerowych ustawionych w schludnej szachownicy przed ścianą z wielkimi ekranami. Teraz miał jednak wrażenie, że znalazł się w jaskini Batmana.

Grota ATLAS była wielka, a jej ściany pokrywały stalowe kratownice, metalowe pomosty prowadzące do metalowych schodów ze stalowymi poręczami, by nikt nie zabił się w wyniku upadku. Na jednym z najwyższych poziomów przydzielono miejsce dla kamer i reporterów z mediów międzynarodowych. Cała dostępna przestrzeń na wąskiej, długiej platformie została w takim stopniu wypełniona sprzętem i przewodami, że ledwo zostało miejsce dla prezenterów.

Ted postanowił stanąć na tle balustrady, aby kamera wraz z nim obejmowała wielką, rozciągającą się za jego plecami jaskinię. Pomimo niewielkiej dostępnej przestrzeni widok zapierał dech w piersiach. Brama Rho wznosiła się trzydzieści metrów nad podłogę pośrodku groty i przypominała odwrócony magnes w kształcie podkowy, o metalowych ścianach grubości pięciu metrów i powierzchni pokrytej wypustkami wyglądającymi jak kielki na ziemniakach, które zbyt długo przechowywano w piwnicy. Grube przewody rozgałęziały się z wielkiej stalowej budowli wznoszącej się na dziewięćdziesiąt metrów i wchodziły właśnie do tych wypustek lub znikwały pod ośrodkiem

kontrolnym. Miało nimi biec więcej mocy, niż wytworzyła kiedykolwiek któraś ziemská elektrownia.

Wpatrując się w nie, Ted poczuł nagle, jak ściska mu się gardło. Pomimo solidnej warstwy izolacji spowijającej każdy z tych kabli prezydent zastanawiał się, czy ta energia nie wyrwie się z nich, posyłając niekontrolowane wyładowania elektryczne po wszystkich stalowych rusztowaniach.

Skoro jednak czuł się tak niebezpiecznie odsłonięty tu, na górze, to co musiały sobie myśleć setki naukowców i techników, którzy obsługiwali i otaczali PPA? Zamiast umieścić ośrodek kontrolny w rozsądnej odległości od bramy, postawiono go tuż obok niej w taki sposób, że okrążał to okropieństwo, jakby byli dwojgiem kochanków splecionych w łóżku. Bezpieczeństwo i piękno poświęcono na ołtarzu szybkości, przez co skrócono długość tysięcy przewodów i umiejscowiono naukowców tak, by mogli bezpośrednio obserwować całą procedurę i reagować w razie potrzeby.

Dziesięć metrów od wylotu bramy stała wielka metalowa kapsuła mieszcząca w sobie komorę próżniową i pole elektromagnetyczne spowalniające rozrost Listopadowej Anomalii. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nie będą już potrzebne. A jeśli nie pójdzie, przestanie to mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Według czołowych naukowców pracujących przy projekcie anomalia coraz szybciej przechodziła w niestabilność, co profesor Stephenson przewidział w swoich równaniach. Jeśli Brama Rho nie spełni dziś swojego zadania, nie dostaną drugiej szansy.

Wysoko na platformie zrobiło się głośniejsze, gdy korespondenci zagraniczni rozpoczęli transmisję. Janice Fernandez, odpowiadająca za makijaż Teda, podeszła, by przypudrować mu twarz, usuwając w ten sposób krople potu, które wyskoczyły prezydentowi na skroniach, choć w jaskini panował chłód.

– Trzydzieści sekund do wejścia.

Ted skinął głową producentowi, wziął kilka głębokich oddechów, po czym, jakby relacjonowanie światowych kryzysów

było dla niego codzienną rutyną, przybrał profesjonalną minę.

Trzy monitory umieszczone od jego lewej do prawej strony na poziomie wzroku na metalowej ścianie pokazywały po kolei obraz ze studia CNN w Atlancie, ujęcie skierowane na niego samego oraz zbliżenie profesora Stephensona, siedzącego na podwyższeniu, górującego nad innymi naukowcami z PPA i otoczonego klawiaturami oraz monitorami.

W uchu usłyszał głos prezentera z Atlanty.

– A teraz łączymy się na żywo z najlepszym korespondentem od sytuacji nadzwyczajnych, Tedem Cantrellem.

Rozpocząło się przedstawienie.

Dowódca kohorty Ketaan-Ra szedł wzdłuż szeregu, przeprowadzając inspekcję swojej drużyny szturmowej z pewnością siebie wynikającą z wielu podobnych misji przeprowadzonych w całej Galaktyce. Jego zadanie nie było proste, lecz nie można go też było nazwać skomplikowanym. Zaczekać, aż brama zsynchronizuje się z sygnałem z drugiego końca, uruchomić portal, a następnie wejść w niego, by zabezpieczyć go od drugiej strony i ustanowić przyczółek dla nadchodzącej armii.

Wówczas dzięki potężnej sile ognia i zaawansowanej technologicznie broni, którymi będą dysponować atakujące siły, kolejny świat zostanie wcielony do Kolektywu Kasari. Jednak armii nie będzie wolno przejść przez portal, dopóki zespół Ketaana-Ra nie wykona swojego zadania.

Specjalna drużyna szturmowa poniesie pewne straty, dowódca nie miał co do tego wątpliwości. Tak działo się niemal przy każdej inwazji, ponieważ pierwszym żołnierzom nie wydawano broni dystansowej, która mogłaby uszkodzić bramę po drugiej stronie lub zakłócić jej działanie. Portale na światach docelowych zawsze konstruowano w prymitywnej technologii, bo choć wykorzystywano materiały ze światookrętu, po prostu tych globów nie stać było na większe wyrafinowanie i niezawodność. Ponieważ jego drużyna nie otrzymała nawet broni rozpraszającej o niskiej mocy, będzie musiała polegać na przewadze wynikającej z zaskoczenia i szoku wywołanych szturmem, na wyszkoleniu w walce wręcz i z umiejętności posługiwania się bronią białą oraz na wzmocnionych przez nanotechnologię ciałach.

Z pewnością po drugiej stronie znajdują się jakieś siły bezpieczeństwa, ale minimalne. Zawsze tak było. Nikt nie

otwierał bramy Kasari, spodziewając się, że przejdą nią siły szturmowe. Planety oczekiwały dobrodziejstw, do jakich przygotował je światookręt, i właśnie dlatego konstruowały przejścia, zatem jego żołnierze szybko rozprawią się z oporem i zabezpieczą kolejny portal. Gdy armia otrzyma sygnał, rozpocznie inwazję i sprowadzi ze sobą transportery, podniebnych jeźdźców, ciężki sprzęt i resztę łańcucha logistycznego Kasari.

Po zakończeniu inspekcji wybranej jedenastki Ketaan-Ra gestem wskazał swemu sierżantowi, by podszedł bliżej. Dowódca stanął na baczność, by jego najlepszy weteran sprawdził go z identyczną drobiazgowością, jakiej wcześniej poddana została reszta. Standardowa procedura operacyjna. Nikt nie szedł do walki, nie przechodząc przez pełną kontrolę, a już zwłaszcza nie oficerowie.

Gdy podoficer okrążał go, badając dotykiem każdy element wyposażenia, urządzenie komunikacyjne wydało z siebie odgłos alarmowy. Brama po drugiej stronie rozpoczęła pobór mocy i przygotowywała się do uruchomienia. Następnie wystarczy zaczekać, aż jedno i drugie wrota zsynchronizują sygnały i wówczas portal ustabilizuje się.

Ciepły blask ruszył w górę od dwóch stóp Ketaana-Ra do jego nóg i korpusu, a następnie przeszedł na cztery ręce, szyję i głowę. Za chwilę ruszą do akcji.

Relacjonowanie zwieńczenia projektu Listopadowa Anomalia okazało się nieco przytłaczające nawet dla Teda. Zdawał sobie sprawę, że z początku jego głos brzmiał nieco niepewnie, jednak z biegiem transmisji górę wzięło doświadczenie, trema ustąpiła i dalej jechał już jak na autopilocie.

Rozkręciwszy się, Cantrell wskazał gestem grootę rozpościerającą się za jego platformą.

- Za chwilę będą państwo świadkami najważniejszego wydarzenia, odkąd na naszej planecie pojawiło się życie, kulminacji najambitniejszego projektu naukowo-inżynieryjnego, jakiego podjął się kiedykolwiek człowiek. W następnej godzinie profesor Donald Stephenson oraz naukowcy pracujący nad Listopadową Anomalią spróbują wykorzystać technologie uzyskane dzięki badaniom nad okrętem obcych z Projektu Rho. Niektórych z nich jeszcze nigdy nie testowano, nie mówiąc już o wykorzystywaniu na taką skalę. W trakcie minionych ośmiu miesięcy w wielkiej jaskini za moimi plecami, a także niedaleko stąd na powierzchni najlepsi światowi naukowcy oraz inżynierowie skonstruowali cztery urządzenia, które mają odegrać kluczową rolę w dzisiejszej próbie ocalenia ludzkiej rasy. Pierwsze z nich to jedyny element nadziemny, elektrownia zbudowana przy wykorzystaniu obcej technologii rozpraszania materii, która zapewni ogromną moc wymaganą przez systemy znajdujące się tutaj, w grocie ATLAS.

Ted dobrze wiedział, że jego widzowie mają na ekranach nie tylko jaskinię i jego, ale również sekwencję trójwymiarowych animacji komputerowych ilustrujących jego słowa.

- Dwóch kolejnych istotnych elementów nie widać za moimi plecami, ponieważ są schowane za ścianami sprzętu stojącego na

podłodze groty. Tak naprawdę to dwa identyczne egzemplarze jednego urządzenia, nazywanego generatorem pola statycznego. Ich zadaniem jest inicjowanie i manipulowanie potężnymi polami siłowymi, które zostaną użyte do wyizolowania Listopadowej Anomalii, a następnie przeniesienia jej do bramy, by przetransportowała niebezpieczeństwo w przestrzeń kosmiczną.

Ujęcie przeszło na kamerę pokazującą PPA i obraz powoli oddalał się, aż ogromna brama wypełniła cały ekran.

– W tym momencie patrzą państwo na serce projektu, urządzenie o nazwie Brama Rho.

Ted przerwał na chwilę, by zwiększyć dramatyzm chwili.

– Właśnie ten cud technologii stworzy tunel czasoprzestrzenny, przez który naukowcy przepchną Listopadową Anomalię, używając do tego generatorów pola statycznego. Gdy anomalia znajdzie się w tunelu, Brama Rho zostanie wyłączona. Wtedy przejście się zamknie, a zagrożenie dla naszej planety zniknie na zawsze.

Oświetlenie w jaskini nabrało bursztynowego odcienia i odezwał się system nagłaśniający:

– Rozpoczęcie odliczania do początkowego zasilania pola statycznego. Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden. Zasilanie włączone.

Nastąpiła krótka przerwa, po której rozbrzmiał kolejny komunikat:

– Zasilanie generatora pola statycznego na stabilnym poziomie dziesięć procent w obu systemach. Rozpoczęcie jednonominutowego odliczania do osiągnięcia pełnej mocy.

Ted obrócił się bokiem, by kamera pokazywała jego profil na tle bramy.

– A teraz zaczyna się robić ryzykownie. Rozpoczęte odliczanie doprowadzi nas do chwili, kiedy naukowcy włączą dwa generatory pola statycznego na pełną moc. Wprawdzie to zaledwie ułamek energii, jaką będzie wykorzystywać Brama Rho, jednak i tak więcej, niż Wielki Zderzacz Hadronów zużył przez cały okres swojego działania.

Cantrell zorientował się, że mocno się poci. Już do tego doszło...

Głośniki oznajmiły ostatnich dziesięć sekund odliczania.

- Rozpoczęcie zwiększania mocy... Pięćdziesiąt procent... siedemdziesiąt procent... dziewięćdziesiąt pięć procent... Zasilanie generatora pola statycznego na stabilnym poziomie stu procent. Wszystkie systemy w normie.

Z dna jaskini dobiegły odgłosy oklasków. Ted uśmiechnął się z ulgą.

- W tym aplauzie słyszą państwo zapewne napięcie.

- Rozpoczęcie jednonumutowego odliczania do osiągnięcia pełnej mocy Bramy Rho – zaskrzeczał system nagłośnieniowy.

Ted obrócił się znów twarzą do kamery.

- Muszę przyznać, że trochę zaschło mi w ustach. W przeciwieństwie do stopniowego zwiększania mocy w generatorach pola statycznego, w przypadku bramy osiągnięcie ona pełne zasilanie od razu. Naukowcy skierują do niej energię, lecz urządzenie zostanie uruchomione, dopiero gdy główny generator pola statycznego odizoluje Listopadową Anomalię.

Rozległo się ostateczne odliczanie, a kamera pokazała w zbliżeniu Bramę Rho.

- Rozpoczęcie zwiększania mocy bramy.

Cantrell poczuł, jak włosy stają mu dęba, choć nie miał pewności, czy to z powodu ładunków elektrostatycznych w powietrzu, czy też odczuwanego w ciele napięcia. Widział, że producent oraz obsługa kamery też byli spięci i poruszali się jak automaty. Wydawali się Tedowi niczym kiepsko zaprojektowana symulacja komputerowa ekipy, którą tak dobrze znał.

- Moc na poziomie pięćdziesięciu procent... siedemdziesięciu pięciu... dziewięćdziesięciu... dziewięćdziesięciu pięciu... dziewięćdziesięciu ośmiu...

Nastąpiła krótka przerwa w komunikatach.

- Zasilanie bramy na stabilnym poziomie dziewięćdziesiąt dziewięć i trzy dziesiąte procent wartości maksymalnej.

I znów od strony zebranych naukowców oraz techników dobiegły oklaski.

Ted wypuścił wstrzymywane powietrze.

- Zapewne zastanawiają się państwo, dlaczego oni klaszczą,

skoro nie osiągnęliśmy stu procent mocy. Mnie również to ciekawi. O wyjaśnienie poprosimy doktor Gertę Freiholt, fizyka z zespołu zajmującego się rozpraszaczem materii. Dziękuję, że zgodziła się pani poświęcić czas na wytłumaczenie nam, co się dzieje.

Kamera przesunęła się na kobietę w białym fartuchu, z siwymi włosami zebranymi w ciasny kok.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Jak widać po reakcji zespołu z PPA, moc na poziomie dziewięćdziesięciu dziewięciu procent to doskonały wynik. System został zaprojektowany z pewną tolerancją. Owszem, chcielibyśmy uzyskać sto procent, ale odpowiada nam każdy rezultat powyżej dziewięćdziesięciu pięciu.

- Dobrze wiedzieć. Od kolejnego etapu dzieli nas kilka minut. Czy mogłaby pani w skrócie powiedzieć, czego naukowcy spróbują dokonać przy użyciu generatorów pola statycznego?

- Najpierw wykorzystają główny generator pola statycznego, aby pochwycić i odizolować Listopadową Anomalię. W tym momencie jest ona zamknięta w potężnym polu elektromagnetycznym w komorze próżniowej.

Obraz zmienił się na ujęcie stalowej kuli wiszącej kilka metrów przed wlotem bramy.

- Gdy pole statyczne zostanie skierowane na urządzenie mieszczące anomalię, natychmiast przetnie ten stalowy pojemnik, który spadnie na podłogę jaskini. Pole statyczne porusza się jednak z prędkością światła, więc zanim jeszcze elementy komory próżniowej zaczną opadać, pole owinie się wokół anomalii, utrzymując próżnię i nie pozwalając, by jakkolwiek materia z zewnątrz zakłóciła anomalię.

- A co z metalową osłoną? Czy jej górna część nie wpadnie prosto w anomalię? I czy jej nie przesunie?

- Nie. Nie zdoła jej dotknąć. Proszę wyobrazić sobie pole statyczne jako pole siłowe tak mocne, że może odpychać wszystko od anomalii. Nie przeniknie go nawet eksplozja jądrowa.

- Kojarzy się trochę z deflektorem okrętu Enterprise z serialu

Star Trek.

– Można w ten sposób o nim myśleć.

– Zatem do czego służy drugi generator?

– Dobrze pytanie. Gdy pierwszy generator pola statycznego pochwyti anomalie, naukowcy uruchomią Bramę Rho, by stworzyć tunel czasoprzestrzenny sięgający w daleką przestrzeń kosmiczną. Jednak otwarcie na obecną tam próżnię natychmiast doprowadziłoby do dekompresji całego obiektu, wysłałoby stąd powietrze, a wraz z nim i nas wszystkich. Drugi generator pola statycznego utworzy niewidzialne drzwi zamykające wejście do bramy i nastąpi to przed jej włączeniem. Gdy powstanie już tunel, naukowcy potwierdzą jego współrzędne końcowe, by upewnić się, że nie leży zbyt blisko Ziemi lub w obrębie jakiejś gwiazdy. Następnie za pomocą pierwszego generatora przeniosą anomalie do bramy, w taki sposób modulując obydwie pola, by pierwsze przeszło przez drugie i wpuściło anomalie w tunel.

– A co później?

– Sądzę, że rozpocznie się wielka impreza.

Kamera przesunęła się znów na Teda i jego nerwowy uśmiech.

– Miejmy nadzieję i módlmy się, aby właśnie tak się stało.

– Zbliża się ostateczne odliczanie do pochwylenia anomalii. – W jaskini rozbrzmiały echem kolejne sekundy. – Rozpoczęcie pochwylenia anomalii.

Rozległ się hałas przypominający uderzenie pioruna i wielki stalowy pojemnik mieszczący w sobie anomalie rozpadł się, po czym upadł na podłogę. Przez kilka sekund słychać było jedynie echo brzęku fragmentów uderzających o beton.

I wtedy rozległ się alarm.

– Ostrzeżenie. Moc pierwszego generatora pola statycznego na poziomie osiemdziesięciu dwóch procent i spada. Wykryto rozpad pola statycznego.

W centrum sterowania PPA brodaty skandynawski technik pobiegł w kierunku jednej z wielkich szaf ze sprzętem elektronicznym. Długie blond włosy powiewały za nim, gdy wskakiwał na drugi poziom z urządzeniami, zrywał osłonę, rzucał ją na podłogę i wsuwał głowę wraz z torsem do środka.

Na swoim stanowisku ponad resztą zespołu profesor Stephenson obrócił się do drugiej klawiatury, waląc z frustracji pięścią w blat. Nagle to on odezwał się w systemie nagłośnieniowym:

- Rozpoczęcie procedury zamiany sterowania pomiędzy pierwszym i drugim generatorem pola statycznego. Profesorze Trocki, proszę dokonać przełączenia ze swojej konsoli. Już!

Przy akompaniamencie wciąż wyjącej syreny alarmowej Ted obserwował z przerażeniem, jak powietrze otaczające miejsce dawnej komory próżniowej nabiera błękitnego odcienia w obrębie tego, co musiało być słabnącym polem statycznym.

Aktywność po bliższej stronie PPA odciągnęła uwagę korespondenta od jaśniejszej kuli. Kilka osób skupiło się przy jednym ze stanowisk wokół siwowłosego naukowca leżącego na panelu sterowania.

Przypomniawszy sobie, po co tam jest, Cantrell zebrał się w sobie i wskazał dłonią.

- Skieruj kamerę tam.

Obraz przesunął się, pokazując teraz grupę uczonych. Przepchnęła się przez nich młoda kobieta w białym fartuchu laboratoryjnym, z zadziwiającą łatwością podniosła naukowca z krzesła, przekazała jego nieprzytomne ciało dwóm mężczyznom, po czym wsunęła się na opuszczone miejsce. Jej dłonie pomknęły po kilku klawiaturach tak szybko, że ich ruchy, widoczne na tle rzędu płaskich monitorów, aż się rozmywały. Szczupłe ciało nowo przybyłej i jej krótkie, sterczące włosy w kolorze platynowego blondu skojarzyły się Tedowi z popową gwiazdką wznoszącą się w górę nad publicznością swego europejskiego koncertu.

- Ostrzeżenie. Moc pierwszego generatora pola statycznego na poziomie czterdziestu procent i spada. Zagrożenie awarią pola statycznego.

Obserwując dalej egzotyczną młodą uczoną, Cantrell usłyszał niski pomruk strachu dobiegający ze strony pozostałych naukowców. Wdarł się on do mikrofonów i poniósł do publiczności liczonej w miliardach osób.

Prezydent Jackson wpatrywał się w transmisję CNN, otoczony swym zespołem do spraw bezpieczeństwa narodowego.

– Panie prezydencie – dobiegł spięty głos generała Smitha z głośnika szyfrowanego telefonu satelitarnego. – Kończy nam się czas.

Przywódca państwa rozejrzał się po pomieszczeniu, napotkał wzrok każdego członka swego personelu, przyjrzał się kiwającym z aprobatą głowom. Przełknął ślinę i niechętnie przemówił władcym głosem:

– Generale Smith. Upoważniam pana do wdrożenia ze skutkiem natychmiastowym planu awaryjnego Anomalia Brawo.

– Panie prezydencie, cytuję polecenie. „Generale Smith. Upoważniam pana do wdrożenia ze skutkiem natychmiastowym planu awaryjnego Anomalia Brawo”.

– Potwierdzam.

– Tak jest, panie prezydencie. Smith bez odbioru.

Jackson podniósł znów wzrok na ekran telewizyjny.

– Boże, dopomóż nam wszystkim – odezwał się ledwo słyszalnym szeptem.

Generał Raymond Smith obrócił fotel i skinął głową jedynej osobie obecnej poza nim w bunkrze dowodzenia pod bazą lotniczą Ramstein w pobliżu miasta Kaiserslautern w Niemczech – majorowi Bobowi Glendale’owi.

– Słyszał pan upoważnienie prezydenta?

– Tak jest, sir.

– Proszę otworzyć kopertę.

Gdy Bob sięgnął po pakiet leżący przed nim na biurku, Smith obrócił się z powrotem na fotelu, sięgnął do przybornika, podniósł nóż do papieru i rozciął własną jasnobrązową kopertę, po czym opróżnił ją na blat przed sobą.

Zerknął na listę kontrolną, lecz znał ją na pamięć. Nie był to plan awaryjny Anomalia Alfa, lecz Brawo. Oznaczało to, że ci biedacy

w jaskini ATLAS nie otrzymają ostrzeżenia. Prezydent wydał właśnie rozkaz natychmiastowego użycia broni nuklearnej.

Generał podniósł cylindryczny czerwony klucz z przywieszką oznaczoną numerem jeden i spojrzał na majora, trzymającego już swój, oznaczony dwójką.

– Wkładamy.

Major Glendale wsunął klucz w konsolę, a generał Smith poszedł w jego ślady.

– Uruchamiamy na mój znak. Już.

Gdy klucze obróciły się równocześnie, na panelu przed generałem zapaliła się jaskrawozielona dioda. Smith podniósł czerwoną osłonę i odetchnął głęboko, wyrzucając z głowy myśl o niewinnych osobach, które za chwilę zginą. Następnie przesunął przełącznik na pozycję DETONACJA.

ROZDZIAŁ

120

Oglądając obraz z dwunastu oddzielnych włókien czasoprzestrzennych, Raul zacierał ze zniecierpliwieniem rękę. Choć wiele sił od dawna szykowało się, by spotkać się w jednym miejscu – armia obcych, profesor Stephenson, troje mutantów zmodyfikowanych przez altreiański okręt oraz połączony trust mózgów najlepszych i najbardziej błyskotliwych naukowców na Ziemi – tylko on wiedział o wszystkich.

Dryfował we własnej samotniczej fortecy i czuł moc przepływającą przez jego sieć neuronową, czuł niezwykłą potęgę boskiej woli. W tym momencie istniał wyłącznie jeden archanioł i był nim Raul. Nie stał się synem Boga, jak wcześniej wierzył, lecz jego silną prawą ręką. Przez całe życie się do tego przygotowywał.

Kolejny raz sprawdzał wszystko. W końcu dysponował tylko jedną szansą i musiał się bardzo precyzyjnie wstrzelić. Gdyby dzięki pokładowym archiwom nie miał dostępu do planu inwazji obcych, nie zdołałby zrealizować swoich zamierzeń. Znał jednak sygnały synchronizacyjne bramy oraz kody pozwalające sterować polem statycznym. A skoro Stephenson zamierzał sprowadzić obcych przez ten portal, nastolatek musiał wykorzystać te informacje.

W umyśle chłopaka uformował się obraz profesora sunącego spokojnie przez jego pole siłowe. Tak, Raulowi wtedy nie spodobało się obserwowanie z pierwszego rzędu demonstracji, co może osiągnąć osoba znająca kody sterujące polem. Miał tylko nadzieję, że Stephenson znów spróbuje tego numeru.

Zresztą nie tylko naukowiec miał się zdziwić. Kolektyw Kasari postępował według tej samej procedury już tysiące razy na planetach w całej Galaktyce. Nie spodziewali się jednak, że ich

światookręt zostanie zestrzelony na nieobliczalnej Ziemi, nie przewidzieli szalonego planu Stephensona, który wygenerował czarną mikrodziurę po to, by zmusić rządy do skonstruowania bramy.

Właśnie dlatego nastolatek miał tak niewielkie pole manewru. Stephenson liczył na krótkie opóźnienie po stworzeniu tunelu czasoprzestrzennego, zanim wprowadzi kody synchronizujące bramę. Potrzebował czasu, by drugi generator pola statycznego wypchnął anomalie w daleką przestrzeń, zanim połączy portal z drugim końcem Galaktyki. Raczej nie miałoby sensu, gdyby obcy Wehrmacht nadział się prosto na rosnącą czarną dziurę.

Raul nie miał też ochoty znaleźć się na planecie pochłanianej przez horyzont zdarzeń. Oznaczało to, że nie mógł tak po prostu zsynchronizować własnego tunelu uzyskanego dzięki okrętowi Rho z bramą profesora. Musiał pozwolić, by początkowe etapy operacji Stephensona poszły zgodnie z planem, i dopiero później zacząć działać. Tak samo zresztą jak Heather i bliźnięta Smythe. To dlatego musieli przebywać na miejscu. Wspaniale.

Gdy nastolatek uzyskał w końcu pełny dostęp do komputerów odrodzonego okrętu Rho, odkrył, że żadna żywa istota nie zdołałaby przetrwać przejścia przez tunel czasoprzestrzenny o jednym końcu. Zastanawiał się, dlaczego Kasari nie zdecydowali się na wysyłanie zautomatyzowanych pojazdów, by następnie za ich pomocą ustanawiać drugi kraniec portalu. W końcu każdy okręt miał na pokładzie generatory tuneli czasoprzestrzennych.

Problem leżał w tym, że wprawdzie światookręty potrafiły tworzyć własne tunele tranzytowe, a nawet tymczasowe połączenia z pełnowymiarowymi bramami Kolektywu, jednak nie były w stanie otworzyć przejścia o odpowiednim rozmiarze i stabilności, aby dało się przez nie przenieść siły inwazyjne wraz ze sprzętem. I choć techniki odpowiedniego wpływania na populację nie zawsze działały, gdy brama została już uaktywniona, Kasari nigdy nie spodziewali się niepowodzenia. Dzisiaj miało się to zmienić.

Raul obserwował w głowie obrazy dochodzące przez włókna czasoprzestrzenne i na twarz wpełzał mu powoli uśmiech. Jego

sztuczne oko skupiło się na strażniczce w czarnym stroju.
– Cześć, Heather.

ROZDZIAŁ

121

Inga Hedstrom rozglądała się po jaskini ATLAS, trzymając w zgięciu lewej ręki granatnik XM-25. W tego rodzaju broń byli wyposażeni wszyscy strażnicy, choć wolno im było ładować wyłącznie taką samą amunicję obezwładniającą, jakiej SEAL użyli w Boliwii, by pojmać Heather i bliźnięta. Wychodzono z założenia, że jeśli ktoś zacznie szaleć w Dzień Bramy, należy go unieruchomić bez narażania ważnych urzędów na uszkodzenie, dziewczyna musiała zatem zamienić granaty odłamkowo-burzące na gluty.

Skinęła głową hiszpańskiemu kompanowi z drużyny, znajdującemu się na metalowym pomoście sześć metrów wyżej i na lewo od niej, po czym dała się ponieść wizjom.

Mark i Jennifer też przebywali w grocie, zajmowali się przydzielonymi zadaniami i nie spoglądali na nią. Tego dnia wszyscy mieli na szyjach obręcze z okrętu Bandelier. Heather ukryła swoją pod kołnierzem czarnego munduru. Ot, po prostu kolejny z wielu podjętych przez nich środków ostrożności. Dziewczyna miała nadzieję, że wystarczająco wielu.

Odliczanie do pochwylenia anomalii przebiegało zgodnie z planem. Profesor Stephenson siedział na swojej grzędzie przy głównej konsoli kontrolnej, wysoko nad resztą naukowców i techników, zajmujących stanowiska w PPA u podstawy bramy.

– Zbliża się ostateczne odliczanie do pochwylenia anomalii – rozległ się komunikat. – Rozpoczęcie pochwylenia anomalii.

Komora mieszcząca dotąd anomalie rozpadła się, a jej elementy poleciały na podłogę niecałe pięćdziesiąt metrów od pozycji dziewczyny. Heather skupiła się. Już tylko sekundy dzieliły ją od zwieńczenia wszystkich ich planów i była gotowa, podobnie jak Mark i Jen.

Wyjąty alarm ustąpił jeszcze głośniejszemu obwieszczeniu z głośników:

– Rozpoczęcie procedury zamiany sterowania pomiędzy pierwszym i drugim generatorem pola statycznego. Profesorze Trocki, proszę dokonać przełączenia ze swojej konsoli. Już!

Gdy Jennifer przekazywała nieprzytomnego naukowca na bok i przejmowała konsolę sterowania drugim generatorem, Heather ujrzała, jak Mark zrywa metalową osłonę kryjącą osprzęt elektroniczny zasilający pierwsze pole siłowe. Chłopak miał mniej niż minutę, by przywrócić moc generatorowi, żeby mógł on przejąć zadanie pierwszego pola siłowego. Było to równie istotne jak objęcie przez Jen kontroli nad drugim polem.

Na oczach Heather anomalia pulsowała energią w polu powstrzymującym, a przez umysł nastolatki przelewały się równania. Przejście z pierwszego generatora na drugi odbyło się płynnie, ale doszło przy tym do przedostania się do środka odrobiny materii i anomalia wpadła w spiralę śmierci. Jeśli pierwsze pole siłowe nie odzyska mocy, by móc zahermetyzować portal, Stephenson nie zdoła uruchomić bramy. A jeśli Mark spóźni się choćby o kilka sekund, przestanie to już mieć jakiegokolwiek znaczenie.

– Ponowne uruchomienie pierwszego pola siłowego!

W PPA rozległy się wiwaty, a profesor Stephenson poruszył się za swoją konsolą.

– Natychmiastowe rozpoczęcie generowania tunelu czasoprzestrzennego.

Nie było czasu na odliczanie, a jedynie na to, by stworzyć tunel i potwierdzić współrzędne drugiego krańca. Następnie Jennifer zmodyfikuje drugie pole statyczne, by mogło przenieść anomalię przez pierwsze pole i wrzucić ją w daleką przestrzeń. Później Jen użyje drugiego pola siłowego, aby zniszczyć bramę, zanim Stephenson otworzy ją dla najeźdźców.

Heather dopracowała obliczenia. Pięć minut i siedemnaście sekund do chwili, gdy rosnący horyzont zdarzeń wyrwie się z pola powstrzymującego i pochłonie wszystko, co go otaczało. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, powinni mieć dwie

minuty w zapasie.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem.

ROZDZIAŁ

122

Dlaczego nie nastąpiła detonacja?

Głos generała Smitha dobiegający przez bezpieczny telefon niósł w sobie napięcie, które kapitan Everett odczuwał jak wyładowanie elektryczne.

– Sir, straciliśmy łączność z bombami.

– Kapitanie, nie obchodzi mnie, czy będzie pan musiał odpalić je ręcznie. Ma nastąpić detonacja. Bez względu na wszystko.

– Tak jest.

– Kapitanie. Ojczyzna na pana liczy.

Kapitan Everett odłożył słuchawkę na widełki i zaczął biec do drzwi prowadzących do jaskini ATLAS. I tak miał dziś umrzeć, ale może zdoła wcześniej odciąć tę potworność, która chciała pochłonąć jego żonę, jego małą córeczkę i całą tę cholerną planetę.

– Brama po drugiej stronie aktywna!

Wiadomość dotarła do umysłu dowódcy Ketaana-Ra za pośrednictwem nanobotowej sieci komunikacyjnej obecnej w jego mózgu.

– Synchronizacja?

– Jeszcze nie zainicjowana z drugiej strony.

– Dlaczego nie?

– Wygląda na to, że tunel jest skierowany w punkt w galaktycznej strefie 3AF2344XZ.

Ketaan-Ra syknął. Czekał zbyt długo, aby teraz coś miało pójść nie tak.

– Obejść od naszej strony. Ustabilizować przejście.

– Niebezpieczne.

- Wykonać.
- Rozkaz.

Gdy do aktywującej się bramy skierowano energię, drużyna Ketaana-Ra przyjęła postawę bojową. Synchronizacja dobiegała końca, a dowódca przygotował się na aktywność milionów umieszczonych w jego ciele nanobotów, które dostosowywały go do atmosfery, grawitacji oraz ciśnienia w nowym świecie. Cała procedura była nieskomplikowana: gdy brama się ustabilizuje, rozpocząć przemianę, następnie wpaść w przejście w trakcie transformacji i przybyć do nowego świata w formie dostosowanej już do oddychania miejscowym powietrzem i funkcjonowania w tamtejszym środowisku. Zawsze bolało i tym razem nie będzie inaczej.

Nie mogąc sobie przypomnieć atmosfery, w której się urodził, Ketaan-Ra wypuścił ostatni haust amoniakalno-metanowej mieszanki, którą uważał obecnie za normalną, i skoczył przez portal do świata azotowo-tlenowego.

ROZDZIAŁ

123

Mark rzucił stalową osłonę na podłogę za sobą, przekreślił się na plecy i wsunął głowę wraz z ramionami do szybu serwisowego. Ograniczone światło przebijające się z groty aż z nawiązką wystarczało jego wzmocnionemu wzrokowi.

Ponieważ już wcześniej grzebał w obwodach elektrycznych konsol sterowania pierwszym i drugim polem elektrycznym, wiedział, czego szukał, i nie musiał przeprowadzać standardowych procedur testowych. Zerwał osłonę z panelu obwodów pierwszego generatora i znalazł natychmiast uszkodzony układ, czyli wadliwy moduł wzmacniający na głównej płycie drukowanej. To zabawne, taka moc kontrolowana przez jeden maleńki tranzystor, który potrzebował zaledwie strumyczka energii, by uruchomić główny kanał mocy. Natomiast brak tego strumyczka oznaczał natychmiastowe odcięcie zasilania. Mark liczył na to, gdy instalował moduł z niesprawnym opornikiem, który miał się nagrzać i spalić po minucie od włączenia zasilania w pierwszym generatorze pola statycznego.

Gryzący smród zwęglonej izolacji połaskotał go w nozdrza, gdy chłopak wyciągał z pasa narzędziowego odpowiedni śrubokręt i wykręcał pierwszą z ośmiu śrubek. Każdą kolejną łapał dłonią, gdy spadała. Po wyjęciu modułu z mocowania Mark wyrwał z niego przewód taśmowy i wyrzucił bezużyteczny układ na podłogę pod stopy.

Złapał swój zestaw naprawczy, otworzył wieczko, wybrał odpowiedni moduł i rozpoczął montaż. Miał przy sobie zastępcze elementy do kilku najważniejszych obwodów, ale najważniejsze było, że dobrze wiedział, co i kiedy zawiedzie.

Choć nastolatkiem chcieli, by pierwszy generator pola się zepsuł, niedługo później sprzętowi należało przywrócić

sprawność. Jen musiała mieć czas na uśpienie profesora Trockiego i przejęcie kontroli nad drugim generatorem. Stephenson wprawdzie zauważył, że była znacznie bardziej utalentowana niż jej szef, i gdyby nie rosyjskie naciski polityczne, wynikające z tego, że wuj profesora był prezydentem Federacji Rosyjskiej, Amerykanin już wcześniej zastąpiłby Trockiego fałszywą uczoną.

Po wsunięciu nowego modułu na miejsce Mark dokręcił ostatnie śruby i wysunął się z szybu, wracając do jaskini.

Na jego oczach w odległości dwudziestu metrów aktywował się portal. Efekt okazał się natychmiastowy. Dopiero co wewnątrz bramy z czarnej stali było puste, a już w następnej chwili widniało w niej gwiazdne pole, tak wyraźny widok na przestrzeń, że chłopak spodziewał się, iż zaraz wessie go w nieskończony przestwór. Tak się nie stało, co potwierdziło nie tylko sprawność pierwszego pola siłowego, lecz również to, że profesor Stephenson użył go do zahermetyzowania bramy. Nic nie mogło przejść przez tę blokadę bez prawidłowych kodów modulacyjnych, a nawet gdyby w jakiś sposób to się udało, wtedy taki obiekt zostałby poddany natychmiast zmianom ciśnienia, grawitacji, temperatury i składu atmosfery.

Stephenson musiał jedynie potwierdzić, iż drugi koniec znajdował się we współrzędnych wystarczająco odległych od Ziemi, by anomalia przestała stanowić zagrożenie, co wydawało się niemal pewne, zważywszy na ogrom kosmosu. Następnie Jennifer miała wykorzystać drugie pole statyczne, aby wrzucić formującą się czarną dziurę w portal. Zaraz później zamierzała użyć generatora do zniszczenia bramy. Wówczas zostanie im piętnaście minut, by dostać się do umówionego miejsca spotkania z Jackiem.

Wtedy tunel czasoprzestrzenny przesunął się.

Profesor Donald Stephenson zacisnął szczęki, a zmarszczki skupienia wyryły świeże linie na jego czole. Dopiero później mógł sobie pozwolić na złość. Teraz musiał naprawić ten wielki bałagan, w którym się znaleźli.

Zszokowało go, że proces przechwytywania anomalii niemal zakończył się katastrofą. Gdyby nie zdecydowane działania wyjątkowej zastępczyni Trockiego, która przejęła kontrolę nad drugim generatorem, gdy Rosjanin zemdłał, już by wszyscy nie żyli. Nie traciła czasu na sprawdzanie stanu swego szefa, praktycznie zrzuciła nieprzytomnego profesora z krzesła i usiadła na jego miejscu.

Gdy Stephenson skończył hermetyzować portal pierwszym polem statycznym, uruchomił bramę. Podłoga jaskini zatrzęsa się, drżenie przeszło zaraz na rusztowania i wywołało chwilową fluktuację mocy. Naukowiec poprawił ustawienia, by to skompensować, i pozwolił tunelowi kształtować się we własnym tempie. Zerknął na wskaźniki impedancji i temperatury w grubych, solidnie chłodzonych przewodach elektrycznych i na jego ustach pojawił się niemal niedostrzegalny uśmiech. Superprzewodnictwo utrzymywało się, choć do bramy płynęła niesamowita ilość energii.

Ze swojej pozycji miał widok na całe PPA oraz na sam portal. Naukowcy wyglądali jak skamieniali, skupiali wzrok na anomalii uwięzionej w drugim polu statycznym, jaśniejącej błękitnej sferze kojarzącej się z ogromną wersją kryształowej kuli wróżbiarskiej.

Obok klawiatury Stephenson miał przed sobą panel sterowania bramą, wyglądający jak koncertowy stół mikserski, z szeregiem suwaków i pokręteł, które można było ustawiać ręcznie bądź też

automatycznie za pośrednictwem komputera. Naukowiec wychylił się do przodu i pchnął największy suwak do samej góry. W bramie pojawiło się gwiazdne pole, zafalowało, po czym ustabilizowało się.

Gdy szykował się do potwierdzenia współrzędnych, te się zmieniły, a w portalu pojawiła się zupełnie inna sceneria. Co się działo, do diabła? Za wcześniej. Gdy Donald Stephenson wpatrywał się w armię zebraną w sklepionym pomieszczeniu na drugim krańcu przejścia, trzy obce stworzenia skoczyły przez próg.

I nagle portal znów się przesunął.

Co się działo, do diabła?

Obrazy pojawiające się w matrycy sensorycznej Raula nie miały sensu i na chwilę wprawiły go w osłupienie. Pomimo początkowych problemów brama została uruchomiona, a drugi koniec tunelu czasoprzestrzennego znajdował się w pustej przestrzeni. Anomalia powinna już zostać przepchnięta przez portal. Zamiast tego ziemska brama w jakiś sposób zsynchronizowała się z tą w świecie Kasari. Poza tym, ku przerażeniu chłopaka, pierwsi żołnierze sił szturmowych przeskakiwali już na drugą stronę.

Pierwszy, który przeszedł, najwyraźniej dowódca, nawet na chwilę się nie zawahał i złapał najbliższego z naukowców dwoma potężnymi ramionami, trzecim wbił ząbkowane ostrze w jego tors, a czwartym wskazał niedaleką strażniczkę. Z portalu wypadły dwa pajęcze stworzenia. Jedno z nich rzuciło się na odzianą w czerń żołnierkę, a drugie pobiegło po rusztowaniu ku drugiemu wojskowemu.

Gdy Raul dostrzegł, że pierwszy pająk zbliża się do Heather, przywróciło go to do rzeczywistości. Wprawdzie wszystkie plany legły w gruzach, ale nie mógł pozwolić na to, by Kasari dalej wlewali się do jaskini ATLAS. Uruchomił własny generator tuneli czasoprzestrzennych, wprowadził kody synchronizacyjne i naprowadził urządzenia na Bramę Rho, by zamknąć portal Kolektywu.

Poprawił ustawienie włókien podprzestrzennych w grocie ATLAS, by lepiej widzieć. W portalu, który ledwie sekundy wcześniej wychodził na przygotowanych do inwazji Kasari, teraz widniało beznogie ciało Raula unoszące się w powietrzu w jego okrętowym centrum sterowania. Z ust profesora Stephensona

dobiegł okrzyk zaskoczenia. Chłopak zignorował go i skoncentrował się na koszmarze skaczącym na Heather.

Gdy stwór do niej dobiegł, zerwała się do działania, błyskawicznie odtoczyła się na bok i natychmiast znów stanęła z dziewięciomilimetrowym glockiem w lewej dłoni i granatnikiem w prawej. Pistolet strzelał tak szybko, że brzmiał jak automat, a każda kula wbijała się w zniekształcone ciało obcego przeciwnika, który próbował się do niej obrócić, i odrzucała go, lecz nie powalała.

Sieć neuronowa Raula podpowiedziała mu, dlaczego dziewczyna nie użyła większej broni. Było to XM25, którego programowalne granaty służyły do atakowania oddalonych wrogów, nawet tych ukrytych za przeszkodami, lecz okazywały się niemal bezużyteczne na bliski zasięg, ponieważ pocisk uzbierał się dopiero po pokonaniu trzydziestu metrów. Z przyłożenia była to po prostu duża kula, lecz lepiej było jej nie marnować, chyba że okazało się to absolutnie konieczne.

Dość tego. Pora złapać Heather i zabrać ją, zanim ta pozwoli się zabić. Gdy chłopak przesuwiał część własnego pola statycznego, by sięgnąć za bramę i wyciągnąć dziewczynę z chaosu panującego w jaskini ATLAS, jego kontrola nad Bramą Rho załamała się i portal Raula zaraz znów się zsynchronizował, tym razem ponownie z bramą Kasari. Dziewięciu wojowników Kolektywu wdarło się natychmiast na okręt Rho.

ROZDZIAŁ

126

Profesor Stephenson zawahał się, ale tylko na sekundę. W jaskini znalazło się trzech komandosów Kasari, ale nie cała jednostka szturmowa. Powinno ich być przynajmniej dwunastu, aby mogli szybko zabezpieczyć bramę. A teraz zaczęła się strzelanina, ponieważ jeden z wielonogich zabójców Graath nie zdołał błyskawicznie zlikwidować ochroniarki.

Co gorsza, okazało się, że Raul wciąż żyje i w jakiś sposób przekierował przejście, synchronizując je z generatorem tuneli na okręcie Rho. Profesor spojrzął na obliczenia dotyczące stanu anomalii i skrzywił się. Jeśli w ciągu następnej półtorej minuty nie odzyska kontroli nad portalem, wszystkich czekają bardzo nieprzyjemne chwile.

Gdy zerknął na konsolę sterowania drugim polem statycznym, poczuł falę ulgi. Doktor Nika Iwanowicz, asystentka, która przejęła zadanie po Trockim, pozostała na stanowisku, wciąż pilnowała anomalii i była gotowa wrzucić ją w bramę, jeśli przejście znowu zostanie wcelowane w kosmos, a nie w bazę wojskową Kasari. Stephenson nie miał zamiaru wpychać Kolektywowi w dupę rosnącej czarnej dziury.

Przejście na ręczne sterowanie bramą, wyzerowanie kodów synchronizacyjnych i przeprowadzenie resetu, gdy tunel czasoprzestrzenny był aktywny, stanowiło ogromne ryzyko. Nie dało się określić, jaki wywrze to wpływ na portal. Na pewno zostanie zerwane połączenie Raula z bramą, ale i Kasari nie zdołają się od razu podpiąć się na nowo. Oznaczało to, że trzech żołnierzy Kolektywu, którzy już przeszli, spróbuje uzyskać kontrolę nad jaskinią i utrzymać ją do momentu przybycia posiłków.

Owszem, na miejscu znajdowały się znaczne wojska NATO oraz

szwajcarskie, ale niemal całość z nich przebywała poza budynkiem, zabezpieczając go przed ewentualnym atakiem z zewnątrz. Oznaczało to, że niewielka drużyna sił specjalnych pełniących obowiązki w kompleksie będzie musiała się utrzymać do momentu pojawienia się jednostek szybkiego reagowania.

Po zainicjowaniu ręcznego sterowania bramą Stephenson zerknął na portal. Obraz Raula dryfującego w okręcie Rho zniknął, zastąpiony tańczącymi gwiazdami. Niech to cholera. Niekontrolowany tunel czasoprzestrzenny merdał po przestrzeni niczym psi ogon. Jeśli przed zresetowaniem sterowania zapędzi się w głąb jądra Galaktyki, pierwsze pole statyczne zamykające portal nie zdoła ich ochronić. Mimo to wciąż mieli spore szanse na przeżycie, gdyż widać było dużo kosmosu, mało gwiazd.

Nie zważając na odgłosy strzelaniny, profesor skupił się na przygotowaniu do momentu zakończenia resetu. Wówczas będzie mógł skierować tunel czasoprzestrzenny na pierwotne współrzędne.

Uruchomił kciukiem mikrofon.

- Doktor Iwanowicz - zagrzmiął jego głos w głośnikach - przygotować się do przeniesienia anomalii za dwadzieścia sekund. Rozpocząć na mój znak.

Jedna minuta i pięćdziesiąt siedem sekund do końca świata. A on w takiej chwili mógł jedynie siedzieć i kręcić młynka kciukami.

ROZDZIAŁ

127

Mark wpatrywał się z niedowierzaniem w wylot tunelu czasoprzestrzennego. Rozciągała się przed nim wielka sala, w większości zajęta przez straż przednią armii, którą chcieli powstrzymać. Zanim skończył analizować te nowe okoliczności, przez pole statyczne przedarło się trzech obcych. Pierwszy z nich, dwunożna i czteroramienna istota o wzroście ponad dwóch metrów, wskoczył na pierwszy poziom PPA, wyciągnął najbliższego naukowca zza konsoli i nabił go na długie ostrze.

Gdy mężczyzna otworzył usta do krzyku, silne ramię znów go przebiło i wrzask przerodził się w bulgoczący skowyt, z którym człowiek zginął.

Dwa pozostałe stwory pomknęły po podłodze jaskini do rusztowań otaczających PPA. Kojarzyły się chłopakowi z ośmionożnymi goryłami o zwalistych ciałach wielkości kanapy i otwartych paszczach, z których wydobywało się przenikliwe zawodzenie. Jeśli nawet miały oczy, nie widziały ich.

Mark zerwał się. W jego dłoniach nagle pojawiły się ciężkie kombinerki wyciągnięte z pasa narzędziowego, a nogi pchnęły go w stronę czteroramiennego obcego, który właśnie cisnął trupem w spanikowanych naukowców próbujących przed nim uciekać. Gdy chłopak dopadał do pleców istoty, z tyłu rozgorzała strzelanina.

Po lewej stronie tunel czasoprzestrzenny znów się przesunął.

Czując krążącą mu w żyłach adrenalinę, Mark uderzył kombinerkami z całą dostępną siłą i narzędzie rozbiło stworowi fragment czaszki, posyłając go jednocześnie na kolejny poziom stanowisk roboczych. Obcy osunął się, trzepocząc rękoma, ale zdołał odzyskać równowagę i obrócił się gwałtownie do przeciwnika, zamachując się nożem.

Chłopak rzucił się na bok, ledwo unikając ząbkowanego sztychu. Stwór przykucnął, oceniając wroga, a głowa najeźdźcy naprawiała się na oczach Marka. Nozdrza wypełnił chłopakowi zapach istoty podobny do mieszanki amoniaku z olejem napędowym, od którego zaczęły mu łzawić oczy. Obcy mrugnął dwukrotnie, na chwilę przysłaniając pomarańczowo-czarne tęczęwki zamykającymi się od dołu powiekami.

I nagle przeciwnik rzucił się na nastolatka, a kolejne ostrze pojawiło się również w jego drugiej dłoni. Mark padł na plecy i pchnął obunóż, wkładając w to całą dostępną mu siłę. W oparciu o uderzenie, które poczuł, ocenił wagę obcego na jakieś trzysta kilogramów. Nie miało to znaczenia. Być może stwór był wielki i potrafił leczyć się w sposób, przy którym Kapłan Williams wyglądał niczym paralytyk, ale w porównaniu z Markiem poruszał się jak mucha w smole. Cios trafił go bezpośrednio w obszar pachwiny i szarża zamieniła się w koziołkujący lot nad nastolatkiem, w czasie którego najeźdźca zdołał chłopaka drasnąć ostrzem w głowę, zakończony lądowaniem na podłodze jaskini.

Mark zamachnął się nogami, by się obrócić i stanąć na stopach, zanim obcy przestał się turlać. Oddech wydobywał się chłopakowi jednocześnie z ust i nosa, gdy organizm próbował pozbyć się smrodu zagrażającego zapasom tlenu. Nie zważając na krew płynącą mu ze świeżej rany na głowie, Smythe cisnął kombinerkami w podnoszącą się dolną lewą rękę istoty. Narzędzie otworzyło się w locie, a jego pęd wyrwał stworowi klingę i posłał ją na podłogę pod portal.

Obcy zignorował utratę broni i znów ruszył na Marka, tym razem nie szarżąc, lecz w kontrolowanym przykucu. Trzymał w gotowości pozostałe mu ostrze, a trzy wolne dłonie przybrały pozycję do zapasów. Nastolatek obrócił się i zaczął biec. Stwór ścigał go i choć nie dorównywał mu prędkością, i tak poruszał się szybko. W połowie drogi do rusztowania Smythe skrzył gwałtownie w prawo, a później jeszcze raz, pozwalając, by pęd poniósł cięższego przeciwnika naprzód.

Manewr ten pozwolił mu zyskać pięć metrów. Skupiając się na

osiągnięciu jak najwyższej szybkości, Mark przemieszczał się w stronę upuszczonej przez istotę klingi. Tupot ciężkich butów na betonie za jego plecami powiedział mu, że jeśli nawet wygra ten wyścig, to tylko o włos.

Chwila wahania niemal kosztowała Raula życie. Pierwszy obcy, który wpadł przez portal do jego centrum dowodzenia, cisnął wirującym ostrzem z taką siłą, że gdyby dotarło do ciała nastolatka, rozcięłoby je na wskroś. Odbiło się jednak nieszkodliwie od niewidzialnego pola mocy, które ten zdążył wznieść. Widząc ośmiu kolejnych Kasari przeskakujących na okręt Rho, Raul zamknął za nimi portal.

Pomimo swego wyszkolenia drużyna szturmowa Kolektywu nie była przygotowana na beznogą zjawę wiszącą przed nimi w powietrzu, osłoniętą polem statycznym, do którego nie posiadali kodów modulacyjnych. Nie spodziewali się też, że umysł przeciwnika będzie w pełni połączony z siecią neuronową ich własnego światookrętu.

Spoglądając za plecy dziewięciu żołnierzy na rozmiary hali, z której miała się dokonać inwazja, Raul wiedział, że nie miał wiele czasu. Choć szturmowcy nie stanowili dla niego zagrożenia, nawet pole statyczne nie pozwoliłoby mu bronić się długo przed ciężką bronią, którą dysponowała czekająca za nimi armia. Jej dowódcy nic nie robili, zszokowani nagłym przesunięciem bramy, ale jeśli chłopak nie podejmie działań, brak skoordynowanej odpowiedzi ze strony Kolektywu nie potrwa długo.

Manipulując polem z wypracowaną biegłością, nastolatek wypełnił pomieszczenie ciasną siatką mikroskopijnych płaszczyzn mocy, które pocięły dziewięciu Kasari tak szybko, że nawet ich zaawansowane nanoboty nie miały szans nadążyć ze składaniem. Następnie zacisnął siatkę, zebrał w nią pomarańczowo-zieloną zupę i wystrzelił ją z powrotem przez portal, gdzie eksplodowała pośród zgromadzonych żołnierzy

niczym ogromna kulka do paintballu.

Raul nie marnował czasu, by się temu przyglądać. Zamiast tego skupił się w pełni na włóknach czasoprzestrzennych w jaskini ATLAS. Nie mógł tak po prostu zlikwidować swojego krańca przejścia. Modyfikacje, jakich dokonał w pokładowym generatorze tuneli, pochłaniały tyle mocy w fazie początkowej, że potrzebowałyby tygodni, aby naładować rezerwy do ponownej próby. Odłączenie od drugiej strony oznaczałoby przesunięcie jego tunelu w losowy punkt w przestrzeni, a okręt przeszedłby w podstawowy tryb działania i przeniósłby się przez portal. Takiej podróży nikt by nie przeżył.

Nie. Musiał zachować łączność z drugim krańcem, dopóki nie wyłączy systemu w kontrolowany sposób. Oznaczało to, że jeśli chciał przeżyć i dostać Heather, musiał pozostać w kontakcie z bramą Kasari, dopóki nie zdoła podpiąć się znów do wrót w jaskini ATLAS.

Stephenson zrobił coś, by odzyskać kontrolę nad swym portalem, i Raul musiał w jakiś sposób skontrolować jego działania. Na dodatek jak najszybciej.

ROZDZIAŁ

129

Ketaan-Ra skoczył przez bramę i wylądował w słabo oświetlonej jaskini z dwoma szturmowcami Graath po swojej prawej stronie. Współdzielony nanobotowy wyświetlacz taktyczny pokazywał tylko dwoje uzbrojonych żołnierzy, jedno na poziomie podłogi, drugie wyżej, na metalowej konstrukcji wzdłuż ściany.

Nie zaskoczył go brak ludzkich obrońców przy przejściu. Na asymilowanych światach w większości przypadków portalu nie strzegli zbrojni. Cały sens konstrukcji bramy zainspirowanej technologią Kasari polegał na powitaniu dobroczynnej rasy, która dała planecie tyle korzyści. Jaki sens grozić takim filantropom podczas otwarcia wrót?

Wskazując ręką, Ketaan-Ra wydał w umyśle rozkaz dwóm Graathom, aby pospiesznie zlikwidowali żołnierzy, podczas gdy sam skupił się na zrozumieniu każdego aspektu wyświetlacza taktycznego. Coś było nie tak z portalem za jego plecami. Nie musiał się oglądać za siebie, by potwierdzić, że stracił kontakt z planetą inwazyjną. Do groty trafili tylko on i Graathowie, podczas gdy cała dwunastoosobowa drużyna powinna już wykonywać skoordynowany układ choreograficzny, który ćwiczyli setki razy.

Co gorsza, jaskrawoczerwona obrotowa matryca zagrożenia wskazywała coś, co widział już na własne oczy: jaśniejącą kulę zamkniętą w polu statycznym kilka kroków od niego. Pomiar energii świadczyły, że w środku znajdowało się asymptotyczne zjawisko grawitacyjne o gwałtownie rozszerzającym się horyzoncie zdarzeń.

Bomba.

Choć trudno mu było w to uwierzyć, dane nie kłamały. W jakiś sposób ten gatunek odrzucił korzystną koncepcję asymilacji i

użył technologii Kasari do konstrukcji bomby grawitacyjnej z rosnącą osobliwością umieszczoną w jądrze.

W umyśle Ketaana-Ra błyskały wskazania skanera, natychmiast identyfikującego każde urządzenie w jaskini wraz z jego przypuszczalnym przeznaczeniem i potwierdzającego początkową ocenę dowódcy. Pole statyczne utrzymujące osobliwość zostało zaprogramowane w taki sposób, by cisnąć nią w portal na polecenie operatora. Jeśli dowódca nie przejmie szybko kontroli nad konsolą sterowania, ludziom może się udać zniszczenie planety inwazyjnej Kasari wraz z licznymi bramami oraz milionami wyszkolonych wojowników.

Na twarzy Ketaana-Ra rozlał się grymas. Tak się nie stanie. Nie podczas jego operacji.

Obrócił się w lewo i na trójstopniowej platformie otaczającej przejście zidentyfikował ludzką kobietę obsługującą konsolę. Wskoczył na pierwszy poziom, cały czas w narożniku wyświetlacza sensorycznego widząc czerwony licznik. Złapał ludzkiego mężczyznę, który zaczął wstawać ze swego miejsca, po czym nabił go na dwusieczną kedrę i odrzucił na bok, szykując się do skoku na kolejny stopień.

Jego uwagę zwrócił alarm taktyczny. Człowiek zbliżał się do niego szybko od tyłu. Bardzo szybko. Wojownik zatoczył się pod siłą ciosu, który wbił mu się w prawą tylną część czaszki, kiedy obracał się do napastnika. Na kilka sekund Ketaan-Ra stracił dostęp do danych taktycznych, gdy nanoboty stłoczyły się, by naprawić uszkodzenie mózgu. Ignorując ranę, kontynuował obrót w stronę człowieka, wyciągnął drugą kedrę z pasa ze sprzętem i rzucił się naprzód z całą siłą, do jakiej były zdolne jego nogi.

Gdy wysunął górne ręce, by złapać wroga i przyciągnąć go na ostrza, człowiek upadł na plecy, z zaskakującą siłą uderzył Ketaana-Ra nogami w miejscu złączenia nóg, dodając wartość pionową do wektora jego pędu i przerzucając go nad sobą. W locie wojownik Kasari zdążył tylko ledwo musnąć jedną z kling głowę przeciwnika. Uderzył w podłogę i przetoczył się na stopy w tej samej chwili, kiedy na nowo ożył wyświetlacz taktyczny.

Ketaan-Ra wiedział, że nie uwzględnił miejscowej niższej grawitacji. Wykorzystując ten błąd, człowiek okazał zaskakującą zręczność, znacznie większą niż wszystko, co Ketaan-Ra widywał w okresowych raportach światookrętu na temat tej planety.

Jeden z Graathów zlikwidował strażnika, lecz drugi również natknął się na problemy i znajdował się pod ostrzałem ze strony ludzkiej kobiety wykazującej podobne cechy jak człowiek, z którym on sam walczył. Sieć operacyjna zaktualizowała się o te nowe dane, na bieżąco zmieniając taktykę drużyny.

Z dłoni przeciwnika wyleciał pocisk, tak szybko, że trafił wojownika w dolną lewą dłoń, zanim ten zdążył ją odsunąć, i roztrzaskał kość poniżej nadgarstka, wytrącając kędzę w taki sposób, że poleciała na podłogę i ślizgała się w stronę portalu. Wyświetlacz taktyczny znów pokazał drastyczną zmianę: połączenie bramy z innym miejscem na tej planecie, ze światookrętem Kasari.

Ketaan-Ra postanowił nie zadrećcać się tą niepokojącą myślą i przygotował się na szarżę ludzkiego mężczyzny. Gdy nadgarstek wojownika zaleczał się, człowiek zerwał się do panicznej ucieczki. Dowódca grupy szturmowców rzucił się za nim, a jego nogi pozwalały na lepiej kontrolowane kroki. Uśmiechnął się, widząc w głowie zmieniające się wskazania. Pościg nie miał trwać długo.

Człowiek skręcił w prawo i jeszcze raz. Brak odpowiedniej grawitacji znów zaszkodził Ketaanowi-Ra, pozbawił go tarcia potrzebnego, by dopasować się do ciasnych zwrotów przeciwnika. Przynajmniej widział jasno plan człowieka: dostać się do upuszczonej kędry, zatrzymać się i walczyć. Wojownik uspokoił się, spowalniając oddech na tyle, by wróg jako pierwszy dotarł do celu. Właśnie takiego starcia pragnął, kędra w kędzę, jego cztery ręce oraz większa siła i zdolność regeneracji przeciwko szybkości tego człowieka. Naprawdę godny przeciwnik.

Palce Marka zacisnęły się wokół rękojeści miecza obcego i

poczuł, że dopasowuje się ona do jego chwytu. Obracając się do przeciwnika, sprawdzał ciężar i wyważenie broni, pięścił wzrokiem niemal metrową czarną klingę. Dwie piekielnie ostre krawędzie zwięzały się do mocno zarysowanego sztychu, praktycznie domagając się krwi. Podobało mu się to.

Wielki stwór w kontrolowany sposób zatrzymał się trzy kroki przed czekającym chłopakiem. Ścisnął własny miecz w dolnej prawej pięści, pozostałe trzy wysuwając naprzód niczym zapaśnik. Niczym dwóch zapaśników.

Zatem odebrał nauczkę z poprzednich sztuczek Marka z pędem. Nie będzie już szarżowania jak byk, tylko po prostu porządna, staroświecka potyczka człowieka z ogromnym czteroramiennym obcym. Chłopak uśmiechnął się, widząc w głowie obraz z klasycznego filmu klasy B *Zmierzch tytanów*.

Niesamowite. Wojownik wydawał się czekać na jego pierwszy ruch. Gdy Mark uniósł miecz przed sobą, inna myśl wkradła mu się do mózgu.

„Witaj, Cezarze, idący na śmierć cię pozdrawiają”.

Wtedy ciało chłopaka rozmyło się w ruchu.

Heather zarzuciła granatnik XM25 na wyższy poziom rusztowania, rozbijała się na jego pasie i lądując, wyrzuciła magazynek z glocka oraz wcisnęła kolejny. Pięć metrów niżej paskudna bestia otrząsnęła się po trafieniu piętnastoma kulami parabellum i ruszyła za dziewczyną, po drodze zaleczając otwory w ciele.

Umysł Heather wypełniały wizje, zmieniające się w trakcie jej śmiertelnego tańca z obcym stworem. Dziewczyna opróżniła świeży magazynek w gorylopajaka, każdym pociskiem trafiając go w inną część ciała, chciała bowiem poznać wrażliwe miejsca przeciwnika. Kule oderwały obcego od rusztowania, zrzucając go na podłogę. Heather złapała XM25 i wrzuciła broń jeszcze wyżej, po czym sama wspięła się po metalowej kratownicy z maksymalną szybkością, na jaką pozwalały jej ciało i wyszkolenie.

Jej wizja uległa zmianie i Heather skoczyła w lewo. Przez miejsce, które przed momentem zajmowała, świsnęło długie ostrze, odbiło się z brzękiem od ściany i spadło między stalowymi pomostami. Wtedy obcy rzucił się za nią z przenikliwym skowytym.

Klik. Klak.

Kolejny magazynek zastąpił swego poprzednika i glock znowu splunął ołowianą śliną w prześladowcę dziewczyny, tym razem celując w małe bańkowate wybrzuszenia, które Heather uznała za organy zmysłowe stwora. Choć obcy kontynuował wspinaczkę w pionie, nie podążył za nastolatką, gdy ta podniosła XM25 i pobiegła na wschód wzdłuż ściany.

Uświadomiwszy sobie, że stracił trop, obcy zatrzymał się, pozwalając, by nanoboty przywróciły mu zmysły. Nie trwało to

długo. Zaledwie osiem sekund. Gdy jednak znów za nią ruszył, Heather skończyła namierzać cel dalmierzem.

Pocisk uzbroił się po pokonaniu trzydziestu metrów, uderzył w cel przy trzydziestu dwóch i eksplodował z siłą granatu. Graatha przysłoniła drobna zielono-żółta mgiełka, z której na podłogę jaskini wyskakiwały zastygające gluty i podrygujące kończyny obcego.

Zanim triumfalny okrzyk dziewczyny zdołał przedostać się z jej płuc do ust, kolejna wizja zatrzymała jej go w gardle. Heather wychyliła się przez barierkę i spojrzała w górę.

Niecałe dziesięć metrów na prawo drugi gorylopajak pędził w jej stronę po stalowych kratownicach.

Nastolatka obróciła się w lewo i pobiegła po metalowym pomoście w stronę najbliższego narożnika, dudniąc czarnymi buciorami. Poczula, że stwór wylądował na pomoście, a wydawane przez niego odgłosy malowały w jej umyśle wyraźny obraz obcego błyskawicznie pokonującego na ośmiu nogach dzielący ich dystans.

Szybkie zerknięcie na przeciwnika jej wystarczyło. W przeciwieństwie do czteroramiennego obcego, z którym Mark walczył na podłodze, pająkowaty stwór nie miał przy sobie broni. Każda z jego ośmiu nóg kończyła się włochatą dłonią, a z każdego palca wyrastał chowany pazur. Śluz, krew i odłamki wnętrza pokrywające jego nabrzmiałe cielsko świadczyły, że przedzierając się przez stwardniałą sieć pokrywającą jego partnera, musiał go rozedrzeć na strzępy. A jeśli dostanie ją w swoje łapy, rezultat okaże się podobny.

Przy każdym kroku w głowie Heather odtwarzały się dziesiątki scenariuszy. Opierając granatnik w zgięciu prawej ręki, dotarła do końca pomostu, obróciła się i nacisnęła spust. Pocisk nie miał czasu się uzbroić, zetknął się z ciałem obcego po przebyciu zaledwie trzech metrów, osiemdziesięciu siedmiu centymetrów i dwudziestu milimetrów. I choć nie eksplodował, siła uderzenia uniosła czarne, włochate ciało i cisnęła nim w głąb pomostu, zupełnie jakby istota weszła pod pędzącą ciężarówkę. Ponieważ dziewczyna nie zaparła się, odrzut odepchnął ją w tył.

Przetoczyła się nad balustradę i zdążyła złapać ją lewą dłonią. Jej beret poszybował w dal niczym małe czarne frisbee.

Widząc, że pajęczy stwór zaczyna wstawać, Heather zamachnęła się nogami, puściła barierkę i spadła niemal siedem metrów dzielących ją od podłogi, w momencie lądowania przenosząc swój pęd w przekoziółkowanie naprzód. Gdy podniosła się na nogi, wystrzeliła następny pocisk w obcego, pędzącego za nią po rusztowaniu. Nie miała czasu użyć dalmierza ani wbić dodatkowego dystansu. Nie miało to znaczenia. Nie znajdowała się dostatecznie daleko, by granat zdołał się uzbroić, a umysł podpowiadał jej, że stwór już się tego domyślił.

Dwudziestopięciomilimetrowy pocisk zmiotł obcego z rusztowania, a Heather pobiegła w stronę Klatki, wielkiej budowli mieszczącej w sobie wszystkie przewody przenoszące energię z rozpraszacza materii do generatorów tunelu czasoprzestrzennego i pola statycznego. Robotnicy, którzy ją skonstruowali, w tym Mark, nienawidzili jej z pasją świadczącą o klaustrofobii wywoływanej przez Klatkę w osobach, które poznały jej wnętrze. Choć kable wraz z izolacją były bardzo grube, większość miejsca zajmowały rury i osprzęt chłodzący, potrzebny, by utrzymać stan nadprzewodnictwa. Jak wszystkie pozostałe części budowli, również tę zaprojektowano pod kątem szybkości budowy i wydajności działania. Zostawiono wyłącznie tyle przestrzeni, aby pracownicy mogli czołgać się krętymi ścieżkami i wchodzić po wąskich drabinkach. Mark wspominał, że w większości miejsc w Klatce ocierał się jednocześnie o coś z przodu i z tyłu. Być może przesadzał, ale nawet jeśli, to tylko odrobinę.

Jeśli dodać do tego wiatr wyjący w ciasnych przejściach, pochodzący z potężnych wiatraków mających odprowadzać ciepło z urządzeń chłodniczych, otrzymywało się coś, co Dante zapewne z chęcią uwzględniłby w swoim opisie dolnych kręgów piekielnych.

Wyciągnąwszy z pamięci schemat Klatki, Heather obliczyła, jak długo będzie biegła do wjazdu dostępowego GF2, najbliższego jej pozycji. Po uwzględnieniu swoich możliwości oraz

przewidywanej trajektorii trasy obcego i uzupełnieniu danych o oś czasu, zdołała wycisnąć nieco więcej prędkości z napędzanych adrenaliną nóg. Owszem, miała znaleźć się przy Klatce przed pajakiem, ale mogło jej zabraknąć czasu na otwarcie włazu i wejście do środka.

Jej prześladowca adaptował się do każdego uderzającego w niego granatu. Drugi skompensował w połowę czasu, jaki zajęło mu wyleczenie się z pierwszego. Bez siły uzyskiwanej dopiero po uzbrojeniu nie było sensu kontynuować walki w taki sposób. A ponieważ Heather straciła glocka wraz z dodatkowymi magazynkami, gdy wypadła przez barierkę, zostały jej trzy granaty z sześciu mieszczących się w magazynku XM25.

Dopadła stalowej bramki, pociągnęła za dźwignię otwierającą, przecisnęła się do środka i zamknęła właz za sobą w tej samej chwili, gdy uderzyło w nią cielsko obcego, wyginając metalową framugę i blokując drzwiczki. Dziewczyna obróciła się bokiem i przeciskała dalej, dopóki nie dotarła do pierwszego rozwidlenia. Wepchnęła się w korytarzyk po prawej i wtedy usłyszała zgrzyt rozdzieranego metalu. Stwór wyrwał bramkę z zawiasów i cisnął nią w głąb jaskini.

Heather zaczęła wspinać się po pierwszej drabinie.

Gdy zerknęła w wąską szczelinę między sprzętem a kablami, dostrzegła, że obcy wciskał się w ciasny szyb, wykręcając kończyny i dopasowując się do nowych warunków.

Ruszyła szybciej w górę. Po wejściu na wysokość dwudziestu metrów zesza z drabiny i wcisnęła się w jeszcze ciaśniejszy korytarz, w którym musiała położyć się na plecach i czołgać wzdłuż ścianek, drapiących ją w plecy i boki. Wiedziała, dokąd zmierza, a choć stwór zademonstrował umiejętność szybkiej adaptacji, mimo wszystko czterokrotnie przewyższał dziewczynę rozmiarami. Klatka pobierała myto za takie cielsko.

Ponieważ szyby i kanały umieszczono tak ciasno między urządzeniami, że nie dało się w nich nosić pasów i skrzynek na narzędzia, w strategicznych punktach przymocowano do kratownic zasobniki z osprzętem do prac elektrycznych, dzięki czemu w promieniu dziesięciu metrów od dowolnego punktu

inżynierowie oraz technicy dysponowali szerokim asortymentem przyrządów naprawczych. Hether wykorzystwała swą drobną sylwetkę i wcisnęła się w przestrzeń nieprzeznaczoną do przechodzenia, aby znacząco skrócić sobie drogę do jednego z takich zestawów.

Po otwarciu zasobnika znalazła narzędzia, których szukała. Wyrzuciła magazynek z lufy XM25, wyjęła na dłoń jeden z przemyconych przez siebie pocisków odłamkowo-burzących i zabrała się do pracy. Ostrożnie uchyliła dolną część korpusu, uzyskując dostęp do obwodu uzbrajania. Działając z maksymalną szybkością i zwinnością, na jaką pozwalały jej usprawnienia neuronowe i wyszkolenie przez Jacka, dokonała prostej modyfikacji obwodu logicznego, dzięki której ominęła limit trzydziestu metrów i nastawiła pocisk tak, by uzbroił się zaraz po wystrzeleniu.

Gardłowy ryk frustracji trzy metry na lewo ostrzegł ją, że obcy dotarł do miejsca, gdzie wcisnęła się między urządzenia. To dobrze. Czyli jego możliwości wykręcania ciała miały granice. Będzie musiał znaleźć drogę dookoła, a jeśli nie dysponował pełnym schematem Klatki, zajmie mu to chwilę.

Składając z powrotem granat, Heather w myślach śledziła ruchy obcego. Niedobrze. Może i nie miał planu konstrukcji, ale i tak radził sobie nad wyraz sprawnie.

Skończywszy pospiesznie, dziewczyna wsunęła zmodyfikowany pocisk na pierwsze miejsce, wcisnęła magazynek z powrotem do broni i załadowała nowy granat do komory, wyrzucając jego poprzednika z prawej strony. Niepotrzebny pocisk odbił się od kratownicy i spadał z brzękiem aż na sam dół Klatki, dwadzieścia metrów niżej.

Heather sięgnęła do kolejnej drabiny i znów zaczęła się wspinać ze świadomością, że zostały jej już tylko dwa granaty. Odepchnęła tę myśl na bok. Jeśli zmodyfikowany pocisk nie wykona zadania, nie będzie już miało znaczenia, ile miała amunicji.

Doktor Iwanowicz. Przygotować się do przeniesienia anomalii za dwadzieścia sekund. Rozpocząć na mój znak.

Głos profesora Stephensona ponaglił Jennifer do działania. Dane na sześciu płaskich wyświetlaczach otaczających półokręgiem jej obrotowy fotel wydawały się niczym demon wyciągający łapy, by złapać ją za gardło, sięgający pazurami, by rozedrzeć jej tchawicę, odciąć dopływ krwi i tlenu do mózgu. Choć profesor szybko przekazywał kontrolę nad polem statycznym na jej stanowisko, i tak trwało to dłużej, niż przewidywali. Z powodu tego opóźnienia anomalia wchłaniała kolejne cząstki materii, zmieniając się w skali femtosekundowej.

W ciągu jednej sekundy światło mogło obieć Ziemię niemal siedem i pół raza. W jedną nanosekundę pokonywało niespełna trzydzieści centymetrów. W jedną femtosekundę ledwo mijało trzy dziesiąte mikrometra, czyli mniej więcej tyle, co średnica wirusa. W jedną femtosekundę można także umrzeć, zanim impuls elektrochemiczny przejdzie z jednej synapsy do drugiej. W zasadzie to niezły sposób na śmierć. Oczywiście, jeśli komuś na niej zależy.

Anomalia rozpadała się z przyspieszeniem, które przerażało nawet Jennifer, a Mark i obcy toczyli walkę bezpośrednio przed bramą. I choć zostało im bardzo niewiele czasu, to dopóki jej brat znajdował się między anomalią a przejściem, Jen nie mogła wypchnąć pola otulającego rodzącą się czarną dziurę.

Gdyby anomalia była odrobinę stabilniejsza, dziewczyna mogłaby odseparować część pola powstrzymującego i użyć go, by odsunąć Marka z drogi. Musiała jednak kierować całość energii do generatora pola statycznego, aby czarna mikrodziura nie stała się w jednej chwili pełnowymiarowa.

Rozproszyła minimalnie koncentrację, by skontaktować się w myślach z Markiem.

Nie utrzymam już tego długo. Spadaj mi z drogi, do cholery.

Manewrując w labiryncie przecinających się przyszłości, Heather przedzierała się przez płataninę rur, przewodów i urządzeń, stopniowo wdrapując się do punktu położonego dziewięćdziesiąt metrów nad podłogą jaskini ATLAS, gdzie Klatka dotykała stropu, oraz do pomostu biegnącego od jej najwyżej położonej bramki do wyjścia z grotu. Właśnie tam chciała się znaleźć, ale nie miała na to szans.

Idący za nią goryłopająk nieustannie dopasowywał się do ciasnych przestrzeni i coraz bardziej zwiększał prędkość. Dziewczyna dotarła do zakrętu, wcisnęła się w szyb po prawej i poczuła na twarzy podmuch powietrza, gdy jedna z pazurzastych łap kłapnęła w miejscu, w którym nastolatka przed chwilą przebywała. Obcy przecisnął się swym wielkim cielskiem do narożnika i popędził dalej za Heather, która po spodniej stronie stwora dostrzegła zębatą paszczę. Założyła, że paskudny smród dobiegał właśnie z niej, choć swoje robiły też ekskrementy i krew, wciąż ściekające ze stwora.

Dziewczyna złapała przewód wiszący jej nad głową i podciągnęła się jak gimnastyczka, wykręcając ciało, by nie uderzyć w wystające wsporniki. Dzięki temu manewrowi zyskała metr. Bardzo szybko jednak zbliżała się chwila, kiedy to zostanie zmuszona wystrzelić z niebezpiecznego dystansu dwudziestopięciomilimetrowy pocisk odłamkowo-burzący. A gdy to uczyni, nie tylko ona poniesie straty uboczne. Kable elektryczne w tej części Klatki zostały otoczone urządzeniami chłodzącymi, których nie zaprojektowano pod kątem wytrzymałości na wybuchy. Wdrapując się dłoń za dłonią po pionowej rurze o pięciocentymetrowej średnicy, zerknęła w górę. Jeszcze osiem metrów i dotrze do pochylni, z której

dostanie się na pomost.

Pazur przejechał jej po lewej łydce, ryjąc w mięśniach głęboką, dwucentymetrową bruzdę i niemal zmuszając dziewczynę do puszczenia rury. Heather wzięła zamach drugą nogą i kopniak oderwał łapę obcego, zrzucając go dwa metry w dół szybu, zanim na nowo się złapał, powstrzymując upadek.

Nastolatka skupiła się na rannej nodze, odcinając ból i wykorzystując doskonałą kontrolę nad mięśniami, aby zamknąć rozerwane naczynia i zmniejszyć wyciek krwi do stanu powolnego kapania. Kończył jej się jednak czas. Musiała tutaj zamknąć sprawę. Wsunęła się za metalowy panel, skierowała XM25 w dół szybu, wyobraziła sobie trajektorię pocisku i nacisnęła spust.

Cienkie stalowe blachy nie na wiele się zdały w obliczu fali uderzeniowej, która pokryła ciało dziewczyny śluzem obcego, porwała ją z miejsca i cisnęła na zewnętrzną kratownicę, co sprawiło, że w prawym barku nastolatki eksplodowała fala bólu. Starając się zachować przytomność, Heather zauważyła, że trzydziestocentymetrowy odłamek metalowej płyty wbił jej się tuż pod prawym obojczykiem tak głęboko, że jedna trzecia jego długości wystawała od tyłu. Inne odczuwane objawy wskazywały na poważne wstrząśnienie mózgu.

Z trudem przybrała pozycję siedzącą i oparła się o barierkę, dzięki której nie spadła z ponad osiemdziesięciu metrów na podłogę jaskini.

Cholera. Kiedy wreszcie zrobi się zabawnie?

Nagle rozległ się kolejny alarm, któremu towarzyszył syntezowany komunikat głosowy:

– UWAGA. AWARIA SYSTEMU CHŁODZĄCEGO PIERWSZEGO POLA STATYCZNEGO. NASTĄPI WYŁĄCZENIE PIERWSZEGO POLA STATYCZNEGO.

Gdy nowa wizja wypełniała jej umysł, Heather owinęła się zdrową ręką i nogą wokół pręta podtrzymującego.

Pierwsze pole statyczne zgasło z hukiem huraganu, otwierając portal na kosmiczną próżnię.

Mark tańczył całym sobą. Kiedyś sądził, że jego przeznaczeniem jest koszykówka, ale teraz czuł, iż urodził się właśnie do tego.

Adrenalina płynęła mu swobodnie przez organizm, napędzając ataki. Uniknął kontrciecia obcego, a jego czarny miecz zatoczył łuk, w wyniku czego stwór stracił górną prawą rękę w łokciu, a zaciśnięta dłoń upadła na beton między nimi.

Przeciwnik zignorował utratę kończyny i rzucił się na klingę chłopaka, swym pędem pomagając Markowi wbić ją na całą długość w potężny korpus. Dopiero gdy dłoń obcego zaciśnęła się chłopakowi na prawym nadgarstku, nie pozwalając mu wyszarpnąć broni, Smythe uświadomił sobie swój błąd.

Obrócił się w lewo, chwycił lewą dłonią rękę, w której obcy trzymał miecz, lecz w tym czasie stwór ostatnią łapą złapał go za gardło i ścisnął. W momencie, gdy w ciemniejszym polu widzenia nastolatka pojawiły się iskry elektrycznych wyładowań, Jennifer dotknęła jego umysłu.

Nie utrzymam już tego długo. Spadaj mi z drogi, do cholery.

Mark zaparł się rękoma niczym gimnastyk, poderwał kolana do piersi, odchylił się i grzmotnął obcego piętami w twarz, łamiąc mu to, co być może było nosem, i odtrącając mu głowę w tył. Gdy przeciwnik zaczął uderzać go kikutem w żebra, nastolatek otoczył mu nogami szyję, skrzyżował je w kostkach i ścisnął.

Czując, że uchwyt na jego gardle nieco zelżał, Smythe obrócił głowę w bok i ugryzł obcego w pięść. Poczuł, jak kości pękają mu pod zębami, a ciepła krew wypełnia mu usta, parząc w wargi i dziąsła. Siła palców zaciśniętych na tchawicy nastolatka znów nieco zelżała i Mark poczuł, że do mózgu na nowo zaczyna mu płynąć krew. Wciągnął urywany oddech i zwiększył nacisk wywierany nogami na szyję oraz głowę wroga.

Nie miał zbytnej nadziei, że zdoła zmiażdżyć mu czaszkę lub złamać kark, ale zdecydowanie zamierzał próbować. Zaczął również napinać uwięziony prawy nadgarstek i wykonywać krótkie ruchy piłowania za pomocą klingi wciąż tkwiącej w korpusie obcego.

Naśladując taktykę Marka, przeciwnik obrócił głowę i zatopił zęby w jego udzie. Poderwał ramiona i pchnął mocno trzema zdrowymi rękoma, rozrywając uchwyt nastolatka i rzucając nim na podłogę jaskini.

Ignorując ból promieniujący mu z nogi, chłopak przetoczył się na stopy, przygotowany na szarżę, która nie nastąpiła. Nie potrzebował zbytnej wyobraźni, by domyślić się dlaczego. Gdy obserwował zalecającą się pięść i brzuch obcego, wiedział, że bierze udział w walce na wyczerpanie, której nie był w stanie wygrać.

Mark wypluł ohydną krew, próbując nie połknąć ani odrobiny. Skoro nie udawało mu się zabić stwora w staroświecki sposób, zamierzał sprawdzić, jak obcy poradzi sobie bez głowy. Gdy szykował się do następnego ataku, gdzieś wysoko w górze, blisko zwieńczenia potężnej klatki energetycznej, rozbrzmiała silna eksplozja, a po krótkiej chwili rozległa się syrena nowego alarmu.

– UWAGA. AWARIA SYSTEMU CHŁODZĄCEGO PIERWSZEGO POLA STATYCZNEGO. NASTĄPI WYŁĄCZENIE PIERWSZEGO POLA STATYCZNEGO.

Czując, jak bębrenki w uszach pękają mu od zmiany ciśnienia, chłopak upuścił miecz i rzucił się w stronę tytanowego obramowania portalu. Zacisnął na nim palce w tej samej chwili, gdy podmuch huraganowego wiatru poderwał jego stopy z ziemi i próbował wciągnąć go w tunel czasoprzestrzenny.

Szybkie zerknięcie przez ramię pozwoliło Markowi zorientować się w sytuacji. Obcy zdołał złapać się przeciwległej krawędzi portalu, lecz kilkoro naukowców zostało porwanych ze swych stanowisk i razem z monitorami oraz klawiaturami wpadli w kosmiczną pustkę. Jennifer zdążyła owinać się rękoma i nogami wokół stalowej balustrady, a profesor Stephenson trzymał się

wspornika.

Tymczasem Listopadowa Anomalia tkwiła w miejscu, utrzymywana bańką pola statycznego, choć błyszczała wyraźnie jaśniej niż wtedy, gdy chłopak zerkał na nią ostatni raz. Nadszedł czas, by wrzucić ją w portal. Niestety, ani Jen, ani Stephenson nie mogli się oderwać, aby wpisać odpowiednie polecenia.

Wycie wiatru niemal zagłuszało wrzaski osób porywanych z rusztowań pod ścianami, ale wciąż było słychać zgrzyt rozrywanego metalu i huk przyrządów uderzających o stalowe oraz betonowe elementy konstrukcyjne w drodze do tunelu czasoprzestrzennego. Mark wiedział, że huragan nie osłabnie zbyt szybko, ponieważ dwudziestosiedmiokilometrowy tunel LHC zapewniał mnóstwo powietrza, które mogło być zasysane przez wrota.

Gdy w odległości półtora metra od jego głowy odbiło się od portalu stalowe biurko, Mark zwrócił się myślami do Heather:

Hej, kochanie. Jeśli masz jakieś pomysły, to bardzo proszę, bo moje się już skończyły.

ROZDZIAŁ

134

Doktor Iwanowicz! – krzyczał do mikrofonu połączonego bezpośrednio ze stanowiskiem sterowania drugim polem statycznym profesor Stephenson. – Kazałem pani przenieść anomalię przez portal! Proszę zrobić to natychmiast!

Nie odpowiadała.

Zerknął na bańkę zamykającą anomalię i dostrzegł problem. Jeden z techników walczył z Kasari przed portalem, blokując drogę. Naukowiec nachylił się bliżej mikrofonu.

– Iwanowicz. Proszę przesunąć już anomalię. Mamy mniej niż minutę, żeby się jej pozbyć i przekierować bramę. Inaczej wszyscy na Ziemi zginą.

Brak odpowiedzi.

Cholera. Zawiesiła się.

Co gorsza, matryca sensoryczna wykryła przemieszczające się po jaskini nietypowe skoki pola grawitacyjnego, pasujące do technologii włókien czasoprzestrzennych z okrętu Rho. Raul.

Ten młody idiota próbował wpływać na bramę z powodów wymykających się rozumowaniu Stephensona. Na razie nie udało mu się ponownie przejąć nad nią kontroli, ale skoro dysponował siecią neuronową okrętu, był do tego zdolny w każdej chwili. A jeśli anomalia będzie się wciąż znajdowała tu, w jaskini ATLAS, wówczas wszystko, na co Donald Stephenson pracował przez ostatnich czterdzieści lat, zostanie momentalnie pochłonięte przez wielką kosmiczną paszczę.

Naukowiec wstał i ruszył ku schodom ze stalowej siatki prowadzącym w dół z trzeciego poziomu. Jeśli ta rosyjska suka nie umiała tego zrobić, sam przejmie jej konsolę.

Alarm rozbrzmiał, gdy dotarł na dolny stopień, i gdyby nie złapał się wspornika barierki, zostałby wciągnięty jako jeden z

pierwszych w niechroniony tunel czasoprzestrzenny. Nad jego głową spora część stanowiska obsługi pierwszego pola statycznego oderwała się w wyniku gwałtownej dekompresji, wpadła w portal i zniknęła.

Stephenson nie bał się śmierci. Natomiast bał się porażki. I gdy tak trzymał się balustrady, obserwując, jak brama pochłania jego ludzi i sprzęt, po raz pierwszy w życiu spoglądał jej prosto w twarz.

Widok z wielu włókien czasoprzestrzennych umieszczonych w jaskini ATLAS w takim stopniu przeraził Raula, że chłopak zaczął się trząść. Zespół Stephensona nie tylko stracił pole statyczne zamykające portal, lecz także nie zdołał przenieść przez niego anomalii. Urządzenia w grocie doznały takich uszkodzeń, że nie dało się określić, jak długo jeszcze utrzymają bramę. Co gorsza, Heather została poważnie ranna i ledwo trzymała się stalowej bariery ponad osiemdziesiąt metrów nad podłogą. Jeśli chciał ją zdołać, musiał działać natychmiast.

Gdy jego sieć neuronowa wprowadziła do końca kody przejęcia kontroli nad przejściem, odzyskał połączenie z portalem w jaskini i oderwał go od bramy Kolektywu. I nagle zupełnie jakby ktoś zatrzasnął drzwi przed szalejącą burzą. Po przeciwnych stronach portalu Mark i Kasari, z którym walczył, upadli na ziemię. Obcy natychmiast doszedł do siebie, pokonał dzielącą ich odległość i opuścił miecz w zamaszystym cięciu, które Smythe ledwo zdołał odbić. Następnie stwór dopadł chłopaka, spychając go na czarną ścianę bramy.

Raul zignorował ich. Manipulując polem statycznym, sięgnął do jaskini, złapał Heather, sprowadził ją delikatnie na poziom podłogi i zaczął wciągać w portal.

Tak bardzo skupiał się na tym zadaniu, że nie dostrzegł drugiej młodej kobiety wskakującej w bramę, dopóki nie znalazła się na pokładzie. Rozpoznał ją ze zdziwieniem. Puścił Heather, która upadła na podłogę groty, po czym przesunął pole statyczne na spotkanie nowego przeciwnika.

Wtedy Jennifer Smythe znalazła się w jego głowie.

Trudno było Jennifer nie dostrzec Raula, gdy podnosiła się, słysząc w uszach syki i trzaski wywołane gwałtowną zmianą ciśnienia. Tak bardzo rzucał się w oczy, że nawet odciągnął jej spojrzenie od Marka i obcego, znów splecionych w walce wręcz. Straszliwie zniekształcona postać chłopaka unosiła się w otwartym portalu prowadzącym na okręt Rho. Skupiał się na Heather, która dryfowała w powietrzu w stronę bramy, uwięziona w bańce statycznej.

Dziewczyna natychmiast podjęła decyzję. Da mu coś, na czym będzie musiał się skupić. Przesadziła dwa poziomy stacji roboczych dzielących ją od podłogi jaskini, przebiegła trzy kroki i wskoczyła w portal, zatrzymując się z poślizgiem w wolnym miejscu między licznymi urządzeniami obcych. Znajdujący się trzy metry od niej Raul skrzyżował z nią wzrok. Czując, jak początkowe zaskoczenie nastolatka jest zastępowane przez groźne zamiary, Jen wdarła się do jego umysłu.

Przez trzy sekundy wydawało się, że gwałtowny mentalny szturm zapewni jej przewagę, jednak gdy sieć neuronowa okrętu włączyła się do akcji, równowaga zaczęła się przesuwać. Na okaleczonej twarzy Raula pojawił się lekki uśmiech, a wypustka zastępująca mu prawe oko poruszyła się niecierpliwie.

Czując, że chłopak jej się wymyka, Jennifer chwyciła obręcz z okrętu Bandelier z szyi i podniosła ją do skroni. Przed chwilą jeszcze czuła, że sieć neuronowa Raula zaczyna dominować nad jej wolą, teraz jednak jego umysł cofnął się z zaskoczeniem, próbując zrozumieć, co się stało. Zamiast starać się przejąć kontrolę nad siecią okrętu Rho, Jen skupiła się na Raulu, odsłaniając kolejne warstwy pragnień i obaw, które go ukształtowały. Po przeniknięciu każdej z nich wypuszczała

delikatne fale przyjemności, wrażenie akceptacji, a nawet podziwu.

A Raul zareagował jak ktoś, kto umierał z pragnienia, lecz właśnie natknął się na strumień źródlanej wody. Spijał ją.

Tak głęboka samotność. Gdyby Jennifer miała więcej czasu, byłoby jej żal chłopaka. Zwiększyła jednak tempo, w jakim wyzyskiwała jego potrzeby i słabości, zachęcając go, by podzielił się swoją wiedzą o okręcie Rho i jego systemach.

Skoncentrowała się na pokładowym generatorze tuneli czasoprzestrzennych. Gdy jej umysł wypełniały informacje o ich konstrukcji i działaniu, zobaczyła, co uczynił nastolatek. Przeprogramował urządzenie, by połączyło się z bramą ATLAS, omijając jego podstawową funkcję tworzenia tunelu i przepychania przez niego okrętu.

Gdy jego wola poddała się już Jen, Raul zaczął manipulować swoją siecią neuronową z biegłością świadcząca o intymnej bliskości, modyfikował algorytm działania generatora czasoprzestrzennego z subtelną elegancją. Zachwyty przekazywany przez dziewczynę wywołał uśmiech na jego ustach, który jednak zgasł, gdy nastolatek uświadomił sobie, co się wydarzyło.

– Mój Boże! Zabiłaś nas oboje!

Gdy obróciła się znów do niego, z jej ust wydostał się ledwie słyszalny szepot:

– Wiem.

W jaskini Bandelier z palców profesora Hanza Jorgena wysunął się kubek. Rozbił się na kamiennej podłodze, rozpryskując gorącą czarną ciecz na nogawce mężczyzny. Naukowiec nawet nie dostrzegł, że miękki purpurowy blask okrętu został zastąpiony jaskrawą bielą.

Hanz nie miał pojęcia, skąd pochodziła ta wiedza, ale poczuł pewność, że coś potężnego przejęło właśnie kontrolę nad komputerami okrętu Bandelier, wykorzystując w pełni ich moc obliczeniową. Niemal słyszał obce obwody jęczące pod

niezwykłym obciążeniem nałożonym na system.

Wpatrując się w świecący kadłub, zastanawiał się, co mogło mieć takie wymagania. Gdy dreszcz przebiegł jego ciało, Hanz uznał, że tak naprawdę nie chciał tego wiedzieć.

Heather potoczyła się po betonowej podłodze i zatrzymała plecami na pierwszym poziomie stacji roboczych na prawo od portalu. Ból wywołany poruszeniami metalowego odłamka w jej barku sprawiał, że w polu widzenia dziewczyny błyskały strumienie światła. Zwalczywszy falę mdłości, podniosła się na kolana i ujrzała Jennifer stojącą w bramie. Cztery metry dzieliły przyjaciółkę od miejsca, gdzie w powietrzu wisiało beznogie ciało Raula.

Jezu. Co mu zrobił Stephenson?

Jen miała na głowę nałożoną obręcz i umysł Heather zalała nowa wizja. Przez kilka sekund Jennifer i Raul wpatrywali się w siebie, znieruchomiali, a na twarzy chłopaka widać było walkę uczuć.

Wtedy Jen obróciła się do niej z mlecznobiałymi oczyma, jak u niej samej podczas transu.

Dbajcie o siebie. Kocham was oboje.

Nagle wylot portalu przesunął się znów w przestrzeń kosmiczną. Gdy wicher dekompresji zerwał się na nowo, Heather złapała się wspornika, powstrzymując wrzask, który rodził jej się w gardle. Wiedziała, że jeśli nie zrobi czegoś w ciągu trzydziestu trzech sekund, żarłoczna anomalia za jej plecami pochłonie ich wszystkich.

Gdyby poddała się teraz rozpacz, mogłaby wpaść w apatię, więc odsunęła ją na bok i wyzwoliła każdą kroplę adrenaliny, którą było w stanie wyprodukować jej ciało. Dzięki temu dostała się na pierwszy poziom konsol, złapała się płyty podłogowej kolejnej kondygnacji i wciągnęła na nią. Metalowa drzazga w jej barku znów się przesunęła, pozbawiając dziewczynę tchu i zabarwiając jej pole widzenia czerwoną mgłą.

Zacisnąwszy zęby, zdołała wejść na trzeci poziom i dostać się na przymocowane do podłogi krzesło przed stanowiskiem sterowania drugim polem statycznym. Wciąż widząc w głowie tykający zegar, chwyciła dwa dźwigniki kontrolujące pole i wcisnęła przycisk na prawym z nich.

Osiemnaście sekund.

Mark, który dostosowywał się do zmiany ciśnienia, nie zdążył się jeszcze do końca podnieść, gdy obcy dopadł do niego, zadając cios, po którym chłopak się zachwiał. Choć przeciwnik spychał go na ścianę portalu, nastolatek zdążył złapać go za rękę z mieczem.

Napierając całym cielskiem na rękajeść, stwór przysunął sztych dwa centymetry bliżej piersi nastolatka. Mięśnie ramion Smythe'a tak się napięły, że groziły rozerwaniem skóry. Chłopak uderzył obcego prawym kolaniem w pachwinę. Czubek czarnej klingi dotknął jego klatki piersiowej, utaczając z niej ciepłą wilgoć.

Nastolatek obrócił się gwałtownie w lewo i poczuł, jak ostrze najpierw ślizga się po jego żebrach, a następnie uderza w stalową ścianę. Nie przerywając obrotu, Mark zwolnił prawą dłoń i jej krawędzią uderzył obcego w gardło, a następnie wykonał kopnięcie boczne, po którym pod stworem ugięła się lewa noga.

Gdy znów kopał przeciwnika w uszkodzoną dolną kończynę, w jego głowie odezwał się głos Jennifer:

Dbajcie o siebie. Kocham was oboje.

Zanim zdążył podnieść wzrok, kolejna gwałtowna dekompresja pchnęła go w stronę tunelu czasoprzestrzennego. Lewą dłonią puścił miecz wroga i złapał się krawędzi portalu, a stwór pokoziołkował dalej. Obcy stracił miecz w ziejącej czerni, ale zdążył złapać chłopaka za lewą nogę.

Mark wykręcił ciało i zdołał chwycić się oburącz krawędzi portalu, zanim dodatkowy ciężar trzymającego go stwora zdążył ich posłać za wessaną klingą. Nastolatek podniósł prawe kolano i wbił but w twarz przeciwnika, uchylił się przed ręką, która chciała go złapać, i powtórzył kopnięcie. Gdy nie odniósł pożądanego efektu, zaczął pracować nad dłońmi ściskającymi go

za lewą nogę i przy każdym ciosie podszwą czuł pękające kości palców.

Obcy leczył się szybko, lecz nie dość szybko. Po piątym kopniaku zwolnił chwyt i z gniewnym rykiem zniknął w portalu.

Chwilę później podążyła za nim jaskrawo świecąca anomalia.

Trzymając się bariery przy schodach prowadzących na stanowisko kontrolne i wiedząc, że zostało już mniej niż trzydzieści sekund, zanim horyzont zdarzeń anomalii zniszczy jej pole powstrzymujące, profesor Stephenson z dziwną fascynacją obserwował walkę między Kasari a szwedzkim elektrykiem. Choć trudno było w to uwierzyć, wielki blondyn zdołał przetrwać najświeższy atak obcego i właśnie kopał go w twarz brązowymi butami roboczymi. Nagle stwór puścił nogę technika i różnica ciśnień wciągnęła go w tunel czasoprzestrzenny.

Co ważniejsze, jedyna kobieta z drużyny ochrony zdołała wspiąć się za konsolę sterowania drugim polem statycznym i choć naukowiec ledwo mógł uwierzyć w to, co widzi, chwyciła dżojstiki kontrolne i w jakiś sposób udało jej się cisnąć anomalię w portal zaraz za przybyłym wojownikiem.

Choć poczuł wszechogarniającą ulgę, że bieżące zagrożenie zostało zażegnane, nie był zadowolony. Anomalia zniknęła, Ziemia przetrwa, a on nadal miał czas, by przywrócić połączenie z Kolektywem Kasari, lecz coś wciąż było zdecydowanie nie w porządku.

Gdy walczył z wiatrem w drodze powrotnej na swoje stanowisko, w umyśle wciąż widział odzianą na czarno ochraniarkę obsługującą konsolę sterowania. Żadnego wahania w jej ruchach. Obsługiwała przyrządy w taki sposób, jakby sama je zaprojektowała, tak samo dobrze jak doktor Iwanowicz i znacznie lepiej niż profesor Trocki, naukowiec specjalnie wyszkolony przecież do tego zadania.

Gdy Stephenson zasiadł na swoim krześle i oparł stopy o stalową ramę stanowiska, wyświetlił dane diagnostyczne bramy i potwierdził odległe współrzędne wylotu tunelu głęboko w

przestrzeni. Nawet jeśli anomalia wchłonęła wystarczającą ilość materii, by przemienić się w czarną dziurę, zajmie jej to bardzo dużo czasu. Poza tym w pobliżu nie było żadnych znaczących systemów gwiazdnych, znikał więc powód do obaw.

Przygotowując się do wprowadzenia kodów synchronizacyjnych Kasari, profesor jeszcze raz zerknął na wartowniczkę. Odpowiedziała spojrzeniem, które wmurowało go w miejsce. Jej twarz odmłodziła o kilka lat i naukowiec przeżył szok, rozpoznając ją. Młoda McFarland!

Widząc, jak dziewczyna przesuwając dżojstiki pola statycznego w prawo i w górę, Stephenson skoczył z platformy, która właśnie zaczęła się wokół niego rozpadać. Odłamki grubej stali wbiły mu się w pierś i szyję, gdy pokonywał dziesięć metrów dzielących go od betonowej podłogi jaskini. W wyniku upadku złamał sobie prawą nogę i zaostrozony kawałek kości udowej rozerwał skórę górnej części kończyny.

Przetoczył się w prawo, złapał stalowy wspornik i wciągnął się pod fragment uszkodzonej platformy. Heather McFarland. Ta mała suka próbowała go zabić.

Nic dziwnego, że wcześniej jej nie rozpoznał. Na jego oczach rysy dziewczyny odmłodziły o dziesięć lat. Kilka elementów układanki wskoczyło nagle na swoje miejsce. Przez cały ten czas nie dostrzegał tego, co miał przed nosem. Ta trójka dzieciaków maczała palce w każdym kluczowym wydarzeniu ostatnich dwóch lat. Wskazówki miał na wyciągnięcie ręki.

Wybryki natury. Nie. Nie natury. Altreiańskiego okrętu.

Musieli natknąć się na niego na długo przed znalezieniem jednostki przez funkcjonariuszy federalnych w jaskini Bandelier. Nastolatki coś wtedy zrobili, uruchomili urządzenia, które ich przekształciły, dali się omotać antykasariańskiej propagandzie, stali się żołnierzami egzekwującymi wynaturzone plany Altreian. A skoro znajdowała się tu Heather McFarland, to bliźnięta Smythe zapewne również przeniknęły do projektu. I wszyscy razem cholernie skutecznie zniszczyli jego wielki dzień.

Przestał wiać wicher dekompresji. Czyli zostało odcięte zasilanie bramy, najprawdopodobniej poprzez fizyczne

uszkodzenie przewodów za pomocą drugiego pola siłowego.

Zgiąwszy się w pasie, Stephenson złapał się za prawe kolano i pchnął złamaną kość udową, wciskając ją do zaleczającej się już rany. Odetchnął głęboko, sprawdzając, w jakim stopniu nanoboty naprawiły mu już płuca i gardło. Dobrze.

McFarland i Smythe'owie przekonają się, że ani jego samego, ani jego planów nie da się tak łatwo pokrzyżować.

Mark zdołał zahaczyć lewym łokciem o obudowę portalu i przeciągnąć się na bok, odsuwając od głównych podmuchów wyjącego wiatru. Słyszając zgrzyt rozrywającego się metalu, obrócił głowę i ujrzał, jak główne stanowisko kontrolne rozpada się niczym owca w szczękach tyranozaura. Nie widział profesora Stephensona, jeśli jednak naukowiec tam się znajdował, to już nie żył.

I nagle brama wyłączyła się, tunel czasoprzestrzenny zgasł, a przez ciało Marka przemknęła kolejna gwałtowna zmiana ciśnienia, która powaliła go na kolana. Za sobą słyszał trzask wyładowań elektrycznych i smród palącej się izolacji. Nie potrzebował więcej, by wiedzieć, że przywrócenie bramie zasilania nie będzie proste.

Chłopak wstał i spojrzał na konsolę kontrolującą drugie pole statyczne. Heather siedziała oparta o przyrządy, a z jej pleców wystawał długi na dziesięć centymetrów, poszarpany kawałek stali.

Ignorując krew płynącą z rany w jego boku, nastolatek zerwał się do biegu, jednym susem przeskoczył nad pierwszym rzędem stanowisk roboczych, a drugim znalazł się przy krześle dziewczyny.

Odchylił ją delikatnie i zorientował się, że sam odetchnął z sykiem przez zęby. Metalowy odłamek wbił się Heather pod obojczykiem, na tyle wysoko, że ominął płuco, ale miał pięć centymetrów szerokości. Tyle krwi. Mundur dziewczyny był od niej mokry, pokrywała też krzesło i spływała na stalową kratownicę.

Mark ściągnął koszulę, rozerwał ją na pół i przyklęknął przy Heather.

Jej brązowe oczy zmrużyły się lekko, a kąciki ust uniosły nieznacznie.

– Udało nam się – powiedziała.

– Owszem, udało się. Ale jeszcze nie skończyliśmy. – Chłopak ścisnął jej rękę. – Zaboli.

Lewą dłonią podtrzymał bark przyjaciółki, prawą zaś ścisnął metalowy odłamek. Spojrzał dziewczynie w piękną twarz, nie ujrzał w niej strachu i skinął głową.

Pociągnął. Jeden szybki, płynny ruch. I choć Heather nie wydała żadnego odgłosu, w uszach nastolatka dźwięk stalowej drzazgi wysuwającej się z jej ciała skojarzył się z piłą amputacyjną z okresu amerykańskiej wojny domowej. Gdy odłamek wyskoczył z rany, krew przysnęła Markowi na twarz, a jej metaliczny zapach wypełnił mu nozdrza.

Zdjął dziewczynie koszulę, oderwał jej rękawy i użył ich, by podwiązać opatrunki uciskowe, które wykonał ze zwiniętych połówek własnego okrycia. Gdy szykował się, by podnieść Heather z krzesła, ujrzał ranę na jej łydce.

– Jezu Chryste!

Mark złapał i rozerwał podartą nogawkę spodni dziewczyny. Zobaczył poszarpaną bruzdę, bez przerwanej tętnicy czy żyły, ale i tak krwawą. Zwinął w kłębek ostatni kawałek koszuli Heather i za pomocą resztek ubrania przymocował go do rany na nodze. Po czym wstał i wziął przyjaciółkę na ręce, choć czuł tak silną rozpacz, że niemal jej się poddał. Stracił już dziś siostrę. Nie zniósłby dodatkowo utraty Heather.

– Przytrzymaj się mojej szyi. Wyniosę cię stąd.

Gdy dziewczyna nie odpowiedziała, zerknął na jej twarz. Oczy miała półprzymknięte i białe jak mleko. W porządku, niech wizje zabiorą ją z dala od bólu i smutku teraźniejszości. Zamierzał wynieść ją z piekła chaosu panującego w jaskini ATLAS.

Kapitan Szwajcarskich Sił Powietrznych obrócił się, widząc amerykańskiego chorążego podchodzącego do jego śmigłowca. Wychylił się z kokpitu.

– Przykro mi, to ratunkowy lot ewakuacyjny – oznajmił mocno akcentowanym angielskim, w którym rozbrzmiewała irytacja. Musiał mówić głośno, by dało się go słyszeć nad hałasem wirnika. – Żadnych pasażerów.

Amerikanin pokazał mu plik dokumentów. Szarpane podmuchami strony rozchyliły się, ukazując tłumik przykręcony do pistoletu Glock kaliber dziewięć milimetrów.

– Wyłaź!

Gdy kapitan zawahał się, jedynie cichy plask, przypominający odgłos sandała uderzającego o chodnik, towarzyszył kuli wbijającej mu się w udo.

– Cholera!

Jack wymierzył broń w ratownika medycznego siedzącego obok pilota.

– Ostatnia szansa.

Mężczyzna opuścił pospiesznie kabinę, wyciągając za sobą pilota, a Jack wsiadł do kokpitu i podkręcił obroty.

Podobnie jak w innych okolicznych szpitalach, również w Hospital La Tour w Meyrin personel ratunkowy był zdezorientowany. Panika rozprzestrzeniająca się po telewizyjnej relacji z jaskini ATLAS wzrosła jeszcze po utracie transmisji na żywo, Gregory'ego nie zaskoczyło więc, że kradzież śmigłowca nie spotkała się z natychmiastową reakcją.

Gdy eurocopter EC635 podnosił się z improwizowanego szpitalnego lądowiska, z wyjścia wybiegł strażnik gmerający przy pasku kabury. Krew tryskająca mu nagle z potylicy przerwała

próbę wyciągnięcia broni.

Jack poruszył drażkiem, machając osłoniętym śmigłem ogonowym w kierunku okna znajdującego się pół przecznicy dalej, i skręcił w stronę budynku mieszczącego pod sobą jaskinię ATLAS. W swoim splątanym kwantowo telefonie komórkowym wcisnął przycisk nadawania.

- Ładny strzał, słonko - powiedział na tyle głośno, by dało się go usłyszeć przez hałas panujący w kokpicie. - Zbieraj się.

- Dobrze, mój kochanku - dobiegł do niego głos Janet. - Leć po nasz zespół.

Heather otworzyła oczy, gdy Mark wspinał się po schodach na trzeci poziom rusztowania pokrywającego zewnętrzne ściany jaskini ATLAS. Choć w wyniku dekompresji wielu naukowców i techników, którzy tam przebywali, zostało wciągniętych w tunel, sporo innych, w tym niektórzy uczeni ze stacji roboczych PPA na poziomie podłogi, zdołało dostać się do wyjść podczas walk, które toczono w grocie, i kolejnych awarii bramy.

– Nie możemy jeszcze uciec.

Na dźwięk jej głosu chłopak zatrzymał się.

– Co?

– Stephenson wciąż żyje.

Mark przesunął wzrok na dno jaskini, gdzie profesor wyczołgiwał się właśnie spod sterty odpadków niczym wielki karaluch.

– To nieistotne. Nie uda mu się tego wszystkiego naprawić – oznajmił, wskazując podbródkiem Klatkę i iskrzącą w niej płataninę przewodów.

– Trzeba się upewnić.

Na twarzy nastolatka pojawiło się zrozumienie.

– Atomówki.

– Musimy ustawić detonator czasowy.

Mark obrócił się w stronę wysokiego pomostu biegnącego pod stropem i dochodzącego do najwyższej sekcji Klatki. W gąszczu kabli znajdowało się miejsce, gdzie przekierował linię biegnącą do bomb.

– Może tam być groźnie.

– Miejmy nadzieję, że nie. Spięcia na przewodach występują w dolnych częściach Klatki, a każdy poziom jest pod względem elektrycznym odizolowany od pozostałych.

Mark skinął głową.

– Dobrze, zrobię to – zadeklarował.

– Powinnam pójść z tobą.

– Nie w takim stanie. – Zanim zdążyła się sprzeciwić, kontynuował: – Twoje ciało zostanie tutaj. Twój umysł może zabrać się ze mną.

Oboje sięgnęli po obręcz i równocześnie nasunęli je na skronie.

Nic się nie stało.

Heather nie potrafiła tego zrozumieć. Ani śladu delikatnego mrowienia. Nic. Jej obręcz była zupełnie martwa. Dziewczyna nie musiała spoglądać na Marka, by wiedzieć, że miał tak samo.

– Cholera!

Podniosła na niego wzrok.

– Czyli po prostu będziemy musieli zrobić to w trudniejszy sposób – uznała.

Mark posadził ją pod stalową ścianą.

– Zaczekaj, aż tam dotrę, a później spróbuj nawiązać połączenie mentalne. Jeśli ci się nie uda, nie męcz się. Nie potrzebuję twojej pomocy, żeby ustawić zegar.

Obrócił się i pobiegł po schodach, którymi zamierzał dostać się do drabiny prowadzącej na pomost pod sufitem. Heather w tym czasie walczyła z nową falą zawrotów głowy. Nie wątpiła w możliwości Marka, ale przecież jakieś zabłąkane wyładowanie zdoła przedrzeć się przez jedną z wiązek kabli, między którymi chłopak musiał się precyzyjnie przemieszczać, aby osiągnąć miejsce rozdzielania sygnału. Jeśli nie będzie jej przy nim, jeśli nie będzie widziała tego, co on, jak zdoła wyczuć, co wolno mu dotknąć, a czego powinien unikać?

Usiadła nieco prościej i obserwowała mięśnie falujące na nagich plecach nastolatka wchodzącego po drabinie. Musiała zachować przytomność, dopóki Mark nie wykona zadania.

Mark znał Klatkę na wylot. Sam zainstalował znaczącą część elektroniki, przewodów i urządzeń chłodzących. Ekipa konstrukcyjna miała wyjątkowe umiejętności, lecz poziom jej pracy okazał się ledwie przeciętny. Skupiano się na tym, by wszystko działało oraz by nie opóźnić harmonogramu. Oznaczało to, że tu i ówdzie chodzono na skróty. Właśnie z tego powodu chłopak nie do końca wierzył w pełną izolację elektryczną pomiędzy poszczególnymi sekcjami.

Choć uważali za mało prawdopodobne, by wojskowi, nie licząc się z konsekwencjami, rzeczywiście zdetonowali bomby, jednak dwa tygodnie wcześniej Heather postanowiła, że Mark powinien zdezaktywować obwód zdalnego sterowania, ale zostawić ręczny mechanizm zegarowy. Chodziło o to, aby stworzyć nowy obwód, który nie dopuszczałby zdalnych sygnałów do bomb, a jednocześnie zapewniał pozytywną informację zwrotną, by nikt nie mógł wykryć złącza kablowego.

Gdy chłopak dotarł na najwyższy szczebel drabiny i wyszedł na pomost, starym przyzwyczajeniem podniósł rękę i dotknął betonowego stropu. Niewiele osób zaangażowanych w projekt miało styczność zarówno z sufitem, jak i podłogą i choć zamierzał zamienić to wszystko w radioaktywny żużel, nie mógł powstrzymać się przed poczuciem dumy z tego, co pomógł tu osiągnąć.

Znalazł się przy Klatce, wyciągnął detektor przewodów pod napięciem, sprawdził nim wejście i wkroczył do środka. Gdy dotknął gumowymi podeszwami butów stalowej kratownicy, poczuł Heather wślizgującą mu się do umysłu. Nie próbowała się komunikować, ale wiedział, że wpływa na jego zmysły i robi coś, czego jeszcze dotąd nie doświadczył. Nie dzieliła się z nim swymi

wizjami, lecz zmieniała zabarwienie wszystkiego, co widział. Efekt zapierał dech w piersiach. Rzeczy zielone i niebieskie były w porządku. Im bardziej zbliżały się do czerwonego końca spektrum światła, tym większe niebezpieczeństwo stanowiły.

Niestety, nie widział zbyt wielu zieloności i niebieskości.

Mark nie miał pojęcia, jak długo Heather zdoła mu w ten sposób pomagać. Nie był sobie nawet w stanie wyobrazić, w jak głęboki trans musiała wejść, aby tak działać, ale z pewnością oznaczało to, że zupełnie porzuciła próby powstrzymywania napływu krwi do ran. Chłopak miał nadzieję, że jego opatrunki uciskowe okażą się wystarczające.

Przemieszczał się tak szybko wąskim tunelem, jak tylko się ośmielał, pozwalając, by jego układ nerwowo-mięśniowy czynił swoje cuda i pomagał mu w przeciskaniu ciała obok niebezpiecznych kabli, przewodów i metalowych wsporników tak, by ich przypadkowo nie dotknąć. Pamiętał, jak świetnie się kiedyś czuł, przechodząc zatłoczonym korytarzem liceum w Los Alamos i nie muskając nawet żadnego z uczniów. Wtedy robił to bez wysiłku, teraz było mu cholernie trudno.

Gdy dotarł do punktu, w którym w prawo odchodził ciasny szyb, otworzył jeden z ulokowanych tu zestawów narzędziowych, wyciągnął potrzebne przyrządy, wsunął je za pas i wcisnął się w przejście.

Cholera. Miał wrażenie, jakby znalazł się na pokazie czerwonych i żółtych laserów. Na odcinku ostatnich piętnastu metrów pracował ciężiej niż kiedykolwiek w życiu, wyginając ciało pod, nad i wokół elementów pod napięciem.

Kiedy Mark znalazł się przy osłonie kryjącej urządzenie zegarowe, z ulgą stwierdził, że miała chłodny turkusowy kolor. Odkręcił panel, uważając, by nie przechylić przełącznika rtęciowego, i odstawił go na bok, po czym wziął mały śrubokręt i ustawił zegar na dwadzieścia minut. Zostawił narzędzia na podłodze i nie zawracał sobie głowy montowaniem z powrotem osłony.

Nie mogąc zawrócić, przygotowywał się do wycofania tyłem, gdy nagle poczuł, że mentalne połączenie z Heather zgasło.

Heather? Jesteś tam?

Brak odpowiedzi.

Cholera, cholera, cholera!

Mark wziął głęboki, uspokajający oddech i spowolnił akcję serca do czterdziestu sześciu uderzeń na minutę. Pora się przekonać, czy rzeczywiście dysponował tak doskonałą pamięcią.

Jack przeleciał nad budynkiem stojącym nad wejściem do jaskini ATLAS, szukając najlepszego miejsca do posadzenia śmigłowca, choć nie miał zamiaru lądować, dopóki ze swych splątanych kwantowo telefonów nie zadzwonią do niego Mark, Heather lub Jennifer. Uświadomił sobie, jak daleką drogę przeszli od wcześniejszych urządzeń stanowiących swoje kwantowe bliźniaki. Teraz ich komórki miały w sobie jedną z pięciu splątanych cząsteczek, dzięki czemu działały w taki sposób, jakby stanowiły część pięciostronnego telefonu konferencyjnego.

Oczywiście działały tylko wtedy, gdy były włączone. Gregory nie dostał jeszcze żadnego sygnału od nastolatków, a przekroczyli już harmonogram o pięć minut. Wisząc nad parkingiem, widział ludzi wysypujących się z budynku. Część wsiadała do pojazdów, część kładła się na ziemi, gdy jeszcze inni próbowali udzielać rannym pierwszej pomocy. Parę osób machało do niego, dając znaki, by lądował.

Nagle Jack dostrzegł Marka biegnącego w kierunku otwartej przestrzeni między budynkami, z bezwładną Heather w ramionach. Opuścił szybko śmigłowiec tuż nad ziemię, nawet przez chwilę nie dotykając jej płozami, a chłopak najpierw umieścił dziewczynę w środku, a później sam wskoczył na pokład. Nabierając prędkości i wysokości, Gregory skierował się w stronę Jeziora Genewskiego.

Mark zamknął drzwi, położył Heather na podłodze, wziął torbę z wyposażeniem medycznym i zaczął przygotowywać kroplówkę z osoczem.

– Jennifer.

– Niestety. – Chłopak ledwo był w stanie coś wykrztusić przez zaciśnięte gardło.

Jack sięgnął w tył, by poklepać go po ramieniu.

– Przykro mi.

Mark skinął głową.

– Lepiej się oddalmy – oznajmił.

– Ile mamy?

– Dwanaście minut osiemnaście sekund.

– Jasne. Po drodze jeszcze kogoś zgarniemy.

Nastolatek przemył przedramię Heather gazikiem nasączonym alkoholem i wbił jej igłę w żyłę.

– To dobrze. Może Janet pomoże mi powstrzymać krwawienie.

Jack zerknął na zakrwawione ciało dziewczyny, jej bladą twarz i zsiniałe wargi, po czym obrócił się z powrotem do przodu i wyciskał ze śmigłowca jak najwyższą szybkość. Chciał powiedzieć, że widział już gorsze przypadki, że z nim samym bywało gorzej. Cokolwiek, co uspokoiłoby narastającą w Marku panikę.

Jednak żadne słowa nie mogły pomóc chłopakowi, zostawił więc swoje myśli dla siebie.

Zamknij się i leć, Jack. Po prostu zamknij się i leć.

Gdy Donald Stephenson wydostał się ze sterty szczątków, które zostały z jego stanowiska kontrolnego, rzut oka na jaskinię pozwolił mu oszacować zakres szkód spowodowanych przez młodą McFarland. Drugie pole statyczne wykorzystano nie tylko do zniszczenia jego konsoli, ale też by przeciąć linie energetyczne dostarczające zasilanie do bramy i generatorów pola.

Tylko że przeoczyła jedną rzecz. Generatory miały matrycę awaryjnych akumulatorów opartych na zaawansowanych ogniwach mocy z okrętu Rho. Nie były one w stanie przechować wystarczająco wiele energii, by uruchomić bramę, ale umożliwiały działanie drugiego pola statycznego przez dwadzieścia minut. Naukowiec więcej nie potrzebował.

Profesor przeszedł przez jaskinię, mijając bramę podświetloną lekko lampami awaryjnymi i odbitym blaskiem wyładowań elektrycznych szalejących w uszkodzonej Klatce, gdzie pocięte przewody syczały i pluły iskrami niczym rozgniewane kobry. Wszedł po schodach na stanowisko obsługi drugiego pola i zerknął na krew pokrywającą krzesło oraz zebraną na podłodze wokół niego. Zanurzył palce w czerwonym płynie i uniósł je do nosa. Stephenson nie miał pewności, czy rana McFarland okaże się śmiertelna, ale i tak poprawił mu się nastrój.

Ignorując krew, usiadł przed terminalem. Konsola wciąż miała zasilanie, czerpała prąd z wystarczającej na piętnaście minut baterii zapasowej. Wskaźnik naładowania pokazywał, że zostało go już tylko na połowę tego czasu. Naukowiec podniósł panel awaryjnego ominięcia sterowania i przełączył zasilanie na matrycę akumulatorów. Ostrzeżenie o wyczerpującej się energii zniknęło.

Palce profesora zatańczyły po klawiaturze, wpisując polecenia

uruchamiające na nowo drugi generator pola statycznego. Choć naukowiec nie działał tak szybko jak sieć neuronowa Raula, na pewno nie można go było nazwać wolnym. Niewidzialna bańka rosła, aż objęła obszar wokół jego stacji roboczej, generatory pola, bramę i w końcu niesprawne części klatki energetycznej.

Dzięki tej barierze ochronnej mógł się już nie obawiać interwencji z zewnątrz. Manipulując mackami pola statycznego, Stephenson zaczął reperować uszkodzone przewody. Wykorzystywał w tym celu sieć kamer i dostępne mu przyrządy. Ponieważ nie musiał się martwić wyłączeniem mocy w liniach pod napięciem, jego naprawy szły znacznie szybciej niż w wykonaniu ekipy nawet najlepszych elektryków.

Najważniejsze było przywrócenie przepływu energii z rozpraszacza materii. Dzięki temu profesor będzie mógł znów w pełni naładować akumulatory awaryjne, a także uzyskać moc potrzebną do ponownego otwarcia bramy Kasari.

Nagle poza bańką statyczną zrobiło się białe. Pomimo niemal idealnej osłony Stephenson poczuł, jak wypalają mu się siatkówki i na chwilę ośleplł, zanim nanoboty z krwiobiegu zdążyły zabrać się do ich naprawy. Tylko jedna rzecz mogła doprowadzić do takiego rozbłysku: detonacja nuklearna. I choć pole statyczne ochroniło go przed początkowymi efektami promieniowania oraz fali uderzeniowej, naukowiec stracił nie tylko nadzieję na odzyskanie zasilania, ale również możliwość wykorzystania niezabezpieczonych części jaskini ATLAS oraz urządzeń rozmieszczonych poza nią.

Wciąż nic nie widział, zdawał sobie jednak sprawę, że tylko pole statyczne osłaniało go przed ogromnym promieniowaniem i potężną falą ciskającą szczątkami wywołanymi wybuchem. Za kilka minut wicher powieje w odwrotną stronę, by wypełnić powstałą próżnię. Wprowadzie prąd zawarty w akumulatorach wystarczy zapewne na dość długo, by ochronić naukowca przed tymi efektami, jednak żadna ilość nanobotów nie uratuje go przed piekłem, które czekało go, gdy pole statyczne zacznie zanikać.

Gdy powoli zaczął mu wracać wzrok, Stephenson wstał, by

rozejrzeć się po surrealistycznej scenerii. Zupełnie jakby znalazł się w dziecięcej śnieżnej kuli – ochronna strefa otaczała nieuszkodzoną część groty, podczas gdy na zewnątrz okolicę zmieniała szalejąca pożoga. Jaskinia ATLAS zniknęła, jej ściany na setki metrów w każdym kierunku wyparowały, a dalej przemieniły się w kotlinę stopionego szkła.

Czując, jakby zakres porażki wypalał mu mózg niczym gorące szczypce wsunięte w nozdrza, profesor zatoczył spojrzeniem pełny krąg. Za kilka minut pole statyczne zacznie powoli zanikać, a jego samego zaleje porcja promieniowania porównywalna z poparzeniem słonecznym. Będzie to bolesne, lecz nanoboty sobie poradzą. Później radiacja będzie rosła w sposób wykładniczy i podobnie jak w przypadku jajka gotowanego w kuchence mikrofalowej, dojdzie do punktu, w którym płyny ciała zagotują się i rozerwą skórę.

Ile minie czasu, zanim zginie?

Niezadowolony z wyniku mentalnych obliczeń, profesor Donald Stephenson obrócił się znów do stanowiska sterowania drugim polem statycznym. Przez dwie i pół sekundy jego palec wisiał nad wyłącznikiem zasilania. Gdy w końcu opadł, pole ochronne rozmyło się.

Prezydent Jackson i jego zespół do spraw bezpieczeństwa narodowego wpatrywali się w telewizory ustawione na CNN. Prezenterka z początku wydawała się załamana, lecz odzyskała opanowanie.

- Tych z państwa, którzy dopiero włączyli odbiorniki, informuję, że kontynuujemy nasz najważniejszy temat, czyli międzynarodowe wysiłki podjęte, aby Listopadowa Anomalia nie przerodziła się w czarną dziurę, która groziłaby zniszczeniem naszej planety. Jak już donosiliśmy, w ostatnich kilku minutach dotarły do nas niepotwierdzone doniesienia o wybuchu nuklearnym w jaskini ATLAS. Łączymy się teraz z naszym korespondentem w Białym Domu, Rolfem Larsonem.

- Rolf, było to kolejne wydarzenie z serii, którą można określić wyłącznie mianem katastrofalnych. Czy pojawiła się już oficjalna reakcja Białego Domu?

- Karen, wciąż czekamy na oficjalne oświadczenie na temat tego, co miało miejsce w kompleksie ATLAS, począwszy od domniemanej próby inwazji obcej rasy za pośrednictwem Bramy Rho, następnie serii wybuchów oraz utraty transmisji z samej jaskini i wreszcie eksplozji nuklearnej.

- Rolf, przepraszam, że ci przerywam, ale właśnie dostaliśmy potwierdzenie, że istotnie nastąpił wybuch jądrowy. Otrzymaliśmy pierwszy materiał wideo pokazujący grzyb atomowy widziany z Genewy. O mój Boże. Mieliśmy nadzieję nie ujrzeć czegoś takiego za naszego życia.

- Karen, widzimy grzyb na naszych monitorach. Musi to być przerażająca wiadomość dla wszystkich, których bliscy pracowali w szwajcarskim ośrodku, dla jednostek wojskowych rozmieszczonych wokół siedziby projektu ATLAS oraz dla

obywateli Szwajcarii i Francji. My w CNN także ponieśliśmy stratę w osobach Teda Cantrella i całej ekipy przygotowującej transmisję z miejsca wydarzeń...

Ze swojej pozycji u szczytu stołu prezydent wyciszył głos i obrócił się do Cory'ego Mayfielda, dyrektora Wywiadu Narodowego.

- Cory?

- Generał Smith czeka na linii w Ramstein.

Prezydent wdusił przycisk na swojej konsoli kontrolnej.

- Generale Smith. Tu prezydent Jackson z pokoju dowodzenia wraz z całym zespołem od bezpieczeństwa narodowego. Proszę mi zrelacjonować, co pan wie.

- Panie prezydencie, jak pan jest świadom, zdalna detonacja urządzeń nuklearnych nie powiodła się, pomimo kilku prób zaradzenia problemom. Kapitan William Everett, nasz przebywający na miejscu wydarzeń specjalista od broni jądrowej, zgłosił się na ochotnika, by ręcznie zdetonować głowice. W związku z faktem, że wciąż żyjemy, wydaje się oczywiste, że wbrew opinii pesymistów z kręgów naukowych opcja nuklearna zniszczyła zarówno Listopadową Anomalię, jak i bramę.

- Ofiary?

- Na razie wyłącznie szacunkowe, panie prezydencie. Każda głowica posiadała ładunek o sile dwudziestu kiloton. Eksplozja miała miejsce sto metrów pod ziemią. To jednocześnie dobrze i źle. Grunt pomógł ograniczyć zasięg bezpośredniej fali uderzeniowej, a także początkowego promieniowania przenikliwego, jednak spodziewamy się silnego skażenia promieniowaniem alfa i beta w rezultacie opadania znacznych ilości napromieniowanego pyłu i żwiru zassanych w grzyb atomowy. Obecnie utrzymuje się wiatr z kierunku zachodniego o prędkości dziesięciu węzłów. To niekorzystnie dla Szwajcarii, Austrii oraz części Bawarii i Włoch, ale dobrze dla większości ważniejszych europejskich ośrodków populacji. Nasze najbardziej pesymistyczne oceny mówią o dziesięciu tysiącach osób zabitych w wyniku początkowego wybuchu, do dziesięciu

razy tyle w nadciągających tygodniach i miesiącach. Zanim podam konkretniejsze wartości, będę potrzebował danych od naszych zespołów analitycznych.

– Dziękuję panu, generale. Na razie to wszystko.

Prezydent Jackson rozłączył rozmowę. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do środka weszła Carol Owens, jego szefowa personelu. Widząc wyraz jej twarzy, Jackson niemal bał się spytać, o co chodzi.

– No dobrze, Carol. A teraz co się wydarzyło?

– Panie prezydencie, właśnie odebrałam telefon od profesora Davida Kronena z Los Alamos. Okręt Rho zniknął.

Informacja nie w pełni dotarła do głowy państwa.

– Zniknął?

– Tak jest, sir. Profesor Kronen mówi, że w jednej chwili był, a w następnej już go nie było, a wraz z nim połowy budynku. Piętnaście osób zaginęło i jest uważanych za zmarłe. Gdyby to się stało za dnia, stracilibyśmy setki.

– O której godzinie to miało miejsce?

Carol przełknęła z trudem ślinę.

– Niedługo po tym, jak urwała się relacja telewizyjna z jaskini ATLAS.

Prezydent opuścił głowę i masował dłońmi skronie. Gdy znów podniósł wzrok, spojrzął szefowej personelu bezpośrednio w oczy.

– Chcę, aby informacja o tym przez trzy dni nie przedostała się do wiadomości publicznej. Przekaż profesorowi Kronenowi, że ma właśnie tyle czasu na zdobycie jakichkolwiek wyjaśnień. Na razie musimy skupić się na wydarzeniach w Szwajcarii.

Jackson przeniósł wzrok na pozostałych obecnych.

– Słuchajcie, mamy tak wielu przerażonych i wściekłych ludzi. Wszyscy z nich chcą się dowiedzieć, co, do cholery, się stało i co czeka ich dalej. Nie możemy zaprzeczyć, że to my stoimy za eksplozją nuklearną, zatem zamierzam to jasno powiedzieć. Za godzinę od teraz wejdę do audytorium i wyłożę kawę na ławę. Do tego czasu proszę o pomysły, jak najlepiej to rozegrać.

Prezydent poczuł nagłą, niestosowną radość. Owszem, był

odpowiedzialny za zabicie dziesiątek tysięcy niewinnych osób,
ale ocalił planetę. Ogólnie rzecz biorąc, niezły wynik.

Freddy Hagerman zwolnił kroku, próbując nie rozbić sobie tyłka o lód. Osiem dni po niedoszłym końcu świata proteza do chodzenia wciąż nie ułatwiała mu życia. Przystanął przy drzwiach frontowych, trzymając palec centymetr od dzwonka. Porę wybrał sobie nietypową, delikatnie mówiąc. Rzadko narzucał się ludziom o wpół do siódmej rano w poniedziałek. Mało kto spodziewał się wtedy nieznajomych. A także znajomych. Wiedział jednak, że zastanie wtedy McFarlandów oraz ich sąsiadów w swoich domach, a nie chciał przechodzić przez tę rozmowę więcej niż raz.

Nacisnął guzik i usłyszał dobiegający z wnętrza kurant. Trzydzieści sekund później z pytającym wyrazem twarzy otworzył mu drzwi wysoki, szczupły mężczyzna o brązowych oczach.

– Mogę panu w czymś pomóc?

– Panie McFarland, nazywam się Freddy Hagerman.

Uprzejma mina zniknęła, zupełnie jakby Freddy uderzył swego rozmówcę w twarz. Gdy drzwi zaczęły się zamykać, Hagerman przytrzymał je lewą dłonią.

– Przepraszam, ale naprawdę muszę z panem porozmawiać.

– Nie rozmawiam z dziennikarzami. Nie możecie zostawić nas w spokoju?

– To dotyczy pańskiej córki i jej przyjaciół.

Wydawało się to niemożliwe, ale twarz McFarlanda przybrała jeszcze chłodniejszy wyraz.

– Zawsze tak mówicie. A teraz proszę odejść od moich drzwi i domu, zanim wezwę policję.

Gdy mężczyzna sięgnął ręką, by go odsunąć, Freddy wyciągnął pudełko z płytą DVD.

– Przysłali wam wiadomość.

McFarland znieruchomiał, a na jego twarzy pojawiła się konsternacja.

– Jeśli mnie pan wpuści, wszystko wyjaśnię.

Przez kilka sekund nic się nie działo, po czym gospodarz zamrugnął dwukrotnie i przesunął się, pozwalając Hagermanowi wejść. Freddy skorzystał z zaproszenia, zanim tamten zdążył się rozmyślić, po czym ściągnął brązowe skórzane rękawiczki do jazdy samochodem i wcisnął je do kieszeni płaszcza.

– Kto to, Gil?

Dziennikarz obrócił się i zobaczył wchodzącą do salonu atrakcyjną kobietę. Prawą ręką odsunęła za ucho pasemko siwiejących brązowych włosów.

– No dobrze, wpuściłem pana – oznajmił nagle McFarland ochryłym głosem. – Proszę mówić, co pan ma do powiedzenia.

Przenosząc wzrok między obojgiem gospodarzy, Freddy rozpiął płaszczyk.

– Przyszedłem tutaj, ponieważ w nocy spotkałem się z prezydentem Stanów Zjednoczonych i zgodziłem się odroczyć publikację mojego artykułu jeszcze o jeden dzień. On natomiast zgodził się, abym spotkał się z państwem i Smythe’ami, zanim podejmie działania w oparciu o mój tekst.

Podniósł wyżej pudełko z płytą DVD i skupił wzrok na pani McFarland.

– Dwa dni temu Heather i Mark nagrali tę wiadomość wideo i dostarczyli ją do mnie wraz z poleceniem, żebym po raz pierwszy obejrzał ją z wami i państwem Smythe. Oto więc jestem.

Gdy pod jego żoną załamały się nogi, McFarland chwycił ją i pomógł usiąść na kanapie.

– Już dobrze, Gil. Nie jestem dzieckiem. – Obróciła się do Freddy’ego i spojrzała na niego wilgotnymi oczyma, odzyskując opanowanie na twarzy. – Przepraszam, nie dosłyszałam pańskiego nazwiska.

– Freddy Hagerman.

– Panie Hagerman, proszę zdjąć płaszczyk. Nastawię kawę, a Gil pójdzie po Freda i Lindę.

– Anno...

– Gil, mówiłam ci, że już czuję się dobrze. Idź teraz szybko po naszych przyjaciół. I myślę, że kawa nam się przyda.

Gdy obejrzelili już wideo Marka i Heather i dziennikarz skończył swą historię, poczuł się tak, jakby każda emocja została fizycznie wyrwana z jego ciała, zostawiając jedynie pustą skorupę.

Gil i Fred poinformowali przez telefon pracodawcę, że są chorzy, i Freddy widział, że nie jest to dalekie od prawdy. Pomimo radości płynącej z odkrycia, że Mark oraz Heather żyją i mają się dobrze, szok wywołany bohaterką ofiarą Jennifer wyraźnie sprawił, że obie rodziny poczuły się, jakby straciły ją po raz drugi.

Na tym tle Hagerman snuł swą historię o rządowym oszustwie, które rozpoczęło się od zamordowania Jonathana Rilesa, później nastąpiła zdrada zespołu Jacka, szereg zabójstw i działań przestępczych, ostatecznie kierujących nastolatków do Boliwii, a później do ich pojmania, tortur i ucieczki.

Główny temat jutrzejszego wydania „New York Post” miał być podpisany przez Freddy’ego. Jednak jeszcze tego wieczoru prezydent zwoływał w najlepszym czasie antenowym transmitowaną na cały kraj konferencję prasową, aby poinformować obywateli o czynnościach, które podejmie, aby nadużycia wykazane w raporcie śledczym Hagermana spotkały się z odpowiednią karą i aby podjęto środki zapobiegające ich powtórzeniu.

Gdy Freddy wkładał płaszcz, zęgnął się i następnie dreptał w zimnym wietrze do wynajętego samochodu, aby wrócić do Albuquerque, uświadomił sobie, jak bardzo był głodny. Nie szkodzi. Najpierw dojedzie na lotnisko i tam weźmie burgera z piwem, by przy jedzeniu obserwować prezydenta ratującego swój tyłek.

Na razie cieszył się świadomością, że McFarlandowie oraz Smythe’owie wiedzieli więcej o całej historii, niż to kiedykolwiek stanie się udziałem prezydenta lub publiki. Zgodnie z wersją

znaną władzom Heather McFarland oraz bliźnięta Smythe zginęli w eksplozji jądrowej, która pochłonęła tak wiele istnień w kompleksie ATLAS. A Freddy zamierzał dopilnować, by to przekonanie nie uległo zmianie.

Minął niemal miesiąc od tamtego pamiętnego dnia w jaskini ATLAS. Siedem kilometrów na południowy wschód od Mesão Frio w Portugalii zimny wiatr smagał winnice opadające ku rzece Douro. Było tu pięknie wiosną, latem i jesienią, lecz teraz surowe widmo zimy trzymało winiarski region w swoich szponach, zerwało z pnączy liście, zostawiło je nagie. Choć Heather wyczuwała, że duchy wszystkich zabitych przez nią niewinnych osób wyciągają do niej ręce między pokręcanymi gałęziami, to inna zjawa powaliła ją na kolana.

Jej fizyczne rany uleczyły się dzięki wzmocnionej kontroli neuronowej nad ośrodkami produkcji hormonów, ale tego samego nie można było powiedzieć o obrażeniach psychicznych. Dziewczyna klęczała przy Marku, łzy spływały jej z oczu, kapały z nosa i lądowały na żyznej glebie. Chłopak, nie wstydząc się żalu, kłakał obok niej, a Jack i Janet stali kawałek dalej na wzgórzu.

Było to dziwne miejsce na uroczystość żałobną, bez pastora czy księdza, jedynie ich dwoje klęczących w pustej winnicy, płaczących i śmiejących się, gdy wspomnienia o Jennifer z całego życia odtwarzały się w ich połączonych umysłach. I choć fizycznie nie zostało im po niej nic, będzie żyła w nich wiecznie.

Ostatni jej widok, gdy stała obok Raula na okręcie Rho, był tak bolesny, że niemal nie do zniesienia, ale wrócili również do niego, skierowali do Jen pożegnania, których nie zdążyli wystąpić. Jennifer posłała okręt w jego własny tunel czasoprzestrzenny i nie pozostało po niej nic, co mogliby pochować. Heather podniosła oczy ku niebu. Gdzieś w tej rozległej pustce między gwiazdami dryfowało ciało Jen, pogrzebane wraz z Raulem na pokładzie okrętu Rho. Samotność tej wizji doprowadziła dziewczynę do kolejnego ataku płaczu, po którym trzęsła się tak

mocno, że gdyby Mark nie otoczył jej silnymi ramionami, przewróciłaby się na ziemię.

Gdy łkanie ucichło, odsunęła się, otarła łzy najpierw ze swojej twarzy, później z Marka, pocałowała go w usta i podniosła się. Trzymając go mocno za rękę, poprowadziła między winoroślami do Jacka i Janet. Następnie, nie wypowiadając ani słowa, wszyscy razem rozpoczęli półkilometrowy marsz do wynajętego wiejskiego domu.

EPILOG

Wśród dyskutantów w programie *This Week with Carl Langford* znaleźli się Fred Charles – senator ze stanu Missouri, Beverly Francis – kongresmenka z Ohio, oraz Freddy Hagerman – dziennikarz śledczy, laureat Nagrody Pulitzera.

– Oczywiście, że popiera pani prezydenta – przerwał senator Charles kongresmence Francis. – Takie jest pani zadanie. Jednak coraz większej liczbie osób nie podoba się oficjalna linia władzy, również wielu członkom społeczności naukowej. Pani oraz reszta waszej opcji politycznej uwierzyliście, że o włos uniknęliśmy inwazji obcych, którą ułatwiła Brama Rho. Czyż nie jest możliwe, a nawet prawdopodobne, że to, co widzieliśmy podczas transmisji z jaskini ATLAS, stanowiło pierwszy kontakt z cywilizacją, która po prostu udostępniła nam korzystne technologie, a tylko to bezpośrednie zetknięcie przebiegło nieprawidłowo?

Kongresmenka parsknęła.

– Czy nie zauważył pan, jak pańscy „przyjaźni” obcy atakowali ludzi?

– Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegli po przejściu przez portal, było urządzenie, które zidentyfikowali jako bombę, otoczoną przez siły bezpieczeństwa, które zaczęły do nich strzelać. Dlaczego nie wolno im było się bronić?

– I co według pana mamy zrobić? Odbudować bramę?

– Uważam, że powinniśmy starannie rozważyć tę kwestię. Obca rasa ma wyraźnie przychylnie intencje. Proszę spojrzeć, jakie korzyści uzyskaliśmy dzięki badaniom prowadzonym w ramach Projektu Rho. Może udałoby nam się odtworzyć bramę profesora Stephensona i przesłać przez nią wiadomość wyrażającą nasz głęboki żal z powodu tego, co wydarzyło się podczas pierwszego spotkania, oraz wyjaśniającą, co próbowaliśmy zrobić z anomalią.

– Panie senatorze – Freddy Hagerman praktycznie wypluł te słowa na stół – przyjrzyjmy się całemu temu dobru pochodzącemu od jakże korzystnych technologii obcych. Na Bliskim Wschodzie wybuchają wojny z powodu zimnej fuzji. Rosjanie i Chińczycy rozpoczęli szeroką dystrybucję własnych wersji nanoformuły dla swoich obywateli, począwszy oczywiście od sił wojskowych. Krwawe gangi niemal nieróżniące się od zombie wysączają zaszczerpionych ludzi na obszarach Afryki i Ameryki Południowej. Znaleźliśmy się na skraju najtragiczniejszego przeludnienia w dziejach naszego globu.

– Tym bardziej powinniśmy szukać pomocy.

Gdy kłótnia osiągnęła taki punkt, że prowadzący musiał ogłosić przerwę na reklamę, Janet zawołała z kuchni:

– Jack. Wyłącz to i chodź na kolację. Zaczynam żałować, że zamontowaliśmy antenę satelitarną i generator.

Gregory wyłączył telewizor pilotem i wszedł do kuchni.

– Zawsze możesz spróbować odwrócić jakoś moją uwagę.

– Ha. To będzie musiało poczekać. – Podała Jackowi łyżkę. – Weź to i zamieszaj.

Janet wyszła na podniesioną platformę otaczającą dom i jej głos przerwał późnopołudniową ciszę lasu deszczowego.

– Robby. Chodź do środka.

– Ale, mammo...

– Żadne ale. Po kolacji pobawisz się ze swoim wymyślonym przyjacielem.

Brązowa toyota camry sunęła przez odludną nowozelandzką okolicę, a Lilly Cravits poprawiła kosz piknikowy na kolanach i obróciła się, by spojrzeć na Caroline i Wandę na tylnej kanapie.

– Ale będzie fajnie zobaczyć ich miny. To taka miła młoda para. Bardzo ciężko pracowali, żeby doprowadzić farmę starego Wagnera do ładu.

Na prawo od niej James Cravits podniósł wzrok nad kierownicy i prychnął.

– A skąd wiesz, że są mili? Dopiero co ich poznałaś. Równie

dobrze mogą ukrywać się przed policją.

– James! Doprawdy! Skąd bierzesz te swoje pomysły? Naprawdę są mili.

– No nie wiem. Nie mogą mieć więcej niż po dwadzieścia pięć lat. Skąd wzięli pieniądze na posiadłość Wagnera? I po co młodzi ludzie chcieliby przenosić się do Nowej Zelandii, jeśli nie po to, żeby przed czymś uciec?

Lilly spojrzała na siedzące z tyłu przyjaciółki i wywróciła oczyma.

– Porozmawiałam sobie z nimi uprzejmie, gdy Amanda i Robert zajrzeli wczoraj do sklepu. Tworzą oprogramowanie i zarobili mnóstwo pieniędzy na stworzonej przez siebie aplikacji na telefon.

– I przenieśli się do Nowej Zelandii?

– Chcieli żyć prościej.

James roześmiał się.

– Cóż, jak znam farmę Wagnera, to ich życzenie się spełni. Dają im trzy miesiące.

James zwolnił i skręcił z drogi krajowej numer sześć na bitą drogę prowadzącą do gospodarstwa Wagnera, ponad stu sześćdziesięciu hektarów żyznej gleby. Dwukondygnacyjny drewniany dom stał przy starej stodole i obydwa budynki zdecydowanie wymagały naprawy.

Dopiero zdążyli wyjść z samochodu, gdy Amanda Blake wyszła na przedni ganek i pomachała do nich. James musiał przyznać, że dziewczyna sprawiała naprawdę dobre wrażenie, nawet w brudnych dżinsach i koszulce oraz z twarzą pokrytą ziemistymi smugami.

– Przepraszam za swój wygląd. Umyłabym się, gdybym spodziewała się gości.

– Nonsens – odparła Lilly. – Wiedziałam, że po kupnie tych wszystkich narzędzi wczoraj w Havelock zabierzecie się od razu do roboty. Uznaliśmy, że chętnie zjecie coś, czego nie będziecie musieli szykować.

Na twarzy Amandy pojawił się uśmiech.

– Oj, jakie to miłe. Już biorę koszyk. Ale pięknie pachnie to

ciasto. I pieczona szynka? Robert uzna was za dobre wróżki.

Weszli za Amandą do kuchni i stawiali koszyki na blacie, gdy przez drzwi przeszedł Robert Blake. Również miał na sobie džinsy oraz koszulkę i był jeszcze brudniejszy niż jego żona. Jednak gdy James uściśnął mu dłoń, poczuł siłę w żelaznym uścisku młodzieńca, ujrzał jego swobodny uśmiech, to uznał, że Lilly się nie myliła.

Gdy się sobie przedstawiali, a później jedli, szczerze cieszył się towarzystwem nowych sąsiadów. Kiedy posiłek wreszcie dobiegł końca i wszyscy wyszli na ganek, by się pożegnać, James naprawdę żałował, że nie zostawali dłużej.

Wsunął się za kierownicę i poczuł, że Lilly trąca go łokciem w rękę.

– No i poznałeś Blake'ów. Co teraz myślisz?

Uruchomił silnik, wystawił prawą rękę za okno i pomachał.

– Energiczna młoda para.

Śmiech Lilly wciąż trwał, kiedy jechali podjazdem i skręcali na drogę krajową, by przejechać krótki odcinek dzielący ich od Canvastown.

Na ganku starego domu Mark stanął za Heather i otoczył ją ramionami w pasie, a jego wargi musnęły jej szyję.

– Wiesz co, po całym tym jedzeniu czuję się trochę zmęczony.

Dziewczyna obróciła się do niego i przesunęła dłońmi po jego ciele aż do szyi.

– Zmęczony, tak?

Na twarzy chłopaka pojawił się łobuzerski uśmiech.

– Zrobi mi się lepiej od baraszkowania na sianie.

Pocałowała go, po czym się odsunęła.

– A może pominiemy siano?

Mark wziął swą niebezpieczną żonę na ręce i przeniósł ją przez próg nowego domu.

Praca w gospodarstwie mogła zaczekać do rana.

KONIEC

PODZIĘKOWANIA

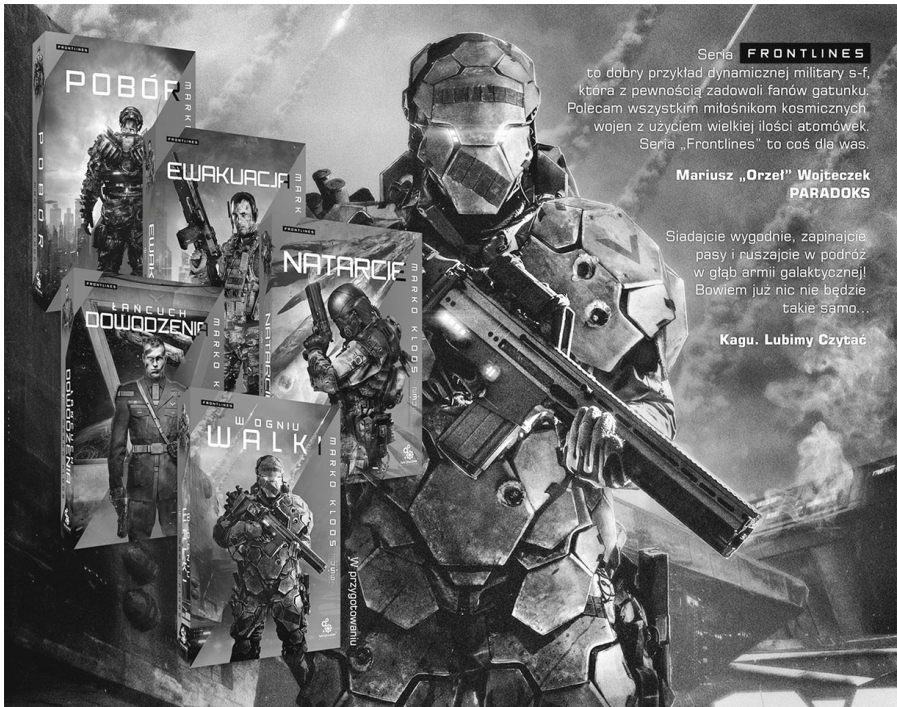
Chciałbym podziękować Alanowi Wernerowi za koncepcyjną burzę mózgow i za długie godziny, podczas których analizowaliśmy wątki oraz zwroty akcji, by doprowadzić powieść do bieżącej postaci. Jestem również wdzięczny mojemu agentowi Paulowi Lucasowi oraz ekipie z 47North, którzy ciężko pracowali, by ta historia dotarła do szerszego grona czytelników. Mój wspaniały redaktor, utalentowany Jeff VanderMeer, pomógł mi dopracować wszystkie trzy książki z cyklu Projekt Rho i wyraźnie widać w nich jego ekspercki wpływ. I wreszcie chcę podziękować mojej żonie Carol. Dzięki jej miłości i wsparciu warto jest żyć.



Copyright 2008 by HeritagePortraits.com

RICHARD PHILLIPS

Urodził się w 1956 roku w Roswell w stanie Nowy Meksyk. W 1979 roku ukończył Akademię Wojskową Stanów Zjednoczonych w West Point oraz szkolenie na rangersa. W podyplomowej szkole marynarki zrobił magisterium z nauk fizycznych, pracę zaliczeniową napisał w Narodowym Laboratorium Los Alamos. Przepracował trzy lata jako asystent w instytucie badawczym Lawrence Livermore, a następnie wrócił do wojska, by zaliczyć pozostały okres służby. Obecnie wraz z żoną Carol mieszka w Phoenix w stanie Arizona. Tworzy oprogramowanie symulacyjne dla amerykańskiego wojska, a w wolnych chwilach pisze powieści science fiction.



Seria **FRONTLINES**

to dobry przykład dynamicznej military s-f, która z pewnością zadowoli fanów gatunku. Polecam wszystkim miłośnikom kosmicznych wojen z użyciem wielkiej ilości atomówek. Seria „Frontlines” to coś dla was.

**Mariusz „Orzeł” Wojteczek
PARADOKS**

Siadajcie wygodnie, zapinajcie pasy i ruszajcie w podróż w głąb armii galaktycznej! Bowiem już nic nie będzie takie samo...

Kagu. Lubimy Czytać

BRAMA

RICHARD PHILLIPS

SERIA PROJEKT RHO

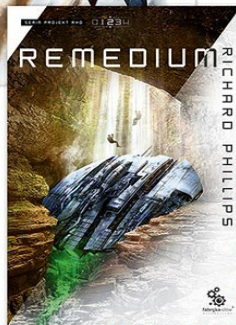
Czołowy naukowiec z Projektu Rho, profesor Donald Stephenson, został uwięziony za zbrodnie przeciwko ludzkości. Świat odetchnął z ulgą, mając nadzieję, że zagrożenie wywołane przez technologię obcych wreszcie zostało zażegnane. Świat się mylił.

W Szwajcarii uczeni pracujący nad Wielkim Zderzaczem Hadronów odkrywają anomalię, która może zniszczyć Ziemię, a powstrzymać ją można wyłącznie dzięki technologii z Projektu Rho. W zamian za całkowite ułaskawienie profesor Stephenson zgadza się pomóc w opanowaniu zagrożenia. Za jego obietnicą kryje się jednak spisek obcych, w wyniku którego okręt Rho trafił na naszą planetę. Heather, Mark i Jennifer muszą przeniknąć do nowego projektu Stephensona i powstrzymać go za wszelką cenę. Rozpoczęła się ostateczna bitwa i tym razem ludzkość nie może sobie pozwolić na porażkę.

Finałowa część trylogii Projekt Rho autorstwa Richarda Phillipsa to wybuchowe zakończenie ekscytującej historii, którą będziecie pamiętać jeszcze długo po przeczytaniu ostatniej strony.



POPRIEDZIE TOMEY



fabryka słów®
WYDAWACTWO

fabrykaslow.com.pl



Polub nas na
facebooku